

Anna BARTŁOMIEJCZYK

Marta GAJEWSKA

Pieśń
o PŁOMIENIACH
i MROKU



P i e ś ń
o PŁOMIENIACH
i MROKU



Anna BARTŁOMIEJCZYK
Marta GAJEWSKA

Pieśń
o PŁOMIENIACH
i MROKU



Copyright © Anna Bartłomiejczyk, Marta Gajewska, 2023
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2023

Redaktor inicjujący: Łukasz Chmara
Redaktor prowadzący: Anna Fiałkowska
Marketing i promocja: Anna Fiałkowska, Aleksandra Kotlewska,
Gabriela Wójtowicz

Redakcja: Anna Fiałkowska
Korekta: Monika Tańska, Magdalena Owczarzak
Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl
Ilustracja na okładce: © Karolina Nakazato | @rinrindaishi
Ilustracja na wyklejce: © Justyna Podwysocka
Mapa: Łukasz Chmara, Wojciech Bryda
Projekt okładki i stron tytułowych: Magdalena Zawadzka
Zdjęcie autorek: Urszula Słomińska
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-67551-66-3

WE NEED YA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel. 61 853-99-10
redakcja@weneedya.pl
marketing@weneedya.pl
www.weneedya.pl

Prolog

TOMAS

Chłód grobowca napawał Tomasa zadziwiającym wręcz spokojem i ekscytacją. W ciemności delikatnie rozjaśnianej pochodniami i eleganckimi latarniami był w stanie trzeźwiej myśleć, skupić się na tyle, by utrzymać czar chroniący go przed zdemaskowaniem.

Rada zebrała się tylko na chwilę, by w trakcie jednej krótkiej rozmowy ustalić szczegóły pochówku młodego manstarskiego księcia. Raina ani przez chwilę nie zdawała się rozważać odmowy, a o ostatniej woli Tristana opowiadała z żalem i z przekonaniem. Otwarcie królewskiej krypty było żądaniem, nie – prośbą. Spełnienie obietnicy stawiała ponad obyczaj, który nakazywał sprowadzenie rodziny poległego. W krótkim liście poinformowała lorda Pilaria oraz jego młodszego syna o obrzędzie i zapewniła, że kieruje się życzeniami jej zmarłego narzeczonego.

Tomas obserwował z boku skromny pochód składający się z członków Rady oraz kilku żołnierzy. Zastanawiał się, czy Rainę gryzły wyrzuty sumienia. Sama nie mogła uczestniczyć w pogrzebie ojca – strach o własne życie był większy niż chęć oddania czci władcy. Czy pochowanie Tristana na własną rękę było z jej strony przekornością? A może to wręcz złośliwość wycelowana nie tylko w rodzinę Pilariów, lecz także w innych lordów? Być może nowej

królowej chodziło o jasny przekaz. Raina miała przecież za nic tradycję i zdanie swoich najwierniejszych poddanych.

Wraz z innymi członkami Rady zajął miejsce pod ścianą grobowca, odsuwając się odrobinę bardziej w cień niż inni lordowie. Od kilku dni upał spływający na Glandir i Kantalar był niemożliwy do zniesienia. Gorąco wzmagało chaos panujący na błoniach. Zbieranie ciał poległych oraz eskortowanie rannych stanowiły główny temat spotkań z Radą, w których Tomas bezczelnie uczestniczył. Pierwotna panika związana z przejęciem tożsamości lorda ulotniła się, gdy zrozumiał, jak wiele informacji jest w stanie osiąść dzięki noszeniu cudzej twarzy. Potrzebę szybkiego dopasowania się do skradzionej tożsamości traktował jako niedogodność, z którą był jednak w stanie sobie poradzić.

– Lordzie – mruknął z niezadowoleniem stojący obok niego szlachcic.

Tomas zorientował się, że mimowolnie oparł się o chłodną ścianę, przez co jego postawa zdradzała znudzenie albo wręcz pogardę dla rozgrywającej się przed nim sceny. Gwardziści przenosili właśnie przez wąski korytarz ciało księcia zamknięte w drewnianym pudle, by za chwilę złożyć trumnę do kamiennego grobu.

Wyprostował się i poprawił poły szarej marynarki.

Nie wychodź z roli, upomniał siebie w myślach. Ukradkiem zerknął na resztę zebranych. Nikt inny zdawał się nie zauważyć jego dziwnego zachowania. Raina skupiła się na gwardzistach, podążała smutnym wzrokiem za niesioną przez nich trumnę. O czym myślała? Twarz młodej królowej przecinała rozpacz, jednak nie taka, która paraliżuje umysł i zmusza do szloch. Tomas wątpił, by dziewczyna była zdolna do głębokich uczuć. Na pewno zobaczył w jej oczach strach, kiedy spotkali się na błoniach. Ale troska, tęsknota, miłość, ból – to wszystko wydawało się być poza jej zasięgiem. Gdyby nie była tak głęboko przeżarta przez władzę i pychę, gdyby dbała o cokolwiek innego poza własnymi celami... Być może wtedy cała ta farsa nie miałaby miejsca.

Tomas walczył ze sobą, by nie opuścić krypty jako pierwszy. Cisza towarzysząca składaniu księcia do grobu raniła go w uszy, a w sercu rósł gniew. *Nie powinno cię tu być, Raino. Jesteś oszustką. Nie*

jesteś w stanie uronić nawet jednej łzy. Twoje uczucia są kłamstwem.

Kiedy strażnicy zabrali się do zasuwania masywnej płyty, królowa podeszła do grobu i wykonała przed nim głęboki ukłon. Jej dłoń dotknęła zimnego kamienia – miejsca, gdzie w najbliższym czasie miało zostać wykute imię księcia. Żadna z zebranych osób nie odważyła się opuścić krypty, zanim Raina nie ukończyła składania hołdu. Ostatnie chwile z narzeczoną spędziła w towarzystwie przodków. Po prawej znajdował się grób jej ojca, po lewej zaś wolne krypty. W jednej z nich już niedługo miała spocząć Rosemary.

Ach, Rosie. Na samą myśl o niej poczuł, jak zaczyna się łamać. Iluzja lekko zadrżała. Na chwilę zeszywniały mu palce, a przez całe ciało przeszedł dziwny spazm. Ukradkiem powędrował wzrokiem do własnych dłoni, z przerażeniem dostrzegając, że różnią się od siebie wyglądem. Lewa nadal należała do lorda, a prawa do niego samego. Zacisnął palce oznaczone ciemnymi liniami żył, a na popękanej skórze na nadgarstku naciągnął rękaw. W gniewie trudniej było mu podtrzymywać iluzję, dlatego też, gdy Raina w końcu się wyprostowała, a potem ruszyła do wyjścia, szybko schował ręce za plecami. Pokłonił się nisko królowej, w myślach obiecując sobie, że krypta już niedługo ponownie otworzy się właśnie dla Rainy Rodaagov.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział 1

ANTOINETTE

Tykanie zegara odbijało się od ścian głuchym echem. Można było odnieść wrażenie, że poza srebrnym wahadłem, kiwającym się rytmicznie na boki, cały świat zastygł w miejscu. Kruki na dworze ucichły, korytarzem nie niosły się żadne głosy. Antoinette tkwiła więc w ciszy. Zaciskała do bólu palce na podłokietnikach fotela i wpatrywała się w stojący naprzeciwko zegar. Nie miała pojęcia, jak długo tkwi w tej pozycji. W przeciwieństwie do spokoju, który otaczał ją na zewnątrz, w jej głowie trwała burza. Myśli walczyły z głosami kotłującej się w niej magii. *Zostawił ją*, szeptały niektóre. *Nie mógł jej zostawić*, przekonywały inne. Ona sama próbowała uwierzyć w to, że już za moment jej uszu dobiegnie chrobot kół powozu wtaczającego się na dziedziniec, a chwilę później poczuje na skórze subtelne muśnięcie mocy Fiyonna.

Odzwyczała się od słuchania własnego głosu. Zbyt długo przemawiały do niej inne. Teraz jednak próbowała przekonać samą siebie w myślach, że wszystko będzie w porządku.

Choć trudno było Antoinette nazwać arcyksięcia przyjacielem, przywykła do tego, że znajdował się na wyciągnięcie ręki. W Zimowym Pałacu przez większość czasu dzielił ich jedynie blat stolika ustawionego pod oknem, gdy więc teraz niespodziewanie oddalił się bez słowa, poczuła niepokój.

Coś swędziało ją pod skórą i nie było to przyjemne wrażenie.

– Wróci – szepnęła, przełamując ciszę. – Na pewno.

Antoinette puściła podłokietniki i wyprostowała palce. Poczuła, jak krążenie wraca do jej dłoni. Szczypta magii wystarczyła, by wyczuć strażników stojących przed jej drzwiami. Nie opuścili posterunku.

Nie byli już jednak na korytarzu sami.

W stronę jej apartamentu zmierzało właśnie kilka osób. Magiczne źródło jednej z nich płonęło jasno i wyraźnie. Antoinette miała już okazję je poznać.

Podniosła się w momencie, w którym otworzyły się drzwi. Odwróciła jedynie głowę i złożyła przed sobą ręce. Czekwała, aż strażnicy wpuszczą do środka królową Ingvild i towarzyszących jej gwardzistów, którzy bez słowa weszli do salonu, krocząc za jej wysokością jak cienie, po czym zajęli miejsca pod ścianami.

Ingvild uśmiechnęła się do Antoinette i usiadła w jednym z foteli obitych niebieskim pluszem. Wydawała się całkowicie spokojna, a jej postawa była nienaganna – plecy trzymała idealnie prosto, szyję miała wyciągniętą, podbródek lekko uniesiony w górę. Królowa chwyciła za leżący na stoliku dzwonek i zdecydowanie nim potrząsnęła. Chwilę później drzwi do apartamentu ponownie się otworzyły.

– Napijemy się herbaty – oświadczyła jej wysokość, gdy służąca stanęła w progu.

Skrzypnięcie drewna, kliknięcie klamki i już jej nie było.

– Te pokoje należały w przeszłości do Kruczych Wiedźm – powiedziała Ingvild, rozglądając się po pomieszczeniu. – Uznaliśmy zgodnie, że nie powinniśmy lokować cię nigdzie indziej.

Jeden z głosów syknął ostrzegawczo, czym zaskoczył Antoinette. Królowa musiała zauważyć, jak się wzdryga.

– Coś nie tak? – zapytała, a wraz z jej słowami spłynęła na Antoinette fala ulgi. Mięśnie w jej ciele powoli się rozluźniały. Zdenerwowanie, które ją ogarnęło w chwili, w której wyczuła magię Ingvild na korytarzu, nagle zaczęło ją opuszczać.

Jej magia nie dała się jednak na to nabrać.

Głosy rozszalały się na dobre, niemalże warczały między sobą w staropółnocnym. Jeden z nich, ten znajdujący się najbliżej jej ucha, wrzucił w myśli dziewczyny wyraźne słowo.

Oszustka. Nie kłamczyni.

Antoinette uniosła wzrok. To nie był pierwszy raz, gdy czuła się w ten sposób w towarzystwie Ingvild. Wciąż pamiętała jej urodzinowy bal, kiedy to królewska para podeszła do niej i pani Oesterberg, by podziękować za ich pracę. Antoinette nigdy dotąd nie była tak blisko królowej, choć mieszkała w Gnieździe od urodzenia. Bała się wtedy, bo nie wiedziała, czego powinna się spodziewać. W momencie, w którym Ingvild otworzyła usta, całe jej ciało rozluźniło się, a strach zniknął bez śladu. Dokładnie to samo działo się teraz. Nie miała wątpliwości, że królowa była obdarzona magicznym talentem, jednak nie miała pojęcia o tym, jak on działa.

– Co to jest? – zapytała cicho Antoinette. – Co mi robisz?

Ingvild mrugnęła kilkakrotnie, jakby coś wpadło jej do oka.

– Nie masz się czego obawiać. Dar przekazywany w mojej rodzinie nie ma destrukcyjnego charakteru. Jest wręcz przeciwnie. – Spojrzała na Antoinette otwarcie, dając znać, że nie ma nic do ukrycia. – Wyczuwam twoje zdenerwowanie, a nie ma powodu, byś się martwiła.

Przez krótką chwilę mierzyły się spojrzeniami. Antoinette czuła się jak spłoszone zwierzę, które królowa próbuje udobruchać. Siedziała na brzegu fotela, odsunięta od jej wysokości, jak tylko się dało, ze sztywnymi rękoma i ciasno złożonymi nogami. Spokój, którym Ingvild próbowała ją nasycić, rozplynął się w powietrzu jak dym na wietrze. Jak gdyby głosy, świadome już obcej mocy, uodporniły się na jej działanie.

– Chciałam porozmawiać z tobą na osobności. – Ingvild westchnęła, orientując się, że niewiele uda się jej osiągnąć magią. – Nie byłam pewna, co od ciebie usłyszę w trakcie obiadu. Zastanawiałam się, czy nie będziesz się czuła... – zawiesiła na chwilę głos – ...zagubiona.

W głowie Antoinette rozdzwonił się alarm. Co miała na myśli?

– Wiem, jakie wrażenie może sprawiać mój mąż, szczególnie w towarzystwie swojego brata – dokończyła jej wysokość. – Dlatego też zależało mi, żeby porozmawiać z tobą sam na sam.

– O czym? – spytała bez ogródek Antoinette.

– Na początku chciałam zapytać, jak się czujesz?

– Apartament jest piękny i jestem bardzo wdzięczna...

– Nie chodziło mi o to, czy podobają ci się pokoje, choć i to miło słyszeć.

Ingvild przerwała, gdy do pokoju wróciła służąca z herbatą. Antoinette przez chwilę miała nadzieję, że może uda jej się znów ujrzeć Brionę, lecz tacę przyniosła nieznana jej kobieta. Po chwili królowa wróciła do tematu.

– Miałam przyjemność spędzić trochę czasu z kimś, kto dopiero w wieku dojrzałym odkrył dar, którym obdarzył go Los. Wiem więc, jakie niesie to za sobą konsekwencje – mówiła, dodając do filiżanki z herbatą kilka kostek cukru. – Pamiętam zmieszanie tej osoby. Wielu rzeczy musiała uczyć się od nowa. I choć jej moc była zupełnie inna niż twoja, podejrzewam, że możesz się czuć podobnie zagubiona.

– Tak – odparła Antoinette, zaskoczona, że jej głos brzmi tak słabo. – Uczyłam się całą zimę.

– Pod okiem Fiyonna.

Antoinette kiwnęła głową, po czym sięgnęła po filiżankę, by zająć czymś rękę.

– Czy był dla ciebie wsparciem? – zapytała Ingvild nagle, po czym zacisnęła wargi, jakby od razu pożałowała, że zadała to pytanie.

– Bez niego niczego bym nie wiedziała.

– Nie zrozum mnie źle, wiem po prostu, że Fiyonn potrafi być niekiedy... bardzo wymagający.

Atmosfera w pokoju momentalnie zgęstniała. *Czy to o nim tak naprawdę chciała rozmawiać?*, pytała samą siebie w duchu Antoinette. *To o to chodziło? Pragnęła pytać o Fiyonna, by dowiedzieć się, co robił z dala od Gniazda i stolicy?*

– Okazał mi bardzo dużo zrozumienia i cierpliwości – rzuciła Antoinette, po czym upiła łyk gorącej herbaty. Wyraz twarzy Ingvild był nieodgadniony. – Uczył mnie bez przerwy każdego dnia.

Królowa pokiwała powoli głową. Antoinette była niemal pewna, że jej słowa ją zaskoczyły. Miała przeczucie, że nie to spodziewała się usłyszeć.

– Spędziliście więc razem bardzo dużo czasu – stwierdziła Ingvild.

– Wiem, że relacje między... – znów się zawahała – ... członkami rodziny królewskiej obdarzonymi magią kłamstw i Kruczymi

Wiedźmami od zawsze były wyjątkowe. Zakładam, że w waszym przypadku też tak jest...?

Antoinette nie odzywała się. W pokoju zapadła cisza, królowa odstawiła z brzękiem filiżankę na spodek i nachyliła się nad dzielącym je stolikiem.

- Nie musisz się bać rozmawiać ze mną – powiedziała poważnie.
- Nie mam żadnych złych zamiarów.
- Gwardziści niepozwalający mi opuścić pokoju sugerują coś innego.

Jej wysokość na krótką chwilę odwróciła od niej spojrzenie.

– Masz rację. Nie jesteś jednak więźniem. Moje zachowanie możesz uznać za naganne, ale obiecuję, że więcej się nie powtórzy. Straż odejdzie razem ze mną. Zostanie tylko jeden gwardzista. Dla bezpieczeństwa. – Pokiwała powoli głową, jakby sama do siebie. – Bardzo zależało mi na tym, by porozmawiać z tobą zaraz po zakończeniu posiłku. Musiałam mieć pewność, że uda nam się zobaczyć. Nie zmienia to faktu, że rozumiem twoje zarzuty.

Mówiła z pewnością i spokojem, którego Antoinette jej zazdrościła. Żadnego niepotrzebnego gestu, żadnej wyraźnej oznaki zdenerwowania. W trakcie obiadu Valiant zdawał się do pewnego stopnia udawać przychylność i zrozumienie. W jego słowach Antoinette nie wyczuwała fałszu, lecz była przekonana, że postawa króla wynikała z faktu, iż pragnął, by mu zaufała. Chciał pokazać, że jej wierzy, jednocześnie podkreślając, że jego pozycja jest wciąż wyższa niż jej. Może ktoś, kto nie obserwował małych gierek toczących się przy stołach w królewskim pałacu, by tego nie zauważył, lecz Antoinette już dawno temu nauczyła się zwracać uwagę na szczegóły.

– Antoinette. – Ingvild wymówiła jej imię z pieśczośliwą wręcz łagodnością. – Muszę wiedzieć, czy jest coś, o czym Fiyonn nie pozwolił ci mówić?

Nagle pierścień, który Antoinette nosiła na lewej dłoni, stał się ciężki.

- Obawiam się, że nie rozumiem – wydukała jedynie.
- Chodzi mi o to, czy są kwestie, które pragnęłaś poruszyć w rozmowie z Koroną, lecz obecność Fiyonna w trakcie obiadu ci to uniemożliwiła.

– Chcesz wiedzieć, czy mnie zastraszył?

Ingvild zamilkła. Jedynie po wyrazie jej oczu Antoinette zdołała odgadnąć odpowiedź królowej: sądziła, że ją zmanipulował. Zmusił do czegoś, czego nie chciała robić.

Dopiero po chwili zrozumiała, jak ważną rozmowę odbywa. Przed oczami stanął jej obraz Fiyonna rozgrywającego partię szachów. Ona i Ingvild grały właśnie przeciwko sobie, choć między nimi nie było planszy ani czarno-białych figur.

Jakże to sprytnie z jej strony, pomyślała Antoinette. Czym innym była rozmowa z Fiyonem albo Valiantem, a czym innym na pozór niewinna pogawędka przy herbacie z jej wysokością. Ona jednak sprawiała wrażenie prawdziwie przejętej. Grała lepiej niż jej mąż? A może rzeczywiście zależało jej na dobrym samopoczuciu Antoinette?

– Wiem, co masz na myśli – zwróciła się do królowej, patrząc prosto w jej różnokolorowe oczy. – Nie sądzę jednak, byś oceniała Fiyonna w odpowiedni sposób.

– A jaki jest odpowiedni?

Antoinette przełknęła ślinę.

– Rozumiem, dlaczego taki jest. I wiem, o co mu chodzi.

– Fakt, że jesteście ze sobą związani, nie oznacza od razu, że go rozumiesz – odparowała śmiało Ingvild. – O wielu sprawach jeszcze nie słyszałaś. Nie znasz go.

– I przyszłaś tu, by mi to udowodnić?

– Zależy mi na tym, byś poznała obie strony i mogła spojrzeć na niektóre kwestie bardziej obiektywnie. – Królowa pociągnęła łyk herbaty. – Może cię to zaskoczy, ale nie darzę Fiyonna nienawiścią. Jeśli naprawdę jesteś obdarzona magią kłamstw, wiesz, że mówię prawdę.

Głosy milczały, więc Antoinette pozwoliła jej mówić.

– Nie jestem pewna, czy wspominał ci o mnie. Wiem natomiast, że mówił o Valiancie. I mam też pewne wyobrażenie o tym, co ci o nim mówił. Przyglądam się im obu od dawna i słyszę dokładnie te same argumenty od lat. Zarzucają sobie odpowiednio bierność albo impulsywność, nazywają się zdrajcami i nieudacznikami. Raz różnią się tak bardzo, jak tylko się da, raz są jak dwie krople wody. Zauważyłaś to zapewne w trakcie obiadu. Musisz jednak zrozumieć,

że choć sędzę, iż Fiyonn ma wiele racji po swojej stronie, nie jest w stanie zrealizować czegokolwiek, o czym mówi.

– Sądziś więc, że to on powinien zasiąść na tronie, a nie twój mąż? – Antoinette zaryzykowała, wcinając się z pytaniem. Ingvild zastanawiała się przez chwilę, czym odrobinę ją zaskoczyła.

– W Gallawecie cenimy tradycję tak samo mocno jak tu. Nasze narody wcale się tak bardzo nie różnią. Więc tak, jakaś część mnie uważa, że to Fiyonnowi należała się korona. Jednakże zdrowy rozsądek podpowiada, że mimo wszystko nie powinien jej wkładać na głowę.

– Nie jest szalony – wtrąciła się Antoinette, czując, że nie da rady powstrzymać słów na jego obronę, cisnących się jej na język. – Wszyscy o tym mówią. Cały pałac, a pewnie też i cała stolica słyszała pogłoski o tym, że z arcyksięciem... coś jest nie tak. Ale ja tego wcale nie widzę. Nawet jeśli coś działo się z nim w przeszłości, to już minęło.

– Masz rację – przyznała Ingvild. – Dobrotliwy wpływ Czasu uleczył go. Nie wszystko się jednak zmieniło. Odkąd kilka lat temu wrócił z Krisgaldaru, gdzie przebywał u swojej ciotki, jego życie napędza żądza zemsty. Nie interesuje go nic poza skrzywdzeniem Vijandczyków tak, jak oni skrzywdzili jego.

Wpatrywały się w siebie nawzajem, lecz nie było między nimi napięcia. Przynajmniej nie takiego, jakiego Antoinette początkowo się spodziewała. Siedziały spokojnie i rozmawiały o władzy, której nie miały, a przynajmniej nie bezpośrednio. W Tesarycie nigdy nie było równości między królewskimi parami. Zawsze to dziedzic Corvusów stał na pierwszym miejscu. Ingvild, choć była tytułowana królową, musiała liczyć się z tym, że jej zdanie ma mniejszą wartość od słów Valianta. Jednak rozmowa, którą toczyła z Antoinette, zdradzała, że ich głos się liczył. Co więcej, ważne było, kogo popierały.

– Nie można pozwolić Fiyonnowi usiąść na tronie – kontynuowała cicho Ingvild, a każde słowo wypowiadała powoli i ostrożnie. – Jeśli wydarzy się inaczej, cały kontynent pogrąży się w wojnie, którą północ znów przegra. I nie będzie wtedy ani Krisgaldaru, ani Flugstadt, ani jakiegokolwiek innego tesaryckiego miasta. Bo jeśli

nawet nie spłoną całkowicie, dostaną nowe imiona i nowe tożsamości.

Przed oczami Antoinette pojawił się obraz, który już widziała – ogień lejący się pomiędzy czarnych chmur i spływający po ścianach gór. Błyszczące w ciemności szmaragdowe oko...

– Fiyonn chce władzy, by zniszczyć Vijandę. Nie rozumie jednak, że to nie jest możliwe – ciągnęła Ingvild. – Jeśli Krucze Oko cię nie zabiło, to znaczy, że naprawdę jesteś dziedziczką rodu Corvidae. Nie zamierzam w to wątpić. Wierzę, że Los oddał Tesarythowi Kruczą Wiedźmę z jakiegoś powodu. Ale na pewno nie po to, by wręczyła Fiyonnowi koronę.



Zmierzchało, lecz powóz królewskiego brata nadal nie wrócił.

Po pokoju kręciły się służące, których Antoinette nigdy nie widziała. Przynosiły posiłki, pytały, czy czegoś sobie życzy. Antoinette, skulona na jednej z kanap, siedziała w ciemnościach, gdyby one nie rozpały w kominku i nie przyniosły świec. Po zmroku chłód odchodzącej zimy dał o sobie znać.

Gdy jedna z kobiet podeszła do okien, by zasunąć zasłony, Antoinette powstrzymała ją ruchem ręki.

– Jeszcze nie – poprosiła.

Kiedy zostawiły ją samą, podeszła do drzwi. Zgodnie z tym, co obiecała Ingvild, na korytarzu stał tylko jeden gwardzista. Z tak bliskiej odległości bez trudu wyczuwała jego źródło. Pulsowało lekko w rytmie jego serca, jak gdyby stworzone tylko po to, by podtrzymać jego pracę. Antoinette położyła dłoń na klamce, lecz zawahała się.

To nie był czas na strach.

Przekręciła klamkę, po czym bez słowa skierowała się w stronę głównego korytarza. Następnie przecięła klatkę schodową i udała się do pokoi zajmowanych przez Fiyonna. Za sobą słyszała echo kroków gwardzisty.

Nikt nie strzegł drzwi prowadzących do apartamentu arcyksięcia. Gdy w nie zapukała, nie było odpowiedzi. Pod wpływem impulsu szarpnęła za złoconą gałkę, lecz okazało się, że drzwi były zamknięte na klucz.

Antoinette zacisnęła usta i powoli obróciła się na pięcie. Kiedyś sądziła, że Gniazdo nigdy nie milknie. Zawsze coś się działo, zawsze było coś do zrobienia. Tak przynajmniej było dawniej. Brak prywatności zamieniła na samotność, a ciągły gwar na martwą ciszę. Nasłuchiwała jeszcze przez chwilę, lecz w końcu udała się z powrotem do swojego pokoju. Na stole czekała na nią kolacja. Sięgnęła po sztucce bardziej z nudów niż z głodu.

Ponieważ nie miała gdzie podziąć myśli, zaczęła się zastanawiać, co sądziła o niej królowa po rozmowie, którą odbyły. Antoinette nie była przygotowana na tę wizytę. Nie spodziewała się, że jej wysokość będzie starała się wpłynąć na jej poglądy. Ingvild nie miała żadnych koneksji rodzinnych z kimkolwiek spośród Wielkich Rodów, bo była córką królowej Gallawethu. Nie brała udziału w prywatnych utarczkach braci, a przynajmniej Antoinette nigdy o tym nie słyszała. Jej osąd wydawał się więc na pierwszy rzut oka najbardziej obiektywny. Była kimś, komu Antoinette mogłaby zaufać, kogo mogłaby posłuchać.

Jej rozważania przerwały dwa pytania, które raz za razem spychały wszystkie inne myśli na bok: *Gdzie był Fiyonn? Dlaczego nie wrócił do pałacu?*

Może Ingvild miała rację. Może Antoinette powinna była zadać mu więcej pytań i nie pozwolić na zignorowanie ich. Chociaż tyle był jej winien.

Nie jest sama, szepnął niespodziewanie jeden z głosów, a Antoinette obróciła gwałtownie głowę, posyłając w stronę drzwi o wiele więcej mocy, niż powinna.

Odetchnęła z ulgą, gdy ujrzała twarz Yrsy.

– Dlaczego wyglądasz tak, jakbyś zobaczyła ducha, Nette? – zapytała dziewczyna, uśmiechając się szeroko. – Mówiłam ci przecież, że przyjdę.

– Już raz widziałam i prawdopodobnie miałam bardzo podobną minę – odparła Antoinette, odkładając sztucce na bok.

Yrsa podeszła do stołu i położyła dłonie na oparciu jednego z krzesel. Wpatrywały się w siebie przez dłuższą chwilę, po czym Yrsa rzuciła tylko:

– Opowiedz mi wszystko.



Gdy Antoinette skończyła mówić, było już bardzo późno. Obce pokojowe przyszły zabrać niedojedzoną kolację, pokręciły się po pokojach, spoglądając krzywo na Yrsę, udającą, że pomaga panie Corvidae przygotować się do snu. Służące wymieniły spojrzenia, po czym w końcu zostawiły je same.

– I co teraz? – zapytała Yrsa, odkładając szczotkę do włosów na toaletkę.

– Muszę się dowiedzieć, dokąd się udał. Nie chcę pytać jej wysokości, a tym bardziej Valianta – odparła Antoinette.

– Sądzisz, że nie wiedzą, że opuścił pałac?

– Nie mam pojęcia. Ale przez chwilę musimy założyć, że tak jest. Może się okazać, że jutro rano, zanim się podniosę, Fiyonn będzie u siebie, ale...

– ...to do niego niepodobne – dokończyła za nią Yrsa.

A więc myślały o tym samym. W trakcie służby u Fiyonna Antoinette ani razu nie usłyszała od niego, że planuje opuścić pałac. Dotąd nie miał ku temu żadnego powodu. Co więc zmusiło go, by wyjechać z Gniazda akurat teraz?

Strach, który towarzyszył Antoinette od obiadu, mógł być całkowicie irracjonalny. Chciała jednak wykorzystać każdą możliwość, którą miała, by czegoś się dowiedzieć.

– Znajdę jedną z dziewczyn, które u niego sprzątają, i dowiem się wszystkiego, czego będę mogła. – Yrsa usiadła obok Antoinette na wąskiej ławeczce dostawionej do toaletki. – I jeszcze dziś złożę wizytę pani Oesterberg, żeby jej oświadczyć, że życzysz sobie, bym u ciebie służyła.

Antoinette parsknęła pod nosem.

– Pokojowe, które tu były, pewnie już jej o wszystkim doniosły.

– Na pewno.

Gdy patrzyły na siebie w lustrze, Antoinette po raz kolejny uderzyło to, że gdyby zmieniła koszulę nocną obszytą koronką na tę starą i wielokrotnie cerowaną, wyglądałyby dokładnie tak jak kiedyś. Ona i Yrsa, siedzące obok siebie tak, że żadnej wcale nie było wygodnie, bo zydel był na to zbyt mały. Jeszcze niedawno wszystko było normalne...

– Tęskniłam za tobą – szepnęła Antoinette. – Bardzo mi cię brakowało.

– Mnie ciebie też.

Yrsa westchnęła i spuściła wzrok. Antoinette знаła tę minę.

– O co chodzi? – zapytała.

– Słyszałam, że pokłóciłaś się z mamą.

Żadna z nich tak naprawdę nie chciała przeprowadzać tej rozmowy. Obie wiedziały jednak, że nie mogą tego przemilczeć. Przed oczami Antoinette stanęła zboląta twarz kobiety, którą przez całe swoje życie nazywała matką. Nie było przeszkód, by czyniła to nadal. Behula dała jej jasno do zrozumienia, że wciąż ją kocha. Nie wyparła się jej. Ale jakaś głęboko skrywana dotąd część Antoinette wciąż odczuwała żal podszyty złością, który nie pozwalał jej tego uczucia odwzajemnić. Nie wiedziała, czy to magia kłamstw wywołuje w niej gniew, czy może po prostu potrzebowała czasu, żeby przywyknąć do nowej perspektywy.

– Wszyscy już wiedzą? – zapytała.

– Ci najbliżsi tak. Podejrzewam, że to tylko kwestia czasu, aż poniesie się dalej. Cholera wie, w jakiej formie.

Antoinette знаła mechanizm przenoszenia plotki. Z każdym jej powtórzeniem historia odrobinkę się zmieniała, a ostatecznie rozrastała się do niewyobrażalnych rozmiarów. Podejrzewała, że dokładnie to samo stało się z historiami dotyczącymi Fiyonna.

– Nie wiem, co mam ci powiedzieć – rzekła. – Myślę, że nam obu jest ciężko.

– Behula nigdy nie miała nic złego na myśli.

– Wiem. – Antoinette zamknęła oczy i zacisnęła zęby, starając się powstrzymać to drażniące uczucie, które w niej rosło. – Załatwię to, ale jeszcze nie teraz. Najpierw muszę się dowiedzieć, gdzie jest Fiyonn.

A potem zadać mu kilka pytań, dopowiedziała w myślach.

Rozdział 2

FIYONN

Najpierw powóz z królewskim emblematem zmierzał na zachód głównym traktem, który prowadził ze stolicy do Askvolen, a następnie odbijał na północ w stronę Fyligadum, jednego z trzech głównych ośrodków portowych po tej stronie kontynentu. Kareta nigdy jednak do Askvolen ostatecznie nie wjechała. Zamiast tego woźnica poprowadził konie wąską, rzadko uczęszczaną drogą wiodącą wzdłuż wybrzeża.

Fiyonn nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, kiedy był w tej okolicy ostatnim razem. O wiele częściej podróżował na północ, by dotrzeć do Krisgaldaru albo Wengum. Doskonale znał też Nijestadt, a nawet położone bliżej granicy z Vijandą górskie miasto Jorgiele, będące głównym dostarczycielem soli i srebra. Mimo wielu podróży, które odbył w przeszłości, niewiele czasu spędzał nad Wielkim Morzem. Był dzieckiem, gdy latem zawieziono go do Askvolen. Wtedy też pokazano mu znajdujący się kilkanaście mil od miasta klif, z którego rzuciła się Moira Czarnowłosa. Połacie szmaragdowej trawy łączyły się tam niezauważalnie z błękitem nieba. Dopiero gdy podeszło się bliżej skarpy, można było dostrzec kotłujące się w dole fale. Obszedł wtedy dookoła kamienny krąg, będący pozostałością po miejscu, w którym co roku składano modły do przodków. Pamiętał szczypanie magii, które rozchodziło się delikatnie po jego policzkach

i palcach. Nie wiedział wtedy wielu rzeczy o naturze tej mocy, lecz wyczuwał ją niezwykle wyraźnie.

Ale wtedy byliśmy inni. Szept sprawił, że Fiyonn otworzył oczy. Odsunął zasłonkę i spostrzegł, że w okolicy nie było niczego poza zielono-brunatnymi polami, gdzieś pokrytymi jeszcze resztkami śniegu. Prawdopodobieństwo tego, że minęli już Askvolen, było duże. Powóz toczył się powoli po drodze wytyczonej przez ślady kół wiejskich wozów i końskich kopyt.

Fiyonn zakładał, że uda mu się wyczuć Klipetaigh. Wyobrażał sobie, że nici magii gęsto przeplatają tam szew świata, podobnie jak w Gnieździe i na Wiedźmim Klifie. Oba te miejsca były nasycone intensywnie energią, która zagnieździła się tam setki lat temu. Gniazdo zostało wybudowane za czasów Mędrca i choć zmieniało się przez wieki, coraz bardziej się rozrastając, niezmiennie pozostawało siedzibą jego dziedziców. Rodzili się tam i umierali, uczyli się korzystać ze swoich darów, rozmawiali z duszami swoich przodków. Z kolei klif stał się miejscem stworzenia – pochodząca z rodziny zaklinaczy Moira Czarnowłosa stała się pierwszą Kruczą Wiedźmą.

Fiyonn podejrzewał, że na przestrzeni lat również Zimowy Pałac stanie się takim miejscem dzięki stałej obecności Xanthe Corvidae. Niektórzy wierzyli, że dusze zmarłych potrafiły napełniać kaplice i świątynie mocą dzięki temu, że po prostu się w nich pojawiały. A Xanthe widywano w pokojach górskiej rezydencji od lat. Z drugiej strony, jej przywiązanie do świata żywych wydawało się niewielkie. Niekiedy wydawała się zaskoczona tym, gdzie jest i co robi. Zdania, które wypowiadała, nie łączyły się ze sobą. Trwała w dziwnym amoku, z powodu którego nie była nawet w stanie wytłumaczyć, dlaczego tak usilnie nawiedza Zimowy Pałac.

Kiedyś sama się do niego zwróciła. Mógł mieć wtedy dziesięć albo jedenaste lat. Ich spojrzenia się spotkały, a ona nagle przemówiła:

– Nie ma jej. Nie mogę jej znaleźć.

Wciąż był dzieckiem, wciąż uczył się magii, a każda kolejna lekcja sprawiała, że nie mógł doczekać się następnej.

– Kogo? – zapytał.

– Mojej córki.

Mimo upływu lat Fiyonn wciąż nie do końca rozumiał. Ułynęły wieki, a ona nie mogła z jakiegoś powodu odnaleźć w zaświatach duszy swojego dziecka. Dusze tych, na których przyszedł Czas, stawały się wolne. Gdy opuściły śmiertelne ciało, mogły wędrować po ziemi w nieskończoność, opiekując się swoimi rodzinami dzięki połączeniu z Losem. Byli jednak też tacy, którzy nie zasługiwali na tego rodzaju zbawienie. Po śmierci znikali, ich dusze rozplływały się w powietrzu. Skoro więc Xanthe nie potrafiła odnaleźć swojej córki, mogło to oznaczać tyle, że nie dopuszczono jej do wiecznego wędrowania.

Ale dlaczego? Xanthe zmarła jako dorosła kobieta, ale jej dziecko nie przeżyło nawet jednego dnia. Dlaczego więc przodkowie mieliby odebrać jej dar wędrowki?

Z biegiem czasu Fiyonn zaczął myśleć o tamtym spotkaniu z Xanthe jak o wizji. Stracił pewność, że rzeczywiście miało ono miejsce, więc uznał je za jeden z obrazów, które zesłał na niego Los. Obraz, który był jednocześnie przydzieleniem zadania, polegającym na odnalezieniu kolejnej Kruczej Wiedźmy.

Udało mu się.

A potem zostawił ją w Gnieździe, by móc udać się do jej rodzinnej posiadłości, zaraz po tym, jak otrzymał od niej klucz.

Nie miał jednak innego wyjścia.

Powóz lekko zwolnił, bujało nim na boki jak łodzią w czasie sztormu. Droga była coraz gorsza. Woźnica i służące nie rozmawiali, więc Fiyonn czuł się niemal tak, jakby konie same niosły powóz przed siebie.

Musiał być cierpliwy i skupiony.

Badał magią otaczające go pola, sięgał nią dalej, niż powinien, co mogło nadwyrężyć jego siły. Po kilkunastu minutach bezskutecznego szukania pozwolił, by jego oczy pokryły się czernią. Świat składał się teraz z tysięcy cienkich, splątanych ze sobą nici, które nie miały początku ani końca. Jedne lśniły mocniej, inne słabiej, ale wszystkie były ze sobą połączone, choć niewprawne oko mogło tego nie zauważyć, przytłoczone liczbą szczegółów. Fiyonna to jednak nie dotyczyło. Przywykł do szukania wzorów w magicznych pajęczynach.

Gdyby ktoś obdarzony nawet małym talentem wyczuwania magii wsiadł teraz do powozu, prawdopodobnie szybko by się z niego wycofał. Powietrze wewnątrz pojazdu zgęstniało od energii wykorzystywanej przez Fiyonna. Niemal słyszał oddechy głosów, które zwykle szeptały w jego uszach. Spokojnie tkwił w rękach magii i czekał, aż poczuje coś wartego uwagi.

Powóz niestrudzenie przemierzał polne drogi, lecz Fiyonn ciągle nie wyczuł niczego niezwykłego. Klątwa rzucona na Klipetaigh okazała się ścianą nie do przebicia.

Gdy jego oczy na powrót stały się szaro-niebieskie, uderzył kilka razy w ściankę powozu. Reakcja woźnicy była natychmiastowa: pociągnął za lejce i zatrzymał konie, a jedna ze służek zeszła z kozła, by otworzyć przed nim drzwi.

Poprzedniej nocy, gdy zatrzymali się w gospodzie, nie zmrużył nawet oka. Kiedy więc wysiadł z powozu w samym środku pola, poczuł wyraźnie, jak słabe jest jego ciało. Przechylił się lekko na bok, opierając ciężar na jednej nodze, i z trudem złapał pion.

Rdzawa łuna zachodzącego słońca zdołała przebić się przez gęste, szare chmury. Dzień chylił się ku końcowi, ale Fiyonn nie mógł pozwolić sobie na zwłokę. W zasięgu wzroku nie znajdowała się żadna droga wjazdowa ani latarnia prowadząca do większej rezydencji, a na niebie nie było widać wstęgi dymu, unoszącego się z komina. Okolica była zupełnie niezamieszкана.

Musiał dotrzeć do Klipetaighu dzisiaj. Był gotów zjeździć wybrzeże tyle razy, ile będzie trzeba. *Schwyta nas, szeptały głosy. Nie dał nam czasu.*

Fiyonn zacisnął zęby.

– Jak cię odnaleźć? – spytał cicho.

Minęło kilka chwil i okolicę pożarła ciemność. Fiyonn powoli wsiadł z powrotem do powozu.

– Dalej – rzucił jedynie w stronę woźnicy.

Oparł czoło o ściankę i przymknął oczy. W pobliżu nie wyczuwał niczyjej obecności, chciał więc przeznaczyć tę chwilę na zregenerowanie sił. Tylko chwilę...

– Panie.

Fiyonn drgnął, rozchylając powieki. Od razu poczuł zimny wiatr owiewający jego nogi i usłyszał huk fal. Potem zobaczył po swojej

prawej tę samą służącą, która wcześniej otwierała mu drzwi. Teraz znów to robiła, jednak nie na jego polecenie. Powóz stał. Fiyonn sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza po zegarek. Ile mogło minąć czasu?

– O co chodzi? – zapytał.

Noc za plecami dziewczyny zrobiła się zupełnie czarna, jakby ktoś rozwinął płachtę grubego materiału. Żadnego światła na horyzoncie, żadnego, choćby jednego, blasku magicznego źródła. Byli tu sami.

– Noc taka, że ledwo co widać, jaśnie panie. – Woźnica zeskoczył z kozła i zbliżył się o krok. – Jeszcze chwila i konie ześlizgną się z klifu.

Fiyonn skrzywił się, słysząc ton mężczyzny – zwracał się do niego tak, jakby chwilę temu opuścił swoje gospodarstwo i wskoczył do książęcego powozu. Ale rzeczywiście, było tak ciemno, że nawet światło latarni, którą woźnica trzymał w dłoni, nie dawało rady rozproszyć mroku.

Wystarczyło mrugnięcie, by na powrót zobaczyć pajęczynę magicznych nici.

Fiyonn zrobił krok, a potem następny. Nagle dostrzegł coś mieniącego się w oddali. Możliwe, że za dnia nie udałoby mu się tego zobaczyć, jednak zachmurzona, bezgwiazdna noc wyraźnie mu sprzyjała.

W odległości może trzech mil nici krzyżowały się ze sobą, jak gdyby natrafiały na przeszkodę, której nie mogły ominąć. Wspinały się po niewidzialnej ścianie, a ich regularny bieg był załamany. Wyglądało to tak, jakby ciasno coś oplatały.

Energia przepływała przez każdy element świata, napełniała go mocą, mniejszą bądź większą, lecz z pewnością niczego nie omijała. Skoro więc z jakiegoś powodu nie była w stanie przeciąć tego jednego miejsca, oznaczało to, że... niczego tam nie było. A jeśli było, to znajdowało się poza czasem i przestrzenią.

Dokładnie tak jak Klipetaigh.

– Wasza wysokość!

Fiyonn usłyszał za sobą wołanie służącej. Dopiero po chwili zorientował się, że zostawił powóz za sobą, jak gdyby resztę drogi chciał pokonać na piechotę.

– Dalej – rzucił jedynie, wracając do pojazdu.

Wiedział już, dokąd powinien jechać.



Powóz zatrzymał się przed wysoką, żelazną bramą, pozwalającą wjechać na teren otoczony kamiennym murem, po którym gdzieś wspinął się bluszcz. Zza niej wylaniał się bardzo stary pałac.

Wszystkie okna były ciemne, lecz niezastłonięte okiennicami. Wiszące przy bramie latarnie były zgaszone. Ani śladu żywej duszy. To, co Fiyonna interesowało jednak w tym wszystkim najbardziej, to fakt, że wciąż niczego nie wyczuwał. Może jego ziemskie zmysły zawodziły, lecz trzecie oko miał przecież szeroko otwarte. Wyobrażał sobie, że Klipetaigh będzie emanować magią, jednak nic takiego nie miało miejsca. Moc skrupulatnie omijała ten teren, tworząc wokół niego coś w rodzaju kokonu. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział. Oznaczało to, że prawdopodobnie nigdy dotąd nie rzucono tak potężnej klątwy, która na dodatek przetrwałaby aż do teraz.

Szedł w stronę bramy, próbując wygrzebać z kieszeni klucz, który wręczyła mu Antoinette. Okazało się, że wrota były jedynie zatrzaśnięte. Nie było żadnej kłódki ani zamka. Fiyonn pchnął więc skrzydło, a zawias głośno zaskrzypiał ze starości.

Otoczył się magią jak tarczą i zaczął iść pewnie przed siebie. Wciąż niczego nie wyczuwał. Nie mogło być jednak mowy o pomyłce. Czy to możliwe, żeby w samym środku pola stał dom tak stary i tak dobrze odpowiadający rysunkom zamieszczonym w kronikach? Dom, którego magia nie łączy się z resztą świata swoimi nićmi? Zwiedził Tesaryth, Gallaweth i Astherię – nigdzie nie znalazł miejsca wyciągniętego spod władania energii napędzającej świat.

Cała posiadłość nie prezentowała się szczególnie okazale. Ogród otaczający rezydencję był wyraźnie nadszarpnięty zębem czasu. Krzewy zarosły chwastami, trawa sięgała niemal parapetów okien, a pod drzewami nazbierało się mnóstwo cienkich gałązek, połamanych przez wiatr, których nie miał kto uprzątnąć. Gdzieś zza

domu wyłaniał się kontur innego, mniejszego budynku, prawdopodobnie gospodarczego, do którego prowadziła żwirowa ścieżka.

Fiyonn bardzo powoli wspiął się po schodach, podszedł do drzwi i oparł na nich dłoń. Nadal niczego nie wyczuwał.

Nie było jednak sensu dłużej czekać. Wsunął klucz do zamka i przekręcił go, a mechanizm otworzył się z satysfakcjonującym kliknięciem.

Wystarczyło przekręcić klamkę i zrobić krok, lecz Fiyonn się zawahał. Jego magia milczała. Choć mógł sięgnąć po nią w każdej chwili, czuł, jakby ktoś otoczył go tramantem.

Nie może być mowy o pomyłce, powtarzał w myślach.

Pchnął drzwi do środka. Nigdy nie widział tego miejsca, ale od razu poczuł, że jest znajome. Gdy przestąpił próg domu, uderzyła go siła, z którą nigdy dotąd się nie mierzył.

Całe ciało zadrżało od ciężaru energii zamkniętej we wnętrzu Klipetaighu. Miał wrażenie, że wszystko wokół niego niemal wibruje w powolnym, ale równym rytmie, który przypominał mu ludzki oddech. Pomylił się – nie była to magia zbliżona do tej wyczuwalnej w Gnieździe czy na Wiedźmim Klifie. Była o wiele starsza, zespolona z Klipetaighem na zupełnie innych zasadach. Nie potrafił jej porównać do niczego, co dotąd poznał. *To tutaj*, fala głosów przetoczyła się przez jego umysł, niemalże go ogłuszając. Rozpoznały to miejsce. Przemawiały w staropółnocnym, niemal wzruszone, jak gdyby tęskniły. *Gdzie jest wiedźma?*, syknął niespodziewanie jeden z nich, a reszta tłumnie powtórzyła jego pytanie.

Nagle burzę głosów przeciął dźwięk, którego Fiyonn nie spodziewał się tu usłyszeć – trzask palącego się drewna. Momentalnie odwrócił głowę, bezbłędnie wychwytyjąc, skąd dochodzi ten charakterystyczny odgłos. Jednocześnie próbował badać przestrzeń wokół siebie. *Nikogo nie ma. Jesteśmy sami.*

Zwabiony niespodziewanym odgłosem, Fiyonn podszedł do pierwszych dwuskrzydłowych drzwi, znajdujących się po jego lewej stronie, i bez zawahania otworzył je szeroko. Zobaczył salon tonący w mroku przełamany złocistym światłem ognia tańczącego w kominku.

Wystarczyła chwila, by przed oczami ukazał mu się inny pokój, w którym zapach kadzideł mieszał się z kwaśną wonią krwi. Inne palenisko grzało go w twarz. Ogień był tak blisko, że aż go oślepił. Niemal poczuł palce zaciskające się na jego włosach, ciężar kajdan ocierających jego nadgarstki.

Ale to nie był ten sam pokój.

Zacisnął powieki i odwrócił się tyłem do drzwi.

W tamtym pomieszczeniu, które trzymał we wspomnieniach, nie było słychać morza uderzającego w klif ani wiatru świszczącego w koronach starych drzew.

– Rozpalić świece – zażądał Fiyonn. – W każdym pomieszczeniu, bez wyjątku.

Trzyosobowa służba rozpierzchnęła się po domu, który zdawał się poruszać razem z nimi – drewno skrzeczało pod każdym krokiem, a magia, tak silnie skoncentrowana w przedsionku, rozlewała się niczym morska fala po kolejnych pokojach.

Potrzebował chwili, by uspokoić oddech. Odwrócił się plecami do salonu i rozejrzał po westybulu. Dwie z czterech ścian pokryte były niemal w całości obrazami i zwierciadłami. Fiyonn nie był pewien, co interesowało go bardziej – ich nietypowe, chaotyczne ułożenie czy fakt, że luster było tam co najmniej dwa razy więcej niż obrazów. Niektóre były maleńkie, oprawione w kunsztowne, kolorowe ramy, inne obejmowały prawie całą jego sylwetkę. Przypomniały mu podania o ludziach widzących w lustrzanych taflach rzeczy, których nie mógł dostrzec przeciętny człowiek. Miały odbijać się w nich przyszłość, największe pragnienia albo obawy... Wersji było tyle, ilu znalazło się opowiadających.

Lata studiów nad naturą magii utwierdziły jednak Fiyonna w przekonaniu, że w gruncie rzeczy nie chodziło o dar posiadany przez człowieka, lecz o sam przedmiot. Dawniej dla potężnych zaklinaczy nie było ograniczeń. Własnymi rękoma potrafili tworzyć artefakty o niezwykłej mocy. Ta magia jednak już dawno zanikła, ale jeśli jej pozostałości miały zostać gdzieś odnalezione, to właśnie tutaj. Może dlatego nie zdziwił go brak odbicia w jednym z luster, w którym się przejrzał. Mógł na nie patrzeć bez końca, a widział tylko to, co znajdowało się za nim. Spoglądając w nie pod różnymi kątami, można było zobaczyć właściwie całe pomieszczenie.

Niektóre zwierciadła były lekko pokruszone, na innych zbierał się dziwny szary osad, który nie wydawał się kurzem. Sąsiadowały one z kwadratowymi pejzażkami oraz z niewielkich rozmiarów portretami kobiet i mężczyzn ubranych w czarne stroje z elementami nawiązującymi do rodowej barwy rodziny Corvidae, czyli do ciemnego fioletu. Nie poświęcił im zbyt wiele uwagi.

W ciągu kilkunastu minut obszedł niemal całe piętro i utwierdził się w przekonaniu, że dom wyglądał tak, jakby ktoś opuścił go niecały tydzień temu. Nie było mebli okrytych prześcieradłami, nie było kłębów kurzu, które powinny do tego czasu nagromadzić się w kątach. Klątwa rzucona na Klipetaigh zatrzymała go w czasie i starła z mapy. Przynajmniej na jakiś czas.

Na piętrze znajdowało się kilka gościnnych sypialni, pokoje kąpielowe, biblioteka połączona z gabinetem. Nic nietypowego.

– Czy jego książęca mość życzy sobie czegoś? – zapytała niepewnie jedna z pokojowych, gdy schodził na parter.

– Sprawdziliście spiżarnię?

Dziewczyna zawahała się, przygryzając wargę.

– Nie ma tego wiele, lecz wygląda na to, że chleb jest... świeży.

Zdawała sobie zapewne sprawę, jak absurdalnie to brzmi. Gdyby nie fakt, że Fiyonn zaczynał rozumieć sposób, w jaki dom przetrwał nieodnaleziony i nienaruszony przez ponad dwieście lat, zapewne zastanawiałby się, czy służąca jest przy zdrowych zmysłach.

– Skrój go więc – rzucił Fiyonn.



Gdy służące krzątały się po pomieszczeniach gospodarczych, książę po raz drugi przekroczył próg salonu. Przeciągnął palcami po obiciu kanapy, po czym opadł na nią, czując, jak ogarnia go coraz większe zmęczenie. Miękkie poduchy niemal go pochłonęły, a ciepło płynące od ognia sprawiło, że musiał walczyć z zamykającymi się oczami. Ostatkiem sił rozejrzał się po pokoju. Jego wzrok przykuł granatowy gobelin ze wzorem przypominającym gwiazdną konstelację. Z jakiegoś powodu wydawał się znajomy, jakby Fiyonn już kiedyś go

widział. Następnie spojrział na wysoki regał, na półkach którego zebrano całą masę różnorodnych, niepasujących do siebie przedmiotów. Były tam spięte ze sobą pergaminy, słoiki z kolorowymi kamieniami, drewniany model dłoni, wysuszone rośliny związane wstążkami i całe mnóstwo zegarów. Żaden z nich nie tykał. I może nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że każdy wskazywał inną godzinę, a wskazówki niektórych poruszały się do tyłu.

Rozdział 3

ANTOINETTE

Antoinette wciąż leżała w łóżku, gdy do jej apartamentu wślizgnęła się Yrsa. Dziewczyna czuła, że powinna wstać i działać, lecz znienacka ogarnęła ją bezsilność.

Stało się dokładnie to, czego się obawiała. Po powrocie do Gniazda musiała zmierzyć się ze wszystkimi kwestiami, które ignorowała w trakcie pobytu w Zimowym Pałacu. Tam każdego dnia mogła dać się porwać procesowi poznawania magii i nie myśleć o tym wszystkim, co czekało na nią poza murami górskiej rezydencji.

Krucze Oko nie było tylko błyskotką, która rozbudziła w niej uśpioną od dawna moc – było symbolem. Córy Moiry miały oczywiście przywileje, ale także obowiązki. I tego właśnie Antoinette obawiała się najbardziej. Świadomie odsuwała od siebie myśli, które ją gnębiły. Miała świadomość, jak wielu rzeczy nie wie, choć przecież całe życie spędziła w Gnieździe, obserwując arystokratów. Dlatego właśnie bardzo szybko okazało się, że bez arcyksięcia u boku stała się właściwie bezbronna.

Teraz wszyscy już wiedzieli, kim była, i musiała ich do siebie przekonać. Musiała uczyć się dalej. Musiała zrozumieć, jak naprawdę wygląda konflikt między braćmi.

I musiała znaleźć Fiyonna.

Przysłuchiwała się brzękowi naczyń, które Yrsa rozkładała na stole. Po chwili dziewczyna cicho przestąpiła próg sypialni.

– Nette. – Głos Yrsy był nietypowo łagodny. – Nie śpisz?

– Nie – mruknęła Antoinette, nie odwracając nawet głowy.

Yrsa z westchnieniem przysiadła na krańcu łóżka, żeby móc zobaczyć twarz przyjaciółki.

– Nie mam dobrych wieści – oświadczyła.

Gdy ich spojrzenia się spotkały, Antoinette dostrzegła w oczach Yrsy troskę.

– O co chodzi? – zapytała, siadając.

– Z tego, co udało mi się dowiedzieć, arcyksiążę wyjechał na dłuższy czas. Nikt nie wie jednak dokąd.

Antoinette wpatrywała się w oczy przyjaciółki, po czym zacisnęła dłoń na kołdrze.

– To musi być pomyłka... – zaczęła, lecz Yrsa przerwała jej, kręcąc głową.

– Wziął ze sobą bagaże, które przywiózł z Zimowego Pałacu. W Gnieździe nie ma ani Very, ani Kaydy, więc zakładam, że pojechali z nim.

Zostawił ją, głosy nagle przebudziły się z letargu. Brzmiały tak, jakby udzielała im się panika rosnąca w piersi Antoinette.

Powoli oparła się o poduszki, starając się poukładać to, czego się właśnie dowiedziała. Nie było jego kufrów. Nie było jego służby. Nie było powozu.

Nie było jego.

Czy mógł ją tak po prostu zostawić? Bez słowa?

Ale przecież dała mu klucz.

– Zostawił mnie – szepnęła, po czym zerwała się z łóżka.

Yrsa coś do niej mówiła, lecz w tamtej chwili Antoinette straciła głowę. Zaczęła krążyć po pokojach w nocnej koszuli, jakby czegoś szukała.

– Antoinette! – Yrsa musiała podnieść głos, by do niej dotrzeć. Chwyła ją za ramiona i lekko potrząsnęła. – O co chodzi?

– Uciekł i mnie tu zostawił – odparła słabo. Musiała odchrząknąć, by jej słowa znów nabrały mocy. – Nie rozumiem dlaczego.

Usiadła przy stole i oparła głowę o dłonie, starając się przypomnieć sobie dokładnie to, co powiedział Fiyonnowi Valiant. Bal zorganizowany specjalnie dla niej miał zostać połączony z urodzinami Fiyonna, a całość zaplanowana była na pojutrze.

W jego trakcie oboje mieli złożyć przysięgę wierności Koronie. A tego zrobić przecież nie mogła. *Jeśli nie pojawisz się wraz z dziewczyną w wyznaczonym dniu i o odpowiedniej godzinie, uznam was oboje za zdrajców.* Fiyonn również nie mógł złożyć przysięgi. Żadne z nich nie mogło składać fałszywych obietnic.

– Wiesz, dokąd się udał? – spytała Yrsa, siadając naprzeciwko.

– Tak. Do domu nad klifem.

Poprzedniego dnia Antoinette opowiedziała jej o wszystkich odkryciach, jakich dokonała w trakcie pobytu w górach. Yrsa wiedziała więc, że Behula przez ponad dwadzieścia lat nosiła przy sobie klucz do rodzinnej rezydencji Kruczych Wiedźm, która należała teraz do Antoinette. To ona powinna ruszyć na zachód, by odnaleźć wymazany z mapy Klipetaigh. Zamiast tego zrobił to Fiyonn i z jakiegoś powodu nie zabrał jej ze sobą.

– Ale to nie ma sensu – mruknęła Antoinette sama do siebie. – Po co by mnie uczył? Po co opowiadałby o tym wszystkim? Klucz niczego mu nie daje.

Yrsa zastanawiała się przez chwilę.

– Może znajduje się tam coś, czego potrzebuje? – zasugerowała.

– Nie wspominał o czymś, czego szuka?

– Poza kluczem nie było niczego takiego. Coś musiało się stać po tym, jak wyszedł z jadalni. Z jakiegoś powodu pojechał tam beze mnie.

– Nette, jeśli mogę coś zasugerować... – Yrsa pochyliła się i sięgnęła po dłonie Antoinette. – Dopóki znów się z nim nie spotkasz, nie będziesz miała pewności. Domysły cię wykończą, to nie jest dobra droga.

– Nie mogę ryzykować udania się na ten bal – powiedziała. – Boję się przysięgi. Nie mogę obiecywać czegoś, w co nie wierzę albo czego nie zrealizuję. Magia mi na to nie pozwoli.

– Muszę zadać ci ważne pytanie.

Oczy Yrsy były szare i błyszczące. Wyglądały jak dwie srebrne monety.

– Czy jesteś pewna, że arcyksiążę nie zostawił cię tu celowo? – zapytała, a Antoinette zamarła. – Spędziłaś z nim całą zimę, więc ufam twojemu osądowi. Ale czy nie uważasz, że z jakiegoś powodu mógłby wyjść na tym korzystniej, ruszając na zachód bez ciebie?

Nie, pomyślała od razu. Bo po co mówiłby, jak ważnym graczem się stanie na politycznej planszy? Po co trzymałby ją tak blisko siebie? Ale Fiyonn pokazał już, że po mistrzowsku potrafi ominąć ograniczenia nakładane na niego przez magię. Na pytanie, czy potrafiłby jej wmówić rzeczy, które nie miały wiele wspólnego z prawdą, jednocześnie przy tym nie kłamiąc, Antoinette musiała odpowiedzieć twierdząco.

– Nie wiem – odparła w końcu. – Jednak obojętnie, co nim kierowało, nie mogę złożyć tej przysięgi.

Yrsa westchnęła, spojrzawszy przelotnie na tykający głośno zegar.

– Czyli... nie stoisz jednoznacznie po jego stronie?

Jeszcze tydzień temu Antoinette bez wahania powiedziała, że tak, opowiada się za Fiyonem. Ale z czego to tak naprawdę wynikało? Z tego, że dał jej magię? Że ją zauważył? Był dziedzicem Mędrca i pragnął niezależności Tesarythu – to do niej przemawiało. Chciał działać, zrobić coś, co pozwoli odzyskać królestwu niezależność. A jeśli Tesaryth będzie niezależny, ludzie przestaną bać się wychodzić na ulicę, nie będą głodować... Antoinette wydawało się, że właśnie ta droga jest właściwa, że tak właśnie należało postąpić. Czy bierne czekanie, które reprezentował Valiant, cokolwiek zmieniało? Vijanda nasyciła całą północ swoimi wpływami i nic dobrego z tego nie wynikło. Ale nikt nie zrobił do tej pory czegoś, co by to zmieniło. Musiała jednak przyznać przed samą sobą, że po rozmowie z Ingvild zapragnęła poznać też wersję drugiej strony. Czas ją naglił.

– Bal ma rozpocząć się za dwa dni, zgadza się? – zapytała Yrsa.

– Tak. – Dziewczyna kiwnęła głową. – Wczoraj, kiedy od ciebie wyszłam, wiele dziewczyn jeszcze nie wróciło, by się położyć. Z kolei gdy się obudziłam, niemal wszyscy byli już na nogach. Przygotowania ruszyły pełną parą. – Zastanowiła się przez chwilę, po czym zapytała: – Czy wiesz, gdzie leży dom nad klifem?

– Dokładnie nie, tego nie wie nikt.

– Ale wiedziałabyś, w którym kierunku jechać?

Antoinette pamiętała, że Klipetaigh znajduje nad morzem, niedaleko Askvolen, kilka mil na południe od Wiedźmiego Kręgu. Gdyby miała przy sobie znajdującego się na rzeczy woźnicę, prawdopodobnie udałoby się jej tam dotrzeć w ciągu kilku dni,

a przynajmniej tak jej się wydawało, biorąc pod uwagę czas, jaki zajęła jej podróż do Zimowego Pałacu.

Czy naprawdę by to zrobiła? Była gotowa samotnie ruszyć przez królestwo tylko po to, by znaleźć i skonfrontować się z Fiyonem?

– Muszę się zastanowić – stwierdziła po chwili, puszcżając dłonie Yrsy.

– Jak sama powiedziałaś, nie masz dużo czasu, więc myśl szybko.

– Przyjaciółka wstała i nalała do filiżanki gorącą herbatę. – Jeśli zdecydujesz się jechać, jestem gotowa ci pomóc.

– Podejrzewam, że wybranie powozu i poproszenie o wycieczkę nad ocean nie wchodzi w grę?

Yrsa parsknęła.

– Kompletnie oszalałaś. Jego wysokość ma cię na oku. Zapewne możesz wyjść na spacer, ale daleka podróż nie wchodzi w rachubę.

Widząc, że Antoinette wciąż siedzi nieruchomo przy stole, Yrsa samodzielnie nałożyła jej dwa cienkie naleśniki na talerz i posmarowała je powidłami, niemalże wciskając jej sztucce do ręki.

– Obawiam się, że do obiadu musisz podjąć decyzję – oznajmiła i zostawiła przyjaciółkę samą.



Ledwie Antoinette zdążyła się ubrać, do pokoju wpadła cała chmara ludzi. Grupę prowadziła pani Oesterberg. Pospiesznie przedstawiła dworskiego krawca i szwaczki. Jedną z przybyłych okazała się Elsje, prawa ręką ukochanego krawca królewskiej pary, a także bliska przyjaciółka Behuli, kobieta, którą Antoinette uważała za drugą matkę. Rozpaczliwie próbowała pochwycić jej spojrzenie, lecz Elsje stanowczo wpatrywała się w podłogę. Nie wykonała w jej stronę żadnego gestu, który świadczyłby o tym, że żywiła do niej ciepłe uczucia.

Najpierw zamknięto Antoinette w sypialni, by zdjąć z niej miarę i zapytać, jakie stroje chciałyby nosić. Nie zdążyła odpowiedzieć, bo do rozmowy włączyła się żywo pani Oesterberg:

– Korona życzy sobie, by panna Corvidae podtrzymywała tradycję i nosiła wyłącznie czarne stroje. W kwestii materiałów i dodatków zaufamy pańskiemu doświadczeniu – zwróciła się do krawca, a on uklonił się z wdzięcznością, całkowicie ignorując fakt, że kobieta, do której kierował swoje pytanie, mimo wyższej pozycji nie miała okazji odezwać się słowem.

Antoinette podążyła tęsknym spojrzeniem za Elsje, która zostawiła mierzenie drugiej krawcowej, a sama spisywała podawane przez nią wymiary. Zachowywała się tak, jak gdyby nigdy nie zamieniły ze sobą słowa. Była zła, bo dowiedziała się o kłótni z Behulą? A może jej uszu dobiegła jakaś plotka...

Antoinette nie miała wiele czasu, by się nad tym zastanowić, bo ochmistrzyni poprowadziła ją z powrotem do salonu, gdzie na jednej z kanap siedziała kobieta w średnim wieku o jasnych włosach i lekko skośnych oczach. Gdy się podniosła, czubek jej głowy znajdował się mniej więcej na wysokości ramion Antoinette. Miała na sobie długą do ziemi, krwistoczerwoną szatę z szerokimi rękawami.

– Elora Sylyvan, główna sekretarz Uniwersytetu Krisgaldardzkiego – przedstawiła się i pokłoniła. – Dziękuję za przyjęcie.

Antoinette uznała, że nie warto informować kobiety o tym, że to nie ona zorganizowała to spotkanie, więc tylko kiwnęła jej głowę.

Gdy obie zajęły miejsca na sofach, pani Oesterberg wycofała się pod drzwi, złożyła ręce i wbiła wzrok w podłogę. Nie zamierzała opuszczać pokoju.

– Proszę mi wybaczyć moje nieświeże spojrzenie – odezwała się uczona. – Podróż tu zajęła mi całą noc. Wyruszyłam zaraz po tym, jak otrzymaliśmy list.

Według wyliczeń Antoinette ktoś musiał nadać wiadomość do Krisgaldaru chwilę po tym, jak ona i Fiyonn przekroczyli próg Gniazda. Korona zadziałała błyskawicznie.

– Jestem naprawdę wdzięczna – odparła Antoinette niepewnie.

Sylyvan uśmiechnęła się dobrotliwie. Milczała przez chwilę, jak gdyby oczekiwała, że jej rozmówczyni coś dopowie, lecz widząc, że cisza się przedłuża, sama podjęła się zadania prowadzenia rozmowy.

– Z pewnością wielu uczonych chciałoby dostąpić zaszczytu, by dzielić się z panią swoją wiedzą, ale wydaje mi się, że mam w głowie

najlepszego kandydata...

Zamyślona Antoinette nie zrozumiała niemal niczego z przemowy Sylyvan. Ta opowiadała o jakimś mężczyźnie, który ma duże doświadczenie w udzielaniu lekcji, a na dodatek zna się doskonale na historii Tesarythu i wykłada geografię północy. Kiwała jedynie głową, a na koniec powiedziała, że wszystko brzmi doskonale i jest wdzięczna, że mogły się spotkać.

Ledwo Sylyvan zdążyła opuścić jej apartament, w drzwiach stanął mężczyzna odpowiedzialny za dekorowanie wnętrza i renowacje przeprowadzane w pałacu. W porównaniu do uczonej sprawiał wrażenie lekko zirytowanego, jakby wizyta tu przeszkodziła mu w innych obowiązkach. Zadał kilka prostych pytań dotyczących wystroju, lecz gdy okazało się, że Antoinette nie ma żadnych pomysłów na zmiany, ukłonił się i podziękował za jej czas. Magia zareagowała syknięciem.

Antoinette podniosła się z sofy, lekko prężąc plecy, by rozciągnąć zastawę od siedzenia mięśnie, gdy podeszła do niej ochmistrzyni.

– To jeszcze nie koniec – rzuciła, zastawiając jej drogę.

Kobiety mierzyły się przez chwilę spojrzeniami. Antoinette była od niej o głowę wyższa, lecz to nie miało znaczenia. Czasem łapała się na tym, że w jej myślach to wciąż ona była podwładną pani Oesterberg, a nie odwrotnie. O wiele łatwiej było jej grać pewną siebie Kruczą Wiedźmę przed jej wysokością czy uczoną z uniwersytetu niż przed kimś, kto wydawał jej polecenia przez całe życie. Kimś, kto jeszcze do niedawna mógł uderzyć ją bez słowa i ukarać, odsyłając bez kolacji do zimnego pokoju w wieży.

Pojedynek spojrzeń przerwało delikatne pukanie w drzwi. Obie odwróciły głowy w tym samym momencie. Do pokoju wszedł kapłan, ten sam, który od zawsze odprawiał modły w pałacowej świątyni. Ostatnim razem Antoinette widziała go w dniu, w którym rozpoczęła służbę u Fiyonna. Bezsenność skierowała ją wtedy do kaplicy, by zmówić krótką modlitwę.

– Proszę o wybaczenie, jeśli przychodzę w złym czasie.

Mężczyzna pokłonił się nisko i najwidoczniej nie miał zamiaru się wyprostować, póki ktoś mu na to nie pozwoli. Antoinette szukała słów, którymi mogła się posłużyć w tej chwili, by brzmiały poważnie i łagodnie jednocześnie.

– Nie może być mowy o przebaczeniu. Nikt nie zrobił niczego złego – odezwała się w końcu, starając się przybrać ten sam wyraz twarzy, którym raczyła wszystkich Ingvild.

Złożyła przed sobą ręce, gotowa, by zaprezentować się przed kapłanem jako godna następczyni Xanthe Corvidae, przez co lekko szturchnęła ochmistrzynię, która obdarzyła ją krótkim, acz ostrym spojrzeniem, mówiącym, że Antoinette powinna zostać za to zganiona. Ale pani Oesterberg nie miała już nad nią żadnej władzy.

– Proszę, usiadźmy – powiedziała Antoinette, wskazując kapłanowi sofę.

Ponownie nie była pewna, z jakiego powodu odbywało się to spotkanie, lecz postanowiła grać swoją rolę najlepiej, jak potrafiła. Założyła, że kapłan bardzo szybko wyjaśni jej cel swojej wizyty, podobnie jak zrobiła to uczona z Krisgaldaru, a wtedy będzie jej o wiele łatwiej.

I tym razem ochmistrzyni nie opuściła pokoju. Antoinette nie łudziła się, że po całej tej sesji spotkań kobieta nie uda się prosto do królewskiego apartamentu, by opowiedzieć o wszystkim, co zaobserwowała.

– Odkąd tylko do stolicy dotarła wieść o Córce Moiry, nalegałem, by móc się z panią spotkać. Bardzo długo nie otrzymywałem odpowiedzi w tej kwestii, bowiem Korona twierdziła, że nie zna terminu pani przybycia do Gniazda – zaczął spokojnie. – Składałem więc prośbę za prośbą, mając nadzieję, że zostaną one potraktowane priorytetowo. Jak się okazało, moje oczekiwania nie zostały do końca spełnione.

– Nie miałam wpływu na kolejność widzeń – odezwała się Antoinette głosem zabarwionym skrucą. – Nikt wcześniej nie poinformował mnie o pańskiej chęci spotkania.

Kapłan machnął ręką i pokręcił głową.

– W tej chwili to już nie ma znaczenia. Czerpię radość z faktu, że jest mi dane siedzieć przed tobą, pani.

Na krótką chwilę zapadła między nimi cisza, w trakcie której mężczyzna zmierzył Antoinette wzrokiem. Nie był to jednak ten rodzaj spojrzenia, którym lustrował ją Fiyonn przed spotkaniem z baronem Fhenwickiem. Nie oceniał jej. W jego oczach było coś,

czego Antoinette nie potrafiła nazwać. Tak jakby patrzył na nią jak na obraz, który próbował zrozumieć.

– Chciałbym powiedzieć, że panią pamiętam, ale przez pałacową kaplicę przewija się tyle osób... Na szczęście plotki umożliwiły mi poznanie pani imienia. – Uśmiechnął się, po czym skłonił głowę. – Proszę mówić mi Vidar. Nie posiadam tytułu, którym mógłbym się posługiwać.

Antoinette nie pamiętała, by jakikolwiek inny kapłan zajmował się kaplicą w Gnieździe. Był w pałacu od zawsze. Z drugiej strony Vidar nie wyglądał staro. Na pierwszy rzut oka mógł mieć około trzydziestu kilku lat. Cerę miał gładką, głowę ogoloną, a wokół oczu zebrało mu się trochę zmarszczek, które uwidaczniały się wtedy, gdy mówił.

– Po pani minie wnioskuję, że powinienem w końcu zdradzić, dlaczego tutaj jestem. – Antoinette skarciła się w duchu. Powinna trochę lepiej udawać. – Mając w pamięci, że pozycja Kruczych Wiedźm w dawnym Tesarycie była... dość szczegółowa, przybyłem, by ustalić zakres pani obowiązków jako reprezentantki naszej wiary. Otrzymałem zgodę z Vande Sjel, by przeprowadzić tę rozmowę w imieniu Świątyni.

Antoinette nigdy nie była szczególnie wierząca. Nie tak jak Fiyonn. Obserwowała go przez te zimowe miesiące, które spędzili razem, jak niemal każdego dnia modlił się w ciszy i w pełnym skupieniu. Słuchała, gdy mówił o wierze i pokrótce wspominał o traktatach, które powinna znać. *Ale na to przyjdzie jeszcze czas. Później, powtarzał.*

– Córy Moiry pełniły rolę pośredniczek między Koroną i Świątynią, jednocześnie reprezentując obie instytucje w zależności od sytuacji. Znajdowały się niemal na samym szczycie świątynnej hierarchii, ale podejmowane przez nie decyzje nie zawsze uznawano za ważniejsze od głosów Uświęconych Matek i Ojców. W tym samym czasie były doradczyniami rządzących. – Venn zrobił pauzę, po czym spuścił wzrok. – Proszę mi wybaczyć, jeśli mówię o oczywistościach.

– Nie, nie, proszę kontynuować.

– Zdaję sobie sprawę z wielkiej wiedzy arcyksięcia na temat wiary, zakładam więc, że o wielu kwestiach już zdążył pani powiedzieć.

Głosy mruknęły cicho, nie zdawały się jednak zaniepokojone. Wręcz przeciwnie. Do tej pory reagowały w ten sposób tylko na obecność Fiyonna. Najwidoczniej pod jego nieobecność wystarczyło, by ktoś o nim wspomniał. *Arcyksiążę*, powtórzyła w myślach Antoinette. Jedno słowo, a tak wiele mówiło o poglądach kapłana.

– Od dawna jest blisko związany ze Świątynią, a jego zainteresowania na temat natury magii są pogłębione latami studiów. Niektórzy twierdzą, że gdyby Los wybrał dla niego inną drogę, doskonale odnalazłby się w Świątyni. – Vidar uśmiechnął się pod nosem. – Dlatego też zupełnie nie martwię się o pani przygotowanie.

Antoinette miała wrażenie, że coś jest nie do końca w porządku. Po krótkiej chwili ożywienia jej magia milczała, lecz ona sama czuła niepokój. Nie wydawało jej się, by mężczyzna karmił ją półprawdami, które nie alarmowały głosów. Ale coś w tonie jego głosu oraz w sposobie, jakim na nią patrzył, sugerowało, że czuł się w jej towarzystwie niekomfortowo. Czy naprawdę kapłan przyszedł tu tylko po to, by porozmawiać z nią o roli Kruczycy Wiedźm w przeszłości? Większość z tego, o czym mówił, już słyszała i to niekoniecznie od Fiyonna. Rozumiała, że w związku z powrotem rodu Corvidae sytuacja w całej dworskiej hierarchii musiała się zmienić, a większość będzie oczekiwać od Antoinette tego, co od jej przodków, jednakże...

– Pani Oesterberg – odezwała się nagle. Kierowała się wyłącznie intuicją, niczym więcej. – Może nas pani na chwilę zostawić?

Gdy Antoinette odwróciła głowę, by spojrzeć na kobietę, ujrzała malujący się na jej twarzy szok. Kompletnie się tego nie spodziewała. Nie były same, więc ochmistrzyń nie mogła zignorować jej polecenia.

– Jeśli panna Corvidae sobie tego życzy – dodał Vidar i złożył ręce na kolanach.

Nie miała wyjścia. Pani Oesterberg zacisnęła usta, po czym dygnęła szybko i opuściła pokój, dzwoniąc kluczami.

– Można było się spodziewać tego, że szybko znajdzie się pani pod nadzorem Korony – rzekł kapłan. Jego głos się zmienił. Mówił ciszej, ale pewniej.

– Odkąd przekroczyłam próg Gniazda, nie spuszczają ze mnie oka.

Antoinette niemal szeptała. Chciała się uśmiechnąć, gdy to mówiła, by całość zabrzmiała, jakby cieszyło ją to małe zwycięstwo odniesione przeciwko ochmistrzyni. Pojęła jednak, że wcale nie było jej do śmiechu.

– Nie jestem do końca pewien, czy pojmuje pani w pełni swoje położenie. – Vidar nachylił się, a spojrzenie błękitnych oczu w pełni skupił na Antoinette. – Znalazła się pani w samym centrum burzy, pomiędzy dwiema ścierającymi się siłami.

Gdy pokiwała głową, kontynuował:

– Będę się streszczał, by pani strażniczka nie sprowadziła tu kogoś, kto umożliwi jej wejście z powrotem do pokoju. – Wziął głęboki wdech. – Chcę, by wiedziała pani, że nieważne, jaką podejmie decyzję, jej konsekwencją będzie eskalacja konfliktu, który trwa od lat i nigdy nie gaśnie. Pani głos będzie się liczył, szczególnie pośród ludu. To zwykli ludzie czekają na cud najdłużej. To dla nich jest pani symbolem, nie dla arystokratów ani dla rządzących. Córy Moiry były sercem Tesarythu. Stały między Koroną i Świątynią oraz między ludem i Wielkimi Rodami. Reprezentowały wszystkie te strony, starając się łączyć ich interesy. Ale w tej sytuacji... Pani decyzja będzie decyzją ludu. I nie będzie można jej zignorować.

– Czy jest coś, co sugerujesz? – zapytała ostrożnie Antoinette.

Starła się nie panikować, nie mogła teraz stracić głowy. Trudno było jednak zignorować wrażenie zaciskającej się wokół jej szyi pętli. To wszystko działo się za szybko.

– Nie jestem tu, by cokolwiek sugerować. Pragnę tylko pani uświadomić, by patrzyła na wszystko trochę szerzej niż do tej pory.

– Czego więc pragnie lud? – rzuciła cicho.

Kapłan zaśmiał się gorzko.

– Bezpieczeństwa. Ciepłego domu. I to daje im jego wysokość. Przynajmniej na razie. Ale chcą też w spokoju chodzić po ulicach z pełnym brzuchem.

Spojrzenie Vidara mówiło wiele.

Obojętnie, co wybierze, nie uda jej się wszystkich zadowolić.

Rozdział 4

SEBASTIAN

Wspomnienia z wojny przeszywały go jak włócznie.

Znowu przemierzał pole bitwy. Miał wrażenie, że znajduje się na granicy Nyrry i walczy o każdy centymetr ziemi. Odpychał przeciwników mimo braku sił. Tym razem jednak nie chodziło o pozbycie się wroga, bo to zadanie zostało wykonane. Chciał znaleźć ją.

Biegł przed siebie, nie mając pojęcia, skąd wie, że zmierza w odpowiednim kierunku. Niesiony gniewem i przerażeniem omijał kolejne stopy ciał. Na twarzy osiadł mu popiół. Świat tonął w spowalniającej go szarości, a każdy kolejny krok był pełen bólu. W pewnym momencie poczuł, że nie da rady dalej biec. Zatrzymał się, próbując złapać oddech, tak jak przed laty, gdy wszechogarniająca śmierć przygniatała go swoim ciężarem. Omiótł wzrokiem leżących pod jego stopami ludzi, ale nie potrafił skupić się na ich twarzach. Jego wspomnienia nawiedzało zbyt wiele pustych spojrzeń. Pochwycenie kolejnych dostarczyłoby mu zbyt wielkiego cierpienia, stworzyło nowe koszmary...

– Bash!

Odwrócił się tak szybko, że świat wokół zawirował. Stała tuż obok niego, zgarbiona i wystraszona. Ubrania miała poszarpane, brudne od błota oraz popiołu, który był także na jej włosach i policzkach. Bała się.

– Jestem tu – wyszeptał.

– Nie – jęknęła. – Spóźniłeś się.

– Jestem tu teraz, Ro... – Nie był w stanie wypowiedzieć jej imienia. Uwięzło mu w gardle, nie chciało opuścić ust. Poczuł, jak panika przelewa się przez jego ciało, głowa pęka z bólu, a serce bije w szaleńczym rytmie.

– To twoja wina – zapłakała, lecz zamiast łez spod jej powiek popłynęła krew. Gdy otworzyła usta, czerwień wydostała się również spomiędzy sinych warg. Rose opadła na ziemię powoli jak popiół, a mimo to nie zdążył jej złapać. Było już za późno, gdy padł na kolana, by ją ratować. Rozpadała się na jego oczach, targana cierpieniem. Krew była wszędzie – na jej twarzy, piersi, ramionach. Barwiła ziemię, na której leżała.

– Pozwoliłeś na to – wychrypiała Rose, gdy wziął ją w ramiona. – To twoja wina.

Zamknął oczy. Pod powiekami widział tylko czerń, poza tym czuł ból i żal. Kiedy je otworzył, już jej nie było. Patrzył na swoje zakrwawione, drżące dłonie. W panice próbował je wytrzeć, tarł nimi o spodnie i koszulę, jednak na nic się to zdało. Chciał uciekać, chciał ją odnaleźć, jednak głos znów go zawiódł. Nieważne, jak bardzo wycężał płuca, nie był w stanie wymówić jej imienia.

– Rose?! – wrzasnął w końcu, wyrывая się z koszmaru.

Potrzebował kilkunastu ciężkich oddechów, by zrozumieć, że znajduje się w Glandirze. Poranne światło przesączało się przez otwarte okiennice, delikatna bryza ochładzała jego spoconą twarz, a sen odchodził, odsłaniając tępy ból ogarniający jego ciało. Długo siedział na twardym łóżku, próbując się uspokoić. Po kolei skupiał wzrok na każdym otaczającym go przedmiocie – szorstkiej pościeli, drewnianej ramie łóżka, szafce zastawionej lekami, stole stojącym pod oknem oraz leżącej na podłodze zmiętej koszuli. Zrzucił ją przez sen? A może zrobił to zaraz po wejściu do pokoju? Nie był w stanie sobie przypomnieć, kiedy dokładnie się tu znalazł, ile czasu spał ani ile czasu minęło od walki. Ból w nodze kazał mu sądzić, że to wszystko wydarzyło się przed chwilą. Zrzucił z siebie okrycie i obejrzał zabandażowaną łydkę. Na samo wspomnienie momentu, w którym go zraniono, poczuł narastający gniew. Towarzyszył Rainie w trakcie pojmania Gertranda. Po wydarzeniach na błoniach

Glandiru nie mieli czasu na żałobę. Musieli oczyścić pałac. Gdy było już prawie po wszystkim, a jedynym zadaniem było pozbycie się zdrajcy, dał się ponieść emocjom. Stracił czujność. Dopiero później, gdy James odciągnął go z dala od walki w sali tronowej, zrozumiał, że powinien dziękować bogom. Tę chwilę nieuwagi mógł przypłacić życiem.

Nie czuł jednak wdzięczności ani ulgi.

Zsunął zdrową nogę na podłogę i próbował to samo zrobić z drugą. Zacisnął zęby, gdy mięśnie przeszył ból. Zanim zdążył złapać równowagę, oparł się o kant szafki, która przewróciła się z hałasem. Padł na ziemię wśród rozbitego szkła i rozlanych lekarstw. Wtedy też drzwi do pokoju otworzyły się i do pomieszczenia wpadł Miron.

– Kapitanie? – spanikowany dopadł boku Sebastiana, by pomóc mu się podnieść. Ten jednak odepchnął jego rękę. – Kapitanie, proszę...

– Daj sobie spokój z tym kapitanem, Miron – warknął Bash przez zaciśnięte zęby i jakimś cudem sam zebrał się z ziemi. Oparł się plecami o ramę łóżka i patrzył, jak bandaż przesiąka krwią.

Miron nadal kucał tuż obok, jego twarz zdradzała troskę, a spojrzenie przepelniał żal. Przez chwilę nic nie mówił, tylko obserwował Sebastiana próbującego złapać oddech.

– Mam wezwać lekarza? – zapytał w końcu.

– Podaj mi opatrunki – Bash zignorował jego pytanie i zaczął odwiązywać bandaże.

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł... – mruknął Miron, ale i tak to zrobił.

– Po co przyszedłeś? – sapnął Sebastian, odklejając od rany skrawek materiału wilgotnego od krwi i osocza. Rozcięcie było paskudne. Ciągnęło się od kolana aż do kostki, było głębokie i gorące, pulsowało w rytm tętna nawet mimo wielu szwów spajających skórę. Gdy polał skórę wodą wymieszaną z lekarstwem, rana spłynęła pianą, a ból zatrząsnął nim do tego stopnia, że na chwilę pociemniało mu przed oczami. Gdyby Miron w ostatniej chwili nie złapał go za nadgarstek, prawdopodobnie rozbiłby naczynie i zrobił sobie przy tym jeszcze większą krzywdę.

– Królowa zwołała spotkanie – wyjaśnił chłopak, zabierając się za oczyszczanie rany. Bash już nie protestował. Pozwolił przyjacielowi zająć się opatrunkami. – Udało jej się dotrzeć do wszystkich członków Rady, chcąc ocenić straty.

– Straty... – prychnął. – Nie trzeba spotkania, by określić, jak wiele straciliśmy.

– Korona musi zacząć działać. Chaos nie powinien trwać zbyt długo.

Zbyt długo?, powtórzył w myślach, próbując jednocześnie przypomnieć sobie, ile czasu minęło. Za oknem było już jasno, ale nie był w stanie określić pory dnia.

– W porządku, pomóż mi wstać – poprosił Mirona, wyciągając do niego rękę. Gwardzista ujął ją mocnym i pewnym chwytem, a następnie podciągnął Sebastiana do góry. Nogę przeszyły kolejne igły bólu, które nie ustąpiły, nawet gdy usiadł ciężko na łóżku.

Miron pomógł Bashowi się ubrać, czym wprowadził go w zakłopotanie. Nie lubił tego uczucia wstydu wynikającego z bezradności. Niemożność wykonania tak podstawowych czynności, jak założenie spodni czy butów, sprawiała, że Bash czuł się niezwykle bezbronny. Prawdziwe poniżenie jednak nadeszło dopiero w momencie, gdy Miron podał mu drewnianą kulę i zaproponował ramię. Sebastian wiedział, że bez tego nie uda mu się dojść do królewskich komnat, jednak mimo to nie był w stanie uciszyć swojej urażonej dumy.

Pierwszą osobą, którą ujrzał, była Raina. Drzwi do królewskiego gabinetu stały otworem, co chwilę ktoś przekraczał jego próg. Słyszał wiele głosów, ludzie stłoczeni wokół królowej zdawali się zlewać w jedną masę. Dopiero gdy podszedł bliżej, rozpoznał członków Wielkiej Rady i kilku znajomych gwardzistów.

– W tej sytuacji wasza wysokość musi podjąć zdecydowane kroki.
– Bash dosłyszał fragment pełnej gniewu tyrady Archera Milesa. – Jeśli jeszcze dziś nie będziemy w stanie przeformować oddziałów straży Kantalaru oraz Gwardii Królewskiej, może się okazać, że całe to starcie było daremne. Nie wiedząc, po której stronie stoją ludzie Korony, nie będziemy w stanie zapewnić spokoju w stolicy.

– Wyślij zatem swoich ludzi, lordzie Miles – odparła Raina, opierając się o blat zasłany listami i raportami. – Jak inaczej możemy

sprawdzić lojalność gwardzistów, jeśli nie za pomocą przesłuchań?

– Z całym szacunkiem, ale to zajmie wiele dni – wtrącił się Ewan Bancroft. – W tym czasie wszyscy tutaj obecni pozostaną bez ochrony. Nie mówiąc już o osłabieniu straży więziennej.

– Generał Lashan zaoferował pomoc w ochronie Glandiru – odezwał się Bash, gdy zbliżył się do zebranych.

Na dźwięk jego głosu wszyscy spojrzeli na niego, przez co był w stanie zaobserwować pełną paletę emocji. Od niezadowolonych Archera Milesa i Ewana Bancrofta, przez wyraźnie zmęczonych gwardzistów, aż do znudzonego Hershela Lashana, który jako jedyny siedział na krześle odrobinę z boku. Na twarzy Rainy zaś dostrzegł ulgę, jakby jego przybycie zdjęło z jej pleców pewnego rodzaju ciężar.

– Wspaniale – parsknął Miles. – Gdzie zatem podziewa się generał Kamaal Lashan? Jeśli poważnie traktuje swoje obietnice, powinien tu być, by ustalić szczegóły.

– Jest dokładnie tam, gdzie powinien się znaleźć – odezwał się Hershel, zakładając nogę na nogę. Z jego twarzy biły niesmak i znużenie. – Stara się uprzątnąć bałagan powstały na błoniach.

– Którego sam jest sprawcą...

– Nie w mniejszym stopniu niż królewscy gwardziści stojący po stronie Gertranda. – Raina przerwała Milesowi, zanim powiedział więcej.

– I bestie, które wasza wysokość ściągnęła na nasze głowy.

Miron poprowadził Basha w kierunku jednego z wolnych krzeseł tuż obok Hershela Lashana. Lord przywitał się z nim skinieniem głowy, jakby był wdzięczny za jego przybycie.

– Te bestie, jak je nazywasz, lordzie Miles, sprawiły, że możesz wolno chodzić korytarzami Glandiru oraz przebywać w obecności swojej królowej. Zarówno jej, jak i smokom należy się za to szacunek i wdzięczność – stwierdził Bash, oddając kulę Mironowi. – To samo tyczy się generała Lashana, bez którego odzyskanie Glandiru spod władzy uzurpatora nie byłoby w ogóle możliwe.

– Ale za jaką cenę? – warknął Miles.

– Za cenę potężnego sojuszu, który mam zamiar zawrzeć z przywódcą smoczycy jeźdźców – rzuciła lodowato Raina.

Bash posłał jej znaczące spojrzenie. Nie było wśród nich Vasa i Veera, podejrzewał więc, że bracia przygotowywali się do podróży do Manstaru, by powiadomić Grattza o przebiegu starcia. Raina chciała z nim o tym porozmawiać, co do tego nie było wątpliwości. Po wydarzeniach na błoniach plotki o istnieniu smoków na pewno powędrowały już poza granice Kantalaru, dlatego też potrzebowali ustalić wspólny front. Omówić, w jaki sposób przekonać mieszkańców Elendoru do smoków i ich jeźdźców, jednocześnie zapewniając im bezpieczeństwo.

– Jeśli mogę służyć radą, wasza wysokość... – zaczął usłużnym tonem Hershel Lashan.

– Tak?

– Proponowałbym w pierwszej kolejności skupić się na sprawach lokalnych, zostawiając kwestie sojuszy na następne spotkanie. Obawiam się, że przegrupowanie gwardzistów nie jest naszym jedynym problemem.

– Czym zatem powinniśmy się zająć? – podjął Bash.

Lashan wyprostował się na krześle i poprawił poły dopasowanej marynarki. Sądząc po stanie jego ubioru, Bash wywnioskował, że Hershel nie brał udziału w żadnym starciu. A może się mylił i lord Lashan zdążył po prostu szybko doprowadzić się do porządku?

– Przygotowałem listę rzeczy, nad którymi warto się pochylić – zaczął, wyciągając rękę do jednego ze strażników stojącego nieopodal. Ten podał mu kremowy zwój. Lashan rozłożył przygotowaną listę i po krótkim zerknięciu na swoje notatki mówił dalej. – Przede wszystkim należy zebrać raporty od gońców, którzy zdążyli już wrócić po rozgłoszeniu wieści o wydarzeniach w stolicy. Będziemy dzięki temu wiedzieli, jak lud zareagował na konflikt. Kolejną kwestią będzie sprawdzenie stanu skarbcza, zapewnienie ciągłości dostaw żywności i leków, poznanie dokładniejszej liczby rannych i poległych. Czekają nas też wybranie nowego namiestnika, sąd dla zdrajców, wysłanie listów gończych...

Znaczące spojrzenie, które posłał Rainie, ścisnęło Bashowi żołądek.

– Sądziłam, że list gończy za Scorpionovem został już wysłany? – zapytała wyraźnie spięta królowa.

– Niestety nie. Z wieści, które otrzymałem, wynika, że informacja nie dotarła do posłańców. Poza tym istnieją pewne przeszkody formalne...

Widząc, jak Raina mruży oczy i zaciska szczęki, Hershel zawahał się. Zerknął nerwowo na Archera Milesa.

– Nie jesteśmy w stanie wysłać tak poważnego listu gończego bezpodstawnie. Potrzebujemy dowodów, zeznań świadków – wyjaśnił Miles. – Jeśli zaś chodzi o nagrodę, musimy najpierw dokładnie sprawdzić stan skarbcza, by określić, czy Koronę stać na taki wydatek.

– Sugerujecie, że moje słowa nie są wystarczającym powodem, by ukarać zbrodniarza, który zamordował moją siostrę? – warknęła Raina.

W pomieszczeniu zapanowała niezręczna cisza. Bash czuł ciężar słów, które tak bezpośrednio wypowiedziała Raina. Jego serce przecięły poczucie winy i ból.

– Absolutnie nie o to chodzi, aczkolwiek... – zaczął Lashan.

– Musimy działać zgodnie z prawem – przerwał mu Miles. – Prawo obowiązuje każdego. Władcę, lorda, prostego człowieka oraz zdrajców. Dlatego też sąd nad lordem Gertrandem musi przebiec w odpowiednich okolicznościach. Nie możemy doprowadzić do sytuacji, w której proces, bądź jego brak, zostanie uznany za samosąd.

– Jakie są zatem pańskie propozycje, lordzie Miles?

– Wyznaczenie daty rozprawy. Sugeruję również już teraz ustalić, kto będzie brał w niej udział. Unikniemy w ten sposób zamieszania. Oczywiście – kontynuował – służę w tej kwestii swoją wiedzą. Byłem w Glandirze przez cały czas, jestem więc w stanie dostarczyć informacji na temat działań lorda Gertranda pod nieobecność waszej wysokości. Jeśli chodzi zaś o sekcję i list gończy...

Zawahał się, jakby bał się reakcji Rainy na jego propozycję. Na jej twarzy jednak malował się kamienny spokój. Bash żałował, że lord Miles skupił się na niej. Gdyby jego spojrzenie spoczęło na Sebastianie, dostrzegłby to, czego prawdopodobnie szukał: gniew oraz oczekiwanie. Jedno nieodpowiednie słowo byłoby w stanie złamać jego wszystkie bariery i sprowokować Basha do zażartej dyskusji.

– Mogę służyć za świadka i zająć się zebraniem rady lekarskiej, która podejmie się przeprowadzenia sekcji z należyтым szacunkiem, w zgodzie z tradycją.

– Jest pan wybitnie zaangażowany w sprawy Korony, lordzie Miles – zauważył Bash. Tamten obdarzył go pogardliwym spojrzeniem podszytym zdziwieniem. – Czy nie powinniśmy starać się o pewnego rodzaju różnorodność w wydawanych przez nas sądach?

– Przez nas, lordzie Pisceriov? Z tego, co wiem, nie jest pan członkiem Wielkiej Rady, tylko kapitanem straży książęcej, co w obecnej sytuacji stawia pana w sytuacji... bezrobocia?

Bash poczuł na sobie spojrzenia wszystkich zebranych, co tylko dodatkowo podburzyło jego i tak zszargane nerwy. Cały się spiął. Był gotowy zerwać się na równe nogi i wrzasnąć, jednak ból skutecznie go przed tym powstrzymał.

– Skoro już o tym mowa. – Raina odwróciła uwagę zebranych od napiętej atmosfery. – Podjęłam decyzję dotyczącą wyboru namiestnika. Uznałam, że ze względu na wzorową służbę Koronie, a także zasługi w trakcie ostatnich miesięcy, pozycja ta należy się lordowi Pisceriovowi jak nikomu innemu. Mam nadzieję, że wybór ten nie spotka się ze sprzeciwem, tym bardziej że znajdujemy się w trudnej sytuacji i przyda się w pałacu ktoś, kto zajmie się koordynacją działań, gdy ja będę zajęta.

Mówiąc to, Raina po kolei skupiała się na poszczególnych członkach spotkania. Hershel Lashan przyjął jej słowa pełnym aprobaty kiwnięciem głowy, zebrani wokół nich strażnicy i żołnierze zdawali się po prostu akceptować jej decyzję w ciszy. Archer Miles zmrużył wężowo oczy. Ewan Bancroft z kolei, ku zdziwieniu Basha, odsunął się totalnie na bok. Nie zauważył, by lord wykonał jakiś ruch w trakcie dyskusji. Po prostu siedział i obserwował rozwój wydarzeń.

Bash nie miał pojęcia o decyzji Rainy. Był więc zszokowany i zagubiony, gdy dotarł do niego sens jej słów. Niewiele myśląc, zsunął się z krzesła i przyklęknął na zdrowej nodze.

– Wasza wysokość – wysapał, próbując wytrzymać ból. Pochylił nisko głowę na znak szacunku, ale również po to, by nikt nie dostrzegł słabości malującej się na jego twarzy. – Przynajmniej ci służyć radą, siłą i życiem, które oddaję w twoje ręce – wypowiedział te same słowa, co kilka lat wcześniej, gdy dostąpił zaszczytu

zostania kapitanem straży książęcej. Raina przeszła przez pomieszczenie i delikatnie położyła dłoń na jego głowie.

– Wstań, przyjacielu – powiedziała tonem, który pasowałby do wielkich komnat i podniosłych chwil, jakby chciała w ten sposób zrekompensować mu przypadkowość tak ważnego mianowania. W zwyczajnych okolicznościach wybór namiestnika był ważnym wydarzeniem, któremu towarzyszyła wzniosła ceremonia i pełen przepychu bankiet. Bash wiedział, że nie mógł na to liczyć. W pewnym sensie nawet tego nie oczekiwał, jako że jakaś jego część czuła się niegodna zaszczytu, który go spotkał.

– Skoro choć jedną rzecz udało nam się ustalić... – powiedział cicho Hershel Lashan. – Możemy chyba rozdzielić zadania i zająć się ich realizacją? Jako że wybieram się do Kantalaru, mogę zacząć od sprawdzenia płynności dostaw. Potem przyjrę się koordynacji działań mojego brata. Jutro wrócę z pełnym raportem.

– W porządku. Lordzie Miles? – powiedziała Raina, ignorując wyraźne niezadowolenie Archera. – Proszę sprawdzić stan skarbcza, a także zwołać radę lekarską. Najszybciej, jak to możliwe.

– Oczywiście, wasza wysokość – mruknął, składając płytki ukłon.

Bash obserwował, jak Bancroft wymyka się z pomieszczenia z resztą zebranych, mimo że Raina nie przydzieliła mu żadnego zadania ani nie nakazała wyjść. Zdawała się zupełnie ignorować jego obecność. Gdy tylko strażnicy zamknęli drzwi, od razu się rozluźniła, opadła bezwładnie na krzesło i wzięła kilka głębokich wdechów, jakby cała ta rozmowa zabrała jej sporo siły.

– Raino, czy ty w ogóle spałaś? – zapytał Bash. Z pomocą Mirona pokuśtykał w stronę stołu.

– Nie miałam na to zbyt wiele czasu – westchnęła, pochylając się nad dokumentami. – Ciągłe z czymś przychodzą. Lista nieopłaconych towarów, skargi od lordów z całego kraju, listy z Baramundu, Palass, Terridonu... Wygląda na to, że handel kompletnie się zapadł, nasze statki nie pływają już do Svarty i Duns-town. Gertrand zrujnował nas w ciągu zaledwie paru miesięcy.

Bash sięgnął po dokumenty leżące najbliżej niego. Nazwiska na dołach stron niewiele mu mówiły, tak samo jak długie narzekania dotyczące spraw ekonomicznych i handlowych. Wiadomości od hierarchów wprawiły go w zakłopotanie. Nie pamiętał, kiedy ostatnim

razem przekroczył próg świątyni, dlatego też niepokój bijący z czytanych wiadomości o kryzysie wiary nie docierał do niego w pełni.

Z rezygnacją odłożył listy na bok i skupił się na przyjaciółce. Jak mieli sobie poradzić? Byli młodzi, zmęczeni i zagubieni. Trawiły ich żaloba i ból. Na barkach Rainy spoczywała odpowiedzialność, której ciężaru Bash nie był w stanie sobie wyobrazić. Jego rolą było pomaganie jej. Jak jednak mógł jakkolwiek jej ulżyć, kiedy ogarniała go bezsilność?

– Miron, jak wygląda sytuacja w gwardii?

– Większość gwardzistów pomaga w pałacu. Sporo pomieszczeń wymaga wysprzątania, niektóre naprawy. Nie wiedzieliśmy, czym się zająć, więc zgodnie stwierdziliśmy, że trzeba pomóc służbie – wyjaśnił. – Niektórzy brali udział w starciu z ludźmi Gertranda, ale nie jestem pewien, co się z nimi stało.

– Dowiedz się. Kapitan straży królewskiej...

– Zginął w Argadorze – wyjaśnił Miron, zanim Bash skończył pytanie. – Jego zastępca również.

– W takim razie gratuluje, zostałeś właśnie kapitanem straży królewskiej – stwierdził bezceremonialnie. – Zwołaj wszystkich, musimy ustalić warty i zapewnić bezpieczeństwo królowej.

Miron otworzył usta i wytrzeszczył oczy ze zdziwienia. Potrzebował chwili, by przetrwać słowa swojego byłego dowódcy, jednak szybko odzyskał rezon, ukłonił się i mamrocząc podziękowania, opuścił gabinet.

– Królowej... – westchnęła Raina, uśmiechając się smutno. – Tak to teraz będzie wyglądało?

– Jesteś nią, Raino. – Bash wzruszył ramionami. – Niezależnie od wszystkiego, jesteś królową, a moją rolą jest zapewnienie ci bezpieczeństwa.

Rozdział 5

ANTOINETTE

Do obiadu pozostało zaledwie kilka godzin. Czas kurczył się nieubłaganie i Antoinette musiała zdecydować, co robić. Myśl o złożeniu jakiejkolwiek przysięgi napawała ją przerażeniem. W Tesarycie obietnice i przyrzeczenia składało się wyłącznie wtedy, gdy wiedziano, że się ich nie złamie. Były one największym dowodem szacunku, miłości i zaufania. Nawet gdyby nie była obdarzona magią kłamstw, obawiałaaby się składania ślubów, których pogwałcenie mogło spowodzić na nią gniew przodków.

Wszystko wskazywało na to, że będzie musiała opuścić pałac. Ale jak to zrobić? Nie mogła po prostu wezwać powozu i ruszyć na zachód.

Antoinette doskonale знаła Gniazdo, potrafiła się w nim poruszać właściwie z zamkniętymi oczami. Jedyłą częścią, którą znała gorzej, było królewskie skrzydło. Tam bywała jako pokojowa sporadycznie. Wiedziała jednak, gdzie znajdują się boczne korytarze używane przez służbę i dokąd mogą ją wyprowadzić, kompletnie niezauważoną przez straż. Musiała tylko obmyślić, co zrobić z wartownikiem stojącym przed jej sypialnią.



– Musimy udać się do miasta i zgubić strażników – oświadczyła Yrsie Antoinette.

Przełknęła raptem kilka łyków buraczanej zupy podanej na obiad, po czym namówiła przyjaciółkę na spacer po ogrodach. Gwardzista, który strzegł wcześniej jej pokoju, poruszał się za nimi jak cień. Nie znajdował się jednak na tyle blisko, by nie mogły ze sobą rozmawiać.

– Nie mogę się nigdzie udać sama. Musiałabym więc wykorzystać jakieś zamieszanie, ale o to w Gnieździe trudno – szepnęła Antoinette. – Co innego, jeśli umknęłabym przed nimi w centrum Flugstadt.

– Dlatego trzeba będzie udać się gdzieś, gdzie możesz na chwilę zejść im z oczu – dodała Yrsa po namyśle.

Antoinette była w pełni zdeterminowana. Wiedziała, że może liczyć na Yrsę, która od zawsze była od niej o wiele odważniejsza. To ona pozwalała sobie na ostrzejsze odzywki wobec pani Oesterberg, jeśli coś się jej nie podobało. Nie obawiała się narzekać i z pewnością nie robiła tego na boku. Chciała, by jej słowa krytyki były słyszalne.

– Popołudniami po centrum kręci się wiele ludzi. Tłum powinien nam wiele ułatwić – stwierdziła Yrsa. – Nie możesz się zanadto denerwować. Wtedy będą wiedzieli, że coś kombinujesz.

Antoinette zwalczyła pokusę odwrócenia się i spojrzenia gwardziście w oczy. Była niemal pewna, że jeśli wyrazi chęć wyjścia do miasta, wraz z nią uda się cała gromada strażników, a jej protesty zostaną zignorowane.

– Jeśli nam się uda, gdzie powinniśmy iść? – zapytała Nette bezradnie.

Szły przez chwilę w ciszy.

Nagle Antoinette zatrzymała się, przez co Yrsa niemal wpadła jej na plecy.

– Co, na Niję... – mruknęła.

– Valiant – szepnęła Antoinette i chwyciła ją za rękę.

– Spokojnie. Nie zrobiłaś nic złego, możesz tędy spacerować.

Zanim zdążyły zawrócić, król spojrział w ich stronę. Obok niego stał mężczyzna w roboczym stroju, prawdopodobnie jeden z ogrodników. Mówił coś, wskazując na jeden z krzewów, lecz jego głos nie docierał do uszu Antoinette.

Valiant już ją zauważył. Nie mogła więc obrócić się na pięcie i wrócić do pałacu, bo wiadome byłoby wtedy, że go unika. Rozluźniła palce, wczepione w przedramię Yrsy, złożyła dłonie przed sobą i spokojnym krokiem ruszyła przed siebie.

Yrsa zamilkła, wcielając się w rolę posłusznej służącej, gdy podeszły bliżej. Na krótką chwilę jego wysokość ponownie skupił swoją uwagę na ogrodniku, który akurat kuczał przy krzewie i wskazywał na jego liście, po chwili jednak uniósł głowę, po czym wstał, skłonił się i odszedł. Valiant go odprawił.

W tej części ogrodu, w której przebywał król, kręciło się co najmniej dziesięciu żołnierzy. Nie wszyscy nosili na piersi tesarycki herb. Na niektórych zbrojach zamiast wizerunku kruka widniały dłonie podtrzymujące płomień – symbol Vijandy.

– Słyszałem, że miałaś intensywny poranek – odezwał się Valiant, gdy dzieliło go od Antoinette już tylko kilka kroków. – Czy sprawy poszły sprawnie?

O wszystkim przecież wiedział, pomyślała, a w odpowiedzi wzburzone głosy syknęły.

– Nie mogę powiedzieć o spotkaniach złego słowa. Następnym razem wołałabym jednak zostać uprzedzona – odparła Antoinette, nie kryjąc nuty zgrzyliwości.

Na twarz Valianta wypląnął na chwilę wyraz szczerzego zdziwienia.

– Dopilnuję więc by tak było – odrzekł. Szczerze, bo głosy milczały. – Ochmistrzyni musiała zapomnieć o dzisiejszych planach.

– Wątpię. Przeprowadziła do moich pokoi różnych gości i ani przez chwilę nie wyglądała na zakłopotaną. Wydaje mi się więc, że należy się z nią w tej sprawie rozmówić.

Po plecach przeszedł ją zimny dreszcz. Musiała trzymać emocje na wodzy. Chciała wyglądać na pewną siebie i zdecydowaną, a nie na zanadto nerwową. Rozluźniła więc zaciśnięte wargi i uniosła głowę.

– Czy jest coś, o czym powinnam jeszcze wiedzieć? – zapytała, mając na uwadze, że mógł to być dość ryzykowny ruch. Chciała się

jednak przekonać, czy jego wysokość wykorzysta tę okazję i powie jej o przysiędze, którą Antoinette miała nazajutrz złożyć. A może to szansa, aby dowiedzieć się czegoś zupełnie nowego?

– Wszystkimi kwestiami organizacyjnymi zajmiemy się jutro. Dziś nie musisz się już niczym martwić.

Nie zdążył jeszcze skończyć zdania, a głosy już szeptały. *Kłamca.*

Domyślał się więc, że jutrzejszy bal nie musi wcale przebiegać dla Antoinette w miłej atmosferze, inaczej magia nie wykryłaby kłamstwa w jego słowach.

Chyba że jeszcze tego dnia coś miało się wydarzyć.



Jeszcze zanim weszły z powrotem do pałacu, Antoinette zwróciła się do Yrsy głośno i wyraźnie, tak aby słyszeli je wszyscy gwardziści i służący gromadzący się w pobliżu.

– Chcę udać się do miasta. Przypilnuj, by przyszykowano powóz.

– Oczywiście, pani – rzuciła Yrsa, choć na jej twarzy malowała się niepewność.

Antoinette zatrzymała się na skraju ogrodu, skąd mogła obserwować dziedziniec. Przed głównym wejściem do Gniazda stały trzy powozy, a służba wypakowywała z nich bagaże podróżnych. Wszystkie należały do członków Wielkich Rodów. Na ścianie jednego z nich znajdowała się gałązka jemioli Feidlechów, na drugim srebrna dłoń Eterlanów. Trzeci z kolei należał prawdopodobnie do rodziny królewskiego namiestnika. Umieszczono na nim herb Corvusów, jednak brakowało mu złotych ozdób i granatowych szarf, które zdobiły pojazdy Korony.

Zdawała sobie sprawę, że tak spontaniczne działanie może jej przynieść kłopoty. Nie miała planu. Co z tego, że doskonale znała pałac, skoro nie mogła się w nim poruszać na własną rękę? Musiała więc zaryzykować. Ucieczka przed wartownikami, którzy na pewno się z nią udadzą, nie była jednak najtrudniejszą częścią całego przedsięwzięcia. Antoinette wciąż zastanawiała się, co powinna zrobić potem. Jak opuścić miasto? Ukraść konia? Była w długiej,

czarnej sukni, więc od razu zwróciłyby na siebie uwagę, a ponadto jej umiejętności jeździeckie były w zasadzie zerowe. Ani ona, ani Yrsa nie miały znajomości w mieście, które mogłyby wykorzystać. Sama Nette nie знаła nikogo, kto potrafiłby wyprowadzić ją poza granice Flugstadt.

Boi się, syknął jeden z głosów, a Antoinette aż drgnęła zaskoczona. Słyszała go tak wyraźnie, jakby ktoś przemawiał wprost do jej ucha. *Co, jeśli zgubi drogę? Nie wie, dokąd iść. Gdzie jest dom?* Głosy szeptały żywo między sobą, już dawno w jej głowie nie było takiego szumu. Musiała to tylko przeczekać, uspokoić się, musiała...

– Nette?

Antoinette wciągnęła z sykiem powietrze. Yrsa stała kilka kroków przed nią.

– Wszystko gotowe. Pora iść – oświadczyła służąca, lekko ściągając brwi. – W porządku?

Antoinette pokiwała tylko głową. Była zbyt zdenerwowana, by szukać odpowiednich słów.

Na dziedzińcu czekała na nią kryta dorożka ciągnięta przez dwa konie o błyszczącej kasztanowej sierści. Jeden ze strażników siedział na koźle wraz z woźnicą. Dwóch pozostałych czekało, aż Antoinette i Yrsa wejdą do środka. Po powozach arystokratów nie było już śladu.

Niebo nad Flugstadt było zachmurzone, przez co wszystko zdawało się szare i brudne. Ostatnim razem Nette była w stolicy, gdy odbywał się pogrzeb poprzedniej królowej, matki Fiyonna i Valianta. Wraz z resztą służby uczestniczyła w niekończącym się pochodzie zmierzającym do Vande Sjel, do którego ostatecznie nie udało jej się wejść. Tylko wysoko urodzeni mogli żegnać jej wysokość we wnętrzu świątyni. Otaczało ją wtedy tylu ludzi, że nie była w stanie się nawet rozejrzeć. Od tamtego momentu minęły jednak lata, wiele mogło się zmienić.

Dorożka podążała główną ulicą, która prowadziła na plac targowy, oraz dalej, do Vande Sjel. Była to ta sama droga, którą Antoinette przeszła w czasie pogrzebowego pochodu. Nie poleciała, dokąd życzy sobie być zawieziona, lecz ufała Yrsie na tyle, by o to nie pytać.

Okazało się, że woźnica zatrzymał się na placu, na środku którego stała wielka, lecz niedziałająca fontanna, otoczona drewnianymi straganami. Niemal wszystkie były zamknięte, mało kto miał cokolwiek na sprzedaż.

Antoinette wysiadła powoli i rozejrzała się. Yrsa miała rację, Flugstadt nie było puste. Nie pamiętała, by po Nijestadt, w którym była kilka miesięcy temu, krążyły tak liczne grupy ludzi.

– No dobrze, więc dokąd teraz? – zapytała cicho Yrsa.

– Nie mam pojęcia – przyznała Antoinette.

– Ja z kolei nie wiem, co zamierzasz zrobić – syknęła Yrsa, wyraźnie niezadowolona. Udawała, że poprawia woal na twarzy Antoinette, by mogły cicho rozmawiać. – Jeśli planujesz po prostu wybiec za miejską bramę, to od razu cię uprzedzę, że nie jest to najlepszy plan.

– Nie mam planu.

Yrsa westchnęła.

– Możliwe, że ja mam. Ale musisz mi zaufać.

Antoinette kiwnęła jedynie głową.

Strażnicy otoczyli ją z trzech stron – dwaj szli po jej bokach, a jeden z tyłu. Yrsa zasugerowała jej kierunek, w którym powinny podążyć, więc Antoinette powolnym, lecz pewnym krokiem ruszyła przez plac.

Instynktownie wyczuwała źródła otaczających ją ludzi i widziała nici magii, wyglądające tak, jakby się za nimi ciągnęły. Ich jasny blask rozpraszał ją tak bardzo, że obawiała się, iż za chwilę się potknie albo na kogoś wpadnie. Większość zebranych skupiła wzrok właśnie na niej. Pokazała się w mieście po raz pierwszy. Do tej pory lud mógł o niej jedynie słyszeć. Teraz w końcu ją widział. Nie zdążyła dojść nawet do centrum placu, gdy zatrzymały się przed nią dwie młode dziewczyny ubrane w zniszczone sukienki, zdecydowanie za krótkie i za cienkie, biorąc pod uwagę aktualną pogodę. Chusty owijające ich ramiona miały zapewniać im odrobinę ciepła. Oczy obu były wielkie i szkliste, a twarze wychudłe. Trzymały się za ręce i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, padły na kolana. Antoinette już była gotowa ruszyć do nich i prosić, by wstały, lecz Yrsa ją powstrzymała.

– Zostaw – szepnęła.

Gdy dziewczyny się podniosły, tylko jedna odważyła się unieść wzrok i spojrzeć na twarz Antoinette.

– Błagamy, pani, pobłogosław nas – odezwała się schrypniętym głosem. – Błagamy.

Antoinette rozchyliła wargi. Miała je pobłogosławić? Jak? Gdy spojrzała na Yrsę, prosząc niemo o pomoc, przyjaciółka subtelnym ruchem dotknęła swojego modlitewnego kamienia dwoma palcami, a następnie narysowała w powietrzu kreskę na wysokości czoła. Prosty gest, ten sam, który wykonywali zarówno kapłani, jak i zwykli ludzie w trakcie modlitwy.

Niewiele myśląc, Antoinette powtórzyła gest, zbliżając palce do czoła nieznanym. W oczach tej, która odważyła się na nią spojrzeć, pojawiły się łzy.

Dopiero gdy odeszły, kłaniając się raz za razem, Antoinette zorientowała się, jak wiele przechodniów zatrzymało się, by obserwować tę scenę. Nawet kręcący się dookoła vijandzcy żołnierze, dumnie noszący na plecach czerwone peleryny, odwracali głowy w jej stronę. Twarze niektórych gapiów wykrzywiały grymas. Inni wyglądali na zaintrygowanych, jakby bardzo chcieli do niej podejść, lecz coś ich powstrzymywało. To jasno pokazywało, kto wierzył, że miał przed sobą Córe Moiry, a kto sądził, że po placu spaceruje oszustka.

Dłonie Antoinette zrobiły się wilgotne od potu. Co powinna zrobić? Podejść do nich? Stać na środku placu i oznajmić, że magia Kruczych Wiedźm wróciła do Tesarythu? A może po prostu ich zignorować i iść przed siebie, jak gdyby nigdy nic? Cieszyła się, że jej twarz ukryta była za koronkowym woalem. Tylko dzięki niemu zebrani nie byli w stanie dostrzec jej niezdecydowania.

Nie mam na to czasu, upomniała siebie samą w myślach. Już była gotowa ruszyć, gdy usłyszała klekot końskich kopyt uderzających o bruk. Odwróciła głowę i zobaczyła, jak z głównej ulicy wyjeżdża dorożka bliźniacza do tej, którą sama tu przyjechała. Pojazd zatrzymał się koło fontanny, a z jego wnętrza wynurzyła się znajoma sylwetka.

– Doprawdy nie spodziewałam się, że uda mi się zepsuć niespodziankę przygotowaną przez Koronę i spotkam panią jeszcze przed balem. – Doniosły głos hrabiny Ariete z pewnością poniósł się

po placu tak, że usłyszała ją większość otaczających je przechodniów.

Z dorożki wysiadła jeszcze jedna osoba. Kobieta ubrana była w długi błękitny płaszcz obszyty białym futrem. Proste włosy o barwie starego złota opadały jej aż do pasa.

– Panno Corvidae – odezwała się znów hrabina, unosząc jeden kącik ust w górę w doskonale znanym Antoinette uśmiechu. – Pozwól, że przedstawię ci siostrę mego męża, wicehrabinę Fyodorę Ariete.

Obie skłoniły się z szacunkiem.

Antoinette była kompletnie dezorientowana i, co więcej, zdawała sobie sprawę, że nie udało jej się tego ukryć. Pani Ariete wyglądała z kolei tak, jakby doskonale się bawiła. Tego samego nie można było powiedzieć o jej towarzyszce.

– Jestem zmuszona poinformować, że oficjalnie nie używam już tytułu wicehrabiny. Proszę wybaczyć mojej bratowej – powiedziała Fyodora, spoglądając karcąco na hrabinę, która przewróciła psotnie oczami.

– Fyodora ukończyła w tym roku świątynne nauki i w końcu dostąpi uświęcenia – wyjaśniła.

– Gratuluję – odezwała się słabo Antoinette, nie wiedząc, w jaki sposób powinna zareagować na takie wieści.

Fyodora kiwnęła w podziękowaniu głową.

– Udajemy się razem do Vande Sjel na krótką modlitwę. Czy zechciałaby pani iść z nami? – zapytała hrabina. – Oczywiście, jeśli ma pani plany...

– Nie, nie mam planów – odezwała się szybko Antoinette. – Z chęcią odwiedzę świątynię.

Uśmiech rozciągnął wargi pani Ariete.

– Zatem chodźmy.

Ich niewielka grupa przyciągała teraz jeszcze więcej spojrzeń. Antoinette szła ramię w ramię z hrabiną, która z pewnością ją poznała. Nie było mowy o pomyłce. Pani Ariete była sprytną kobietą, skorą do łamania zakazów i obdarzoną sarkastycznym poczuciem humoru. Z pewnością doskonale się bawiła.

Antoinette wstrzymała oddech, gdy hrabina zbliżyła się tak, że stykały się łokciami.

– Mamy wiele do nadrobienia, nie sądzisz? Sporo się zmieniło od naszego ostatniego spotkania.

Rozdział 6

JAMES

Kantalar mimo wczesnej pory był wyjątkowo cichy, niepokojąco spokojny.

James spodziewał się, że w momencie, w którym opuści bramy Glandiru, z każdej strony naprze na niego chaos i sztorm. Na ulicach jednak nie mijał wielu ludzi, a im dalej zagłębiał się w miasto, tym bardziej miał wrażenie, że trafił do innego świata.

Dopiero na głównym placu dostrzegł to, czego się spodziewał. Stoiska sklepikarzy rozbite w proch, powybijane witryny, zdewastowane puby. Ludzie krążyli niczym mrówki, szukając okazji do kradzieży lub rozboju. Niedawne starcie wzbudziło w nich poczucie bezkarności, a wykorzystanie zamieszania do czynienia zła było bardzo kuszące. Obecność gwardzistów nie rozluźniała atmosfery, wręcz przeciwnie, wprowadzała dziwnego rodzaju nerwowość. Wszyscy już słyszeli o zdradzie Gertranda. Królewskie godła na długich płaszcach wzbudzały zapewne w mieszkańcach odrazę i niepewność co do ich zamiarów. Mieli pilnować porządku? A może ciągle służyli Gertrandowi i ich zadaniem było wyrządzenie jeszcze większych szkód?

Przemierzał rynek i starał się wyłapać fragmenty rozmów, dzięki którym mógłby zrozumieć nastroje panujące wśród ludzi. Jak interpretowali bitwę? Kto ich zdaniem był winien zburzenia spokoju Kantalaru? Co sądzili o Rainie? Czy wierzyli w jej zwycięstwo?

Wielokrotnie słyszał wzmianki o jej manifeście w Baramundzie. Ludzie przekazywali dalej zasłyszane fragmenty jej przemówienia, wielokrotnie zmieniając sens tej wypowiedzi. Jedni skłaniali się ku prawdzie, rozpowiadając sąsiadom historię księżniczki spychającej uzurpatora z tronu. Inni preferowali bajkę zdrajcy – ich zdaniem była to zwykła aktorka, która wykorzystwała sytuację i zwiodła argadorskich, manstarskich i kalindorskich żołnierzy swoją urodą oraz wdziękami.

Jamesem targało wiele emocji. W pierwszym odruchu pragnął zatrzymać się przy każdej plotkującej grupce i spokojnie wyjaśnić tym ludziom, że się mylą. Potem jednak ogarniał go gniew, chęć zatrzymania spirali kłamstw siłą. Na końcu dopadły go żal i dezorientowanie. Jakaś część jego świadomości nie była w stanie pojąć, jak w obliczu ostatnich wydarzeń tak wielu mieszkańców Kantalaru mogło skupiać się na bezcelowych dywagacjach zamiast na odbudowie spokoju.

Myślał o tym przez całą drogę do rezydencji Hershela Lashana, ogromnej posiadłości z widokiem na główny rynek, otoczonej wysokim murem pokrytym bluszczem. Ledwo przekroczył mosiężną bramę, a od razu został przeszukany. Jego broń skonfiskowano. Uzbrojeni strażnicy w lśniących zbrojach poprowadzili go żwirowymi alejkami przez rozległy ogród, wprost do wystawnego wnętrza pełnego światła i zapachów. Lord Lashan czekał na niego na tarasie osłoniętym baldachimem. Gdy dostrzegł łowcę, westchnął z aprobatą i sięgnął po dwa kielichy, które wypełnił winem.

– Łowco – przywitał się. – Miło mi cię widzieć.

– Lordzie Lashan – mruknął James, krzyżując ręce za plecami. Nie miał ochoty udawać, że chce brać udział w tym spotkaniu.

– Gratuluję dobrze wykonanego zadania – podjął Hershel, ignorując niezadowolenie bijące od Jamesa. – Nie sądziłem, że nasz plan powiedzie się do tego stopnia.

Wyciągnął w jego stronę dłoń z kielichem, jednak James ani drgnął. Widząc grobową minę łowcy, Lashan uniósł brew i wycofał się w stronę balustrady.

– Zdajesz się nie podzielać mojego entuzjazmu.

– Idąc tutaj, miałem okazję usłyszeć to i owo. Odnoszę wrażenie, że niepewność oraz brak zaufania wśród poddanych świadczą

o porażce misji.

– Sądziłeś, że powierzone ci zadanie będzie proste i nie przyniesie żadnych negatywnych konsekwencji? – sarknął Lashan.

– Sądziłem, że moja misja polega na uratowaniu dwóch ściganych księżniczek. Nie na wyniesieniu na tron nowej władczyni.

– To wartość dodana. Wykonałeś zadanie aż za dobrze, drogi łowco. Zmieniłeś nasz kraj. A to, że lud wyraża swoje niezadowolenie jest... okolicznością. Okoliczności się zmieniają. Nie powiesz mi, że w ciągu ostatnich miesięcy nie zorientowałeś się, dokąd to wszystko zmierza? Już w chwili naszego spotkania musiałeś się domyślać, że twoja misja nie zakończy się na samym uratowaniu księżniczek.

James kilkakrotnie zacisnął palce wokół nadgarstka drugiej ręki, wspominając wieczorne spotkanie z lordem Lashanem, które odbyło się tak dawno, że równie dobrze mogłoby być tylko snem. Wezwano go do tej samej rezydencji. Pod osłoną nocy w towarzystwie dwóch strażników przebranych za pospolitych mieszczan przebył całą drogę z siedziby łowców, nie wiedząc nawet, jaki jest cel wezwania. Lashan zrobił na nim duże wrażenie, jednak wzbudził też wiele wątpliwości. *Dojdzie do zamachu na króla, dlatego też chciałbym zlecić ci uratowanie jego córek przed śmiercią. Jaka jest twoja cena, łowco?* – zapytał bez ogródek tonem sugerującym, że w żadnym stopniu nie przeraża go perspektywa zabicia monarchy. James zapytał wówczas, czy jest pewien swoich priorytetów. Uratowanie króla naturalnie podtrzymałoby bezpieczeństwo księżniczek i zapobiegło dalszym problemom. Lashan wyjaśnił mu jednak, że nie jest to tylko jego wola. Za zleceniem stał ktoś jeszcze. Ktoś, komu bardziej zależało na życiu sióstr niż utrzymaniu Ronana Rodaagova na tronie.

– Chcesz żebym dalej w to brnął, prawda? – zapytał teraz James bez ogródek. Lord wzruszył ramionami, oparł się wygodniej o balustradę i łyknął wina.

– To będzie bardzo trudny czas dla naszej królowej. Dobrze by było, żeby miała przy sobie kogoś, komu ufa.

– Jestem prostym łowcą. Nie będę dopuszczony ani do niej, ani do decyzji, które podejmuje, jeśli o to ci chodzi – warknął James.

– Do Gildii również nie wrócisz. – Hershel uśmiechnął się szyderczo. – Nie po tym, co zrobiłeś. Łowcy wiedzą już o twojej zdradzie.

– Którą popełniłem na twój rozkaz.

– I za moje pieniądze – zauważył.

James odetchnął głęboko przez nos, zaciskając zęby. Długo patrzył na rozmówcę i na uśmiech skrywający się w kącikach jego ust. Był uwięziony w jego sidłach, doskonale o tym wiedział, a wyciągnięcie ręki po kielich z winem stanowiłoby gest poddania.

– Zapewniałeś mnie, że wrócę do stolicy jak bohater – wypomniał Lashanowi, spoglądając na miasto rozciągające się pod nim. Słońce powoli zachodziło, jakby nie chciało dłużej obserwować rozgardiaszu panującego w Kantalarze.

Hershel podążył za jego spojrzeniem.

– Cóż, może lud nie wita cię wiwatami, nadal jednak jesteś ważnym elementem układanki. Uratowałeś życie swojej królowej. Z tego, co słyszałem, wielokrotnie. Gdy tylko sytuacja się uspokoi, będziesz mógł liczyć na nagrodę. Dostaniesz pewnie kawał ziemi, może nawet jakąś ładną posiadłość nad morzem. Niedaleko Falaus, blisko terenów Korony – zaśmiał się Lashan.

– Dla ciebie to tylko gra – zauważył James. – Wszyscy wokół są twoimi pionkami.

– Czujesz się wykorzystany, łowco? – zapytał. – Czy może niezadowolony, bo liczysz na więcej niż ziemię i wille?

Od grymasu bolała Jamesa cała twarz. Gwałtownie wyciągnął dłoń po kielich i osuszył go jednym dużym łykiem, aby zagrać na czas i odwlec swoją odpowiedź.

Przed oczami przelatywało mu wiele obrazów. Moment, gdy wrócił do siedziby Gildii i dowiedział się, że jeden z łowców dostał zlecenie z pałacu na zabicie dwóch kobiet, które zamordowały księżniczki. Śledzenie zabójcy ulicami Kantalaru, kiedy ten szykował się do polowania na wyznaczone cele, nie zastanawiając się choć przez chwilę, że jest wprowadzany w błąd.

James zastanawiał się, czy był na tyle głupi, by nie połączyć faktów. Zlecenie na dwie kobiety uciekające z pałacu, obwinione o zabicie księżniczek. Śmierć króla, przejęcie władzy przez jego brata. Wszystko to prowadziło do jednego wniosku. James rozumiał

sytuację, miał też własne cele. Musiał powstrzymać łowcę przed wchodzeniem mu w drogę i jednocześnie zachować wszystko w sekrecie.

– A może za bardzo się przywiązałeś do obecnej królowej i żałujesz, że wasza wspólna podróż się skończyła? – Lashan bezbłędnie go rozgryzł.

– Zdajesz się w ogóle nie przejmować konsekwencjami swoich planów, lordzie Lashan – warknął James, oddając mu kielich. – Śmiercią Rose, chaosem w Kantalarze i na błoniach, zmianą władzy... Tym wszystkim, z czym Raina samotnie sobie nie poradzi.

– Będzie miała mnie i resztę Rady – zauważył Hershel. – I Pisceriova, który awansował do roli namiestnika. Mogłaby mieć również ciebie, ale zdaje się, że coś cię powstrzymuje przed staniem u jej boku. Czyżby studnia twoich kłamstw wyschła? A może wręcz przeciwnie, zaczyna się przelewać?

– Nie mam zamiaru dalej o tym dyskutować – wysapał James i podszedł do Lashana na odległość łokcia. – Ani babrać się w twoich i królowej matki planach. Powiedz jej, że moja rola w tej sprawie się skończyła.

Długo mierzyli się spojrzeniami. Ze strony Jamesa ostrym, pełnym irytacji oraz rezygnacji; Lashana zaś znudzonym i pobłażliwym. Łowca nie miał całkowitej pewności, że to królowa matka stała za planem, który przedstawił mu Lashan przed wyjazdem z Kantalaru. Zaczął się domyślać dopiero niedawno, gdy dotarła do niego informacja o jej tajemniczym zniknięciu.

– W porządku. – Hershel jako pierwszy przełamał impas. Uniósł przy tym ręce do góry w obronnym geście i dopił wino. Po jego reakcji James zrozumiał, że zarzut, chociaż rzucony na wiatr, był prawdziwy. Lashan nie przepuściłby okazji na wytknięcie mu błędu. – Idź, jesteś wolny.

James nie pytał o nic, nie interesowała go nawet obiecana miesięce wcześniej zapłata. Po prostu odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia.

– Sugerowałbym, przez wzgląd na naszą owocną współpracę, byś w najbliższym czasie opuścił Kantalar. – Usłyszał za plecami, zanim dotarł do drzwi. Na słowa lorda przystanął niepewny, czy dobrze rozumie jego wypowiedź.

– Czy to groźba? – zapytał. Odpowiedź nie nadeszła od razu.

– Przyjacielska rada – wyjaśnił spokojnie Lashan. – Niedługo w mieście może zrobić się nieprzyjemnie.

James walczył ze sobą. Z jednej strony chciał natychmiast opuścić posiadłość, z drugiej jednak ciekawość oraz strach kazały mu zostać. Wyciągnął z Lashana informacje, by potem udać się do pałacu i ostrzec Rainę.

Nawet nie zauważył, kiedy podjął decyzję.

Hershel skinął na niego głową, zapraszając łowcę ponownie na balkon. Gdy James stanął obok niego i podążył za spojrzeniem lorda, dostrzegł ten sam obrazek co kilka minut wcześniej. Ludzie na placu nadal zbierali się w grupkach, przemykali uliczkami w tylko sobie znanym kierunku, wymieniali się wieściami.

– Czego nie widzę, a co według ciebie jest tak ważne i może powodować kłopoty? – zapytał w końcu, zirytowany brakiem wyjaśnień ze strony Lashana.

– Patrzysz na duży problem rodzący się w sercu niestabilnego kraju. – Lord wskazał na zbiorowisko w centrum rynku. Kobiety i mężczyźni stali pod obeliskiem, żywo o czymś dyskutując.

– Mówże z sensem – ponaglił go James.

– Dostrzegasz może coś niecodziennego w ich wyglądzie? – Hershel zignorował irytację Jamesa.

Łowca wyteńczył wzrok, by dokładnie prześledzić rysy twarzy, ubiór oraz postawę wskazanych mu ludzi, jednak długo nie mógł dopatrzeć się niczego niepokojącego. Nie mieli broni, żaden z mężczyzn nie nosił przy pasie miecza, kobiety nie różniły się wyglądem od zwykłych mieszkanek Kantalaru. Sądząc po strojach, byli średnio zamożni, wśród nich nie dostrzegał nikogo znajomego. Dopiero po chwili, dzięki promieniom zachodzącego słońca, które odbiło się od błyszczącego metalu zawieszzonego na szyi jednej z kobiet, zrozumiał, o co chodziło Lashanowi.

– Solaryci? – upewnił się. Dostrzegł, że wszyscy zebrani wokół obelisku ludzie nosili na szyjach charakterystyczne złote kółko na łańcuszku.

– Mhm – mruknął w potwierdzeniu Lashan. Oparł się łokciami o balustradę. – Zbierają się często na głównym placu, aby nawracać kolejnych mieszczan na swoją wiarę.

– Zwykły kult, wiele ich w Elendorze. Gdybyś czasem opuszczał stolicę, wiedziałbyś, że są nieszkodliwi.

– Gdybyś był w stolicy przez ostatnie miesiące, wiedziałbyś, że kilka tygodni temu do Kantalaru przyjechała Elida Kostelic – przedrzeźnił go Hershel. – Przywódczyni solarytów. Prosto z Vijandy. To trochę egzotyczne, nie uważasz? Przebyła taki szmat drogi dla kilku wyznawców w obcym kraju, do tego ogarniętym konfliktem tronowym.

– Po co miałyby się tu zapuszczać? – zapytał James.

– Nie mam pojęcia.

– Ostrzegłeś mnie właśnie przed zamieszanym w stolicy, a teraz udajesz, że nie wiesz?

– Oczywiście, że wiem, ale przecież ciebie to już nie dotyczy, czyż nie? – zaśmiał się i odepchnął od barierki. Poprawił bogato zdobioną marynarkę i zaczesał dłonią włosy. – Możesz odebrać swoją zapłatę przy wyjściu. Mój sekretarz odprowadzi cię do drzwi.

Lashan teatralnie napełnił znów swój kielich i usiadł na szerokiej kanapie. Wpatrywał się w Jamesa, jakby z ciekawością czekał na jego reakcję.

– A może jednak zmieniłeś zdanie i zechcesz pomóc w powstrzymaniu tych fanatyków? Gertrand pozwolił im się tu rozgościć. Można powiedzieć, że wpuścił szczury do spiżarni. Przyda nam się kot, który je wyłapie.

James parsknął na to porównanie.

– Mam być twoim kotem? – wydusił z niedowierzaniem.

– Wystarczy, że na razie przypilnujesz drzwi. Trzeba będzie zwabić wszystkie szkodniki w jedno miejsce. W ten sposób żaden nam nie umknie. A poza tym... – napełnił kielich Jamesa i wyciągnął go w jego stronę. – Może źle to ująłem. Po co nam kot, skoro mamy smoki?

Rozdział 7

ANTOINETTE

Vande Sjel górowało nad wszystkimi budynkami znajdującymi się w okolicy. Szczyty wież świątyni zdawały się niemal dotykać chmur. Antoinette stanęła przed głównymi wrotami i podniosła wysoko głowę, by móc objąć je spojrzeniem. Gniazdo i Vande Sjel były architektonicznymi bliźniakami. Oba budynki były imponująco wysokie i od frontu pokryte rzeźbami wykutymi w ciemnym kamieniu, jednocześnie piękne i surowe niczym łańcuchy tesaryckich gór.

Antoinette spojrzała za siebie, by odnaleźć wzrokiem Yrsę, która akurat szeptała coś do ucha jednej z pokojowych hrabiny, po czym obie wybuchły stłumionym śmiechem.

Fyodora jako pierwsza pokonała schody prowadzące do świątyni, wysuwając się tym samym na czoło grupy. Myśl o tym, że zaraz przekroczy próg Vande Sjel, wywoływała w Antoinette zarówno zachwyty, jak i strach. Lata temu, kiedy nie udało jej się wejść do środka, była rozczarowana. Teraz, gdy nic nie stało jej na przeszkodzie, czuła się przytłoczona.

Wrota świątyni były otwarte. Z jej wnętrza dobiegał śpiew chóru, o którym mówiło się, że prawie nigdy nie milkł.

Jeśli wewnątrz Gniazda było imponujące, nie wiedziała, jak opisać to, co czuła, gdy ujrzała wysoką na kilkanaście metrów figurę Mędrca stojącą na drugim końcu świątyni, dokładnie naprzeciwko wejścia. Przedstawiono go w typowej pozie – z rękoma lekko

rozłożonymi na boki. Jego szatę pokrywała złota i srebrna farba, a spod kaptura zionęła ciemność. Dopiero gdy Antoinette udało się oderwać spojrzenie od figury górującej nad wszystkim, rozejrzała się po wnętrzu. Ludzie zasiadali w dwóch rzędach długich, drewnianych ław. W powietrzu unosił się zapach szaławii i lawendy, palonych w złotych misach ustawionych na dwóch krańcach świątyni. Miejsce chóru znajdowało się w głębi sali, po lewej stronie. Wokaliści śpiewali lekko, bez wysiłku, a ich głosy odbijały się echem po całym wnętrzu:

*Święta ziemio, odrodź się,
niech płynie przez cię mój duch,
nie zbłądzą w mlecznej mgle,
złych szeptów nie złączą się.*

*Nocą światło księżycy
niech oświetla trudną drogę mą,
nawet z popiołów i łez
zbuduję nowy dom.*

Śpiewający byli ubrani w kapłańskie błękitne szaty i stali w tej samej pozycji, w której wyrzeźbiono Mędrca.

Antoinette wiedziała, że jak na osobę, która miała reprezentować zarówno Koronę, jak i Świątynię, modli się zdecydowanie zbyt rzadko. Behula nauczyła ją modlitw, pieśni i próbowała wpoić nawyk regularnego modlenia się, ale im starsza była Antoinette, tym częściej zapominała o tym aspekcie życia. Zwykle wynikało to ze zmęczenia. Po całym dniu fizycznej pracy nie miała siły w skupieniu modlić się o... No właśnie, o co? Niekiedy zastanawiała się, czy w ogóle ma jakichś przodków, do których warto było się zwracać?

Chciała nauczyć się tej rutyny raz jeszcze. Obserwując, z jaką łatwością i regularnością modli się Fiyonn, zapragnęła być taka sama. On bez trudu znajdował chwilę, nawet w środku dnia, by przymknąć oczy i zacisnąć palce na modlitewnym kamieniu zwisającym z szyi.

– Czy przejdziemy dalej? – zapytała hrabina, ujmując Antoinette pod ramię. – Niech cię zobaczą.

Zanim dziewczyna zdążyła zaprotestować, została wciągnięta do środka. Szły główną nawą, więc znajdowały się w samym centrum świątyni. Z początku nikt nie patrzył na nie. Choć nie prowadzono akurat liturgii, wierni byli skupieni na modlitwie. Niektórzy klęczeli z opuszczonymi głowami, inni po prostu siedzieli i śpiewali cicho razem z chórem.

Nagle pieśń umilkła. Kapłani zwrócili się w ich stronę. Kiloro z nich szybko coś ze sobą przedyskutowało, po czym z szeregu wystąpił mężczyzna o ciemnych, kręconych włosach i wyszedł im na spotkanie.

Antoinette czuła się jak w potrzasku. Hrabina nie puszczała jej ramienia, a mężczyzna był coraz bliżej. *W końcu musiało do tego dojść*, tłumaczyła sobie w myślach. Nadszedł czas, by pokazać się ludziom i zacząć wykonywać obowiązki narzucone jej przez nową rolę. Nie mogła się już dłużej ukrywać.

– W imieniu zgromadzonych chciałbym powitać Córę Moiry w progach Vande Sjel – rzekł mężczyzna, gdy znalazł się tuż przed nimi.

Uklonił się nisko, po czym sięgnął po dłoń Antoinette. Podała mu ją bezwiednie, a on ucałował jej palce. Przez chwilę spoglądał na wielki kamień Kruczego Oka, po czym się wyprostował. W jego oczach błyszczało coś, co bardzo przypominało Antoinette wyraz ulgi następującej po długim oczekiwaniu.

– Gdybyśmy tylko wiedzieli, że...

Jego słowa przerwała szamotanina pomiędzy chórzystami. Jedna z kobiet gniewnie pomaszrowała na tył świątyni i zniknęła za drzwiami prowadzącymi zapewne do pomieszczeń nieprzeznaczonych dla odwiedzających. Chwilę później w tym samym kierunku udało się jeszcze dwóch mężczyzn.

Kapłan, który wyszedł Antoinette i hrabinie na spotkanie, wyglądał na zniesmaczonego.

– Proszę o wybaczenie, pani. Wiara niektórych... została wystawiona na próbę – powiedział.

Wątpią, syknął jeden z głosów, rozbudzając tym samym pozostałe. *Nie wierzą jej*.

– Chciałbym tylko jeszcze wyraźnie zaznaczyć – podjął kapłan – że drzwi Vande Sjel są dla Córy Moiry zawsze otwarte. Mamy

nadzieję, że jeszcze zaszczyt nas pani swoją obecnością.

– Dziękuję – odparła jedynie Antoinette, mając nadzieję, że mężczyzna nie zmusi jej do kontynuowania rozmowy. Wiedziała, że powinna powiedzieć coś więcej, przemawiać w sposób, który zachwyci zebranych. Ludzie oczekiwali od niej wielkości w słowie i czynie, a ona nie mogła im na razie nic zaoferować. Jakże miała się zdobyć na wspaniałe, odważne gesty, gdy nie potrafiła nawet uciec z pałacowej pułapki?

Peszyły ją słowa nasycone zachwytem i wdzięcznością. Większość tak się właśnie do niej zwracała – jakby dokonała czegoś niesamowitego. A przecież nic takiego nie miało miejsca.

Kapłan wciąż stał przed nimi, więc Antoinette zrobiła to, co pierwsze przyszło jej do głowy. Wykonała znak błogosławieństwa, podobnie jak zrobiła to na placu. Mężczyzna uśmiechnął się, po czym skłonił głowę i wrócił do pozostałych chórzystów, co reszta zebranych w świątyni najwidoczniej uznała za znak, że mogą się do niej zbliżyć. Osoby, które wcześniej modliły się albo słuchały pieśni, otoczyły Antoinette i hrabinę. Na tę drugą nie zwracali większej uwagi. Mówili jeden przez drugiego, sięgali po dłonie Antoinette, by je ucałować, kłaniali się, a po twarzach niektórych popłynęły łzy. Starła się przynajmniej musnąć wyciągnięte w jej kierunku ręce i błogosławić tych, którzy wyraźnie się tego domagali, a z każdym wykonanym gestem czuła się coraz pewniej. Za pierwszym razem, jeszcze na placu, miała wrażenie, że udzielanie błogosławieństwa jest jedynie nic nieznaczącym ruchem ręką. Ale przecież widziała przyszłość. Czuła wokół siebie magię, kiedy tylko tego zechciała. Słyszała źródła i serca otaczających ją ludzi. Nikogo nie zwodziła, nie udawała. Uznała, że jeśli ta prosta czynność przynosi ludziom ulgę i radość, to znaczy, że robi coś dobrego.

Gdy tłum się przeredził, Antoinette dostrzegła, że pod rzeźbą stały dwie postacie, obie ubrane w błękit. Nawet mimo odległości zdawało się jej, że jedna z nich wygląda znajomo.

– Wydaje mi się, że czekają, aż do nich podejdziesz – stwierdziła pani Ariete, która również je zauważyła. – Mam nadzieję, że znajdziesz potem dla mnie chwilę.

Antoinette była niemal pewna, że hrabina uśmiechnęła się do niej psotnie. Nie wiedziała jednak, czy powinna interpretować jej słowa

jako żartobliwą uwagę czy ostrzeżenie.

Czuła na sobie spojrzenia wiernych i oczekujących jej kapłanów, kiedy ruszyła w kierunku statuy Mędrca. Wzrok jej nie mylił. Jednym z czekających był Vidar, który kiwnął jej głową. Stojąca obok niego kobieta miała na sobie strój, który oznaczał, że zajmowała pozycję wyższą względem kapłana. Zarówno jej szata, jak i długi do ziemi płaszczy wyszywane były srebrną nicią. Czoło kapłanki zdobił diadem wysadzany kryształami, a na nadgarstkach połyskiwały srebrne bransolety ze szlachetnymi kamieniami. Kobieta nie wykonała żadnego gestu, który mógłby świadczyć o jej przyjaznym nastawieniu. Lekko zaniepokojona Antoinette posłała w jej kierunku odrobinę magii... i poczuła coś dziwnego, coś, czego do tej pory nigdy nie wykrywała. Źródło kapłanki było silne, a jego rytm zgrywał się idealnie z jej sercem.

Kapłani mogli widzieć dusze zmarłych. Niektórzy twierdzili, że co bardziej utalentowali mogli się z nimi porozumiewać, podobnie jak robił to Fiyonn. Zastanawiało ją, że wyczuwała więcej mocy, niż była w stanie ujrzeć. Nie chciała przyglądać się kobiecie zbyt długo, takie zachowanie nie przystawało jej, tym bardziej że nie były tu przecież same. Udało się jej jednak dostrzec, że oczy kobiety pokryte były bielmem. Prawdopodobnie była niewidoma.

– Nie spodziewałem się pani spotkać ponownie tak szybko – odezwał się Vidar, po czym rozłożył lekko ręce. – Mam zaszczyt przedstawić pani Uświęconą Matkę Talvi, opiekunkę Vande Sjel i wszystkich innych świętyń na terenie Tesarythu.

Antoinette zwalczyła instynktowną chęć ukłonienia się. Stała w hierarchii wyżej od kapłanki, nikt więc nie powinien oczekiwać od niej uległości.

– Patrzę na ciebie tak, jak ty patrzysz na mnie. – Głos Uświęconej Matki był niski i cichy. – Widzę przed sobą magię, którą już znam. A ty? Co dostrzegasz?

Zaskoczyła ją tymi słowami. Antoinette nie spodziewała się takiego pytania.

– Magię, która lśni jak księżyc bezchmurną nocą – odezwała się po dłuższej chwili, wciąż zainteresowana jasnym światłem jej źródła.

Kobieta mrugnęła i uniosła kącik ust.

– Nie wiesz, czym jest prawdziwa ciemność, jeśli wciąż widzisz księżyc – rzekła, po czym pokonała trzy marmurowe stopnie, które dzieliły ją od Antoinette, i ostrożnym gestem ujęła jej ręce w swoje. – *Tvillier* kruczego księcia zawitała do Vande Sjel i udowodniła mi, że myliłam się, gdy wątpiłam. Oby przodkowie mi przebaczyli.

Antoinette była niemal pewna, że choć ludzkie oczy Uświęconej Matki niczego nie widziały, jej Trzecie Oko było szeroko otwarte. Dzięki temu, że kobieta znajdowała się tak blisko, Antoinette mogła dostrzec, że kamienie, które nosiła na szyi i nadgarstkach, były połączone z jej źródłem. Oznaczało to, że musiały odgrywać podobną rolę co Krucze Oko.

– Czy mogłabym ujrzeć twoją twarz? – zapytała niespodziewanie kapłanka.

Antoinette z lekkim wahaniem odsunęła woal z twarzy. Uświęcona Matka uniosła powoli dłoń i objęła nią policzek Antoinette.

– Córko Moiry – odezwała się po chwili, lecz tym razem przemawiała niemal szeptem. – Czy jest coś, co świątynia może dla ciebie zrobić?

W głowie Antoinette była tylko jedna myśl.

– Czy możemy udać się gdzieś, gdzie będziemy przez chwilę same? – zapytała, starając się, by jej głos się nie załamał.

Działała instynktownie, mając nadzieję, że szansa, którą kobieta właściwie podsunęła jej pod nos, okaże się tą, którą będzie mogła wykorzystać. Nie miała nic do stracenia.

– Ktoś o twojej pozycji zawsze ma prawo do prywatnej audiencji ze mną – odparła kapłanka.

– Poinformuję o tym twoją straż, pani – zaproponował Vidar.

Gdy Antoinette na niego spojrzała, w jego oczach dostrzegła zrozumienie. Wiedział, że jest obserwowana, a strażnicy podążają za nią krok w krok.



Uświęcona Matka poprowadziła Antoinette schodami oddzielającymi główną część świątyni od posągu Mędrca. Minęły rzeźbę i skręciły

w lewo.

Kapłanka zaprowadziła Antoinette do pokoju wyściełanego dywanem w kolorze wina. Przypominał mniejszą i skromniejszą wersję salonów, w których arystokratki przyjmowały gości na herbatę.

Po tym, jak Uświęcona Matka zamknęła za nimi drzwi, Antoinette szybko przeszła do rzeczy.

– Nie mam wiele czasu – powiedziała cicho. Choć podczas drogi zbadała magią tę okolicę i wiedziała, że nie ma możliwości, by ktoś podsłuchał ich rozmowę, nie była w stanie mówić głośniej. – Chciałabym zadać wam tylko jedno pytanie.

Kobieta kiwnęła lekko głową na znak, że jest gotowa wysłuchać jej prośby.

– Czy jest tu... – Antoinette zawahała się. Miała nadzieję, że mogła zaufać kapłance, szczególnie po tym, w jaki sposób rozmawiały ze sobą jeszcze chwilę temu. – Czy mogę opuścić świątynię tylnym wyjściem? Tak, by nie wracać do głównej nawy?

Oczy kobiety były nieruchome.

– Wyczułam twój niepokój już wcześniej – powiedziała. – Czy czujesz, byś była w niebezpieczeństwie?

– Tak – szepnęła Antoinette. – Muszę... muszę się dokądś udać.

Twarz kobiety była nieruchoma, nie można było z niej absolutnie niczego wyczytać.

– Zarówno Świątynia, jak i Korona mają w obowiązku chronić Kruczą Wiedźmę – powiedziała po chwili.

– A co, jeśli niebezpieczeństwo nadchodzi ze strony Korony?

Uświęcona Matka długo nie odpowiadała. Jej dłoń spoczęła na klamce drzwi. Antoinette już była gotowa wybiec z pokoju i szukać tylnego wyjścia na własną rękę, gdy kobieta ponownie przemówiła:

– Twoje serce zagłusza źródło. Czego się lękasz?

Musiła szybko podjąć decyzję, jak wiele może powiedzieć kapłance. Była głową Świątyni, jedną z najważniejszych osób w całym Tesarycie, a to stawiało ją w roli potężnej potencjalnej sojuszniczki.

– Nie mogę złożyć obietnicy, której się ode mnie wymaga. Boję się tego, co nastąpi, kiedy Korona to odkryje. Boję się tego, co może się stać – wyjaśniła Antoinette.

Boję się, że znów ogarnie mnie ciemność, dopowiedziała sama sobie. Starła się ostrożnie dobrać słowa. Nie chciała zdradzić zbyt wielu szczegółów, ale jednocześnie musiała odpowiednio przedstawić sytuację, w której się znalazła.

– Odkąd na tronie zasiada starszy syn królowej Muirne, zdania Korony i Świątyni się nie pokrywają, wręcz przeciwnie, nieustannie stoją wobec siebie w opozycji. Oznacza to, że każde nasze spotkanie może ten konflikt zaognić – odezwała się po dłuższej chwili Uświęcona Matka.

Antoinette nie zastanawiała się dotąd nad rolą kapłanów w podziale dworów. Może wynikało to z tego, że wiara była w jej oczach nierozzerwalnie związana z władzą – Mędrzec był przecież zarówno pierwszym władcą Tesarythu, jak i świętym, do którego składano modły. Dzięki Fiyonowi wiedziała, które spomiędzy wielkich rodów stały za Valiantem, a które opowiadały się przeciwko niemu. Nigdy nie powiedział jej jednak, po której stronie jest Świątynia. Intuicja podpowiadała jej, że grono kapłańskie powinno popierać Fiyonna. To w końcu on był dziedzicem magii Mędrca, a nie Valiant. Najwyraźniej nie było to takie proste.

– Choć uważam, że ochrona czegoś, co utraciliśmy na tak wiele lat, jest warta ryzyka – ciągnęła kapłanka – obawiam się, że nie mogę ci pomóc.

Serce Antoinette zaczęło bić tak szybko, że w uszach nie słyszała niczego poza szumem własnej krwi. Głosy magii dobiegały do niej jakby z oddali, zupełnie inaczej niż do tej pory. Działała intuicyjnie, bez planu, mając nadzieję na łut szczęścia, nie powinna więc czuć rozczarowania.

– Nie lękaj się – przemówiła ponownie Uświęcona Matka. – Masz w pałacu przyjaciół, którzy o ciebie zadbają.

Magia ucichła. Nie kłamała. Antoinette pamiętała jednak o ostrzeżeniach Fiyonna. Magię kłamstw dało się przecież oszukać, nawet nieumyślnie. Jeśli przemawiający wierzył w to, co mówił, oznaczało, że nie kłamał. Co, jeśli kapłanka się myli, a o tym nie wie?

– Jakich przyjaciół? – spytała z wahaniem Antoinette.

– Wiem, że wątpisz. – Głos Uświęconej Matki był niezwykle poważny. – Znam naturę daru wręczonego ci przez Los, więc

rozumiem wątpliwości, jakie budzą w tobie moje słowa. Zbliżające się dni będą dla ciebie trudne, lecz musisz mi zaufać. Nie widzę przyszłości tak jak ty i arcyksiążę. Mój wzrok sięga jednak w miejsca, które są dla wielu niedostępne.

Powolnym ruchem kapłanka nałożyła z powrotem woal na twarz Antoinette.

– Przodkowie nie wynagradzają nas za strach i niecierpliwość – powiedziała, otwierając z powrotem drzwi. – Czas jest dla ciebie łaskawszy, niż może się wydawać.

Rozdział 8

RAINA

Tykanie zegara było niesamowicie irytujące. Doprowadzało Rainę do szału, burzyło z trudem wypracowany spokój, a także poruszało te części jej umysłu, które wolała, by pozostawały uśpione.

Miała ochotę wstać z łóżka i po prostu roztrzaskać złotą tarczę o ścianę. Mięśnie domagały się rozładowania zebranej przez ostatni czas frustracji i gniewu, a cichy głos w jej głowie usilnie próbował przekonać Rainę, by przestała udawać, że wszystko jest w porządku.

Wszystko było nie do zniesienia: i cisza, i hałas. W ciemnościach czaił się smutek, a w świetle dnia wypływały na wierzch gniew i złość. Nie mogła spać, choć bardzo tego chciała. Odcięcie się od wszystkiego, zamknięcie oczu i odpoczynek zdawały się być w zasięgu jej poranionych dłoni. Wystarczyłoby pozwolić zmęczonemu ciału przejąć kontrolę nad pobudzonym umysłem. Nie była w stanie jednak tego zrobić.

Zamiast spać i regenerować siły, godzinami leżała w ciemnościach, drżąc na każdy najmniejszy szelest. Nie pozwoliła służbie przygotować komnat królewskich, bo wiedziała, że przez ostatnie miesiące zajmował je Gertrand. Śledziła więc spojrzeniem delikatne wzory wymalowane na ścianach gościnnej komnaty.

Nie była w stanie określić, ile czasu minęło od śmierci siostry. Nie starała się nawet śledzić kolejnych dni i nocy. Budziła się, gdy była

potrzebna, zasypiała, gdy jej kazano. Cały czas usilnie powstrzymywała się przed mówieniem albo myśleniem o niej jako o martwym ciele. *Ciało leżało w chłodnej sali medyka. Ciało miało zostać zbadane. Ciało miało być dowodem na zbrodnie Tomasa. Ciało miało zostać spalone za cztery dni.*

Dla Rainy to nadal była Rose, nieważne, co się z nią stało.

Niektórzy zdawali się jej nie rozumieć. Medycy, z którymi rozmawiała, cały czas używali tego okropnego słowa. Wyjaśniali jej, jak będzie przebiegała sekcja, opowiadali ze szczegółami, co muszą zrobić, by zebrać odpowiednie dowody na zbrodnie Tomasa. Czarę goryczy przelał jednak jeden z asystentów, który nieopatrznie zapytał o możliwość wykorzystania ciała Rose do badań. Chciał ją zabrać, by dowiedzieć się więcej o naturze magii i o ewentualnych oznakach jej występowania, możliwych do dostrzeżenia w tkankach, krwi, organach. Bardzo długo zajęło jej uspokojenie się po awanturze, która rozpętała się chwilę potem.

Poza tym jednym momentem rzadko się denerwowała. Pozostawała zimna i niedostępna. Żałoba przecięła jej serce i umysł, jednak z zewnątrz nie można było tego dostrzec. Fasada, którą Raina zbudowała wokół siebie, chroniła ją przed całkowitym szaleństwem. Gdyby nie przytłaczający smutek i momenty zawieszenia, w których nie rozumiała, co dzieje się wokół niej, prawdopodobnie zapomniałaby, że Rose nie żyje. Łatwo przychodziło jej wmawianie sobie, że to wszystko jest snem. Problem pojawiał się dopiero wieczorami, gdy kładła się do łóżka. W końcu jak mogła uwierzyć w to, że będąc w koszmarnym śnie, szła śnić kolejne koszmary?

Krew, bitwa, smoki, śmierć, Tristan, Tomasz, Rose...

Wiedziała, że musi się otrząsnąć. Tylko tyle i aż tyle. Za dużo jak na dziewczynę, która miała problem ze wstaniem z łóżka. Raina zastanawiała się, jak mogłaby od tego uciec, skoro nawet jej własny umysł zdradzał ją i nie pozwalał spokojnie przespać nocy. Czy istniało na świecie jakieś miejsce, w którym Rose i Tristan żyli, a ona nie była królową wśród popiołów?

Podniosła się z westchnieniem, gdy usłyszała kroki na korytarzu. Strażnicy przybyli, by eskortować ją na spotkanie z medykami. Wyszła z pokoju, zostawiając w czterech ścianach wszelkie

wątpliwości i emocje. Jediną oznaką żałoby toczącej jej serce był brak biżuterii i smutek w jej oczach. Prezentowała się dostojnie w szmaragdowej sukni opinającej jej ramiona i dekolt. Szła przez korytarze i powstrzymywała się przed zaciskaniem w pięściach garści miękkiego materiału.

Kwatery medyka na co dzień znajdowały się w północnym skrzydle na pierwszym piętrze, by nie trzeba było wnosić chorych na wyższe poziomy. Jednak od kilku dni większość działań pielęgniarek, uzdrowicielek i lekarzy przeniosła się do dużych sal w centrum twierdzy. Chorzy i ranni leżeli w długich rzędach na prostych leżankach, otoczeni najlepszą opieką, jaką mogła im zapewnić. Minęła pomieszczenia stanowiące prowizoryczny szpital i skierowała się do obszernej sali narad, usytuowanej niedaleko głównej osi pałacu. Było to pomieszczenie bliźniacze do tego, w którym przeprowadzane były spotkania z Radą. Na potrzeby zaplanowanej sekcji biurka ustawiono w kształt podkowy. W samym środku tej formacji stał wysoki drewniany stół na kółkach.

Starła się na niego nie patrząc. Czarne sukno zwisało smętnie z krawędzi blatu, skrzętnie chroniąc przed spojrzem makabryczny sekret. Skupiła się na Veerze, który stał w kącie pomieszczenia. Skinął jej głową, ale nie ruszył się z miejsca, najwyraźniej też przerażony przerastającą ich sytuacją.

Rozmowy prowadzone między medykami i członkami Rady przycichły, gdy przekroczyła próg. Nikt nie zajął jeszcze swojego miejsca.

– Czy wasza wysokość życzy sobie rozpocząć... spotkanie? – W ciszy padło niespodziewane pytanie. Spojrzała na Archera Milesa i na moment zamarła, kiedy zobaczyła jego minę. Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że podoba mu się ta sytuacja. Coś w jego oczach sugerowało Rainie ukryte zamiary oraz niepokojące poruszenie.

– Tak – odparła, odzyskując rezon. – Miejmy to już za sobą.

Machnięciem ręki dała wszystkim znać, że mogą usiąść. Czterech medyków, dwóch członków Rady w postaci Milesa i Ewana Bancrofta, przedstawicielka Korony – tak według tradycji i prawa miała wyglądać komisja, która po dokładnym zapoznaniu się z dowodami mogła wydać oficjalny list gończy i określić nagrodę za

głowę zdrajcy. Samo jej słowo nie było wystarczające przy tego typu zbrodniach, a sprawę pogarszał fakt, że jedyny świadek wydarzeń na błoniach Glandiru znajdował się pod czarnym prześcieradłem. Ani Bash, ani Vas i Veer nie mogli poprzeć jej wyroku. Nikt z nich nie był przy Rose od początku starcia z Tomaszem. Nikt nie widział okropieństw, które jej wyrządził. Udało jej się przekonać wszystkich do obecności Veera tylko dlatego, że miał doświadczenie medyczne i służył za eksperta w kwestii magii jeźdźców. Gdyby nie to, byłaby tutaj kompletnie sama.

Asystent medyków, młody chłopak stojący dotąd pod ścianą za plecami swoich mistrzów, na jakiś niewidzialny sygnał przeszedł przez pomieszczenie i zatrzymał się przy stole. Z założonymi rękoma czekał na znak rozpoczęcia sekcji.

Kiwnięcie głową wymagało od Rainy znacznie więcej wysiłku, niż się tego spodziewała. Opalone dłonie chłopaka delikatnie złapały za skrawki materiału zalegające tuż ponad głową Rose, a następnie zsunęły go, odsłaniając każdy centymetr jej bladego, nagiego ciała.

Doskonale zrozumiałaby reakcję swojego organizmu na ten widok, gdyby dostrzegła rozkładające się tkanki oraz napuchnięte, sine członki opatrzone krwawymi plamami. Zamiast tego jej oczom ukazała się Rose, po prostu Rosie. Posiniaczona, w wielu miejscach poraniona, odrobinę bledsza niż zazwyczaj, o skórze przejrzystej jak mleko rozcieńczone z wodą, jednak nadal jej mała Rose. Veer wspominał Rainie o rytuałach jeźdźców. Z jego słów zrozumiała niewiele. Po zachodzie słońca zabrali ją z powrotem na pole bitwy, do miejsca, gdzie leżało ciało jej martwego smoka, co było jednym z elementów skomplikowanego rytuału. Trudno było Rainie objąć umysłem nieznaną tradycję oraz pełne dziwnych słów modły.

– Smok zawsze będzie chronił swojego jeźdźcę, Raino – powiedział jej wtedy Veer, gdy w panice obserwowała ciało Qadira pożerane przez ogień. Rose była obok niego, jednak płomień nie trawił jej ciała.

Teraz wszyscy zebrani wyglądali na skonsternowanych. Medycy wyciągali szyje, najwyraźniej nie wierząc własnym oczom. Pytali siebie nawzajem, ile czasu minęło od jej śmierci.

– Czas nie jest istotny – wyjaśnił im Veer. – Waszym zadaniem nie jest teraz liczenie dni, lecz zebranie dowodów, które dzięki jeźdźcom

nadal tu są. Stan, w jaki zmarłego jeźdźca wprowadza smocza magia, jest dla mnie zupełnie naturalny. Pokazuje siłę więzi łączącej dwie dusze.

Veer patrzył niepokornie na zebranych, jakby wyczekując czyjejś reakcji na swoje słowa. Raina natomiast odwróciła wzrok, modląc się w duchu, by członkowie Rady nie uznali jego wyjaśnień za jakiegoś rodzaju bujdę lub świętokradztwo. Medycy wysłuchali jeźdźca z zainteresowaniem. Bancroft i Miles obrzucili go jednak niezbyt zadowolonymi spojrzeniami.

– Rytuały pożegnalne mojego ludu nie wpływają w żadnym stopniu na obecną sytuację. Wszystkie obrażenia, jakie widzicie, wszelkie rany i zadrapania pozostały w takim stanie, w jakim dopadła ją śmierć, dlatego też nie musicie dodatkowo rozmyślać, czy zostajecie wprowadzeni w błąd. Magia jeźdźców nie powinna zaburzać waszego osądu.

Po jego słowach lekarze wstali ze swoich miejsc i zaczęli krążyć wokół Rose, aby obejrzeć ją z każdej strony. Asystenci podążali za nimi krok w krok. Na polecenie swoich przełożonych podnosili jej ręce, nogi, obracali głowę, odgarniali na bok włosy, żeby lepiej zbadać i wiernie opisać obrażenia w swoich raportach. Cicho dyskutowali na temat przyczyny poszczególnych nacięć. Czy szarpana rana na plecach powstała w wyniku cięcia mieczem, a może przez otarcie o ostre kamienie? Siniec na twarzy sugerował uderzenie pięścią, a może upadek?

Raina słuchała ich, ale jednocześnie nie rozumiała padających słów. Przed oczami stanął jej moment, w którym biegła przed siebie, gdy zobaczyła walkę Tomasa i Basha. Dokładnie widziała, jak przyjaciel odwraca się na moment w jej kierunku, dostrzegła Tomasa zasadzającego się na niego z włócznią, jednak nadal nie wiedziała, co właściwie stało się chwilę potem. Jakim cudem Rose znalazła się pomiędzy nimi? Raina była pewna, że użyła magii. *Widziała*, jak tworzy iluzję samej siebie. Była wszędzie dookoła, w wielu wersjach, dokładnie tak samo jak podczas walki z Qadirem na arenie. Czy użyła tej samej sztuczki, ponieważ wiedziała, że wcześniej uratowała jej życie? Jeśli tak, to jakim cudem udało jej się stanąć pomiędzy Tomaszem a Sebastianem, jeśli chwilę wcześniej leżała na ziemi?

Obserwowanie, jak medycy badają ciało jej siostry, sprawiło, że zapragnęła poskładać tamtą chwilę w całość. Dowiedzieć się, dlaczego Rose uznała, że użycie magii jest odpowiednim rozwiązaniem. Czemu użyła swoich ostatnich sił, by stworzyć iluzję dopiero w chwili, gdy ją znaleźli? Mogła bronić się wcześniej, za pomocą magii skołować Tomasza, kupić sobie odrobinę czasu. A może nie miała takiej możliwości...

– Wasza wysokość? – Archer Miles wyrwał Rainę z zamyślenia. Stał obok stołu i trzymał w ręku kartkę, na której zdążył już zapisać kilka linijek. – Potrzebujemy pewnych wyjaśnień, jeśli chodzi o czas powstania obrażeń.

Raina wstała powoli i podeszła do ludzi zebranych wokół Rose. Veer, widząc jej niepewny krok, powoli zaczął zmierzać w kierunku królowej.

– Oceniamy, że przyczyną śmierci była głównie utrata krwi – stwierdził jeden z medyków. – Mamy jednak wątpliwości co do reszty zbrodni zarzucanych Tomasowi Scorpionowi.

– Wątpliwości? – wykrztusiła Raina.

– Cóż, z pewnością doszło do zbrukania jej honoru...

– Nazywajmy rzeczy po imieniu – warknęła. – Doskonale wiemy, co spotkało moją siostrę.

Sądziła, że jej gniew go wystraszy i jednocześnie poruszy wszystkich zebranych. Jednak tak się nie stało. Jediną osobą ogarniętą emocjami była ona sama.

– Musimy sobie zadać pytanie, czy obrażenia twarzy, ramion i reszty ciała nastąpiły w momencie tego haniebnego czynu, czy przed nim – kontynuował Miles, kompletnie nieporuszony jej rozkazem. Chciała, żeby przestał owijać w bawełnę i podszedł poważnie do stojącego przed nim zadania.

– Można by wysunąć tezę, że księżniczka Rosemary wzięła wcześniej udział w jakimś starciu i wiele ran zostało zadanych przez kogoś innego – dodał Bancroft.

– Nie było możliwości, by cokolwiek złego spotkało ją przed starciem z Tomaszem – rzucił oburzony Veer. – Cały czas była w obozie pod opieką strażników. Dopiero potem wyleciała na Qadirze.

– Czy któryś ze strażników jest w stanie potwierdzić, że księżniczka opuściła obóz w pełni zdrowa? – dopytał Bancroft.

Raina i Veer spojrzeli po sobie, szukając pomocy. Nie miała pojęcia, kto pilnował Rose. Nie pamiętała twarzy strażników, nie znała ich imion ani dowódców, którym służyli. Samo określenie, czy pochodzili z Manstaru bądź Kalindoru, graniczyło z cudem. Po zmianie planów przez generała Lashana wiele rzeczy przebiegało bez jej wiedzy.

– Zakładam, że nie – skwitował Ewan, uśmiechając się lekko pod nosem. Ciche prychnięcie opuszczające jego usta wtłoczyło ogień w żyły Rainy.

– Potem już nikt jej nie widział, prawda? – Miles nie odpuszczał.

– Spotkałyśmy się pod bramami Glandiru. Ona i jej smok pomogli mi oczyścić drogę do pałacu – powiedziała Raina, z całych sił starając się zachować spokój. Poddanie się emocjom nie wchodziło w grę. Chwilę wcześniej jej rozkaz został zignorowany, przez co zdała sobie sprawę, że gniew nie robi na nikim wrażenia.

– Wasza wysokość nie była wtedy sama, więc może któryś z obecnych żołnierzy byłby w stanie potwierdzić stan księżniczki?

Tristan, pomyślała Raina. Ale jego już nie było.

– Odnoszę wrażenie, że za bardzo odbiegamy od tematu – wtrącił Veer, widząc jej zawahanie.

– Wręcz przeciwnie – odparł Miles i zwrócił się do wszystkich zebranych. – Musimy zrozumieć, że ustalenie przebiegu wydarzeń jest naszym obowiązkiem. Nie możemy kogoś skazać, nie mając pewności, że popełnił on zarzucane mu zbrodnie. Wysłanie listu gończego skutkuje zaangażowaniem wielu osób. Od strażników, poprzez oddziały wojsk na szlakach i w miastach, aż do posłańców, którzy dostarczą wieści lordom.

– Dodatkowo nie mamy dokładnej wiedzy na temat stanu skarbcza, co utrudnia oszacowanie nagrody za pojmanie Tomasa Scorpionova, *o ile jest on winny* – Bancroft bez wahania włączył się w rozmowę, brzmiąc tak, jakby wcześniej ustalał swój udział z Archerem.

Wszyscy pokiwali głowami. Raina poczuła się bezsilna. Wyrażali aprobatę dla jego słów. Jak miała ich przekonać, że mówiła prawdę, skoro nie słuchali jej, nawet będąc jej poddanymi?

– Rozumiem, że nikt tutaj nie ufa świadectwu swojej królowej? – zapytała, splatając dłonie przed sobą. – Niezależnie od tego, co powiem, nieważne, jak barwny i szczegółowy będzie mój opis wydarzeń na błoniach, i tak moje zeznania zostaną podane w wątpliwość?

– Wasza wysokość jest również siostrą księżniczki – powiedział Miles, jakby nie była to rzecz oczywista. Wyraźnie traktował ją z góry, jakby uznał, że potrzebuje wyraźnego przedstawienia faktów.

– Gdyby wasza wysokość nie sprawowała obecnie władzy, nie zostałaby dopuszczona do tego spotkania.

– Co w takim razie z zeznaniami innych osób? – zapytała. – Dopuściliście Veera tylko ze względów medycznych. Jednak on też był na miejscu i jest w stanie potwierdzić, że przed atakiem Tomasa moja siostra była cała i zdrowa. Jego brat również to poświadczy, tak samo jak mój namiestnik oraz łowca James.

– Z pewnością mają wiele do powiedzenia, jednak nie możemy mieć pewności, że nie dochodzi tu do próby oszustwa – Miles nie dawał za wygraną. Już nawet nie zajmował się swoim zadaniem. Odłożył arkusz oraz pióro na stół i odwrócił się od medyków. Interesowała go tylko przepychanka z Rainą.

– Sugerujesz, lordzie Miles, że stoję na czele jakiegoś spisku wymierzonego przeciwko Scorpionowowi? – warknęła.

– Prawo wymaga od nas określenia wiarygodności świadków i wybranie tylko tych, których bezstronność nie budzi wątpliwości – zbył ją Ewan. – Wasza wysokość może nadzorować przebieg tego spotkania, zadbać o to, by przebiegało w zgodzie z tradycją i z szacunkiem dla zmarłej. Nie możemy jednak opierać się na świadectwie, które wasza wysokość prezentuje, z powodu pokrewieństwa. Lord namiestnik był blisko związany z księżniczką, z jego słów po zakończeniu starcia jasno wynikało, że byli zaręczeni. To skreśla go jako świadka. Co do jeźdźców zaś...

Urwał, ponieważ poczuł na sobie wzrok Veera. Raina zaczęła się zastanawiać, kto z nich prędzej wybuchnie.

– Jesteśmy zapewne wykluczeni z zeznań przez bliskie, magiczne połączenie, którego wy nie jesteście w stanie zrozumieć – warknęła Veer i gwałtownie założył ręce na piersi. Górował nad niskim Ewanem. Raina spodziewała się, że lord przejmie się lub chociaż

jakkolwiek zareaguje na jego gniew, jednak Bancroft zdawał się w ogóle nie postrzegać Veera jako zagrożenia.

– Mieliśmy raczej na myśli fakt, że wasz status w Zjednoczonym Królestwie nadal jest nieokreślony, dopóki jej wysokość nie podejmie odpowiednich kroków. Teoretycznie nie jesteście nawet jej poddanyami, co wyklucza was z brania udziału w jakichkolwiek sprawach wagi państwowej. Dodatkowo... tak, ma pan rację, nie znamy natury magii. Oficjalnie nadal jest ona karana i nielegalna, więc nie możemy mieć pewności, że w jakimś stopniu nie zaburza waszego osądu oraz postrzegania sytuacji – Miles nawet nie starał się zabrzmieć uprzejmie i profesjonalnie.

Mówił niedbale, jakby wszystkie te argumenty wcale nie zostały przygotowane specjalnie na tę okazję. Łatwość, z jaką przychodziło mu manewrowanie pomiędzy zakazami i prawami, przyprawiała Rainę o mdłości. Zrozumiała, że niezależnie od tego, co zrobi, on i tak postawi na swoim.

– Do czego więc to wszystko zmierza? – zapytała Raina. – Odrzucicie wszystko, co podaję wam na tacy, i sami stworzycie obraz zbrodni na nowo? Wy, ludzie, którzy nawet nie postawili nogi na polu bitwy?

– Opiszemy przebieg zdarzeń na podstawie dowodów – odezwał się nieśmiało jeden z medyków. – Jesteśmy w stanie stwierdzić wiele rzeczy, badając ciało.

– Na przykład? – Veer zachęcił ich do wysuwania wniosków. Podeszedł do stołu, chcąc dokładnie prześledzić ich tok myślenia.

– Na przykład jej dłonie. – Asystent na znak medyka uniósł rękę Rose, żeby wszyscy mogli ją obejrzeć. – Prawa została ewidentnie zmiażdżona, jakiś ciężki przedmiot uszkodził kości i tkanki, dlatego jest tak zniekształcona. Przypuszczam, że uraz powstał przy użyciu ciężkiego narzędzia, może kamienia bądź silnego uderzenia.

– Na błoniach, szczególnie w okolicy lasu, jest dużo skał – przytaknął mu inny lekarz.

Raina patrzyła, jak wymieniają kolejne obrażenia i dyskutują na temat ich przyczyn, z poczuciem, że bierze udział w jakiegoś rodzaju farsie. Dopowiadali sobie historię, tworzyli ciągi wydarzeń i z każdym kolejnym słowem coraz bardziej zaprzeczali każdej wskazówce Veera. Gdy rozmawiali o ranach na twarzy Rose, jeździec starał się,

jak mógł, żeby na konkretnych przykładach pokazać im rodzaj ciosów, jakie na nią spadły. Pęknięta warga ich zdaniem nie sugerowała uderzenia, lecz upadek. Rozbita głowa mogła być wynikiem przewrócenia się na plecy, tak samo jak rany na łopatkach. Nie widzieli tego co on i Raina. A raczej nie chcieli zobaczyć.

– Atak Scorpionova nie mógł być tak straszliwy, jak wasza wysokość zakłada. – Miles wtrącił się w pewnym momencie, gdy przeszli do badania brzucha Rose. – Rana zadana przez włócznie sięga pleców, zatem w momencie jej zadania księżniczka musiała stać o własnych siłach. Wątpię, by oprawca był w stanie samodzielnie utrzymać ją tak, by zadać cios, do tego zakutą w kajdany.

Raina panicznie zerknęła na nadgarstki siostry i z przerażeniem zauważyła koliste otarcia przypominające bransoletki.

– Czy wasza wysokość ma jakieś sugestie co do sytuacji, w której powstała ta rana? – zapytał uprzejmie Miles, zupełnie jakby jeszcze chwilę wcześniej nie wyjaśniał, że jej zdanie się nie liczy.

Raina nie była w stanie odpowiedzieć na jego pytanie, ponieważ dopadła ją wątpliwość. Widziała, jak Rose używa magii. Wszyscy widzieli zamieszanie, jakie rozpętała swoimi iluzjami, jednak nie miała pojęcia o tramancie. Była zakuta w niego wcześniej? Czy to właśnie dlatego Tomas był w stanie dopaść ją bez większego problemu? Kiedy została oswobodzona i czy zrobiła to samodzielnie, czy może to Tomas zdjął je z niej, zanim przybyli? Ale po co miałyby to zrobić, żeby jeszcze bardziej ją dręczyć?

– Moja siostra użyła magii, by zasłonić sobą lorda namiestnika – wyszeptała, zdając sobie sprawę, jak źle brzmią jej słowa.

– Była więc w stanie się poruszać? – dopytywał Ewan.

– Ledwo – oświadczył Veer. – Ostatkiem sił użyła iluzji, by znaleźć się pomiędzy Sebastianem a Tomaszem.

– To każe mi zadać pytanie, dlaczego nie użyła tej mocy wcześniej – mruknął Miles.

Raina przymknęła oczy i wzięła wdech. Wiedziała, że do tego dojdzie, i nienawidziła Archera z całych sił.

– Widzicie przecież otarcia od kajdan – klócił się Veer. – Były zrobione z tramantu. Nie mogła korzystać z mocy.

– Widział je pan? – zapytał medyk. – Zbadał pan owe kajdany i z całą pewnością może poświadczyć, czy były wykonane z tramantu, a nie z żelaza?

– To chyba oczywiste – oburzył się jeździec. – Gdyby mogła korzystać ze swoich mocy, gdy ten bydlak ją krzywdził, udałoby jej się go powstrzymać.

– Nie tego dotyczyło pytanie.

Veer patrzył na Ewana wzrokiem, z którego sypały się iskry. Raina już unosiła ręce, by odruchowo odciągnąć jeźdźca od lorda, jednak zawahała się, gdy wyczuła rosnące dookoła napięcie. Medycy stali bez ruchu, a Ewan i Archer obserwowali Veera, jakby marzyli o eskalacji agresji, dzięki której mogliby usunąć go z sali.

Veer ostatkiem sił opanował się, a z jego ust wyrwał się tylko pełen niedowierzania rechot.

– Nie, nie widziałem ich. Interesowało mnie ratowanie jej życia, a nie szukanie dowodów, które i tak byście skreślili.

– Nikt tutaj nie skreśla dowodów. – Archer uśmiechnął się półgębkiem, niezbyt starając się ukryć swoje zadowolenie. – Staramy się jedynie ustalić fakty.

Raina dostrzegła, jak wielką przyjemność sprawia mu popisywanie się swoją władzą. Miała prawo do własnego zdania. Istniało wiele rozkazów, które mogła wydać, jednak mimo wszystko mnóstwo spraw pozostawało poza jej zasięgiem. Prawo Elendoru było specyficzne i nie gwarantowało władzy absolutnej. Oferowało przywileje, czasami zezwalało na samodzielność władcy, jednak głównie polegało na sile i woli całej Rady. Kiedy była młodsza, ojciec wyjaśnił jej, że w sprawach państwowych głos władcy liczył się podwójnie, jednak w Radzie zasiadały jeszcze cztery inne osoby. Bez ich poparcia jej głos nie miał znaczenia. W starciu z Bancroftem i Milesem tkwiła więc w impasie.

– Faktem jest, że księżniczkę spotkała ogromna tragedia – stwierdził jeden z medyków. – Jednak nie znaleziono przy niej niczego, co jednoznacznie wskazywałoby na tożsamość oprawcy. Możemy jedynie zbadać obrażenia i na tej podstawie uznać ją za ofiarę zbrodni wojennej.

– W którym momencie przeszliśmy od podważania konkretnych krzywd, które wyrządził jej Scorpionov, do kwestionowania jego

winy? – oburzył się Veer. – Zamordował ją na naszych oczach! – podniósł głos. – Sebastian walczył z nim na miejscu zbrodni, a wy twierdzicie, że nie możecie uznać go za zbrodniarza?!

– Musimy pozostać obiektywni względem prawa, które stanowimy – odparł spokojnie Ewan. – Wydawanie bezpodstawnych wyroków podważa kompetencje Rady oraz samej Korony, a nie chcemy przecież, by uznano jej wysokość za władczynię autorytarną.

– Pozwolicie więc, żeby ten człowiek był wolny? – kontynuował Veer. Raina nie znalazła w sobie sił, by go wesprzeć. Wpadła w otępienie, przez co tylko obserwowała jego gniew. Jej wzrok spoczął na trupiobladej twarzy Rose.

Z przerażeniem zrozumiała, że ją zawiodła. Nie była w stanie ani jej wcześniej ocalić, ani teraz zawalczyć o sprawiedliwość.

– W tej sytuacji możemy wyłącznie dokończyć swoje sprawozdania i wysłać listy poszukiwawcze. Jeśli któryś z żołnierzy lub patroli spotka Tomasa Scorpionova, będzie miał obowiązek przyprowadzić go na przesłuchanie – wyjaśnił rzeczowo Archer.

– Czy w takim razie podobnego werdyktu mogę też spodziewać się w kwestii jego ojca? – zakpiła Raina. – Jakich świadków możemy znaleźć, by udowodnić jego uzurpatorstwo? Moje słowa przecież nie mają znaczenia.

– Cała Rada jest zgodna co do udziału Gertranda w zamachu na jej wysokość – zapewnił Miles i wykonał delikatny ukłon, który zdawał się raczej szyderstwem niż wyrazem szacunku. – Hershel Lashan zebrał wszelkie zeznania pod nieobecność waszej wysokości. W tajemnicy przed uzurpatorem przesłuchiwał jego służących oraz oddanych mu żołnierzy.

– Więc kiedy to Rada zbiera dowody, są one akceptowane – prychnęła.

– Lord Lashan nie był bezpośrednio związany z Gertrandem, działał też dla dobra Korony i zgodnie z...

– Prawem – przerwała mu. – Wszystko zgodnie z prawem.

Archer zamilkł z zadowoleniem. Pokiwał tylko głową i ponownie skłonił się w wyczekiwaniu na dalsze słowa królowej. Raina jednak nie miała już nic do powiedzenia.

– Proszę kontynuować – rzuciła tylko i odwróciła się na pięcie, by zająć swoje miejsce. Wzięła do ręki pióro, by najszczegółowiej, jak potrafiła, opisać wszystkie okropności, które spotkały Rose.

Rozdział 9

ANTOINETTE

Nie spała, gdy wczesnym rankiem otworzyły się drzwi. Siedziała na łóżku okryta pierzyną, lecz nie podniosła się, by zobaczyć, kto wszedł do środka. Była niemal pewna, że za chwilę jej oczom ukażą się dwie dobrze znane postacie, z czego jedna była tu wyjątkowo niemile widziana.

Yrsa otworzyła cicho drzwi sypialni. Widząc, że Antoinette nie śpi, przywitała ją, po czym wskazując głową za siebie, szepnęła:

– Ochmistrzyni.

Pani Oesterberg mamrotała coś pod nosem, gdy otwierała okna, by przewietrzyć salon, zapewne złorzecząc wszystkiemu i wszystkimi. Przecięła pokój i niemal znokautowała Yrsę gwałtownym wymachem ręki. *Krzywdzi ją, warknęły głosy. Jej przyjaciółkę. Musi ją ukarać.*

Może to przez emocje, które ogarnęły ją poprzedniego dnia, a może przez brak należytego snu, Antoinette wypadła z sypialni jak strzała wystrzelona z łuku.

– Jest i ona – prychnęła ochmistrzyni.

Antoinette stanęła przed kobietą i zasłoniła tym samym Yrsę. Była całkowicie skupiona na pani Oesterberg. Jej świat skurczył się do chłodnych oczu ukrytych za okularami, wąskich, bladych ust i zmarszczonego czoła.

– Co zrobiłaś? – Głos Antoinette był zachrypły i nieprzyjemny.

– Za kogo się uważasz, dziewucho? – warknęła bez zastanowienia ochmistrzyni. – Pokazałaś już, że za dużo sobie pozwalasz. Nie masz prawa mnie odsyłać ani mnie do siebie przywoływać. Możesz tytułować się jakkolwiek zechcesz, ale to tylko ułuda, rozumiesz? Nie masz żadnej władzy, żadnej pozycji. Jesteś głupią dziewczyną z nizin, naiwną i tak samo szaloną jak królewski brat.

W tym momencie głosy w Antoinette zamieniły się w burzę. Nie zamierzała powstrzymać tej nawałnicy. Wystarczyło mrugnięcie, a jej oczy pokryły się czernią. Po pokoju przeszła fala energii, która wprawiła w drżenie porcelanową zastawę ustawioną na stole. Antoinette pozwoliła swojej magii płynąć, wciąż mierząc spojrzeniem ochmistrzynię, która cofnęła się o krok, zaskoczona.

– Ułuda – powtórzyła za nią Antoinette. – A więc to wszystko dzieje się tylko w twojej głowie.

Ogarnął ją gniew. Gdyby tylko mu się całkowicie poddała, dodałby jej sił na tyle, by zacisnąć dłonie na gardle ochmistrzyni. Była tak blisko. Wystarczyło wyciągnąć rękę i...

Wtedy niespodziewanie pani Oesterberg zaczęła się dusić. Przytknęła dłonie do szyi, jakby chciała zerwać z siebie pęta powstrzymujące jej oddech, lecz przecież niczego tam nie było.

– Nette!

Przerażenie w głosie Yrsy wybudziło Antoinette z transu. Mrugnęła i jej oczy wróciły do normalnego koloru, a powietrze przestało drżeć.

Oparta o stół ochmistrzyni z trudem wzięła kilka głębokich wdechów.

– Wyjdź – rzuciła lodowato Antoinette. Gdy kobieta nie zareagowała na polecenie, wskazała wyciągniętym palcem drzwi, po czym powtórzyła: – Wyjdź stąd.

– Ale ona idzie ze mną – rzekła z trudem pani Oesterberg, kiwając głową w stronę Yrsy. Gdy szła do drzwi, dwukrotnie obejrzała się przez ramię, jakby bała się kolejnego ataku.

Yrsa uściśnęła przelotnie dłoń przyjaciółki i podążyła za ochmistrzynią. Udało jej się jednak złożyć bezgłośnie obietnicę:

– Wrócę.

Antoinette długo wpatrywała się w zamknięte już drzwi, zastanawiając się, czego tak naprawdę właśnie dokonała.



Po południu w apartamencie Kruczej Wiedźmy, oprócz Yrsy i wciąż przestraszonej pani Oesterberg, pojawiła się także Siena. Antoinette nie widziała jej od powrotu do Gniazda. Choć nie tak dawno obie służyły Fiyonnowi, nigdy nie udało im się nawiązać bliskiej relacji. Siena zawsze zdawała się zdystansowana i nie wynikało to chyba ze strachu czy zagubienia jak w przypadku Kaydy. Antoinette tłumaczyła sobie, że była jedną z tych osób, które nie czują potrzeby zaprzyjaźnienia się z innymi członkami służby.

Ochmistrzyni trzymała się raczej z dala, jedynie obserwowała, jak przebiega proces szykowania Nette na spotkanie z królem. Przez większość czasu stała przy oknie z ramionami skrzyżowanymi na piersi i wyglądała na zewnątrz. Za każdym razem, gdy Antoinette na nią patrzyła, jej spojrzenie uciekało gdzie indziej. *Boi się*, szeptały głosy. *Tak jak powinna*, odpowiadała im w myślach.

Żadna z pokojowych nie odezwała się słowem, więc i Antoinette milczała. Pozwoliła ubrać się i uczesać. Czuła się jak lalka. Suknia, którą dla niej przygotowano, była piękna. Miała zabudowaną górę i lejącą spódnicę z ciężkiego materiału, jednego z tych, które najlepiej wyglądają w ruchu. Najbardziej efektowne były jednak rękawy sięgające aż do ziemi, imitujące pelerynę. Nałożony na głowę Antoinette długi welon sprawiał, że całość przypominała czarną kapłańską szatę.

Choć w szkatułce, którą przyniosły służące, pełno było biżuterii, ozdoby były raczej skromne. Yrsa delikatnie zapięła na uszach Antoinette klipsy, a szyję ozdobiła kryształową kolia. Wszystkie jej ruchy były powolne i łagodne, jak gdyby pragnęła w ten sposób zapewnić przyjaciółkę, że wciąż jest po jej stronie.

Kiedy służące od niej odstały, Antoinette wraz z ochmistrzą udąły się do sali tronowej. Pani Oesterberg szła szybkim krokiem, a obie dłonie miała zaciśnięte w pięści. Jej serce biło w nerwowym tempie, z pewnością nie z powodu balu.

Trudno było nie wspominać poprzedniego przyjęcia, które odbywało się tu późną jesienią. Wtedy jednak Antoinette była ubrana

w prosty strój młodszej ochmistrzyni, a jedyną jego ozdobą była srebrna brosza. Wciąż miała w pamięci Fiyonna okrytego peleryną z piór, który kroczył ze skwaszoną miną do sali balowej. Antoinette była pewna, że wyglądała teraz na równie niezadowoloną co wtedy arcyksiążę. Choć jeszcze wczoraj była pewna swojego planu, teraz zaczęły ogarniać ją wątpliwości. Wzięła głęboki wdech i ułożyła dłonie przed sobą tak, by było widać na jej palcu Krucze Oko. Nie mogła pokazać, że się boi.

Choć całe życie mieszkała i pracowała w Gnieździe, wizyty w sali tronowej mogła policzyć na palcach jednej ręki. Gdy więc otworzyły się przed nią drzwi, Antoinette zawahała się. Miała przed sobą ogromne pomieszczenie, do złudzenia przypominające wnętrze Vande Sjel. Podobnie jak w świątyni, na drugim końcu sali znajdowało się podwyższenie – nie postawiono na nim jednak gigantycznej rzeźby Mędrca, lecz dwa trony, które w blasku popołudniowego słońca mieniły się srebrem i złotem. Na wyższym z krzesel zasiadał Valiant, a po jego lewej stronie – Ingvild, która akurat gawędziła z kimś, kogo Antoinette nie rozpoznawała. Po prawicy króla powinien stać namiestnik, jednak ten był nieobecny.

W porównaniu do przyjęcia urodzinowego królowej, do Gniazda nie przyjechało wielu gości, co zapewne wynikało z braku czasu. Korona musiała wysłać zaproszenia chwilę po tym, jak Antoinette i Fiyonn przybyli do stolicy. Zwykle tego typu wiadomości dostaje się z o wiele większym wyprzedzeniem. Ale tym razem z jakiegoś powodu Koronie wyjątkowo się spieszyło.

Antoinette nie zdążyła jeszcze zrobić kroku, a już dotarło do niej, że choć miejsc było stosunkowo niewiele jak na tego typu uroczystość, wszyscy zaproszeni są już obecni na sali i mają przydzielone siedzenia. Czekali tylko na nią. Specjalnie została wprowadzona do sali tronowej jako ostatnia.

Gwardziści, którzy otworzyli przed nią drzwi, stanęli po jej bokach. Wtedy też ochmistrzyni dźgnęła Antoinette palcem w plecy.

– Ruszaj się – mruknęła.

Zwalczyła pokusę, by obrócić głowę i posłać w kierunku pani Oesterberg ostrzegawcze spojrzenie. Zamiast tego ruszyła do przodu. Żołnierze nie odstępowali jej na krok, jakby była niebezpieczną przestępczynią, a nie dziedziczką Moiry. Nie wiedząc

do końca, co zrobić, szła przez sam środek sali, wbijając spojrzenie w podłokietnik tronu Valianta. Z każdym krokiem zbliżała się do królewskiej pary, przy okazji zwracając na siebie uwagę wszystkich gości. Na podwyższeniu nie ustawiono stołu dla Korony, więc miał być to jeden z tych bankietów, w trakcie których królewska para schodzi z tronów i siada z resztą gości.

Zatrzymała się w – jak jej się wydawało – odpowiedniej odległości i czekała. Nie ukłoniła się i nie odezwała słowem, co niewątpliwie sprawiło Ingvild w zakłopotanie. Królowa zwróciła się do męża, lecz ten nie odrywał spojrzenia od Antoinette. On również czekał, tak jakby dawał jej szansę na naprawienie błędu. Ona jednak tkwiła w miejscu, nieruchoma jak posąg. Po chwili ciszy, która zapadła na sali, goście przy stołach zaczęli szeptać.

Długo zastanawiała się, co powinna powiedzieć. Zbyt długo. Wszystko, co przychodziło jej do głowy, nie chciało przejść przez gardło.

W końcu zabrała głos:

– Dziękuję wszystkim za przybycie w imieniu Korony i własnym.

Kącik ust Valianta nieznacznie uniósł się, a po chwili wyraz zadowolenia rozlał się na jego twarzy.

– Jesteśmy zaszczyceni, że żyjemy w czasach, w których Los pobłogosławił nas narodzinami kolejnej Córki Moiry – powiedział, a po sali niespodziewanie poniosły się brawa.

Antoinette starała się wyglądać na niewzruszoną. Z całych sił powstrzymywała się, by nie rozejrzeć się po pomieszczeniu.

Valiant wstał i podszedł do niej. Jego twarz wciąż zdawała się mieć przyjazny wyraz, lecz oczy tego nie oddawały.

– Uniesiesz ten welon? – warknął na tyle cicho, by nikt poza Antoinette go nie usłyszał.

Nie widziała sensu w zaciekłym stawianiu się wszystkiemu, co powie lub zrobi Valiant, więc jednym ruchem odwinęła welon i odrzuciła go do tyłu tak, że teraz zakrywał wyłącznie jej długie włosy.

Wtedy też Valiant ujął jej lewą dłoń i pocałował ją, a następnie odwrócił Antoinette przodem do gości.

– Ten dzień przejdzie do historii Tesarythu. Będzie opisywany przez kronikarzy wszystkich Wielkich Rodów i wspominany za

kilkaset lat, bowiem Krucze Oko znów znalazło swoją właścicielkę. – Valiant przemawiał z pewnością i charyzmą kogoś, kto robi to od lat. W jego głosie nie było nawet nuty zawahania. – Korona jest wdzięczna wszystkim, którzy przybyli dziś do Gniazda, by być świadkami tego niezwykłego wydarzenia.

Antoinette powiodła wzrokiem po sali. Po lewej stronie zasiadała między innymi żona namiestnika, księżna Corvus, wraz z córkami, a także hrabia Eterlan ze swoim najmłodszym synem i dwie damy dworu Ingvild. Po prawej zaś Antoinette dostrzegła hrabinę Ariete siedzącą koło Fyodory, a także reprezentantów rodziny Feidlech. Jej wzrok skupił się jednak na postaci, której od dawna w Gnieździe nie widziała, a o której zawsze wszyscy mówili. Był istną gwiazdą w tesaryckiej socjocie.

Tuż obok jednego z doradców Valianta siedział najbliższy przyjaciel Fiyonna, książę Kieran Delbatich. Strój w odcieniu zgaszonej czerwieni podkreślał jego porcelanową skórę i jasne włosy. Sprawiał wrażenie, jakby ktoś nakreślił jego postać nienasyconymi farbami, przez co wyglądał bardziej jak wytwór wyobraźni niż człowiek z krwi i kości.

Najbardziej uderzająca była nieobecność Królowej Wdowy, która w Gnieździe nie pokazała się od koronacji Valianta.

Miejsce znalazło się także dla gubernatora Habijeva i jego świty. Ubrany w zielony płaszcz i jasną koszulę, zdecydowanie wyróżniał się na tle reszty. Z błyszczącymi oczami wpatrywał się w Valianta i Antoinette, jak gdyby nigdy nie widział czegoś tak zachwycającego.

Kiedy nagle niektórzy z gości zaczęli wstawać, podniósł się i on, a za nim wszyscy inni obecni Vijandczycy. Niektórzy skłonili głowy, inni zaczęli anemicznie bić brawo. Cała ta scena w oczach Antoinette wypadła co najmniej niezręcznie.

– Jedźmy więc – polecił Valiant, po czym zaprowadził Antoinette do stołu.

Miała siedzieć między nim a jedną z córek namiestnika, której imienia za nic nie mogła sobie przypomnieć. Gdy Antoinette zajęła swoje miejsce, dziewczyna uśmiechnęła się do niej i skinęła głową, chyba nawet coś powiedziała, lecz Antoinette słyszała tylko szum. Miała wrażenie, jakby znajdowała się pod wodą. Wszystkie głosy,

które dochodziły do jej uszu, stały się zniekształcone, każdy ruch zdawał się być wykonywany w zwolnionym tempie.

Po sali kręciła się służba, która ustawiała na stołach jedzenie i napełniała kielichy winem. Antoinette zdążyła ledwie wziąć do ręki sztućce, gdy poczuła na sobie czyjeś spojrzenie. Książę Delbatich nie odrywał od niej wzroku również wtedy, gdy mówiła do niego jego matka. Nawet mimo dzielącej ich odległości Antoinette była w stanie zauważyć, jak wiele cech odziedziczył po matce pochodzącej z królewskiej rodziny: szczupłą, pociągłą twarz, prosty nos i głęboko osadzone oczy. Przypominał Fiyonna bardziej niż sam Valiant. Antoinette zwalczyła pokusę opuszczenia wzroku. Obiecała sobie, że nie będzie tego robić. Wtedy też książę uśmiechnął się lekko, po czym zajął się jedzeniem.

– Jak udała się wycieczka do miasta? – zapytał nagle Valiant.

– Było... – Z rozchylonych ust Antoinette nie wydobył się żaden dźwięk. Magia powstrzymywała ją przed powiedzeniem wszystkiego, co przychodziło jej do głowy. Nic z tego nie było do końca prawdą.

– Słyszałem, że odwiedziłaś Vande Sjel. Dobrze wybrałaś, Krucza Wiedźma powinna być w dobrych kontaktach ze Świątynią.

– Nigdy nie zwiedziłam Flugstadt – wykrztusiła Antoinette, siłąc się na naturalność. – Postanowiłam więc wykorzystać okazję.

Valiant wiedział, że nie może go okłamać, więc zapewne spodziewał się z jej strony półprawd i przemilczanych odpowiedzi. Musiała myśleć szybko, omijać wszystko, co było dla niej niewygodne, i przede wszystkim starać się brzmieć pewnie.

Samo jego pytanie sugerowało, że zna każdy jej ruch. Nic nie umykało jego uwadze. Cokolwiek postanowi i gdziekolwiek się uda – on będzie o tym wiedzieć.

Rozejrzała się dyskretnie. Hrabina Ariete siedziała naprzeciwko niej, więc nie było mowy o tym, by jakoś jej pomogła, a księżniczka siedząca obok chyba zrezygnowała z prób nawiązania rozmowy po tym, jak została wcześniej zignorowana.

– W takim razie może opowiesz mi więcej o spotkaniu z Uświęconą Matką? – Valiant odłożył sztućce, by napić się wina.

– Wydawało mi się słuszne z nią rozmówić – odparła Antoinette – skoro mam być w dobrych kontaktach ze Świątynią.

Spojrząwszy na Valianta, miała nadzieję, że zrozumiał, że podjęła rzuconą przez niego rękawicę.

W czasie całego obiadu Antoinette rozmawiała zdawkowo tylko z kilkoma osobami. Księżna Corvus zamieniła z nią kilka słów, nie wyglądała jednak na kogoś, kto w ogóle był zainteresowany konwersacją. Do tej pory Antoinette spotykała się z dwoma rodzajami reakcji na jej obecność: niesmak albo ciekawość pomieszana z radością, ale księżna sprawiała wrażenie po prostu znużonej. Powód jej zachowania Antoinette poznała całkowicie przez przypadek, gdy kobieta zwróciła się do jednej ze swoich córek. Zdawało się, że celowo mówiła odrobinę zbyt głośno.

– Siedzę przy stole ze służącą, nie uważasz tego za poniżające?

Ingvild troskliwie zapytała, czy podawane dania trafiają w gust Antoinette, a także poinformowała ją o nadchodzącej niespodziance w postaci jakiegoś muzycznego występu. Antoinette raz na jakiś czas rzucała spojrzenia w stronę księcia Delbaticha, by przekonać się, czy wciąż mierzy ją spojrzeniem. Ten jednak przez większość czasu dyskutował z hrabiną Ariete i swoją matką. Zastanawiała się, jakim cudem zdołał przyjechać do Flugstadt. Przez większość roku rezydował w Kuvijacie, stolicy Gallawethu, gdzie pełnił rolę dyplomaty i reprezentował tesaryckie interesy. A może skoro był tak blisko z Fiyonem, to już wcześniej planował przyjazd do stolicy?

Antoinette cieszyła się, że gubernator siedzi nieco dalej, obok Ingvild. Dzięki temu nie musiała martwić się, że będzie zmuszona do nawiązania z nim konwersacji. Spodziewała się jednak, że zaraz po tym, jak wszyscy wstaną od stołu, Habijev będzie pierwszą osobą, która do niej podejdzie. Słysząc go było na całej sali – jego doniosły głos niósł się aż pod sufit, więc wszyscy wiedzieli, kiedy się śmiał, kiedy rozprawiał o tesaryckiej kulturze, a kiedy opowiadał dowcipy. W duchu Antoinette współczuła Ingvild, że została zmuszona do rozmawiania z nim w trakcie całego posiłku.

Nikt nawet nie wspomniał o Fiyonnie. Wszyscy zachowywali się tak, jakby właściwie nie istniał. A przecież ten bal miał być wydany nie tylko dla Antoinette, lecz także dla niego. Mieli świętować jego urodziny.

Gdy większość jedzenia zniknęła z talerzy, a naczynia wyniesiono, królowa wstała z krzesła. Musiała minąć chwila, by goście się

uciszyli. *Gdyby to Valiant wstał, od razu by zamilkli*, pomyślała Antoinette.

– Zanim przejdziemy do drugiej części uroczystości, chcielibyśmy dopełnić pewnych formalności – przemówiła, po czym kiwnęła gwardzistom stróżującym pod drzwiami.

Do sali wkroczył sekretarz królewskiej pary. Miał na sobie odświętny strój, czyli granatową marynarkę z szarfą i medalami. Przed sobą niósł zwój obwiązany grubą wstęgą. Gdy stanął koło tronów i pokłonił się wszystkim zebrany, od stołów odsunęły się kolejne krzesła. Królewska para ruszyła w stronę podwyższenia. Tuż za nimi szedł Habijev oraz księżna Corvus. Gdy gubernator podał jej ramię, przyjęła je, acz niechętnie.

Serce Antoinette zaczęło bić mocniej. *To już teraz*, pomyślała. Rozejrzała się po sali, ale nikt nie patrzył w jej stronę. Goście utkwili wzrok w Valiancie odbierającym dokument od sekretarza. Rozwiązał wstęgę i rozwinął rulon, a w oczach Antoinette robił to nienaturalnie powoli. Schowała dłonie pod stół, by nikt nie widział, jak bardzo zaczęły drżeć. Czekwała na to od początku. Wiedziała, że moment składania przysięgi w końcu nastąpi, nic jednak nie było w stanie jej na niego przygotować.

Nagle głowa księżnej Delbatich odwróciła się i spojrzenie jej niebieskich oczu spoczęło na Antoinette. Nie było w nim pogardy, raczej zrozumienie. Była prawdopodobnie pierwszą osobą na sali, która zorientowała się, czego świadkiem za chwilę będzie.

Antoinette wyobrażała sobie, że jako młodsza siostra poprzedniej władczyni mogłaby teraz stać koło tronu, lecz odkąd Valiant przejął władzę, została właściwie wykluczona z życia dworu. W przeciwieństwie do jej brata, którego wybrano na namiestnika, nie otrzymała żadnego stanowiska. Powszechnie wiadomo było, że księżna nie zgadzała się z decyzją o włożeniu korony na głowę Valianta i dlatego oddaliła się od swojej rodziny. Korytarze Gniazda wiedziały jednak swoje. Antoinette niezliczoną ilość razy słyszała, jak wielkie znaczenie mają jej słowa i decyzje, a szacunek, którym cieszyła się pośród arystokratów, był niepodważalny. Czy wiedziała zatem o przysiędze? Antoinette podejrzewała, że nie, skoro wszystko, co wiązało się z dzisiejszą uroczystością, zostało zaplanowane w takim pośpiechu.

– Los obdarował nas czymś, czego nikt zapewne nie potrafiłby przewidzieć – przemówił Valiant, trzymając przed sobą rozwinięty dokument. – Po ponad dwustu latach wróciła na północ magia Kruczycy Wiedźm. Od samego początku Córy Moiry związane były z Koroną: były doradczyniami, wysłanniczkami i kapłankami. Nie chcemy tej tradycji przerywać.

Niespodziewanie za plecami Antoinette pojawił się królewski sekretarz. Bez słowa puknął ją dwukrotnie w ramię, każąc jej się podnieść. Nogi miała jak z waty. Krzesło, na którym siedziała, odsunęło się z nieeleganckim skrzypnięciem. Sekretarz poprowadził ją dookoła stołu i po chwili znów stała przed tronami.

Nie może tego zrobić, szeptały głosy. Nie robi tego.

One już wiedziały.

– Aby uczcić dzień, w którym Los połączył ścieżki Córy Moiry, Antoinette Corvidae, z tesarycką Koroną...

Valiant zrobił pauzę i spojrzał na swego sekretarza. Mężczyzna wręczył Antoinette dokument bliźniaczy do tego, który trzymał król. Gdy go rozwinęła, ujrzała przed sobą zbitkę nic nieznaczących liter. Wyłapywała tylko niektóre słowa. Przysięgam... Wiernie służyć Koronie... Na życie... Przy przodkach...

Nawet gdyby chciała, nie potrafiła przeczytać całego tekstu, jak gdyby jej oczy nie rozpoznawały liter i sposobu, w jaki się łączyły. Czuła się tak jak wtedy, gdy miała dwanaście lat i po raz pierwszy czytała coś, co składało się z więcej niż trzech zdań.

– Uklęknij – szepnął sekretarz, który cały czas stał za jej plecami.

Ale Antoinette nie mogła tego zrobić. Poczowała na języku kwaśny posmak wykrzywający usta. Głosy w jej głowie szeptały. *Nie robi tego, nie robi tego, nie robi tego.*

Valiant coś powiedział. Pewnie kończył swoje przemówienie mimo tego, że Antoinette nie padła przed nim na kolana. Może to przewidział. Może Ingvild przekonała go, by nie był zbyt surowy.

Gdy na sali zapadła cisza, Antoinette opuściła ręce, w których trzymała słowa przysięgi i przebiegła wzrokiem po twarzach rządzących, stojących przed nią. Księżna Corvus uniosła wysoko brwi, zapewne zdziwiona, że wszystko trwa tak długo. Miała w końcu przed sobą służącą, liczyła więc, że Antoinette wykona polecenie. *Znieważyla ją*, warknął jeden z głosów, podburzając tym samym

inne. Ingvild starała się utrzymać przyjazny wyraz twarzy. Jej usta wygięte były w sposób sugerujący, że jeszcze chwilę temu ciepło się uśmiechała. Może wyczuwała zdenerwowanie Antoinette i w ten sposób chciała jej pomóc. Powstrzymała się jednak przed użyciem magii. Z kolei Habijev wyglądał tak, jakby ktoś przed chwilą opowiedział mu doskonały żart. Uśmiechał się od ucha do ucha, a ręce trzymał złożone przed sobą.

Valiant już wiedział. Całe jego ciało było napięte. Zaciskał zęby, przez co jego twarz zrobiła się bardziej kanciasta, surowsza.

– Krucze Wiedźmy od wieków były związane z tesarycką Koroną – przemówiła z trudem Antoinette. – Nie wiem, czy którakolwiek z nich składała przysięgę, której tekst mi wręczono. Jeśli tak, może wynikało to z obopólnego szacunku, a może z obyczaju. I choć rozumiem powody, dla których się tu zebraliśmy, nie mogę złożyć w dzisiejszym dniu żadnej przysięgi.

Jej uszu dobiegły pierwsze urwane w połowie oddechy. Ona jednak jeszcze nie skończyła. Musiała powiedzieć coś jeszcze, a jeśli nie zrobi tego teraz, nigdy nie będzie miała na to lepszej okazji.

– Nie będę więcej klęczała przed marionetką.

W tej chwili cała sala wybuchła. Krzesła zaczęły szurać, podniosły się oburzone głosy. Habijev nie odrywał spojrzenia od Antoinette, a w jego oczach lśnił psotny blask, jakby jakaś jego część była pod wrażeniem słów, które usłyszał. Ingvild zwróciła się do męża, lecz on w ogóle nie zwracał na nią uwagi.

– Wezwać strażę – rzucił jedynie, po czym samotnie opuścił salę.

Rozdział 10

FIYONN

Gdy otworzył oczy, ujrzał swą twarz odbijającą się w nieruchomej tafli jeziora. Za nią dostrzegał gęste, szare chmury, wyraźnie zwiastujące burzę. Jak gdyby na potwierdzenie tej myśli wiatr rozwiął mu włosy. Był suchy i mroźny, pochodził prosto z gór. Woda wciąż jednak była nieruchoma. Nie przecinała jej ani jedna zmarszczka. Nauczony doświadczeniem, zwracał uwagę na każdy, nawet najmniejszy szczegół. Wszystko mogło mieć znaczenie.

Fiyonn uniósł wzrok. Na drugim krańcu jeziora stała ubrana w czarną suknię Antoinette. Długie, brązowe włosy spływały jej po ramionach.

Nie rozpoznawał tej okolicy. Mógł być wszędzie i nigdzie. Zwykły zagajnik, wysoka trawa rosnąca przy konarach drzew, pałki wodne bujające się na wietrze. Żadnego charakterystycznego punktu. Tylko jezioro, idealnie okrągłe, sugerowało, że miejsce, w którym się znajdował, nie ma prawa istnieć. Chciał je obejść, by zbliżyć się do Antoinette, lecz ona, niczym jego lustrzane odbicie, zaczęła okrążyć jezioro. Szli dokładnie w tym samym rytmie, wpatrując się w siebie nawzajem. Kiedy Fiyonn zmieniał kierunek, ona robiła to samo. Podniósł dłoń, by przekonać się, czy i ten gest powtórzy. Powtórzyła.

Nagle zatrzymała się, choć on dalej szedł, a wtedy poczuł przymus, by zrobić to samo. Antoinette wskazała palcem na tafle jeziora. W jej odbiciu nie byłoby nic dziwnego, gdyby nie woda

ukazująca ją otoczoną gęstym śniegiem. Płatki przylepiały się do jej sukienki i włosów.

Fiyonn skupił się znów na rzeczywistej Antoinette.

– Ciebie tam nie ma – rzekła.

Gdy spojrział w dół, zobaczył tylko wodę. Jego twarz już się w niej nie odbijała, choć widział spadający z nieba śnieg.

Chwilę później otoczyła go ciemność.

Fiyonn zamrugał, strzepując z siebie resztki wizji. Oczy miał lekko zaszklone, odwykł od obrazów. Los już dawno mu żadnego nie zesłał. Na pewno nie takiego.

Powrót do rzeczywistości wiązał się z uderzeniem magii wypełniającej szczelnie dom, do której wciąż nie przywykł. Łaskotała go po skórze, poruszała się wraz z nim, dostosowując się do jego ciała. Z początku Fiyonn był przekonany, że z każdym dniem napięcie nią wywołane będzie się zmniejszać, a magia powoli rozpuści się w powietrzu. Jednak nic takiego się nie działo. Moc była zagnieżdżona w samym sercu Klipetaighu, stanowiła jego esencję.

Zszedł na dół, cały czas nasłuchując. Obie służące były w kuchni, woźnicę wyczuwał poza domem, ale niedaleko, prawdopodobnie zgodnie z otrzymanym wczoraj poleceniem oporządzał budynki gospodarcze albo opiekował się końmi. *Ludo*, przypomniał sobie Fiyonn. Tak miał na imię.

Całą trójkę wyczuwał z łatwością. Mogli znajdować się na drugim końcu posiadłości, lecz mimo to słyszał ich źródła. Czuł się tak, jakby Klipetaigh słuchał razem z nim.

Ani siostry, ani woźnica nie próbowali wracać do Gniazda. Zadomowili się w nowym miejscu dość szybko i nic nie wskazywało na to, że pragnęli uciec. Już przed wyjazdem zorientował się, że obie pokojowe należały do grona tych służących, które nie były może skore do poświęcenia się komuś, komu służyły, lecz wykonywały większość poleceń bez wahania. Chciały spokoju, a spokój oznaczał rutynę. Bezpieczeństwo związane z pracą, która dawała im pożywienie i dach nad głową. Najwidoczniej nie miały dokąd pójść. Co innego Siena, dziewczyna, którą Antoinette trzymała blisko siebie jeszcze w Zimowym Pałacu. Zapamiętał jej imię, bo zbyt często wchodziła mu w oczy. Słuchała i obserwowała czujnie, zarówno jego, jak i Antoinette. Nie miała jednak prawa wiedzieć, że Fiyonn o tym

wie. Domyślił się, że donosiła. Erika Oesterberg była wierną służką Valianta i nie pozwoliłaby Fiyonnowi opuścić stolicy na całą zimę bez nadzoru. Jeśli Antoinette została mu początkowo przydzielona po to, by go obserwować, Siena miała za zadanie śledzić każde posunięcie ich obojga.

– Dziś udacie się po zapasy – zwrócił się do pokojowych, gdy zasiadł do śniadania. Zwykle nie jadł tak późno. – Jedna z was pojedzie z Ludonem do którejś z pobliskich wiosek.

Wróci, pomyślał, gdy ustalały między sobą, która pojedzie. Żadna nie zdecydowałaby się zostawić tej drugiej.

Fiyonn sięgnął po filiżankę z herbatą, lecz nie uniósł jej do ust. Ujrzał w niej fragment swojej twarzy i myślami wrócił do wizji. Obchodzą razem idealnie okrągłe jezioro, lecz Antoinette przerywa ten stan i każe mu spojrzeć w wodę. Widzi tylko ją, obsypaną śniegiem. *Ciebie tam nie ma*, mówi.

Gdzie nas nie ma?, zapytał szeptem jeden z głosów.

– Nie wiem – odparł cicho Fiyonn, po czym napił się, by herbata rozgrzała go od środka.



Minęły cztery dni odkąd opuścił Gniazdo. Jeśli Valiant dotrzymał słowa i wszystko udało się zorganizować zgodnie z jego planem, bał, który miał uczcić ponowne narodziny Kruczej Wiedźmy, odbył się wczoraj. Czy Antoinette złożyła przysięgę Valiantowi? Czy w ogóle mogła to zrobić? To pytanie wracało do niego w niemal każdej wolnej chwili, a ze względu na to, że nie miał w Klipetaighu wielu zajęć, myślał o tym właściwie bez ustanku.

Obszedł cały dom niezliczoną ilość razy. Przyjrzał się książkom zgromadzonym w bibliotece i w gabinecie znajdującym się koło głównej sypialni. Zbadał lustra wiszące w hallu i obejrzał każdy zegar stojący w salonie. Wszystkie jego posunięcia śledzone były przez kobiety z portretów wiszących w korytarzu na piętrze. Widniały tam twarze Kruczych Wiedźm, poczynając od Moiry Czarnowłosej, przez rudowłosą Anastasię potrafiącą przewidzieć śmierć każdego, kogo

spotkała, aż po Tatianę, portretowaną zawsze z prawego profilu. Była tam też Xanthe, ostatnia z rodu. Najwięcej uwagi poświęcił Tatianie – kobiecie o surowym obliczu i stalowym spojrzeniu, w którym, dzięki portreciście, na zawsze już miał płonąć ogień. W tesaryckiej historii Tatiana Corvidae zapisała się głównie jako dyplomatką – miała znaczący wpływ na ustalenia mające zbliżyć ze sobą Tesaryth i królestwa położone na dalekim południu. Pomysł był prosty – Elendorczycy mieli dostarczyć na północ smocze jaja i stworzyć nowe miejsce, w którym te niezwykle stworzenia mogłyby się rozwijać. W zamian Tesaryth zaoferował wiedzę na temat magii, a także to, co chciałby mieć każdy, czyli dostęp do niemal nieograniczonych złóż szlachetnych kamieni, w tym tych wypełnionych po brzegi magią. Obie strony zaakceptowały warunki wymiany, ale wtedy wydarzyło się coś, czego nikt nie był w stanie wyjaśnić. Od tego miejsca zapisy archiwistów zaczynają się od siebie różnić. Umowa nie została przypieczętowana, a władcy obu królestw zaczęli wytykać sobie zdradę. Powód rozpadu przymierza zaginął, ale obopólna nienawiść pozostała żywa aż do dzisiaj.

Od tamtego czasu na mapach tworzonych w Tesarycie nie ma miejsca dla królestw leżących na południe od Vijandy.

– Gdybyś tylko wiedziała, co robisz – mruknął pod nosem Fiyonn, po czym podjął dalszą wędrówkę po domu.

Raz po raz wracał do głównego salonu i wpatrywał się w gobelin powieszony nad kominkiem, na który zwrócił uwagę już pierwszego dnia, zaraz po przybyciu. Po bliższych oględzinach mógł orzec, że była to gallawecka robota. Arras przedstawiał prawdopodobnie jakąś gwiazdną konstelację, a wszystko, co związane z nocnym niebem, w kulturze Gallawethu miało niezwykle znaczenie. Potwierdzenie znalazł na jego odwrocie. W dolnym rogu wyszyto gallawecki herb z białym niedźwiedziem. Nie znalazł jednak żadnej innej wskazówki mogącej podpowiedzieć mu, co tak naprawdę ma przed oczami. Znał konstelacje całkiem nieźle, ale za nic nie mógł sobie przypomnieć, czy widział już wzór podobny do tego. A skoro gobelin wisiał w salonie nad kominkiem, musiał mieć duże znaczenie dla mieszkańców domu.

– Ale dlaczego? – szepnął sam do siebie.

Najwięcej czasu spędził w bibliotece, przeczesując półki. Bez problemu odnalazł grube kroniki rodu Corvidae, w których zamieszczone były zapisy o najważniejszych wydarzeniach każdego roku. Niemal wszystkie sporządzone zostały rękoma samych Kruczych Wiedźm. Każda księga opatrzona była również drzewem rodowym, które z czasem coraz bardziej się rozrastało. Łatwo było więc sprawdzić, że raz na kilka pokoleń pojawiał się w nim jakiś Gallawetczyk, ale nigdy nie był to ktoś, kto zapisał się wyraźnie w historii.

Każdego wieczoru Fiyonn wracał do salonu i wpatrywał się w gobelin. Miał nadzieję, że pewnego dnia spojrzy na niego i będzie wiedział, dlaczego wygląda tak znajomo. Wydawał mu się ważny, a powód krążył gdzieś blisko, niemal jak znajdujące się na końcu języka słowo.



Było wcześniej rano, gdy Fiyonn wyczuł czyjąś obecność. Jego magia nie reagowała na służbę w ten sposób. *Obcy*, szeptały głosy.

Gdy podszedł do okna, ujrzał na drodze prowadzącej do bramy domu znajomy powóz. Na jego boku widniał koń wodny na błękitnym tle, herb Eckhoffów. Fiyonn zacisnął dłonie na kancie drewnianego parapetu. Gdyby tylko mógł zajrzeć do środka...

Mówiło się, że za murami Klipetaighu jest się całkowicie bezpiecznym, gdyż dom miał nie wpuszczać do środka osób, które żywiły złe intencje wobec jego mieszkańców. Był to jeden z głównych powodów, dla których arcyksięciu tak bardzo zależało na odnalezieniu go. Na całym kontynencie nie było prawdopodobnie lepszej kryjówki – jeśli oczywiście to, co o nim słyszał, było prawdą.

Powóz zatrzymał się tuż przed bramą, a z wnętrza wyłoniła się otulona grubym płaszczem rudowłosa postać. Fiyonn wypuścił powoli powietrze.

Chwilę później był już na dole. Służąca, która została w domu, czekała na niego przy drzwiach z niepewną miną, lecz wystarczył

jeden gest dłonią, by zrozumiała, że przybyszka jest tu mile widziana.

Zwykle trudno było rozpoznać, w jakim humorze jest Rhoswen Eckhoff. Od nastoletnich lat wirowała po pałacowych korytarzach, dzięki czemu do mistrzostwa opanowała sztukę wkładania odpowiednich masek. Kiedy oczekiwano od niej powagi, była poważna. Kiedy chciano, by zabawiła towarzystwo grą na pianinie albo śpiewem, przystępowała do tego z szerokim uśmiechem. Mało kto zatem wiedział, jaka Rhoswen była naprawdę. Tym razem wyglądała na zmęczoną i nie próbowała tego ukrywać. Jej rozpuszczone włosy powiewały na wietrze, a krok, którym przemierzała podwórze, był zdecydowany, lecz coś w jej postawie sugerowało, że ma za sobą ciężką noc.

Odetchnęła głęboko, gdy stanęła przed Fiyonem.

– Życzysz sobie oficjalnego przywitania? – zapytała.

Nie odpowiedział. Po prostu cofnął się, by Rhoswen mogła wejść do środka.

– Przez dwieście lat nikt nie mógł znaleźć tego miejsca, a ty robisz to ot tak? – powiedziała, jednocześnie rozglądając się dookoła i zrzucając płaszcz. – Czy powinnam być w ogóle zdziwiona?

– Nikt do tej pory nie znalazł klucza – wyjaśnił, kierując się już w stronę salonu.

– Ani Kruczej Wiedźmy – rzuciła zza jego pleców.

Fiyonn zasiadł w jednym z foteli i obserwował, jak Rhoswen kręci się po pokoju.

– Rozgościłeś się – zauważyła, uśmiechając się przekornie.

– Co tu robisz? – spytał Fiyonn. Rhoswen była gadatliwa, miała tendencję do prowadzenia małych słownych gierki przyprawionych złośliwościami, a to go zupełnie nie interesowało. Z jakiegoś powodu tu przyjechała i wątpił, by był on błahy.

– Droga minęła mi bardzo dobrze, dziękuję, że pytasz – powiedziała, sadowiąc się w końcu w drugim fotelu. – Znalezienie tego cholerstwa zajęło mi więcej czasu, niż się tego spodziewałam.

– Jak?

– Kieran mi powiedział. – Rhoswen spojrzała na niego tak, jakby zastanawiała się, czemu pytał o takie oczywistości. – Czy ktoś poza nim w ogóle wie, że tu jesteś?

– Valiant na pewno się zorientuje, prędzej czy później.

– Biorąc pod uwagę, że domostwa każdego z Wielkich Rodów obserwowane są przez oddziały żołnierzy, to masz cholerną rację.

Fiyonn nie spodziewał się po bracie niczego innego. Domyślał się, że może rozesać oddziały po całym Tesarycie, by jak najprędzej sprowadzić go z powrotem do stolicy.

Antoinette na pewno również się domyśliła. Potrafiła szybko myśleć i sprawnie łączyła fakty. Na myśl o tym wszystkim, Fiyonn zwinął bezwiednie dłoń w pięść.

– Myślałem, że będziesz zajęta plotkowaniem z Ingvild przy herbacie – stwierdził po chwili. – Jestem zaskoczony, że wypuściła cię z Gniazda.

– Wyjechała razem ze mną. Za tydzień odbywa się ślub jej siostry i mam udać się razem z nią do Kuvijaty, ale poprosiłam o to, by spędzić chwilę z rodziną. W końcu tak dawno ich nie widziałam. – Rhoswen przewróciła oczami. – Swoją drogą, moglibyśmy napić się herbaty.

Sięgnęła po dzwonek leżący na gzymsie kominka, a kilkanaście minut później na stoliku stojącym między fotelami stała już taca z dzbankiem i dwiema filiżankami.

– Zakładam, że nie masz pojęcia, co wydarzyło się w Gnieździe. – Rhoswen spojrzała na niego wymownie, na co Fiyonn pokręcił przecząco głową. – Panna Corvidae dość szybko zakończyła przedstawienie zorganizowane przez Valianta, ale na szczęście wszystko stało się po obiedzie, więc przynajmniej zdążyłam zjeść coś porządnego.

– Bądź bardziej konkretna.

– Antoinette nie złożyła przysięgi Koronie – powiedziała krótko Rhoswen, a po plecach Fiyonna spłynęła fala ulgi. – W konsekwencji gwardziści wyprowadzili ją z sali tronowej, a całe towarzystwo przez chwilę pokrzyczało, a potem się rozeszło. Twoja ciotka była wściekła, byłam pewna, że zaraz rozszarpie Valianta gołymi rękoma. Nie wiem jednak, co potem stało się z Antoinette. Większość popołudnia Ingvild spędziła z Valiantem na osobności, a później szybko odprawiła mnie, mówiąc, że boli ją głowa i chce się wcześniej położyć, by odpocząć przed podróżą następnego dnia.

– Nie słyszałaś, o czym rozmawiali?

– Nikt nie miał wstępu do królewskiego apartamentu, nawet służba. Wiem jednak, że do Gallawethu mieli udać się oboje, ale Valiant został w stolicy.

Fiyonn pokiwał powoli głową.

– Nadal jednak nie wiem, co tu robisz – zauważył.

– Chyba nie planujesz siedzieć tu do końca życia? Przez całą zimę trudno było się z tobą skontaktować i gdyby nie Kieran, nie miałabym w ogóle pojęcia o tym, co się dzieje.

– Jak wiele ci powiedział?

– Z pewnością nawet nie połowę tego, co sam wie.

– Przyjechał do Flugstadt?

– Zdażył na godzinę przed rozpoczęciem balu.

Pierwszą rzeczą, jaką Fiyonn zrobił po opuszczeniu stolicy, było napisanie krótkiego, lecz konkretnego listu do swojego kuzyna. Część jego bagaży schowana była wewnątrz powozu, w skrytce pod siedzeniem, wygrzebał więc stamtąd notes i pióro z kałamarzem, po czym niezdarne nabazgrał kilka zdań. Chwilę później jeden z towarzyszących mu kruków ruszył w podróż do Kuvijaty. Przez lata pisali do siebie w sposób, który nie wzbudzał podejrzeń. Fiyonn był przekonany, że jego brat oddelegował kogoś do sprawdzania jego korespondencji, więc najważniejsze informacje wysyłał krukami.

– Co planujesz teraz zrobić? – spytała rzeczowo Rhoswen.

– Muszę zwrócić się do tych, którzy za mną stoją, by umocnić swoją pozycję. A potem zacząć kontaktować się z resztą. Ale nie mogę zrobić tego sam.

– Potrzebujesz Antoinette – zauważyła przytomnie, a on kiwnął głową.

– Dlatego muszę sprowadzić ją tutaj.

Rhoswen prychnęła pod nosem, gdy odstawiała filiżankę z powrotem na spodeczek.

– Może być tak, że jej pobyt w Gnieździe jest ci w rzeczywistości na rękę. Jeśli Valiant trzyma ją pod kluczem, części mieszkańców Flugstadt może się to nie spodobać. A co dopiero członkom dworu.

Tvilier, szepnęły stęsknione głosy. Fiyonn zacisnął zęby, starając się powstrzymać napływ myśli. Nie miał teraz czasu na walkę z wątpliwościami.

– Fiyonn. – Nagle ton Rhoswen diametralnie się zmienił. Jej głos stał się poważniejszy, już nie było w nim sarkazmu. – Valiant odciął cię od wszystkich. Od Kierana również. Oboje wiemy, że gallaweckiej królowej nie obchodzi konflikt sukcesyjny. Zajmują ją tylko interesy Ingvild, więc jeśli córka powie jej o tym, co się stało, i poprosi o nadzór nad tesaryckim posłem, a jasne jest, że to zrobi, Kieran znajdzie się pod ściślejszą kontrolą niż ktokolwiek z nas. Prowadzenie korespondencji z Wielkimi Rodami nie wchodzi w grę. Wszystko będzie przechodziło przez ręce żołnierzy. Dopóki Valiant cię nie znajdzie, nie odwoła oddziałów.

– Dlatego właśnie Kieran nie wróci do Kuvijaty.

Rhoswen zawahała się.

– O czym mi nie mówisz?

– Otrzymał proste polecenie i zakładam, że się z niego wywiąże. Ma wyprowadzić Antoinette z pałacu.

Rhoswen zamilkła na krótki moment. Nie spodziewała się takiego obrotu spraw.

– Mam w takim razie dwa pytania. Czy możesz przestać traktować go jak marionetkę, która ma tańczyć, jak mu zagrasz? – Rhoswen patrzyła na Fiyonna znacząco. – I jakim cudem miałby to niby, twoim zdaniem, zrobić?

– To on jest na miejscu, a nie ja. Z pewnością znajdzie odpowiednią okazję.

– Może o tym zapomniałeś, ale Valiant nie jest kompletnym idiotą i z pewnością nie zostawi Kierana samego z Antoinette.

– Mam więc, twoim zdaniem, wrócić do Gniazda?

– Oczywiście, że nie – obruszyła się. – Daję ci jedynie znać, że sytuacja jest bardziej zaogniona, niż ci się wydaje. Nie chcę myśleć, co by się stało, gdyby ktokolwiek z Wielkich Rodów nagle otrzymał wiadomość od ciebie.

– Co masz na myśli?

– Valiant jest wściekły. Naprawdę wściekły. Jeszcze nigdy go takiego nie widziałam. Antoinette ośmieszyła go nie tylko przed dworem, ale również przed vijandzką delegacją. Wszyscy przecież wiedzą, kim ta dziewczyna była wcześniej, i część nadal patrzy na nią jak na służącą.

Fiyonn przymknął oczy. Rhoswen miała rację, był całkowicie odizolowany. Nie mógł ryzykować utraty sojuszników, a kto wie, jaką karę wymierzy jego brat osobom, które nawiązałyby z nim kontakt. Nie mógł jednak siedzieć beczynn timer w Klipetaighu do końca swoich dni. Do dyspozycji miał powóz, dwa konie i troje służących. Musiał więc działać metodycznie.

Ufał Kieranowi. Nie miał wątpliwości, że jeśli tylko znajdzie okazję, wykorzysta ją. Nie było osoby, która lepiej odnajdywała się w teatrze cieni, jakim był dwór. Udawał jak najlepsi aktorzy, kłamał bez zająknięcia, wzbudzał zaufanie nawet u tych, którzy go dopiero spotkali. Książę nie znał innej osoby lepiej nadającej się do tego zadania. A jeśli się nie uda...

– Skoro już tu jesteś... – Fiyonn odrzucił na chwilę myśli dotyczące kuzyna. – Rozmawiałem z Casparem w drodze do Zimowego Pałacu. Dał mi znać, że kontakt ze Zjednoczonym Królestwem może być teraz znacząco utrudniony.

Ramiona Rhoswen opadły jeszcze niżej.

– Jak może być to bardziej utrudnione, niż jest teraz? Vijanda strzeże ich jak smok swoje złoto.

– Trafne porównanie – zauważył Fiyonn. – Vijandczycy bardzo chcą rozprzestrzenić swoje wpływy na południu. Zakładam, że mogą robić to, co robili kiedyś z nami.

– Wpuścili do nich solarytów?

Fiyonn kiwnął głową.

– Może okaże się, że i oni odrzucą wiarę w słońce. Ale kto wie? Może uznają ją za wartościową. Z Tarbą i Nyrrą im się udało. Południowe królestwa mogą być bardziej podatne na ich wpływy.

Ani Tesaryth, ani Astheria, ani tym bardziej Gallaweth nie były skłonne do przyjęcia solarytów. Co prawda, religie północy nie wchodziły całkowicie w konflikt z zasadami kultu słońca – w przeciwieństwie do wiary Vijandczyków, przekonanych, że wszystko, co związane z magią, należało zwalczać. Stosunkowo otwarci Tesarytcy zaczęli jawnie nawoływać do odrzucania nauk solarytów. Wtedy też vijandzki władca zorientował się, że jego plany na to, by po cichu i małym nakładem sił zagarnąć północ, spełzły na niczym. Na szczęście dla nich mieli jeszcze jeden pomysł, a ten zakładał użycie mieczy i ognia.

– Ponadto – ciągnął Fiyonn – według Caspara, a raczej według jego brata, który przez ostatni rok siedział w Halamanie, w Zjednoczonym Królestwie dzieje się coś, co bardzo niepokoi rodzinę królewską. Zanim mnie zapytasz o konkrety, zaznaczę, że ich nie znam.

– Jeśli ty nie wiesz, to nikt nie wie – westchnęła Rhoswen.

Ciszę, która zapadła między nimi, przerwało nadejście służącej.

– Chciałam jedynie powiadomić jego książęcą mość o tym, że udało się uzupełnić zapasy – powiedziała, wpatrując się w podłogę.

– Czy jestem do czegoś teraz potrzebna?

Fiyonn uniósł głowę i zmierzył dziewczynę wzrokiem. Stała tuż przy drzwiach, z rękoma splecionymi przed sobą i wzrokiem wbitym w podłogę. Całe jej ciało było napięte, jakby szykowała się do nagłej ucieczki.

– Byłaś kiedyś w Askvolen? – zapytał.

To wyrwało Rhoswen z letargu.

– Co chcesz zrobić?

– Herbert jest u siebie, czy wrócił już do Karleskronum?

Rhoswen zawahała się. Spojrzała na Fiyonna, jakby chciała odczytać jego myśli i zrozumieć, do czego on zmierza.

– Jest w Askvolen, rzadko wraca do domu rodzinnego.

– Nie jest mu może potrzebna jeszcze jedna pokojowa?

– Chcesz z niej zrobić gońca – odgadła Rhoswen.

Podniosła się z fotela, najwidoczniej nie mogąc już dłużej wysiedzieć w jednym miejscu.

– Dowódca oddziału stacjonującego w Askvolen może czytać jego korespondencję. Nie będzie miało znaczenia, jak zaadresowane będą koperty – zauważyła po chwili spacerowania po dywanie.

– Na początku na pewno. Ale czy po tygodniu albo dwóch będą tak samo skrupulatni?

Potrzebował znaleźć sposób, by kontaktować się z Rhoswen albo z Kieranem. Fiyonn musiał mieć informatorów. Całkowite odcięcie od reszty królestwa uniemożliwi mu zdobycie przewagi. Przekazanie Herbertowi wiadomości za pomocą służącej nie stanowiło problemu. Trudniejsze było wymyślenie, jak puścić listy w dalszą drogę.

Przez chwilę mierzyli się z Rhoswen spojrzeniami. Służąca wciąż stała w tym samym miejscu nieruchoma jak posąg. Fiyonn słyszał,

jak serce w jej piersi zaczyna przyspieszać.

– Jeśli będziesz pisała z Herbertem, to nikt nie uzna tego za dziwne. Kieran również może adresować listy do Askvolen, jeśli zaistnieje taka potrzeba. Są w końcu z Herbertem przyjaciółmi.

Rhoswen oparła ręce na biodrach.

– Boję się, że będą je regularnie czytać. To niebezpieczne – stwierdziła.

– Rozmawiamy o wiadomościach, których teoretycznie możemy nigdy nie wysłać – zauważył Fiyonn. – Możliwe, że przez jakiś czas nie będzie potrzeby, by się ze sobą wzajemnie kontaktować.

– I tak muszę wrócić do Askvolen, więc uprzedzę Herberta, ale pamiętaj, że konsekwencje mogą być poważne, a nie stać cię na utratę sojusznika.

– Nie musisz mnie pouczać.

– Muszę, bo może tu chodzić o życie mojego brata albo moje. Przypominam ci, że moja rodzina otwarcie popiera Koronę, a ja wiem, co się wydarzy, kiedy dowiedzą się, że ich dzieci wybrały inaczej.

Eckhoffowie byli prawdopodobnie jedynym Wielkim Rodem tak wyraźnie podzielonym w kwestii konfliktu o sukcesję. Głowa rodu, hrabia Callahan Eckhoff, był jedną z pierwszych osób, które tak otwarcie zadeklarowały swoje poparcie dla Valianta. Od tamtej pory był przekonany, że jego dzieci podzielają to stanowisko.

Przecignięcie Eckhoffów na swoją stronę miało politycznie ogromne znaczenie. Askvolen, które należało dawniej do rodu Corvidae, z racji swojego położenia trafiło po śmierci Xanthe pod opiekę Eckhoffów. Ze względu na administracyjne trudności, związane z zarządzaniem dwoma dużymi miastami o bardzo wysokim prestiżu, hrabia zdecydował, by dwójka jego najstarszych dzieci zajmowała się wspólnie sprawami administracyjnymi Askvolen, a on pozostanie w Karleskronum. Herbert niemal od razu odnalazł się w roli zarządcy. Z kolei jego starsza siostra, Gerda, z biegiem lat coraz mniej interesowała się rządem, a coraz bardziej pracą w archiwach uniwersytetu krisgaldardzkiego. Niecałe dwa lata wcześniej opuściła Askvolen, a najmłodsza z rodzeństwa Rhoswen już zdążyła zadomowić się w stolicy, więc Herbert został sam. Hrabia Eckhoff był z pewnością zadowolony z rosnącej pozycji

syna, nie miał jednak pojęcia, że mogła ona zostać wykorzystana przeciwko niemu.

– Możesz odejść – rzucił Fiyonn do pokojowej. Usłyszała wystarczająco dużo.

Rhoswen znów zaczęła spacerować po salonie. Długo przyglądała się zegarom i innym przedmiotom ustawionym w gablocie.

– Martwi mnie jedna rzecz. – Oparła się ramieniem o regał. – Nie mam pojęcia, co zechce zrobić z nią Valiant. Nie umiem też przewidzieć, jak ona zareaguje, bo nigdy z nią nie rozmawiałam.

– Antoinette?

Fiyonn zastanawiał się chwilę. Antoinette była uparta, niecierpliwa, ale jednocześnie niezwykle konsekwentna. Lubiła zadawać pytania, niekiedy była wręcz nad wyraz ciekawska. Z kolei Valianta irytował każdy objaw niesubordynacji.

– Mój brat będzie musiał się postarać, żeby ją do czegokolwiek nakłonić – stwierdził po chwili. – Potrafi być nieugięta. Jest przez to trochę podobna do ciebie.

– Oby. – Rhoswen uśmiechnęła się półgębkiem. – Bo wytrwałości nie będzie mogło jej zabraknąć.

Rozdział 11

RAINA

Kiedy na głównym dziedzińcu Glandiru czekała na przybycie Grattza, Raina zorientowała się, że nigdy nie widziała, jak przywódca leża dosiada smoka.

Ostatni raz widziała go w górach, wiele tygodni temu, zanim chaos ostatecznie rozlał się wokół niej i porwał wszystko, co kochała. Miała wrażenie, że od ich ostatniego spotkania minęło znacznie więcej czasu. W pewnym sensie trochę przestała wierzyć w jego istnienie. Wspomnienia z chwil, gdy Rose, Raine i jeźdźcy tworzyli jedną wielką rodzinę, zdawały się teraz tylko fragmentami snów. Rzeczywistość, która rozciągała się przed nią, była zbyt przytłaczająca, pełna niepewności.

Ludność Kantalaru szybko rozniosła plotki o planowanym przybyciu smoków. Wielu nie miało okazji dostrzec bestii sunących po niebie nad ich głowami w czasie bitwy. Vas niemal od razu wyruszył do Manstaru, by na prośbę Rainy ściągnąć Grattza do stolicy. Veer zaś zabrał ze sobą Lherę i Cerys na wschodnią plażę, gdzie w wysokich, spadzistych skałach, na których zbudowano Glandir, smoczyce wydrążyły dla siebie bezpieczne schronienie. Był to nadal teren pałacu, więc nikt poza wyznaczonymi strażnikami nie mógł do nich dotrzeć.

Teraz jednak wielu kantalarczyków próbowało dostać się na rozległy dziedziniec, by choć przez chwilę, na własne oczy, zobaczyć

baśniowe stwory, o których opowiadali im świadkowie starcia. Raina obserwowała pełne strachu twarze ludzi. Niektórzy z nich nie wydawali się jednak tylko przerażeni, a raczej ich miny oddawały ciekawość i ekscytację. Chciała, by smoki nie były wyłącznie źródłem grozy, ale teraz zaczęła mieć wątpliwości, czy dobrze postąpiła, nie zamykając bram pałacu. Obiecała Grattzowi, że zbuduje nowy świat, a to wymagało przekonania poddanych do zaakceptowania smoków. Czuła, że wyrzucenie ciekawskich za bramy Glandiru nie byłoby dobrym pomysłem, ale co, jeśli przestraszą się smoków i wystąpią przeciwko ich obecności w stolicy?

– Raino – usłyszała nagle za plecami Jamesa. Jego głos wyrwał ją ze stuporu.

– Udało ci się czegoś dowiedzieć? – zapytała cicho, upewniając się, że zebrani dookoła strażnicy nie są w stanie ich podsłuchać.

Łowca pokiwał głową i wysunął w jej kierunku otwartą dłoń. Mimowolnie sięgnęła po złoty wisiorek w kształcie koła i obróciła go w palcach.

– Czy to...? – W skonsternowaniu trudno było jej wykrztusić słowo prezent.

– Solaryci – wyjaśnił James, widząc jej minę. – Kult z północy, który zbiera coraz więcej wyznawców. Spotykają się w mieście, na głównym placu, prawdopodobnie też w karczmach i w prywatnych rezydencjach. Wierzą w słońce.

– Słońce? – powtórzyła, niewiele rozumiejąc.

– Odrzucają znanych nam bogów, uznają ich za nieprawdziwych. Z tego, co udało mi się dowiedzieć, mają bardzo... zaawansowane plany, jeśli chodzi o uznanie ich w społeczeństwie. Mogą stanowić kłopot.

Raina przeniosła wzrok ze zmartwionej twarzy łowcy na złoty przedmiot, doszukując się w nim czegoś, co pomogłoby jej zrozumieć jego słowa. Nie słyszała dotąd o solarytach. W żadnej korespondencji ojca nigdy nie przewinęła się ta nazwa. Raporty, którymi się zajmowała przed ucieczką z Glandiru, nie wskazywały na ich istnienie, a tym bardziej fakt, że mogą stanowić zagrożenie. Co najlepszego wyprawiał Gertrand pod jej nieobecność?

– Myślisz, że będą próbowali kogoś prześladować? Rozpętać zamieszki? – zapytała i oddała mu ostrożnie wisiołek.

– Nie znam szczegółów, jednak okazuje się, że w mieście widziano już ich przywódczynię, Elidę Kostelic. Z Vijandy.

Tę nazwę znała doskonale. Król niczego przed nią nie ukrywał tak skrętnie, jak wiadomości wymienianych z państwem graniczącym od północy ze Zjednoczonym Królestwem. Niewiele wiedziała o naturze tego kontaktu. Kiedyś, gdy pomagała sortować księgi, przypadkowo doświadczyła nadejścia wiadomości od kogoś podpisującego się jako Anastas Prijestolic. Po reakcji ojca wywnioskowała, że było to coś ważnego, a także nieprzeznaczonego dla niej. Została wygoniona z gabinetu i od tego czasu król bardzo uważał, by pod żadnym pozorem nie poruszać tego tematu w jej obecności.

– Gdzie jest Sebastian? – zapytała jednego ze strażników, jednak to James jej odpowiedział.

– Minąłem się z nim w głównym holu, pomaga Mironowi rozstawić strażę – wyjaśnił, pochylając się ku niej. – Wprowadziłem go w temat, więc gdy tylko skończysz rozmowy z Grattzem, będziemy mogli się tym zająć.

– Dziękuję.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, jednak czuła, że nie był to najlepszy moment. Ostatnio na wiele rzeczy nie znajdowała odpowiednich momentów. Rozmowa z Jamesem o jego dalszej roli, pozycji w stolicy i, przede wszystkim, relacji między nimi odwlekała się z każdym dniem i nie zapowiadało się, by w najbliższym czasie miało się to zmienić. Jakaś jej część chciała wyciągnąć w jego kierunku dłoń, wahała się jednak. James długo patrzył jej w oczy, jakby również nim targały głęboko skrywane emocje.

Oczekiwanie na przybycie Grattza zdawało się trwać wiecznie. Raina czuła, jak letnie słońce pali jej twarz i sprawia, że dusi się w wielowarstwowej sukience. Według protokołu w ogóle nie musiało jej tu być. Jako władczyni miała prawo nie witać gościa na progu pałacu. Mogła po prostu zaszyć się w chłodnym gabinecie i zająć się innymi sprawami, aż służba poinformowałaby ją o przybyciu jeźdźca. Chciała jednak pokazać Grattzowi, że jest inna niż reszta władców,

dać mu wyraźny znak, jak poważnie traktuje sytuację, w której się znaleźli. To dodatkowo miało potwierdzić chęć zmiany.

Gdy wreszcie zza horyzontu wyłoniły się dwie masywne skrzydlate sylwetki, królowa poprawiła poły spódnicy i zeszła kilka stopni w dół dziedzińca. Niedługo potem Grattzo, dosiadający bordowego smoka, opadł delikatnie na ziemię. Obok niego wylądowała Oomana, z której zsiadł Vas. Obaj ruszyli szybko w stronę Rainy. Zauważyła, że obecni strażnicy spięli się, niektórzy zrobili nawet kilka kroków w tył. Wśród ludzi na placu poniosło się głośnie westchnienie. Ukradkiem obserwowała, jak gapie nie są w stanie oderwać spojrzeń od majestatycznych stworzeń i coraz mocniej dyskutują między sobą. Nikt jednak nie wystraszył się na tyle, by zerwać się do ucieczki. Uznała to za dobry znak.

– Los zaprowadził cię na tron, Raino – powiedział Grattzo zamiast przywitania, kiedy zatrzymał się przed nią.

– Nie obyło się bez zapłaty – odparła, skłaniając lekko głowę.

– Nikt nie mówił, że Los jest sprawiedliwy i szczodry – stwierdził, unosząc głowę, by spojrzeć na mury Glandiru górujące nad nimi. – Gdzie podziwia się Veer?

– Na wschodniej plaży, zajmuje się Lherą i Cerys. Vas może zabrać wasze smoki i do nich dołączyć, by nie powodować zbędnego zamieszania.

Grattzo obejrzał się na kantalarczyków zebranych na dziedzińcu. Jego spojrzenie sugerowało, że nie podoba mu się ich obecność i reakcja na jego przybycie.

– Po cóż więc to całe przedstawienie? – mruknął. – Mogliśmy spotkać się w bardziej prywatnym miejscu, przyjechać tu jednym z twoich królewskich powozów i nie wzbudzać niczyjego zainteresowania.

– Nie mam zamiaru się ukrywać. Nie przed moim ludem – odparła bardziej uszczypliwie, niż planowała, jednak sens wypowiedzianych słów dotarł do niej odrobinę za późno. Grattzo parsknął z irytacją i gestem zasugerował, by ruszyli do środka.

Przez całą drogę do gabinetu nie odezwał się ani słowem. Podziwiał tylko bogato zdobione wnętrza głównego holu. Gdy w połowie drogi dołączył do nich ciągle utykający Bash, obdarzył go leniwym skinieniem głowy.

Raina miała nadzieję, że zachowanie Grattza wynika wyłącznie z obecności gwardzistów, że jest to pewnego rodzaju poza dla ludzi, którzy są mu obcy i nie zdobyli jego zaufania. Gdy jednak drzwi gabinetu zamknęły się za ich plecami i zostali sami, wyraz twarzy przywódcy jeźdźców pozostawał taki sam: pełen irytacji, jakiegoś rodzaju dumy, z odrobiną zaciekawienia.

– Zapraszam. – Raina wskazała Grattzowi miejsce przy stole, a sama usiadła naprzeciwko niego. James i Bash zajęli miejsca po jej prawej.

– Moi synowie nie są mile widziani na spotkaniu? – zapytał, wyraźnie oburzony taką ewentualnością.

– Za chwilę do nas dołączą. Wschodnia plaża należy do Korony, ma prywatne zejście, więc ich przybycie jest kwestią kilku minut.

– Prywatna plaża, wielki pałac, oddział strażników... – Przywódca jeźdźców zaczął niespodziewanie wymieniać. – Zdajesz się mieć wszystko, Raino. A jednak z jakiegoś powodu mnie tu wezwałaś. Czyżby z chciwości?

– Jesteś bardzo wrogo do nas nastawiony, Grattzo, a jeszcze nie tak dawno jadalśmy przy jednym stole – zauważył Bash i zacisnął dłoń na drewnianej lasce, zastępującej mu kule.

Raina była niezwykle wdzięczna za jego obecność. Przez jakiś czas oboje byli na tyle zajęci, że widywali się tylko porankami i wieczorami, zdając sobie wzajemnie raporty z postępów sprzątania Glandiru, przegrupowań straży i oddziałów Lashanów opuszczających powoli Elendor.

Gdy spojrzała na przyjaciela, dostrzegła, że coś w jego twarzy się zmieniło. Był zmęczony, pod oczami malowały się ciemne sińce, których wcześniej nie dostrzegła, a sam wzrok miał lekko rozbiegany. Zmartwiła się i doszła do wniosku, że być może zbyt wiele od niego wymaga.

– Uprzedzałem was, że porywacie się na niemożliwe. Może udało wam się odbić pałac i schwytać uzurpatora, jednak zrobiliście to za cenę życia Qadira i ujawnienia istnienia smoków. Dopięliście swego kosztem całego leża. Mam udawać, że cieszę się z waszego pozornego zwycięstwa?

– Nikt nie zna lokalizacji leża ani... – zaczął James.

– Qadira? – sapnęła Raina, wytrzeszczając oczy. – A co z Rose?!

Grattzo zacisnął wargi w wąską linię i przez chwilę obserwował furię szalejącą w Rainie. Niedowierzenie toczyło się przez jej ciało, aż zmieszało się z gniewem i żalem.

– Jak śmiesz? – warknął Bash i zacisnął mocniej palce na lasce.

– Rose była jedną z was. Powinieneś odczuwać jej stratę tak samo jak my – dodał James, gdy po chwili zrozumiał słowa Grattza.

– Uważacie, że nie dostrzegłem pustki w oczach Vasile'a? – zapytał jeździec. – Że przez cały czas, gdy był w domu, nie widziałem, jak bardzo go to złamało? Nie macie pojęcia, jak wielkim cierpieniem jest utrata *ātmā sāthi*. Żaden z moich synów nie będzie już taki sam, nawet mimo tego, że mają siebie nawzajem. To samo tyczy się całego leża. W momencie, w którym na elendorskim niebie pojawiły się smoki, cała nasza egzystencja zawisała na włosku, a pierwszą ofiarą waszej lekkomyślności okazała się biedna Rosemary.

– Sam pozwoliłeś nam odejść, ojcze – rozległ się głos Veera. Bliźniacy właśnie weszli do gabinetu, Vas trzymał jeszcze dłoń na klamce. Obaj wyglądali na zszokowanych słowami, które usłyszeli.

– Bo miałem nadzieję, że się opanujecie! – burknął Grattzo i splótł dłonie na stole. – Że wycofacie się z tego karkołomnego planu i nie dojdzie do żadnego starcia!

– A mimo to obiecałeś mi wsparcie – zauważyła Raina. – Wtedy, podczas naszej ostatniej rozmowy.

– Odpowiedź na wezwanie, a nie żadne wsparcie – sprecyzował Grattzo.

– Czyli... kłamałeś?

– Żadne wezwanie nie nadeszło.

– Bo nie chciałam angażować więcej jeźdźców. Wiedziałam, że dam radę z pomocą kalindorczyków. Zrobiłam to dla was, Grattzo – podkreśliła Raina. – Mogłabym dużo prościej wdrzeć się za mury Glandiru, jednak dla dobra leża podjęłam decyzję, by dodatkowo was nie narażać.

– A jednak teraz uznałeś, że dobrym pomysłem jest ryzykować odkrycie siedziby smoków i jej zniszczenie?

– Dlaczego jesteś tak kategoryczny w swojej ocenie? – warknął Vas. On i Veer mieli możliwość usiąść bliżej ojca, przy stole były jeszcze wolne miejsca, jednak z jakiegoś powodu zdecydowali się

na zachowanie dystansu i dalej stali niedaleko drzwi. – Na siłę szukasz wymówek i powodów do obwinienia Rainy, byleby postawić na swoim. Zgrywasz obrażone dziecko, a doskonale wiesz, że nie ma odwrotu i jedyne, co możesz zrobić, to dostosować się do nowej sytuacji i zaufać obietnicom Rainy.

Grattzo był do tego stopnia zszokowany nagłym wybuchem syna, że przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Vasa szeroko otwartymi oczami i z lekko rozchylonymi ustami.

– Mówiłam prawdę, kiedy obiecywałam ci nowy porządek oraz świat, w którym smoki są bezpieczne i szanowane. Dzisiejsze spotkanie jest tego dowodem – powiedziała chwilę potem Raina. – Chciałam, byście przylecieli na główny dziedziniec, żeby kantalarczycy mogli powoli przywyknąć do istnienia smoków. Jestem bardzo ostrożna. Lhera i Cerys są bez przerwy chronione. Z czasem planuję coraz częściej pokazywać je światu. Za kilka dni wygłoszę orędzie, któremu towarzyszyć będzie obwieszczenie, że wszystkie istoty magiczne są wolne, a ściganie ich jest surowo zabronione. Gildia łowców zostanie przekształcona, od tego momentu będą zajmować się ściganiem przestępców i pilnowaniem porządku zamiast bezpodstawnymi sądami. A to dopiero początek.

– Brzmi jak długa lista marzeń – prychnął Grattzo.

– Chcę stworzyć nowe leże. Tu, w Elendorze. Za twoją zgodą i z twoją pomocą.

– Słucham?

– Lokalizacja manstarskiego leża pozostanie sekretem. Jeśli tego chcesz, wyłącznie osoby zebrane przy tym stole będą znały do niego drogę. Nalegam jednak, byś skorzystał z mojej propozycji i wykorzystał tę szansę na odbudowanie potęgi jeźdźców – podsumowała królowa najbardziej dyplomatycznym tonem, na jaki było ją stać.

Grattzo był tak oszołomiony, że trudno mu było wykrztusić jakiegokolwiek słowa. Cała buta go opuściła, zdawał się w ogóle nie pamiętać, jakie jeszcze błędy chciał jej wytknąć. Raina jednak się tym nie przejmowała. Spokojnie czekała, aż dotrze do niego sens jej słów, i była przygotowana na reakcję każdego rodzaju. Poprzedniej nocy dokładnie przemyślała każdą ewentualność, przerobiła

w głowie wiele scenariuszy tej rozmowy. Była pewna, że w końcu przekona Grattza.

– Leże? Tutaj? – wykrztusił jeździec. Popatrzył w oczy wszystkim po kolei, jakby oczekiwał, że za chwilę ktoś się złamie i oświadczy mu, że słowa Rainy były tylko nieśmiesznym żartem.

– W północnej części terenów pałacowych. Widziałam, jak Lhera i Cerys bez problemu wydrążyły w skale jaskinię, która służy im za schronienie. Z pomocą innych smoków zbudowanie bezpiecznego miejsca będzie proste. Jeźdźcy będą mogli korzystać z zasobów Korony, szkolić się w spokoju, a także dbać o swoich towarzyszy. Gdy będziemy bliżej świata, zyskamy szansę na zasilenie szeregów i wyklucie jaj, które od lat pozostawały uśpione.

– To dobra oferta, ojciec – zauważył Veer. – Nad wyraz szczodra.

– Niesie ze sobą koszty. – Grattzo odzyskał rezon. – Ceną będzie wcielenie smoków do oddziałów Zjednoczonego Królestwa. Wykorzystasz jeźdźców do walki.

– Jakiej walki, Grattzo? – zapytała Raina. – Nie toczymy żadnej wojny. Nie istnieje już żaden konflikt, który by nam zagrażał.

– Dziś – zauważył. – Nie wiesz, co przyniesie jutro. Nie ma już przy tobie nikogo, kto ma moc widzenia przyszłości.

– Mógłbyś przestać – powiedział nienaturalnie cicho Vas. Grattzo zerknął na twarz syna przeciętą bólem. – Chociażby przez wzgląd na nas.

Przywódca jeźdźców nie był w stanie utrzymać spojrzenia Vasa zbyt długo. Zamiast tego wbił wzrok w blat stołu i przez chwilę się zastanawiał. Raina próbowała powstrzymać emocje i nie przejmować się trwającą ciszą oraz niepewnością, jednak trudno było jej zachować pełen spokój. Od decyzji Grattza wiele zależało. Wątpiła, by odmówił całkowicie. Nie był w stanie odebrać jej Lhery, podejrzewała jednak, że obecność Vasa i Veera w Glandirze wisiała na włosku. Opuszczenie przez nich leża było możliwe dzięki więzi *ātmā sāthi* z Rose. Teraz, gdy Rosemary już nie było, nie istniało nic, co stałoby powyżej rozkazów Grattza. Gdyby nakazał bliźniakom powrót do domu, musieliby to zrobić, a to bezpowrotnie odcięłoby Rainę od świata, którego pragnęła być częścią. Przed nią było jeszcze wiele nauki, ogrom rzeczy do odkrycia. Bez Vasa i Veera

zostałaby jej tylko Lhera. Świadomość, że miałyby chronić swoją towarzyszkę samotnie, przerażała ją.

– Nie oczekuj, Raino, że w tym momencie podejmę tak trudną decyzję – odezwał się w końcu Grattzo i posłał jej wyzywające spojrzenie. Miała nadzieję, że iskra, dostrzegalna w jego oczach, oznacza raczej chęć igrania z nią dla zachowania twarzy niż zapowiedź odmowy.

– Mam nadzieję, że rozważysz ją pod każdym względem – odparła spokojnie. – Jesteś zapewne zmęczony podróżą. Strażnicy wskażą ci komnaty.

– Odprowadzimy cię – zaproponował Veer i podniósł się z miejsca. Vas poszedł w jego ślady i cała trójka opuściła gabinet. Dopiero wtedy Raina pozwoliła sobie na głębokie westchnienie.

– Zgodzi się – powiedział pewnie Bash. – Ale zanim to zrobi, napsuje nam wszystkim krwi. Nie jest w stanie przetrwać, że nam się udało, choć kompletnie w to nie wierzył. Jest teraz na twojej łasce. Vas i Veer sprzedali go w leżu, przez co stoi pod ścianą, a jego duma nie jest w stanie tego znieść.

– Łatwiej jest mu wyzywać się na tobie niż na nich – przyznał James.

– Miejmy nadzieję, że tak jest – mruknęła i przetarła oczy. – Bash, czy możesz przekazać Mironowi, by przydzielił mu najlepszych strażników? Najlepiej w taki sposób, by Grattzo doskonale wiedział, jak dobrą opieką go otaczamy. To samo tyczy się służby. Trzeba powiadomić ochmistrza.

– Jeśli będzie to konieczne, to sam stanę na warcie. Byleby tylko przestał stroszyć pióra – mruknął Bash.

– Niestety, jesteś mi potrzebny do omówienia sprawy solarytów. Spotkajmy się po posiłku. Muszę zebrać myśli, zanim zajmiemy się kolejnym pożarem.

Bash skinął głową i ruszył wykonać powierzone mu zadania. Po jego wyjściu Raina i James jeszcze przez chwilę siedzieli w ciszy. Czują, jak bardzo zmęczyła ją ta rozmowa. Mimo że spodziewała się trudności, to w ostatnim czasie wszystko, co wymagało skupienia i trzeźwego myślenia, sprawiało jej kłopot. Od sekcji Rose przez większość czasu była dziwnie otępiała, a zbliżające się uroczystości pogrzebowe przyprawiały ją o ból głowy i mdłości. Przez to, że

niemal ciągle funkcjonowała jak w transie, te chwilowe momenty otrzeźwienia, jak spotkania z Radą lub rozmowy z Bashem, zdawały się męczyć ją wielokrotnie bardziej. Echo słów Grattza długo brzmiało w jej uszach, a pod zamkniętymi powiekami ciągle widziała jego zirytowaną twarz. Czy popełniła jakiś błąd? Czy dobrze poprowadziła tę rozmowę? Co mogła zrobić lepiej? Jak inaczej zdołałaby go przekonać?

– Raino? – z zamyślenia wyrwał ją James. – Mam wrażenie, że powinnaś trochę odpocząć.

Otworzyła oczy i odwróciła się w jego stronę tak szybko, aż zakręciło się jej w głowie. Jasne spojrzenie Jamesa zdradzało troskę i niepokój.

– Dziś to zrobię – odparła. – Wreszcie uprzątnięto królewskie komnaty ze wszystkiego, co należało do Gertranda, więc będę miała ciszę, spokój i wygodne łóżko.

James pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Gdzie w ogóle jest królowa matka?

– W swojej rezydencji w Argadorze – prychnęła. – Zwiąta, gdy tylko zorientowała się, że w Glandirze robi się gorąco.

– Jest przecież siostrą Ewana – zdziwił się. – Bała się, że jej nie ochroni?

– Nienawidzą się ponad wszystko – westchnęła Raina i wstała od stołu. Przeszła powoli przez pokój w kierunku biurka, gęsto zastanego listami i dokumentami. – Do tego stopnia się nie znoszą, że nie są w stanie przebywać w jednym pomieszczeniu. To dawna uraza, sięga czasów wydania jej za mojego ojca. Uważa, że Ewan i najstarszy Bancroft, Elis, sprzedali ją jak klacz rozplodową dla własnych korzyści, co jest kompletną bzdurą. Ewanowi i tak należy się miejsce w Radzie. Jest drugim synem.

– No tak, lordowie i ich przyrodzone przywileje.

– Gdyby to ode mnie zależało, skład Rady diametralnie by się zmienił – stwierdziła królowa, niechlujnie segregując listy na kilka stosów. – Ale nie mam siły na kolejne starcie. Nie z tradycją, zwyczajami i prawem.

– Raino. – James podszedł do biurka i złapał ją za nadgarstek, gdy przekładała kolejne papiery. – Świetnie dajesz sobie radę.

Patrzyli sobie w oczy dłużej, niż powinni. Raina widziała w oczach Jamesa podnoszącą na duchu troskę i chęć pomocy.

– Jest mi trudno – wyszeptała i poczuła ciepło jego palców, kojąco przesuwające się od dłoni aż do przedramienia.

– Wiem. – Pokiwał głową ze zrozumieniem. – Ale z czasem będzie łatwiej.

Pierwotnie się zawahała, ale po chwili nie miała już siły dłużej się powstrzymać. Przysunęła się do łowcy i objęła go ciasno w pasie. James przytulił ją, przyciągnął głowę Rainy do swojej piersi i zakołysał lekko jej zmęczonym ciałem. Dopiero gdy to zrobił, zdała sobie sprawę, że minęło mnóstwo czasu, od kiedy ktokolwiek ją obejmował. Zrozumiała, jak bardzo potrzebowała, by ktoś pocieszył ją w ten sposób.

– Mówisz, że dzisiaj czeka na ciebie sen w wygodnym łóżku? – James wymamrotał w jej włosy.

– Nie zasnę, jeśli będę sama. Ciemność jest... przytłaczająca – odparła i objęła go mocniej, łaknąc bliskości i ciepła drugiej osoby.

– Nie będziesz sama. Jeśli pozwolisz.

Nie musiała zastanawiać się nad odpowiedzią. Nagle zapragnęła, by wieczór nadszedł szybciej.

Rozdział 12

VEER

– Raina bardzo się stara, żeby wszystko poszło dobrze – zauważył Vas. Siedział w wygodnym fotelu ustawionym w centrum pokoju obok okrągłego stolika do kawy. Grattzowi przydzielono pokój w skrzydle gościnnym, z dala od zamieszania panującego w sercu Glandiru. Panowała tu cisza i spokój. Przez okna wychodzące na wschód wpadała chłodna bryza, dzięki której elendorski upał był odrobinę znośniejszy.

Veer obserwował, jak ojciec przechadza się po pomieszczeniu. Minę miał skwaszoną, plecy spięte. Niezadowolenie biło od niego przy każdym kroku, przez co Veer nie wiedział, czy kontynuowanie rozmowy na temat ugody z Rainą było dobrym pomysłem.

Lubił sądzić, że zna ojca na wylot. Był dla niego wzorem, odkąd tylko pamiętał. Uczył jego i Vasa, wspierał ich w trudnych chwilach, ganił, gdy wymagała tego sytuacja... I zawsze w oczach Veera zasługiwał na szacunek. Mimo to zdarzały się momenty takie jak ten – sugerujące, że stoi między nimi coś, czego nigdy nie pokonają. Zastanawiał się wielokrotnie, czy była to zwykła duma, czy może jakiegoś rodzaju sekrety lub doświadczenia, które oddalały ich czasami od siebie. Grattzo był szczodry i rozważny, ale też tajemniczy. Zdecydowany, oddany leżu i swojej rodzinie, a jednak surowy i nieprzejednany, gdy coś postanowił. Miał wiele cech, które czyniły go idealnym przywódcą. Duża ich część przekładała się na

bycie dobrym ojcem. Gdy jednak w grę wchodziło połączenie obu tych ról, łatwo było o konflikt.

– Tak, dostrzegam to – odparł w końcu Grattzo i podszedł do okna. Odsunął delikatnie jasne zasłony i spojrzał na rozciągający się przed nim ocean.

– Dlaczego więc tak to utrudniasz? – zapytał Veer. – Nie rozumiem cię, ojcze.

– Twój osąd jest zbyt powierzchowny, synu. Nie dostrzegasz głębi, pełnego obrazu sytuacji.

– Wytłumacz nam więc – zachęcił Vas, pochylając się w jego stronę. Chciał przeprowadzić tę rozmowę najlepiej, jak potrafił. Pragnął zrozumieć.

– Raina składa wiele obietnic, których nie będzie mogła spełnić. Nie jest tego świadoma. Handluje czymś, czego jeszcze nie posiada. Czy chcielibyście kupić towar z pustego straganu? – zapytał i spojrzał na każdego z synów. – Nie. Uznalibyście to za oszustwo. Chcielibyście, by pokazano wam przedmiot, za który chcecie zapłacić. Oczekiwalibyście gwarancji.

– Oferta Rainy nie jest fizyczna. Nie można jej ot tak pokazać – zauważył Veer.

– Bo oferuje idee. Idee szybko blakną. Znikają niczym wiatr, wysychają jak woda w słoneczny dzień. Są nietrwałe. Jak więc mogę postawić wszystko na słowa rzucane w przestrzeń?

Veer westchnął głęboko i pokręcił głową. Spojrzał na Vasa, chcąc dać mu znać, że nie ma sensu dalej przekonywać ojca. Wiedział, że gdy Grattzo wejdzie już w używanie metafor i porównań, nie da się go przegadać. Był doskonałym retorem.

– Co zatem może cię skłonić do choćby rozpatrzenia jej propozycji? Co jeszcze ona musi zrobić, byś w końcu uznał tę sytuację za okazję, a nie myślał o tym jak o oszustwie? – zapytał Vas, ignorując znaczące spojrzenie Veera. Brat nie miał zamiaru się poddawać.

– Przede wszystkim chciałbym, żebyście wy dwaj przestali tak bezwzględnie na mnie naciskać – mruknął Grattzo. – Nie tak was wychowałem.

– Proszę, nie używaj tego typu argumentów. Mamy prawo do własnego zdania, ojcze – Veer starał się być jednocześnie

stanowczy i łagodny. Nie chciał, by rozmowa przerodziła się w kłótnię.

– Oczywiście. Jednak nadal jesteście moimi synami, a ja przywódcą leża. Powinniście stać po mojej stronie. Dbać o dobro wszystkich waszych braci i sióstr, którzy zostali w domu, i martwić się o swoją przyszłość. Rozważać, jak wpłyną na nich wasze decyzje, wasze odejście i udział w tym szaleństwie. – Grattzo zaczął lekko podnosić głos. Stał przodem do nich i zaciskał mocno palce na kosturze. – Ludzie Zjednoczonego Królestwa wiedzą o smokach. W każdej chwili mogą zechcieć nas odnaleźć, zbliżyć się do smoków, uknuć plan, przez który stracimy wszystko, co przez lata chroniliśmy. W manstarskich górach panuje strach i niepewność, a wy dwaj po części jesteście za to odpowiedzialni.

– Zrobiliśmy wyłącznie to, co było słuszne. Nie można się wyrzec swojej *ātmā sāthi*. Doskonale o tym wiesz – wyrzucił mu Vas.

– I co wam to przyniosło? – powiedział starzec, na chwilę spuszczać z tonu. – Żal, smutek, cierpienie i żalobę. To właśnie niesie za sobą mieszanie się w sprawy władców, w politykę i w wojny, których nie rozpętaliśmy. Wyrażenie zgody na propozycję Rainy będzie niczym innym, jak skazaniem się na życie według jej rozkazów i na przelewanie krwi za jej idee i jej lud. A ja mam własną rodzinę, którą przysięgałem chronić. Jak myślicie, co powiedzą, gdy oddam pieczę nad ich dobrobytem obcej królowej?

– Nikogo nie porzucisz, ojczyźnie – wyjaśnił Veer. – Poprowadzisz ich ku lepszemu życiu. Zapewnisz im większe bezpieczeństwo, pozwolisz rozwijać się w świetle słońca, zapominając o ciemności jaskiń i ukrywaniu się.

– Wydaje wam się, że to takie proste...

– Bo jest. To jest proste. Będzie wymagało pracy od nas wszystkich, jednak jest to coś, czego potrzebujemy. Wielu jeźdźców pragnie zmiany. Lepszej przyszłości dla swoich dzieci. Narodzin smoków! – Vas aż podniósł się z fotela. – Jeśli nie wyjdziemy z tych cholernych jaskiń, już nigdy nie doświadczymy żadnej próby. Ten twój kamień więcej nie rozbłyśnie magią. Pozostanie uśpiony, jak wszystkie jaja w skarbcu. W końcu obróci się w pył.

– Możemy rozwiązać ten problem inaczej. – Grattzo próbował się bronić.

– Jak? – sarknął Vas. – Wszystkie twoje dotychczasowe plany się nie powiodły. Wycieczki do Manstaru w kamuflażu ani zwabianie przypadkowych podróżnych nie pomogły. Los nie stoi po twojej stronie, ojcze. Powinieneś się z tym pogodzić.

Grattzo nie odpowiedział na te zarzuty. Oparł obie dłonie na kosturze, przelotnie spoglądając na delikatnie połyskujący kamień. Veer dostrzegwał różnicę w wyglądzie artefaktu. Światło odbijające się w szkłe było inne niż zazwyczaj. Promieniowało energią innego rodzaju.

– Ona się nie podda – powiedział. – I nie mówię tylko o przekonaniu ciebie. Nie odpuści żadnego ze swoich planów. Elendor się zmieni, choćby miała stanąć twarzą w twarz ze wszystkimi bogami, w których wierzy, lub z samym Losem.

– Tego się właśnie obawiam – wyznał Grattzo.

– Czy to naprawdę takie straszne sprzymierzyć się z kimś, kto jest w stanie walczyć o swoje? Bądź co bądź, wasze cele się pokrywają.

– Oboje macie sobie wiele do zaoferowania – dodał Vas.

– Raina widzi w nas głównie siłę. Szansę na zdominowanie potencjalnych przeciwników.

– Możesz jej dać coś jeszcze.

– Vas! – syknął Veer, próbując powstrzymać brata.

– Niby co? – zapytał zaintrygowany Grattzo.

– Wiedzę – wyjaśnił Veer, nie pozwalając Vasowi kontynuować rozmowy. – O niej samej. O magii, kontrolowaniu jej i rozwijaniu. Jest samotna i niczego nie pragnie bardziej niż zrozumienia, co się z nią stało. Kim tak naprawdę jest i co potrafi.

– Nie będę w stanie jej uczyć.

– Ale znasz naturę magii. Rozumiesz, że płynie w każdym z nas, i będziesz mógł wskazać jej drogę.

– I odzyskać Rose – mruknął Vas, ignorując starania Veera, by zmienić temat.

Zapadła cisza, w trakcie której Veer modlił się, by mógł cofnąć czas i sprawić, że z ust jego brata nigdy nie padły te słowa. Jednocześnie oczekiwał reakcji Grattza. Bał się nawet na niego spojrzeć, jednak gdy w końcu się przemógł, w jego oczach zobaczył lęk. Czy on również wpadł na ten szalony pomysł i już wcześniej rozważał różne możliwości? Veer nie był w stanie wyczytać tego

z twarzy ojca. Wyczuwał jednak, jak atmosfera się zmienia, staje się gęstsza, a im dłużej trwał impas, tym trudniej było mu to znieść.

– Wiemy, że to możliwe, ojciec – odezwał się w końcu Vas.

Grattzo zacisnął zęby, a następnie odwrócił się do nich plecami i podszedł do okna.

– Chciałbym odpocząć po podróży – stwierdził bezceremonialnie tonem pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu. Opanował się na tyle, by nie dać po sobie poznać, że się boi lub targa nim gniew.

– Oczywiście – podjął Veer i ruszył przez pokój w kierunku drzwi. Vas chciał go wyminąć i podejść do ojca, brat jednak nie pozwolił mu na to, niemal siłą pchając go przed sobą.

– Dlaczego mi nie pomagasz? – warknął Vas, gdy tylko znaleźli się na korytarzu. Veer nie zatrzymał się nawet na sekundę i ciągnął go za sobą z dala od pokoju, by mieć pewność, że ojciec nie usłyszy ich kłótni.

– Bo to był absolutnie najgorszy moment, żeby go pytać o takie sprawy.

– A wyobrażasz sobie lepszy? – syknął Vas, wrywając ramię z jego uścisku. Zatrzymali się w rozwidleniu korytarza, przez co słowa Vasa poniosły się echem.

– Ciszej – syknął Veer. – Nie dawaj mu powodu do zwątpienia w nas.

– Bo co? Odeśle nas do Manstaru? Proszę bardzo. Chętnie porozmawiam z matką na temat jego samozaparcia.

– Co ona na to?

– Nie była w stanie wiele mi powiedzieć. Poza tym, że można powtórzyć rytuał, który pomógł Knerowi. Ale ona sama się tego nie podejmie. To ojciec zna wszystkie reguły, ona tylko pomagała – wyjaśnił, spuszczać z tonu.

– A rozmawiałeś z nim? – zapytał Veer z nadzieją.

Jego własne wspomnienia dotyczące wypadku Knera były zamazane. Miał sześć lat, gdy ośmioletni Kner spadł z dużej wysokości w trakcie treningu. Pamiętał swoje przerażenie, kiedy jego wątłe ciało z hukiem uderzyło o ziemię. Jak przez mgłę wspominał panikę jeźdźców. W uszach dźwięczał mu przerażający smoczy ryk, niosący się po sali treningowej. Późniejsze wydarzenia były jedynie pojedynczymi obrazami przebiegającymi mu przed oczami.

– Nie było go w leżu – westchnął gniewnie Vas. – Wybrał się ze swoimi ludźmi do miasta i nie było opcji, bym na niego czekał. Grattzo zorientowałby się, że specjalnie opóźniam wylot do Glandiru.

– A ktoś inny? Jego rodzice, rodzeństwo? – Veer próbował szukać innych sposobów na zdobycie informacji.

– Nie rozmawiałem z nimi, bo i co miałbym im powiedzieć? Hej, jak to się stało, że wasz syn spadł ze śmiertelnej wysokości, zniknął na kilka tygodni, a potem wrócił cały i zdrowy? – sarknął i rozłożył ręce. – Inną opcją było udawanie idioty i skłamanie, że ojciec kazał mi ich wypytać, bo przypadkiem sam już nie pamięta, co się wtedy wydarzyło.

– Może nie uznaliby tego za coś dziwnego – mruknął Veer.

– Wcale – prychnął. – Już rozmowa z matką była trudna. Na początku starałem się krążyć wokół tematu, mając nadzieję, że coś jej się wymysknie, ale ona i tak wiedziała.

– Myślisz, że mogła mu powiedzieć? Wyglądał na wystraszonego.

Vas pokręcił głową i założył ręce na piersi.

– Nie wiem. Raczej nie. Bo i po co? Żeby go tylko bardziej wnerwić przed spotkaniem z Rainą? Wiedziała, jakie ma nastawienie do tej wyprawy. Podejrzewam, że gdyby mogła, to by nam pomogła za jego plecami, ale na odległość nie jest w stanie wiele zrobić.

– Jakie więc mamy opcje? – zapytał Veer.

– Naciskamy na niego, póki się nie zgodzi – stwierdził brat. Jego ton sugerował, że uważa tę opcję za jedyną właściwą. Oczywiście. Veer jednak nie był przekonany.

Tym właśnie się różnili. Mogli mieć tę samą twarz, niemal perfekcyjnie podobne ciała, jednak gdy Veer szukał wielu opcji, Vas gotowy był już do działania. Kiedy nadchodził moment zwątpienia, Veer wolał zastanowić się nad planem, podczas gdy jego brat nie bał się podejmować ryzyka. Veer był tym, który prosił o pozwolenie, Vas zaś o wybaczenie.

– Jeśli przesadzimy, to całą wiedzę, której potrzebujemy, zabierze ze sobą do grobu. Nie wyciągniemy z niego nic. A przy okazji możemy jeszcze zaszkodzić Rainie i jej planom – zauważył.

– Za bardzo się go boisz, Veer – wytknął mu brat. – A przecież chodzi o Rose! Chcesz się poddać, rozgrywać wolne pionki i tracić tylko czas?

– Dobrze wiesz, że mamy go sporo. Zrobiliśmy wszystko, jak trzeba, Qadir ją chroni.

Wspomnienie rytuału pożegnalnego, który wykonali po śmierci Rose, na chwilę odebrało mu dech w piersi. Widok płomieni pożerających Qadira sprawił mu ogromny ból, tak samo jak powolne i metodyczne posypywanie ciała Rose popiołem pozostałym po nim. Było to coś, co robili z Vasem pierwszy raz. Dotąd Veer nie stracił żadnego bliskiego członka rodziny, którego musiałby pożegnać. Rytuałem zawsze zajmowali się najbliżsi krewni albo *ātmā sāthi*. Wiedział jednak, co musieli zrobić, bo w czuwaniu w leżu uczestniczyli wszyscy jeźdźcy – tak nakazywała tradycja. Zawsze z pewnego rodzaju zainteresowaniem obserwował, jak synowie i córki żegnają ojców oraz matki. Żal unosił się w powietrzu, ogień rozpalone w głównej sali tworzyły niepowtarzalny klimat zadumy, a śpiewy modlitewne podnosiły na duchu. Był to w pewnym sensie piękny rytuał. Ostatnia ofiara smoka dla swojego jeźdźca. Wieczny, niemożliwy do przerwania sen. To napawało go nadzieją.

Dopiero gdy sam musiał zatopić ręce w popiele, nie słysząc modłów i nie czując ciepła ognia, zrozumiał, jak bardzo się mylił.

– Jeśli teraz odpuścimy, to prędzej czy później zaakceptujemy, że odeszła. Raina, Sebastian i James również – powiedział Vas podniesionym głosem.

– Jesteś w stanie się z tym pogodzić? Kiedykolwiek będziesz? – zdziwił się Veer.

Brat wbił w niego ciemne spojrzenie i skrzywił się. Veer dostrzegł, jak w ostatnim czasie się zmienił. W czasie podróży do Manstaru Vas zapadł się, twarz mu zszarzała, pod oczami pojawiły się cienie. To samo zmęczone oblicze obserwował każdego dnia w lustrze.

– Nie – szepnął. – Oczywiście, że nie. Ale boję się, że się poddamy.

Veer bezceremonialnie podszedł do brata i poklepał go po ramieniu.

– Nie ma mowy. Przekonamy Grattza, jasne? Bez awantur i żądań.

Vas już otwierał usta, żeby mu odpowiedzieć, gdy usłyszeli skrzypnięcie otwieranych drzwi. Veer aż podskoczył, zaskoczony tym nagłym dźwiękiem, obawiając się, że ktoś mógł ich podsłuchiwać. Pchnął brata za róg, kątem oka dostrzegając, że to

ich ojciec opuszcza swój pokój na końcu korytarza. Pokazał bratu, by zachował ciszę i tylko na moment wychylił się, by zobaczyć, w którą stronę pójdzie Grattzo.

– Dokąd... – Vas zignorował go i wyjrzał zza ściany.

Grattzo trzasnął drzwiami, a następnie ruszył w głąb korytarza, po chwili znikając na schodach prowadzących na niższy poziom. Veer zauważył, że nawet nie zmienił stroju po podróży, a także zabrał ze sobą kostur.

– Idzie do Rainy?

– Nie sądzę.

– Więc idziemy za nim – zarządził Vas i zanim Veer zdążył choćby mrugnąć, jego brat już podążał śladami Grattza.

Rozdział 13

FIYONN

Rhoswen Eckhoff opuściła Klipetaigh w samym środku nocy. Wielu obawiałoby się podróżować po ciemku, ale nie ona. Okolicę znała bardzo dobrze, a swojemu woźnicy, z którym zjeździła już pół królestwa, ufała bezgranicznie. Do Askvolen miała dotrzeć w ciągu mniej więcej dwóch godzin. Wraz z nią w podróż udała się jedna ze służących Fiyonna.

– Mogę ją od razu ze sobą zabrać – zaproponowała Rhoswen. – Wytłumaczę wszystko Herbertowi. Dziewczyna będzie mogła siedzieć u niego do czasu, aż będzie miała do przekazania ci jakiś list.

Fiyonn wiedział już, którą z sióstr wyśle. Obie były ciche i przyzwoicie zorganizowane, ale jedna z nich była o wiele pewniejsza i wydawało się, że lepiej sprawdzi się w roli wysłanniczki.

– Jak się nazywasz? – zapytała Rhoswen, gdy pokojowa, mająca udać się z nią w podróż, pojawiła się w salonie.

– Vera – odparła, pokornie spoglądając w dół.

– Czy masz zamiar wrócić do Gniazda? – zapytał niespodziewanie Fiyonn. Wciąż siedział w fotelu i obserwował całą pokój z lekkiego dystansu.

Dziewczyna nawet nie drgnęła.

– Nie, proszę księcia.

Nie kłamała.

– W takim razie czy chcesz opowiedzieć komuś o tym miejscu?

– Nie, proszę księcia.

W jej głosie nie było nawet nuty zawahania. Jej serce biło w równym rytmie, który wskazywał na to, że Fiyonn nie mógł wątpić w jej słowa. Zawsze brał pod uwagę to, że ktoś mógł sprytnie oszukać jego magię, nawet dziewczyna, która całe życie zajmowała się sprzątaniami pałacowych pokoi.

– Czy będziesz dalej wykonywała polecenia moje oraz wicehrabiego Eckhoffa, kiedy dotrzesz do jego domu w Askvolen?

– Tak, proszę księcia – przytaknęła. – Choć przodkom obiecałam, że służyć będę panie Corvidae.

Rhoswen spojrzała na Fiyonna, wymownie unosząc brew.

– Służąc mnie, służysz jej – rzekł Fiyonn. – Jeśli chcesz sprowadzić ją z Gniazda, będziesz robić, co każę.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Nie spodziewał się, by zaczęła pyskować, ale z jakiegoś powodu podkreśliła, że to Antoinette uważa za swoją panią, co było o tyle ciekawe, że jeszcze nie tak dawno temu pracowały razem, ramię w ramię.

Fiyonn nie miał do niej więcej pytań. Dowiedział się wszystkiego, czego potrzebował.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi, udał się na tyły domu, do pokoju pełniącego rolę małej bawialni. Z niej można było wyjść na taras zbudowany od strony morza. Huk fal rozbrzmiewał tak głośno, jakby tylko krok dzielił księcia od samej krawędzi klifu. Wiatr niósł ze sobą wilgoć, zapach morza i wspomnienie wizji, w której razem z Antoinette okrążają jezioro.

Wpatrywał się w niebo, póki nie zaczął trząść się z zimna. Kiedy tylko wszedł z powrotem do środka, po plecach przeszedł go dreszcz.

Fiyonn rozejrzał się po ciemnym pokoju. Służba nie paliła tu świec, bo dotąd nie korzystał z tego pokoju. Jego oczy szybko przyzwyczyły się do mroku. *Nie jesteśmy sami*, szepnęły głosy, jedynie potwierdzając to, co sam przeczuwał.

Dwuosobowa już teraz służba kręciła się niedaleko, prawdopodobnie w kuchni. Kim była więc postać, którą wyczuwał? W domu był ktoś jeszcze.

Powoli przeszedł przez pokój i wyszedł na korytarz.

– Gdzie jesteś? – szepnął sam do siebie.

– Tutaj.

Fiyonn momentalnie obrócił się na pięcie i otoczył całe swoje ciało magią. Jego oczy samoistnie pokryły się czernią, a powietrze zdrząło od ilości używanej przez niego energii.

Miał wrażenie, że widzi ją tylko kątem oka. Jej postać była niewyraźna, niemal zlewała się z otoczeniem. Blondwłosa młoda dziewczyna ubrana w białą koszulę nocną zachichotała, jakby cieszyła się z tego, że udało się jej przestraszyć go, po czym uniosła dłoń do twarzy, zakrywając usta.

– Już dawno nikogo tu nie było – zauważyła. Jej oczy były rozbiegane, a głowa poruszała się na boki tak, jakby z trudem utrzymywała pion.

Zazwyczaj zmarli nie odzywali się pierwsi. To żywi musieli się do nich zwrócić, by dusze zorientowały się, że zostały rozpoznane. Ta jednak zachowywała się tak, jakby chciała zostać zauważona.

– Kim jesteś? – zapytał Fiyonn.

Spędził w Klipetaighu już kilka dni, lecz nie natknął się nawet na czyjś ślad. Zwykle potrafił wychwycić w powietrzu charakterystyczny trop, który zostawiają po sobie zmarli nawet na długo po tym, jak opuszczą dane miejsce. Magia związywała ich ze światem śmiertelnych i to ona umożliwiała mu zauważanie ich. Może jej nadmiar, zgromadzony w domu, zdołał zamaskować obecność tej zjawy?

Dziewczyna wykrzywiła palce i zagryzła wargę. Mogła mieć jakieś siedemnaście lat, nie więcej. Była właściwie wciąż dzieckiem.

– Edwina – powiedziała, po czym wykonała nerwowy ruch, jakby w ostatniej chwili zdecydowała się jednak nie podawać mu ręki. – Dlaczego tu mieszkasz?

Fiyonn długo nie odpowiadał. Postać, którą miał przed oczami, była nienaturalnie... żywa. Dusze, które napotkał dotąd na swojej drodze, często wydawały się nieobecne, tylko częściowo świadome słów, których mogą używać do komunikowania się ze światem żywych. Nawet tak silnie związana z rzeczywistością dusza Xanthe nie była tak chętna do rozmowy.

Fiyonnowi zdawało się, że widział już gdzieś tę twarz. Dziewczyna była do kogoś podobna. Lecz to jej imię stanowiło dla niego

najjaśniejszą wskazówkę. Jeśli nie doszło do żadnego nieporozumienia, miał przed sobą Edwinę Corvidae, najstarszą córkę Eilidith, siostrę Tatiany.

Mówiło się, że Edwina od najmłodszych lat wręcz emanowała magią. W zupełnie naturalny sposób posługiwała się wielkim darem, który otrzymała od Losu. Potem jednak szala się przeważyła, a dar zmienił się w przekleństwo.

Edwina zapisała się w historii jako jedyna Córa Moiry pożarta przez magię, choć nigdy nie było jej dane włożyć na palec Kruczego Oka. Fiyonn nigdy nie widział kogoś, kto zostałby zniszczony przez własną energię od środka, więc o całym procesie wiedział tylko z ksiąg.

Zapisy na temat przemiany Edwiny nie istniały – jedyna wzmianka, dzięki której wiadomo było, co się z nią stało, pochodzi ze słynnych dzienników Eilidith, która, na szczęście dla potomnych, była niezwykle płodną pisarką. Spisała wiele tomów, w których zawarła wiedzę na temat magii kłamstw oraz zaklinania. Część z jej zapisków Fiyonn wręczył Antoinette w Zimowym Pałacu.

– Jestem bliźniakiem krwi twojej siostry – rzekł powoli.

– Mojej siostry? – szepnęła. Gdy się do niego zbliżyła, kontur jej ciała wyraźnie się wyostrzył. Stała się niemal ludzka. – Ale Tatia...

– Nie Tatiany. Antoinette.

Dopiero kiedy znalazła się o krok od niego, mógł zobaczyć ślady, jakie magia pozostawiła na skórze Edwiny. Czarne smugi przypominające pęknięcia widniały na jej szczęce i szyi oraz na dłoniach, którymi zakrywała usta. Fiyonn był niemal pewien, że dookoła jej warg również dostrzegłby rozpadającą się skórę.

W końcu też wyraźnie wyczuł jej źródło – ogromne i płonące blaskiem jak u żywej osoby. Może dlatego jej sylwetka z każdą chwilą zdawała się taka rzeczywista, jakby mógł jej dotknąć. Edwina wyglądała, jakby nigdy nie opuściła tego świata.

– Nie mogłam jej znaleźć – odezwała się cicho. – Widziałam Tatię, ale mama...

Edwina odwróciła się i podeszła do jednego z luster wiszących w hallu. Jej twarz odbijała się w tafli niezwykle wyraźnie. Nie było mowy o półprzezroczystym ciele, rozmywającym się w powietrzu, typowym dla wszystkich dusz, jakie Fiyonn kiedykolwiek spotkał.

Podejrzewał, że przebywanie w Klipetaighu mogło w jakiś sposób zbliżyć ją do świata żywych.

– Mam inną siostrę? – szepnęła do swojego odbicia, po czym ponownie podeszła do niego. – Musisz mi o niej opowiedzieć.

Była od Fiyonna sporo niższa, więc zadzierała głowę, by spojrzeć mu w oczy. Choć sprawiała wrażenie zagubionej, gdy strzelała spojrzeniami na boki, nie wyglądała na kogoś, kto by się go obawiał.

– Widziała ogień lejący się z nieba i szmaragdowe oko błyszczące w ciemności. Wiesz coś o tym?

Edwina wbiła spojrzenie w sufit. Była rozkojarzona. Jej skupienie zaczęło się jakby wyczerpywać. Fiyonn nie był nawet pewien, czy usłyszała, co do niej mówił. Podejrzewał, że znał uczucie, które ją trawiło – gonitwa myśli, uczuć i skojarzeń, niekiedy chaotyczna, innym razem mająca wiele sensu, ale tylko dla tych, którzy jej doświadczali. Nikt inny nie był w stanie zrozumieć, jak to jest żyć z magią wzmacniającą zmysły, a co za tym idzie: zwiększającą ilość odbieranych bodźców. Znał to, dlatego też doskonale wiedział, że musi w jakiś sposób pochwycić jej uwagę – powiedzieć coś, co sprawi, że Edwina z powrotem się na nim skupi.

– Widziałam ogień – powiedziała, zanim zdążył się odezwać. – Ale to Tatia miała go doświadczyć.

Niespodziewanie jej postać rozmyła się w powietrzu. W jednej chwili jeszcze przed nim stała, a w drugiej już jej nie było. Fiyonn rozejrzał się, lecz nigdzie nie dostrzegął jej śladu. Przeszedł się po korytarzu, lecz wyglądało na to, że Edwina zniknęła. Najwidoczniej wspomnienie wizji Antoinette nie było trafnym pomysłem.

Fiyonn nie należał do osób niecierpliwych, był za to dociekliwy. Pierwszą duszę zobaczył jeszcze jako dziecko, więc półprzezroczyste, emanujące nikłym światłem sylwetki nie robiły na nim wielkiego wrażenia.

Duch Edwiny znacząco różnił się od innych. Może wynikało to z jej potężnego źródła, które lśniło jasno nawet po śmierci, a może z wyjątkowego połączenia z domem. Magia była mocą pośredniczącą między rzeczywistością i zaświatami. Spleciona niczym nić, spajała te dwa światy ciasnym szwem. Im większym talentem obdarowany był konkretny człowiek, tym bliżej znajdował się samego Losu i krainy cieni jeszcze za życia. Fiyonn był ogniwem

w łańcuchu łączącym obie te płaszczyzny, a to prowadziło do tego, że nigdzie do końca nie pasował.

Musisz stworzyć swoje własne miejsce. Kobięcy głos w jego głowie pochodził ze wspomnień. Nie należał do magii. Fiyonn jednak nie chciał go słyszeć.

Gdy wszedł do salonu, Edwina wpatrywała się w płonący w kominku ogień, a jej ciało znów było wyraźne.

– Wciąż nie przyszła.

– Mówisz o swojej matce? – zapytał Fiyonn, nawiązując do tego, co mówiła wcześniej.

Oddech Edwiny zadrżał, jakby powstrzymywała się od płaczu. Włosy zasłaniały jej twarz, więc nie widział jej miny. Kiwnęła głową.

– Dlaczego jej tu nie ma? – zapytała trzęsącym się głosem.

– Czy szukałaś jej gdzie indziej?

Dusza znów rozplynęła się w powietrzu, by chwilę później pojawić się koło oszklonych półek, za którymi znajdowała się kolekcja zegarów.

– Gdzie indziej miałyby być? Czekam na nią przez cały ten czas. Ona wie... wie, że tu jestem. Na pewno.

Przyjęło się mówić, że Eilidith Corvidae wiedziała o wszystkim. W historii zapisała się jako mędrzyni – jej wiedza na temat magii, zielarstwa i historii zapełniała archiwa po brzegi. *Czas jest drogą, po której należy umieć się poruszać.* Każdy dziedzic magii Corvusów i każda Córa Moiry znała to zdanie. Może dlatego Edwina uznała, że jej matka będzie wiedziała o córce czekającej na nią w ich rodzinnym domu. Nawet po śmierci wierzyła w jej niezachwianą mądrość.

– Czy możesz powiedzieć mi o ogniu, który widziałaś? – Fiyonn spróbował jeszcze raz. – Twoja siostra z pewnością doceniłaby pomoc.

Nie wiedział, na ile Edwina przejawiała talent swojej matki do interpretacji wizji, ale miał nadzieję, że może te dwa obrazy w jakiś sposób się ze sobą połączyć. Odkąd Antoinette doznała pierwszego widzenia, Fiyonn niemal każdego dnia poświęcał czas, by zastanowić się nad tym, co mu opowiedziała. Jednak interpretowanie czyichś wizji okazało się zadaniem o wiele trudniejszym niż rozszyfrowywanie własnych.

– To był ogień, który Tatiana chciała mieć – rzekła spokojnie Edwina, przeglądając się w szkle. – Ale przecież nie można osiąść ognia.

Fiyonn nie mógł powstrzymać się od spojrzenia prosto w płomień tańczący w kominku. Skóra ukryta za kołnierzem koszuli zaczęła go nieprzyjemnie swędzieć. Gdy zamknął oczy, mając nadzieję, że odegna to wrażenie, pod powiekami ujrzał zielono-złoty dywan oświetlony pomarańczową poświatą ognia. Dywan, którego tu nie było, bo ozdobił pokój w pałacu położonym wiele mil stąd.

– To ten sam ogień, który może łąć się z nieba. Przecież wiesz o tym. – Edwina stała koło niego. Jej twarz była tak blisko, że dokładnie widział wszystkie nienaturalne załamania jej skóry.

– Wiem – potwierdził cicho.

– Dlaczego jesteś tu sam?

Fiyonn długo nie odpowiadał. Przez chwilę myślał, że tak naprawdę nie zna odpowiedzi na to pytanie. *Zostawiliśmy ją, szeptały głosy. Powinna być z nami.*

– Nie mogłem jej zabrać. Nie mogłem też zostać – rzekł w końcu.

Nikt jednak nie usłyszał jego odpowiedzi. Był w salonie sam.

Edwina zniknęła.

Rozdział 14

SEBASTIAN

Wrota skarbcza stojące otworem budziły w Sebastianie jednocześnie ekscytację i zdenerwowanie. W ciągu wielu lat spędzonych w stolicy było to jedno z pomieszczeń, do których nie miał wstępu, dlatego też zawsze na myśl o banku Korony powstawał w jego głowie obraz ogromnej sali wypełnionej złotem i kosztownościami aż pod sam sufit. Wyobrażał sobie błyszczące stosy monet i biżuterii, drogocenne precjoza rozsypane w każdym kącie.

Rzeczywistość jednak znacznie różniła się od tej wizji. Była to komnata jak każda inna, odrobinę przypominająca magazyn, jednak zamiast zbroi i oręża lub jedzenia długie rzędy regałów zastawione były skrzyniami wypełnionymi słomą. Niektóre półki zasłane były stosami dokumentów, a pod ścianami stały stoły, przy których pracowali skarbnicy. Na widok strażników eskortujących Rainę oraz Basha rozmowy przycichły, a szuranie kufrów po drugiej stronie regałów ustało.

– Wasza wysokość, namiestniku – przywitali się z nimi głębokimi ukłonami.

– Czy raporty są już gotowe? – zapytała Raina, zatrzymując się przed stołem. Omiotła spokojnym spojrzeniem panujące zamieszanie, jakby chciała poznać odpowiedź na nurtujące wszystkich pytanie, jeszcze zanim zdoła je zadać.

Skarbnicy pracowali niemal bez przerwy, od kiedy wrota skarbcza zostały otwarte siłą. Główną przyczyną takiego posunięcia był fakt, że straż królewskiej nie udało się odnaleźć opiekunów banku wyznaczonych przez ojca Rainy. Uznano ich za poległych w bitwie, jednak Bash podejrzewał, że za ich zniknięciem stało coś więcej. Dlatego też wraz z Rainą jeszcze bardziej wyczekiwali wieści na temat funduszu Korony.

– To jeszcze potrwa, wasza wysokość, nie jesteśmy w stanie sprawdzić wszystkich pism, poleceń zapłaty i dokumentów handlowych tak szybko, jak byśmy chcieli. Musimy być bardzo skrupulatni w naszych wyliczeniach – odezwał się jeden z mincerzy. On i jego towarzysze zostali ściągnięci ze swoich pracowni w Kantalarze, by pomóc królewskim skarbnikom w rachunkach. Wyróżniali się na ich tle charakterystycznymi srebrnymi broszami przypiętymi do kaftanów. Bash dostrzegł symbol mennicy na ubraniach większości ludzi pracujących w skarbcu.

– Powiedzcie nam cokolwiek. Potrzebujemy każdej informacji, jaką na ten moment posiadacie – poprosił Bash.

– Obawiam się, że nie mamy dobrych wieści – usłyszał za plecami głos Archera Milesa. Oboje z Rainą momentalnie odwrócili się w jego stronę.

– Co masz na myśli, lordzie Miles? – zapytała Raina ze skwaszoną miną. Od czasu sekcji Rose źle znosiła jego obecność.

Miles skinął lekko głową, podszedł do stołu i rozłożył na nim dokumenty. Wyciągnął je z jednej z wielu opasyłych teczek, które przyniósł ze sobą. Każda z nich opatrzona była ciągiem dat oraz spisem miast i księstw.

– Udało nam się dotrzeć do archiwum podatków – wyjaśnił metodycznie Archer i wskazał na wypisane kwoty. – Są to zapisy z ostatnich pięciu miesięcy, posegregowane według księstw, prowincji oraz lordów, którym podlegają. Wyliczenia są wyjątkowo szczegółowe, poprzedni skarbnicy bardzo pilnowali każdej monety. Przychody były stałe, pojawiały się drobne opóźnienia, jednak żadne z nich nie było na tyle znaczące, by powodować niepokój, jednakże... – Miles rozłożył na stole kolejną tekę, znacznie grubszą niż wszystkie inne. – Prawdziwy chaos napotykaamy, spoglądając na zapisy wydatków.

– Rozumiem, że Gertrand pozwolił sobie nadszarpnąć budżet Korony? – zapytała Raina, analizując pierwszą stronę zapisków.

Miles spojrzał na nią i zacisnął mocno usta. Po chwili uniósł głowę i nakazał wszystkim mincerzom opuścić pomieszczenie. Kiedy w skarbcu zostało tylko czterech skarbników, których poprosił do stołu, przez chwilę wyraźnie zastanawiał się, co powiedzieć. Oparł ciężko dłonie na blacie i wbił wzrok w dokumenty.

– Obawiam się, że ponad miarę, wasza wysokość – powiedział cicho. Bash skrzywił się na jego zboląły ton podszyty fałszywą nutą.

– Wydał więcej, niż zarobiliśmy? – zapytała zirytowana Raina.

– Wydał wszystko, wasza wysokość – rzucił jeden ze skarbników. Bash spojrzał gwałtownie na niego, mając nadzieję, że się przesłyszał. Jak Gertrand mógł dokonać czegoś takiego? Chwilę zajęło Bashowi zrozumienie, że skarbnik nie żartuje. Obrócił się w miejscu, spoglądając na otwarte kufry i skrzynie wypełnione suchą słomą. Następnie podszedł do jednej z nich, odrzucił włókna, za pomocą których oddzielano jedną sztabkę od drugiej, zapobiegając ich rysowaniu się. Nie znalazł ani grama złota. Poczul rosnącą w żyłach panikę. Przejrzał jeszcze kilka skrzyń, jednak na darmo. Skarbiec był pusty.

– Co z weksłami? – zapytała Raina. Stała z opuszczonymi rękami i wyraźnie starała się zachować spokój.

– Nadal sprawdzamy ich autentyczność. Część z nich jest ważna, jednak nie są to duże kwoty. Korona nie udzielała wielu pożyczek. Niektóre zostały już spłacone, inne przedawniły się ze względu na śmierć pożyczającego bądź inne umowy anulujące długi. Na sprawdzenie potrzebujemy jeszcze wielu dni, może nawet tygodni.

Bash sapnął pod nosem, nie wierząc w to, co usłyszał. Nerwowo podparł się pod boki, powstrzymując się z całych sił przed roztrzaskaniem najbliższej skrzyni w pył. Był zmęczony i skołowany. Raport Archera tylko wzmocnił pulsowanie w skroniach, z którym walczył, od kiedy się obudził. Raina tymczasem stała w miejscu jak posąg.

– Jak długo będziemy w stanie się utrzymać? – zapytała cicho, niemal szeptem.

Skarbnicy wymienili z Milesem krótkie spojrzenia zdradzające strach i niepewność. Nie wiedzieli, jak interpretować zachowanie

Rainy.

– Kilka tygodni, jeśli będziemy oszczędzać – odparł Miles. – Załadamy spłaty długów, co da nam może miesiąc. Potem trzeba będzie liczyć na terminowe wpływy podatków. To może być jednak zgubna nadzieja. Przez zmianę władzy zapanował... niepokój – stwierdził ostrożnie. – Otrzymałem wieści, że występują problemy z dostawami, handlarze boją się podróżować głównymi traktami ze względu na zmniejszoną liczbę królewskich patroli.

– Dlaczego jest ich mniej? – zdziwił się Bash.

– Po otrzymaniu wieści, że jej wysokość zmierza do stolicy z kalindorskim wojskiem, Gertrand ściągnął wiele sił Korony do Glandiru. Chciał się w ten sposób zabezpieczyć. Nikt nie wydał rozkazów, więc patrole zostały w stolicy – mruknął Archer, wzruszając ramionami. Jego ton sugerował, na kogo zrzucał winę za to niedopatrzenie.

Raina drgnęła i spojrzała chłodno na mówiącego. Czające się w jej oczach zimno było bezwzględnie wycelowane w lorda Milesa.

– Nie otrzymałam informacji o wycofaniu oddziałów – rzekła oziębło. – Zdanie mi sprawozdania z aktualnej sytuacji należało do ciebie, lordzie Miles. Zawiodłeś.

Bash przez chwilę sądził, że słowa Rainy na niego podziałają, wzbudzą w nim potrzebę ukorzenia się, wywołają skruchę. Archer jednak nadal trzymał się prosto, nie odwrócił wzroku ani się nie spieszył, jakby reprimenda w ogóle go nie obeszła.

– Proszę o wybaczenie, wasza wysokość, jednak sądziłem, że skoro wybrano namiestnika, część obowiązków... – powiedział bez cienia żalu.

– Nie.

Mina Archera sugerowała, że spodziewał się znacznie większej reakcji z jej strony. Kiedy jej nie otrzymał, stracił na moment rezon. Spojrzał na Sebastiana, jakby w poszukiwaniu ratunku. Bash jednak nie miał zamiaru się nad nim litować. Jego zdaniem Miles zasłużył na gniew Rainy.

– Jeszcze dziś oddziały opuszczą Kantalar. Trakt musi być bezpieczny, dostawy mają trwać. Wieści o jakichkolwiek opóźnieniach mają docierać do mnie niezwłocznie – rozkazała

Raina, wyraźnie starając się nie wybuchnąć. Mówiła tonem spokojnym, który był pewny i nieznoszący sprzeciwu.

– A prace tutaj muszą nabrać tempa – dodał Bash. – Potrzebujemy pełnego obrazu sytuacji, dokładnych wyliczeń i informacji, dokąd powędrowały wszystkie oszczędności. Gertrand na pewno pozostawił po sobie jakiś ślad.

– Prześledzenie... – zaczął jeden ze skarbników.

– Nie interesuje mnie to – warknęła Raina, tracąc jednak kontrolę.

– Jakim cudem w tak krótkim czasie Korona mogła stracić cały majątek?! Musiały pozostać jakieś ślady, dokumenty, cokolwiek, co pozwoli odzyskać choć część pieniędzy.

Wszyscy zebrani opuścili posłusznie głowy, rozumiejąc, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Raina nie czekała na więcej. Obróciła się na pięcie i opuściła skarbiec.

– Czy ktoś poza zebranymi wie, jak wygląda sytuacja? – zapytał Bash.

– Tylko skarbnicy i ja sam – odparł Miles.

– I niech tak zostanie.

Raina czekała na niego w korytarzu. Zdażyła odrobinę ochłonać, ale jej twarz i ramiona pozostawały ciągle napięte.

– Mogliśmy się tego spodziewać – parsknęła i przetarła czoło dłonią. – Wiedział, że żyję, więc upewnił się, że w razie porażki pociągnie mnie ze sobą na dno.

– Możemy go ponownie przesłuchać – zasugerował Bash.

– Ha – prychnęła. – I co nam to da? Pokażemy mu w ten sposób, że jego plan, jakikolwiek jest, powiódł się. Jest mu już wszystko jedno, jutro zostanie stracony.

– Wyślę na dół kogoś, kto skuteczniej zmotywuje go do mówienia – zaproponował. – Albo zrobię to sam.

– Nie, nie powinieneś się w to angażować – przypomniała mu. – Nie jesteś już kapitanem straży, przesłuchiwanie więźniów nie należy do twoich zadań.

Bash westchnął ciężko, zrezygnowany. Z każdym dniem jego nowa rola coraz bardziej mu ciążyła. Miał wrażenie, że robił zbyt mało. Spotkania, rozmowy, wydawanie poleceń i planowanie kolejnych posunięć wraz z Rainą wykańczało jego umysł, wystarczająco już zamglony. Chciał działać, zająć się wszystkim

samodzielnie, zamiast ciągle rozdzielać zadania i otrzymywać raporty. Kiedy wieczorami kładł się do łóżka, czuł, jak jego ciało drży od stłumionej, niewykorzystanej energii. Gdyby to od niego zależało, byłby wszędzie. Przesłuchiwał w lochach Gertranda oraz jego żołnierzy. Patrolował Kantalar, szukając oznak buntu. Stał pod drzwiami Rainy, aby się upewnić, że jest bezpieczna. Teraz jednak to pod jego drzwiami dyżurowali strażnicy, z którymi niegdyś grywał w karty podczas nocnej warty.

– Co mogę więc zrobić, Raino? – zapytał, próbując wypędzić z głowy pomysły na tortury, którymi zmusiłby Gertranda do mówienia. – Wskaż mi inne zadanie albo pójdę tam w tej chwili i rozszarpie go na strzępy.

– Na egzekucji pojawi się pół miasta. Nie możemy pokazać go światu w kawałkach – stwierdziła z żalem.

– Dlaczego? – oburzył się Bash. – Jest zdrajcą, zamachowcem. Powinnaś dać poddanym znać, jaki los czeka tych, którzy podnoszą rękę na władcę.

– Rozmawiałam na ten temat z Lashanem. Wziął taką opcję pod uwagę, jednak zauważył, że rozsądniej będzie nie rozpoczynać mojego panowania od rzezi i tortur. Już i tak wielu poległo w walce.

Sebastian miał przykre wrażenie, że buduje się pomiędzy nimi mur. Patrzył w niebieskie oczy królowej i próbował doszukać się w nich kontrastującego ognia. Jeszcze kilka tygodni wcześniej żywo płonął, gdy jedynym, co mogła robić, było snucie planów i marzenie o zwycięstwie. Widział w postawie Rainy, jak znika jej determinacja, gniew przeradza się w niemoc, a niezłomność staje się jedynie szklaną fasadą. Była na skraju upadku. Tak samo jak on.

– Cholera – warknął, dając na chwilę upust emocjom. Zaczął chodzić w miejscu, by choć trochę rozrzedzić gniew. Zagojona rana na nodze dokuczała mu z każdym krokiem, jednak w jakimś stopniu lubił to doznanie. Ból wyzwalał go z otępienia.

– Ufam Lashanowi i zamierzam uważnie słuchać jego opinii – stwierdziła Raina. – W obecnej sytuacji Archer i Ewan stanowią zbyt dużą niewiadomą. Mogą chcieć wpędzić mnie w kłopoty.

– A co, jeśli Lashan tylko udaje twojego sojusznika? – zapytał, nie przestając krążyć w kółko. – Równie dobrze mógł cały ten czas

współpracować z Gertrandem. Może nawet pomógł mu wyprowadzić pieniądze ze skarbcza. Ukryć je gdzieś.

– Nawet jeśli masz rację, nadal uważam, że warto się go trzymać. Ludzie grający na dwa fronty mają tendencję do służenia temu, kto więcej daje.

– Właśnie się dowiedzieliśmy, że niewiele mamy do zaoferowania – zauważył Bash.

– Mamy pozycję – przypomniała mu. – Na razie – dodała po chwili, widząc jego zwątpienie. – I smoki. Gdy uda mi się dogadać z Grattzem, nikt nie odważy się nam przeciwstawić.

Jeśli, poprawił ją w myślach Bash, nie mając odwagi powiedzieć tego na głos. Od spotkania z przywódcą leża w jego sercu narastały wątpliwości. Pierwotnie był pewien ich sukcesu, podczas gdy Raina martwiła się i wątpiła. Z upływem czasu zamienili się rolami i Raina chciała wierzyć, że Grattzo zgodzi się na jej plan, ślepo wręcz planowała swoje kolejne posunięcia, które opierała na jego potencjalnej zgodzie. Im więcej jednak czasu mijało, Sebastiana coraz bardziej ogarniał niepokój.

– Nie mamy pojęcia, co robimy, Raino – powiedział w końcu i stanął w miejscu.

– Oczywiście, że nie – zaśmiała się nerwowo. – Błądzimy jak dzieci we mgle.

Bash również się roześmiał, choć nie uważał nic z tego za powód do radości. Był to śmiech przez łzy, reakcja na stres i beznadziejność sytuacji, w której się znaleźli.

– A więc słuchamy się Lashana. To jest nasz plan? – zapytał, oferując jej ramię.

– Dopóki nie okaże się być żmiją, za którą wszyscy go uważają, tak – stwierdziła i ufnie oparła się na nim.

– Wasza wysokość! – usłyszał podniesiony głos dobiegający z końca korytarza.

Młody chłopak, którego Bash kojarzył ze spotkań z szambelanem, biegł w ich kierunku i wymachiwał ręką.

– O co chodzi? – Raina zdziwiła się na jego widok.

– Delegacja – westchnął asystent, podbiegając do nich. – Z Kantalaru. Prosi o audiencję.

– W sprawie?

– Nie posiadam takich informacji – odparł zasapany.

Bash poczuł, jak Raina delikatnie zaciska palce na jego przegubie. Wszystkie audiencje zostały w ostatnim czasie odwołane. Istniało niewiele osób, którym status pozwalał na przekroczenie progu pałacu, by spotkać się z królową.

– Kto to? – zapytał Bash.

– Jakaś kobieta i jej towarzysze. Przedstawiła się jako Elida Kostelic.



– Lordzie Lashan, czy wiemy coś o tej kobiecie? – zapytała Raina, gdy we trójkę przemierzali chłodny korytarz Glandiru po drodze do sali audiencyjnej.

– O niej samej niestety niewiele – zaczął Hershel spokojnym tonem. Nie spieszyli się, wręcz celowo opóźniali moment, w którym spotkanie się rozpocznie. Gdy wraz z Rainą powiadomili lorda o obecności solarytów w pałacu, zasugerował on, że dobrym pomysłem będzie potrzymanie ich przez chwilę w niepewności. – Sam kult również owiany jest tajemnicą, jednak posiadam pewne informacje. Przede wszystkim taką, że Elida Kostelic przyjechała do Kantalaru niedawno, zaledwie kilka tygodni temu. Wcześniej podróżowała po Zjednoczonym Królestwie jako misjonarka. Swego czasu była w Kalindorze, o czym informował mnie mój brat.

– Sprawiała kłopoty? – zapytał Bash niemal z nadzieją. Desperacko poszukiwał czegoś, co pozwoli mu jednoznacznie sklasyfikować ją jako wroga. Po informacjach, które przekazał mu James, zdecydowanie skłaniał się, by bezwzględnie jej nie ufać.

– Nie, wręcz przeciwnie. Historia jej podróży jest pełna luk, a gdy tylko pozostawiała po sobie jakieś ślady, były one wręcz blade, kompletnie nieszkodliwe – wyjaśnił Lashan. – Aarav wspominał w liście, że pierwotnie rozważał sytuację zagrożenia. Solaryci od lat mieszkają na północy Kalindoru, wiarę czerpali od graniczących Vijandczyków. Nie dochodziło do żadnych starć ani konfliktów. Długo uznawał ich obecność za naturalną, jednak kiedy zawitali w progach

Unur, prosząc o wysłuchanie, dostrzegł, że ma do czynienia z czymś... niecodziennym.

– Wystosowali jakieś żądania? – zapytała Raina, odrobinę zwalniając.

– Nie. I to go właśnie zdziwiło – kontynuował Hershel. – Przedstawili się, opowiedzieli o swojej wierze i ruszyli w dalszą drogę. Nie przypominam sobie, by Aarav przekazał mi więcej informacji. Minęło już kilka lat.

– Skąd zatem wiemy, kiedy przybyła do Kantalaru? – zainteresował się Bash. Przystanęli w miejscu, orientując się, że od spotkania z solarytami dzieli ich zaledwie kilka kroków.

– Donieśli mi o tym moi słudzy, którzy od nieudanego zamachu Gertranda raportowali o wszystkich niepokojących sytuacjach – wyjaśnił i założył ręce za plecami. – Uznałem, że w tak niepewnym czasie informacje są ważną walutą. Byłem też ciekaw, czy przypadkiem nie będą chcieli jakoś wykorzystać zamieszania do swoich celów.

– Po moim powrocie rozmawialiśmy o zebraniu raportów od gońców – zauważyła przytomnie Raina, wzbudzając w Bashu poczucie winy. Momentalnie zorientował się, że to on powinien zająć się zebraniem informacji i jako namiestnik przedstawić je Rainie. – Czy udało się do nich dotrzeć?

– Tak, rozmawiałem z nimi. Planowałem dziś dostarczyć jej wysokości podsumowanie, ponieważ rzeczywiście solaryci stanowią pewien problem. Jednak niespodziewanie ten „problem” przybył teraz do nas – mruknął lord, wyraźnie zawiedziony, że nie miał okazji poinformować Rainy o wszystkim, czego się dowiedział. – Mamy pewne problemy na królewskim trakcie, jednak ta sprawa jest bardziej...

– Archer Miles już zdążył mnie o tym poinformować. Kazałam mu wznowić patrole – przerwała Hershelowi Raina. Jej słowa wyraźnie zaskoczyły lorda Lashana, co z kolei zaintrygowało Sebastiana. *Skąd to zdziwienie?*, zastanawiał się.

– To dobra decyzja, wasza wysokość – stwierdził. – Co do solarytów... Kilku gońców dostarczających depesze na południu elendorskich terenów zwróciło w swoich raportach uwagę na powstające powoli miejsca kultu opatrzone symbolami

niekojarzonymi z naszą wiarą. W okolicach jeziora Dorien natknęli się na prowizoryczne ołtarze oraz grupy wyznaniowe w kilku wsiach. Podobne wieści spłynęły z okolic Terridon, jednak nie z samego miasta, a właśnie z prowincji. To każe sądzić, że solaryci zaczynają w pewnym sensie się osiedlać. Pozostawiają po sobie idee, które zaczynają kiełkować.

– Co na to Elis Bancroft? – zapytała Raina, marszcząc brwi. – I Ewan?

Hershel skrzywił się na wspomnienie Wielkiego Lorda Argadoru i jego brata zasiadającego w królewskiej Radzie.

– Tego nie wiem, jednak jeśli wasza wysokość sobie tego życzy, jeszcze dziś wyślę wiadomość do Terridon i Dorrily z prośbą o zbadanie sprawy.

– Tak, niech jednak zachowają dyskrecję. Nie chciałabym, żeby solaryci uznali, że Korona obdarza ich zbyt dużą uwagą. To sugerowałoby, że ich poczynania wzbudzają w nas jakąś panikę.

Hershel skłonił lekko głowę, na znak, że zrozumiał jej polecenia.

Raina przez chwilę analizowała słowa lorda Lashana. Bash stał obok niej i czuł, że ich umysły pracują z podobną mocą, próbując posklejać przedstawione im informacje.

Nie był jakoś szczególnie religijnym człowiekiem. Rzadko przekraczał próg świątyni, czasami przyłapywał się na tym, że nie znał słów modlitwy, a niektóre rytuały stanowiły dla niego tajemnicę. Kiedy był jeszcze dzieckiem, ojciec bezwzględnie wpoił mu wiele litanii, dzięki czemu obudzony w środku nocy, potrafił wymenić wszystkie siedem filarów wiary. Śmierć, życie, czas, miłość, wojna, sprawiedliwość i pamięć. Każdemu z nich odpowiadało inne bóstwo wymagające innej czci. Potem jednak opuścił rodzinny Berendor i przybył do Glandiru, gdzie pochłonęła go służba oraz wojna, na którą był zdecydowanie za młody. Zrozumiał wtedy, że stojąc oko w oko z przeciwnikiem, liczy się tylko śmierć i życie. Reszta nie miała znaczenia. Stojąc w obliczu potencjalnego konfliktu religijnego, nie był pewien, czy umiałby bronić czegoś, w co nie wierzył.

– Co wiemy o działalności tych solarytów w Kantalarze? – zapytał w końcu, widząc, że Raina nadal zastanawia się nad słowami Lashana.

– Nie budują świątyń ani ołtarzy, tego jestem niemal pewien, jednakże są obecni na ulicach. Posłańcy oraz żołnierze Kamaala raportowali mi, że wiele osób noszących solarycki symbol, czyli złote koło, zgłosiło się do pomocy. Byli na błoniach, gdzie zajmowali się ciałami poległych, w szpitalach opatrywali rannych i rozdawali jedzenie potrzebującym. Ich zachowanie było wręcz wzorowe na tle wielu mieszkańców stolicy.

– Czerpali z tego jakieś zyski? – wykrztusiła Raina.

Hershel pokręcił głową. Jego mina sugerowała, że zachowanie tych ludzi go zdumiewało, może nawet budziło podziw.

– Nie, wasza wysokość. Wszystko co robili, czynili z własnej woli. Tym bardziej uważam, że trzeba traktować ich z dystansem.

– Bo możliwe, że przyszli tu po zapłatę – dokończył za niego Bash.

Powoli strach przejmował nad nim władzę. Nie był przyzwyczajony do tego uczucia, przez co czuł się dziwnie skołowany. Ruszyli korytarzem, a on starał się skupić na liczeniu własnych kroków, by choć na moment odciążyć umysł przeładowany informacjami.

To spotkanie miało być jego sprawdzianem w roli namiestnika. Dotąd wszystkie posiedzenia Rady, w których uczestniczył, postrzegał w sposób podobny do tego, jak przebiegały spotkania w gwardii książęcej. Miał wypracowany sposób działania, do każdego problemu był w stanie szybko przygotować rozwiązanie. Jego praca była prosta, choć momentami potrafiła nadwyrężyć ciało. Długie nocne warty i częste treningi z młodszymi strażnikami sprawiały, że zazwyczaj wieczorami padał na łóżko bez życia. Teraz jednak pracował głównie umysłem, który po wielu godzinach rozmyślań obarczał go paskudnymi koszmarami.

Weszli do sali audiencyjnej i Sebastian zobaczył ludzi ubranych w jasne szaty, siedzących na końcu długiego stołu. Wśród nich była kobieta o krótkich, kręconych włosach i niezbyt przyjemnym wyrazie twarzy. Jej ciało było smukłe. Wąskie ramiona zakrywała szeroka, beżowa koszula, podobna do tych, które nosili jej towarzysze. Wszyscy prezentowali się blado i skromnie, czym wprawili Basha w zdziwienie. Przywykł do widywania przeorów spacerujących po Kantalarze w wystawnych strojach wyszywanych wielokolorową nicią.

– Wasza wysokość, lordzie Pisceriov, lordzie Lashan – powitał ich ochmistrz, którego zadaniem było towarzyszenie gościom do ich przybycia. – Elida Kostelic, Darin Ognayan, Grigor Sokolian oraz Petar Pejic.

Na dźwięk swojego imienia każdy po kolei obdarzył ich głębokim skinieniem. Bash skrzywił się, gdy zobaczył, że nikt z nich nie kwapił się, by wstać na widok Rainy. Siedzieli rozluźnieni na krzesłach i oczekiwali rozpoczęcia spotkania. Sebastian zastanawiał się, czy któreś z nich odezwie się jako pierwsze, jednak wraz z Rainą i Herchelem zdążyli zająć swoje miejsca, a goście nadal nie wypowiedzieli ani słowa.

– Witajcie – powiedział Hershel. Raina dała mu wcześniej znać, że wolałaby, by to on prowadził rozmowę.

– Dziękujemy waszej wysokości oraz szanownym lordom za przyjęcie nas – odezwała się kobieta, przykładając dłoń do piersi. – Jesteśmy niezwykle radzi, że znaleziono dla nas czas.

– Co was sprowadza w progi Glandiru? – Hershel od razu zaatakował, starając się uniknąć zbędnych uprzejmości i rozmowy o niczym.

– Przede wszystkim chciałabym w imieniu swoim oraz moich towarzyszy wyrazić głębokie wyrazy współczucia po stracie siostry, wasza wysokość. – Elida Kostelic mówiła cicho i spokojnie, nie było w jej słowach żadnej kpiny, a ton nie sprawiał wrażenia nazbyt teatralnego. Brzmiała tak, jakby rzeczywiście śmierć Rose ją poruszyła. – Niechaj wieczny blask jaśnieje nad jej duszą.

Bashowi wydawało się, że Raina nawet nie mrugnęła na te słowa. On sam z trudem pozostał na miejscu. Każda wspominka o Rose i jej odejściu...

– ...z moimi towarzyszami... – Nagle zorientował się, że kobieta kontynuowała, a on na chwilę stracił świadomość sytuacji. Odwrócił się, chcąc wyczytać z twarzy Hershela i Rainy ich reakcję na słowa, które mu umknęły, jednak oboje pozostawali spokojni i opanowani. – Chcielibyśmy prosić o wysłuchanie oraz o pomoc w ochronie tych, którzy znaleźli się na nowej drodze ku światłu.

– Nowej drodze? – dopytał Hershel uprzejmie.

– Tak, wasza lordowska mość – odezwał się Ognayan. – Uznajemy naszą wiarę za podróż, dlatego też sami od lat

pielgrzymujemy, nauczając każdego, kto łaknie wiedzy. Czcigodna Elida prowadzi nas, jest naszą przewodniczką.

– Zakładam więc, że jako przewodniczka nie bez powodu uznała pani drogę do Glandiru za wartą pokonania – mruknęła Raina, zdradzając niezadowolenie.

– Wasza wysokość ma rację – odparła wywołana, pochylając głowę. – Przybywamy, by prosić o wsparcie w docieraniu do wiernych i o otoczenie ich opieką. Przez lata podróży doświadczyliśmy różnych powitań ze strony narodu elendorskiego. Dzięki niech będą światłu, wielu przyjmowało nas z otwartymi ramionami, wyzbywając się uprzedzeń, szanując nasze wartości, czasem jednak niestety dochodziło do przykrych sytuacji.

– Moje doświadczenia z waszymi pobratymcami raczej nie przywodzą mi na myśl żadnych objawów nienawiści, panno Kostelic – zauważył Hershel. Oparł łokieć na stole, delikatnie odchylając się do tyłu, jak miał to w zwyczaju podczas wielu innych spotkań. Przybrał maskę, której celem miało być pokazanie jego pozycji.

– Tak było, gdy jeszcze większość naszych towarzyszy mieszkała na północy Kalindoru, lordzie Lashan – przyznał Sokolian. Był odrobinę starszy od reszty solarytów, mówił cicho, niemal mamrotał. Bash ocenił, że on i Ognayan mogli dobiegać sześćdziesiątki, zaś Kostelic i ostatniemu z gości dawał najwyżej trzydzieści lat. – Gdy jednak ruszyliśmy w podróż, nie wszyscy byli zadowoleni z naszej wizyty.

– Może w takim razie jest to znak, że powinniście zostać na północy? – wypalił Bash bez zastanowienia. Poczul, jak Raina, siedząca obok, zeszywniała. Kątem oka dostrzegł, że Lashan uniósł wysoko brew.

– Lub zadbać o dodatkową ochronę – powiedział Hershel, próbując uratować sytuację.

– To właśnie sprowadza nas w progi tego domu, szanowny lordzie – podłapała Kostelic. – Chcielibyśmy uzyskać pozwolenie na kontynuowanie naszej misji bez strachu i niepokoju. Spokój naszych towarzyszy jest nam najdroższy, dlatego też gdziekolwiek dostrzeżliśmy niesprawiedliwość, tam staraliśmy się nieść dobrą nowinę i zbierać świadectwa tych, którzy oddają swój los światłu.

Mówiąc to, wyciągnęła rękę do mężczyzny po swojej prawej, który podał jej opasłą księgę. Elida położyła ją na stole, a następnie przesunęła w kierunku Rainy i obdarzyła ją delikatnym, pytającym uśmiechem.

Raina nie od razu sięgnęła po wolumin, kiedy jednak to zrobiła, Bash zauważył, że jej dłoń delikatnie, niemal niezauważalnie, drżała. Plecy cały czas miała jednak proste, głowę uniesioną, a twarz naznaczoną bardziej ciekawością niż strachem.

– Jak wasza wysokość widzi, są tu historie wielu wyznawców solaryzmu, ludzi z każdego zakątka Zjednoczonego Królestwa. W ich imieniu prosimy o uznanie nas za swoich wiernych poddanych – poprosiła kobieta uroczyście. Raina uważnie przewracała kolejne kartki książki i odczytywała zapisane na nich nazwiska.

– Rozumiem, że dotąd odczuwaliście pewnego rodzaju odrębność względem Korony? – sprytnie zauważył Hershel.

– Absolutnie nie, wasza lordowska mość – pospieszyła z wyjaśnieniem Kostelic. – Mówiąc o uznaniu, miałam na myśli rozważenie nas jako wyznawców pełnoprawnej religii, a nie wyłącznie podróźjącego kultu. Zapewni nam to możliwość dbania o wszystkich zagubionych duchowo elendorczyków, a także szerzenie pomocy, którą już zaoferowaliśmy w ostatnich tygodniach.

– Korona jest świadoma waszych działań – powiedział Hershel dokładnie w chwili, gdy Bash otwierał usta. Chciał zwrócić Kostelic uwagę, że nie byli tu mile widziani, a także podkreślić swoje obawy, że ich oddanie mieszkańcom Kantalaru prawdopodobnie wynika tylko z chęci wywalczenia sobie przysługi. – Jesteśmy pod wrażeniem waszego zapału oraz chęci uporządkowania miasta w tak trudnym czasie.

– Nie byłoby to oczywiście możliwe bez wcześniejszego wsparcia pałacu, dlatego też nie mamy odwagi przypisać sobie wszystkich zasług. Jednak zaznaczamy, że jesteśmy gotowi do działania dla dobra każdej osoby, niezależnie od tego, w co wierzy.

Bash poczuł, jak z powodu słów Kostelic po plecach spływa mu kropla potu. *Pomoc z pałacu?*, zastanawiał się. *Jakiego rodzaju? Czy możliwe było, by wcześniej rozmawiali z Gertrandem? Lub działali na rozkaz Ronana Rodaagova?*

Szukał odpowiedzi na swoje pytania w zachowaniu Rainy, a gdy z jej twarzy nie udało mu się nic wyczytać, zerknął ponad stołem na Hershela. Lord nadal udawał niewzruszonego, jednak coś czaiło się w jego oczach.

– Niektórzy mogą uznać was za heretyków – stwierdził i posłał Kostelic zalotny uśmiech. – Ta Rada również. Skąd mamy wiedzieć, że wasze działania w Kantalarze i na terenach Zjednoczonego Królestwa nie są pewnego rodzaju... zagraniem?

– Zapewniam, że w żadnym stopniu nie zależy nam na konfliktach – odpowiedziała kobieta. Sięgnęła do torby, którą trzymała na kolanach, co dopiero teraz zauważył Bash. Odruchowo chciał podnieść się z miejsca i powstrzymać ją przed jakimkolwiek ruchem.

Panika przecięła jego ciało, gdy zrozumiał, że nikt z nich nie upewnił się, czy przybysze nie są uzbrojeni. Równie dobrze Kostelic mogła sięgać właśnie po broń.

– Nie oczekujemy też odpowiedzi waszej królewskiej mości od razu. Rozumiemy, że czcicie swoich bogów, szanujemy to, tak samo jak tradycje i rytuały, które przynoszą wam ukojenie. Proponujemy jednak inne spojrzenie, wcale nie lepsze bądź bardziej prawdziwe. W końcu prawda objawia się w naszych sercach i umysłach, dlatego zależy nam na ich otworzeniu. Przynoszę w darze egzemplarz Księgi Światła w wydaniu, które przygotowałam specjalnie dla waszej wysokości.

Sebastian na chwilę uspokoił się, gdy zobaczył, że jego lęk był irracjonalny. Tomiszcze w dłoniach Kostelic było ogromne, wyraźnie ciężkie i solidne. Kiedy Raina sięgnęła po księgę, trudno jej było utrzymać ją jedną ręką. Nie odchyliła jednak okładki, a zamiast tego skupiła się na prostym kole wytłoczonym w skórzanej oprawie w otoczeniu delikatnych drobinek złota.

– Rozumiemy, że sytuacja nie sprzyja spędzaniu wielu godzin na lekturze, wasza wysokość z pewnością ma wiele spraw na głowie – odezwał się Ognayan. – Uważamy jednak, że najlepszą drogą do zrozumienia jest poznanie.

– Co prowadzi do naszej ostatniej prośby, którą byłoby umożliwienie nam kolejnego spotkania z waszą wysokością, oczywiście w dogodnym czasie – podjęła Kostelic. – Jako że zostałam wybrana przez moich towarzyszy za przewodniczkę,

jestem zaszczycona móc poinformować waszą wysokość o kolejnych potrzebach solarytów, a także w ich imieniu zaoferować pomoc Koronie.

– Ma pani na myśli prywatną audiencję? – zapytał Hershel.

– Bardziej zależy mi na rozmowie, prostej i niezobowiązującej – wyjaśniła Kostelic. – Wiem, że podobne spotkania mają zagwarantowane elendorscy przeorzy, kiedy wymaga tego sytuacja. Poza tym nie chciałabym, by wasza wysokość czuła się zobowiązana do kontaktu z nami, jednak wiem, że wielu moich towarzyszy doceniłoby poczucie wolności i zrozumienia płynące z akceptacji mnie w tym domu. Lud potrzebuje spokoju, zapewnienia, że królowa rozumie ich potrzeby, szanuje ich poglądy i dba o to, by nie dochodziło do prześladowań.

Są przygotowani, pomyślał Sebastian. *Zbyt dobrze przygotowani*.

Kostelic dobierała słowa z wielką ostrożnością, jej towarzysze prowadzili z nią tę rozmowę pozornie mimochodem, jakby sprawa, z którą przyszli, była niezwykle błaha. Jednak im dłużej Sebastian ich słuchał, tym większe rosło w nim poczucie, że jest pod wpływem jakiegoś rodzaju manipulacji. Tolerancja? Wolność? Wspólne dobro? Zapobieganie konfliktom? Wszystko to brzmiało zbyt pięknie, by było prawdziwe. Spoglądał co chwilę na Rainę i Hershela, aby zobaczyć ich reakcję. Zaniepokoił się, gdy na twarzy Rainy dostrzegł zainteresowanie zamiast niepewności. Oglądała podarowaną jej księgę, jakby doszukiwała się w niej czegoś fascynującego albo niebywale istotnego.

– Zapoznam się z waszymi darami – powiedziała, przesuwając księgę po blacie w pobliże woluminu, który podarowano jej wcześniej. – I wstępnie zgodzę się na spotkanie, gdy nadejdzie dogodniejszy moment.

– Dziękujemy za wysłuchanie, wasza wysokość. – Kostelic pochyliła głowę tak nisko, że niemal dotknęła czołem blatu. Reszta solarytów poszła w jej ślady.

– Co do waszego statusu... – słowa Hershela powstrzymały ich przed wstaniem z miejsc. – Proszę pamiętać, że jeszcze przed chwilą znajdowaliśmy się w stanie wojny domowej. Sugerowałbym, byście nie próbowali burzyć z trudem wywalczonego spokoju i nie niepokoili kantalarskich oddziałów królewskich.

– Oczywiście, wasza lordowska mość. Dziękujemy za poświęcony nam czas.

Rozdział 15

ANTOINETTE

Niczym w złym śnie Antoinette znów trafiła do małego pokoju, w którym lata temu zamknęła ją ochmistrzyni po tym, jak podglądała lekcję tańca królewskich synów. Zasiadła się wtedy. Była tak zachwycona muzyką i ruchami, które wykonywali obaj bracia, że spędziła pod drzwiami prawie dwie godziny. Porzuciła swoje obowiązki, choć wcale nie naumyślnie.

Teraz pokój pełnił więc rolę celi. Nie było tu niczego poza siennikiem i stolikiem, na którym postawiono misę z wodą. Valiant nie mógł wiedzieć o tym, jakie wspomnienia wiązały ją z tym miejscem, a to sugerowało, że na pomysł uwięzienia jej tu wpadła pani Oesterberg.

Drzwi zamknięte były na klucz, a od strony korytarza strzegło ich dwóch mężczyzn. Byli to ci sami gwardziści, którzy ją tu przywlekli. Raz na jakiś czas wstawiała i szarpała za klamkę albo waliła w drewno pięścią, lecz bez odpowiedzi.

Po balu nikt do niej nie przyszedł. Resztę dnia spędziła samotnie. Walczyła z zimnem i głodem, które ogarniały ją wraz z upływem czasu. Przyzwyczała się do regularnych i sytych posiłków. Jeszcze rok temu jeden wieczór bez kolacji nie zrobiłby na niej dużego wrażenia.

Leżąc na niewygodnym i za krótkim dla niej łóżku, wciąż w czarnej sukni, Antoinette zastanawiała się, co teraz zrobi Valiant. Skaże ją

na śmierć przez ścięcie jak wszystkich zdrajców Korony? A może po prostu zostawi ją tu, aż sama umrze z głodu?

W całej sali wrzało, gdy była z niej wyprowadzana. Kątem oka widziała gości wstających z miejsc, ktoś wymachiwał rękoma, niektórzy krzyczeli w oburzeniu. Antoinette nie była jednak pewna, czy byli rozwścieczeni jej zachowaniem, czy decyzją Valianta. Po tym, jak skończyła mówić, była całkowicie otumaniona. Właściwie dała się wyprowadzić strażnikom z sali tronowej, choć jej ciało protestowało, jakby chciało bronić się samo, bez jej udziału.

Gdy mężczyźni wepchnęli ją do pokoju w wieży, upadła na podłogę. Siedziała tak może godzinę lub dwie, próbując się otrząsnąć. Odmówiła królowi Tesarythu złożenia przysięgi wierności. Czy to stawiało ją na równi z innymi zdrajcami? Tymi, którzy próbowali zamordować kogoś z rodziny królewskiej? Albo z tymi, którzy sprzedawali sekrety przeciwnikom Korony?

Czy Valiant sam nie był zdrajcą, skoro tak ulegle współpracował z Vijandą?

W jej wnętrzu walczyły dwie postacie – jedna była Kruczą Wiedźmą, a druga dziewczyną, która jeszcze parę miesięcy temu potulnie kłaniała się wszystkim napotkanym na swojej drodze. Chciała wyłamać drzwi i stanąć naprzeciw Valianta, ale jednocześnie bała się podnieść z podłogi, by spróbować poprosić któregoś ze strażników o dodatkowy koc.

Potrzebowała Yrsy. Potrzebowała kogokolwiek, kto powiedziałby jej, co działo się po tym, jak ją tu zaprowadzono.

Musiała się stąd wydostać.



Następnego ranka pod drzwiami czekała na nią drewniana taca z miską wystygłej owsianki i kubek wody. Musiała spać tak twardo, że nie słyszała otwierania drzwi. Antoinette zjadła wszystko, co dostała, i odstawiła naczynia na stolik. Najwidoczniej nie zamierzali jej jednak głodzić.

Udało jej się otworzyć okno, choć z trudem. Zaskrzypiało tak przeraźliwie głośno, że Antoinette aż się skrzywiła. Może nie powinna była tego robić, bo w pokoju nadal było bardzo zimno, lecz potrzebowała poczuć świeże powietrze i przy okazji zająć czymś ręce. Na zewnętrznym parapecie siedziały dwie małe wrony.

– Nic dla was nie mam – powiedziała, głaszcząc jedną z nich po głowie. Ptaki wpatrywały się w nią ufnie i poddawały się pieścizocie, jakby doskonale rozumiały zaistniałą sytuację i swoją obecnością postanowiły ją pocieszyć.

Mijał czas i nikt nie przychodził. Zmarznięta Antoinette zamknęła w końcu okno, a wrony odleciały, by dołączyć do pobratymców krążących wokół pałacu. Podeszła do drzwi i załomotała w nie z całej siły.

– Żądam, by mnie wypuszczono! – zawołała. – Nie macie prawa mnie tu trzymać.

Po chwili nie miała już przed sobą drewnianych drzwi, lecz zmarszczoną twarz strażnika.

– Mamy rozkaz Korony. To jedyne prawo, które tu obowiązuje – wycedził.

– Chcę się widzieć z jego wysokością.

Antoinette nie zamierzała ustępować. Musiała się w końcu otrząsnąć, inaczej będzie siedziała w tej wieży do kolejnej zimy. A skoro udało się jej jakoś zmusić strażnika do otwarcia przed nią drzwi, nie mogła tej szansy zaprzepaścić.

Może uda jej się zrobić to, czego dokonała przy ochmistrzyni. Musiała się skupić i obudzić w sobie gniew. Ten był jednak przysłonięty grubą warstwą strachu.

Mężczyzna prychnął pod nosem.

– Nie przysługują ci żadne żądania. Będziesz tu siedzieć, póki...

– Czym podyktowana jest ta nerwowa atmosfera?

Z końca korytarza dobiegał ich obcy głos. Antoinette udało się wysunąć głowę tak, by ujrzeć ciemnoskórą kobietę ubraną w czerwony mundur, zmierzającą w jej stronę żołnierskim krokiem. Ręce trzymała po bokach, dłonie zacisnęła w pięści. Nette potrzebowała chwili, by przypomnieć sobie, gdzie ją widziała. Na wczorajszej uroczystości siedziała koło Habijeva. Była członkinią vijandzkiej delegacji.

Omiotła Antoinette wzrokiem, po czym wykrzywiła twarz w wyrazie obrzydzenia. Nie próbowała się nawet z tym kryć.

– Gubernator chce się z nią widzieć – oznajmiła. – Teraz.



Apartament zajmowany przez Habijeva był bliźniaczy do tego, w którym wcześniej umieszczono Antoinette. Różnił się wyłącznie elementami wystroju, detalami, które decydowały o charakterze pomieszczenia. Nic jednak nie wskazywało, że pokoje zajmuje Vijandczyk. Nigdzie nie było widać herbu królestwa ani żadnego symbolu kultu słońca. Wszystko wydawało się bardzo typowe, północne. O dziwnych upodobaniach Habijeva Antoinette słyszała wiele, sama była świadkiem jego zamiłowania do tesaryckich tańców i pieśni. Podobno jakiś czas studiował nawet staropółnocny i posługiwał się nim całkiem sprawnie.

Gdy ją do niego przyprowadzono, gubernator krążył między pokojami, jakby czegoś szukał. Otwierał i zamykał szafki, wyciągając z nich losowe na pierwszy rzut oka przedmioty. Z sekretarzyka wyjął kilka zwojów. Zgarnął ze sobą również pióro i atrament, upewniając się uprzednio, czy kałamarz jest dobrze zakręcony.

– Zrobiła pani wczoraj niezłe przedstawienie – zaśmiał się, gdy przechodził koło niej. Ku jej zdumieniu obaj strażnicy zostali na zewnątrz. Byli w pokoju sami, tylko we dwoje. Wyczuwała na korytarzu pięć źródeł, a wszyscy byli zapewne gotowi na to, by w razie potrzeby ruszyć gubernatorowi na ratunek.

Zaśmiała się pod nosem, po czym uświadomiła sobie, że to może nie był najlepszy pomysł. Nie mogła się jednak powstrzymać. Pokręciła głową, uśmiechając się szeroko. Gubernator również się uśmiechnął. Najpewniej sądził, że rozbawiła ją jego uwaga. Ona jednak uświadomiła sobie, że odkąd wróciła do Gniazda, chodzi tylko z pokoju do pokoju i toczy rozmowy z osobami, którym do tej pory kłaniała się w pas. Każda konwersacja kończyła się na tym samym – jedni przekonywali ją, by stanęła za Valiantem i porzuciła Fiyonna, inni z kolei sugerowali, że znalazła się w sytuacji bez

wyjścia. Już to wszystko rozumiała. Nie trzeba jej było tego wszystkiego powtarzać.

Jak łatwo byłoby chwycić teraz pogrzebacz ze stojaka koło kominka i porządnie się nim zamachnąć. Była wyższa od Habijeva i również sprawniejsza i silniejsza, wnioskuje po jego posturze. Ważył niewątpliwie więcej, ale masa nie oznaczała siły. Ona miała za sobą lata pokonywania schodów, dźwigania bagaży, balansowania na krzesłach, by zawiesić równo zasłony. Choć nie pracowała już fizycznie, jej ciało było przygotowane do wysiłku. Gdyby go zaatakowała, kto stanąłby po jej stronie? Czy którykolwiek ze strażników wbiegłby do pokoju i pogratulowałby jej odwagi, widząc krwawiącego Vijandczyka?

– Nigdy chyba nie wróciłem z żadnego przyjęcia tak szybko! – zawołał Habijev, wrywając ją z zamyślenia, wciąż roześmiany, po czym szybkim krokiem udał się do części sypialnianej. Z wielkiej szafy wyciągnął skórzany tobołek, do którego wrzucił wszystko, co wziął wcześniej z sekretarzyka.

Był ubrany podobnie jak wczoraj, w koszulę z wysokim kołnierzem i wiązaniem, na którą nałożył lnianą, soczyście zieloną marynarkę. Może po wystroju zajmowanego przez niego pokoju nie można było odgadnąć, skąd pochodzi, ale już jego strój wyraźnie to sugerował.

Antoinette nie odpowiedziała. Wciąż pochłaniała ją wizja nagłego ataku. Czy odpowiednio wymierzony cios by go zabił? Z pewnością na jego miejsce szybko przybyłby ktoś nowy. Albo król Vijandy stwierdziłby, że ma już dość tego przedstawienia, które reżyserował przez tyle lat, i w końcu zagarnąłby Tesaryth dla siebie. Byłoby tak, jak mówiła Ingvild. Krisgaldar i Flugstadt zniknęłyby z mapy, a za nimi wszystkie inne miejsca, których Antoinette nie miała okazji zwiedzić.

– Mamy w Vijandzie taką opowieść, którą wygłasza się niegrzecznym dzieciom. Chodzi w niej mniej więcej o to, że jeśli wciąż będą sprawiać rodzicom kłopoty, przyjdzie po nie wiedźma w czerni. – Podchodząc do niej, Habijev sięgnął do półmiska, w którym były wyłożone owoce. Antoinette nie знаła ich nazw. – Co z nimi zrobi, to już zależy od wersji. Zwykle mówi się, że zabiera je na bagno albo do domku na szczycie góry, gdzie słychać świst

wiatru i krzyki dzieci zepchniętych ze skarpy. Mam wrażenie, że nie muszę mówić więcej, byś zrozumiała, do kogo pije ta opowieść.

– Straszycie dzieci moimi przodkiniami? – zapytała Antoinette, wciąż się uśmiechając.

– Mnie też nimi straszono! Nigdy w życiu bym nie pomyślał, że będzie mi dane ujrzeć Kruczą Wiedźmę. Doprawdy, to...

Sposób, w jaki wypowiedział jej tytuł, rozbudził drzemiące do tej pory głosy. *Drwi z niej. Kpi.*

– Doprawdy, to niewiarygodne, że uważa pan to za zabawne – wtrąciła się Antoinette.

Gubernator mrugnął zaskoczony. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– To i tak najłżejsze, co mówią o takich jak ty na południu.

Poklepał się po kieszeniach, po czym zarzucił tobołek na ramię i podszedł do drzwi.

– Zapraszam – powiedział i otworzył je przed nią szeroko.

Spodziewała się, że po raz kolejny każą jej usiąść przed kominkiem i pić herbatę. Nie wiedziała, dokąd udawał się gubernator. Nigdy nie miała okazji poznać jego planu dnia, ale sam fakt, że kazał jej udać się gdzieś razem z nim, sprawił, że cała się usztywniła. Plotki krążące między członkami służby sugerowały, że większość czasu spędza raczej w gabinecie znajdującym się w królewskim skrzydle, niedaleko sali, w której odbywały się rady. Popołudniami wyprawiał się za to do miasta – do teatru, opery albo po prostu na spacer, jeśli pogoda dopisywała. Z biegiem lat przywykł do niskich temperatur panujących na północy i coraz rzadziej deszcz albo mróz powstrzymywały go przed wyjściem.

– Gdzie się udajemy? – spytała Antoinette.

– Proszę się nie obawiać, nie planuję pani skrzywdzić. Chciałbym porozmawiać, a mój plan dnia jest dosyć napięty.

Wypuściła cicho powietrze z płuc. Gubernator nie kłamał, miała więc nadzieję, że mimo wszystko była bezpieczna.

Przez korytarz szli spacerowym tempem. Nie wyglądało na to, by Habijev się gdzieś spieszył. Miał tak wysoką pozycję w pałacu, że to inni musieli czekać na niego, a nie odwrotnie.

– Muszę przyznać, że to zawsze mnie zachwycało. – Antoinette spojrzała na niego pytająco, lecz on patrzył przed siebie. – Jeśli się tu rozejrzemy, dostrzeżemy dookoła maleńkie dzieła sztuki. Na

każdym kroku! Rzeźbione listwy, złożone balustrady, ściany malowane niczym płótna. Na wojnie tak samo wyglądały zbroje wojowników z północy. Każda jedna była wyjątkowa, grawerowana i dopasowana do osoby, która ją nosiła.

Na moment zamilkł, ale widać po nim było, że jeszcze nie skończył.

Przecięli klatkę schodową i skierowali się do królewskiego skrzydła. Antoinette zacisnęła zęby na myśl, że prowadzi ją do Valianta. Habijev nie zwrócił uwagi na jej nerwową reakcję i podjął wątek:

– Wyobraźmy sobie przeciętną tesarycką kobietę z dobrego domu, która wybiera się na przyjęcie. Ubierze zapewne suknię w jakimś ciemnym i intensywnym kolorze, na szyi będzie miała sznur diamentów, a na palcach pierścionie ze złota. Będzie piła cierpkie wina i rozmawiała o swoim gospodarstwie, o pogodzie i o tym, co działo się w sąsiedztwie. Może w towarzystwie ktoś okaże się aktorem albo malarzem, więc przez jakiś czas wszyscy będą dywagować o sztuce.

Kierowali się w stronę korytarza, gdzie znajdowały się gabinety zajmowane przez królewską parę, namiestnika oraz doradców, których wiedza była niezbędna do sprawnego rządzenia królestwem. Kilku z nich minęło ich, kłaniając się w pas. Antoinette nie była jednak pewna, czy robili to ze względu na nią, czy Habijeva. Wszyscy zdawali się spieszyć.

– Nasza arystokratka otacza się więc sztuką, jest zapewne wykształcona i dobrze poinformowana o wszystkim, co dzieje się dookoła. Po przyjęciu wróci do domu znajdującego się na obrzeżach miasta, zdejmie z siebie całe to złoto i klejnoty, po czym uda się na długi spacer po swoich ziemiach, a w myślach będzie dziękować za żyzne plony, glebę, która je wydaje, jasne noce i ciepłe dni. – Tu zaśmiał się, przerywając swoją opowieść. – Oczywiście ciepłe w waszym rozumieniu. Czyli takie, kiedy dłonie nie drętwieją po kilku chwilach, jeśli nie ma się ubranych rękawiczek.

Habijev zatrzymał się przed podwójnymi drzwiami, które – jak podejrzewała Antoinette – musiały prowadzić do jego gabinetu. Pokój zajmowany przez Valianta znajdował się dalej i strzeżony był przez gwardzistów.

Gubernator patrzył na nią z lekkim uśmiechem. Policzki miał rumiane, a oczy błyszczące.

– Północ jest prawdziwie zachwycająca. Dlatego tak bardzo pragniemy ją ocalić – powiedział.

Cała historia, którą snuł przez połowę drogi, była zatem tylko wstępem. Nudnym i niepotrzebnie teatralnym, ale taki był sam Habijev.

– Przed czym? – zapytała.

Z wyrazu jego twarzy odczytała, że bardzo chciał, by zadała to pytanie.

– Nie bez powodu noce na północy są takie długie i zimne. Wszystko, co pokrywa cień, znajduje się poza mocą słońca. To przecież oczywiste. – Pokręcił głową rozbawiony, jakby Antoinette zapytała o coś bardzo głupiego. – Chcemy sprowadzić na was błogosławieństwo, którego zostaliście pozbawieni. Problem w tym, że noc zagnieździła się nie tylko na tej ziemi, ale też w umysłach jej mieszkańców. Czy nie tak?

Zainteresowanie kulturą północy, którym odznaczał się Habijev, nie wynikało z chęci zrozumienia. Pragnął ją lepiej poznać tylko po to, by móc ją łatwiej wyplenić. Antoinette prychnęła. To niemożliwe, by człowiek spędził w obcym królestwie tyle czasu i nadal niczego nie rozumiał.

Jeszcze przed wojną w królestwach północy pojawiły się grupy misjonarzy chcących nauczać o słonecznym kulcie. I nie byłoby w tym zapewne nic złego, gdyby nie fakt, że filozofia wyznawana przez solarytów całkowicie kłóciła się z tym, w co wierzyli Tesarytczy. Na północy wierzono w słońce – było ono w końcu darem od Losu. Podobnie jak magia. Ale tego solaryci nie chcieli już zaakceptować.

– To bzdura – syknęła. – Nie macie pojęcia, co robicie.

– Doprawdy?

Rozbawienie wymalowane na jego twarzy sprawiło, że krew w niej zawrzała. Jej magia rozbudziła się, a głosy szeptały w uszach.

– Czcimy zarówno słońce i księżyc, jak i niebo i ziemię. Dziękujemy za dzień oraz za noc. Nie macie żadnego interesu w tym, by zakłócać ten cykl. Nic z tego nie robi wam żadnej krzywdy.

Nienawidzi jej. Więc ona nienawidzi jego, syczały głosy.

– Co w takim razie powiesz o stworach, które grasują w lasach i na bagnach? Tych, które porywają bydło i ludzi?

– Niedźwiedzie i wilki też uznajecie za demony?

Zbliżyła się do gubernatora o krok. Habijev machnął jedynie ręką i pokręcił głową.

– Czy naprawdę nigdy nie zastanawiałaś się, co w tobie siedzi? Dlaczego widzisz rzeczy, których inni nie widzą? Dlaczego słyszysz głosy szepczące ci do uszu?

To ją zaalarmowało. Jak wiele wiedział na temat natury jej magii? Przecież nawet ona nie miała z początku pojęcia o tym, że magia potrafi przemawiać. Jak dużo zdążył się nauczyć?

– To ziarno, któremu pozwoliłaś wykiełkować, pożre ciebie i innych. Jest jak choroba, która sprawia, że ciało zaczyna gnić od środka. Nawet twoja królowa nie jest na nią odporna. – Habijev zakręcił kółko w powietrzu przy swoim oku, w miejscu, w którym na twarzy Ingvild znajdowała się specyficzna blizna. – Właśnie to pragniemy wytępić. Do nikogo z was nie dotarło jeszcze, że pozwalacie żyć istotom, które sprowadzają na was zniszczenie. I to mnie właśnie zadziwia. Pamiętasz tę arystokratkę? Tę w klejnotach, która konwersuje o sztuce i ziemi? Tak wiele wie, lecz jej umysł zasnuwa mgłą. Nie dostrzega tego, co najważniejsze, bo pozwoliła ciemności zamieszkać w sobie. I to jest właśnie prawdziwa tragedia waszego narodu.

Zacmokał, jakby zatroskany, po czym położył dłoń na kłamce.

– Było mi naprawdę miło – powiedział, po czym zniknął za drzwiami gabinetu.

Rozdział 16

JAMES

Oczy Rainy zdradzały smutek pożerający ją od środka.

Od wielu dni James widział, jak emocje powoli zaczynają przejmować nad nią kontrolę. Z ambitnej następczyni tronu zmieniała się w pogrążoną w rozpacz królową. Nie wiedział, czy istniało na świecie coś, co pomogłoby jej wrócić do siebie i odzyskać dawną determinację. Kiedy patrzył, jak wychodzi z podziemi po spotkaniu z Gertrandem w lochach, od razu wyczuł, że rozmowa nie przebiegła tak, jak się tego spodziewała.

Poprzedniego wieczora Raina snuła wiele planów. Omówiła z nim różne sposoby na wyciągnięcie z byłego namiestnika jakichś informacji. Ciągłe było zbyt wiele pytań bez odpowiedzi. Gdzie podział się majątek korony? Kto pomagał w zamachu? Czy któryś z członków rady poparł Gertranda? Jakie były jego długodystansowe plany?

Dlaczego chciał je zabić i gdzie jest Tomas?

James domyślał się, że raczej nie uzyskała odpowiedzi na żadne z tych pytań. Nie uciekła się do torturowania go. Poszła do lochów w towarzystwie żołnierzy, jednak do celi planowała wejść samotnie, chcąc w ten sposób dać Gertrandowi możliwość swobodnego wyznania win. Trudno było Jamesowi zrozumieć jej motywację, jednak nie sprzeciwiał się. Kiedy poprosiła, by czekał na nią po spotkaniu, nie oponował. Razem mieli udać się na egzekucję, do

której przygotowania trwały od samego rana na głównym placu Glandiru. Potrzebowała jego wsparcia, jak wtedy, gdy zapytała, czy z nią zostanie.

James nie wiedział, co dokładnie czuł. Od czasu starcia robił wszystko, o co prosiła. Nie miał dokąd pójść, jednak miał wrażenie, że jego czas w Glandirze zbliża się ku końcowi. Pewne decyzje będą musiały być wreszcie podjęte, a on ani trochę się na to nie cieszył.

– Jak się czujesz? – zapytał cicho, kiedy szli ramię w ramię do jej gabinetu.

– Zmęczona – odparła słabo, gdy znaleźli się pod drzwiami. Strażnicy wprowadzili ich do pomieszczenia, w którym czekali wszyscy członkowie Rady. Raina usiadła u szczytu stołu i dała reszcie zebranych znać, że również mogą zająć swoje miejsca. James z braku lepszych opcji stanął przy drzwiach, w pobliżu jednego z gwardzistów.

– Czy wszystko jest gotowe? – zapytała i spojrzała na Ewana Bancrofta.

– Tak, wasza wysokość, jesteśmy gotowi rozpocząć egzekucję w każdej chwili.

– Na placu zebrało się sporo ludzi – dodał Lashan, opierając dłoń na ozdobnej lasce.

James dostrzegł, że wszyscy bez wyjątku ubrani byli w eleganckie stroje, odpowiadające ich pozycji. Raina miała na sobie atłasową suknię o prostym kroju, w odcieniu królewskiej zieleni. Archer przywdział burgund Milesów, a Ewan – brąz Bancroftów. Lord Lashan jak zawsze wyglądał elegancko, więc jego granatowa marynarka nie zdziwiła Jamesa, tak jak i stroje reszty członków Rady. Przywykł, że prezentowali się schludnie i szykownie, jednak tego dnia wyraźnie postarali się, by wyglądać dostojnie. Nawet Sebastian zamienił swój codzienny ubiór, składający się ze skórzanych spodni i białej koszuli, na rzecz aksamitnego dubletu. Wszystko to dla zbrodniarza, którym był Gertrand.

– Dobrze. Im więcej ludzi usłyszy moje słowa, tym szybciej wieści rozniosą się po królestwie – podsumowała Raina.

– Czy wasza wysokość jest pewna? – Archer wyraził wątpliwość.

– Rada zdecydowała. Nowe prawo wejdzie w życie po egzekucji – odwarknął Bash, aby uciąć niepotrzebną dyskusję.

– Jest jeszcze czas, by zmienić zdanie – bronił się Miles, udając, że nie przyjął personalnie przegłosowania jego sprzeciwu.

Debata nad pomysłem Sebastiana i Rainy trwała do późnej nocy. Hershel Lashan od samego początku popierał ich chęć legalizacji praktykowania magii na terenie Zjednoczonego Królestwa. Miles był przeciwko i nawet nie podejmowali próby przekonania go. Zależało im na zjednaniu sobie Ewana, który w wielu kwestiach był człowiekiem wycofanym, skrytym i małomównym. Z opowieści Rainy jednak wynikało, że w końcu się złamał, nie było jednak wiadomo, czy ze względu na siłę argumentów Rainy, Basha i Hershela, czy może w grę wchodził inny czynnik, o którego istnieniu nie mieli pojęcia. James wiedział o wszystkim, co działo się za zamkniętymi drzwiami tylko z jednego powodu. Był częścią gildii, choć nikt nie wiedział, że tylko w teorii. Raina chciała mieć go obok siebie w przypadku sprzeciwu łowców, którym nowe prawo odbierało wiele przywilejów.

– Egzekutorzy już przygotowali szafot, lordzie Miles – mruknął Hershel, strzepując niewidzialny pyłek z mankietu marynarki. – Raczej nie będą skorzy do zwrócenia swojej zapłaty.

– Nie mam na myśli sądu, a treść przemówienia. – Miles był tak zirytowany, że niemal splunął. – Niebezpieczeństwo sprzeciwu i ewentualnych zamieszek jest duże.

– Według tej logiki nigdy nie będziemy w stanie nic zmienić. Korona nie może całkowicie podporządkować się ludowi – przyznał cicho Ewan.

– Nie sądzę, by teraz ta dyskusja miała jakiegokolwiek znaczenie – stwierdziła twardo Raina, wyraźnie zirytowana próbą opóźnienia nieuniknionego.

Skinęła głową na stojącego nieopodal sekretarza. Mężczyzna podszedł do stołu i rozłożył na nim obszerny, bogato zdobiony dokument zapisany elegancką kaligrafią. Raina przesunęła po nim wzrokiem, chcąc się upewnić, że wszystko zgadza się z jej wolą, a następnie zezwoliła na przekazanie go każdemu członkowi Rady. Kiedy kolejni lordowie składali swoje podpisy, James skupił uwagę na Archerze, zastanawiając się, czy podejmie kolejną próbę dyskusji o nowym prawie. Gdy jednak dokument znalazł się przed nim, bez

szemrania podpisał go i przekazał Rainie, której od razu podano lak do pieczęci.

Choć nie było w tym spotkaniu zbyt podniosłości, oklasków i ogólnego poruszenia, James miał jednak wrażenie, że bierze udział w czymś wyjątkowym. Nie mógł się powstrzymać, aby nie dostrzec w tej sytuacji symbolicznego rozpoczęcia rządów Rainy. Nie była jeszcze ukoronowana – ze względu na żałobę przesunięto ucztę i samo wydarzenie – jednak złożenie przez nią podpisu pod pierwszym prawem rozpoczęło nową erę dla Zjednoczonego Królestwa. Kiedy świeżo wykuta królewska pieczęć z inicjałami Rainy zatopiła się w krwistoczerwonym laku, James zdał sobie sprawę, że w tym momencie kończy się krótki, acz burzliwy okres bezkrólewia. Gertrand nie zaprzętał sobie głowy emblematami, a własnego brata pochował bez większych honorów zaledwie kilka dni po nieudanym zamachu na księżniczki, o czym poinformowała ich Rada. Jego władanie nijak nie odznaczyło się na kartach historii Zjednoczonego Królestwa, w przeciwieństwie do rządów Rainy.

Czuł poruszenie i dumę, ale też strach. Kiedy zebrani zaczęli opuszczać gabinet, by udać się na egzekucję, bezwiednie zrobił to samo. Otaczali ich strażnicy w wypolerowanych zbrojach. Jeszcze niedawno były one splamione krwią i pokryte kurzem po starciach na błoniach...

Już z głównego holu usłyszał poruszenie panujące na dziedzińcu Glandiru. Mimo że ogromne wrota wejściowe były zamknięte, uszu Jamesa dobiegła kakofonia dźwięków – rozmowy, pokrzykiwania, wyrazy oburzenia i wyzwiska. Zaczął się zastanawiać, czy Gertranda już wyprowadzono z lochów, co mogłoby wyjaśnić zamieszanie. Kiedy jednak wrota stanęły otworem i całą grupą wyszli na zalany słońcem dziedziniec, James zrozumiał, że ludność Kantalaru była po prostu spragniona krwi.

Wielu zebranych przybyło pod mury Glandiru, by zobaczyć sprawiedliwość. James wyraźnie słyszał wyzwiska wykrzykiwane w kierunku byłego namiestnika. Osądzili go po swojemu, nie znając całej historii. Zrobili to wyłącznie na podstawie orędzia wydanego kilka dni temu, które zawierało krótki akt oskarżenia.

Raina opowiedziała Jamesowi ze szczegółami, jak żalosną i poniżającą szopkę przygotowała jej Rada w trakcie ustalania

wyroku Gertranda. Po wybrykach Archera i Ewana podczas badania Rose oczywiste było, że grają według tylko sobie znanych zasad, skupieni na niepisanym, cichym sojuszu. Raina nie ufała im w żadnej kwestii, dodatkowo żywiła osobistą urazę za każde słowo, które padło podczas sekcji. Gdy jednogłośnie poparli karę śmierci dla Gertranda, uznając własne zeznania za najważniejsze, najbardziej wiarygodne i obiektywne, jeszcze bardziej zawzięła się, by jej nowe prawo zostało zaakceptowane. Ku zdziwieniu wszystkich Ewan wyłamał się ze schematu. W kwestii Gertranda popierał idee Archera, gdy jednak zaczęli dyskutować o magii, stanął po stronie Rainy.

James nie pamiętał, kiedy ostatnio Kantalar widział jakąkolwiek egzekucję. Było to coś egzotycznego i nowego, dlatego podejrzewał, że jakaś część zebranych przybyła do Glandiru z ciekawości. Zdziwił się, gdy podszedł do podwyższenia, zbudowanego specjalnie na potrzeby sądu, i w tłumie dostrzegł dzieci i młodzież.

– Czy wasza wysokość chce powiedzieć coś przed wprowadzeniem skazanego? – zapytał jeden z gwardzistów, gdy Raina mijala go w drodze na swoje miejsce.

– Nie – odparła spokojnie. – Przemówię, gdy sąd się skończy.

Gwardzista skłonił się i odszedł, wydając polecenia swoim towarzyszom.

– Nie udało ci się nic z niego wyciągnąć? – James zabrzmiał, jakby bardziej stwierdzał, niż pytał.

Pokręciła lekko głową.

– Głównie mnie przeklinał. Żałował, że Tomasowi udało się dopaść tylko Rose. I że lepiej byłoby dla całego kraju, gdyby nas zamordował tamtej nocy. Gdy zapytałam, kto z nim spiskował, tylko roześmiał mi się w twarz.

James prychnął ze złością, nie odnajdując słów, którymi mógłby skomentować postawę zdrajcy. Raina dostrzegła jego irytację i skinieniem głowy dała mu znać, że nie jest to odpowiednia chwila na tę rozmowę.

Dla łowcy nie przygotowano miejsca, więc podobnie jak wcześniej w gabinecie po prostu usunął się na bok. Mimo tego miał bardzo dobry widok na wszystko, co działo się dookoła niego. Z zacięciem obserwował ludzi zebranych pod podwyższeniem,

którzy z każdą chwilą coraz śmielej zadzierali głowy i z ekscytacją wypatrywali skazanego. Strażnicy tymczasem zachowywali się jak ptaki przed nadejściem burzy. W ich rozbieganych oczach widać było niepokój, agresywne spojrzenia analizowały otoczenie w poszukiwaniu ewentualnego niebezpieczeństwa. Kiedy na podeście pojawił się zwarty oddział żołnierzy w błyszczących zbrojach, wielu z nich od razu położyło dłonie na rękojeściach mieczy.

Przyprowadzenie Gertranda obudziło w zebranych nowe siły. Głosy podniosły się, krzyki wezbrały niczym wody pobudzone sztormem. Atmosfera zaczęła drżeć od emocji. Sam więzień jednak wydawał się być nad wyraz spokojny. James wyciągnął lekko szyję, by dokładnie mu się przyjrzeć. Gertrand ubrany był w poszarpaną i brudną koszulę oraz skórzane spodnie. Wyglądał, jakby nosił ten strój od czasu pojmania.

– Ludu Kantalaru! – Głos herolda odrobinę uspokoił rozszalały tłum. – W imieniu jej wysokości Rainy Rodaagov oraz Wielkiej Rady dokona się dziś sąd nad zdrajcą.

Tłum hucznie zareagował na jego słowa, brzmiąc jak jeden organizm. Dłonie wystrzeliły w górę, na twarzach kantalarczyków malowały się gniew i determinacja.

– Gertrand Rodaagov winny jest podniesienia ręki na swoją rodzinę. Winny jest śmierci miłościwie nam panującego Ronana Rodaagova oraz próbie zamachu na następczynię tronu Zjednoczonego Królestwa Elendoru. Winny jest rozpętania wojny domowej, a także posłania na śmierć setek żołnierzy oraz cywilów. Zgodnie z prawem Zjednoczonego Królestwa Elendoru i wołą miłościwie nam panującej Rainy Rodaagov, Gertrand Rodaagov zostaje skazany na śmierć przez powieszenie. Niechaj bogowie ukarzą jego duszę, kiedy my sędzimy jego ciało.

Po tych słowach nastąpiła kolejna fala okrzyków, przy akompaniamencie których strażnicy poprowadzili Gertranda na szafot. Kat był już gotowy do wykonania zadania, więc gdy więzień znalazł się obok, bez wahania wziął do ręki ciężki sznur i założył go na szyję Gertranda.

James zrobił krok do przodu, by lepiej widzieć jego twarz, a także by móc w każdej chwili spojrzeć na Rainę. Mężczyzna stojący kilka

metrów od niego już wydawał się martwy. Jego ciało nie zdradzało emocji, a twarz pozostawała spokojna, co zdziwiło Jamesa. Żaden człowiek nie był na tyle odważny, by w takiej sytuacji powstrzymać strach. Kiedy łowca zerknął na Rainę oraz na członków Rady, dostrzegł całą paletę emocji – od obrzydzenia i zdenerwowania aż do smutku. Jak więc Gertrand mógł stać tak spokojnie, gdy kat naciągał na jego głowę czarny worek?

– James – usłyszał głos Rainy za plecami. Jej ton brzmiał odrobinę karcąco. James zorientował się, że mimowolnie przesunął się w kierunku szafotu, chcąc zrozumieć zachowanie skazanego. Odwrócił się, aby znów zająć miejsce obok niej, a w tym samym momencie Gertrand zawisnął. Wiedział, że się to stało, po reakcji tłumu, pełnej wiwatów i zadowolonych okrzyków, oraz po głośnym łupnięciu otwierającej się zapadni.

Zamieszanie jeszcze nie ucichło, a strażnicy oraz pomocnicy kata ledwo zdążyli zabrać się za uprzątnięcie ciała, gdy Raina podniosła się z miejsca, aby przejść na środek podwyższenia i przygotować się do przemówienia. W tym samym czasie herold dał znać swoim podwładnym czekającym w tłumie, by przygotowali się do przekazywania jej słów. Dziedziniec Glandiru był ogromny, dlatego też pomiędzy zgromadzonych wysłano ludzi, którzy mieli powtarzać słowa królowej, by dotarły one do wszystkich obecnych.

– Elendorczycy! – odezwała się Raina. Jej głos poniósł się echem ponad głowami zebranych. Treść przemówienia miała przygotowaną na sztywnej karcie, którą podał jej wcześniej Hershel Lashan, jednak nie czytała z niej. – Nie cieszy mnie myśl, że rozpoczynam swoje panowanie od rozlewu krwi oraz wszechogarniającej nas śmierci. Nie cieszy mnie również fakt, że wasze dzieci żyją w świecie, w którym pokój jest niepewny i kruchy. Martwi mnie również los wielu z was. Wasza przyszłość zależy od was samych, jednak to moim zadaniem jest zapewnienie wam możliwości snucia planów i marzeń. Niektórym z was jednak od lat odmawiano wielu praw...

Tłum zdążył się całkowicie uspokoić. Nikt nie odważył się wydać dźwięku. Wszystkie oczy zwrócone były w stronę Rainy, od murów dziedzińca odbijały się echem jej słowa. Wszyscy słuchali jak urzeczeni.

– Dlatego też witam was dzisiaj w progu mojego domu i przyrzekam, biorąc was wszystkich na świadków, że mimo tak trudnego i makabrycznego początku moje panowanie skupione będzie wokół dbania o wasze dobro – powiedziała królowa, podnosząc lekko głos, aby jej słowa lepiej wybrzmiły. Tłum dobrze odczytał jej intencje. Ręce zerwały się do oklasków, a z ust kantalarczyków wyrwał się gromki okrzyk aprobaty. – Dziś kończy się pewna era! Era zdrady i strachu, era przelewania krwi! Od dzisiaj w życie wchodzi nowe prawo, które wreszcie stawia was wszystkich w jednej linii. Kończą się tym samym prześladowania. Z dumą ogłaszam, że wszystkie osoby posługujące się magią, posiadające niezwykle talenty oraz zdolności, są w naszym królestwie mile widziane.

James wyczekiwał reakcji kantalarczyków. Mijały kolejne sekundy, do ludzi powoli docierały słowa Rainy. Obawiał się tego, co mogło za chwilę nastąpić, dlatego mimowolnie przesunął się bliżej niej. Rada zastygła w oczekiwaniu. Archer Miles wbijał spojrzenie w zebranych, jakby próbował doszukać się jakiegokolwiek objawu sprzeciwu. W dole jednak panowała konsternacja i powoli rosnąca niepewność.

– Jestem pewna, że wśród was znajdują się takie właśnie osoby. Żyją tuż obok, są waszymi sąsiadami, krewnymi lub przyjaciółmi. Na własnej skórze przekonałam się w ciągu ostatnich miesięcy, że nie stanowicie zagrożenia. Staliście się ofiarami strachu ignorantów, którzy zamiast postarać się zrozumieć was i otoczyć opieką, uznali, że nie zasługujecie na życie w Zjednoczonym Królestwie!

Mała grupa ludzi stojąca w prawej części placu podniosła okrzyk. Raina spojrzała w ich kierunku z ulgą i wdzięcznością.

– Przekonałam się, że magia płynie w każdym z nas! – kontynuowała znacznie pewniejszym tonem, dając się ponieść emocjom. – I nie jest czymś, co zagraża naszemu istnieniu. Jest darem, który powinniśmy pielęgnować i cenić. Jeśli więc czujecie w sobie moc, zapraszam was do mego domu. Jego drzwi są od teraz dla was otwarte.

Czas niespodziewanie przyspieszył, kiedy w dole zapanował ogromny chaos. Okrzyki powstałe na wschodzie dziedzińca zaczęły przemieszczać się, wybuchając w tłumie bez ładu i składu. Kilkanaście osób zaczęło się wycofywać, chcąc opuścić Glandir na znak

niezgody. Ci, którzy jednak zostali, zdawali zlewać się w jedną masę napierającą na strażników i na schody. James szybko przeanalizował sytuację, aby znaleźć najlepszy sposób na odciągnięcie Rainy w stronę pałacowych wrót.

Kiedy z tłumu wybiło się kilku kantalarskich szlachciców, członkowie Rady zerwali się na równe nogi, by powstrzymać ich przed dotarciem do królowej. Hershel Lashan zaczął przywoływać ludzi do porządku, Ewan oraz Bancroft zeszli po schodach do innych bogatych mieszczan przepuszczonych przez strażników.

Wiele osób źle zinterpretowało słowa Rainy. Bogatsi mieszkańcy Kantalaru, duchowni ze świątyni, prości handlarze, gospodynie domowe i żebracy. Każdy wyraźnie chciał się z nią spotkać, opowiedzieć swoją historię, prosić o pomoc lub po prostu wykorzystać sytuację, by wejść do pałacu.

Strażnicy mieli ręce pełne roboty, gdy tłum zaczął napierać, chcąc przedostać się pod drzwi pałacu. Kątem oka James zauważył, że Sebastian oraz gwardziści ewakuują Rainę do środka. Członkowie Rady ciągle pozostawali na dziedzińcu, najwyraźniej chcąc uspokoić otaczających ich szlachciców. W ten sposób mogli przekazać wieści dalej, odpowiedzieć na kilka pytań i zaspokoić ciekawość.

– Absolutnie nie zgadzam się na odesłanie tych wszystkich ludzi z niczym! – klóciła się Raina, kiedy w towarzystwie lorda Lashana i Basha opuszczała główny hol pałacu. – Przed chwilą obiecałam, że ich wysłucham!

– Tak, wasza wysokość, jednak nie jesteśmy na to gotowi – mruknął niespokojnie Lashan, oglądając się na strażników. – Nie taki był plan. Gdyby wasza wysokość odczytała to, co...

– Chrzanić to przemówienie – warknęła Raina i stanęła w miejscu, przez co Bash niemal wpadł na jej plecy. – Czytanie z kartki nikogo by nie poruszyło!

– Mówienie pod wpływem chwili jednak może przywodzić na myśl łatwość ulegania emocjom i...

– Sugerujesz, że nie jestem w stanie trzeźwo myśleć, lordzie Lashan? – oburzyła się. James i Sebastian spojrzeli na siebie w tej samej chwili.

– Absolutnie nie, jednakże... – Hershel próbował się bronić, ale przeszkodził mu namiestnik.

– Raino, to, co zrobiłaś, było dobre, lecz nieplanowane – powiedział i stanął między nimi. – Możemy umożliwić ci rozmowy z ludźmi, ale potrzebujemy czasu. Wpuszczenie poddanych do pałacu bez dokładnego ich sprawdzenia jest niebezpieczne.

Raina wzięła głęboki wdech, jakby chciała na niego krzyknąć. Twarz miała napiętą od gniewu, a dłonie zaciśnięte w pięści. James obserwował, jak wylewają się z niej emocje.

– Lordzie Lashan, czy można określić, komu warto udzielić audiencji? – zapytał łagodnie James. Chciał, by Raina dostała to, czego pragnęła. Był gotowy do pomocy.

– Porozmawiam z resztą Rady. Postaramy się zawęzić pulę spraw do omówienia i nakażemy stworzyć listę osób – powiedział usłużnie tamten i lekko uklonił się Rainie.

– Świetnie, ja porozmawiam z Mironem. Przegrupujemy strażę, użyjemy rezerw do pilnowania porządku i zajmujemy się zapewnieniem bezpieczeństwa – podjął szybko Bash. Posłał Jamesowi porozumiewawcze spojrzenie. – Idź teraz do sali tronowej razem z Jamesem, Raino. Wyślę do ciebie ochmistrza, który wszystko przygotowuje.

Obawiał się jej sprzeciwu, jednak królowa zdążyła się już odrobinę uspokoić i bez słowa przystała na propozycję Basha. Zanim James zdążył mrugnąć, już szła w kierunku sali tronowej, otoczona osobistą strażą. Posłał ostatnie zmartwione spojrzenie w kierunku Lashana i Basha, a następnie ruszył w jej ślady.

Dotąd był w sali tronowej tylko raz, podczas szturm na pałac. Wtedy to pomieszczenie było pełne żołnierzy Gertranda i ogólnego zamieszania. Krzyki mieszały się ze zgrzytem stali... Światło wpadające przez ogromne witraże zniekształcało jego wspomnienia, przez co miał wrażenie, że malujące się przed nim wnętrze było zupełnie różne od tego, które odwiedził kilka tygodni wcześniej. Teraz panowała tu pustka i cisza przerywana jedynie rytmicznymi dźwiękami kroków oraz delikatnym skrzypieniem zbroi strażników. Gdy zamknięto za nimi drzwi, James odniósł wrażenie, że odcięto ich od reszty świata.

Raina wściekle przeszła przez środek pomieszczenia. Po drodze cisnęła w kąt dokument zawierający przemówienie, zwinięty teraz w bezużyteczny rulon. Kiedy znalazła się na końcu sali, tuż obok

podestu, na którym stał zakryty czarnym płótnem tron, bezsilnie padła na marmurowe schodki.

James powoli podążał za nią, nie chcąc jeszcze bardziej jej denerwować. Miał wrażenie, że lepiej będzie, jeśli da jej trochę ochłonać. Zatrzymał się na chwilę, by podnieść z ziemi dokument, po czym obrócił go kilkakrotnie w dłoniach.

– Uważasz, że przesadziłam – odezwała się nagle. Nie patrzyła na niego, tylko na swoje dłonie oparte na kolanach. Wydawała się zgaszona i mała na tle bogactwa rozciągającego się za jej plecami. Ponad tronem górował ogromny szklany witraż, przez który wpadało popołudniowe światło. Delikatnie odbijało się od drogocennych ozdób na jej ramionach oraz perłowych kolczyków.

– Nie – odparł łowca, powoli podchodząc do Rainy. – Masz rację, że przemówienie do ludzi prosto z serca daje dużo lepszy efekt niż odczytanie jakichś dyrdymałów z kartki przygotowanej przez Radę.

– Te dyrdymały to wspólnie ustalone prawo – sarknęła.

– Ich wersja prawa – zauważył. – Ty poddałaś pomysł, a oni go zinterpretowali.

Uniosła głowę, by na niego spojrzeć. Była już odrobinę spokojniejsza.

– Nie tak to sobie wyobrażałam – przyznała, gdy James usiadł na stopniach obok niej.

– Tak... – mruknął. – Trochę się porobiło.

– Nie mogę zrobić nawet tego – oburzyła się. – Porozmawiać z ludźmi, których życie zależy ode mnie.

– Nie tyle nie możesz, co nikt nie jest przyzwyczajony do tego, by władca chciał słuchać swojego ludu – zauważył James, cały czas bawiąc się kawałkiem papieru. – Za panowania twojego ojca nikt nie marzył nawet o takim zaproszeniu.

– Co, jeśli obróci się to przeciwko mnie? – zapytała, zmartwiona wizją, która przyszła jej do głowy. James objął ją miękko i siedzieli tak długi czas w ciszy.



Przygotowania do audiencji trwały o wiele dłużej, niż ktokolwiek był w stanie przewidzieć.

James w pewnym momencie zaczął podejrzewać Radę o celowe odwlekanie spotkania. Słońce zdążyło już niemal całkowicie schować się za horyzontem, gdy ochmistrz poinformował ich o sporządzeniu pierwszej listy, z której Raina mogła dowiedzieć się kilku szczegółów na temat ludzi oczekujących audiencji.

Wielu z nich zarzekło się, że posiada magiczne zdolności.

Sala tronowa została wypełniona strażnikami, przyniesiono stół dla Rady oraz przygotowano miejsce dla herolda, którego zadaniem było spisywanie próśb i skarg. Raina zasiadła na tronie, z Sebastianem oraz Jamesem u boku. Była gotowa na wysłuchanie historii swojego ludu. Niektóre były proste: zawierały prośby o upłynnienie dostaw i wzmocnienie straży na trakcie. Wiele z nich jednak ocierało się o bajki, przez co James miał wrażenie, że dobór zainteresowanych nie był zbyt szczegółowy.

Z coraz większą irytacją przysłuchiwał się kolejnym natchnionym przemowom o potędze magii, którą rzekomo władali poddani Rainy. Obserwował ich twarze, gdy proszono ich o zademonstrowanie talentu. Nikt z nich nie był w stanie udowodnić swoich słów, przez co po każdej kolejnej rozmowie Raina coraz bardziej przygasła.

– Potrzebuję skupienia! – kłócił się schludnie ubrany kantalarczyk, wbijając wściekłe spojrzenie w pochodnię trzymaną przez królewskiego strażnika.

– Mówiłeś, że potrafisz przywołać ogień w każdej sytuacji – mruknął Sebastian. Siedział niedbale na krześle i wyraźnie tracił cierpliwość, przez co jego ton stał się ostrzejszy i dużo mniej uprzejmy.

– Bo tak jest! Potrzebuję tylko... sekundy... – zapewniał mężczyzna, jednak nie miał szansy niczego zaprezentować, ponieważ jedno skinienie namiestnika wystarczyło, by wprowadzono go z sali tronowej.

– Może powinniśmy powoli kończyć? – zasugerował James, pochylając się delikatnie w kierunku Rainy. Mrugnęła, jakby jego głos wybudził ją z transu, i pokręciła powoli głową.

– Tiana Galen – oświadczył herold, przez co Raina skupiła się na kolejnej poddanej.

– Z czym do nas przychodzisz? Może tym razem będzie to zmienianie miedzi w złoto? – zakpił Bash, poprawiając się na miejscu.

Dziewczyna nie miała więcej niż dwadzieścia lat, była drobna i szczupła. Pytanie namiestnika wyraźnie ją speszyło, przez co skurczyła się w sobie i wyraźnie obawiała podnieść wzrok.

– Powiedziano mi, bym przyszła do jej wysokości, gdy już wszystko się skończy – mruknęła cicho, wykonując koślawy, lecz głęboki ukłon.

– Kto ci tak powiedział? – zapytał Sebastian.

– Jej wysokość.

Wszystkie oczy zwróciły się w kierunku Rainy, której cała uwaga spoczywała na Tianie. Z jej miny James wnioskował, że usilnie próbowała przypomnieć sobie, czy takie wezwanie miało miejsce.

– Spotkałyśmy się w obozie – wyjaśniła powoli dziewczyna. – Przyniosłam opatrunki i wodę, kiedy...

– Pamiętam cię – przerwała jej Raina. – Zastanawia mnie jednak to, co czuję, gdy przede mną stoisz.

Słowa Rainy sprawiły, że na Tianie skupiła się cała uwaga. Dziewczyna nerwowo złączyła dłonie przed sobą, ściskając i wykręcając sobie palce.

– Ja... umiem przynieść ukojenie. Wpłynąć na zmęczony organizm, uspokoić gniew i czasem przygotować lek skuteczniejszy od zwykłego lekarskiego naparu – wytłumaczyła, odrobinę się rozluźniając. – Dlatego pracuję jako asystentka aptekarza, dostarczam lekarstwa do pałacu i czasami pomagam przy chorych.

– Dlaczego nie przyszłaś wcześniej? – zapytała Raina. Pojawienie się dziewczyny wtłoczyło w nią odrobinę siły. Nie była już znudzona i zawiedziona, lecz zaciekawiona.

– Miałam bardzo dużo pracy, każda para rąk była potrzebna, a kiedy znalazłam wolną chwilę, strażnicy odmówili mi spotkania z waszą wysokością.

– Teraz już nikt ci nie odmówi – stwierdziła Raina, odwracając się w kierunku ochmistrza. – Proszę przyjąć Tianę bezpośrednio pod swoje skrzydła tak, by bez problemów mogła przyjść na moje wezwanie.

Kiedy strażnicy odprowadzili dziewczynę do wyjścia, Bash z werwą wstał z miejsca. Wyraźnie marzył o opuszczeniu sali tronowej, jednak jego zadowolenie zniknęło, gdy dostrzegł Elidę Kostelic oraz resztę solarytów na końcu pomieszczenia. Szybko przemierzili główny hol i zatrzymali się tuż przed Rainą, składając pokłony.

– Wasza wysokość – przywitała się kobieta. Twarz miała kamienną, a ręce mocno splecione przed sobą. James poczuł, że jej przyście nie zwiastuje niczego dobrego. – Wielkim niepokojem napawają mnie i moich towarzyszy dzisiejsze wydarzenia. Chciałabym dowiedzieć się, jak wasza wysokość zamierza wybrnąć z tej sytuacji?

– Wybrnąć? – powtórzyła Raina z niedowierzaniem.

– Tak – potwierdziła kobieta. – Nienawiść wynikająca z odebrania ludności ich prawa do bezpieczeństwa szerokim echem poniosła się po błoniach Glandiru. Waszej wysokości nie było tam, by doświadczyć tego na własnej skórze, jednak zapewniam, że wielu potwierdzi moją obserwację.

– Dyskutuje pani z nowo uchwalonym prawem korony? – parsknął Bash, a James dostrzegł, jak zaciska pięści.

– Przychodzę, by spróbować położyć kres czemuś zagrażającemu nam wszystkim. Skąd mogę wiedzieć, że wraz z legalizacją plagi, jaką jest magia, nie nadejdą czasy, w których podstawowe wartości zostaną pozbawione ochrony? – zastanowiła się. – Wyplenienie magii stanowiło środek do zachowania równowagi. Było zapewnieniem bezpieczeństwa, jedności. Obie te wartości zostały obiecane mnie i moim towarzyszom, stąd też obawiam się, że w obecnej sytuacji zostaliśmy, jakby to powiedzieć... Oszukani?

James oczekiwał reakcji Rainy, która nastąpiła z opóźnieniem. Początkowo dostrzegł zbierający się w niej gniew, jednak długie, pełne skupienia spojrzenie na Kostelic z czasem wypełniło się pogardą. Raina przelotnie spojrzała na wszystkich zebranych, po czym wstała z miejsca i zeszła po schodach podestu.

– Zapewniam, że słowa korony warte są dziś tyle samo, co przed ustaleniem nowych praw. To powinno wystarczyć solarytom.

Rozdział 17

FIYONN

Potrzebował wskazówek. Miał całkowicie związane ręce, a przynajmniej do chwili, w której nie ujrzy z powrotem Antoinette. Bez jej wsparcia nie było niczego, co miałby zaproponować tym, którzy byli w stanie pomóc mu zrzucić Valianta z tronu. Fiyonn zrobił więc coś, co w trudnych chwilach zwykle łączyło go z Losem – sięgnął po opium. Liczył na to, że mu się poszczęści i zobaczy coś, co będzie przynajmniej wskazówką. Nigdy dotąd nie zdarzyło się, by żądał odpowiedzi, zwykle spływały na niego same.

Zajął miejsce za biurkiem i zaciągnął się lekko. Na innych opium działało z początku ożywiająco, dopiero z czasem zaczynało otumaniać. Fiyonnowi nigdy się to jednak nie przytrafiło. Dla niego była to zawsze wyciszająca podróż w kierunku wizji.

Oparł się wygodnie o zagłówek, postawił obie stopy na ziemi i wpatrzył w błękit nieba za oknem, które miał naprzeciwko. Pozwolił sobie całkowicie odpłynąć. Kolejne myśli stopniowo zniknęły, a on wraz z nimi. Czuł napierający na niego obraz – zamknął na chwilę oczy i zaciągnął się po raz ostatni.

Czasem zastanawiał się nad tym, czy widzenie przyszłości nawet dla niego nie powinno być trudniejsze. Został obdarzony najrzadszym z możliwych magicznych talentów, mocą, która zmieniała bieg historii, ale łatwość, z jaką przychodziło mu posługiwanie się tym darem, sprawiała, że pogrążał się w zadumie

na długie godziny. Nigdy nie chełpił się swoimi umiejętnościami. Miał za to świadomość, że mógł je jeszcze rozwinąć.

Gdy po otwarciu oczu Fiyonn ujrzał ciemność, zachował spokój, choć jego oddech się pogłębił. Czuł na twarzy powiew powietrza, znał jego zapach. Panował chłód, ale nie był to zimowy mróz. Minęło kilka chwil, zanim przyzwyczyił się do otaczającego go mroku. Potem usłyszał kroki. W jego kierunku podążało kilka osób i to w sposób, który świadczył o tym, że się spieszą, prawie biegną. Jego uszu dobiegało echo ich głosów, coś do siebie mówili, ale nie był w stanie rozpoznać słów. Przybysze znajdowali się coraz bliżej – czuł to zarówno zmysłem słuchu, jak i samym źródłem.

Jednak nie było mu dane przekonać się, kto nadchodził. Wizja rozmyła się, jakby zdmuchnął ją wiatr. To go zaalarmowało. Ostatnim razem, gdy obraz przyszłości rozpadł się w jego rękach, był o wiele młodszy i słabszy niż teraz. Balansował wtedy wciąż gdzieś na granicy życia i śmierci, walcząc z nacierającymi na niego obrazami, pochodzącymi z jego własnych wspomnień, a nie z przyszłości. Wszystkie podsycone były wówczas wątpliwościami. *Czy to, co pamiętam, naprawdę się wydarzyło?*, pytał samego siebie. Nie było nikogo, poza nim, kto mógłby na to pytanie odpowiedzieć.

Fiyonn otworzył oczy i wykrzywił wargi. Gdy wstawał od biurka, po odurzeniu opium nie było śladu. *Nie zobaczyliśmy jej*, szeptała jego magia. *Niczego nie widzimy.*

Zatem był także odcięty od przyszłości. Musiał istnieć powód, dla którego nie zobaczył więcej, a lata doświadczenia upewniły go, że podjęcie kolejnej próby wieszczenia nie jest najlepszym rozwiązaniem. Desperacja nigdy nie pomagała. W pragnieniu ujżenia czegoś konkretnego łatwo było się zatracić.

Tvilier, szepnęły głosy. Niemal stanęła mu przed oczami, dumna i zdeterminowana. Jego bliźniaczka krwi. Obserwował ją, jak niezłomnie korzysta ze swoich nowo odkrytych mocy, jak popełnia błąd za błędem, nie dając sobie czasu na namysł. Była niecierpliwa, jakby lata niewiedzy o własnych umiejętnościach sprawiły, że stała się wygłodniała. Nie przerywał jej, bo sama musiała nauczyć się, jak cienka jest granica między terażniejszością a obrazami dostępnymi wyłącznie dla jej oczu. Gdy się w nich zagubiła, pozwolił jej błądzić, ale tylko przez chwilę, aby rozpoznała towarzyszącą temu

niepewność. Żadne jego ostrzeżenie nie zadziałałoby tak, jak lęk wywołany złym doświadczeniem.

Zamknął za sobą drzwi do gabinetu i wyszedł na zewnątrz, zabierając po drodze płaszcz. Przekonał się już, że tutejsza pogoda była myląca. Niebo mogło być soczyście niebieskie, a okoliczne polany rozświetlone jasnym słońcem, ale po wyjściu na zewnątrz okazywało się, że wiatr dmący od morza jest tak samo lodowaty, jak ten wędrujący z lodowych pustyni Gallawethu.

Fiyonn krążył między roślinami, teraz już nieśmiało pielęgnowanymi przez służbę, z którą przybył. W większości rosły tu zioła albo krzewy, które przydatne były w kuchni i w lecznictwie. Nie widział nigdzie lilaków, fiołków czy róż, pięknych, ale służących tylko do podziwiania.

Park otaczający Klipetaigh zajmował pięciokrotną powierzchnię samego domu, przez co można było odnieść wrażenie, że kolejna ludzka siedziba znajduje się setki mil stąd. Ogród, po którym Fiyonn się teraz przechadzał, wzrastał w trudnych warunkach. Na wybrzeżu zimy były surowsze, a burze gwałtowniejsze. Kiedy tu przybył, część krzewów owinięta była materiałami, choć klątwa rzucona na dom zapewniła im ochronę przed każdymi warunkami.

Spacer sprawił, że myśli arcyksięcia zaczęły krążyć w kierunku wspomnień. Przed oczami stanął mu ogród Delbaticarów, który prawdziwie go zachwycił już od pierwszej chwili. Miał tylko kilka lat i uwielbiał wyobrażać sobie, że wędruje tajnymi ścieżkami i trafia do krainy oddalonej od Tesarythu o setki mil, takiej, do której tylko on miał dostęp.

I ona, szepnął smutno samotny głos, a Fiyonn odepchnął go od siebie. Miał przed oczami tamten park nawet teraz, choć w miejscu, w którym się znajdował, nie śpiewały kosy ani nie kwitły intensywnie pachnące bzy. Był w stanie odtworzyć wszystko z pamięci krok po kroku. Każdy kwiat, każdy dźwięk i każdy zapach, w tym nawet orzeźwiający deszcz padający na jego twarz i wilgotną trawę ocierającą jego stopy. Pamiętał, jak leżał w trawie i wpatrywał się w szare, pokryte chmurami, niebo. Minęła jakaś godzina, zanim usłyszał kroki. Może nawet bardziej wyczuł je, jak gdyby rozumiał wibracje ziemi. Powolny, dość niepewny krok.

Jego kuzyn wciąż nie wydobrzeał po urazach, których doznał w trakcie bitew toczących się pod Flugstadt. Skręcone kolano nadal się goiło, choć Kieran już jakiś czas temu odrzucił kule. Chłopak z trudem położył się obok niego. Jeszcze nie tak dawno prawą rękę miał unieruchomioną na temblaku i dopiero przyzwyczajał się do swobodnego poruszania nią. Przez chwilę leżeli na trawie i pozwalali, by deszcz moczył ich ubrania i włosy. Nie wiedzieć kiedy, zaczęli się uśmiechać. Od bardzo dawna Fiyonn nie widział na twarzy Kierana wyrazu takiej bez troskiej radości. Podejrzewał, że kuzyn mógłby powiedzieć o nim to samo. Gdy powietrze zrobiło się ciężkie, a w oddali zaczęło błyskać, Kieran podniósł się z trudem i podał mu zdrową rękę.

– Powinniśmy już wracać – powiedział, a Fiyonn chwycił jego dłoń.

Przywykł już do tego, że wspomnienia stawały mu przed oczami w najmniej spodziewanych momentach. Z początku były jak klatki, z których nie potrafił uciec. Potrzebował czasu, by nauczyć się je otwierać. Gdy po wojnie wrócił do Gniazda, zrozumiał, że jego umysł zmienił się w zbieraninę obrazów pochodzących z różnych miejsc i czasów, i musiał pozwolić im wybrzmieć, żeby zniknęły. Nie wszystkie wydarzyły się naprawdę. Nie wszystkie były wizjami. Przestał z nimi walczyć, dał się ponieść ich nurtowi i sam stał się falą. Tak samo, jak postąpił z własną magią.

Czasem, gdy o tym myślał, nie wierzył, że mogło się to dokonać w ciągu chwili. Ale tak było, a przynajmniej nic nie wskazywało, że stało się inaczej, niż sam to pamiętał. Wszystkie nauki, które odebrał, opierały się na jednej zasadzie: nie daj się porwać, postaw wyraźne granice. Magia to nurt, który z łatwością może zawładnąć nawet najsilniejszymi. To samo powiedział więc Antoinette, ze świadomością, że sam zrobił coś dokładnie odwrotnego.

– Ludzie są w stanie zrobić różne rzeczy, byleby uratować własne życie – powiedziała mu kiedyś jego ciotka.

On też się wtedy ratował. Uchwycił się ostatniej szansy, która mu pozostała. Wiedział tylko, że minęło bardzo dużo czasu i że wciąż znajduje się w Halamanie. Był otoczony tramantem, nosił go na rękach, stopach i wokół szyi, wyczuwał go w nieświeżym jedzeniu, które dostawał. Po raz ostatni słyszał swoją magię bardzo dawno temu. Jeszcze dawniej widział przyszłość. A kiedy poprzednio

zmienił postać, bo na chwilę go uwolniono, pazurami i dziobem zmasakrował twarze trzech osób. Ale to wszystko działo się wiele miesięcy temu. Gdy był tak słaby, że przez cały dzień nie mógł się ruszać, zdjęto mu kajdany. Lecz jego ciało nadal było wycieńczone. Ale mógł w końcu sięgnąć do swego źródła, a gdy po godzinach prób w końcu mu się to udało, po policzkach popłynęły mu łzy ulgi i zmęczenia. Choć wiedział, że nie ma wiele czasu, otoczył się magią niczym tarczą, pozwolił jej płynąć cienkim, lecz stałym strumieniem. I ta tarcza z nim została.

Po wojnie radził się mędrców z Krisgaldaru, przegrzebał bibliotekę w Gnieździe i przeszukał wszystkie inne znane mu archiwa w poszukiwaniu informacji, która pozwoliłaby mu zrozumieć, czego tak naprawdę dokonał. Całym sobą wierzył, że nie był pierwszy, ale nic na to nie wskazywało. Tamtej nocy w Halamanie, gdy w myślach błagał Los o to, by pozwolił mu przeżyć, magia przemówiła po długich tygodniach ciszy. Wtedy też po raz pierwszy głosy zaczęły mówić o *nich*, a nie o *nim*. Nie zawsze tak było. Kiedyś istniał samodzielnie.

Według teorii spisanej przez Eilidith, Mędrzec – pierwszy człowiek posługujący się magią kłamstw – słyszał tylko jeden głos i należał on do samego Losu. Dopiero kolejne pokolenia jego dziedziców, a także Kruczych Wiedźm, zaczęło słyszeć ich więcej. Eilidith twierdziła, że obdarzeni magią kłamstw słyszeli swoich poprzedników, a także prawdopodobnie swoich innych zmarłych krewnych, którzy byli bliscy Losowi. Nie było jednak możliwości, by tę teorię potwierdzić. Mając to w pamięci, Fiyonn zastanawiał się więc, czy stał się głosem za życia? Co znaczyło jego połączenie z magią i dlaczego udało mu się uniknąć pożarcia przez moc, której się oddał? Dlaczego ona go nie pochłonęła?

Nie chciał nawet myśleć, jak wiele pytań musiała mieć w tej chwili Antoinette, a nie było obok niej nikogo, kto byłby w stanie rozwiązać jej wątpliwości. Wątpił, by Valiant dopuścił do niej kogoś, kto władał magią i pomógłby jej w opanowaniu nowych umiejętności. Poza tym, kto miałby to być? Znała już podstawy, uczyła się ich przecież w okamgnieniu, co tylko potwierdzało, że jest naturalnym talentem. Nie było mowy o pomyłce – w jej żyłach krążyła krew Moiry Czarnowłosej.

Fiyonn przeszedł przez ogród i gospodarcze podwórze, znajdujące się kawałek dalej, aż dotarł do tylnej furtki, która prowadziła na klif. Dom był z tej strony osłonięty rzadkim lasem, ale wciąż było słychać fale rozbijające się o skały.

Gdy po kilku minutach spaceru dotarł nad samą przepaść, długo wpatrywał się w toń kłębiącą się w dole. Zdażył już zwiedzić okolicę, więc wiedział, że krajobraz na południu zmienia się, klif lekko opada, a u jego stóp otwiera się niezbyt szeroka plaża, której woda jeszcze nie pożarła w całości. Można było na nią zejść po wąskich stopniach wydrążonych w skale.

W kruczej postaci mógłby oblecieć okolicę i obejrzeć ją z góry, co zajęłoby mu zdecydowanie mniej czasu, wolał jednak pieszą wędrówkę. To dało mu zajęcie na wiele godzin. Po zimie spędzonej w górach, gdzie możliwość ruchu była mocno ograniczona, potrzebował świeżego powietrza. Nie mógł jednak zapuszczać się samotnie zbyt daleko, ponieważ ryzyko wciąż było duże. Kto wie, jak daleko od głównych traktów wypuszczały się patrole wysłane przez Valianta. Po spotkaniu z Rhoswen i po otrzymaniu pierwszych raportów służącej, którą wysłał do Askvolen, Fiyonn wiedział, że ich aktywność była wciąż wysoka.

Wrócił do domu i wyczuł trzy źródła zamiast dwóch. Gwałtownie skierował się w stronę kuchni. Drzwi były lekko uchylone, słyszał więc głosy obu sióstr. Dziewczyna wróciła z Askvolen, a to oznaczało wieści. Fiyonn stanął w przejściu i obserwował przez chwilę, jak siostry przytulają się i kręcą po kuchni w niezdnym tańcu. Vera – ta, która została wysłana do domu Herberta – nie zdołała się nawet jeszcze przebrać. Gdy zauważyła, że arcyksiążę patrzy na nie z korytarza, wyrwała się z uścisku siostry.

– Przywożę korespondencję, proszę księcia – obwieściła, po czym skłoniła się i z kosza, który musiała przywieźć ze sobą, wyjęła kopertę.

Pieczeń na liście była oczywiście złamana. Widząc dwie strony pokryte śladami po płomieniu świecy, Fiyonn uśmiechnął się lekko. Herbert musiał się zorientować, że tylko część listu była przeznaczona dla niego. Rhoswen, obawiając się, że nawet koperta nadana przez nią trafi w ręce żołnierzy, użyła starej sztuczki, umieszczając notkę na tyle strony niewidzialnym atramentem.

– Czy w rezydencji miejskiej, w której pracujesz, wciąż stacjonują żołnierze? – zapytał Verę.

– Stacjonują na zewnątrz, wygląda to więc tak, jakby strzegli domu – powiedziała służąca. – Sprawdzają, kto wchodzi i kto wychodzi. Łapią gołębie i gońców z listami, by sprawdzić koperty. Niektóre otwierają.

– Czy otworzyli ten?

– Tak.

Zaczął czytać jeszcze w drodze do salonu. Przebiegł wzrokiem część zapisaną tradycyjnie, lecz większość była nieczytelna. Skupił się więc szybko na zaszyfrowanej wiadomości.

Nie wiem, na ile poniższe informacje mogą być dla ciebie przydatne, lecz piszę o tym, bo z pewnością wiesz o naturze tej magii o wiele więcej ode mnie. Okazuje się, że gallawecki dwór kryje przez nami tajemnice, z których nie zdawaliśmy sobie sprawy.

Zaraz po przybyciu do Kuvijaty dowiedziałam się, że ślub Hedde nie odbędzie się w stolicy. Wszystko zorganizowano w Turvie – tak, w tym mieście położonym po drugiej stronie górskiego łańcucha, niedaleko miejsca, gdzie zbiegają się rzeki. Oczywiście nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że uroczystość miała się zacząć za dwa dni, a szlaki wciąż pokryte były śniegiem i lodem.

Nad ranem następnego dnia zaprowadzono mnie do podziemi królewskiego pałacu. Byli tam wszyscy – krewni, arystokraci, których znałam z dworu, nawet sama Biała Królowa. Co zaskakujące, byli tam także petrami. Nosili gallaweckie odmiany swoich tradycyjnych strojów, nie przybyli zatem z Domu Niji. Okazało się, że byli potrzebni do przeprowadzenia rytuału, którego, obawiam się, nie będę umiała dobrze opisać. Otworzyli oni coś w rodzaju bramy, przejścia, które lśniło jak tafla wody w słoneczny dzień.

Nigdy nie widziałam czegoś takiego, blask całkowicie mnie oślepił. Ingvild uśmiechnęła się wtedy do mnie i powiedziała, bym się nie denerwowała. Chwyciła mnie za rękę i poprowadziła w stronę owej tafli. Chwilę później znajdowaliśmy się w zupełnie innym miejscu. Potem dopiero zrozumiałam, że ta otwarta przez petramich brama przeniosła nas pod świętą górę Gallawethu. Nigdy dotąd nie słyszałam, by ktokolwiek nawet wspominał o możliwości

podróżowania w ten sposób. Gdy to piszę, mam wrażenie, że majaczyłam, że nic takiego naprawdę nie miało miejsca, tak bardzo nie mogę w to uwierzyć.

Nie ma w tym liście choćby słowa nieprawdy. Wystarczyła godzina i znajdowaliśmy się w Turvie. Próbowałam dowiedzieć się czegokolwiek na ten temat od Ingvild. Jednak nie powiedziała mi niczego poza tym, że zostałam włączona do gallaweckiego dworu, bo tylko osoby najbliższe rodzinie królewskiej dostępują zaszczytu przejścia przez bramę. Dokładnie tak powiedziała – przejścia przez bramę. Czy i w Tesarycie można podróżować w ten sposób?

Ta sprawa zdaje mi się iście fascynująca, a jeśli ktoś ma coś o tym wiedzieć, to tylko ty. Ufam ci bardziej, niż się spodziewałam. Ingvild szczególnie. Nie podejrzewa, bym mogła komukolwiek o tym powiedzieć.

Opis zawarty przez Rhoswen był zdecydowanie niedoskonały, Fiyonn potrzebowałby więcej szczegółów, by określić, czy wspomniana przez nią błyszcząca tafla jest utkana z magii, czy z czegoś zupełnie innego. Rozumiał jednak, dlaczego Rhoswen postanowiła mu o tym donieść. Nie chodziło jedynie o sekret skrywany przez dwór Białej Królowej. Jeśli mieszkający na północy petrami potrafili otwierać przejścia prowadzące do ich świętej góry, możliwe, że ich kuzyni z Domu Niji również umieli czegoś takiego dokonać.

Fiyonn z trudem odrzucił myśl o tym, by zaszyć się w tutejszej bibliotece i szukać wszystkiego, co mogłoby mu wyjaśnić naturę takich przejść. Musiał się skupić i uporządkować myśli.

Rhoswen nie była szalona, choć faktycznie to, o czym pisała, zdawało się wytworem jej wyobraźni. Jej list był świadectwem tego, że istnieje przejście między Kuvijatą i Wyntreą, świętą górą Gallawethu, położoną we wschodnim paśmie gór siostrą Niji. Setki mil przebyte w ciągu sekundy.

Przebiegł wzrokiem jeszcze raz po liście i zatrzymał się na informacji, którą Rhoswen powtórzyła dwukrotnie. Ingvild mówiła o przejściu przez bramę, więc Fiyonn zakładał, że był to oficjalny termin, którego używano w Gallawecie do opisania tego zjawiska. Jednak zastanawiał się, jakim cudem nikt nigdy o tym nie słyszał?

On sam studiował magię przez całe swoje życie, w dodatku z intensywnością kogoś ciągle głodnego wiedzy. W Tesarycie istniały wielkie i stare biblioteki, archiwa, w których przechowywano zapiski filozofów i myślicielek pochodzących z czasów odległych o setki lat. Nigdy nawet nie natknął się na wzmiankę o jakichkolwiek bramach. Czyżby była to magia wykorzystywana wyłącznie w Gallawecie?

Fiyonn zerwał się z kanapy i rozejrzał dookoła. Mógł oczywiście całe noce spędzić na wertowaniu ksiąg zebranych w Klipetaighu. Jeśli istniały jakieś informacje na temat zaginionej przed laty magii, to z dużym prawdopodobieństwem mogły tu być. Ale w jego głowie narodził się inny pomysł.

Leniwym krokiem przeszedł się po parterze, a następnie po piętrze. Wchodził do każdego pokoju i uważnie się rozglądał. *Nie ma jej*, szeptały zniechęcone głosy. *Zniknęła*.

Fiyonn widywał Edwinę od czasu do czasu. Mało rozmawiali, a jeśli do tego doszło, Edwina mówiła rzeczy, o których on nie miał pojęcia i za nic nie chciała mu wytłumaczyć, co konkretnie ma na myśli. Do tej pory nie wymyślił niezawodnego sposobu na przyciągnięcie jej uwagi, strzelał więc w ciemno. Edwina nie wykazywała zainteresowania magicznymi artefaktami zebranymi w domu. Nie wabiły jej portrety na korytarzu ani zegary stojące w gablocie, choć w czasie pierwszego ich spotkania uważnie im się przyglądała. Najczęściej pojawiała się na schodach i to tam Fiyonn postanowił na nią zaczekać. Udawał przez chwilę, że interesuje się jednym z luster, a potem pokonywał kolejne stopnie, podziwiając obrazy rozwieszane na całej szerokości ściany. W końcu dotarł do tajemniczego zwierciadła, w którym nie można było się zobaczyć, i patrząc na nie pod odpowiednimi kątami, obserwował cały hall.

Edwina pojawiła się u szczytu schodów.

– Nie zobaczysz w nim swojej twarzy, Synu Mędrca – powiedziała nietypowym dla siebie poważnym tonem. – Jesteś zbyt blisko granicy.

– O jakiej granicy mówisz?

Fiyonn wciąż stał przy zwierciadle, trzymał dłonie splecione za plecami. Zachowywał się bardzo ostrożnie w obecności Edwiny. Nie

wiedział, czy kolejnym razem uda mu się ją spotkać w tym samym miejscu, więc musiał postarać się, by nagle nie zniknęła.

– Nić magii przeszywa twój szkielet wyraźniej niż innych. Jesteś połączony z Losem, tak jak ja.

– Jesteśmy zatem bardziej magią niż krwią i kośćmi.

Kąciki ust Edwiny opadły. Pokiwała smutno głową.

– Edwino, potrzebuję twojej pomocy. To bardzo ważne. Dzięki temu będziesz mogła poznać Antoinette – odezwał się Fiyonn.

Przez chwilę zjawa zachowywała się tak, jakby go nie usłyszała. Potem jednak uniosła głowę. Oczy wciąż miała smutne.

– Siostra, o której wspomniałeś. – Fiyonn kiwnął głową. – Nie przyjechała z tobą. Nie mogłeś jej zabrać.

Z jakiegoś powodu dobrze było usłyszeć dowód na to, że pamięta, co do niej mówił.

– Tak. Ale chcę ją tu sprowadzić.

– Mogłabym ją spotkać wcześniej, ale czekam na mamę.

– Wiem. Dlatego przyjedzie tu do ciebie.

Oblicze Edwiny zmieniło się. Jej brwi lekko się uniosły.

– Zrobi to dla mnie? – szepnęła, przykładając dłoń do piersi.

Nie mógł potwierdzić, choć bardzo by tego chciał.

– Chciałbym, aby znalazła się tu jak najprędzej, byście miały dla siebie dużo czasu – rzekł, ignorując jej pytanie. – Dlatego chciałem cię prosić, żebyś mi powiedziała, czy wiesz coś na temat bram? Czy sądzisz, że Antoinette mogłaby tu przybyć w ten sposób?

Mógł kompletnie się mylić. Nie miał żadnych przesłanek świadczących o tym, że Edwina miała jakąkolwiek wiedzę na ich temat. Spodziewał się, że popatrzy na niego, nie rozumiejąc jego pytania, lecz ona nagle się roześmiała.

– Tutaj? Nie, tu nie wolno – rzuciła zadowolona, jakby cieszyła ją sytuacja, w której wie coś więcej od niego i może się tym przez chwilę pochołpić. – Można otworzyć ją na klifie.

– Chodzi ci o Wiedźmą Skarpę?

Kiwnęła głową. Edwina oparła się bokiem o balustradę i zaczęła machać gołą stopą nad pierwszym stopniem. – Mama otwierała bramy – rzuciła, rozglądając się po hallu. – I Tatia też.

To było dla Fiyonna coś nowego.

– Czy ty również to potrafiłaś? – spytał zainteresowany.

Nagle Edwina znieruchomiła, wpatrzona w jakiś punkt za jego plecami.

– Powiedzieli, że nie mogę tego robić – rzekła. – Wrywałam zbyt wiele nici naraz.

Postąpiła krok w dół i zniknęła.

Odetchnął z ulgą. Dowiedział się już od niej wszystkiego, czego potrzebował.

Rozdział 18

VASILE

Smoki źle znosiły samotność, dlatego Vas starał się spędzać z Lherą każdą wolną chwilę. Do koronacji pozostało zaledwie kilkanaście dni, a w Glandirze panował polityczny rozgardiasz, którego nie rozumiał. Wiedział jednak, że przez to właśnie Rainie trudno znaleźć czas na zejście do prowizorycznego leża na spotkanie ze swoją bratnią duszą, nie mówiąc już o zorganizowaniu jakiegokolwiek wylotu.

Ze względów bezpieczeństwa nadal odmawiano smokom opuszczania wschodniej plaży. Podczas gdy Vas i Veer mogli w każdej chwili poruszać się po Kantalarze i po korytarzach Glandiru, Lhera, Oomana i Cerys były uziemione. Wszyscy uznali, że tak będzie lepiej. Jednak Vas i Veer doskonale znali konsekwencje ukrywania się. Nawet gdy mieszkali w Manstarze, wylatywanie nocą ponad górskimi szczytami było czymś, co regularnie praktykowali. Nieważne, jak wysokie byłyby sklepienia jaskiń, jak szerokie kamienne korytarze, smoki potrzebowały nieba i dzikiego pędu. Musiały też jeść, a niestety pożywienie dostarczane im przez królewskich gwardzistów nie było wystarczające dla trzech dorosłych smoków.

W Vasie budziły się wątpliwości, a w sercu kielkował ból. Czuł, jak smutek i żal zaczynają pożerać Oomanę. Chciała wyrwać się z ciemności i poczuć chłodną bryzę pod skrzydłami. Gdy późnymi wieczorami wychodzili z Veerem na plażę, wypelzała za nimi od

razu, gdy dawał jej znać, że jest bezpiecznie. Cerys była odrobinę spokojniejsza, Vas podejrzewał, że – podobnie jak Veer – po prostu poddawała się regułom i nie pozwalała sobie ulegać emocjom.

Natomiast Lhera pozostawała w głębi jaskini bez względu na to, jak bardzo starali się zachęcić ją do wyjścia. Większość dnia przesypiała, uprzednio rozgrzewając otaczające ją kamienie, które kruszyły się, tworząc tym samym coraz większe wgłębienie, w którym mogła się zaszyć. Początkowo płytka jaskinia przerodziła się w długi, ciasny przesmyk pełen ciemności, ostrych skał i promieniującego ciepła. Vas i Veer zaczęli obawiać się, że każde kolejne wydrążenie naruszy strukturę całej jaskini i w końcu zakopie smoczyce żywcem, a ona nie znajdzie w sobie siły i chęci, by się wydostać.

Każdego dnia próbowali jej pomóc, przynosili jedzenie, nakazywali Oomane i Cerys towarzyszenie jej pod ich nieobecność, jednak na niewiele się to zdało. Kiedy Raina powoli porządkowała sprawy korony, tuż pod jej stopami Lhera marniała i gasła.

– Musimy zmusić ich do porozumienia – nalegał Vas, gdy z Veerem szli do pałacu, aby porozmawiać z Rainą. – Gdy ojciec zgodzi się na założenie leża, Raina będzie musiała od razu zająć się smokami.

– Powinna zajmować się Lherą, żeby w ogóle do tego doprowadzić – mruknął Veer. Rozumiał, z jak wieloma problemami mierzyła się Raina, i bardzo długo był wyrozumiały. Jednak kiedy dni zmieniały się w tygodnie, a sprawy korony coraz bardziej się komplikowały, co zajmowało Rainę bez reszty, Veer zaczął ją obwiniać. – Gdy obserwuję jej poczynania, to uważam, że Grattzo ma rację. Jak widzisz, jej plan ma wiele luk.

Chciał się z nim nie zgodzić, znaleźć coś, co usprawiedliwi Rainę. I dać powód do wytrwania jeszcze chwilę dłużej, jednak żadne słowa nie przychodziły mu do głowy. Przez całą drogę do królewskiego gabinetu zastanawiał się nad rozwiązaniem, nawet po tym, jak powiedziano im, że Rainy nie ma w pałacu. Veer zdecydował, że nie ma sensu czekać na jej powrót ze spotkania w Kantalarze, więc udali się na niższe poziomy Glandiru, gdzie służba cały czas zajmowała się usuwaniem tramantu zgromadzonego w dawnych pokojach gospodarczych.

Veerowi zależało na dokładnym poznaniu zawilego planu pałacu, ponieważ obawiał się, że tramant mógł być składowany nad miejscem, w którym przebywały smoki. Nie było to coś, co im szkodziło, jednak wpływało na wszystkich ludzi obdarzonych magicznymi talentami i przebywających w Glandirze. Kiedy ostatnim razem rozmawiał z Rainą, dowiedział się, że ochmistrzowie znający pałac wyraźnie wskazywali pokoje zlokalizowane tuż pod królewskim skrzydłem. Kuchnia, pokoje służby oraz komnaty gościnne nie znajdowały się w pobliżu tramantu. Wszystko świadczyło o tym, że tramant był składowany centralnie pod pokojami, w których przebywali Rodaagowowie. Czy był to zabieg mający na celu uśpienie magii Rose i Rainy? A może sposób na ochronę ich przed ewentualnymi atakami ze strony osób obdarzonych mocą? Tego nie wiedzieli.

Sprawa tramantu interesowała ich głównie dlatego, że Grattzo zdawał się poświęcać temu przedsięwzięciu bardzo dużo uwagi. Od kiedy zauważyli jego niecodzienne zachowanie po spotkaniu z Rainą w dniu jego przyjazdu, uważnie przyglądali się jego działaniom. Często opuszczał swoje pokoje i zmierzał w bliżej nieokreślonym kierunku. Kilukrotnie udało im się śledzić go bez wzbudzania jakichkolwiek podejrzeń, jednak nie dowiedzieli się niczego interesującego. Przywódca leża, pozornie mimochodem, przemierzał kolejne piętra pałacu, spacerował korytarzami, czasami przystawał w interesujących go miejscach i spoglądał na swój kostur delikatnie skrzący się magią. Ewidentnie czegoś szukał, ale nie potrafił tego znaleźć.

Gdy Vas i Veer dowiedzieli się, że popiera usunięcie tramantu spod królewskiego skrzydła, a nawet gorąco zachęca do tego Rainę, podejrzewali, że może chodzić właśnie o to. Vas wysunął teorię, że Grattzo w jakiś sposób potrafi wyczuwać minerał blokujący magię i zależy mu na jego zniszczeniu w obawie przed niebezpieczeństwem. Veer jednak nie był przekonany do tej tezy. Tramant nie stwarzał dla smoków ogromnego zagrożenia. Zamknięcie smoka w tramantowej klatce lub uwięzienie go w takich kajdanach dałoby identyczny efekt jak przy użyciu zwykłego metalu – smok byłby w stanie stopić lub rozszarpać takie więzy. Tramant bardziej szkodził ludziom, ich zdolnościom i płynącej w nich magii,

dlatego też jedynym objawem jego działania mogłoby być odcięcie Rainy od kontaktu z Lherą. Podczas przebywania nad komnatami pełnymi tramantu jej magia nie potrafiłaby przedrzeć się do świadomości smoczycy.

Biorąc to wszystko pod uwagę, zainteresowanie Grattza wzbudziło w braciach jeszcze więcej podejrzeń. Kiedy dotarli do podziemi Glandiru, służący uwijali się jak w ukropie. Wynosili z pokoi ciężkie skrzynie wypełnione ciemnym minerałem, a później taszczyli je po stromych schodach. Raina nakazała przetransportować ładunki tymczasowo do magazynów w koszarach, gdzie tramant będzie dobrze strzeżony, a także znajdzie się w końcu poza terenem pałacu. W całym tym zamieszaniu trudno było im znaleźć ojca i długo lawirowali pomiędzy pracującymi, aż w końcu jeden ze służących polecił im zejść na niższe piętro.

Dotąd nie mieli za wiele okazji do zwiedzania zakamarków pałacu. Orientowali się w rozkładzie królewskiego skrzydła, gdzie przebywali praktycznie najczęściej, a także znali drogę do ogrodów i na plażę. W podziemiach byli tylko raz: gdy pomagali sprowadzić więźniów do lochów. Dlatego teraz przez chwilę błądzili, zaglądając do kolejnych pokoi i schowków. Byli o krok od zawrócenia, kiedy niespodziewanie usłyszeli głośny rumor.

Vas spojrzął zdziwiony na brata, myśląc w pierwszej chwili, że ktoś może potrzebować pomocy z rozbitą skrzynią, jednak Veer złapał go za ramię i przycisnął do ściany. Dźwięk dobiegł do nich z niedaleka, a po chwili się powtórzył. Powoli podeszli do końca korytarza, by ostrożnie wyjrzeć zza rogu.

Grattzo stał na końcu korytarza, który był ślepym zaułkiem. Z żadnej strony nie było drzwi ani okien. Na podłodze stała oliwna lampa, która rzucała lekką poświatę na sylwetkę jeźdźca. Ojciec bliźniaków z całych sił uderzał końcem kostura w jasne cegły, jakby chciał rozbić ścianę. Magiczny kamień pulsował dużą mocą i zdawał się wydzielać coraz więcej światła. Vas w pierwszym odruchu chciał podejść do Grattza. Zastanawiał się, co zmusiło ojca do narażenia artefaktu na zniszczenie. Jeździec nie wiedział o ich obecności i dalej niestrudzenie uderzał w coraz luźniejsze cegły. Aż warknął z wysiłku, gdy po którymś ciosie fragment ściany poddał się. Grattzo odstawił kostur i gołymi rękami zaczął przepychać gruzy. Kilka

szarpięć i kopnięć później przejście do pomieszczenia zalanego mrokiem stało przed nim otworem.

Bracia na chwilę wycofali się w głąb korytarza w obawie, że ojciec odwróci się, by zyskać pewność, że nie jest śledzony. Słyszeli, jak stąpa po roztrzaskanych ceglach, a jego ciężki oddech zmieszał się po chwili z oddalającym się echem kroków.

– Co on, do cholery, robi? – mruknął Veer i wyszedł z za rogu. Vas podążył za nim i spojrzał w dziurę wykutą przez Grattza. W ciemności widział oddalające się światło kostura.

– Idziemy – szepnął do brata i ostrożnie przekroczył odłamki, uważając, by żadnego z nich nie potrącić.

Za rozbitą ścianą, o dziwo, nie znajdował się wąski korytarz. Po bokach Vas nie dostrzegał ścian, a gdy uniósł głowę, nie zobaczył sklepienia. Otaczający go chłód sugerował, że znaleźli się w dużo większym, rozległym pomieszczeniu. Migoczące w oddali światło kamienia falowało w rytm kroków Grattza i wskazywało braciom drogę, a echo maskowało odgłosy ich kroków.

Z bijącym sercem Vas zanurzył się w ciemności, od której bolały oczy. W pewnym momencie wyciągnął rękę, by złapać brata za koszulę. Obawiał się, że rozdzielią się i zgubią. Kiedy w pewnym momencie odwrócił głowę, światło lampy pozostawionej przy wejściu było już maleńkie, ledwo dostrzegalne. Szedł niepewnie dalej, czując Veera przy sobie.

Oczom długo zajęło przyzwyczajenie się do mroku. Jaśniejący przed nimi punkt dodatkowo utrudniał zorientowanie się w przestrzeni. Niemal w ostatniej chwili Vas zrozumiał, że z każdym krokiem światło staje się coraz większe, aż w końcu nieruchome. Przeraził się, gdy zaczął dostrzegać sylwetkę ojca oraz chaotyczne sterty gruzów dookoła. Złapał brata mocniej za koszulę i pociągnął go w ciemność, gdzie zderzyli się z zimnym kamieniem.

Zapadła bolesna dla uszu cisza. Vas starał się uspokoić łopoczące w piersi serce i wstrzymać oddech, by żaden dźwięk nie dotarł do ich ojca. Czekanie było dla niego mordęgą. Przykucnął w bardzo niewygodnej pozycji, otoczony ciemnością, z plecami opartymi o lodowaty kamień. Pod palcami czuł szorstki materiał koszuli Veera, co było jedynym potwierdzeniem jego obecności.

W końcu usłyszał kroki Grattza. Minęła kolejna chwila. Usłyszał delikatne stuknięcie i syk płomienia, który przerodził się zniecacka w potężną lunę światła.

Vas dostrzegł zaciętą minę Veera i jego rozbiegane oczy, własne dłonie oraz fragment kamiennej podłogi. Kiedy uniósł głowę, zobaczył wysokie na kilka metrów sklepienie z ciemnego kamienia, niepodobnego do tego, z którego zbudowano Glandir. *Gdzie my jesteśmy?*, przebiegło mu przez głowę. Veer szturchnął go w kolano, dając znak, żeby wyjrzał zza na wpół zburzonej ściany, za którą się chowali. Kiedy to zrobił, zobaczył konstrukcję bardzo podobną do areny w leżu.

Wielki kamienny okrąg wypełniony płonąca oliwą oświetlał wszystko w promieniu kilku metrów. Znajdowali się w dużej, wyraźnie zapomnianej i opuszczonej komnacie zbudowanej na planie koła. Na podłodze osiadły grube warstwy kurzu, a sklepienie wydawało się niestabilne i nadszarpięte czasem. Vas zrozumiał, że kamienie, za którymi chował się z bratem, w rzeczywistości nie były ścianą, a fragmentem skruszonego sufitu. Sięgnął wzrokiem dalej i dostrzegł ojca, który stał na środku kręgu z kosturem w ręku. Grattzo wpatrywał się w dwie lekko nadłamane kolumny. Im bliżej nich podchodził, tym bardziej kamień rozbłyskiwał magią. Niespodziewanie klęknął na jedno kolano, wykonał kilka zamasztych ruchów, by zmieść dłońią kurz z podłogi, a następnie pochylił głowę i zaczął mamrotać niezrozumiałe słowa.

Wtedy Vas poczuł, jak przez jego ciało przetacza się fala mocy. Serce zaczęło bić mu szybciej, oczy na chwilę się zamglily, a na czoło wypłynął pot. Veer zeszywniał obok niego, wyraźnie czując to samo. Mimo strachu Vas jednak nie spojrzął na brata, cały czas skupiając uwagę na Grattzu. Światło kamienia było porażające, rosnęło z każdą chwilą, aż wreszcie dołączyło do niego inne. Pomiędzy kolumnami przestrzeń stała się mętna. Vas widział, jak rzeczywistość rozmywa się na jego oczach, w rytm pulsującej dookoła magii. Jeździec nie przestawał recytować, cały czas przyciskał dłoń do ziemi, klęcząc dokładnie naprzeciwko tego dziwnego zjawiska.

Gdy niespodziewanie magia przestała falować i przeszła w jeden spokojny strumień mocy, starzec ciężko westchnął i otworzył oczy,

by spojrzeć na swoje dzieło, a następnie z trudem stanął na równe nogi.

– Ojczy? – Głos Veera wytrącił Vasa z równowagi nie bardziej niż fakt, że brat zdążył wyjść zza kamieni i stanąć w kręgu światła. Jak na zawołanie Grattzo złapał mocniej za kostur i spojrzał w ich kierunku.

– Co wy tu robicie?! – warknął wściekły, a w jego oczach czaiło się przerażenie zmieszane z wycieńczeniem.

– Co ty tu robisz?! – odparł Veer, podchodząc bliżej. Vas szybko otrząsnął się z szoku i podążył za bratem.

– Niech to... – Grattzo chciał powiedzieć coś więcej, jednak w tej chwili magia wokół nich drgnęła, dając wrażenie ostrego szarpnięcia. Powłoka jaśniejąca między kolumnami niespodziewanie rozpadła się w powietrzu niczym chmura rozwiana przez wiatr. – Widzicie, coście zrobili?! Wynoście się stąd!

Echo odbiło od ścian jego uniesiony głos, gdy rozwścieczony ruszył w kierunku Veera. Vas momentalnie stanął obok brata.

– Nie ruszymy się, dopóki nie wyjaśnisz nam tego wszystkiego. – Veer przybrał groźny ton.

– Niczego nie będę wam wyjaśniać! – odwarknął Grattzo, zatrzymując się pomiędzy nimi a kolumnami, jakby chciał zabrać im do nich dostęp.

– To może zapytamy Rainy, co to za miejsce? – zasugerował Vas. Wiedział, że trafnie zdiagnozował ojca. Widząc, jak oczy Grattza na ułamek sekundy otwierają się szerzej w przerażeniu, miał pewność, że Raina o niczym nie wie.

– Nawet się nie waż.

– Bo co? Nie zmusisz nas do milczenia – parsknął Veer. – Albo powiesz nam, co się tu dzieje, albo pójdziemy do Rainy i powiemy jej, jak myszkujesz po pałacu bez jej wiedzy!

– Nie macie pojęcia, w co się wpakowaliście! – sapnął starzec, wyraźnie coraz bardziej wściekły. Vas zaczynał się obawiać, że byli o krok od rękoczynów. – W ogóle nie powinno was tutaj być.

– A ty powinieneś? Nic z tego nie jest efektem rozkazów Rainy – zauważył Veer. – Gdyby było, nie zachowywałbyś się przez ostatnie tygodnie jak szpieg.

– Śledziliście mnie? – nie dowierzał Grattzo.

– Oczywiście, że tak – przyznał Vas. – Bo wiedzieliśmy, że prędzej czy później dojdzie do sytuacji takiej, jak... – przerwał i wskazał ręką na kolumny, szukając odpowiednich słów – ...ta, i nawet nie będziemy wiedzieli, czy twoja obecność w Glandirze wynika z czegoś więcej niż polityka czy chęć sojuszu. Zależy ci na czymś innym, o czym nie chcesz, żebyśmy wiedzieli.

– Nie przyszło wam do głowy, że może nie powinniście wiedzieć?
– podkreślił ich ojciec i przerzucił kostur z jednej ręki do drugiej.

– Przyznaj, że chcesz zaszkodzić Rainie i właśnie znalazłeś coś, co ci w tym pomoże – stwierdził Veer z jadem. Vas aż na niego spojrzał, zaskoczony tą niespodziewaną konkluzją. Czy jego brat mógł mieć rację? Czy właśnie przyłapali ojca na czymś, co zagraża panowaniu Rainy?

– Staram się ją chronić, idioci! – wybuchł Grattzo. – Przed rozpętaniem kolejnej wojny!

Obaj bracia zamilkli. Niemal wszystko wskazywało na podwójne intencje Grattza. Nie powiedział Rainie o swoich poszukiwaniach, odrzucał jej pomysły na zawarcie sojuszu i zbudowanie leża, a jednak mimo wszystko pozostał w stolicy przez tak długi czas. Czy sojusz był wyłącznie pretekstem umożliwiającym mu znalezienie magii drzemiącej pod Glandirem? Wyniesienie tramantu ewidentnie wpłynęło na jego poszukiwania. Umożliwiło mu znalezienie zapomnianego przez wszystkich miejsca nasączonego energią. Grattzo coś knuł, to było pewne. Ważniejsze jednak było pytanie, czy kłamie, gdy mówi, że wszystko, co robi, ma służyć Rainie, nawet jeśli ona nie jest tego świadoma.

– Wojny...? Rozumiem, że masz informacje o jakimś potencjalnym zagrożeniu, o którym nikt inny nie ma pojęcia? – zapytał niefrasobliwie Veer.

– Ja wiem, że nadchodzi kolejna wojna, tym razem z północy, i właśnie byłem o krok od oddzielenia nas od niej, ale musieliście wszystko zepsuć!

– Jakim cudem wiesz, co dzieje się na północy? – zdziwił się Vas.

– Ta brama może zaprowadzić was dokądkolwiek sobie zamierzycie – mruknął szyderczo Grattzo, całkowicie ignorując pytanie syna. – Do naszego domu, do świętego miejsca pod świętą górą, do Kalindoru, Berendoru, Vijandy i każdej innej stolicy, o której

istnieniu wiecie. Do każdego miejsca nasączonego magią, a nawet do miejsc, w których magia umarła, jeśli tylko potrafisz przerwać tkaninę świata dla własnych potrzeb.

Vas potrzebował chwili, by przetrwać jego słowa. *Do naszego domu*, powiedział Grattzo i to właśnie ta wzmianka najbardziej go uderzyła. Od zawsze leże było miejscem przeznaczonym tylko dla jeźdźców. Dla całej rodziny oraz smoków. Było najbezpieczniejszym miejscem na kontynencie.

– Chcesz nam powiedzieć, że każdy, kto ma dostęp do takiej... bramy może dostać się do leża? – Veer był zszokowany i wyraźnie brakowało mu tchu.

– Oczywiście, że tak. Dlatego trzeba zabezpieczyć ją raz na zawsze – stwierdził Grattzo.

– Jak? – zapytał przytomnie Veer, rozglądając się na boki. Czy można było zniszczyć to miejsce? Vas nie był przekonany co do tego pomysłu. Czuł dookoła chłodny woal magii. Była wszędzie. Napierała na nich z każdej strony. Samo zburzenie murów z pewnością nie sprawiłoby, że zniknie. Dodatkowo znajdowali się w podziemiach Glandiru. Niszcząc salę, zapewne naraziliby na szwank konstrukcję pałacu.

– Tramantem – odparł ojciec. – Zabudowanie kolumn oraz podłogi sprawi, że nikt nie będzie już w stanie otworzyć przejścia.

– Czyżby? – Veer podszedł do Grattza z zaciętą miną, przez co Vas gotowy był w każdej chwili ruszyć, aby w razie potrzeby ich rozdzielić. – Nikt poza tobą, nami i Rainą. Oraz każdym jeźdźcem posiadającym smoczy ogień. Ty nie chcesz bezpieczeństwa, tylko kontroli!

Tramant był specyficznym minerałem. Pozwalał na wiele rodzajów obróbek. Pozostawał trudno dostępny, ponieważ występował wyłącznie w głębokich jaskiniach usytuowanych w pobliżu wody. W naturalnym środowisku miał konsystencję gliny, czasem błota. Pod wpływem ciepła mógł stać się równie twardy jak stal, jednak gdy tylko raz został rozgrzany, nie dało się go ponownie przepalić. Każda ekspozycja na ogień i kowalski młot sprawiała, że stawał się jeszcze twardszy. Bardzo szybko pochłaniał ciepło, zupełnie jakby łaknął płomienia. Gdy jednak zamiast ognia traktowano go wodą, rozcieńczał się i stopniowo roztopiał na miliony maleńkich,

niemożliwych do zobaczenia gołym okiem drobinek. W tym stanie łatwo było tworzyć z niego napary, dodawać go do maści lub używać jako trucizny.

Jedyną rzeczą zdolną do całkowitego zniszczenia tramantu był smoczy ogień.

– Zapieczenie bramy tramantem sprawi, że tylko nasza rodzina będzie w stanie otworzyć przejście – mruknął zszokowany Vas.

– Chcecie, żeby któregoś dnia grupa uzbrojonych po zęby ludzi wpadła do naszych jaskiń? – Grattzo kreślił przed nimi wizję, która powoli zaczynała samoistnie powstawać w głowie Vasa. – Wyrznęła naszych bliskich podczas snu i zniszczyła jaja? Próbowwała zabić smoki?

Mówił spokojnie i cicho, bo tego typu słowa nie potrzebowały dodatkowych emocji. Same w sobie zawierały groźbę i roztaczały realny obraz zagrożenia.

– Raina musi o tym wiedzieć. – Veer nie dawał za wygraną. – Musisz jej powiedzieć, że pod jej stopami znajduje się ogromne źródło magii służące za przejście do innego miejsca.

– A co, jeśli zechce go użyć? – oburzył się Grattzo. – By sięgnąć po więcej władzy? Żeby udać się na północ i wciągnąć nas w wojnę, w której będą ginąć smoki i ludzie?

– Dlaczego myślisz o niej jak o tyranie? – zapytał Vas. – Raina nie jest taka. Nie interesuje ją żadna wojna, nie chce potęgi większej, niż już ma. Chce o nas zadbać i stworzyć dla nas nowy dom. Ocalić nas przed wyginięciem!

– I właśnie dlatego powinieneś powiedzieć jej o tym miejscu i pozwolić podjąć tę decyzję razem z tobą, ojciec – dodał Veer. – To nie tylko twoja sprawa.

– Nie.

Veer westchnął głęboko.

– Więc my jej o tym powiemy – stwierdził Vas. Czuł ogromny żal. Trudno było mu spierać się z ojcem, zwłaszcza w chwilach takich jak ta, gdy widział, że w pewnym sensie Grattzo chce dobrze. Nie mógł jednak poświęcać wszystkiego wyłącznie dla jego chęci.

– Popelniacie ogromny błąd. – Słowa Grattza poniosły się echem po sali.

Vas zignorował go i odwrócił się, dając bratu znać, że powinni wracać do głównej części pałacu, by odnaleźć Rainę. W pewnym momencie jednak Veer zawahał się i złapał go za ramię.

– Uznajesz to za błąd, jednak nie dajesz nam powodów, byśmy ci uwierzyli – powiedział, odwracając się w kierunku kompletnie zszokowanego, nieruchomego Grattza.

– Jak inaczej mam do was przemówić, byście w końcu pojęli, jak niebezpieczne jest oddawanie takiej potęgi koronie?! – Ton Grattza zmienił się z wściekłego w błagalny i paniczny. Veer uniósł brwi, a w kącikach jego ust zaczął się delikatny uśmiech, kiedy zobaczył, że ojciec zaczyna się łamać.

– Pomóż nam odzyskać Rose.

Rozdział 19

ANTOINETTE

Cały pokój tonął w złotym świetle wschodzącego słońca. W oknie nie było zasłon, więc nie dało się przed nim ukryć. Antoinette obracała w dłoni Krucze Oko, które dziś najwyraźniej postanowiło pożerać kolory zamiast je odbijać. Głębia czarnego kamienia zdawała się nie mieć końca. Od czasu do czasu można było w nim dostrzec fioleć, plamy koloru, które przypominały jej o włosach Fiyonna i o kruczyc piórac.

Antoinette sięgnęła po jednego z kruków siedzących na wieżyczkach Gniazda. Jego oczami obserwowała wstający powoli krąg słońca. Przypomniała sobie znieńacka, jak to było wyglądać z okna Zimowego Pałacu. Tam ranek budził się między górcskimi szczytami, a niebo zdawało się być na wyciągnięcie ręki.

Po krótkim locie kruk wylądował na szczycie tylnej bramy pałacu, za którą ciągnęły się połacie coraz zieleńszej trawy, przecinane kilkoma wąskimi strumykami. Mur obrośnięty był bluszczem, powoli wspinającym się również wokół strażnicy. Ogród otaczający Gniazdo powoli dobierał się do murów i nikt niczego z tym nie robił.

Nagle kruk zatrzepotał skrzydłami i przeleciał nad podwórczem. Znalazł małą szparę przy oknie jednej z wież i patrzył teraz na miasto – szare i brudne, przynajmniej z tej perspektywy. Antoinette przywołała w pamięci główną ulicę Flugstadt, prowadzącą z pałacu do Vande Sjel, i pociągnęła ją dalej, aż do miejskiej bramy, którą

zbudowała w swojej głowie na wzór tej obserwowanej przed chwilą. Droga prowadziła do Askvolen, a stamtąd prosto do Klipetaighu. Jednak domu nad klifem nie potrafiła sobie wyobrazić. Gdyby tylko mogła, tak jak Fiyonn, zmienić swą postać, przeleciałaby przez cały Tesaryth, byleby do niego dotrzeć.

Z każdym kolejnym dniem coraz bardziej traciła zapał. Jadła to, co jej przyniesiono, i wracała do łóżka. Nie dostała żadnych nowych ubrań na przebranie, więc wciąż miała na sobie elegancką suknię. Zdjęła ciężką biżuterię, którą nosiła na balu, i odrzuciła ją w kąt.

Pierwszą dobę spędziła na oglądaniu pałacu i otaczających go błoni oczami kruków. Nie kierowała ptakami, które przechwytywała. Poddawała się ich woli i pozwalała sobie jedynie śledzić ich zajęcia. Mogła oczywiście przejąć nad którymś kontrolę i kazać im wyruszyć do miasta lub poza nie, lecz nie wiedziała, po co miałyby to robić. Gdy w Zimowym Pałacu Fiyonn nauczył ją tej umiejętności, była zachwycona. Teraz zdawało się, że było jej to całkowicie zbędne.

Powtarzała w myślach wszystko to, czego się dotąd nauczyła. Wyliczała atrybuty potrzebne do czytania przeszłości, cytowała dzienniki spisane przez Eilidith. Zaczęła od początku analizować wizję, której doświadczyła w Zimowym Pałacu, lecz szybko zorientowała się, że nie pamięta jej tak szczegółowo, jak jej się wydawało. Ciemność, zielone oko, zarys górskiej panoramy, ogień lejący się spomiędzy chmur. I nic poza tym.

Antoinette podniosła się gwałtownie, aż zakręciło jej się w głowie, po czym opuściła nogi odziane w cienkie rajstopy na zimną podłogę. Wstała i zaczęła kręcić się po pokoju. Zastanawiała się, co zrobić, by wywołać wizję.

Tylko raz rozmawiali z Fiyonem na temat patrzenia w przyszłość. Przez większość czasu ignorował jej pytania, zbywał ją, twierdząc, że na widzenie przyjdzie jeszcze czas.

– Różnica między oglądaniem przeszłości i przyszłości jest taka, że ta pierwsza jest skończona i niezmienna. Przyszłość kształtuje się z każdą chwilą – wyjaśniał chłodno Fiyonn.

Gdy jej to powiedział, siedzieli przy stole koło okna, tak jak niemal każdego dnia. Niebo było wyjątkowo czyste i błękitne, na horyzoncie nie było widać żadnej chmury, a śnieg błyszczał jak pokruszone diamenty.

– Szukanie konkretnych momentów w przeszłości jest więc teoretycznie łatwiejsze. Można je porównać do przekopywania się przez wielkie archiwum. Wiesz, czego szukasz, możesz mieć przy sobie narzędzia, które ci to ułatwią. Ale przyszłość? – Tu pokręcił głową. – Ona jest tylko przebłyskiem.

– Czy może być tak, że to, co zobaczę, nigdy się nie wydarzy? – zapytała go wtedy Antoinette.

– Widzimy przyszłość, by móc się na nią przygotować. Wizje ukazują coś, co jest pewne. Są jednak rzadkie, bo takich chwil, które nieuchronnie się wydarzą, jest niewiele.

Fiyonn sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i spojrzął na zegarek.

– Nazywamy je punktami węzłowymi – wytłumaczył. – Na każdą chwilę składają się setki wyborów i decyzji. A mogą się one przecież zmieniać. Los ukaże ci zatem tylko to, co ma się stać, bez względu na to, jak postąpi ludzkość.

– Czyli... – Antoinette oparła łokcie na stole. – Obrazy z przeszłości mogą wywołać na własne życzenie, ale na te pochodzące z przyszłości muszę czekać?

– Kiedy pytałaś mnie, dlaczego palę opium, odpowiedziałem, że pomaga wywołać wizje. – Już wtedy potrafiła wyczytać rozczarowanie kryjące się w spojrzeniu Fiyonna. Karcił ją jak nieuważną uczennicę. – Da się sprawić, że Los zdradzi ci jeden ze swoich sekretów. Do tego jednak potrzeba wyciszyć się do tego stopnia, że przez chwilę przestaje się istnieć. Żadnej myśli, żadnego pragnienia. Siedzisz na wygodnej, miękkiej kanapie? Musisz o tym zapomnieć. Na podwórzu wyje pies? Nie możesz tego słyszeć. Dopiero wtedy stajesz się naczyniem, którego może użyć Los.

Kiedy jej to wtedy powiedział, perspektywa chwilowego nieistnienia ją przeraziła. Nie potrafiła sobie wyobrazić stanu, w którym byłaby tylko pustym ciałem zawieszonym w przestrzeni, poddanym wciąż niezrozumiałej dla niej sile.

– Potrafisz to zrobić? – zapytała.

Fiyonn pokiwał jedynie głową.

Jak długo ćwiczył wchodzenie w stan, który określał mianem chwilowego nieistnienia? Nigdy później nie wrócili do tego tematu,

nie miała więc okazji go o to zapytać. Była wtedy za bardzo zaaferowana poszukiwaniami klucza do Klipetaighu.

Czy potrafiła wyciszyć się tak bardzo, by uprosić Los o zesłanie jej wizji, która pomogłaby jej stąd wyjść, albo chociaż, jak twierdził Fiyonn, przygotować się na to, co miało nadejść? Chciała wiedzieć cokolwiek, a na razie była odcięta od wszystkiego i od wszystkich. Nie dopuszczali do niej nawet Yrsy, która mogłaby jej przynieść jakieś wieści. Valiant z pewnością miał ją na oku.

Nie mogła tu beczynnienie tkwić. Bezruch ją przerażał. Świadomość tego, że była zamknięta w tak małej przestrzeni, bez możliwości skontaktowania się z kimkolwiek, sprawiała, że strach zaciskał się wokół jej szyi niczym pętla. Im bardziej się bała, tym bardziej gorączkowo poszukiwała rozwiązania.

Było jeszcze gorzej niż wtedy, gdy tkwiła w przydzielonym jej apartamencie. Wówczas miała przy sobie Yrsę, mogła spacerować po korytarzach, wyjść na zewnątrz. Gdyby miała choćby skrawek papieru i długopis, mogłaby napisać list i wysłać go... *Do Fiyonna?*, spytała samą siebie w myślach.

Póki nie znajdzie sposobu, który umożliwiłby jej obezwładnienie strażników stojących na korytarzu, musiała próbować. Każdego dnia będzie budzić się i modlić, a następnie starać się wywołać wizję. Obiecała sobie, że będzie tkwiła w tym postanowieniu, póki jej się nie uda. Albo póki nie opadnie z sił.



Po pięciu dniach do pokoju wniesiono misę wypełnioną wodą, mydło i kawałek materiału, który miał służyć za ręcznik albo myjkę, tego Antoinette nie była w stanie określić. Na odchodne strażnik rzucił w jej stronę przykrótką beżową sukienkę, tę samą, którą nosiła jeszcze jako pokojowa. Drugi z gwardzistów nie odrywał od niej spojrzenia, jakby bał się, że Antoinette zaraz rzuci się na jego kolegę niczym zwierzę spuszczone ze smyczy. Co jednak miałyby zrobić? Nie miała pod ręką niczego, czym mogłaby go choćby ogłuszyć.

Albo też miała, lecz nikt o tym nie wiedział. Sama wciąż zastanawiała się, w jaki sposób zaczęła na odległość dusić panią Oesterberg w dniu balu. Dała się porwać gniewowi, tego była pewna. Zastanawiała się, czy gdyby dzięki magii udało jej się zmylić strażników, potrafiłaby niezauważona przedostać się do któregoś z wyjść. Ale co potem? Dokąd miałyby się udać?

Dni zamieniały się w noce, które w mgnieniu oka przeistaczały się w poranki. Nikt do niej nie przychodził. Antoinette spodziewała się, że w końcu do pokoju w wieży zawita Ingvild albo Valiant, ale jej jedynym towarzyszem były ptaki, walczące z podmuchami wiatru za oknem.

Oczekiwanie sprawiało, że nie potrafiła się skupić. Próbowwała dotrzymać złożonej sobie obietnicy i starała się każdego dnia wyciszać na tyle, by dopuścić do siebie obrazy zsyłane przez Los. Z tyłu głowy wciąż miała jednak myśl, że w ciągu kilku chwil zostanie gdzieś wezwana. Że ktoś po nią przyjdzie i gdzieś ją zaprowadzi.



Znudzona i zirytowana siadała na podłodze, opierając plecy o drzwi, i mówiła przez nie do strażników.

– Jak to jest pilnować pustego korytarza? – zagadywała. – Czy to nie jest męczące, tak wpatrywać się cały dzień w kilka desek?

Nigdy jej nie odpowiadali.

Czasem mówiła po prostu do siebie na głos. Śpiewała albo recytowała formułki z dzienników.

Zdawała sobie sprawę z tego, że gdzieś głęboko w jej wnętrzu zapłonął ogień, który z czasem urośnie na tyle, że nie będzie w stanie go już powstrzymać. A skoro nie potrafiła go kontrolować, oznaczało to, że nie należał w pełni do niej tak jak pragnienie, by być blisko Fiyonna. Głosy zaczęły gorączkowo szeptać między sobą w tej samej chwili, w której jego imię pojawiło się w jej głowie. Ogień należał do nich.

W końcu Antoinette zaczęła tłuc w drzwi pięścią i krzyczeć. Nie prosiła, by ją wypuścili. Żądała tego. Furia i strach dodawały jej sił.

Całe drzwi trzęsły się w posadach, zawiasy ledwo trzymały je w ryzach. Kiedy zaczęła bić w nie obiema rękoma, jej uszu dobiegły głosy strażników. Odsunęła się od drzwi, dopiero gdy zobaczyła, że knykcie jej prawej dłoni pokryły się krwią.

Ile dni minęło?, zastanawiała się. Przecież je liczyła. Kiedy przestała? Ręce bolały ją od czubków palców aż po łokcie. Jutro zapewne będą całe posiniaczone. Skaleczone kostki przemyła lodowatą wodą, która pozostała w misie. Ciecz szybko zabarwiła się czerwienią.

– Jak długo będziecie mnie tu jeszcze trzymać? – zawołała. – Aż tyle czasu zajmuje jego wysokości odbudowanie swojej reputacji?

W dwóch krokach znalazła się znów pod drzwiami i już wyciągała rękę, by ponownie w nie uderzyć, ale powstrzymała się. W oczach Antoinette stanęły łzy.

Gdzie jest? Dlaczego ją zostawił?

– Cokolwiek – szepnęła. – Powiedzcie mi cokolwiek.

Pozwoliła sobie płakać na głos. To był jeden z tych brzydkich płaczów, który wykrzywił twarz, pokrywał policzki rumianymi plamami i pozbawiał głosu. Nie obchodziło jej, że wszystko słyszeli strażnicy.

Gdzie jest jej tvilier?

Antoinette najbardziej bała się tego, że nic się nie zmieni. Że będzie tu tkwiła, zmarznięta i brudna, jak zwierzę zamknięte w klatce.

– Jak długo chcecie mnie tu trzymać? – wychrypiąta.

Żadnego odzewu. Wyczuwała jedynie dwa równo bijące serca otoczone niemal niezauważalnym blaskiem magii.

– Jak długo? – powtórzyła, tym razem głośniejsze.

Odpowiedź mogła sobie tylko wyobrazić.

Rozdział 20

RAINA

Raina spędzała z Bashem dużo czasu, jednak miała wrażenie, że często jej namiestnik myślami był bardzo daleko. Kiedy kończyli pracę przeznaczoną na dany dzień i każdy z członków Rady mógł udać się na spoczynek, Bash znikał od razu w przyznanych mu apartamentach na krańcu królewskiego skrzydła. Bywały momenty, kiedy chciała spotkać się z nim poza oficjalnymi sytuacjami. Jak za dawnych czasów wyjść na spacer w okolicy koszar i porozmawiać o trywialnych sprawach niezwiązanych z rządem. Pragnęła podzielić się z nim swoimi uczuciami, wspólnie przeżyć żałobę i rozdzielić cierpienie, które przecież oboje w sobie tłamsili.

Bała się jednak rozmawiać z nim o Rose. Widziała, jak reagował za każdym razem, gdy wspomniano przy nim jej imię. Jak spinał się, przez jego ciało przebiegał dreszcz, a w oczach pojawiał się chaos. Teraz to ona aż trzęsa się z emocji, nie wiedząc, czego spodziewać się ze strony Grattza oraz bliźniaków. *Spotkajmy się późnym wieczorem* – powiedział jej Vas – *to dotyczy Rose*.

Tylko tyle, a może aż tyle, wystarczyło, by wyprowadzić jej namiestnika z równowagi. Nie była w stanie w żaden sposób ukoić jego nerwów na tyle, by do spotkania z jeźdźcami podszedł ze spokojem. Kiedy przekraczali próg komnat Grattza, od Sebastiana biła potężna fala niechęci i rozpacz. Przywódca leża od razu to zauważył, jego oczy uważnie prześledziły sylwetkę Basha, jednak

z ust nie wydobył się żaden komentarz. Bracia zachęcili wszystkich do zajęcia miejsc.

– Sądziłem, że królowa nie fatyguje się do nikogo osobiście. To wbrew protokołowi, tak mi powiedziano – rzekł Grattzo po dłuższej chwili, a w jego głosie Raina wyczuła niezrozumiały przekaz.

– Przychodzę w sprawie ważnej dla mnie, nie dla korony – odparła.

– Obawiam się, że cokolwiek dotyczy ciebie, ma wpływ również na koronę. Nie możesz jednoznacznie oddzielić tych dwóch ról.

– Wyjaśnij więc, proszę, dlaczego chciałeś się z nami spotkać. Vas wspomniał, że chodzi o moją siostrę.

Jak na zawołanie bracia wbili w ojca znaczące spojrzenia. Raina zaczęła podejrzewać, że całe spotkanie było wyłącznie ich inicjatywą, dlatego Grattzo wyglądał na niechętnego.

– Jesteśmy w stanie odzyskać Rose – powiedział w końcu Vas, gdy przywódca leża ciągle uparcie milczał.

Serce Rainy drgnęło.

– Odzyskać? – powtórzyła bezwiednie.

– Nie można walczyć z czasem. Ani go cofnąć – oburzył się Bash.

– Można, jeśli przedwcześnie go komuś zabrano – wtrącił się Veer.

– Istnieje sposób, by odratować poległego jeźdźca. – Na chwilę zawiesił głos, by sens jego słów dotarł do Rainy i Basha. – Dlatego nasze rytuały pożegnalne zakładają złożenie ofiary ze smoka. Dlatego jeździec spędza wieczność w otoczce snu i nie rozpada się w proch. Oczywiście, nie jest to ani proste, ani pewne, jednak biorąc pod uwagę Qadira, nas jako *ātmā sāthi* oraz pomoc Grattza...

– To brzmi jak kompletna bzdura.

– Uważasz nasze zwyczaje i moc za bzdury, Sebastianie? – oburzył się Grattzo.

– Nie ma tego na myśli, jednak to, o czym mówicie, jest... – Raina próbowała załagodzić sytuację, ale zabrakło jej słów.

Możemy ją odzyskać?

– Ofertą nie do odrzucenia – dokończył za nią Veer. – Po prostu się zgódź, a my zajmiemy się resztą.

– Tak po prostu? – zdziwiła się. – Wystarczy, że pozwolę wam ją... zabrać? I wtedy...

– Nie – wtrącił się Grattzo.

Raina przyjrzała się uważnie jego twarzy, przez co momentalnie dostrzegła prawdę.

– Chcesz czegoś w zamian.

– Nie mogę dać wam dostępu do tak ważnej wiedzy bez żadnego zabezpieczenia. Byłoby to niewłaściwe, biorąc pod uwagę zaufanie mojej rodziny i obietnicę strzeżenia sekretów jeźdźców za wszelką cenę.

– Czego zatem od nas oczekujesz? – zapytała Raina, szczerze pragnąc poznać cenę. Była w stanie zrobić wiele za samą choć nadzieję, że uda im się odzyskać Rose.

Grattzo spojrział na nią z powagą, jakby oceniał jej intencje oraz to, jak daleko może się posunąć. Królowa wewnątrznie przygotowała się na to, że czegokolwiek nie zażąda, będzie w stanie mu to dać.

– Cóż – zaczął ostrożnie, z wahaniem. – Moje oczekiwania są proste, mogą się nawet wydawać błahe i nieistotne, a także łatwe do spełnienia. Zanim jednak wyjaśnię, chciałbym, żebyś nie zgadzała się od razu, niezależnie od tego, jak prosta wyda ci się odpowiedź.

– Zapewniam cię, że nie jestem osobą rzucającą obietnice na wiatr.

– Zatem co powiesz, jeśli moją ceną za przywrócenie Rosemary będzie obietnica, że Zjednoczone Królestwo nie zaangażuje się w zbliżającą się wojnę? – zapytał Grattzo, uważnie obserwując jej reakcję.

W pierwszej chwili chciała zrobić dokładnie to, przed czym ją przestrzegł. Zapewnić, że nie ma zamiaru angażować się w żadne wojny. Szybko jednak powstrzymała się przed wygłoszeniem tej przysięgi, szukając rozsądnego powodu, dlaczego nie powinna tego robić. Czy nie było logiczne odsunięcie się od jakiegokolwiek konfliktu? Nie miała zamiaru żadnego rozpocząć. Na samą myśl o powtórzeniu tego wszystkiego, co wydarzyło się w ostatnich miesiącach, miała gęsią skórkę. Widziała, jakie konsekwencje niesie ze sobą otwarta walka. Przed przybyciem pod mury Glandiru w pewnym sensie podniecała ją idea walki o tron i swoje dziedzictwo. Potem jednak dopadła ją rzeczywistość wojny i obiecała sobie, że nigdy nie dopuści, by coś takiego wydarzyło się ponownie.

– Zbliżającą się? – powtórzyła, zainteresowana jego doborem słów, które wyraźnie sugerowało, że wie o wiele więcej, niż

przyznaje.

– Dobra odpowiedź – przyznał, unosząc kącik ust. – Tak, zbliżając się. Na północy od lat panują poważne militarne i polityczne niepokoje. Chciałbym, by Zjednoczone Królestwo nie było w żaden sposób zaangażowane w tamtejsze sprawy.

– Mówisz o północy, kogo mając na myśli? – dopytał Bash.

– Vijandę oraz Tesaryth. Granica Vijandy przebiega przez Kruczą Puszcę, aż do zatoki w pobliżu Tarby.

– Tak, wiem, moje księstwo graniczy z Vijandą, jednak nie zdawałem sobie sprawy, że panuje tam wojna – zdziwił się Bash.

– Nie bezpośrednio – wyjaśnił Grattzo. – Vijandczycy okupują terytoria Tesarythu oraz kontrolują ich króla. Przez ostatnie lata udało im się zrobić z Tesarytczyków praktycznie swoich poddanych, choć rosną nastroje wyzwolenicze na fali konfliktu tronowego.

– Podobno jeźdźcy nie angażują się w sprawy królów – mruknęła Raina, zaskoczona informacjami, którymi podzielił się z nią Grattzo.

– Angażowanie się a zdobywanie informacji to dwie różne sprawy, Raino – zauważył jeździec. – Głupotą byłoby życie w niewiedzy, zwłaszcza gdy walczy się o przetrwanie.

– Jak udało ci się zdobyć te informacje? I skąd mamy wiedzieć, że są prawdziwe? – Bash był wyraźnie zaniepokojony.

– Obawiam się, że musicie uwierzyć mi na słowo. Są to potwierdzone informacje, pochodzące od moich przyjaciół mieszkających w północnych górach.

– Jeźdźców? – dopytywała Raina, tracąc dech w piersi.

– Nie – odparł stanowczo. – Nie ma na świecie innego leża, jesteśmy jedyni. Zapewniam jednak, że w pełni ufam osobom, które przekazały mi informacje na temat sytuacji politycznej na północy.

– Jak to się odnosi do nas? Wybacz, ale nie rozumiem, jak wojna jakiegoś obcego, odległego państwa może wpływać na nas. Nie graniczymy z Tesarythem i nie mamy możliwości zbudować z tym krajem żadnych relacji – zauważyła Raina.

Nie wiedziała, jak interpretować słowa Grattza w kontekście tematu, w sprawie którego się spotkali. Jak losy północnej części kontynentu wpływały na jego decyzję o przywróceniu Rose? Jaką rolę miała odegrać w tej sytuacji sama Raina?

– Ale z Vijandą już tak – stwierdził jeździec. – A z wieści wynika, że kiedy już Vijandczycy wysłali z Tesarythu wszystko, co mogli, oczy Anastasa Prijestolica zwróciły się na południe.

Znała to nazwisko i samo wspomnienie listu, który widziała kiedyś w gabinecie króla, sprawiło, że po plecach przeszedł ją dreszcz. Władca Vijandy wymieniał korespondencję z jej ojcem. Teraz, wiele lat później, w dodatku za jej panowania, solaryci służący Vijandczykom zdążyli zadomowić się w Zjednoczonym Królestwie.

– Uważasz, że będzie chciał nas zaatakować? Podporządkować tak, jak zrobił to z Tesarythem? – szepnęła zszokowana. Bash aż poprawił się na krześle, rozumiejąc powagę sytuacji.

– Niewykluczone – przyznał Grattzo. – Jest jeszcze inna opcja, równie niebezpieczna jak potencjalny atak Vijandy. Kontakt ze strony tesaryckiej.

– A więc jest to kwestia wyboru sojusznika? – zdziwiła się. – Mam wybrać sojusz z Vijandą w obawie przed atakiem lub pomoc Tesarythowi w obaleniu okupanta?

– Masz w ogóle nie wybierać – powiedział z mocą.

Był śmiertelnie poważny, dużo bardziej zdecydowany niż w każdej innej sprawie, którą omawiali. W jego postawie dostrzegła groźbę podszytą rozkazem. Grattzo wyglądał jak człowiek, który właśnie postawił cały swój majątek na jedną kartę.

– Biorąc pod uwagę takie zagrożenie oraz możliwe opcje, trudno jest mi myśleć o staniu z boku – przyznała, gorączkowo zastanawiając się, co powinna zrobić. Przystąpienie do sojuszu z krajem, który zdołał podporządkować sobie obcy naród, brzmiało jak straszna, lecz bezpieczna, możliwość. Mając do wyboru bycie z kimś lub przeciwko komuś, naturalnie skłaniała się ku rozwiązaniu wykluczającemu jakikolwiek konflikt.

– Jednak jest to coś, co musisz zrobić, Raino, żeby uratować siebie i swój kraj. Uwierz mi, nie czuję się dobrze, wygłaszając takie frazesy. Naprawdę władza i polityka mnie nie interesują. Musisz jednak przyznać, że Los nas ze sobą związał, przez co nie wszystko zależy tylko ode mnie. Wychodząc na światło dzienne jako jeźdźcy i przelatując nad Elendorem na smoczym grzbiecie, wysłałaś jasny sygnał – w tym ludzie drzemie magia oraz potęga, którą przekuć można w broń. Nie uważasz, że jest to coś, o co

trzeba zawalczyć i co warto zagarnąć? – zapytał z kamienną twarzą.
– Prędeż czy później ktoś zechce albo zawrzeć z tobą sojusz, by mieć smoki po swojej stronie, albo cię obalić i po prostu je ukraść. A do tego nie możemy dopuścić.

– Brzmisz tak, jakbyś od początku chciał zgodzić się na sojusz z Koroną – stwierdził Bash. – Udawałeś więc, że nie wierzysz w plan Rainy? Po co ta cała farsa, skoro wyraźnie zależy ci na wsparciu Zjednoczonego Królestwa?

– Zawarcie sojuszu ot tak różni się od umowy, która powstaje w ramach ochrony przed niebezpieczeństwem – mruknął Grattzo. – Jeszcze niedawno moje wątpliwości były motywowane wyłącznie obawą o powodzenie planu ujawnienia jeźdźców i smoków. Teraz jednak, gdy wiem więcej, dostrzegam, że jest to konieczne. I tak, masz smoki, Raino – zauważył. – Lhera nigdy cię nie opuści, i – z tego, co wiem – moi synowie również. Odrzucenie cię teraz jest równoznaczne z podpisaniem wyroku na Vasa, Veera, Oomanę i Cerys.

Raina chyba po raz pierwszy dostrzegła w Grattzu kogoś więcej niż twardego przywódcę, silnego negocjatora i człowieka oddanego tradycji. Widziała w nim ojca zmartwionego przyszłością swoich synów, którzy w ciszy przysłuchiwali się ich rozmowie, osobę desperacko szukającą ratunku dla rodziny, tej bliskiej, ale też dalszej, znacznie większej.

– Poza tym, jeśli Vijandczycy wtargną na terytorium Zjednoczonego Królestwa, nieważne, czy jako wrogowie, czy sojusznicy, będą chcieli mieć smoki dla siebie. Znajdą was, choćby mieli przetrząsnąć każdy kamień – mruknęła. Grattzo smutno pokiwał głową, potwierdzając jej słowa.

– Dlatego właśnie masz nie angażować się w żadną wojnę – podsumował. – Bo niezależnie od tego, po której staniesz stronie, ucierpią na tym moi ludzie oraz smoki. Pomogę ci odzyskać siostrę i zgodzę się na stworzenie leża w Elendorze. Jednak nigdy, przenigdy nie możesz użyć tej mocy w bitwie.

– A co, jeśli Vijanda nas zaatakuje? Niesprowokowana? – zapytał Bash. – Będąc w sojuszu, nie możesz zostawić nas na śmierć.

– Nie zrobią tego, jeśli dasz odpowiedni przekaz. Musisz zbudować reputację, która wystraszy ich na tyle, że zrezygnują.

Masz oprzeć swoją potęgę na magii, smokach i wszystkim tym, czym gardzą Vijandczycy. Niech się ciebie boją. Niech czują strach na samą myśl nie tylko o licznych wojsku, lecz także o powietrznej flocie zionącej ogniem tak gorącym, że byłby w stanie zburzyć ich miasta i pałace w jeden dzień.

– Jaką rolę w tym wszystkim ma odegrać Rose? – wydukała Raina, poruszona wizją roztaczaną przez Grattza. Czy mogła być właśnie taka, jak mówił? Miała zostać wielką królową otoczoną przez potężne smoki gotowe zmienić jej przeciwników w popiół?

– Do rytuału i tak będziesz potrzebowała swojego ludu – zaznaczył Grattzo. Splótł dłonie na stole, jakby przerażała go sama myśl o wyjawieniu jej informacji dotyczących tak ważnego i potężnego aktu. – Nasze tradycje w wielu miejscach się pokrywają, dotyczy to również obrzędu pochówku. Wystawicie przecież *kherrę* dla swoich zmarłych.

Bash uniósł pytająco brew, słysząc słowo w języku jeźdźców, więc Raina wyjaśniła szybko, że Grattzo ma na myśli rytualną paterę, do której składa się ofiarę zmarłemu. Była to stara tradycja, pielęgnowana głównie przez bardziej konserwatywnych lordów i szlachciców, coraz częściej pomijana wśród zwyczajnych ludzi. Sama nigdy nie uczestniczyła w ostatnim pożegnaniu, w którym by ten zwyczaj uwzględniono. Nie było jej jeszcze na świecie, gdy zmarł jej dziadek, ale ojciec często opowiadał o setkach ludzi, którzy przybyli nawet z odległych zakątków Królestwa, aby złożyć hołd zmarłemu władcy. Tłumnie przybywali do świątyni, gdzie oddawali kroplę własnej krwi do rytualnej patery, która potem, po dodaniu oliwy i podpaleniu, stawała się zniczem. Zgaśnięcie płomienia wyznaczało moment, w którym dusza zmarłego opuściła nasz świat. Dopiero wówczas można było go pochować.

– Potrzeba więc zwyczajnej ceremonii? – dziwił się Bash. – Jeśli tak, to dlaczego przywracanie kogoś jest wyjątkiem, a nie regułą?

– Bo potrzeba do tego jeszcze *ātmā sāthi*, którzy posłużą za kotwicę dla utraconej duszy – wtrącił Veer. – Rose będzie nas potrzebowała, by odnaleźć drogę. Dlatego smok umiera razem z jeźdźcem. Ochronia ciało swojego jeźdźca na wypadek, gdyby któryś z towarzyszy zechciał go ocalić.

– Co zatem trzeba przygotować? – zapytała Raina.

– Wszystko to, co normalnie zarządziłabyś w przypadku pożegnania siostry. Z tego, co wiem, duża część planów została już wcielona w życie. Musisz jednak przygotować się na to, że całkowicie prywatna ceremonia nie wchodzi w grę.

– Mamy wpuścić ludzi do świątyni? – zdziwił się Bash. Raina podzielała jego konsternację. Zaproszenie poddanych do wnętrza sanktuarium wydawało jej się niestosowne i dziwne. Nie było to coś, co mieściło się w protokole, a w pewnym sensie przeczyło nawet tradycji. Śluby, pogrzeby oraz ofiary wśród rodziny królewskiej z reguły stanowiły prywatne uroczystości. Poddani zapraszani byli na koronację, jednak nawet w tej sytuacji nie mieli dostępu do najważniejszego elementu ceremonii. Dopuszczani byli tylko ci o wysokim statusie.

– Nie możemy zrobić tego w świątyni – wyjaśnił Grattzo. – Stawiam jeszcze jeden warunek, jeśli w ogóle mamy spróbować. Chodzi o przeniesienie zasług. Zależy mi na pokazaniu, że dokonanie tego rodzaju cudu jest powiązane z magią i smokami. Przywrócenie Rose w murach świątyni łatwo można by zmanipulować, a całą zasługę przypisać waszym bogom. Dobrze przecież wiemy, że oni nie mają nic wspólnego z magią.

– A więc zależy ci na pozycji. Chcesz zgarnąć całą sławę dla siebie. Zostać okrzyknięty cudotwórcą i zbawcą – prychnął Bash.

– Nie uważasz, Sebastianie, że w ogólnym rozrachunku wszystko to służy Koronie? – Grattzo nie przejął się zbytnio kpina w głosie namiestnika. – Królowa pokonała uzurpatora, odzyskała swój tron, zaczyna swoje panowanie od uwolnienia uciśnionych i sprowadzenia potężnych smoków, a także, jakimś cudem, potrafi cofnąć krzywdy – wymieniał, zniżając głos, przez co jego słowa zabrzmiały jak potężna przepowiednia. Zwiastun czegoś tak wielkiego, że wymaga szacunku i zadumy.

Dał im czas, by przetrawili jego słowa, po czym zwrócił się do Rainy.

– Zostaniesz obwołana panią śmierci. – Jego spojrzenie przewiercało ją na wylot. – Nie będziesz potrzebowała żadnych sojuszników, gdy lud uzna cię za boginię potężniejszą od wszystkich znanych bogów. Bo skoro potrafisz przepędzić śmierć, to dlaczego

nie miałybyś zmienić swoim panowaniem losu każdego ze swoich poddanych?

– To wszystko brzmi jednocześnie pięknie i przerażająco, Gratto – wydukała Raina, obracając w myślach jego słowa. *Pani śmierci*. Nie taka, która zsyła ją na swoich bliskich, lecz ta, która wydziera ich z jej szponów.

– Masz rację – przyznał jeździec. – Od ciebie tylko zależy, czy jesteś gotowa się z tym zmierzyć.

Poczuła na sobie spojrzenie Basha, jednak nie odwzajemniła go. Patrzyła na swoje złożone na kolanach dłonie. Jej wzrok wędrował pomiędzy pierścieniem, który otrzymała od Tristana, a obrączką łączącą ją z Lherą. Poczuła, jak ta druga zaczyna ją delikatnie piec, promieniując elektryzującym ciepłem. Zacisnęła dłoń w pięść.

– Kiedy możemy zacząć?

Rozdział 21

ANTOINETTE

Gdy kliknął zamek w drzwiach, Antoinette nawet nie ruszyła się z łóżka, przekonana, że przyniesiono jej wodę i mydło.

Na pewno nie spodziewała się zobaczyć w progu Valianta.

Drgnęła, chcąc wstać, ale zrezygnowała. Nie czuła, by była mu winna ukłon albo choćby skinienie głową. Strażnik zamknął za nim drzwi, a Valiant zasiadł na krześle ustawionym pod ścianą, po czym rozejrzał się po pokoju.

– Nie jest tu zbyt przyjemnie – stwierdził. Zobaczywszy, że nie zrobiło to na Antoinette wrażenia, mówił dalej: – Zapewne nie masz pojęcia, jaki efekt przyniósł twój krótki występ w sali tronowej.

Wciąż milczała, chcąc zmusić go do mówienia. Valiant zacisnął usta w wąską kreskę. Zupełnie nie pasował do miejsca, w którym się znalazł. Czarna marynarka z tłoczeniami i wypastowane buty nijak miały się do zakurzonej podłogi i krzesła skleconego z najgorszego rodzaju drewna. Jego ciemnobrązowe włosy były świeżo umyte i zaczesane do tyłu. Przy nim Antoinette wyglądała jak żebraczka.

– Jeśli chciałaś mnie upokorzyć, udało ci się – powiedział, patrząc jej prosto w oczy. – Wiem, że jakiś czas temu widziałas się z Habijevem. Tego dnia spotkał się też ze mną, żeby mi o tobie opowiedzieć. Był wyraźnie zaniepokojony... twoim stanem.

Antoinette podparła się na twardym materacu, by usiąść. Przez noc tak zmarzła, że płytki jej paznokci wciąż były bardziej fioletowe

niż różowe.

– Moim stanem?

– Używał wielu różnych określeń, ciężko stwierdzić, które opisuje najlepiej to, co miał na myśli. Histeria, choroba umysłu, opętanie, trwanie pod wpływem manipulacji... – Wzruszył ramionami. – Zależało mu na tym, bym zainterweniował w tej sprawie.

– I zrobił co?

– Pytasz w tej chwili, czego naprawdę oczekuje ode mnie Habijev? Czy tego, co zamierzam zrobić, udając, że zapomniałem o rozmowie, którą z nim przeprowadziłem?

Antoinette nie spodziewała się tej odpowiedzi. W jej głowie Valiant współpracował z Habijevem nie dlatego, że musiał, ale po części dlatego, że chciał, widział w tym jakąś korzyść, a to oznaczało, że ich poglądy, przynajmniej na niektóre kwestie, były ze sobą zbieżne. Jego słowa jednakże zaprzeczały tej teorii.

– Zakładam, że sama do końca nie wiesz, więc ci to ułatwię. Habijev chciałby zapewne, byś całkowicie odcięła się od magii. Wie jednak, że nie jest to wcale takie proste dla nas, Tesarytczyków, więc najchętniej zaleciłby ci sesję spotkań z kimś, kto reprezentuje kult słońca. Pewnie wierzy, że ta osoba wszystko ci wytłumaczy – wypowiadając ostatnie słowa, Valiant zrobił w powietrzu znak cudzysłowu. – Ma oczywiście w pamięci całkowitą porażkę, jaką odniosły wszystkie misje solarytów. Sądzę jednak, że zakłada, że z tobą mogłoby się to udać. Ja jednak nie chcę teraz mówić o Habijevie.

– Co więc chcesz zrobić? – spytała Antoinette.

Valiant przez chwilę milczał. Wyglądał tak, jakby walczył sam ze sobą. Zmarszczył czoło, ściągając brwi. Może wcale nie chciał powiedzieć tego, co zamierzał. Może wciąż się nad czymś zastanawiał.

– Swoimi słowami skazałaś się na los zdrajczyni – powiedział powoli. – W teorii mógłbym wydać na ciebie wyrok i kazać zaprowadzić cię na szafot. Nietrudno byłoby uwierzyć, że dziewczyna ze służby okazała się oszustką omamioną przez królewskiego brata. Tylko ode mnie zależy, czy wina spadnie na ciebie, czy na niego.

Antoinette zacisnęła ręce na kocu, pod którym sypiała, tym samym, który drapał jej ręce, zamiast ją ogrzewać. W duchu powtarzała sobie, że musi być spokojna. Nic jeszcze nie zostało postanowione. Ze słów Valianta wynikało, że jeszcze nie zdecydował, co zrobi.

– Pomyśl o tym – podjął. – Może to ty opętałaś jego? Przekonałaś go, że rzeczywiście jesteś dziedziczką Moiry i...

– Tak nie było. Wiesz o tym – zaprotestowała Antoinette. – Kapłani widzą moje źródło. Wszyscy obdarowani...

– Owszem, widzą wielkie i lśniące jasno źródło, a także aurę bliźniaczą do tej Fiyonna. I co w związku z tym?

– Nie możesz traktować ludzi jak głupców. Nikt nie uwierzy w to, że kłamałam, mając przed oczami dowód na to, że jest inaczej.

Valiant odchrząknął i założył nogę na nogę, a ręce złożył na kolanie. W podobnej pozie Fiyonn siadał w fotelu w Zimowym Pałacu. Valiant był o wiele szerszy w barkach, jego dłonie były krótsze, ale mocniejsze, podobnie jak nogi i szyja. To było ciało kogoś, kto dobrze się odżywia i mocno śpi, może ćwiczy szermierkę albo jazdę konną.

– Czy potrafisz odpowiedzieć na pytanie, jak wiele rodzajów magicznych darów zesał na nas Los? – Ze strony Antoinette spotkała go cisza. – Nieskończenie wiele. Czy to możliwe, byś władała potężną magią, lecz nie była dziedziczką Moiry? Zapewne tak. Wciąż sądzisz, że masz jakieś dowody?

– Potrafię to, co Fiyonn...

Valiant parsknął.

– Wątpię. Nawet w najmniejszym stopniu nie jesteś w stanie robić tego, co on. I powinnaś się z tego powodu cieszyć.

– Mogę to udowodnić – próbowała dalej, niemal zrywając się z łóżka.

– Ponownie zapytam: co z tego? – Valiant nachylił się ku niej. – Możesz być utalentowaną czarownicą i niczym ponadto. Może iluzjonistką? Kto wie?

Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami. Antoinette szukała w jego oczach zawahania, czegoś, co dalej pozwoliłoby jej myśleć, że jej pozycja nie jest tak zła, jak mogłoby się wydawać. Była

zeterminowana. Musiała wyjść z tego pokoju. Musiała przekonać Valianta, że nie jest zagrożeniem.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytała.

– Zaczniemy od bardzo prostych rzeczy. – Valiant na powrót się wyprostował. – Gdzie jest Fiyonn?

Tvilier, szeptały głosy. Gdyby nie one, Antoinette mogłaby powiedzieć cokolwiek. Fiyonn sądził, że nigdy nie potrafiła kłamać i była skłonna się z tym zgodzić, ale zawsze sądziła, że jej prawdomówność wynika z pozycji, w której się znajdowała. Nie miała możliwości kłamać, bo mogło sprowadzić to na nią karę, a tego przez całe życie uczono ją unikać.

– Może być wszędzie. Skąd myśl, że wiem? – powiedziała, ale jasne było, że w jej głosie zabrakło mocy.

Valiant uśmiechnął się brzydko, marszcząc przy tym nos.

– Jesteś zatem mądrzejsza, niż się zapowiadało. Nie zapominaj jednak, że znam tę magię dłużej od ciebie. Wiem, jak się z nią obchodzić.

Antoinette spodziewała się, że to przesłuchanie potrwa dłużej. Tymczasem Valiant podniósł się powoli, jakby bolały go mięśnie, po czym podszedł do drzwi.

– Zastanów się nad tym, jak to w końcu było, dobrze? – rzekł, położywszy rękę na klamce.

Długo mierzył ją spojrzeniem, jak gdyby chciał, by go zatrzymała. W końcu jednak wyszedł, ale zanim zamek zatrzasnął się na głucho, Antoinette szarpnęła za klamkę. Tego żaden ze strażników się nie spodziewał. Skupiła swój wzrok na jednym z nich i w ciągu jednego uderzenia serca mężczyzna cofnął się o krok, rozglądając się bezradnie dookoła. Antoinette wyobraziła sobie ciemność, która ją do siebie zgarnęła, gdy Fiyonn wręczył jej Krucze Oko. I posłała ją w stronę gwardzisty.

Mężczyzna zamarł. Otworzył szeroko oczy, lecz jego wzrok nie był skierowany na Antoinette. Rozejrzał się ostrożnie wokół siebie, rozchylając usta, jakby chciał coś powiedzieć.

Udało się. Otumaniała go.

Wtem jednak ktoś pochwycił jej ręce i skrzyżował je za plecami, po czym przycisnął ją do ściany. Uderzyła w nią z mocą, która sprawiła,

że przed oczami zatańczyły jej iskry. Puściła obraz, wymuskała jej się z rąk.

– Nie sądzę, by był to dobry pomysł.

Wciąż trzymana przez strażnika, odwróciła głowę do Valianta, który cały czas stał na korytarzu i obserwował zajście. Pokręcił głową.

– Nie rób tego więcej. Przynajmniej jeśli chcesz zachować życie – powiedział, po czym obrócił się na pięcie i odszedł. W powietrzu jeszcze czuć było zapach jego perfum.



Na kolejną wizytę musiała czekać cztery dni. Oczekiwanie zmieniło swój charakter. Teraz Antoinette była pewna, że Valiant wróci, by bez końca wypytywać ją, gdzie znajdzie Fiyonna. Nie miała na to żadnych dowodów, ale instynkt podpowiadał jej, że arcyksiążę udał się do Klipetaighu. Podejrzała, że dzięki kluczowi, który mu własnoręcznie wręczyła, znalazł go. A Valiant był na tyle zdeterminowany, że byłby w stanie wyciągnąć swojego młodszego brata z najgłębszej górskiej jaskini.

Słyszała kroki jego wysokości jeszcze na korytarzu. Była mocno skoncentrowana, rozrzuciła magiczne sieci wokół siebie i czuła się przy tym, jak gdyby rozciągała zastane mięśnie.

Tak jak poprzednim razem usiadł na krześle, tym razem jednak bokiem, dzięki czemu prawe ramię mógł położyć na oparciu. Antoinette leniwie obróciła głowę. Wyglądał równie formalnie jak wcześniej.

– Jak się dziś czujesz? – zapytał niespodziewanie.

– Dokładnie tak samo jak wczoraj i dwa dni temu.

– Twój opór utrudnia codzienne życie bardzo wielu osób.

– A więc to teraz moja wina, że jestem trzymana w wieży?

Valiant wyglądał jak ktoś, kto bardzo chciałby wyglądać na rozluźnionego. Pamiętał, co stało się ostatnim razem na korytarzu.

– W każdym dużym mieście i pod wszystkimi domami arystokratycznych rodów stacjonują wojska – mówił powoli,

akcentując każde słowo. – Im szybciej odpowiesz na moje pytanie, tym prędyzej wszystko wróci do normalności.

Antoinette wciąż siedziała skulona na łóżku, okryta cienkim kocem. Ale głowę trzymała wysoko.

– Skażesz go na śmierć?

– Przez fakt, że jest dziedzicem magii kłamstw... – zaczął Valiant, lecz Antoinette mu przerwała.

– Jest twoim bratem.

– To już dawno przestało mieć znaczenie. Konkretnie wtedy, gdy Fiyonn wypowiedział mi wojnę, odrzucając wszystko, co mu zaproponowałem.

Nie tego się spodziewała. Nie chciała teraz rozmawiać o źródle nienawiści, którą bracia do siebie żywili, choć i ta sprawa ją interesowała. Wierzyła, że znając lepiej te powody, łatwiej przyszedłoby jej zajęcie stanowiska w sukcesyjnym konflikcie.

Obawiała się zaatakować Valianta, tak jak zrobiła to ze strażnikiem. On zapewne od razu wezwałby pomoc, a Antoinette nie była pewna, czy potrafiłaby ogłuszyć kilka osób naraz. Poprzednio tak bardzo skupiła się na pierwszym sukcesie, że nie zdążyła zareagować na nadchodzący atak. Postanowiła więc nie podnosić ręki jako pierwsza. Chciała wydostać się z wieży innym sposobem.

– Nigdy nie powiedział mi, co między wami zaszło – rzekła spokojnie.

Valiant ściągnął brwi i niespodziewanie wstał. Najwidoczniej ta wizyta miała być jeszcze krótsza niż poprzednia.

– Jeśli rzeczywiście jesteś Kruczą Wiedźmą, to spójrz w przeszłość i zobacz sama – powiedział. Z serdecznego palca prawej ręki zdjął srebrny pierścień wysadzany granatowymi kamieniami i położył go na krześle, na którym przed chwilą siedział.
– Przy kolejnej wizycie chcę go odzyskać.

Antoinette nie czekała długo. Gdy Valiant oddalił się na tyle, że nie wyczuwała jego źródła, sięgnęła po pierścień. Po krótkich oględzinach stwierdziła, że raczej nie miał związku z magią. Nie dostrzegła jasnej poświaty, która otaczała kamienie w biżuterii Uświęconej Matki. Z drugiej strony Krucze Oko również nie błyszczało magią, a przecież na własnej skórze doświadczyła jego

potęgi. Powoli wsunęła pierścień Valianta na palec, ale nic się nie stało. Był na nią trochę za duży, pasował wyłącznie na jej kciuk.

Nie miała ze sobą przyborów do rytuału spoglądania w przeszłość. Do tej pory zawsze korzystała z ich pomocy, choć zapiski w dziennikach otrzymanych od Fiyonna sugerowały, że z biegiem czasu Antoinette powinna radzić sobie bez nich. Jednakże wszystkie instrukcje zaznaczały, że praktyka może zająć jej lata. Czy miała tu jednak coś innego do roboty? Dopóki nie wymyśli odpowiednio dobrego argumentu, który skłoniłby Valianta do wypuszczenia jej z wieży, mogła bez końca zastanawiać się, po co zostawił jej swój pierścień, albo spróbować coś z nim zrobić.

Usadowiła się na łóżku na tyle wygodnie, na ile się dało, i chwyciła pierścień pomiędzy kciuki i palce wskazujące obu rąk.

Do pierwszej próby podeszła z dużym spokojem, wiedząc, że nie ma nic do stracenia. Mogła swobodnie próbować, póki nie zmorzy ją sen. Z tyłu głowy miała wciąż słowa Fiyonna, który zganił ją niczym dziecko, gdy całymi dniami spoglądała w przeszłość. Nigdy mu tego nie powiedziała, ale momenty, w których zastanawiała się, czy rzeczywiście znajduje się we własnym łóżku, czy może dryfuje w obrazach sprzed lat, napawały ją lękiem. Bała się momentu, w którym przestanie rozróżniać terażniejszość od wizji. Codziennie wieczorem przed zaśnięciem, gdy leżała już w łóżku, zastanawiała się, co się stanie, jeśli któregoś dnia zgubi się na ścieżce czasu i nie znajdzie drogi powrotnej.

Antoinette odetchnęła głęboko. Musiała zrobić to mądrze, z przerwami. Zależało jej na zobaczeniu tego, o czym wspominał Valiant – momentu, w którym jego relacja z Fiyonem kompletnie się załamała.

Skup się, skarciła samą siebie w myślach. Nie miała dłoni wysmarowanych sadzą ani palącej się świecy. Jedyne, co mogła zrobić, to otworzyć okno, by mieć dostęp do świeżego powietrza, i przysunąć do siebie misę z brudną już wodą. W rytuale chodziło przecież o to, by być blisko żywiołów natury, najważniejszych darów, które człowiek otrzymał od Losu. Wszystkie cztery łączyły przeszłość, terażniejszość i przyszłość. Połączenie z nimi miało usprawnić cały proces zaglądania do minionych już zdarzeń.

Zamknęła oczy i z całych sił myślała o tym, co powiedział jej Valiant. Jej intencje musiały być silne i zdecydowane. Nie mogło być mowy o pomyłce. Obracała w palcach pierścień, cały czas pamiętając, że to, co chce zobaczyć, musi być jakoś z nim związane.

Przez pierwsze kilkanaście minut siedziała w takim skupieniu, że wszystkie mięśnie w jej ciele napięły się w oczekiwaniu. Obrazy nie nadchodziły.



Trzeciego dnia Antoinette niemal cisnęła pierścień przez okno. Ukryła twarz w dłoniach i oddychała ciężko. *Nie widzi*, szeptały głosy. Gniewnie wytarła samotną łzę spływającą jej po policzku.

Myśl o tym, że magia, którą przecież nie tak dawno odkryła, już zdążyła ją opuścić, budziła w niej złość podszytą przerażeniem. Bez niej naprawdę była oszustką. Czy to możliwe, że Los odebrał jej dar, który sam jej wręczył?

Przymknęła oczy i odetchnęła głęboko. *Nic złego się nie dzieje*, starała się mówić sama do siebie, stanowczo, lecz łagodnie. Zdawała sobie sprawę, że jej poprzedniczki miały lata na opanowanie całego zakresu umiejętności. Ona miała zaledwie miesiące.

– Dzisiaj się uda – rzekła na głos, jak gdyby jej słowa miały przynieść jej przychylność przodków.

Słońce już dawno zdążyło zejść za horyzont, a skrzek kruków zastąpiło pohukiwanie sów, gdy Antoinette poczuła lekkie mrowienie pod powiekami, zmuszające ją do otwarcia oczu. W ciemności pojawiły się sploty magii, które tworzyły razem coś podobnego do pajęczyny. Poruszała się po nich powoli i w skupieniu. Nie mogła pozwolić sobie na zerwanie żadnej z nici, nie po tylu nieudanych próbach. Przyciągała się coraz bliżej i bliżej, wyobraziwszy sobie, że sama również jest częścią pajęczyny.

Gdy otworzyła oczy, ujrzała wielkie dębowe biurko i krzesło z wysokim oparciem obite królewskim granatem. Na ścianie wisiał tesarycki herb z krukiem, więc podejrzewała, że mogła trafić do

królewskiego gabinetu. W pomieszczeniu nie było jednak Valianta. Ujrzała inną, dobrze jej znaną twarz.

Stał przed nią sam Etain Corvus z domu Feidlech, władca Tesarythu, mąż królowej Muirne. W pamięci Antoinette zapisał się jako mężczyzna wysoki, choć niższy od żony, barczysty, o surowym spojrzeniu niebieskich jak letnie niebo oczu, które odziedziczył po nim jego pierworodny syn.

Nie wiedziała, czy to kwestia szoku, czy ulgi, że w końcu udało jej się sięgnąć do przeszłości, lecz puściła obraz, zanim zdążyła mu się dobrze przyjrzeć, i nagle znów znajdowała się w pokoju w wieży. Ujrzenie mężczyzny, o którym wiedziała, że nie żyje, choć jeszcze nie tak dawno spacerował po korytarzach Gniazda, było dziwnym i niepokojącym doświadczeniem. Skarciła się w duchu. Chyba łatwiejsze było patrzeć na nieżyjących od dawna ludzi, takich, których nigdy nie miała okazji spotkać.

Wtedy też uderzyło ją coś jeszcze. Była prawdopodobnie jedyną osobą w Tesarycie mogącą przywołać obraz Etaina Corvusa. Jego dusza nie dostąpiła prawa wędrowania po tym, jak Vijandczycy ścięli mu głowę. Dekapitacja uniemożliwiała zmarłym istnienie po śmierci. Po czymś takim człowiek po prostu... zniknął. Dlatego właśnie największych zbrodniarzy skazywało się na ścięcie.

Czy w takim razie Valiant otrzymał pierścień od ojca? Ale jak to miało łączyć się z Fiyonem? *Dała się oszukać*, szeptały głosy. *Sprawdza ją*. Może Valiant nie wiedział, jak dokładnie wygląda widzenie przeszłości i dlatego zostawił jej pierścień, a nie coś, co rzeczywiście mogłoby pozwolić jej zobaczyć... No właśnie, co? Dlaczego tak bardzo zależało mu na tym, by spojrzeć w przeszłość? Mógł przecież jej o wszystkim opowiedzieć.

Nie dosyć, że ją sprawdzał, to na dodatek wiedział, że jeśli zobaczy tę scenę, Antoinette może zmienić zdanie o Fiyonnie. Valiant wiedział, że może być wobec niego podejrzliwa. Potrafiła wyczuwać kłamstwa, ale oboje wiedzieli, że jest to umiejętność, którą można obejść. Zatem Valiant chciał, by zobaczyła i usłyszała coś, co zrobił w przeszłości Fiyonn. Los jej nie okłamie. Niczego przed nią przecież nie ukryje.

Antoinette wzięła głęboki wdech i spróbowała jeszcze raz. Nigdy dotąd nie udało jej się cofnąć dwukrotnie do tego samego momentu,

ale nie znaczyło to przecież, że było to zadanie całkowicie niemożliwe.

Bez rekwizytów przeszłość nie chciała się przed nią otwierać, musiała wyszarpywać obrazy z oków Czasu. Szło jej tak topornie, że poczuła ukłucie zwątpienia. Ale już raz się jej udało. Był to wystarczający dla niej dowód, że może jej się powieść po raz kolejny.

Otworzyła oczy, by znów ujrzeć królewski gabinet. Jednak tym razem zasiadał w nim Valiant. Wyglądał na o wiele młodszego, był szczuplejszy i bardziej zmęczony. Całą twarz miał lekko opuchniętą, a oczy zaczerwienione, jakby nie spał od kilku dni. Krzesło, na którym siedział, było odsunięte z dala od biurka. Opierał łokcie o kolana i bawił się pierścieniem, tym samym, który trzymała teraz Antoinette. Zakładał i zdejmował go z kolejnych palców albo przerzucał z ręki do ręki.

– Nikt nie twierdzi, że to decyzja prosta do podjęcia, jaśnie panie. – Nieznany jej głos pochodził z drugiej części gabinetu. Przemawiająca kobieta wyglądała na jedną z królewskich doradczyń. Jej twarz wydawała się Antoinette znajoma, ale za nic nie mogła skojarzyć jej nazwiska. – Obawiam się jednak, że obsadzenie arcyksięcia w roli namiestnika nie jest dobrym pomysłem.

– Na razie ten urząd ma sprawować wuj – powiedział Valiant, nie unosząc głowy. – Nie chcę jednak, by robił to zawsze. W końcu Fiyonn dojdzie do siebie i na pewno będzie w stanie mi pomóc.

– Jeśli można, wasza wysokość. – Kobieta odchrząknęła znacząco, skupiając w końcu na sobie spojrzenie młodego władcy. – Na razie lekarze nie przewidują, by stan arcyksięcia się zmienił. Nie mają dobrych rokowań.

Po tych słowach obraz rozsypał się, ale Antoinette była optymistycznie nastawiona. Udało jej się zobaczyć coś, co wiązało pierścień i obu braci. Szukała więc dalej, była na dobrym tropie.

Czuła się tak, jakby sieć wizji pochwyciła ją we własne sidła. Obrazy zmieniały się z każdym mrugnięciem. Większość pokazywała Valianta – samego lub w towarzystwie urzędników. Kiedy tylko Antoinette orientowała się, że to jedynie wizje przedstawiające ich dyskusje na tematy administracyjne, odrzucała je i przechodziła do następnej.

Jej głowa zaczęła robić się ciężka. Czowała, jak jej ciało opada i opiera się o zimną ścianę. Nie rezygnowała. Była blisko, czuła to.

Przy kolejnej próbie przed oczami stanęła jej sala mieszcząca się w królewskim skrzydle, w której obradowali zwykle pałacowi doradcy. Widziała ją już wcześniej. Przy długim dębowym stole zasiadały cztery osoby. Naprzeciw Valianta i namiestnika znajdowali się księżna Delbatich i Fiyonn. To ją zainteresowało.

– Nie prowadź swojej wojny za jego pośrednictwem – rzekł namiestnik, patrząc swojej siostrze w oczy. – Wbrew temu, co myślisz, nie zostałaś wcale z niczym.

Antoinette domyślała się, do czego nawiązywał. Najmłodsza z trójki rodzeństwa, Nemeina Corvus, wydana została za dziedzica majątku Delbatichów, rodziny zajmującej Krisgaldar. Nie dosyć więc, że wysłano ją poza pałac i stolicę, to na dodatek po śmierci swojej siostry nie miała żadnego wpływu na tesaryckie rządy. Była członkinią dworu, wraz z mężem mieli wysoką pozycję dzięki rodowemu majątkowi, ale jako jedyna z całej trójki rodzeństwa księżna nie miała realnej władzy. Namiestnik musiał zatem sądzić, że jej decyzja, by poprzeć młodszego z braci w konflikcie tronowym, ma jej przynieść lepszą pozycję w dworskiej hierarchii.

Sam Fiyonn wyglądał na nieobecnego. Spojrzenie wbił w blat stołu, usta miał lekko rozchylone. Był jeszcze chudszy i bledszy niż arcyksiążę, którego znała Antoinette. Już wtedy jednak od stóp do głów ubierał się w czerń. Dopiero po chwili dostrzegła, że o stół oparte są drewniane kule. Musiała cofnąć się do chwili niedługo po wojnie, gdy Fiyonn dopiero dochodził do siebie. Przez wiele miesięcy nikt poza uzdrowicielami i kapłanami nie miał do niego dostępu. *Tvilier*, szepnęły głosy, przebijając się niespodziewanie przez wizję.

– Ten, którego chcesz zrobić królem, nie jest nawet w stanie prosto usiąść – wytknął namiestnik, a siedzący obok Valiant skrzywił się nieznacznie. Księżna Delbatich mierzyła swego brata morderczym spojrzeniem. Fiyonn z kolei w ogóle nie reagował, jakby nie usłyszał przytyku wuja. Myśłami był gdzieś indziej.

– I czyja to wina? – rzuciła księżna. – Fiyonn jest twoim siostrzeńcem, tak samo jak Valiant, więc należy mu się szacunek, którego do tej pory mu odmawiałaś, nie mówiąc już o zapewnieniu,

że to na niego powinna czekać pozycja, jaką dzierżyli zawsze dziedzice magii kłamstw. Nic to dla ciebie nie znaczy?

– Nemeino, najwidoczniej nie zrozumiałaś, o czym tak naprawdę rozmawiamy. – Namiestnik rozłożył ręce. – Magia wybrała Fiyonna, ale...

– To Los go wybrał.

– Co uważasz, że Valiant miał zrobić po śmierci Muirne? Został tu sam, bez ojca i matki, bez nikogo, kto mógłby mu pomóc. Czekał długo, zdecydowanie za długo na koronację. Nie było innego wyjścia, jak posadzić go na tronie.

– W Halamanie zostawił swojego brata, dziedzica mocy swojej własnej matki. Chcesz obwinić za to mnie, ale to ty wróciłeś do Gniazda i przy nim byłeś. Chcesz wytknąć mi chęć władzy, a sam wyciągnąłeś po nią ręce, gdy tylko dostrzegłeś ku temu okazję. – Księżna położyła dłoń płasko na stole i wstała. – Tak chciałeś się go pozbyć? Powiedzieć wszystkim, że nie żyje i mieć nadzieję, że nikt tego nie sprawdzi?

Valiant przez cały ten czas wodził spojrzeniem między ciotką i wujem, wyglądając przy tym jak zbite szczenię. Raz na jakiś czas zerkał na Fiyonna, ale ten nie reagował.

– Jak śmiałeś? – Głos księżnej nagle się złamał, jakby była bliska łez. – Jak mogłeś zostawić to dziecko? Jak taka myśl mogła w ogóle przejść ci przez głowę?

Do tej pory cały czas była zwrócona do brata. Nagle jednak przemówiła do Valianta:

– A ty? Nic nie powiesz? Władca bez własnego zdania nie zapowiada niczego dobrego!

Valiant rozchylił usta, ale nie udało mu się wydobyć z siebie głosu. Patrzył to na księżną, to na brata, co nie uszło jej uwagi.

– Tak, patrz na niego i zapamiętaj, do czego zdolni są ludzie, z którymi kazał ci się układać twój namiestnik. Powinieneś każdego dnia dziękować przodkom, że otoczyli twój brata opieką.

Obraz rozmył się w powietrzu, zmieniając się w dym. Powieki Antoinette zrobiły się ciężkie.

To na pewno nie było to, co Valiant chciał, by zobaczyła. Zapisła w pamięci niemoc jego wysokości w obecności namiestnika i księżnej. Wykorzysta to. Może nie teraz, ale...

Głowa opadła jej w dół, aż czerń wizji się rozmyła. W wieży było tak ciemno, że Antoinette nie widziała nawet własnych rąk. Przysunęła się bliżej okna, by przywyknąć do mroku okolonego bladą księżycową łuną. Znajdowała się w dobrym miejscu i nie mogła stracić tej koncentracji. Trafnie wytyczyła ścieżkę do przeszłości. Jeszcze raz przywołała obraz, który łączył Fiyonna, Valianta i pierścień. Coś, co jeszcze kryło się pod powierzchnią, lecz znajdowało się na wyciągnięcie ręki.

Czuła się, jakby pochylała się nad stawem. Po kilku próbach udało jej się dotknąć palcami tafli wody.

Ta sama sala, co poprzednio, lecz inny dzień, może nawet inny rok. Zachodzące słońce wlewało się przez okna złotą łuną. Nikt nie palił świec. Bracia siedzieli naprzeciwko siebie, może nawet w tych samych miejscach, co w poprzedniej wizji. Fiyonn wciąż był chorobliwie chudy, co było widać po jego pociągłej twarzy. Resztę ciała ukrywał pod długimi rękawami i wysokim kołnierzem marynarki. Nie wyglądał już jednak na nieobecnego myślami. To był Fiyonn, którego Antoinette знаła. Wystarczył rzut oka na jego ściągnięte brwi, na prawą dłoń niedbale zaciśniętą na kolanie. Było w nim jakieś napięcie, choć mogło się zdawać, że siedzi tam całkowicie rozluźniony. Przeszywającym spojrzeniem mierzył Valianta, który opuścił wzrok.

– Złamałeś każde prawo i każdą tradycję, jaką tylko się dało – odezwał się Fiyonn.

– Co miałem zrobić? Oddać im wszystko?

Po długiej chwili uniósł głowę i spojrzał na brata.

– Czekać. – Głos Fiyonna był jak ze stali. – Władzę oddałeś wujowi, nic więc by się nie stało, gdyby...

– Nikt nie wiedział, jak długo trzeba będzie zwlekać.

Powietrze poruszyło się, Antoinette wyczuła to tak, jakby siedziała tuż obok nich. Valiant był wyczulony na tę magię, zdawał się zauważać różnicę.

– Po prostu ustąp – rzekł Fiyonn po chwili. Siedział tam, nieruchomy niczym posąg, wciąż wpatrzony w brata, który od samego początku wyglądał na pokonanego.

Obserwowany w wizjach Valiant w niczym nie przypominał mężczyzny, który zasiadał teraz na tesaryckim tronie. Brakowało mu

zdecydowania, charyzmy bijącej od niego niczym blask od świecy. Wyglądał na kogoś, kogo władza przeraża. Na kogoś, kto jej nie chciał, ale mimo wszystko jej nie oddawał.

– Chcę, żebyś był przy mnie – powiedział cicho, po czym zdjął pierścień z granatowymi kryształami i posunął go po blacie w stronę brata. – Żebyś mógł decydować.

– Ustąp. – Fiyonn przelotnie spojrzął na pierścień, jednak się nie poruszył. Nie przyszedł tu, by rozwiązać konflikt dyplomatycznie, nie interesował go kompromis.

– Najpierw mnie posłuchaj.

Powietrze momentalnie się rozgrzało, a po pokoju rozeszła się fala wibracji, o wiele silniejsza niż ta poprzednia. Drewno, z którego sklecono meble, zatrzeszczało z wysiłku. To miało Valiantowi wystarczyć za odpowiedź.

– W tym wszystkim nie chodzi tylko o ciebie – powiedział. – Nie możemy wypowiedzieć wojny, którą natychmiast przegramy.

– A czy zrobiłeś cokolwiek, by móc ją wygrać?

Tym razem Antoinette z całych sił starała się zatrzymać obraz, lecz najwidoczniej przeszłość postanowiła zamknąć przed nią resztę swych tajemnic.



Obudził ją szept magii. *Ktoś nadchodzi.* Antoinette usiadła na kilka chwil przed tym, jak w drzwiach stanął Valiant.

– Nie wyglądasz dobrze – zauważył, po czym podszedł do krzesła, na którym leżał jego pierścień. Obejrzał go, jakby sądził, że Antoinette była w stanie paznokciami wygrzebać jeden z kryształów, a dopiero potem wsunął go na palec.

– Zapowiada się piękny dzień. Zima w końcu odpuściła – rzekł, opierając ręce na biodrach. – Nie chciałabyś wyjść na spacer?

Antoinette nie była pewna, jak długo spała. Rolę zegara pełniły pełznące powoli po niebie słońce i księżyc. Kątem oka widziała, że na podłodze leży taca z nietkniętym śniadaniem.

– Tak, chciałabym wyjść – powiedziała. Balansowała między zgodą a buntem. Nie mogła dać Valiantowi wszystkiego, czego chciał, lecz by jej plan się udał, musiała choć częściowo z nim współpracować.

– W takim razie powiedz mi, gdzie jest Fiyonn. Obawiam się, że póki się tego nie dowiem, będziesz tu tkwić. Na twoje nieszczęście, w przeciwieństwie do niektórych, twój pobyt tutaj w ogóle mi nie przeszkadza. Jesteś raczej nieszkodliwym gościem.

– Oglądałam przeszłość – rzekła, celowo zmieniając temat i rozpoczynając tym samym rozmowę, na którą czekała. To była jej szansa na opuszczenie wieży.

Valiant opadł na krzesło.

– I co w niej zobaczyłaś?

– Twojego ojca – rzekła spokojnie, obserwując czujnie reakcje Valianta. – Zgaduję, że pierścień należał do niego. Potem ukazano mi ciebie w rozmowie z doradczynią, która wyraźnie odradzała ci mianowanie Fiyonna namiestnikiem. Widziałam też rozmowę twojego wuja z księżną Delbatich. A na końcu ciebie i Fiyonna, gdy wręczałeś mu pierścień.

Niespodziewanie Valiant zaśmiał się. Rozejrzał się dookoła, jakby potrzebował chwili, by uwierzyć w to, co przed momentem usłyszał.

– Przeszłość ukazała ci więcej, niż się spodziewałem – stwierdził – a to jedynie skrawek historii.

– Dlaczego chciałeś, bym ją obejrzała?

– Wiesz dlaczego. – Oparł łokcie i kolana, zmniejszając dystans między nimi. – Nikt nie może zmienić przeszłości. Oglądana w ten sposób jest obiektywna. Jest prawdziwa. Powiedziałem ci poprzednio, że znam magię, którą się posługujesz, dlatego też wiem, że można ją obejść. Gdybym powiedział ci o tym, że Fiyonn odrzucił wszystkie moje próby nawiązania z nim współpracy, miałabyś podejrzenia. I słusznie.

Zatem miałam rację, pomyślała.

– Chcesz, żebym zrozumiała, że stanęłam po niewłaściwej stronie. Nie pokazałeś mi jednak, jaka jest ta właściwa.

Oczami wyobraźni Antoinette widziała przed sobą Fiyonna, który usłyszałby od niej to zdanie. Przekręciłby na bok głowę i zadałby pewnie jakieś pytanie, na pierwszy rzut oka niemające nic

wspólnego z tym, co powiedziała. Miała jednak przed sobą Valianta, a jego nie potrafiła jeszcze do końca przejrzeć.

– Sam fakt, że starałeś się w jakiś sposób porozumieć ze swoim bratem, nie jest dla mnie żadnym dowodem na to, że powinnam złożyć ci przysięgę wierności – wytłumaczyła. – Zamknąłeś mnie tu, oczekując, że będę cię prosiła o wypuszczenie. Wymyśliłeś, że kluczem do tego będzie wyjawienie ci, gdzie znajduje się Fiyonn. Ale on nie powiedział mi nawet, że gdziekolwiek wyjeżdża...

Bała się zagrać tą kartą, ale nie miała wyjścia. Potrzebowała mocnych argumentów, a to było najlepsze, co przyszło jej do głowy. W myślach modliła się tylko, by Valiant nie spytał, czy wiedziała o przysiędze. W rozmowie takiej jak ta każde zawahanie oznaczało półprawdę.

– Na podstawie czego mam cię poprzeć? – drążyła dalej. – Potraktowałeś mnie jak zdrajczynię i oszustkę. Teraz oczekujesz lojalności?

Nagle drzwi do pokoju otworzyły się z hukiem.

– Jaśnie panie – odezwał się jeden ze strażników, a pozostała dwójka skłoniła głowy. – Czekamy na rozkazy.

Valiant zdawał się zmieszany.

– Jakie znowu rozkazy? – zapytał, podnosząc się z krzesła.

Gwardzista zacisnął usta i spojrzał przelotnie na Antoinette.

– Lud Flugstadt podszedł pod bramy pałacu – powiedział powoli. Czuć było, że nie mówi wszystkiego.

– Wykrztusisz z siebie więcej, czy będziemy tu stać do jutra? – warknął Valiant.

– Chcą ją zobaczyć.

Wszyscy w pokoju zamarli. Antoinette zwalczyła chęć spuszczenia wzroku. Ci sami ludzie, których mijala na głównym placu miasta, gdy zmierzała do Vande Sjel, teraz chcą znowu ją ujrzeć?

Co się działo przez ostatnie tygodnie?

Valiant bardzo długo nie odpowiadał. Prawą dłoń zaciskał rytmicznie w pięść, by po sekundzie czy dwóch rozluźnić palce.

– Ilu ich jest? – spytał cicho, jak gdyby chciał, by pytanie nie dotarło do uszu Antoinette.

– Na początku tłum liczył około dwustu osób, ale z czasem dołączyli do nich kolejni.

- Jak długo to trwa?
- Próbowaliśmy ich przegonić...

Valiant minął gwardzistę i wyszedł na korytarz. Z wieży nie było widać bramy prowadzącej do Gniazda, więc nie mógł na własne oczy ocenić, jak wygląda sytuacja. Odchrząknął, jakby skończył się namyślać, po czym spojrzał na Antoinette.

- Zatem chodźmy.



Miała na sobie suknię z balu. Mimo niewygody nie zmusiła się do włożenia ubrania służącej. Przetłuszczone włosy schowała pod welonem. Idący przed nią Valiant pokonywał korytarze i schody długimi krokami, przez co Antoinette ledwo mogła za nim nadążyć. Za plecami słyszała szczęk zbroi gwardzistów.

Gdy dotarli pod drzwi wejściowe, usłyszała skandowanie zebranych.

- Chcemy zobaczyć Córę Moiry!

Głosy mieszały się ze sobą, tłum krzyczał. Ludzie wykrzykiwali jej imię, żądali, by Krucza Wiedźma stawiała się przed nimi. Jej magia milczała.

Uznali ją za heretyczkę? Pragnęli, by została wypędzona z pałacu?

Gdy strażnicy otworzyli przed Valiantem wrota Gniazda, krzyk urósł w siłę. Z tej odległości doskonale widać było chmarę ludzi zebraną pod bramą. Gwardzista, który powiadomił o wszystkim jego wysokość, miał rację – co najmniej tysiąc mieszkańców stolicy zgromadziło się pod pałacem. Antoinette chyba nigdy nie widziała tak wielkiej grupy ludzi.

W pierwszej chwili krzyki wzmogły się, bo tłum dostrzegł Valianta, a to nie jego chcieli zobaczyć. Żołnierze w tesaryckich i vijandzkich barwach, którzy strzegli bramy, obserwowali bacznie zarówno władcę, jak i zebranych, by odpowiednio zareagować.

– Ludu Flugstadt! – zawołał Valiant i wyszedł im naprzeciw, jednak z marnym skutkiem.

Dopiero ostrzeżenia ze strony strażników podziałały. Skupili uwagę zgromadzonych rytmicznym tupaniem ciężkich butów o ziemię.

Valiant powtórzył zawołanie, a mieszkańcy stolicy zaczęli cichnąć. Co najmniej kilkanaście osób w tej wielkiej zbieraninie zaczęło uciszać resztę, by lepiej słyszeć władcę. Nawet mieszkańcy stolicy niezbyt często mieli okazję oglądać tesaryckiego króla. Dopiero po chwili Antoinette zorientowała się, że i po drugiej stronie bramy zgromadziło się wojsko. Pilnowali tłumu. Pośród tych żołnierzy dominowały vijandzkie barwy.

– Przybyliście do bram mojego domu, by ujrzeć najważniejszą z moich gościń... – przemówił Valiant.

Głosy zasyczały Antoinette w uszach, manifestując swoje wzburzenie. Nie obwołały go jednak mianem kłamcy.

To nie powinien być Valiant, pomyślała Antoinette. W pałacu znajdowały się osoby, które potrafiły rozmawiać z tłumem, które umiałyby ugasić bojowe nastroje. Ale on nikogo tu nie wysłał. Przyszedł z nią, choć wcale nie musiał.

– Wasze wzburzenie zostało zauważone przez Koronę – ciągnął. – A jako władca jestem zobowiązany wyjść wam naprzeciw!

Ktoś w tłumie znów krzyknął i pod bramą ponownie zaczęło wrzeć. Pilnujący zbiorowiska żołnierze zaczęli niebezpiecznie zbliżać się do ludu, jak gdyby byli gotowi do natarcia.

Valiant zszedł po schodach i mówił dalej.

– Córa Moiry została zaprezentowana członkom tesaryckiego dworu! – zawołał. – Pora zatem, by i wam przedstawić dziedziczkę Moiry Czarnowłosej!

Odwrócił się i wyciągnął ku niej rękę, jak gdyby ją przywoływał.

Antoinette wzięła drżący oddech. Przez chwilę obawiała się, że nie da rady wyjść do tych ludzi. Jej nogi były ciężkie, a serce waliło boleśnie w piersi. Pierwsze stawiane przez nią kroki były drobne, lecz w końcu wyszła na obłany słońcem dziedziniec.

Zgromadzeni ryknęli. Głosy zmieszały się z brawami. Grupa ludzi niemal wisiła na bramie. Stojący w pierwszym rzędzie wyciągali do niej ręce.

Na twarzach zgromadzonych nie widziała jednak złości. Nie byli wściekli. W ich oczach malowała się radość. Słyszała łzy i lament

wznoszony na cześć przodków. Słyszała modlitwy kierowane do Losu. Słyszała raz po raz wznoszone do nieba słowo: „dziękujemy”.

Antoinette niepewnie kierowała się w ich stronę, gdy w tłumie poniosła się pieśń.

*Przez powietrze, oddech Losu
Dzięki wam składamy
Bez początku i bez końca
Dzięki wam składamy
Tu gdzie ziemia, tu jest świętość,
Dzięki wam składamy
Wszyscy święci i patroni
Błogostawcie nasz lud*

Dobrze znane słowa wznosiły się i opadały. Gdy jedna pieśń się kończyła, tłum intonował inną. Antoinette patrzyła na uradowane twarze. Coraz bardziej zbliżała się do zgromadzonych przed nią ludzi. Gdy dotknęła pierwszej ręki, przestała przejmować się zakurzoną suknią i brudem pod paznokciami. Zapomniała o tym, że nie ma na sobie klejnotów ani żadnych innych symboli świadczących o wysokim statusie. Ci ludzie nie chcieli widzieć damy. Chcieli zobaczyć... ją.

Nikt nie zwracał już uwagi na Valianta ani na żołnierzy krążących wokół zebranych. Antoinette zaciskała palce na wyciąganych ku niej dłoniach i błogostawiła. Raz po raz przy twarzach mieszkańców wykonywała święty symbol, jak gdyby na odległość mogła dotknąć Trzeciego Oka każdego z nich. Wiedziała, że nie otworzą dla niej bramy. Sama bałaby się dostać do środka tej ludzkiej chmary. Robiła więc wszystko, co mogła. Niektórzy odsuwali się od krat, by przepuścić innych. Ktoś się z kimś przepychał, jej uszu dobiegały agresywne wymiany zdań. Nie mogła być tu dłużej.

– Wyjdę do was, niech Los i przodkowie będą mi świadkami – obiecała grupie kobiet, która akurat przecisnęła się przez tłum. – Przekażcie tę wieść dalej! Wraz z moją wdzięcznością!

Antoinette tkwiła twardo pod bramą i błogostawiła tłum. Nie miała pojęcia, ile czasu tam spędziła, aż w którymś momencie przemknął koło niej gwardzista zwracający się do innego strażnika.

– Mamy rozkaz odprowadzić pannę Corvidae z powrotem do jej pokojów.

Rozdział 22

FIYONN

Fiyonn miał cztery lata, gdy po raz pierwszy usłyszał, że nie tylko członkowie jego rodziny potrafią zmieniać swoją postać. Uczony, który przybył do pałacu, by dzielić się z nim wiedzą na temat historii magii, opowiadał o tym, że dawniej był to całkiem powszechny talent. Ludzie potrafili przekształcać się w zwierzęta i nikogo to specjalnie nie dziwiło. Dopiero z biegiem czasu stał się to dar niezwykle rzadki.

– Od kilku pokoleń tylko dziedzice magii kłamstw to potrafią – tłumaczył. – Dlatego należy ten dar traktować z wielkim szacunkiem, korzystać z niego z rozwagą i dziękować za niego Losowi.

Fiyonn słyszał nieskończenie wiele przestróg na temat tego, że nie może zbyt długo pozostawać w kruczej postaci, bo im dłużej będzie w niej trwać, tym trudniejszy będzie powrót do ludzkiej formy. W tesaryckiej historii zapisało się dwoje władców z rodu Corvus, których nie pochowano jako ludzi. Życie w kuczym ciele całkowicie ich pochłonęło. Na szczęście oboje pozostawili po sobie magicznie uzdolnionych dziedziców, więc linia rodu się nie zakończyła. Choć było blisko.

Udał się na ustalone z Herbertem miejsce spotkania pod postacią kruka, co wynikało z kwestii bezpieczeństwa. Fiyonn uznał, że w ten sposób wcześniej zauważy potencjalne zagrożenie. Wątpił, by Herbert wydał go żołnierzom Valianta, lecz nie mógł pozbyć się

wrażenia, że był to do pewnego stopnia możliwy scenariusz. Mieli spotkać się w połowie drogi między Askvolen i Klipetaighem, na skraju lasu niedaleko jednej z wsi. Większość mniejszych osad w tym rejonie niemal doszczętnie spłonęła w czasie wojny, nie było więc wątpliwości, o który las i o którą wieś chodzi.

Gdy szybował po okolicy, nie widział śladu żołnierzy. Herberta wypatrzył mniej więcej po piętnastu minutach krążenia nad szlakiem. Robił na tyle duże koła, by lecące za nim kruki rozproszyły się, a przez to nie zwracały na siebie zbytnio uwagi.

Fiyonn nie miał w zwyczaju przeobrażać się w obecności innych ludzi. Gdy zaczął posługiwać się tą umiejętnością na tyle sprawnie, że nikt nie musiał go przy tym doglądać, zmieniał formę wyłącznie w samotności. Był to proces, który wiązał się z chwilowym zamroczeniem i utratą kontroli nad otaczającą go rzeczywistością, a lęk przed tym, że ktoś, kto go obserwuje, może z tego skorzystać, nigdy go nie opuszczał.

Przemiana w zwierzęcą formę była jedyną formą magii zaklinalnia, którą posługiwali się Corvusowie. Samo zaklinalnie było niczym innym, jak złączeniem intencji zaklinalnia z przedmiotem lub osobą. Choć w teorii mogło brzmieć to całkiem prosto, w praktyce okazywało się, że chodzi o wdzieranie się w strukturę świata i zmienianie jej według własnej woli, co było czymś więcej niż tylko wysiłkiem umysłu. Fiyonn wiele czasu spędził, czytając o formach zaklinalnia, próbował niekiedy najprostsze z nich wcielić w życie, ale nigdy nie udało mu się niczego osiągnąć.

– Ludzie używali tej magii zbyt niechlujnie – pouczał go nauczyciel, gdy dowiedział się o próbach Fiyonna. – Świat zaczął niszczyć. Zbyt wiele nici zostało wypruty. Żeby odbudować się na nowo, potrzebny był Czas.

Na miejsce spotkania przybył pieszo. Chwilę zajmowało mu ponowne przyzwyczajenie się do ludzkiego ciała, które porzucił na rzecz ptasiego, więc krótki spacer był dobrym sposobem na otrzeźwienie.

Był zmęczony. Prawie tak, jakby przebył wiele mil piechotą. Nogi miał słabe, a plecy zgarbione. Podobnie czuł się po wojnie, gdy wrócił do Gniazda i rozpaczliwie próbował używać magii, lecz ona, po latach tłumienia jej tramantem, była gdzieś daleko, gdzieś, gdzie

z trudem docierał. W zasięgu wzroku miał już jednak Herberta i jego dwuosobową świtę, nie było więc czasu, by dłużej się nad tym zastanawiać.

– Obawiam się, że twój czas na wybrzeżu powoli dobiega końca – rzekł zamiast przywitania Herbert. – Kapitan oddziału z Askvolen zaczyna mnie pytać, czy pożyczę im cukru do herbaty. Zanim się obejrzę, będą zajmować sofy w moim salonie.

Dawno temu Fiyonn był przekonany, że Herbert jest bratem bliźniakiem Rhoswen. Poza oczywistymi, wspólnymi dla nich obojga cechami odziedziczonymi po matce, czyli rudymi włosami, zaróżowioną cerą i pokrytą piegami twarzą, łączył ich talent do posługiwania się słowem. Oboje lubili korzystać z sarkazmu, ale byli także doskonałymi gawędziarzami. Nigdy nie brakowało im tematu do rozmowy, potrafili opowiadać bez końca i to w sposób niezwykle angażujący. Dopiero potem dowiedział się, że dzieli ich aż pięć lat, a bliźniaczką Herberta jest cicha i spokojna Gerda, która już w dzieciństwie spędzała większość czasu samotnie, z nosem w książkach.

– Valiant wie – powiedział Fiyonn. – Ale nie może mnie znaleźć.

– Chcesz mi powiedzieć, że Rhoswen znalazła miejsce, w którym się ukrywasz bez wielkiego trudu, a pół tesaryckiego wojska nie jest w stanie tego zrobić?

– Obawiam się, że nie mamy dziś czasu na to, bym tłumaczył ci działanie klątwy rzuconej na Klipetaigh.

Fiyonn zmierzył spojrzeniem dwóch mężczyzn, z którymi przybył Herbert. Obaj oddalili się, gdy go ujrzeli, aby dać im trochę przestrzeni na prywatną rozmowę.

– To moi doradcy – poinformował go Herbert, orientując się w sytuacji. – Jedyńi ludzie, którym ufam.

– Skąd pewność, że cię nie wydadzą?

– Pewności nigdy nie można mieć. Jedyńie nadzieję.

– To nie brzmi zbyt optymistycznie.

– Nic w tych czasach takie nie jest. – Herbert poklepał swojego wierzchowca po szyi, po czym zbliżył się do Fiyonna o krok. Jego brązowe oczy były bliźniaczo podobne do oczu Rhoswen. – Zanim zaczniesz opowiadać o tych niestworzonych rzeczach, które pisała moja siostra w swoim liście, musisz się dowiedzieć o paru sprawach.

Fiyonn milczał, dając mu znać, by kontynuował. Herbert z kolei wziął głęboki wdech, jakby szykował się do długiego przemówienia.

– W Zjednoczonym Królestwie zasiadła na tronie nowa władczyni. Niektórzy mówią, że posługuje się magią, ale to równie dobrze mogą być plotki.

– Skądś musiały się jednak wziąć – zauważył Fiyonn. – Jak pewne są te informacje?

– Równie dobrze elendorska królowa może być lisem w koronie. To, co jest natomiast pewne, to fakt, że zmiana władzy na południu bardzo interesuje Halaman.

Fiyonn zastanowił się chwilę.

– Dlaczego? – spytał w końcu. W głowie miał zbyt wiele teorii, które mogły się z tym wiązać.

– Robią na południu dokładnie to samo, co tutaj, na chwilę przed wojną. Wysłali swoich misjonarzy, a ci bez trudu się tam zadomowili. Przynajmniej na to wygląda, bo nie słychać głosów o palonych świątyniach czy mordach w imię wiary.

Tak jak podejrzewał, solarycy byli zatem na południu i ich nauki nie zostały odrzucone. Fiyonn nie miał jednak pojęcia, na ile istotny jest to ruch ze strony Vijandy. Pogłoski o tym, że Halaman pragnie wpływów w Zjednoczonym Królestwie, okazały się prawdziwe. Jak bardzo jednak zbliżyć ich może wspólna religia?

– Co ma wspólnego nowa władczyni i misja solarytów? – spytał po chwili Fiyonn. – To nie była planowana zmiana władzy, prawda?

– Nie. – Głos Herberta był zdecydowany. – Caspar twierdzi, że to niemal przewrót, podobno połała się krew i nie mam tu na myśli kilku osób. Zginęła rzesza ludzi.

Wspomnienie o Casparze Eterlanie zaalarmowało Fiyonna.

– Kiedy ostatnim razem rozmawiałem z Casparem, namawiał mnie, bym przestał węszyć – zauważył, a Herbert momentalnie odwrócił wzrok. – Nie wiem, skąd wiedział o planach kontaktu ze Zjednoczonym Królestwem, ale wyraźnie sugerował, żebym porzucił próby.

Tamta rozmowa na dziedzińcu miejskiej rezydencji Eterlanów w Nijestadt wyjątkowo zapadła Fiyonnowi w pamięć, bo kompletnie się jej nie spodziewał. Caspar do tej pory jawił się jako grzeczny syn swojego ojca, który z radością popierał kandydaturę Valianta,

a ponadto sukcesywnie układał się z Vijandczykami, mimo że jego miasto umierało na oczach całej rodziny. Staremu Eterlanowi szło na tyle dobrze, że starszy syn Wouter otrzymał posadę pośła w Halamanie.

Wouter miał jednak dwa poważne problemy. Pierwszym było gadulstwo, drugim – alkohol. Nie było na tej części kontynentu człowieka, który bardziej kochałby plotki przy winie i miodzie. Trudno było jednak stwierdzić, ile faktycznie dowiedział się od samych Vijandczyków, ile podsłuchał, a ile sobie dopowiedział. W Halamanie doskonale kontrolowano ilość informacji przepływających na północ. Wychodzono z założenia, że niewiedza i wrażenie odcięcia będą wywoływać w ludziach niepokój. Oczywiście był to jeden ze sposobów wzburzenia ludzi przeciwko Valiantowi. Vijandzkiej Koronie nadal bardzo zależało na przejęciu pełnej kontroli nad Tesarythem, a skoro przed laty nie zadziałała taktyka szerzenia solaryckiej wiary, która miałaby zbliżyć do siebie te dwa narody, próbowali nęcić lud obietnicą otwarcia się na resztę kontynentu – pod warunkiem, że dadzą się pochłonać Vijandzie.

Wszystkie informacje, które Herbert przekazywał Fiyonnowi, pochodziły właśnie od Woutera. Za każdym razem przebywały one daleką drogę – z Halamanu, przez górskie Nijestadt, a dopiero potem do Askvolen.

– Nie wiem, co opowiadasz Casparowi wieczorami w sypialni, ale... – zaczął Fiyonn, ale Herbert nie pozwolił mu dokończyć.

– Niczego mu nie opowiadam. – Herbert spojrzał Fiyonnowi w oczy. Magia kłamstw milczała. – On nie jest jednak głupi, potrafi łączyć kropki. Skoro rozmawiał z tobą, to znaczy, że niczego nie powiedział swojemu ojcu. Gdyby było inaczej, Valiant kazałby ci wszystko wyśpiewać w chwili, w której postawiłeś stopę w Gnieździe.

Na chwilę maska opanowania, którą do tej pory utrzymywał Herbert, opadła. Odgarnął do tyłu włosy i odetchnął głęboko.

– To trwa zbyt długo. Ci, przed którymi cię kryliśmy, zaczynają się domyślać – powiedział, wodząc wzrokiem po horyzoncie. – Jeśli chcesz obalić Valianta, musisz to zrobić teraz. Obawiam się, że nie damy rady ciągnąć tego dłużej.

Dziwne było słyszeć z jego ust te słowa. Do tej pory Herbert był tym, który zalecał ostrożne planowanie. W roli informatora sprawdzał się doskonale, bo, podobnie jak w przypadku Rhoswen, nikt go nie podejrzewał. To jednak sprawiało, że znajdował się bardzo blisko wrogiego obozu, co rozbudzało w nim wielkie zmartwienia.

– Nie mam sposobu na pokojowe rozwiązanie – rzekł cicho Fiyonn.

– Chcesz szturmować Gniazdo? – Herbert otworzył szeroko oczy. Perspektywa zbrojnego konfliktu przerażała go z wielu powodów. Jednym były doświadczenia wojenne sprzed sześciu lat, kiedy to młodziutki Herbert po raz pierwszy zobaczył krew i trupy padające na polach między Ems i Askvolen. Nie był jedynym młodocianym arystokratą, który eleganckie salony zamienił na chaotyczne pole bitwy. Wiele rodzin wysłało do walki swoich synów. Fiyonn do dziś pamiętał pustkę malującą się w oczach Kierana, kiedy spotkali się po raz pierwszy od podpisania porozumienia między Vijandą i Tesarythem. Z Herbertem byli niemal w tym samym wieku.

– Oddziały się podniosą, wiem o tym – rzekł Fiyonn spokojnie.

– To może być za mało. Szczególnie, jeśli za Valiantem stanie armia Vijandy. Nie mamy wciąż sposobu, by skontaktować się ze Zjednoczonym Królestwem...

– A co, jeśli mamy?

Fiyonn myślał nad tym całą noc. Krążył bezsennie po Klipetaighu, raz po raz wracając do listu Rhoswen. Oglądał kolejne strony i szukał w nich kolejnego zaszyfrowanego tekstu, który powiedziałby mu więcej, lecz niczego takiego nie znalazł. Nic nie fascynowało go tak, jak natura magii, a nigdy dotąd nie zetknął się z większą tajemnicą niż tą dotyczącą bram.

Dopiero nad ranem zorientował się, że w głównym salonie wciąż płonie ogień, choć służba spała i nikt nie dorzucał drewna do kominka. Ogień tlił się jednak jasno, jakby miał nigdy nie zgasnąć. Wtedy też dotarło do niego, że w teorii to całkiem możliwe – silny zaklinacz mógł stworzyć płonący wiecznie ogień. Oczywiście, odkąd przybył do Klipetaighu, bywały momenty, gdy palenisko było nieużywane – ale tylko wtedy, gdy nikt go nie potrzebował. Bezsennie wędrujący po pokojach Fiyonn był impulsem dla uruchomienia zaklęcia rzuconego na kominek. W całym domu

powinno być więcej takich miejsc – każde pomieszczenie pachniało wręcz magią. A jeśli istniało na całym świecie jedno miejsce stworzone dzięki starym zaklęciom, był to właśnie Klipetaigh.

Gdy tak stał i wpatrywał się w ogień, dotarło do niego coś jeszcze. Znany wzór wyszyty na gobelinie wiszącym nad kominkiem w końcu przestał być zagadką, a stał się odpowiedzią. Fiyonn ściągnął go, po czym udał się na schody, mając nadzieję, że Edwina pojawi się na nich raz jeszcze. Nic takiego się jednak nie wydarzyło, więc wrócił do salonu i usiadł na kanapie, powstrzymując się przed nerwowym stukaniem buta w podłogę, które mogłoby zbudzić służbę. Nie potrzebował w tamtej chwili ich towarzystwa.

Miał nadzieję, że Edwina po raz kolejny potwierdzi jego domysły. Dopiero po chwili dotarło do niego, że może to zrobić inaczej.

Gdy tuż po przybyciu do Klipetaighu rozglądał się po domu, znalazł w gabinecie mapę o rozmiarach podobnych do gobelinu. Była to prawdopodobnie jedna z niewielu map ukazujących cały kontynent – od jego północnego aż do południowego krańca. Miała swoje lata, bo niektóre nazwy i granice zdążyły się od tego czasu zmienić, ale idealnie mogła się sprawdzić do porównania z gobelinem.

Bez wahania udał się do gabinetu i rozłożył ją na podłodze, przytrzymując zawijające się krańce pierwszymi przedmiotami, jakie wpadły mu w ręce, po czym ułożył nad nią gobelin. Wzór przedstawiony na arrasie przypominał konstelację, ale jeśli Fiyonn miał rację – wcale nią nie był. Rolę gwiazd pełniły konkretne miejsca, które zbiegały się z punktami na północnej części kontynentu. Dla pewności Fiyonn wyciągnął z sekretarzyka ołówek i kartkę z kompletu papeterii. Starał się stworzyć bliźniaczy wzór, a efekt przerósł jego oczekiwania.

Nie mogło być mowy o pomyłce. Miał przed sobą mapę bram.

Gobelin przedstawiał tylko północną część kontynentu. Fiyonn nie wierzył jednak, że system bram działał jedynie na północy. Dlaczego miałyby? Historia potwierdza, że magia przez setki lat była obecna na południu. Nie istniał powód, dla którego tylko połowa kontynentu miałaby być błogosławiona przez Los.

Punkty pełniące rolę gwiazd były miejscami o wysokim magicznym natężeniu. To nie były przypadkowe lokalizacje, tylko święte góry, miejsca kultu i stolice.

Wierzył, że bramy mogły prowadzić na południe. Potrzebował jednak potwierdzenia.

Streścił Herbertowi jeszcze raz to, o czym pisała w liście Rhoswen, a co potwierdziła mu Edwina. Gdy skończył, zapadła między nimi cisza. Herbert zaczął chodzić w tę i z powrotem, trzymając dłoń z tyłu głowy. Ściągnął brwi, przez co całe czoło pokryło mu się zmarszczkami postarzającymi go o kilka lat.

– Minęło wystarczająco dużo czasu, by Valiant domyślił się, gdzie jestem – mówił dalej Fiyonn. – Z pewnością będzie próbował złamać Antoinette, by go tu przyprowadziła. Jeśli Vijanda skupia się teraz na Zjednoczonym Królestwie, musimy to wykorzystać. Obaj wiemy, że gdy Halaman sięgnie po kolejne królestwa, dla nas nie będzie już szans. A i tak otrzymaliśmy od nich dużo czasu. Sześć lat względnego spokoju to, w porównaniu z tym, przez co przeszła Astheria, bogactwo wolności, z którego nie potrafiliśmy skorzystać.

– Te bramy – odezwał się Herbert, wciąż pogrążony we własnych myślach. – Nie masz pewności, że działają gdziekolwiek indziej poza Gallawethem.

– Nie mam. Przynajmniej na razie. – Fiyonn przyznał mu rację. – Sądzę jednak, że w Domu Niji mogą odpowiedzieć nam na wszystkie pytania.

Rozdział 23

SEBASTIAN

Cały pałac został postawiony w stan gotowości, gdy wspólnie ustalili, że jedynym słusznym miejscem na przeprowadzenie rytuału będzie sala tronowa.

Długo zastanawiali się, jak powinni zorganizować całe przedsięwzięcie, biorąc pod uwagę liczbę ludzi, którzy mieli przyjść na – jak sądzili – pożegnanie zmarłej księżniczki. Wysokie sklepienia Glandiru w oficjalnej części umożliwiały obecność smoków, było to też miejsce, w którym z łatwością można było kontrolować sytuację. Jedno duże wejście, żadnych bocznych korytarzy, poza jednym, do którego dostęp miała Raina, Wielka Rada oraz strażnicy. Niezależnie od tego, jak wielu kantalarczyków miało się pojawić, byli przygotowani na każdą ewentualność.

Przygotowania zaczęły się jeszcze tego samego dnia, gdy tuż po negocjacjach z Grattzem Raina rozkazała wystawienie *kherry* na dziedzińcu pałacu. Bash przez jakiś czas obserwował tłumy ludzi nadciągające z serca miasta, by złożyć ofiarę księżniczce. Służba uwijała się jak w ukropie, żeby zapewnić Grattzowi wszystko, czego potrzebował do rytuału. Sprzątali każdy centymetr reprezentatywnej części pałacu, przygotowywali pokoje dla Rose oraz zasłaniali wielkimi czarnymi suknammi ogromne witraże sali tronowej. Było to najtrudniejsze zadanie, a jednocześnie najważniejsze. Grattzo tłumaczył, że to właśnie w ciemności smoczy ogień rozkwita i daje

nowe życie. Bash nie rozumiał, o co mu chodziło. Jego instrukcje były dla niego zbyt zawile, momentami przyprawiały go wręcz o zawrót głowy. Postanowił, że nie musi wiedzieć więcej niż absolutne minimum. Zależało mu na wykonaniu rozkazów, spełnieniu wszystkich oczekiwań oraz odzyskaniu Rose. Kwestie mistyczne pozostawiał Rainie, samemu w pełni poświęcając się zapewnieniu bezpieczeństwa.

Czuł się dobrze, mając okazję na chwilę wrócić do swojej starej roli. Wiele dni spędził z Mironem, instruując strażników i sprawdzając, czy wydane rozkazy są respektowane. Planował każdą możliwą ewentualność. Niezależnie od reakcji, był pewien, że uda im się opanować tłum. Stworzył wiele strategii, na wypadek gdyby poddani wszczęli bunt, uznając malujące się przed nimi wydarzenia za herezję, oraz sposoby na powstrzymanie paniki, euforii czy strachu. Nie mogli zakładać, że na pewno wszystko pójdzie gładko.

Ze zdziwieniem Bash zorientował się, że niepewność daje mu pewnego rodzaju ekscytację. Świadomość, że miał odpowiedź na każde niepokojące zachowanie, napawała go dumą, której nie odczuwał, od kiedy na jego plecach spoczęły obowiązki namiestnika.

Wszystko to ustąpiło przerażeniu w chwili, gdy stanął na jednym z tarasów Glandiru i obserwował poddanych tłumnie przybywających do pałacu w dniu ceremonii.

Oddech uwiązał mu w piersi. Miał wrażenie, że elegancki mundur dusi go, odbiera możliwość poruszania się i za chwilę całego go pochłonie. Na ramionach czuł ciężar peleryny, a na biodrach ucisk pasa, do którego był przytroczony miecz. Złapał za rękojeść, mając nadzieję, że zimno stali pod palcami odrobinę go uspokoi, jednak chaos w jego głowie nie ustępował.

– Lordzie Pisceriov? – Odwrócił się, zanim zdążył choćby o tym pomyśleć. Lord Lashan stał w progu wielkiej sali. Ubrany był w tak samo wystawny strój jak Bash, na jego piersi lśniły odznaki, komponujące się ze złotą nicią, którą przesyta była jego marynarka. Również miał przy sobie miecz, jednak dłonie opierał na zdobionej lasce.

– Czy mogę w czymś pomóc? – zapytał odruchowo Bash, jakby nadal pełnił funkcję kapitana straży. Mina Hershela zdradzała

rozbawienie jego reakcją.

– To ja przyszedłem, by o to zapytać. Zdajesz się być odrobinę poruszony i zagubiony – stwierdził i podszedł do niego leniwym krokiem.

– Nie jest to coś, do czego jestem przyzwyczajony. Nikt z nas nie ma prawa być – odparł.

– To dość niecodzienna sytuacja, w rzeczy samej – mruknął Lashan. Zatrzymał się obok Sebastiana i spojrzał w dół. – Wszystko zdaje się być pod kontrolą. Nawet przybycie kolejnych smoków nie wywołało problemów.

Poprzedniego wieczoru na dziedzińcu Glandiru wylądowały kolejne cztery bestie, jednak tym razem bramy pozostały zamknięte. Kantalarczycy mogli dojrzeć smoczych jeźdźców wyłącznie przez chwilę, kiedy smoki krążyły nad pałacem, głośnym rykiem obwieszczając swoje przybycie. Grattzo sprowadził swoją żonę Anamitę oraz trzech najbliższych sobie jeźdźców, przez co tworzenie elendorskiego leża przestało być jedynie pomysłem, a stało się faktem. Mieli wziąć udział w rytuale, a później pozostać na miejscu i rozpocząć budowę schronienia.

– Co mówią twoi kantalarscy przyjaciele? – zapytał Sebastian, wiedząc, że Lashan ma wiele koneksji i zna najbardziej wpływowych szlachciców w stolicy. Był niejako oczami i uszami korony.

– Wszyscy wydają się zainteresowani, niektórzy może nawet podekscytowani – stwierdził. – Nie dostrzegam sprzeciwu. Może bardziej... zmartwienie? Wiele rzeczy może się dzisiaj wydarzyć.

Spotkanie z Radą, na którym razem z Rainą wyjaśnił lordom, co tak naprawdę zamierzają zrobić, było najtrudniejszym ze wszystkich zebrań, jakie dotąd miały miejsce. W pewnym momencie bardziej zaczęło przypominać przesłuchanie niż audiencję. Lordowie zasypali ich ogromną liczbą pytań. Raina ze spokojem tłumaczyła każdą kolejną kwestię, wyjawiała informacje od lat trzymane w sekrecie i mówiła o wszystkim, na co pozwolił jej Grattzo. Początkowo nie byli przekonani, Bash zaczął obawiać się sprzeciwu, a może nawet zamachu stanu ze strony Archera i Ewana. Bardzo trudno było ich przekonać, że sojusz z jeźdźcami przyniesie wiele korzyści Zjednoczonemu Królestwu. Kiedy doszło do głosowania, Sebastian miał wrażenie, że straci przytomność.

Jednak z jakiegoś powodu wszyscy jednogłośnie zgodzili się na zbudowanie leża, przyjęcie jeźdźców oraz odzyskanie Rose.

– Twoi ludzie są gotowi, lordzie Lashan? – zapytał Bash, widząc zmierzającego w ich kierunku ochmistrza.

– Oczywiście – potwierdził.

Salę tronową podzielono na dwie części. Gwardia królewska ustawiona w ciasnym szyku na środku pomieszczenia odgradzała tłum ludzi od centralnie ustawionego podestu. Dalej, w głębi pomieszczenia, znajdowało się podwyższenie tronowe. To właśnie tam czekały smoki. Lhera, Oomana oraz Cerys przysiadły nisko na łapach i czekały na sygnał od swoich jeźdźców. Serra, smoczyca Grattza, czaiła się w ciemnościach z boku sali. Bash wiedział o jej obecności tylko dzięki temu, że przypadkowo kątem oka dostrzegł błysk ognia odbijającego się w jej jasnych oczach.

Całe pomieszczenie skąpane było w ciemności. Mimo że na zewnątrz nadal świeciło słońce, leniwie wędrując ku zachodowi, sala tronowa odcięta była od reszty świata. Zaledwie kilka kandelabrow rozjaśniało wejście, przez co całe światło skoncentrowane było na podwyższeniu oraz płonącej leniwie *kherrze*.

Właśnie tam była Rose.

Przechodząc w towarzystwie lorda Lashana wąskim przejściem z boku sali tronowej, Sebastian usłyszał, że ludzie o niej rozmawiają. Komentowali całą otoczkę, ciemność oraz jasne sukno zakrywające jej ciało. Niektórzy zastanawiali się na głos, czy księżniczka zostanie im pokazana, dopytywali, czy ktoś wie, co dokładnie ją spotkało. Niektórzy stali w ciszy i zadumie, kilka osób ocierało łzy. Czekali na rozpoczęcie ceremonii, uważnie wpatrując się w płomień trawiący zmieszana z oliwą krew. Krew, którą zapewne wielu obecnych oddało w ramach hołdu. Każdy po kropli.

Raina stała z boku, w towarzystwie Grattza oraz bliźniaków. Za jej plecami dostrzegł resztę członków Rady, do których dołączył Lashan. Jako jedyny zdawał się nie emanować negatywną energią, która szczególnie biła od Archera Milesa.

– Zaczynamy? – zapytał Grattzo i spojrzał przelotnie na zgromadzonych ludzi. Drzwi frontowe nadal były otwarte, do środka napływali poddani. Na pytanie Grattza Raina skinęła głową na

jednego ze strażników, dając mu znać, żeby zamknęli wrota. Gdy tak się stało, zapadła cisza.

Dwaj strażnicy podeszli do Sebastiana oraz Rainy i podali im drobne, wąskie ostrza. Zaraz potem wręczyli je także braciom oraz Grattzowi.

Jako ostatni mieli złożyć ofiarę, dlatego powoli podeszli do *kherry*. Raina pierwsza wykonała płytkie nacięcie i, uważając na płonący ogień, pozwoliła krwi spłynąć z jej palca prosto do misy. Zaraz po niej nadeszła kolej Basha.

Zastanawiał się przez chwilę, jak dużo siebie powinien oddać. Przez moment wpatrywał się w bulgoczącą oliwę. Poczuł na twarzy ciepło ognia. Czy powinien pomyśleć o czymś konkretnym? Zawrzeć w tym sakramencie jakiegoś rodzaju intencję?

Gwałtownie przesunął ostrzem wzdłuż wnętrza dłoni i, zaciskając zęby, wyciągnął rękę do przodu tak blisko ognia, że niemal dotykał on jego palców. Krew przez kilka sekund spływała do patery, z sykiem ginąc w żarze. Obserwował strugę czerwieni rozpadającą się w nicość zdecydowanie za długo. Dopiero dotyk dłoni Veera na ramieniu otrzeźwił go i zmusił do cofnięcia ręki.

– Przepraszam – mruknął. Niezgrabnie odszedł od *kherry* i wrócił na swoje miejsce, przelotnie sprawdzając reakcję tłumu.

Zdziwił się, gdy dostrzegł stojących w głębi solarytów. Z zainteresowaniem przyglądali się wszystkiemu, co działo się na podestu.

– Co oni tu robią? – wyszeptał do Rainy. Jeden ze strażników podał mu kawałek materiału do zatamowania krwawienia.

– Nie wiem. Nie dostali bezpośredniego zaproszenia – odparła najciszej, jak potrafiła, delikatnie opuszczając głowę, jakby chciała udawać moment modlitwy.

Bash gorączkowo zaczął analizować, jak obecność solarytów może wpłynąć na przebieg ceremonii. Otwarcie patrzył na Kostelic, czekając, aż pochwyci jego spojrzenie, a kiedy tak się stało, starał się swoją postawą zasugerować jej, że nie warto zakłócać spokoju. Ledwie zauważalnie skłoniła głowę, a potem odwróciła wzrok, by dalej obserwować podest.

Vas, Veer oraz Grattzo złożyli już ofiarę i zajęli miejsca po obu bokach Rose. Czekali, aż ogień w paterze zgaśnie. Cisza zaczęła

powoli się rozpadać. Bash słyszał, jak w tłumie zaczynają krążyć pojedyncze szepty. Strażnicy za jego plecami uważnie obserwowali otoczenie, przez co wraz z każdym ruchem ich zbroje lekko skrzypiały. Kiedy już myślał, że będą czekać w nieskończoność, płomień skurczył się i zniknął, co pograżyło podest w półmroku.

Smoki podniosły się, wzbudzając w zebranych głośnie westchnienie. Oomana i Cerys podpełzły do swoich towarzyszy. Grattzo podszedł do patery i stanął plecami do tłumu. Spojrzał ponad naczyniem na ciało Rose przykryte materiałem, a następnie dał znak synom, że mogą zaczynać.

Oomana i Cerys nie podeszły do Rose. Minęły ją oraz braci i zajęły miejsce po bokach Grattza. Bash przesunął się ostrożnie, chcąc zobaczyć, co dzieje się na podwyższeniu.

Na jakiś niewidzialny sygnał obie smoczyce jednocześnie splunęły ogniem w stronę *kherry*. Nagle pomieszczenie rozbłysło, kantalarczycy wycofali się z głośnym westchnieniem, a strażnicy drgnęli na swoich pozycjach. Bashowi trudno było zdusić odruch zakrycia twarzy, powstrzymał się jednak, dzięki czemu dokładnie widział, jak Grattzo, nie obawiając się ognia, przesuwa czubkiem kostura nad płomieniem. Misa żarzyła się i drgała od siły, z jaką smoki do niej zionęły, jednak jeździec nie odsunął się ani o milimetr. Jego usta szeptały jakieś słowa, nikt poza nim nie mógł ich jednak usłyszeć.

Veer podszedł do Rose i odsłonił materiał, by sięgnąć do jej dłoni. Czarna obrączka w jego palcach odbiła światło, kiedy podawał ją Vasowi, który bez wahania wrzucił ją w ogień.

Smoki przestały zionąć, a płomień wzbił się jeszcze wyżej, jakby pierścień obudził w nim życie. Wśród tłumu rozbrzmiały krzyki, które strażnicy szybko uciszyli. Bash zerknął w prawo w poszukiwaniu zagrożenia, jednak kantalarczycy byli zbyt przerażeni, by kogokolwiek zaatakować. Zdawali się raczej skłonni do ucieczki, ale uniemożliwiały im to zamknięte wrota.

Sebastian nie zauważył momentu, w którym bracia znaleźli się przy Grattzu, złapali za ogromną paterę i unieśli ją do góry.

– Co oni...?! – przeraził się, widząc, jak gołymi dłońmi przenoszą rozgrzane do czerwoności naczynie i idą z nim w kierunku Rose. Wyrwał się odruchowo do przodu, jednak Raina złapała go za ramię.

W tym momencie smoki wydały z siebie ogłuszający ryk i kilka rzeczy wydarzyło się jednocześnie.

Ludzie zaczęli panikować i umykać w stronę wyjścia, a strażnicy mieli problem z utrzymaniem wszystkich w ryzach. Tymczasem na podeście Grattzo coraz głośniejszymi słowami w języku nieznanym Bashowi. Odsłonił ciało Rose od pasa w górę. Sebastian zobaczył jej blady profil i ciemne włosy rozsypane wokół głowy. Bulgocząca ciecz z *kherry* została wylana prosto na jej pierś. Uścisk Rainy na jego ramieniu zniknął. Królowa krzyknęła i ruszyła w stronę jeźdźców, którzy nagle opadli z sił. Misa z głośnym rumorem uderzyła o podłogę, resztki oliwy wymieszanej z krwią rozlały się po marmurowej posadzce.

Nawet Sebastian poczuł, jak wokół nich zaczyna drżeć magia.

Kostur Grattza rozbłysnął oślepiającym, ostrym światłem. Trudno było dostrzec, co dokładnie wydarzyło się na podeście. Bash nie wiedział, co dzieje się wokół niego, słyszał tylko krzyki, rozkazy strażników nawołujące do zachowania spokoju i panikę Rainy.

– Cisza! – Głos Grattza był tak głośny, że momentalnie przywrócił wszystkich do porządku.

Wszyscy zwrócili głowy w kierunku podwyższenia, gdzie światło kamienia powoli się wygaszało. W końcu zmalowało na tyle, że przestało oślepić i pozwoliło na dostrzeżenie wszystkiego, co miało miejsce.

Bash nie był w stanie się ruszyć. Miał wrażenie, że cała sala tronowa zamarła, jakby czas stanął. Vas i Veer klęczeli obok Rose, próbując złapać oddech, wyczerpani i wyraźnie nieświadomi otoczenia. Grattzo zaś stał nad nimi i czekał z ręką wyciągniętą przed siebie w geście zakazującym zbliżania się do nich.

Klatka piersiowa Rose niemal całkowicie pokryta była błyszczącą oliwą wymieszaną z brunatną, ciągnącą się krwią. Nagle, ku wielkiemu szokowi zebranych, Rosemary uniosła się, a pomiędzy jej rozchylonych warg wydobył się ciężki oddech.

– Żyje! – krzyknął ktoś z tłumu, ponownie burząc ciszę.

Bash nie słuchał, nawet nie odwrócił głowy, by zobaczyć reakcję tłumu. Nie interesowało go nic innego, tylko ten jeden oddech. Wbiegł na podwyższenie i dopadł boku Rose akurat w momencie, gdy ponownie odetchnęła. Oczy miała zamknięte, nie ruszała się,

jednak jakimś cudem jej pierś unosiła się i opadała. Zerwał z pleców pelerynę, by okryć ją przed spojrzzeniami.

– Rose?! – Raina była tuż obok. Kątem oka Bash dostrzegł jej drżące w panice dłonie. On sam jednak patrzył tylko na twarz Rosemary. *Otwórz oczy*, prosił w myślach. Dotknął jej ramienia i poczuł, jakie jest zimne.

– Dokonało się! – rzekł podniosłym tonem Grattzo, gotowy do wygłoszenia manifestu, który omówił z Rainą.

Bash jednak nie słuchał. Pochylił się, by oprzeć policzek na piersi Rose. Serce biło cicho, niemal niezauważalnie.

– Żyje – jęknął i poczuł łzy zbierające się w kącikach ust.

– Zabierzmy ją stąd – zarządziła Raina, również nie mogąc powstrzymać płaczu.

Bez wahania wziął Rose na ręce, uważając przy tym, by cały czas okryta była sukniem oraz jego płaszczem. Zdziwił się, gdy poczuł, jak lekkie jest jej ciało, które przecież tak dobrze znał.

Opuszczając salę tronową, ani na sekundę się nie zatrzymał. Zapomniał o wydawaniu rozkazów, pilnowaniu bezpieczeństwa, reakcji tłumu. Nie zwracał uwagi na braci ani na Grattza, przemawiającego jak król do swoich poddanych.

Liczyło się tylko to, że Rose żyła.

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział 24

RAINA

Od chwili, gdy z gardła Rose wydobył się pierwszy płytki oddech, Raina czuła strach pomieszany z ulgą. Przerażenie spinało każdy element jej ciała, obejmowało myśli i toczyło się żyłami wraz z krwią gotującą się z radości.

Wszystko wydawało się dziwne. Poplątane i chaotyczne emocje zmuszały ją do walki z samą sobą. Chciała jednocześnie płakać i śmiać się. Pragnęła być blisko Rose, ale jednocześnie bała się ją dotknąć.

Po przeniesieniu jej do królewskich komnat nie wiedziała, co powinna zrobić. Medycy czekali na polecenia, przygotowani przez Grattza na każdą ewentualność. Niedługo po zamieszczeniu, jakie rozpętało się w sali tronowej, dołączył do nich również Veer. Wspólnymi siłami starali się pomóc Rose przetrwać.

Po przywróceniu jej do życia nie wszystkie krzywdy zostały naprawione.

Grattzo ostrzegał Rainę, że istnieje taka możliwość. Smocza magia była dzika, a rytuał przywracania jeźdźca mógł przynosić różne skutki, w zależności od tego, co spotkało poległego. Przy ciężkich urazach magia nie była w stanie zdziałać cudów. Zmuszała serce do wznowienia bicia, krew do krążenia w żyłach, a pierś do zaczerpnięcia oddechu. Naprawiała uraz, który powodował śmierć, lecz nic ponad to. Dlatego też lekarze mieli pełne ręce roboty, gdy

wraz z rytmem krwi rany na ciele Rose zaczęły się otwierać, a siniaki ciemnieć.

Raina była przy tym procesie. Patrzyła, jak lekarze zszywają poszarpaną skórę i oczyszczają wszelkie nacięcia. Aplikowali maści, do ust wkraplali kolejne medykamenty, bandażowali kończyny księżniczki. Po wszystkim Raina miała wrażenie, że Rose składa się wyłącznie z opatrunków i ukrytego pod nimi bólu.

Widząc obandażowaną głowę, pierś oraz ramiona i widoczne spod nich krwiaki, zaczęła od razu żałować, że podjęli się próby odzyskania jej. Początkowa euforia i ulga ustąpiły miejsca poczuciu winy. Rose była nieprzytomna, nawet nie drgnęła, jednak nie oznaczało to, że nie czuła bólu, a ten mógł być niewyobrażalny. Nikt nie potrafił określić, czy ten stan jest naturalny. Bliźniacy oraz Grattzo rozkładali ręce, kazali czekać.

Niedługo po wyjściu medyków udali się do swoich komnat, by odpocząć po udziale w rytuale odzierającym ich z energii, dlatego przy łóżku Rose została tylko ona i Bash. Raina patrzyła uważnie na Sebastiana i widziała, że nie podzielał jej trosk. Siedział na krześle, delikatnie kiwając się na boki z oczami pełnymi łez i ręką Rose przyłożoną do własnych ust, jakby chciał złożyć na niej setki pocałunków. Nie było to coś, co pomogłoby jej się obudzić. Mimo dotyku oczy miała zamknięte, a ciało bezwładne.

– Jest taka ciepła... – wychrypiał w którymś momencie Bash, nie puszczając dłoni. – Z każdą chwilą jest coraz bardziej ciepła.

Raina przełknęła gulę rosnącą w gardle i sięgnęła do czoła siostry. Rzeczywiście było ciepłe, może nawet za ciepłe. Nie widziała jednak sensu w przywoływaniu lekarzy. Sytuacja była nadzwyczajna i żadna z ich nauk nie miała tutaj zastosowania.

– Będziemy musieli ustalić z medykami stałą opiekę. Tak, żeby zawsze ktoś przy niej był – zdecydowała, odsuwając się od siostry. Przez wykwitające na jej twarzy sińce nie chciała dotykać jej w obawie przed sprawieniem bólu.

– Będę przy niej, dopóki się nie obudzi – stwierdził zdecydowanym tonem Bash.

– Jesteś mi potrzebny, Sebastianie...

– Już raz ją zostawiłem – wysapał, zamykając oczy, jakby nie chciał nawet na nią spojrzeć. – Nie zmusisz mnie, bym znowu

zawiódł.

– To może potrwać wiele dni, Bash – starała się tłumaczyć. – Jedną kwestią są sprawy pałacowe, a inną twoje zdrowie. Jeśli Rose się obudzi, będzie potrzebowała wsparcia, a nie będziesz w stanie...

– Jeśli? – przerwał Rainie. W jego oczach czaiły się gniew i przerażenie. Mocniej zacisnął palce wokół dłoni Rose.

– Grattoz nie dawał nam gwarancji – mówiąc te słowa zebrała w sobie całą siłę, by tylko zachować spokój. – Spójrz tylko na nią...

Mimowolnie jej posłuchał. Początkowo jego spojrzenie było puste, niewidzące, jakby nie dopuszczał do siebie żadnych myśli. Obserwowała twarz przyjaciela, widziała każde najmniejsze drgnięcie mięśni czających się pod skórą. Początkowa euforia, towarzysząca Bashowi od wydarzeń w sali tronowej, zmieniała się teraz w strach i niepewność. Jej namiestnik potrzebował chwili, by dostrzec to, co trawiło ją już od jakiegoś czasu.

– Da radę – powiedział bardziej do siebie niż do Rainy. – Widziałem żołnierzy, którzy wracali do zdrowia mimo dużo gorszego stanu.

– Oni jednak żyli, Bash – zauważyła. – Trzymali się kurczowo swoich dusz. Nie wiemy, gdzie jest teraz Rose. Czy nas słyszy, co przeżywa... Jeśli w ogóle udało jej się odnaleźć drogę do tego ciała.

Ciała, które zostało tak brutalnie rozerwane na kawałki, pomyślała, obawiając się wymówić te słowa na głos.

– Chciałabym po prostu, żebyśmy nie wpadali w ekscytację. Miejmy nadzieję, ale przede wszystkim skupmy się na obserwowaniu i czekaniu – powiedziała łagodnie i wyciągnęła do niego rękę. Bash ujął ją i uściśnął na znak, że popiera słowa Rainy.

Moment pojednania przerwało ciche puknięcie do drzwi.

– Wasza wysokość, Elida Kostelic prosi o rozmowę – wyjaśnił najście strażnik stojący w progu pokoju. Raina i Bash spojrzeli po sobie porozumiewawczo.

– Nie jest to najlepszy moment.

– Bardzo nalega – wyjaśnił, widząc jej niezadowoloną minę. – Mówi, że jej sprawa ma związek z dzisiejszą ceremonią.

Po ostatnim spotkaniu z solarytami Raina podchodziła do Kostelic z ogromnym dystansem. Z pomocą raportów od gwardzistów starała się dyskretnie śledzić jej poczynania, interesowała się każdą

wzmianką o solarytach, jednak nadal żaden z nich nie wykonał podejrzanego ruchu. Słowa Kostelic dotyczące magii nie poniosły się dużym echem, w mieście nie rozpoczęły się zamieszki. Jej opinia o nowym prawie została puszczona mimo uszu. Czy zamierzała zbesztać ją za tak wyraźny, zuchwały pokaz siły ze strony Grattza?

Trudno było Rainie domyślić się, jakie było nastawienie Kostelic. Przyszła bez swoich towarzyszy i usłużnie przeszła z Rainą do gabinetu, nie wyrażając przy tym żadnych emocji.

– Słucham – oznajmiła Raina, tonem głosu zaznaczając niezadowolenie z wizyty Kostelic. Nie zaproponowała jej krzesła, kobieta więc stała przed nią, podczas gdy królowa zajęła miejsce za biurkiem.

– Wasza wysokość – solarytka skłoniła się. – Przyszłam by przeprosić za moje zachowanie podczas audiencji. Dostrzegam teraz, że mogłam zabrzmieć impertynencko i wyniośle, gdy wyraziłam opinię na temat spraw, o których nie mam pojęcia. Dzisiejsze wydarzenia boleśnie uświadomiły mi o moim błędzie.

Raina poczuła chwilową panikę. Kostelic zbiła ją z pantałyku tak dziwną i niespodziewaną deklaracją. Idąc do gabinetu przygotowywała się na trzymanie gniewu na wodzy, chłodną kalkulację, a nawet gniew. Ukorzenie się solarytki nakazało jej szybko doszukać się podstęp.

– Chce mi pani powiedzieć, że jako przywódczyni solarytów wycofuje się pani z nienawiści do osób magicznych? – zapytała Raina, ostrożnie dobierając słowa.

– Nigdy nie darzyłam nikogo nienawiścią – sprecyzowała Elida. – Nasza wiara skupia się na dawaniu i otwieraniu oczu. Robimy to, kiedy dostajemy przyzwolenie. Dopuszczamy do siebie myśl, że nie każdy jest gotowy, by nam zaufać. Czekamy na odpowiedni moment, bez żywienia urazy i wykluczenia.

– A co, jeśli niektórzy nigdy nie będą gotowi i chętni do poznania waszych nauk? – zaciekała się Raina, opierając dłonie płasko na blacie. Słowa Kostelic brzmiały pięknie i logicznie. Jasno sugerowały dobre intencje. Te jednak bardzo szybko mogły zmieniać się w groźby, jeśli natrafiłyby na niepodatny na manipulację grunt.

– Na każdego przychodzi czas, wasza wysokość – rzekła uprzejmie. – Niekiedy gotowi są zobaczyć świat w pełni, nie zdając

sobie z tego nawet sprawy. Wielu dostrzega go już od dawna. Właśnie to sobie uświadomiłam dziś w sali tronowej. Nasze wierzenia nie są w gruncie rzeczy zbyt odległe.

Do czego dążysz? Czym próbujesz mnie omamić?, zastanawiała się Raina. Powtarzała sobie w głowie te pytania, starając się zrozumieć, z czym ma do czynienia.

– Wasza wysokość zdaje się być zagubiona – zauważyła Kostelic. Przechyliła lekko głowę, przez co wyglądała jak drapieźnik analizujący swoje siły w starciu ze zwierzyną. Rainie nie podobało się spojrzenie, jakim ją obdarzyła.

– Zastanawiam się, w jakiego rodzaju grę zostałam wciągnięta. Przyjechaliście do mojego kraju z sobie tylko znaną misją. Dostaliście ode mnie pewnego rodzaju swobodę, w ramach kredytu zaufania, który bardzo szybko został nadużyty. Teraz rozmawiamy w zupełnie innym tonie niż w trakcie audiencji – zauważyła Raina, starając się wyraźnie dać Kostelic do zrozumienia, że więcej jest w niej podejrzliwości niż zaufania. Chciała, by solarytka wiedziała, że nie udało jej się uśpić jej czujności.

– Nie jestem zbyt dobra w ukrywaniu swoich intencji i tworzeniu zamieszania. W życiu kieruję się uczuciami, tym, co podpowiada mi światło i otaczający mnie świat – wyjaśniła Kostelic, splatając dłonie przed sobą. – Widząc zagubienie waszej wysokości w trakcie audiencji oraz zamieszanie towarzyszące ludowi po egzekucji, poniosła mnie fala niepewności. Zagubiona w tym wszystkim odruchowo pragnęłam odrzucić nowe, obce mi wartości. Wiem, że podobne odczucia towarzyszyły waszej wysokości, kiedy to ja przedstawiłam swoje poglądy. Mimo to zostałam przez waszą wysokość zaakceptowana, a nie zaatakowana. Teraz dostrzegam, jak niesprawiedliwie się zachowałam.

– A czy nie jest tak, że moje smoki budzą w solarytach strach i chęć przypodobania się Koronie? – zapytała ostro Raina. Używała argumentów Grattza. Od zawiązania z nim sojuszu bardzo długo myślała o tym, jak wielka władza dostała się w jej ręce. Rzeczywiście mogła zostać uznana za niepokonaną. Wraz z tym jednak musiała zaczął wystrzegać się pochlebców i ludzi zdjętych strachem. Ci pierwsi mogli chcieć ją wykorzystać, drudzy zaś zepchnąć na samo dno.

– Budzą podziw i szacunek, wasza wysokość – stwierdziła Kostelic. – Nie zabiegamy o specjalne traktowanie ani o pozycję przewyższającą nasz dotychczasowy stan. Zadowala nas wolność wyznawania naszej wiary i bezpieczeństwo w twoim kraju. Wiem, że wasza wysokość wierzy w te idee całym sercem. Dzisiejsze wydarzenia były tego doskonałym przykładem.

– Moi towarzysze dokonali dziś niemożliwego za pomocą magii, panno Kostelic. – Raina włożyła w te słowa całą pewność, na jaką było ją stać. Chciała, by Elida zdała sobie sprawę, jak silna jest jej opinia w kwestii wspierania magicznych istot. Nie była gotowa na żadne ustępstwa ani na odebranie jeźdźcom ich zasług. – Ogłoszone zostało wszem wobec, że wspieram siły sprzeczne z waszą wiarą. Przywróciłam własną siostrę do życia, nie zważając na konsekwencje, bo tak silnie wierzę w smoki i energię płynącą pomiędzy nimi i nami. Nie jestem biegłą w waszych naukach, lecz śmiem zakładać, że stoją one w kontrze do moich przekonań.

Kostelic słuchała jej z kamienną twarzą, jednak gdy Raina skończyła mówić, jej twarz rozjaśniła się podekscytowaniem.

– Absolutnie tak nie jest, wasza wysokość – zapewniła. – Wszystko, co nas otacza, sprowadza się do jednego. Choć pochodzimy z różnych miejsc i mówimy różnymi językami, otaczający nas świat stanowi jedność. Podczas gdy ja wierzę w moc światła, jasność, którą na nas przelewa, wasza wysokość wierzy w moc ognia, również dającego życie. Ciemność jest pełna strachu i niebezpieczeństw. Łatwo się w niej zatracić, zgubić drogę. A przecież każdy z nas potrzebuje czegoś, co rozproszy mrok. My już to mamy – powiedziała z mocą. – Po prostu używamy innych słów, by obwieścić to światu.

– Ogień dający życie? – zdziwiła się Raina. – Wielu uznałoby go za siłę niszczycielską.

– Ogrzewa nasze domy, wskazuje drogę, gdy zapali się go na szczycie latarni, bez niego nie da się przygotować solidnego posiłku ani przetrwać nocy. Czczenie blasku ognia jest tak samo ważne jak docenianie słońca. W końcu... – zawahała się na chwilę i wzruszyła ramionami. – To właśnie płomienie odeгнаły smutek waszej wysokości, ich obecność sprowadziła waszą siostrę do domu. Jestem wielce rada, że udało się tego dokonać. Sama wielokrotnie

poświęcałam jej swoje modły, prosząc światło o prowadzenie jej i ochronę. Dziś śmiem dziękować, że moje intencje połączone z odwagą waszej wysokości zostały wysłuchane.

Zanim Raina zdążyła otworzyć usta, Kostelic ukloniła się i sięgnęła po leżącą na blacie księgę, którą podarowała jej przy pierwszym spotkaniu. Raina dotychczas nie miała czasu ani ochoty zagłębiać się w jej treść. Okładka skrzywnęła ciężko, gdy kobieta otworzyła wolumin, i zaczęła szybko przewracać strony. Kiedy znalazła to, czego szukała, położyła książkę z powrotem na blacie.

– Nie chciałabym zostać źle zrozumiana, sama myśl o odbieraniu zasług jeźdźcom i waszej wysokości napawa mnie obrzydzeniem, dlatego pozwolę, by słowa pozbawione twarzy i głosu same o sobie stanowiły. – Wskazała dłonią na tekst rozpostarty przed Rainą.

– Sytuacja wymaga ode mnie, bym zajęła się moją siostrą. Będę dzielić czas na rządzenie i towarzyszenie jej w trakcie powrotu do zdrowia, zatem obawiam się, że sprawy solaryckie muszą poczekać – rzuciła gwałtownie Raina i wstała energicznie z krzesła.

Towarzyszyło jej dziwne uczucie pokonania. Nie wiedzieć czemu, rozmowa z Kostelic doprowadzała ją do stanu zagubienia, utraty pewności. Brakowało jej umiejętności, dzięki którym mogłaby ścierać się z nią tak, jak robili to Bash i lord Lashan. Zaczęła żałować, że żaden z nich nie był w tej chwili obok niej.

– Proszę zatem wybaczyć – zmartwiła się Kostelic i odsunęła się od biurka. – Nie sądziłam, że stan księżniczki jest poważny.

– Nie wszystkie krzywdy da się naprawić wiarą w światło czy w ogień – stwierdziła Raina i nerwowo wygładziła poły sukienki. Całą sobą starała się dać Kostelic do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca.

– Nie należy tracić wiary, wasza wysokość. – Kobieta sięgnęła do kieszeni, po czym wyciągnęła w kierunku Rainy złote kółko zawieszone na długim, ciężkim łańcuszku. – Jeśli mogę... – zawahała się, widząc brak reakcji. – Proszę przekazać księżniczce ten amulet. Pomoże jej odzyskać siły.

Raina długo walczyła ze sobą, jednak Kostelic wyraźnie nie miała zamiaru odpuścić. Nie peszyła jej też przeciągająca się cisza, przyprawiająca Rainę o mrowienie na karku. W końcu przyjęła podarunek i skinieniem głowy dała Kostelic znać, że rozmowa się

zakończyła. Po wyjściu solarytki jeszcze przez jakiś czas obracała w palcach wisiorek. Był dużo cięższy, niż wskazywałyby na to jego wygląd. Momentami miała wrażenie, że rozgrzewa się pod wpływem jej dotyku, a powierzchnia naznaczona jest nienaturalnymi refleksami światła.



Czas zdawał się pogrywać z nią do tego stopnia, że przestała zwracać na niego uwagę. W wyrazie niemego buntu pozwalała, by dni przelatywały jej przez palce, upływały według tego samego schematu i zmieniały się w niewyraźną plamę wspomnień.

Miała sporo pracy, głównie z powodu uporu Basha, który każdy wieczór i noc spędzał przy łóżku Rose. Podczas gdy on w ciągu dnia zniknął na kilka godzin, by oporządzić się, zasnąć oraz przygotować listy i dokumenty potrzebne Rainie, ona zajmowała jego miejsce. Stan Rose nie zmieniał się, nakazała więc wstawić biurko do jej komnat, żeby mogła pracować i jednocześnie być tuż obok niej.

Widywała swojego sekretarza, te same służące przynoszące posiłki oraz medyków i jeźdźców. Sebastian stał się dla niej czymś w rodzaju widma – słyszała, że przychodzi do Rose zaraz po zapadnięciu zmroku, a kiedy wstawał dzień, mijali się przy jej łóżku, Obserwowała, jak ostatkiem sił zmuszał się, by udać się do swoich komnat. Początkowo była zła, bo obsesja na punkcie pilnowania Rose odsuwała na bok sprawy korony. Czuła się przez niego porzucona, pozostawiona na pastwę losu. Szybko zorientowała się, że znajdują się w sytuacji patowej – żadne z nich nie mogło realnie pomóc jej siostrze, ani jeden ze sposobów znanych medykom nie potrafił wyrwać jej ze stanu nieprzytomności. Oddychała, żyła i jednocześnie coraz bardziej marniała, a wraz z nią znikwały siły i nadzieja wszystkich dookoła.

Pierwsze dni po wykonaniu rytuału były najtrudniejsze. Vas i Veer wyraźnie zapadli się w sobie, potrzebowali odpoczynku i pomocy w doglądaniu smoków. Raina w końcu przemogła się, by zejść z nimi na plażę, gdzie przez wiele godzin siedzieli pośród łusek oraz ognia,

szukając wzajemnego pocieszenia. Tęsknota Lhery przytłoczyła ją niczym fala podczas sztormu. Poczowała winę i jeszcze większy ból. Próbując odzyskać siostrę, otała się o utratę swojej bratniej duszy, a także pośrednio naraziła braci na to samo.

Raina widziała, jak bardzo martwi ich niepewność związana z Rose. Impas trwał na tyle długo, by nawet Grattzo zaczął wspominać o przygotowaniu się na porażkę. Lekarze dodawali wszystkim zmartwień, gdy przestali komentować stan jej obrażeń. Niewiele z nich goiło się prawidłowo, rana zadana włócznią pozostawała ciepła, pulsowała krwią, a opatrunki cały czas wymagały częstego zmieniania.

Wszystko to sprawiało, że Raina powoli traciła zmysły. Wielokrotnie czytała te same akapity listów, kilkanaście razy poprawiała wyliczenia i często zapominała dopiero co usłyszane słowa. James praktycznie codziennie przychodził do jej komnat i starał się różnymi sposobami podnosić ją na duchu. Jego obecność stała się centralnym punktem, na którym skupiała się, gdy gubiła rytm. Dzięki niemu nie zostawała sama na wiele godzin. Ściany pokoju przestawały na nią napierać, gdy otaczały ją jego ramiona. Kiedy zmuszała się, by nie myśleć o konsekwencjach, ich relacja była bardzo prosta.

Z czasem jednak pojawiły się kolejne komplikacje, szczególnie kiedy nadszedł list od królowej matki, Talii Rodaagov.

– Napisała, po co przyjeżdża? – zapytał zaniepokojony James, gdy dostrzegł zdenerwowanie Rainy.

Odwróciła w jego stronę sztywny kawałek papieru, na którym zgrabnym pismem nakreślono zaledwie kilka zdań. Królowa matka nie należała do osób wylewnych, dlatego też lakoniczność listu nie wywarła na Rainie żadnego wrażenia. Chodziło raczej o sam fakt jej powrotu.

– Obawiam się, że przyjeżdża po nic. Tak po prostu – skwitowała.
– Nie zajmie się przecież rządzeniem, nie zasiądzie w Radzie. Nie będzie brała udziału w żadnych uroczystościach. Wraca do swojego starego trybu życia, jakby całe zamieszanie jej nie dotyczyło.

– Może da się przekonać do zrobienia czegokolwiek – zasugerował ostrożnie James. – Jeśli nie w kwestii polityki, to może chociaż Rose.

Oboje spojrzeli na ciągle nieprzytomną księżniczkę, jakby liczyli, że przywołanie jej imienia wyrwie ją ze snu.

– To by pomogło. Może wtedy Bash odpuściłby na tyle, by zająć się swoją pracą.

Wewnętrzna walka pomiędzy współczuciem i zrozumieniem dla przyjaciela zaczęła tak obciążać Rainę, że traktowała już teraz Basha jak niesubordynowanego poddanego. Choć miała część niej chciała dać mu jeszcze trochę czasu na przetrwanie ostatnich wydarzeń, tak w większości przypadków brak reakcji Sebastiana na jej prośby i potrzeby doprowadzał ją na skraj wytrzymałości.

– Bardzo chciałbym ci pomóc – wyznał James, sięgając do jej dłoni. – Nie w sprawach Korony, bo na tym się nie znam, ale w czymkolwiek innym.

Obdarzyła go smutnym uśmiechem.

– Wystarczy, że jesteś.

– Pytanie tylko brzmi: czy nadal jest to dla ciebie bezpieczne? – zapytał i uściśnął delikatnie jej palce. – Z królową matką tuż za ścianą.

Spodziewała się, że prędzej czy później dojdzie do tej rozmowy, niekoniecznie nawet za sprawą Talii Rodaagov. Wyczuwała, że towarzystwo Jamesa staje się coraz większym brzemieniem, zarówno dla niej – królowej u progu swojego panowania, którą zniszczyć może każda zawistna plotka – jak i dla łowcy, niezaznajomionego z dworskimi zwyczajami. Podejrzewała, że pewnego dnia ktoś rozpowie nieodpowiednim osobom o późnonocnych wizytach Jamesa w królewskim skrzydle, szepnie kilka słów nieprzychylnym członkom Rady albo po prostu zasieje ziarno niepewności wśród ludu. Inną obawę stanowiła troska o samego Jamesa. Nie miała serca przywiązać go do siebie na zawsze, zawieszono go w próżni pomiędzy byciem z nią choć trochę a niebyciem z nią wcale.

– Nie – przyznała z żalem.

– Chyba oboje byliśmy świadomi, że to...

Zaczęła kiwać głową, jeszcze zanim zabrakło mu słów.

– Ten czas był skradziony.

– Bez poczucia winy – dodał, uśmiechając się.

– Co zrobisz? – zapytała, zanim smutek przepelnił ją na tyle, by spróbowała go zatrzymać.

– Chyba najlepiej będzie, jeśli zrobię to, co od początku było moją misją. Odnajdę zabójcę królewskiej córki.

Rozdział 25

ANTOINETTE

Powrót do apartamentu, w którym mieszkała zaledwie przez kilka dni, przyniósł Antoinette ulgę. W drodze do pokojów nie awanturowała się ani nie szarpała, choć miała za sobą dwójkę wartowników. Bez słowa pokonała schody i korytarz, a potem znów była u siebie. Jej pozytywka wciąż stała na szafce przy łóżku, szczotka leżała na toaletce. Jedyną zmianą był świeży komplet pościeli i czarne suknie, które nagle pojawiły się w szafie. Najwidoczniej królewski krawiec, mimo zamieszania na dworze, wykonał swoją pracę w ekspresowym tempie.

– Co dalej? – spytała samą siebie Antoinette, a jej głos poniósł się echem po apartamencie.

Niewiele myśląc, sięgnęła po dzwoneczek i potrząsnęła nim. Jedna rzecz nigdy się nie zmienia – po Gnieździe plotki rozchodzą się błyskawicznie. Yrsa niemal ją przewróciła, gdy wpadła do pokoju z wyciągniętymi ku Antoinette ramionami.

– Bałam się, że coś ci zrobił – wymamrotała, przyciskając usta do policzka przyjaciółki.

– Wszystko w porządku – szepnęła Antoinette. – Gdzie z reguły jeżdżą znudzone arystokratki w wolnym czasie?

Yrsa odsunęła się od niej na krok i zdziwiona powiodła wzrokiem po jej twarzy.

- No nie wiem... Do herbaciarni? – Bardziej zapytała, niż stwierdziła.
- Jedźmy zatem na herbatę.



Nikt jej nie powstrzymywał przed wyjściem z pałacu. Gwardziści poruszali się za Antoinette jak cień, ale do tego zdążyła już przywyknąć. Z zaskoczeniem spostrzegła, że obaj zajęli miejsce z tyłu powozu, a nie w środku. Zdziwiła ją raczej obecność kolejnej dwójki konnych żołnierzy, którzy ewidentnie szykowali się na eskortowanie jej niczym jakiegoś cennego bagażu. Jeśli wcześniej była pod obserwacją, teraz ludzie Valianta nie spuszczały z niej wzroku. Celowo nie patrzyła w okna pałacu i nie wypatrywała sylwetek członków służby, którym zapłacono monetę więcej, by donosili o każdym jej kroku.

Z jakiegoś powodu spodziewała się, że w ostatniej chwili ktoś wybiegnie na dziedziniec i zakaze jej gdziekolwiek jechać. Nic takiego się na szczęście nie stało, a ona musiała za wszelką cenę opuścić mury Gniazda.

Antoinette nie mogła opowiedzieć Yrsie wszystkiego, co wydarzyło się w wieży, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Obawiała się, że ścianki powozu są zbyt cienkie. Paplały głośno o pięknej pogodzie i o kwiatach kwitnących w doniczkach zwisających z miejskich tarasów. Po jakimś czasie nachyliły się jednak do siebie i zaczęły szeptać.

– Po balu Valiant zostawił Ingvild samą z tą całą awanturą. Działo się tyle, że każdy, kto tam był, pamięta co innego – powiedziała Yrsa po tym, jak odetchnęła głęboko, gdy usłyszała finał historii Antoinette. – Odpłaciła się Valiantowi w taki sposób, że pojechała do Gallawethu bez niego.

– Do Gallawethu? Po co?

– Jej siostra się żeni. Ingvild miała powiedzieć jego wysokości, że skoro namiestnik jest wciąż nieobecny, ona uda się do Kuvijaty

sama. Wzięła ze sobą tylko dwie ze swych dam dworu. Spodziewają się jej powrotu dopiero za miesiąc.

– Nie wiem, czy jej nieobecność jest czymś, z czego powinnam się cieszyć, czy odwrotnie.

– Długo się kłócili. Jeśli chcesz znać moje zdanie, jej wysokość chciała, by wypuścić cię wcześniej – powiedziała twardo Yrsa.

Z jakiegoś powodu ta myśl wcale jej nie uspokoiła. Zaciśnęła usta i odwróciła twarz w stronę okna. Chciała się cieszyć swoim małym zwycięstwem. Wyszła z wieży. Nawet jeśli Ingvild nie zgadzała się na jej zamknięcie, nie mogła jej w żaden sposób pomóc, skoro wyjechała. Antoinette zdawała sobie sprawę, że to dopiero jedna z wielu potyczek, które będzie musiała stoczyć, lecz nie chciała zanadto wybiegać w przyszłość. Wykorzysta wszystko, co Valiant zechce jej zaproponować. Będzie słuchać i zadawać pytania. Na razie cieszyła się tym, że może wystawić twarz do słońca. Stęskniła się za ciepłem i powietrzem swobodnie owiewającym jej twarz.

Po tym, jak powóz zjechał z głównej ulicy, Antoinette zaczęła się uważniej rozglądać. Tej części Flugstadt nie знаła. Przestrzeni między budynkami było tu o wiele mniej, przez co zdawało się, że szczyty kamienic nachylają się ku sobie. Gdzieniegdzie przebiegały szczury, o wiele większe od tych, które widziała w pałacowych piwnicach. Tu ubóstwo było bardziej widoczne. W bramach bawiły się dzieci w za krótkich ubraniach. Na krawężnikach siedzieli pozbawieni zajęcia ludzie. Antoinette podchwyciła kilka apatycznych spojrzeń, aż w końcu odwróciła wzrok.

Wystarczyło przejechać jednak dwie ulice dalej i krajobraz całkowicie się zmienił. W okolicy panowała cisza, nie było słychać okrzyków dostawców ani stukotu kopyt koni ciągnących wozy. Ludzie spacerowali tu leniwym krokiem, kilka kobiet zasłaniało się parasolkami przed prażącym słońcem. Wszystko wskazywało na to, że wjechali do dzielnicy zajmowanej przez bogatych mieszczan.

Herbaciarnia znajdowała się w południowej części Flugstadt i zajmowała dwa piętra w jednej z kamienic, która mogła przyciągać kiedyś spojrzenia – fasada ozdobiona była kolumnkami i płaskorzeźbami przypominającymi Antoinette budynki w centrum Nijestadt. Większość była jednak pokruszona, wiele elementów

odpadło lub zniszczyło się z biegiem lat i najwyraźniej nikt nie planował naprawy.

Jej wejście wywołało poruszenie, choć ciężko było do końca określić, czy chodziło o nią, czy o gwardzistów. Oczy kilkorga gości zasiadających przy okrągłych drewnianych stolikach od razu powędrowały w ich stronę. Antoinette miała świadomość, że prawdopodobnie wie o niej już każdy mieszkaniec Flugstadt. Tłum pod bramami Gniazda nie wziął się przecież znikąd. Wszystkie rozmowy ucichły, żaden z gości nie ważył się nawet ruszyć, toteż Antoinette postanowiła odrzucić woal do tyłu, by odstłonić twarz. Dwóch mężczyzn siedzących pod ścianą skłoniło głowy, po czym w ich ślad poszła młoda dziewczyna, zajmująca miejsce tuż obok.

Niezważająca na nic Yrsa od razu udała się na koniec sali, gdzie zagadnęła kobietę ubraną w bladoróżową koszulę i fartuch, najwyraźniej pracownicę albo właścicielkę herbaciarni. Po chwili Antoinette już wspinała się po schodach na górę, by dotrzeć na szeroki taras, z którego roztaczał się widok na południową dzielnicę Flugstadt.

– Czy odpowiada pani to miejsce? – Pracownica wbijała wzrok w podłogę, jak gdyby bała się spojrzeć choćby na rąbek sukni Kruczej Wiedźmy.

– Oczywiście – potwierdziła Antoinette i podziękowała kobiecie.

Zgodnie z zasadami obowiązującymi pałacową służbę, Yrsa stanęła pod ścianą, gotowa pomóc swojej pani. Problemem okazał się jeden ze strażników, który zajął miejsce po drugiej stronie wejścia. W takich warunkach nie było mowy o jakiegokolwiek prywatnej rozmowie.

Antoinette poprosiła Yrsę o zamówienie jednej z herbat, a gdy przyjaciółka wróciła na dół, zaczęła się gorączkowo zastanawiać, czy pilnuje jej ten sam mężczyzna, który pełnił wartę w wieży. Pamiętała tylko jednego – tego, którego zaatakowała. Tamten był jednak starszy. Czy czekał na dole, pilnując jej powozu? Dlaczego nie zwróciła na to wcześniej uwagi?

Z całych sił starała się wymyślić dobrą wymówkę, by gwardzista zszedł na dół albo chociaż wszedł do środka, lecz na próżno. Gdy Yrsa wróciła z tacą, Antoinette posłała jej niezadowolone spojrzenie. Dziewczyna wykrzywiła wargi, rozkładając przed nią serwis.

A wtedy Antoinette zamarła, wyczuwając czyjeś źródło. Ktoś nowy pojawił się w budynku, ktoś, kogo Los obdarzył szcudrzej niż dotychczasowych gości.

– Nette? – Yrsa dostrzegła napięcie, które dopadło Antoinette, i zajrzała do herbaciarni. – Nikogo nie widzę.

– Ale ja czuję.

Wtem ramiona Yrsy opadły i to był dla Antoinette sygnał, by obrócić głowę.

Był sam. Poruszał się z gracją tancerza, twarz miał bladą, a włosy tak jasne, że niemal się z nią zlewały. Antoinette nie spodziewała się tak szybkiego spotkania z księciem Delbaticchem, a na pewno nie tutaj. Była przekonana, że opuścił Gniazdo po balu, może nawet wyruszył wraz z Ingvild z powrotem do Kuvijaty. Z jakiegoś powodu jednak został. I zmierzał wprost na jej taras.

– Jeśli to będzie wyglądało tak cały czas, nie będę z tobą nigdzie wychodziła – syknęła cicho Yrsa. – Czy naprawdę będziesz za każdym razem nagabywana przez arystokratów, którzy potencjalnie czegoś od ciebie chcą?

– Wolalabyś spotkać się z księżną Corvus?

Yrsa skrzywiła się.

– Losie, uchwaj.

– Myślałam, że wyjechał – rzuciła cicho Antoinette.

– Bo większość wyniosła się z Gniazda najpóźniej kilka dni po balu – szepnęła Yrsa. – Ale jego wysokość chce mieć księcia przy sobie.

Gdy Delbatic stanął w drzwiach tarasu, napotkał spojrzenie gwardzisty, który już był gotowy go odesłać. Niespodziewanie jego wzrok złagodniał, a dłoń arystokraty wylądowała na jego ramieniu.

– Doprawdy kopę lat – odezwał się książę.

– Salutuję jego wysokości.

Wciąż lekko zdezorientowana Antoinette obserwowała, jak syn księżnej Delbatic kłania się jej w pas i przedstawia głosem gładkim jak aksamit. Zanim zdążyła się obejrzeć, odsunął sobie krzesło i dosiadł się do stolika.

– Oto jest jedna z niewielu zalet bycia kapitanem tesaryckiej armii.

Niespodziewanie gwardzista, z którym chwilę temu się witał, opuścił balkon i zamknął za sobą drzwi.

Antoinette musiała się mocno postarać, by nie otworzyć szeroko ust.

– Jestem tu, żeby wyprowadzić panią z pałacu – oświadczył wprost księżę po chwili niezręcznej ciszy.

Otworzyła szerzej oczy.

– Słucham?

Księżę zarzucił swobodnie nogę na nogę, po czym uśmiechnął się.

Gdy patrzyła na niego z tak bliska, cała jego twarz zdawała się niemal pozbawiona koloru, co podkreślały dodatkowo jasne brwi i szare oczy.

– Nastąpiła... pewna pomyłka. I jestem tu, by pomóc naprawić popełniony błąd.

Księżę zerknął na Yrse, a Antoinette kiwnęła głową, mając nadzieję, że odczyta jej sygnał. Mógł mówić przy niej swobodnie.

– Musi być pani jednak cierpliwa, życie na dworze wymaga poświęceń – rzucił po chwili trochę głośniejszym głosem, po czym spojrzał na nią wymownie. – Było mi żal, że nie udało nam się porozmawiać w trakcie balu, ale niespodziewanie dość szybko się skończył.

Kłamca, syknął jeden z głosów.

– Niespodziewanie? – zagadnęła Antoinette, a księżę zaśmiał się, jakby właśnie powiedziała coś zabawnego.

– Szkoda, że jej wysokość tak szybko opuściła pałac. Liczyłem, że spędzimy razem trochę czasu.

Głosy ponownie syknęły. *O co mu chodzi?*, zastanawiała się Antoinette. Nie kłamał, mówiąc, że ma ją wyprowadzić z pałacu, bo głosy nawet się nie zająknęły. Czy to Fiyonn polecił mu odbicie jej z rąk Valianta? Z pewnością wiedział więc, że Antoinette dysponuje tą samą magią, co jego kuzyn. Czyżby ją sprawdzał?

Zanim zdążyła się odezwać, powiódł wzrokiem po ulicy. Nie była zatłoczona, jednak od czasu do czasu przed herbaciarnią ktoś się zatrzymywał i spoglądał do góry, jak gdyby wieść o tym, że Krucza Wiedźma wybrała się na popołudniową herbatę, obiegnęła już całe Flugstadt.

– Jakie ma pan teraz plany na najbliższe dni? Zostaje pan w stolicy? – spytała, siłąc się na swobodny ton. Nie była pewna, w co on gra, ani jak otwarcie może mówić. Podejrzewała jednak, że co

sprawniejsze ucho może być w stanie wyłapać jej słowa. Na piętrze przy stolikach siedziało kilka osób. Nie byli tu całkowicie sami.

– Na razie tak. Moja obecność w Kuvijacie... – Książę znów na nią spojrzał, jakby miał nadzieję, że z jego oczu wyczyta więcej niż ze słów. – Chwilowo tam nie wracam.

Po chwili na taras wszedł młody chłopiec z tacą bliźniaczo podobną do tej, którą przyniosła Yrsa.

– Już sądziłem, że zgubiłeś drogę – wytknął mu książę, na co chłopak poczerwieniał na twarzy.

– Przepraszam, jaśnie panie.

Kieran machnął dłonią, po czym sam zabrał się za nalewanie herbaty. Na jego tacy znajdowało się również kilka kolorowych miseczek z konfiturami i biszkoptami.

– Moje wrodzone poczucie sarkazmu podpowiada, bym powiedział, że kompletnie nie spodziewałem się, że uda nam się dziś spotkać, lecz byłoby to kłamstwo – powiedział.

– Śledził mnie pan?

– Nalegam, byśmy mówili sobie po imieniu. – Teatralnym gestem położył sobie dłoń na piersi i skłonił powoli głowę. – Kieran.

– Antoinette – odparła i pociągnęła łyk herbaty. Jej słodki, owocowy smak sprawił, że prawie się uśmiechnęła.

– Wracając do twojego pytania – całkiem lubię herbatę, którą tu podają. Ponadto widoki są ładne. – Uśmiechnął się. – Myślę, że możemy mówić dość swobodnie. Póki nie będziesz krzyczeć, wszystko będzie w porządku.

Antoinette miała wiele pytań.

– Czy Fiyonn dotarł na wybrzeże?

– Prawdopodobnie. Nie mam stuprocentowej gwarancji.

– Czy to on kazał ci mnie wyciągnąć z Gniazda?

– Nie pamiętam dokładnie sformułowania, którego użył, ale raczej chodziło mu o skontrolowanie sytuacji.

A więc naprawdę współpracują, Antoinette odetchnęła w duchu. Książę mógł być jej jedynym prawdziwym sojusznikiem.

Serce w piersi biło jej szybko. Nie była pewna, jak wiele mieli czasu.

– Ludzie we Flugstadt już o mnie wiedzą – stwierdziła powoli.

– I nie tylko we Flugstadt. Wieści dość sprawnie się rozchodzą. – Uniósł filiżankę do ust i kiwnął głową, jak gdyby chciał dodać: *Tak, to ja sprawnie roznoszę wieści.* – Często się biskoptami, są naprawdę smaczne.

Antoinette bezwiednie sięgnęła po ciastko.

– Reszta moich gwardzistów pozostała na dole. Z pewnością cię widzieli.

– Och, na pewno. Nawet mi zasalutowali.

Książę nie wyglądał na przejętego.

– O ile wiem, Valiant ma nas oboje na oku. Czy warto było ryzykować spotkanie ze mną?

Westchnął głęboko, po czym zerknął do środka herbaciarni. Gdy się uśmiechnął, Antoinette powiodła wzrokiem w kierunku, w którym patrzył. Jakaś młodzianka arystokratka chowała właśnie twarz za wachlarzem.

– Mieszkałaś w pałacu, więc z pewnością zauważyłaś, że na dworze wszystko dzieje się szybko. Wiele osób będzie się doszukiwało podtekstu we wszystkim, co będziesz mówić, mimo że pętają cię przecież okowy magii kłamstw. Co więcej, będą szukać tam, gdzie nie trzeba. Są nauczeni, by przyglądać się cieniom i wszystkiemu, co już na pierwszy rzut oka wydaje się niejasne. Przez to nikt niemal nie zwraca uwagi na to, co jest na powierzchni.

Patrzyła na jego bladą twarz i starała się go zrozumieć, lecz na próżno.

– Nie było mnie w Gnieździe od samego rana. Nie widziałem tłumów pod bramą. Nie miałem również pojęcia, że tu przybędziesz. Los zetknął nas czystym przypadkiem.

Książę zamoczył biskopt w śliwkowej konfiturze i odgryzł kawałek, przymykając oczy.

– Valiant w to nie uwierzy.

– Nie uwierzy również w to, że byłbym tak głupi, by porozmawiać z tobą otwarcie w publicznym miejscu. Czyż nie?



Antoinette bardzo starała się nie iść zbyt szybko, gdy wracała do pokoju. Za zamkniętymi drzwiami apartamentu zaczęła krążyć po saloniku, a Yrsa wodziła za nią tylko spojrzeniem.

– Podejrzewam, że chciał pomóc mi w ucieczce jeszcze przed balem, ale się nie udało. Z jakiegoś powodu wspomniał też o Ingvild, prawdopodobnie chcąc mi dać znać, że nie ma jej w pałacu – zastanawiała się Antoinette na głos. – Nie mógł wiedzieć, że już mi o tym powiedziałaś.

– Musi mieć szpiega wśród służby – zauważyła przytomnie pokojowa.

Antoinette pokiwała żywo głową. Kciukiem i palcem wskazującym zaczęła skubać dolną wargę.

– Chce działać na widoku, tak, żeby Valiant mnie widział. To wzbudza mniejsze podejrzenia, bo sugeruje, że nie mam nic do ukrycia.

– Albo że nie masz pojęcia, jak rozgrywać dworskie gry.

– Tak, ale jeśli wezmą mnie za naiwną, nie będą mnie uważali za zagrożenie. To uspi ich czujność. – Westchnęła, po czym opadła na krzesło koło Yrsy. – Biorąc jednak pod uwagę, że zaatakowałam magią gwardzistę w wieży, nie ma mowy o tym, że spuszczą mnie z oka.

Yrsa chwyciła Antoinette za rękę, zmuszając przyjaciółkę, by na nią spojrzała.

– Pytanie brzmi, czy mu ufasz.

Antoinette uśmiechnęła się.

– Absolutnie nie.

Rozdział 26

FIYONN

Do tej pory noce spędzane w domu nad klifem były dla Fiyonna jak chłodny kompres przyłożony do rozgrzanego czoła. Zasypiał z łatwością i nie zrywał się z łóżka. W końcu mógł odpocząć, choć jego trzecie oko było niezmiennie szeroko otwarte. Dar, który otrzymał od Losu, był jak dodatkowy zmysł, dzięki któremu mógł z łatwością wyczuć czyjąś obecność. Widział, czuł i słyszał więcej. Przyzwyczajony do takiego stanu rzeczy, nie potrafił choćby na chwilę z niego zrezygnować, tym samym skazywał się na niezwykle płytki sen. Tu, w Klipetaighu, czuł, że w końcu prawdziwie śpi. Do czasu, aż zaczął myśleć o bramach, petramich i sekretach, które miał jeszcze do odkrycia.

Nie okłamał Herberta, twierdząc, że znalazł sposób na nawiązanie kontaktu z południem. Powiedział jednak coś, co znajdowało się na granicy prawdy i kłamstwa. Wierzył, co prawda, w istnienie magii na południowej części kontynentu, bo nic nie wskazywało, że mogłoby być inaczej, ale nie miał przecież pewności.

Musiał za wszelką cenę dowiedzieć się, jak działał system tych przejść i czy jego interpretacja wzoru z gobelinu była prawidłowa. Edwina twierdziła, że jej matka i siostra były w stanie otwierać bramy, więc zapewne, gdyby dobrze poszukać, udałoby mu się znaleźć na ten temat jakiś tekst, spisany zapewne ręką Eilidith. O wiele prościej byłoby jednak dowiedzieć się czegoś na ten temat

od samych petramich, którzy bez wątpienia wiedzieli, jaką magią parają się ich pobratymcy z Gallawethu. Utrzymywali ze sobą bliski kontakt i nikt nigdy nie próbował trzymać tego w tajemnicy.

W każdej innej sytuacji poleciłby przygotowanie powozu i wyruszyłby natychmiast. To oznaczałoby jednak podanie się Valiantowi na tacy. Podróż pod Niję zajęłaby mu co najmniej dwa dni. Po drodze nie miał się jednak gdzie zatrzymać, skoro wszystkie domy wielkich rodów były obsadzone żołnierzami. Przez chwilę zastanawiał się, czy udałoby mu się w kruczej formie dolecieć za jednym zamachem do Domu Niji, ale potem przypomniał sobie nietypowe zmęczenie, które go ogarnęło po ostatniej zmianie. Nigdy nie przebył tak długiego dystansu na skrzydłach.

Dwa dni po rozmowie z Herbertem służąca, oddelegowana do pracy w jego rezydencji, ponownie wróciła z wiadomością do Klipetaighu. Tym razem był to krótki list od Herberta:

Siostra Clodgana dostąpi w tym miesiącu święceń. Kilkoro petramich wyrusza z tej okazji do kręgu na Wiedźmiej Skarpie. Nie znam dokładnej daty.

Nad ranem, tuż po przebudzeniu, Fiyonn chwycił kruki i kierował je w stronę Skarpy. Kręcił się w okolicy, wypatrując petramich albo patroli, po czym porzucał ptaki i wracał do siebie, czując pulsujący ból z tyłu głowy. Nie znał tego uczucia. Doświadczył wielu różnych rodzajów bólu, niektóre z nich łączyły się bezpośrednio z magią lub z jej brakiem, ale korzystanie z mocy od dawna nie sprawiało mu kłopotów objawiających się w taki sposób.

Próbował sięgać w przyszłość, by dostrzec jakiś szczegół, który pozwoliłby mu określić, kiedy petrami dotrą na wybrzeże, lecz obrazy rozpadały mu się w dłoniach niczym domki z kart. Musiał pogodzić się z tym, że na razie Los nie zamierzał mu więcej pomagać. *Dostaliśmy wiele znaków*, wyszeptał jeden z głosów, który zdawał się znajdować bardzo daleko. *Nie zasługujemy na więcej. Zostawiliśmy ją*. Fiyonn zacisnął powieki, starając się odegnąć głosy. One jednak nie brały się znikąd. Karmiły się jego wątpliwościami i żalem. Żyły dzięki niemu, tak jak on żył dzięki nim.

Jeśli zamknięcie wrót przyszłości było karą za porzucenie Antoinette, Fiyonn był gotów ponieść konsekwencje.

Dwukrotnie wybrał się w stronę klifu konno. Klacz, którą dla niego przygotowano, była przyzwyczajona do ciągnięcia powozu, więc niechętnie wzięła na swój grzbiet jeźdźca. Zwierzęta nie przepadały za obdarzonymi magią kłamstw i Fiyonn nie był wyjątkiem.

Na konne wycieczki zakładał ubrania znalezione w Klipetaighu. Wszystkie nakazał odświeżyć na tyle, na ile się dało, niektóre trzeba było mocno zwęzić, by nie spadały z niego na każdym kroku. Gdyby nie stado wron i kruków krążące nad jego głową, może nawet udałoby mu się wtopić w otoczenie. Na jego szczęście nie musiał się przejmować kamuflażem – nadmorskie drogi były właściwie puste. Kruczymi oczami widział tylko jeden patrol, który przybył rankiem na klif. Żołnierze pokręcili się po okolicy i pojechali, pozwalając swoim wierzchowcom na jazdę w spokojnym, niemal leniwym tempie.

Wiedźmą Skarpą nazywano najdalej wysunięty w morze fragment tesaryckiego lądu. Gdy patrzyło się w dół, nie widziało się plaży, a jedynie skały i kotłującą się wodę. Tylko kamienny krąg znajdujący się na samym środku zielonej polany sugerował, że było to miejsce szczególne. Przez lata odbywały się tu obchody najważniejszych świąt, w których brali udział członkowie rodu Corvidae, a czasem nawet reprezentanci rodziny królewskiej. Lata jednak mijały, charakter świąt się zmieniał, a krąg stał się jedynie symbolem czegoś, co kiedyś miało tu miejsce.

Powietrze wokół tego miejsca drżało od zgromadzonej energii, pozostałości po przeszłych wydarzeniach. Im bliżej kamieni się podchodziło, tym wyraźniejsza stawała się owa wibracja. Było to niegdyś miejsce kultu, a co za tym idzie – niezwykle intensywnie nasycony magią punkt na mapie Tesarythu. Żeby podejść bliżej, musiał zostawić klacz za sobą. Gdy tylko krąg pojawił się w zasięgu jego wzroku, zaczęła szarpać łbem i wyraźnie mu się opierać.

Nawet jednak w tym miejscu, gdzie sięgnięcie po magię powinno być łatwe i naturalne, schwytanie któregoś z ptaków przybyłych z Fiyonem okazało się wyzwaniem. Z trudem kierował wroną, by rozejrzeć się po okolicy, jednocześnie starając się zachować kontrolę nad otoczeniem. Stał mocno na nogach, powtarzając sobie

w myślach, że chwila rozproszenia może go wiele kosztować, musiał więc pozostać skupiony.

Gdy ptasimi oczami ujrzał czwórkę żołnierzy powracających na klif, wiedział, że jego czas tutaj się skończył.



Tego samego wieczoru przekopywał się przez archiwa Klipetaighu. Zmęczony i zirytowany własną biernością, z całych sił starał się nie rzucać księgami o podłogę. Pragnął odpuścić i iść spać, choć na chwilę zamknąć oczy, jednak natłok myśli mu na to nie pozwalał. Oparł czoło o jedną z półek i odetchnął głęboko. Ze zmęczenia trzęsły mu się ręce, a wzrok miał rozbiegany.

– Dlaczego twoja aura tak wygląda?

Głos Edwiny wyrwał go z zamyślenia. Stała w rogu pokoju i patrzyła prosto w sufit, jakby widziała tam coś, czego nikt inny nie dostrzegał.

– Widzisz aury?

Jak potężną mocą musiała być obdarzona, skoro posługiwała się darem, który nie kojarzył się wcale z zakresem umiejętności Kruczycy Wiedźm?

Edwina uśmiechnęła się nieśmiało.

– A ty nie?

Fiyonn pokręcił głową.

– Los poskąpił mi wielu darów. Najwidoczniej wszystkie wręczył tobie.

Dusza zachichotała, zakrywając usta dłonią i spuszczając wzrok. Przez długą chwilę w ogóle na niego nie patrzyła, jakby jego komplement zmienił ją nagle w nieśmiałą pannę.

– Czy widzisz w mojej aurze coś dziwnego? – zwrócił się do niej Fiyonn, mając nadzieję, że wcześniejsze pochlebstwo skłoni ją do odpowiedzi. – Jest popękana. Jak moja skóra, o tutaj.

Nie podeszła do niego. Zamiast tego nagle się przed nim pojawiła i wskazała na swoją szyję, pokrytą czarnymi smugami

przypominającymi rysy na porcelanie. Takie samo pęknięcie szpeciło twarz Ingvild.

– Nie powinna tak wyglądać, prawda? – spytał Fiyonn, choć doskonale znał odpowiedź.

– To dlatego, że jesteś samotny. – Głos Edwiny pęczniał od smutku. – Tatia też tęskniła za Olghą.

Olgha Corvus była tesarycką królową, ostatnią, która utrzymywała stały kontakt ze Zjednoczonym Królestwem. To za jej rządów starano się o zacieśnienie relacji między północą i południem.

Edwina powinna być jej bliźniaczką krwi. Nie dożyła jednak wręczenia jej Kruczego Oka.

– Ja... – Fiyonn pragnął zaprzeczyć, powiedzieć, że za nikim ani za niczym nie tęskni, ale szybko zrozumiał, że jego zawahanie wynikało z ograniczeń, które nałożyła na niego magia. Nie mógł przecież głosić nieprawdy. – Tęsknota niszczy aury?

Edwina ściągnęła brwi, jakby nie rozumiała do końca, o co ją pyta.

– Jesteście tvilieri – odparła, uznając to za odpowiedź, która miała mu wystarczyć.

Obróciła się płynnie na pięcie, zrobiła krok w stronę drzwi i rozplynęła się w powietrzu.



Leżał na sofie w salonie, a w kominku ogień płonął żywo i jasno przez całą noc. Fiyonn myślał o słowach Edwiny, o Antoinette znajdującej się wciąż w Gnieździe, a także o tym, że był arcyksięciem poszukiwanym listem gończym, dziedzicem magii kłamstw na wygnaniu. Wątpliwości oplatały go powoli niczym bluszcz. Co, jeśli Valiant przekonał Antoinette do zostania z nim? Co, jeśli niepotrzebnie starał się ją ściągnąć z powrotem? Czy petrami już byli w okolicy klifu, a on po prostu to przegapił i stracił swoją szansę na spotkanie z nimi?

Był o krok od porzucenia płaszcza ostrożności, miał dość własnej bierności i czekania, na które się skazał. Z całej siły zaciskał dłonie w pięści, by nie wyruszyć do Askvolen z poleceniem postawienia

oddziałów miasta w stan bojowej gotowości. Gdyby do tego doszło, z pewnością udałoby mu się do pewnego stopnia zaskoczyć Valianta, ale na ile by to wystarczyło?

Sięgnął po modlitewny kamień, schowany pod koszulą, zacisnął na nim palce i zmówił krótką modlitwę do przodków, tę samą, którą odmawiał każdego dnia. Gdy otworzył oczy, długo wpatrywał się w sufit.

– Proszę – wyszeptał w przestrzeń.

Fiyonn sam do końca nie wiedział, o co prosi: czy o chwilę ukojenia, która pozwoli mu zasnąć i oczyścić umysł pochłonięty przez mgłę zmęczenia, czy raczej o podpowiedź, jakiś znak, cokolwiek, co pozwoli mu wybrać odpowiednią ścieżkę, o coś, czego Los mu na razie odmawiał.



Miał wrażenie, że zbudził się chwilę po tym, jak sen otoczył go ramionami. Serce biło mu szybko, a czoło nagle pokryło się cienką warstwą potu. Wciąż był w salonie, a ogień nadal płonął, w przeciwieństwie do świec, które dawno już zgasły. Za oknem niebo pokryło się bladym błękitem, ale gdzieś tam widać było jeszcze ślady różu. Służba kręciła się po kuchni – szybciej udało mu się wychwycić echo ich kroków niż wyczuć źródła.

Aby nie tracić czasu, chciał pochwycić pierwszego lepszego kruka i zmusić go do okrążenia okolicy klifu, ale miał wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Wyczuwał źródła wolno jak nigdy, zanim do któregoś się zbliżył, ono mu umykało i musiał szukać następnego.

Niemal zeskoczył z kanapy, tracąc przy okazji równowagę. Fiyonn przez krótką chwilę nie widział, co się wokół niego dzieje, jakby jego oczy nie przywykły jeszcze do tego, że znajduje się z powrotem w domu, więc o obecności służącej dowiedział się, słysząc jej głos.

– Proszę księcia, czy wszystko dobrze? – zapytała, spiesząc do niego.

Fiyonn zdążył oprzeć się ręką o podłokietnik kanapy. Świat wirował wokół niego, jakby poprzedniego wieczora spożył zbyt dużo alkoholu. *Jest blisko*, syknął jeden z głosów. Fiyonn machnął na oślep ręką, odtrącając pomoc służącej. Instynktownie odwrócił głowę.

– Odejdź – polecił, nawet na nią nie patrząc.

Był prawie pewien, że trącił ją wierzchem dłoni, może wyciągnęła ku niemu rękę. Wzdrygnął się. Dziewczyna nic jednak nie powiedziała i bez wahania opuściła pokój, zamykając za sobą drzwi.

Potrzebował chwili, żeby się uspokoić. Wziął kilka głębokich wdechów i powoli się wyprostował. *Dlaczego twoja aura tak wygląda?* Nie był pewien, czy powinien ufać Edwinie w tej kwestii, bo nigdy dotąd nie słyszał o spękanych aurach. W każdym razie czuł się słaby, a ona prawdopodobnie wciąż nie mogła kłamać. Był osłabiony, a magia zaczęła się mu opierać. Nie miał przecież styczności z tramantem, który utrudniałby mu korzystanie z magii...

Ręka zadrżała mu, gdy pomyślał, że może się myli. Jedna myśl kierowała do następnej. Nie mógł ufać służbie. To magia Klipetaighu blokuje jego umiejętności. Los karał go za zostawienie swojej tvilier w potencjalnym niebezpieczeństwie. Musiał wyjść, musiał uciekać, musiał błagać o wybaczenie.

Te myśli nie należały do Fiyonna. Przynajmniej nie do końca.

Gdyby w Klipetaighu znajdował się tramant, trafiłyby na jego trop, zanim znalazłyby go służące. Czy miały w ogóle pojęcie, jak wygląda i do czego służy? Magia płynąca w ścianach Klipetaighu mogła być potencjalnie niebezpieczna, ale nie rozumiał, w jaki sposób miałaby na niego oddziaływać. A jeśli Edwina faktycznie widziała aury, możliwe, że zwróciłaby mu na nią uwagę wcześniej, a nie dopiero teraz. Brak snu doskwierał mu od lat, a apetyt miał nie mniejszy niż zwykle, więc wątpił, by miało to wpływ na jego stan.

Już raz wrócił do zdrowia, choć nikt się tego nie spodziewał. Powitał śmierć w hałamańskiej celi, ale przybyła do niego sama, bez Czasu. *To jeszcze nie jest ten moment*, zdawała się wtedy mówić.

Fiyonn powoli przeszedł się po pokoju, żeby sprawdzić, czy wciąż ma problem ze złapaniem równowagi, ale jego krok był teraz równy, a wzrok już nie tak zamglony jak przed chwilą. Gdy wyszedł na zewnątrz, ciepło wiosennego słońca podziało na niego kojąco.

Podszedł do samej bramy i oparł na niej ręce, po czym spróbował jeszcze raz pochwycić któregoś z kręcących się tu ptaków. Gdy w końcu mu się to udało, narzucił mu swoją wolę tak silnie, że nie mogło być mowy o nieposłuszeństwie ze strony zwierzęcia. Wykorzystał całe pokłady swojej cierpliwości, by kierować krukiem krok po kroku, jakby dopiero co zdobywał tę umiejętność. Choć bardziej koncentrował się na locie, czuł na policzkach drżenie, którego doświadczał on, a nie ptak. Magia zawibrowała wokół niego, jakby starał się skonstruować skomplikowane zaklęcie, mimo że posługiwał się mocą, którą ujarzmił już jako dziecko.

Lot nad klif zajął mu tyle czasu, że właściwie nie czuł już palców zaciśniętych na zimnych prętach bramy, lecz trzymał się ich dalej. To była jego kotwica. Po okolicznych drogach, biegnących ze wschodu i południa, poruszały się tylko wozy wieśniaków mieszkających w pobliżu. Fiyonn nakazał krukowi lecieć więc dalej na północ.

Wtedy ich zobaczył.

Pięciu podróżujących petramich w charakterystycznych kolorowych strojach. Dwójka jechała konno, reszta zajmowała miejsca na odkrytym wozie. Gdyby nie ich ubiór, Fiyonn nie rozróżniłby ich od zwykłych Tesarytczyków, zamieszkujących wybrzeże. Skoro nadjeżdżali z północy, prawdopodobnie wracali już z Fyligadum, gdzie wręczyli Fyodorze Ariete kamień napełniony magią, będący symbolem zakończenia nauk i przyznania święceń.

Nie było więc czasu. Fiyonn zastanawiał się przez chwilę, czy szybciej dotrze na miejsce na końskim grzbiecie, czy dzięki sile skrzydeł. Obawiał się jednak, że wysłanie woźnicy, by przygotował klacz do drogi, potrwa zbyt długo. Nie wiedział, ile czasu petrami zamierzają spędzić nad klifem, postanowił więc nie tracić ani chwili.

Zmiana formy nie powinna być bolesna, nie po tylu latach. Jednak tym razem magia bezwzględnie szczypała jego skórę, jakby nacinały ją dziesiątki noży. *To nie powinno się dziać. Nie powinno nas boleć.*

Choć wiatr bardziej mu pomagał, niż przeszkadzał, lot nad klif okazał się męczący niczym całodzienna górską wędrowka. Podobnie jak przed spotkaniem z Herbertem, Fiyonn zmienił postać w niedalekiej odległości od kręgu, ale zanim udało mu się ruszyć w dalszą drogę, klęczał przez długą chwilę na trawie i ciężko dyszał.

Walka z zawrotami głowy zdawała się nie mieć końca. *To kara, szeptały przerażone głosy. Karzą nas.*

– Cisza – wycharczał Fiyonn, po czym jedną stopę postawił na ziemię, a łokcie podparł o kolano.

Szedł niczym pijany w stronę kręgu, szurając stopami w trawie. Z daleka widział wóz petramich. Jeszcze nie odjechali.

Mieszkańcy Domu Niji byli wrażliwi na magię – wyczuli go, zanim udało mu się zbliżyć. Nikt jednak do niego nie podszedł i nie zaoferował pomocy, ale Fiyonn niczego innego się nie spodziewał. Tesarytyczków i petramich łączyły ziemia, wiara oraz historia. Dla wielu mogło się wydawać, że to wystarczająco dużo, by czuć się jednym narodem, jednakże petrami od wieków zachowywali swoją niezależność, choć na mapie nigdy nie było królestwa, które mogliby nazwać swoim.

Cokolwiek robili przed przybyciem Fiyonna, zaprzestali. Cała grupa wpatrywała się w niego, jakby był jakimś mitycznym stworzeniem. Kruki już rozsiadły się na kamieniach tworzących krąg.

– Nie mamy wiele czasu – powiedział, po czym odkaszlnął, słysząc swój chrypliwy głos. – Mój brat zapewne wciąż patroluje tę okolicę.

Nie znał nikogo z nich. Na szczęście nie musiał się przedstawiać – petrami znali magię kłamstw na tyle dobrze, by ją z łatwością rozpoznać.

– Zapewne masz rację, książę – odezwała się jedna z kobiet. Skórę miała złocistą, jakby nie mieszkała w górskich korytarzach, lecz w miejscu, w którym cały czas świeci słońce. – Dniem i nocą przed wejściem do Domu Niji kręcą się oddziały żołnierzy uzbrojonych po zęby.

– Widzieliśmy, co działo się w Fyligadum – powiedziała jej towarzyszka, stojąca tuż obok. – Po raz pierwszy, odkąd żyję, na uroczystości uświęcenia pojawiło się tak niewielu gości. Ludzie boją się wojska, nawet pomimo tego, że pośród obcych symboli widać kilka granatowych peleryn.

Fiyonna nie zszokowała sugestia, że pośród tesarytyckich żołnierzy służyli także ci vijandzcy. Halaman już dawno zablokował pobór do tesarytyckiego wojska. Zamiast tego do koszar przystali własnych dowódców, którzy na przestrzeni lat byli w stanie dołączyć do oddziałów vijandzkich wojowników z północy.

– Wątpię, by w tesaryckiej armii zostało się wystarczająco wielu żołnierzy, by krążyć bezustannie po królestwie – rzekł gorzko Fiyonn.

– Ja z kolei wątpię, że sam arcyksiążę przybył bez konkretnego powodu na spotkanie z nami w byle koszuli nieprzystającej do jego statusu – zauważyła petrami, która odezwała się do niego jako pierwsza. – Niektórzy powiedzieliby, że w ten sposób wydajesz na siebie wyrok, księżę.

– Mam w pamięci to, co jeden z waszych przywódców powiedział kiedyś jednej z członkiń rodziny królewskiej...

– Ma księżę na myśli swoją matkę?

Słowa, które miał przygotowane, rozplynęły się w powietrzu niczym dym. Przez chwilę lustrował spojrzeniem kobietę, która najwidoczniej odgrywała w grupie rolę przewodniczki. Zbliżyła się do niego i wysunęła do przodu, jak gdyby chciała osłonić swoich towarzyszy. Wiatr poruszał cienkimi pasmami włosów, które uciekły jej z warkocza.

– Eilo Datra, który oprowadził mnie po Domu Niji, gdy miałem zaledwie sześć lat, powiedział, że petrami nigdy nie ślubowali wierności tesaryckiej Koronie. Ślubowali ją Mędrcomi, Moirze i Niji. Wierzę więc, że jako dziedzic Mędrca i Niji w prostej linii otrzymam od was schronienie.

Przez chwilę na klifie zapadła cisza, którą przerywał jedynie huk fal uderzających o skały.

– W tej chwili życzysz sobie raczej milczenia, księżę. Wiedz jednak, że spełnimy twoją prośbę.

Wszyscy petrami położyli sobie dłoń na sercu i skłonili głowy na znak złożenia obietnicy.

– Wybaczcie, że zakłócam waszą wizytę w świętym miejscu – powiedział, już lekko uspokojony.

– To zawsze było przede wszystkim miejsce spotkań – odezwała się kobieta. Fiyonn spodziewał się, że mu się przedstawi, ale najwidoczniej nie miała takiego zamiaru. – Droga, tak czy inaczej, prowadziła nas tutaj, księżę.

Silny wiatr wiał od morza, zwiastując sztorm. Mimo że – gdy się przebudził – zdawało się, że zapowiada się pogodny, teraz na horyzoncie można było dostrzec szare, kłębiące się chmury, które leniwie zbliżały się do wybrzeża.

– Przybywam do was z prośbą, która może zmienić bieg historii, a przynajmniej głęboko w to wierzę – powiedział Fiyonn na tyle głośno, by usłyszeli go wszyscy zgromadzeni w kręgu. – Nie chodzi tu o politykę ani o wojskowe wsparcie. Szanuję stanowisko petramich w konflikcie o sukcesję.

Nikt się nie odzywał, wszyscy w skupieniu czekali na to, co powie arcyksiążę.

– Setki lat temu Córy Moiry otwierały bramy, dzięki którym można było pokonywać setki mil w ciągu zaledwie chwili. Wiem, że tę magię zna gallawecki dwór. Przychodzę do was zatem, byście podzielili się ze mną tą wiedzą.

Cisza trwała. Petrami zachowywali się tak, jakby nie usłyszeli jego słów. Fiyonn popatrzył w oczy każdemu z osobna, jednak tylko stojąca na czele grupy kobieta odpowiedziała mu śmiałym spojrzeniem. Reszta skupiała wzrok wszędzie, tylko nie na nim.

– To nie czas ani miejsce, by pytać, w jaki sposób książę dotarł do tej informacji – odezwała się w końcu. – Gdyby nie pańskie dziedzictwo, uznałabym tę prośbę za zagrożenie. Nie bez powodu wiedza na temat bram nie jest powszechna w świecie, w którym żyjemy.

Jeden z kruków siedzących na kamieniu zakrakał głośno, jak gdyby zwracał uwagę na to, że nie mogli spędzić na rozmowie reszty dnia. Fiyonn pamiętał wciąż o tym, że nietrudno było zauważyć z daleka chmarę czarnych ptaków krążących nad klifem, a powiązanie takiego nietypowego zjawiska z nim nie było trudne.

– Wiedz, książę, że gdybyś nie był dziedzicem Mędrca, okłamałabym cię – przyznała. – Aby wytłumaczyć naturę bram i ich skomplikowaną historię, musimy jednak udać się do Domu Niji. Jak sam arcyksiążę powiedział, nie mamy wiele czasu. A my nigdy nie pokonujemy tej trasy traktem.

Mężczyźni stanęli przy dwóch z czterech kamieni kręgu, tych, które reprezentowały wschód i zachód. Każdy z nich sięgnął do tobołka niesionego na plecach. Wyjęli dwa wielkie kryształy, a następnie klęknęli. Poruszali się w dokładnie tym samym rytmie, niczym swoje lustrzane odbicia. Jedną dłoń położyli na trawie, a drugą zacisnęli na swoich kryształach. Zamknęli oczy i zaczęli recytować

w staropółnocnym. Wiatr nie pozwalał Fiyonnowi na zrozumienie inkantacji.

Wtem między nimi pojawiła się rysa, jakby niespodziewanie pękło powietrze. Dreszcz przeszedł po całym ciele Fiyonna. Moc, którą wykorzystywali petrami, była... dziwna i obca. Inna od tej, do której przywykł. Pęknięcie poszerzało się, a spomiędzy niego wylewało się blade światło przypominające blask magii. *Zapewne o tym pisała Rhoswen*, pomyślał Fiyonn. Szczelina powiększała się z każdą chwilą, a światło nabierało mocy. To bez wątpienia była magia, naga i widoczna nawet dla ludzkich oczu. Fiyonn walczył z chęcią podejścia bliżej.

Brama mogła mieć około czterech metrów wysokości i trzech szerokości. Akurat tyle, by zmieścić się wóz, którym podróżowali petrami. Dwie pozostałe kobiety wskoczyły na kozioł i poprowadziły pojazd w stronę bramy. Ciągące go konie były niezwykle spokojne, w przeciwieństwie do klaczy, na której przybył tu Fiyonn. Najwidoczniej mieszkające w Domu Niji zwierzęta były kompletnie niewrażliwe na magię albo już do niej przywykły. Wyglądało, jakby przechodzili przez ścianę wody. Magiczna powłoka lekko zafalowała, gdy znikwały w niej ciała.

– Nie wygląda księżę na przestraszonego – zauważyła stojąca obok niego petrami, unosząc kącik ust do góry.

– Magia mnie nie przeraża.

– To dobrze, bo teraz nasza kolej.

Zbliżył się do bramy i od razu wyczuł wzrost energii. Było niemal tak, jakby z miejsca spod szczeliny ktoś wyssał powietrze. Nagle wzięcie głębszego wdechu stało się wyzwaniem.

Ciało kobiety pochłonięte zostało przez blask. Do samego końca patrzyła na Fiyonna, jakby chciała, by przekonał się, że to całkowicie bezpieczne. Uniósł więc rękę i zbliżył ją do błyszczącej tafli. Jego skojarzenie z wodą było trafne – poczuł chłód i nieprzyjemne poczucie wilgoci.

Zamknął oczy i zrobił krok w przód.

Intuicja kazała mu zamknąć oczy i wziąć wdech, jakby zanurzał się pod wodę. Nie był mokry, choć przez chwilę miał takie wrażenie. Zrobił jeden krok i znalazł się w miejscu oddalonym od klifu o dwa

dni drogi. Fiyonn nie musiał unosić powiek, by wyczuć energię charakterystyczną dla Domu Niji. W mgnieniu oka pokonał setki mil.

Znajdował się w pomieszczeniu oświetlonym zaledwie dwoma latarniami. Choć kilkakrotnie odwiedził siedzibę petramich, do tego miejsca nigdy nie trafił. Od wieków zamieszkiwali świętą górę Tesarythu, w której wydrążono setki korytarzy i jaskiń. Najbliższa góraska wioska znajdowała się niemal godzinę drogi stąd. Petrami byli jednak niemal całkowicie samowystarczalni. Handlowali własnymi wyrobami, by pozyskać niezbędne materiały. Hodowali zarówno zwierzęta, jak i rośliny rodzące im warzywa oraz owoce.

Zdawał sobie sprawę, że skrzętnie kryli się ze swoimi sekretami, lecz nie sądził, że chronią przed wzrokiem całego świata tak wielką tajemnicę jak ta.

Gdy się odwrócił, po magicznej tafli nie było śladu. Dwaj mężczyźni, którzy otworzyli bramę, już zdążyli go minąć i podążali za wozem przecinającym jaskinię. Został sam z przewodniczką grupy.

– Jak się nazywasz? – zapytał Fiyonn.

– Mina Datra – odparła, a po chwili dodała: – Spokojnie, nie jesteśmy z Eilem spokrewnieni. Nasi przodkowie byli braćmi. Teraz jednak nasze rodziny dzieli odległość równa tej, którą właśnie przebyliśmy.

Fiyonn odwrócił się, by jeszcze raz obejrzeć miejsce, w którym przed chwilą znajdowała się brama. Nie zdołał zobaczyć, jak wyglądał proces jej zamykania, ale zdawało mu się, że zniknęła zaraz po tym, jak przez nią przeszedł. Teraz miał przed sobą litą skalną ścianę i nic więcej. Gdy wyciągnął rękę w jej stronę, wyczuł lekkie drganie powietrza, będące pewnego rodzaju cieniem magii, bladym znakiem tego, że przed chwilą była tu wykorzystywana.

– Muszę cię uprzedzić, że dziś prawdopodobnie nie podzielimy się z tobą wiedzą, której pragniesz, księżę – odezwała się Datra. – Decyzję o tym, czy ten sekret może opuścić Dom Niji, musi podjąć starszyzna.

– A co ty sądzisz na ten temat? – zapytał Fiyonn, z powrotem się do niej zwracając. – Czy bramy są tak niebezpieczne, że nadal powinniście trzymać je w ukryciu? Przyprowdziłaś tu człowieka, który nie może głosić nieprawdy. Jeśli więc kiedyś ktoś zapytałby

mnie o tajemnicze przejścia prowadzące do nasyconych magią miejsc na całym kontynencie, nie będę potrafił skłamać.

Mimo wyraźnie wyczuwalnej w jego słowach złośliwości Mina Datra nie wyglądała na jakkolwiek poruszoną.

– Niegdyś bramy nie były sekretem. Zamknięcie ich było efektem długich debat. Nie było wtedy na świecie ani mnie, ani ciebie, ani naszych najbliższych krewnych. Czasy się jednak zmieniły.

Bez słowa zaczęła iść w kierunku, który obrali wcześniej jej towarzysze, a Fiyonn ruszył za nią. Do opuszczanej przez nich sali prowadził długi, lekko opadający w dół korytarz oświetlony latarniami, w których płonął błękitny płomień. Przez całą drogę Mina Datra nie odezwała się do niego ani słowem.

Fiyonn po raz pierwszy był sam w Domu Niji. Nie było z nim żadnego członka jego rodziny ani służby czy straży. Jeśli więc na końcu korytarza będą czekać na niego żołnierze Korony, nie będzie w stanie się bronić ani uciec. Gdy sobie to uświadomił, jego krok się usztywnił. Całe jego ciało napięło się, gotowe do biegu albo zmiany formy. Wciąż czuł się jednak słaby, a to przywoływało wspomnienia, których nie chciał przerabiać po raz kolejny. Choć wiedział, że pod stopami ma tylko kamienne podłoże, przez ułamek sekundy zdawało mu się, że pokonuje korytarze Gniazda, a jego ciało wciąż jest kruche, niemal bezsilne. Nozdrza wypełnił mu odór krwi i choroby. W tym wspomnieniu na kostkach, nadgarstkach i szyi nosił grube materiałowe opatrunki, a jego magia była gdzieś bardzo daleko. *Gdzie jesteśmy, szeptały słabo głosy. Nie istniejemy.*

– Magia księcia nie przeraża, ale wąskie korytarze już tak? – rzuciła Mina Datra przez ramię.

Musiła wyczuć, że jego źródło zaczęło bić głośniejsze i szybciej, dokładnie tak jak jego serce. Odpowiedziała złośliwością na rzuconą przez niego wcześniej złośliwość, lecz przynajmniej wyrwała go z odmętów własnych wspomnień.

– Strach jest emocją, którą należy poznać, by później móc się z nią mierzyć – odparł. – Trzeba umieć go zrozumieć.

Okazało się, że korytarz poprowadził ich do centrum siedziby petramich – okrągłej i wysokiej na ponad dziesięć metrów sali, pełniącej rolę serca całej górskiej struktury. Przy jej północnym krańcu znajdował się staw, w którym zanurzano kamienie w czasie

rytuału napełniającego je mocą, dzięki czemu nie było to tylko miejsce codziennych spotkań, lecz również przestrzeń magicznych obrzędów, trwających niekiedy wiele dni. W świecie petramich codzienność naturalnie łączyła się ze świętością.

Podczas pierwszej wizyty w Domu Niji petrami skwapliwie opowiedzieli Fiyonnowi, jako dziedzicowi Mędrca, w jaki sposób przeprowadza się rytuał napełnienia kamieni mocą. Był w tej sali, doskonale ją poznał, lecz nigdy wcześniej nie zauważył przejścia, które przed chwilą pokonali.

– Czy pośród waszego ludu istnieją jeszcze zaklinacze? – spytał, podejrzewając, że korytarz ten został ukryty podobną metodą co Klipetaigh.

Datra zaśmiała się.

– To przejście zostało ukryte tego samego dnia, kiedy zdecydowano o zamknięciu bram. Sądziłam, że książę rozumie naturę zaklinania po tym, jak tyle czasu spędził w siedzibie Cór Moiry. – Petrami zatrzymała się i spojrzała na niego z uśmiechem. – Wszycie własnej nici w płótno świata nie jest tymczasowe. To trwała zmiana, którą może odwrócić ktoś, kto wie, jak taką nić wypruć, a odwracanie uroków jest o wiele trudniejsze niż ich rzucanie.

Fiyonn zgadywał, że skoro wiedziała tyle o naturze zaklinania, odpowiedź na jego pytanie była twierdząca.

– Dokąd mnie prowadzisz?

Na szczęście w sali nie było nawet śladu po uzbrojonych żołnierzach. Najwidoczniej patrolowali tylko tereny wokół góry, nie zapuszczając się w głąb Domu Niji.

– Według obowiązujących tu zasad, jestem zobowiązana, by należycie ugościć tesaryckiego arcyksięcia. Postaram się zatem zapewnić ci wszystko, czego potrzebujesz. Ja tymczasem udam się do starszeństwa, by przedstawić twoją prośbę.

Zaprowadziła go do tych samych pokoi, które zajmował przed laty. Był to niewielki apartament, cały w miodowym drewnie i w miękkich dywanach, przeznaczony dla gości o wysokiej randze. Przyniesiono mu misę z owocami i zapytano, czy życzy sobie bardziej konkretnego posiłku. Fiyonn odmówił. Zanim Datra go opuściła, próbował się dowiedzieć, jak długo każe mu na siebie czekać, lecz ona wzruszyła tylko ramionami.

– Jeśli nasza dyskusja będzie zbyt zażarta, z pewnością ktoś tu przyjdzie i zaproponuje nocleg.

Najwidoczniej jednak coś w jego minie sprawiło, że dodała po chwili:

– Jesteś tu bezpieczny, książę. Przysięgam na własnych przodków.

Petrami traktowali składane przez siebie obietnice tak samo poważnie jak Tesarytscy. Gdyby nie zapewnienie ze strony kobiety, Fiyonn w innym wypadku nie pozwoliłby się tu zamknąć. Sam fakt, że Mina Datra zdecydowała się go przeprowadzić przez bramę, był dla niego znakiem, że może poprzeć jego prośbę. Z drugiej strony postawił ją w sytuacji, która nie pozostawiała jej większego wyboru. Nie mogła go okłamać, a jedynie odmówić. Czy to jednak powstrzymałoby Fiyonna przed szukaniem wiedzy o bramach? Z pewnością nie.

Wyciągnął z kieszeni płaszcza zegarek i położył go przed sobą na stole. Tylko dzięki regularnemu zerkaniu na wskazówki wiedział, ile minęło czasu. Życie w Domu Niji byłoby niezwykle trudne bez zegarowej tarczy.

Gdy zdążył wyjść z misy z owocami wszystkie borówki, do pokoju weszły trzy osoby. Za Miną Datrą stał człowiek, który lata temu oprowadzał go po Domu Niji.

– Nie spodziewaliśmy się wizyty – oświadczył Eilo Datra. – Ale muszę przyznać, że dobrze arcyksięcia widzieć.

Mógł mieć już około siedemdziesięciu lat. Twarz miał pobłażliwą i przyjazną, jakby miał zgodzić się na wszystko, co Fiyonn zaproponuje. Ale to było tylko pozorne. Eilo Datra był człowiekiem niezwykle wysokiej kultury osobistej, dlatego doskonale nadawał się do rozmów z tesarycką arystokracją. Zawsze jednak na piedestale stawiał dobro swojego ludu, a nie interesy, więc dla wielu mógł być trudnym rozmówcą.

– Poznałeś już Minę. Pozwól, że przedstawię ci Manu Noppeę – powiedział, wskazując na trzeciego członka grupy.

Mężczyzna kiwnął mu z szacunkiem głową. W porównaniu z Eilem, Manu Noppea wydawał się niezwykle poważny. Sztywno zasiadł do stołu, u szczytu którego miejsce już zajął Eilo, najstarszy spośród zebranych.

– Zawsze z przyjemnością słuchałem opowieści o tym, jak młody arcyksiążę uczy się z zapalem o naturze magii, niekiedy nawet tej, która wykraczała poza jego własne umiejętności. Może powinienem przewidzieć, że pewnego dnia przyjdzie tu i zapyta o coś, o czym nie mówi się od mniej więcej pięciuset lat – zaśmiał się mężczyzna.

Fiyonn spodziewał się, że petrami będą zaniepokojeni tym, że ich sekret został wyciągnięty na światło dzienne. Eilo nie wyglądał tak, jakby się czymkolwiek przejmował. Manu Noppea, stanowiący jego całkowite przeciwieństwo, zaciskał usta w wąską kreskę, a dłonie miał złożone oficjalnie przed sobą. Tylko z twarzy Miny nie dało się wiele wyczytać.

– Wyjątkowo pchnęła mnie do tego potrzeba, a nie ciekawość – odparł Fiyonn, chowając zegarek do kieszeni. – Nie zmienia to jednak faktu, że mam wiele pytań, które cisną mi się na usta, choć niekoniecznie są związane z priorytetową dla mnie sprawą.

– Jaka to w takim razie sprawa? – spytał Eilo, pochylając się lekko nad stołem.

– Wszystko sprowadza się do przywrócenia równowagi. Albo też, jak mówią inni – pokoju. Możemy to nazywać, jak chcemy. Głęboko wierzę, że wasza pomoc może być niezbędna w celu odzyskania niezależności i...

– Znamy poglądy arcyksięcia – odezwał się Manu Noppea. – Wiemy o pańskim pragnieniu wypchnięcia Vijandczyków z Tesarythu. Jednak nie możemy dzielić się naszymi sekretami, aby nie doprowadzać do rozlewu krwi.

– Rozleje się ona tak czy inaczej. Możecie jednak sprawić, że trupów będzie o wiele mniej, niż się zapowiada na tę chwilę.

Powiedział im o wszystkim, czego się dotąd dowiedział. O Zjednoczonym Królestwie, w którym zmieniła się władza. O tym, jak bardzo zainteresowało to Halaman. O solarytach nawracających mieszkańców południa. A także o Antoinette, narodzonej na nowo w Zimowym Pałacu.

– Nie wierzę w przypadki – rzekł poważnie. – Powrót Kruczej Wiedźmy jest dla nas znakiem. Nie bez przyczyny Los odebrał nam Xanthe Corvidae dwieście lat temu i nie bez przyczyny postanowił wręczyć Krucze Oko nowej Córce Moiry.

– Czy wiadome jest, czy dziewczyna, o której mówisz, jest rzeczywiście spokrewniona z Xanthe i Moirą? – zapytała Mina.

– Z pełną szczerością mogę oświadczyć, że była to kwestia, którą zamierzałem badać, jednakże wydarzenia mające miejsce w stolicy po moim powrocie z Zimowego Pałacu znacząco mi to utrudniły.

Opowieść Fiyonna nie byłaby kompletna bez części dotyczącej grózb Valianta i balu, na którym on i Antoinette mieli złożyć przysięgę wierności. W kilku zdaniach powiedział im więc o tym, że opuścił Gniazdo i udał się na poszukiwanie Klipetaighu, które zakończyło się sukcesem.

– Dlaczego Krucza Wiedźma nie udała się w tę podróż z tobą, książę? – Ton Miny był zimny jak lód. Atmosfera znacząco zgęstniała. Nawet Eilo przestał się uśmiechać.

– Posłałem po nią – powiedział Fiyonn. – Ale nie przyszła. Służącą zatrzymała straż. Nie miałem możliwości, by się do niej dostać.

– Sądzę, że każdy gwardzista ustąpiłby po poleceniu wydanym przez arcyksięcia.

– Ale nie przez królewskiego brata.

Mina pokiwała powoli głową. Fiyonn nie był pewny, czy ktokolwiek z tu zebranych wie, że jego rozkazy niewiele znaczący względem tych wydawanych przez Valianta.

– Nie od dziś wiemy, że sytuacja w pałacu królewskim jest skomplikowana. – Zwrócił się do niej Eilo. – Choć nie rozumiem do końca okoliczności, w jakich arcyksiężę opuścił pałac, doceniam, że pragnie chronić Córe Moiry, która przez Koronę została potraktowana jak zwykła poddana. A wszyscy przecież wiemy, że nie tak to powinno wyglądać.

Ona wątpi, lecz on rozumie, szepnął z daleka głos magii. Fiyonn poprawił się na krześle.

– Zależy mi na przywróceniu Kruczej Wiedźmie należytego jej miejsca. Nie mam natomiast możliwości wejścia do pałacu, a przynajmniej nie w tej chwili. Widzę więc szansę w magii bram. – Fiyonn wstał na chwilę i podszedł do wąskiego sekretarzyka, stojącego w rogu pokoju. Zabrał z niego papier i pióro z kałamarzem, po czym narysował wzór z gobelinu wiszącego w Klipetaighu. – Czy to mapa miejsc, do których prowadzą bramy?

Eilo zaśmiał się. Uniósł lekko ręce, aby dać znać Fiyonnowi, że wybiega za daleko w przód.

– Lata minęły, a arcyksiążę jest dokładnie taki sam, jak wtedy, gdy go spotkałem po raz pierwszy – powiedział. – Mam jeszcze jedno pytanie, które muszę zadać, by móc kontynuować tę rozmowę. Czy pragnienie korzystania z bram wynika tylko i wyłącznie z potrzeby ochrony Córy Moiry?

Fiyonn długo się w niego wpatrywał. Eilo Datra poznał go, gdy był dzieckiem. Nie wiedział, ile mężczyzna słyszał o nim plotek. Trudno powiedzieć, jak wiele pałacowych pogłosek trafiało aż tutaj. Tak naprawdę Fiyonn nie miał pojęcia, co dokładnie sądzą petrami o konflikcie o tron i o jego ambicjach wywalczenia niepodległości Tesarythowi. Mieszkańcy Domu Niji nie angażowali się w politykę, a rozmowa, którą odbywali, znacząco wykraczała poza ich dotychczasowe stanowisko. Do tej pory zawsze utrzymywali swój neutralny status w mocy, co z czasem Fiyonn zaczął widzieć jako łatwe wyjście, zdecydowanie zbyt łatwe. Takie, które wybierają tchórze.

– Nie – odparł w końcu. – Wierzę, że dzięki nim będziemy mogli skontaktować się ze Zjednoczonym Królestwem i naprawić lata dyplomatycznej pustki.

– I w ten sposób arcyksiążę zechce osłabić Vijandczyków – dopowiedział Eilo. – W odpowiedzi na wcześniej zadane pytanie: tak, to mapa bram. Udało się to panu całkiem dobrze odwzorować.

– Skąd jego książęca mość zna ten wzór? – spytał Noppea.

– W Klipetaighu wisi gallawecki gobelin z tym wzorem. Miałem wystarczająco dużo czasu, by dobrze mu się przyjrzeć.

– Godna docenienia spostrzegawczość. Czy mogę zapytać, jak książę dowiedział się o bramach?

Fiyonn zrozumiał, że błyskawicznie przeszli do zasadniczej części dyskusji. Wszystko, co teraz powie, zadecyduje o tym, czy zdradzą mu coś więcej na ten temat. Musiał być ostrożny.

– Z obawy o bezpieczeństwo tej osoby nie mogę zdradzić jej tożsamości – zaczął powoli – ale wiem od kogoś, kto przebywa w Gallawecie, że Biała Królowa wraz z członkami swojego dworu korzystają z bram, by podróżować po królestwie.

Noppea pokiwał powoli głową.

– Tak, w Gallawecie wciąż działają dwie bramy, z których korzysta wyłącznie rodzina królewska.

Głosy syknęły ostrzegawczo.

– Tylko? – dopytał Fiyonn.

Noppea spojrzął na Eila, a ten kiwnął głową.

– Miałem na myśli osoby nienależące do grona petramich – odparł.

– Od momentu zamknięcia bram korzystamy z tej możliwości podróżowania tylko my i nasi pobratymcy – dopowiedział Eilo. – Dlatego bardzo poważnie traktujemy pańską prośbę. Wydanie pozwolenia, o które księżę prosi, złamie zasadę ustaloną setki lat temu. A jego księżęca mość musi wiedzieć, że została ona ustanowiona ze względów bezpieczeństwa.

– Bramy przestały istnieć po tym, jak odcięliśmy się od południa – powiedział Fiyonn. Nietrudno było to policzyć. Eilo wspomniał o wiedzy, z której nie korzystano od pięciuset lat, czyli od momentu, w którym zakończono negocjacje między Tesarythem a Królestwem Elendoru. – A to potwierdza tylko moją teorię, że można w ten sposób podróżować do Zjednoczonego Królestwa, omijając granicę z Vijandą.

Przy stole po raz kolejny zapadła cisza. Noppea wyglądał na zaniepokojonego stanem wiedzy Fiyonna, z kolei Eilo powstrzymywał uśmiech cisnący mu się na usta. Siedząca obok Mina wpatrywała się w skupieniu we własne dłonie. Trudno było powiedzieć, jakie było jej zdanie na ten temat.

– Starszyzna zbierze się raz jeszcze jutro z samego rana – oświadczył Eilo. – Wtedy zapadnie ostateczna decyzja dotycząca tego, kto będzie mógł korzystać z bram w najbliższej przyszłości.

Rozdział 27

ANTOINETTE

Antoinette obiecała sobie, że spróbuje zdobyć zaufanie Valianta. Im więcej czasu z nim spędzi, tym lepiej go zrozumie, a co za tym idzie – może uda jej się odnaleźć jakąś lukę, której do tej pory nikt nie zauważył, a która zaważy na relacjach między braćmi. Będzie go słuchać, kiedy trzeba, będzie obserwować, co robi, lecz nie pozwoli sobą manipulować. Nie mogła grać roli wściekłego psa, który gryzie, gdy tylko się do niego podejdzie – w ten sposób niczego nie zyska. Postanowiła zatem czuwać.

Valiant najwidoczniej myślał podobnie. Do Gniazda przybyła uczona z Krisgaldaru, która oświadczyła, że została wezwana przez Koronę, a jej zadaniem jest przekazanie Córce Moiry wiedzy o geografii i historii północy. Antoinette była niezwykle ciekawa, czy kobieta pokaże jej chociaż mapę, gdzie widoczny będzie cały kontynent, by mogła przyjrzeć się Zjednoczonemu Królestwu, z którym tak usilnie chciał skontaktować się Fiyonn. Poza tym, że było ono położone na południe od Vijandy, nic o nim nie wiedziała.

Co kilka dni była zapraszana na narady z najbliższymi doradcami. Denerwowała się, gdy pierwszy raz pokonywała próg sali, którą widziała w wizjach. Nieprzyjemne wrażenie, które ją ogarnęło, mogła porównać do momentu, gdy okazuje się, że coś, co ujrzało się we śnie, istnieje naprawdę.

Z początku nie była pewna, jaka miała być jej rola, lecz gdy polecono jej, by usiadła niedaleko Valianta, posłuchała. Czuła się jak dziecko towarzyszące swojemu rodzicowi w obowiązkach.

Na pierwszym spotkaniu wszyscy doradcy byli wyraźnie spięci i rozkojarzeni jej obecnością, lecz z biegiem czasu coraz mniej ich obchodziła. Przez kilka godzin Valiant wysłuchiwał raportów, które nadeszły z największych tesaryckich miast, podpisywał zgody umożliwiające przeprowadzenie prac renowacyjnych we Flugstadt i omawiał drobne kwestie administracyjne, a wszystko to pod czujnym okiem vijandzkiego sekretarza, siedzącego po jego drugiej stronie. Ku zdziwieniu Antoinette gubernator Habijev nie pojawił się na zebraniu.

Po trzech takich naradach Valiant został z nią przez krótką chwilę sam w sali.

– Czy ktokolwiek z nich kłamał w trakcie spotkania? – spytał, nawet na nią nie patrząc.

Kiedy zaprzeczyła, podniósł się z miejsca.

– Namiestnik wraca jutro do Flugstadt. Z pewnością będzie chciał się z tobą zapoznać.



Rano nie miała ochoty podnosić się z łóżka i nie miało to nic wspólnego ze stresem związanym ze zbliżającym się spotkaniem z Emlynem Corvusem. Antoinette czuła się tak, jakby przez całą noc miała wokół głowy zaciśnięty sznur.

– Przyniosę ci coś na migrenę – zaproponowała Yrsa, po czym zniknęła na korytarzu.

Nie miewała bólów głowy. Nigdy wcześniej nie czuła się taka oępiała, nawet po tym, jak jej magia rozbudziła się w Zimowym Pałacu. Ten ból był inny. Pochodził z trzeciego oka i rozlewał się od ucha do ucha. Gdy spróbowała zbadać magią otoczenie, przez całe jej ciało przeszła fala zimna. Może właśnie tak odbijało się na niej badanie przeszłości bez wykonania pełnego rytuału?

Wyczuła, że wraz z Yrsą do pokoju wszedł ktoś jeszcze. Na widok piegowatej twarzy Briony Antoinette uśmiechnęła się szeroko.

– Nikt nie wie, że tu jestem. – Dziewczyna przyłożyła żartobliwie palec do ust, po czym przytuliła mocno Antoinette. – Wpadłam na Yrsę w kuchni i pomyślałam, że nic się nie stanie, jeśli trochę kurzu zalegnie w pokoju Ingvild, skoro i tak nie ma jej w pałacu.

– Briona przynosi wieści – rzekła Yrsa i zamieszła w filiżance. Gdy zauważyła pytające spojrzenie Antoinette, dodała: – Spokojnie, to prosta mikstura na ból głowy, nie zamierzam cię otruć.

Briona opadła na obitą pluszem sofę i rozsiadła się na niej jak pani, wywołując śmiech koleżanek. Czas zrobił swoje. Antoinette tęskniła za wieloma osobami, lecz dopiero spotkanie Briony uświadomiło jej, jak samotna była przez ostatnie miesiące.

– Myślałam, że wyjechałaś z Ingvild – zagadnęła.

– Nie zabiera ze sobą wielu osób, gdy udaje się do Gallawethu. Ale to nie ma teraz znaczenia. Wiem od Yrsy, że chciałaś dowiedzieć się, co działo się po balu.

Antoinette pokiwała żywo głową.

– Valiant był przygotowany na to, że nie złożysz przysięgi – powiedziała Briona. – Dlatego odprowadzono cię prosto do wieży.

Mogła się tego spodziewać, skoro Fiyonn opuścił stolicę zaraz po tym, jak jego brat powiedział mu o swoich planach. Gdy gwardziści wyprowadzili ją z sali tronowej, ani przez chwilę się nie wahali. Doskonale wiedzieli, gdzie iść.

– Ale Ingvild o niczym nie wiedziała. Po tym, jak Valiant wyszedł z sali, została sama ze wszystkimi gośćmi i starała się opanować sytuację. Nie obyło się bez korzystania z jej magii. – Briona posłała Antoinette znaczące spojrzenie. – Podejrzewam, że bez tego nie udałoby się jej wyjść z sali w jednym kawałku. Księżna Delbatic wyglądała tak, jakby planowała ją rozszarpać na strzępy.

– Z jakiegoś konkretnego powodu czy po prostu bardzo nie lubi królowej?

Briona parsknęła.

– To prawda, nie lubi jej. Na całą salę krzyczała, że to niegodne tesaryckiej Korony, by w ten sposób traktować dziedziczkę Moiry.

To dobry znak, pomyślała Antoinette. Zatem zarówno księżna, jak i jej syn byli potencjalnymi sojusznikami.

– Przez trzy dni hrabina Ariete domagała się audiencji u jego wysokości w twojej sprawie, ale jej na to nie pozwolono – kontynuowała Briona. – W końcu zrezygnowała i wyjechała ze stolicy razem ze swoją bratową.

– Masz, wypij. – Yrsa wcisnęła Antoinette filiżankę z naparem, intensywnie pachnącym ziołami. – Nie wążaj, tylko pij.

Wykonała polecenie, lecz z trudem. Mikstura smakowała wstrętnie.

– Czy wiesz, dlaczego książe Delbatich został w pałacu? Jego matka też tu jest? – spytała Antoinette, gdy udało jej się pozbyć chęci wyplucia lekarstwa z powrotem do filiżanki.

– Księżna udała się już do Krisgaldaru. Z kolei książe dostał polecenie od Valianta, by na razie nie wracać do Kuvijaty. Sprawdzają jego korespondencję...

– By przekonać się, czy nie pisze listów do Fiyonna – dokończyła za nią Antoinette. Briona pokiwała głową.

Spodziewała się, że jej opór nie przysporzył wielbicieli Valiantowi, jednak dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że niekoniecznie wszyscy muszą kojarzyć ją z tym, że stoi po stronie Fiyonna. Do pewnego stopnia było to naturalne, gdyż nie było na dworze osoby, która deklarowałaby neutralność, nie obierając którejś ze stron, jednakże ona mogła stworzyć własne stronnictwo, zbudować pozycję niezależną od braci.

– Jeszcze jedno – rzekła Briona, przerywając jej rozmyślenia. – Obserwują zarówno ciebie, jak i księcia. Wszyscy mają donosić do ochmistrzyni.



Mikstura, którą przyniosła Yrsa, nie dała ukojenia. Ból nie zmałał, ale z każdą godziną Antoinette coraz bardziej się do niego przyzwyczajała. Nie różnił się wiele od bólu krzyża czy przepracowanych mięśni pleców po pokonaniu setek stopni w ciągu dnia. Nie od dziś radziła sobie z ciałem, które odmawiało współpracy.

Po krótkim spacerze po ogrodach, który miał jej przynieść chwilę wytchnienia po długiej i dość męczącej lekcji historii Tesarythu, na drodze Antoinette stanął królewski sekretarz.

– Jego wysokość wraz z namiestnikiem Korony oczekują pani w gabinecie w godzinach popołudniowych – oświadczył.

– Przynajmniej uprzedził – mruknęła do Yrsy, gdy sekretarz odmaszerował korytarzem prowadzącym do wschodniej części pałacu.

Pokonując schody, Antoinette, niby niedbale, zwróciła się do przyjaciółki:

– Czy hrabina Ariete jest wciąż w stolicy?

– Dowiem się tego, pani. – Yrsa zawsze wiedziała, kiedy wejść w rolę.

Antoinette potrzebowała zaufania Valianta. Nie chciała, by czuł się zbyt pewnie. Wyczuwała w okolicy kilka osób – po korytarzach Gniazda zawsze ktoś się kręcił, a to oznaczało, że każde słowo, które wypowiadała, od razu wyruszało w drogę do uszu pani Oesterberg.



Yrsa wróciła do Antoinette z obiadem i wieściami.

– Nie spodoba ci się to – rzuciła. – Księżę wrócił do Krisgaldaru.

Pytanie, z którym zwróciła się do Yrsy, było oczywiście tylko zagranie mającym wprowadzić pewien zamęt w głowie jego wysokości, zmuszającym go do tego, by zastanowił się, jakie relacje łączą Antoinette z niektórymi członkami i członkiniami dworu. Antoinette nie spodziewała się jednak, że Yrsie uda się dowiedzieć czegoś nowego.

Schowała na chwilę twarz w dłoniach i wzięła kilka głębokich wdechów.

– Czy zawsze już będzie tak, że ludzie, których potrzebuję, będą nagle wyjeżdżać?

– Nadya, która jest jego pokojową, twierdzi, że ma wrócić – dodała cicho Yrsa. – Dostał pozwolenie od Valianta tylko na kilkudniowy

pobyt. Podobno chce zobaczyć się z resztą swojej rodziny.

– Szybciej nauczę się zmieniać w kruka jak Fiyonn, niż coś pójdzie po mojej myśli.

– Pamiętasz, co sama mi powiedziałaś? Krok po kroku. Na razie książkę nie jest ci przecież do niczego potrzebny.

Antoinette westchnęła. Nadchodzące spotkanie z Valiantem i namiestnikiem nie wpływało dobrze na jej apetyt. Przełknęła zaledwie kilka kęsów i zostawiła resztę ostygłego już dania na talerzu.

Yrsa odprowadziła ją pod same drzwi gabinetu Valianta. Nawet gdyby Antoinette nie posiadała magicznego talentu pozwalającego wyczuwać czyjeś źródła, i tak wiedziałaby, że obaj mężczyźni są już w środku, bo ich głosy słychać było przez drzwi. Yrsa uściśnęła jej dłoń, po czym ukloniła się teatralnie, rozkładając spódnicę na boki. Antoinette uśmiechnęła się, lecz na krótko.

Valiant siedział za biurkiem, z kolei namiestnik stał przy oknie i wyglądał na zewnątrz.

– Wuju – przywołał go Valiant – panna Corvidae.

Namiestnik przyjął tę samą lekceważącą postawę, jaką zaprezentowała na ostatnim przyjęciu jego żona. Gdy jego wzrok spoczął na Antoinette, mocno musiała powstrzymać się przed wygięciem ust z niesmakiem. Nietrudno było się zorientować, że należał do rodziny królewskiej. Wszyscy Corvusowie byli do siebie podobni. Ciemne włosy wyraźnie się przerzedziły i zjaśniały przez siwiznę. Patrząc wyłącznie na twarz, można było orzec, że wygląda na młodszego, niż wskazywał na to jego wiek, lecz żyłaste dłonie pokryte plamami wątrobowymi i pomarszczona szyja nie pozostawiały wątpliwości, że czas młodości miał już za sobą.

Nie czekając na zaproszenie, Antoinette zajęła jeden z dwóch wolnych foteli ustawionych przed szerokim biurkiem.

– Na pewno słyszałaś już wiele westchnień i wyrazów niedowierzania, spowodowanych pojawieniem się twojej osoby – rzekł namiestnik, unosząc lekko brwi w wyrazie niezadowolenia. – Dlatego ja powstrzymuję się przed podobnymi reakcjami.

– Nie mam panu tego za złe – odparła, całkowicie ignorując fakt, że nie używał w stosunku do niej żadnych grzecznościowych formułek.

– Zanim przyszłaś, rozmawialiśmy o wieściach z południa, które wuj przywiózł ze sobą – powiedział Valiant, przyjmując rolę pośrednika. – W Halamanie wrze, przez co przepływ informacji jest dość chaotyczny.

– Sporo możemy dzięki temu ugrać – rzucił namiestnik. – Ostatnim razem, gdy się u nich zagotowało, udało nam się zaprzestać tego szaleńczego wydobywania w górach niedaleko Jorgiele.

– Jak wszyscy ludzie z południa, Vijandczycy byli bardzo złaźnieni jorgielskich kryształów – wyjaśnił Valiant, chcąc najwidoczniej przybliżyć Antoinette znaczenie słów jego wuja. Odnotowała tę uprzejmość.

– Nie mieli jednak pojęcia, jak się z nimi obchodzić. Żadna góra nie wybacza chciwości – dopowiedział namiestnik i leniwym krokiem podszedł do stolika z trunkami.

– Przyspieszenie wydobywania sprawiło, że część szybów zaczęła się zapadać. Lata pracy przepadły i trzeba było zacząć wszystko od początku.

– Zginęli ludzie? – spytała Antoinette.

– Nie dało się uniknąć ofiar. Praca w samym sercu góry jest z natury niebezpieczna, nie każdy się do niej nadaje – rzekł namiestnik.

– Musiało dojść do tragedii, byście spróbowali zmienić warunki pracy tych ludzi? Mówi pan, że nie dało się uniknąć ofiar, a ja myślę, że to nie do końca prawda.

Cisza, która zapadła w gabinecie, nie zwiastowała niczego dobrego. Nawet Valiant się nie odzywał, co przypomniało Antoinette, w jaki sposób zachowywał się w stosunku do wuja w wizjach przeszłości. Był bierny, jakby przestraszony. Tylko dźwięk nalewanego z dzbanka wina rozchodził się po pokoju.

– Słyszałem już, że jest butna, ale nie spodziewałem się, że wysunie pazury tak szybko. – Śmiech Emlyna Corvusa był ochrypły, niemal bezgłośny. – Czarna suknia i stary pierścień nie czynią z ciebie mędrzyni.

– Późną jesienią opuściłam Gniazdo pierwszy raz od dwudziestu lat. Jedyne, co zobaczyłam, to obcy żołnierze, puste stragany i opuszczone ulice. Teraz dowiaduję się, że pozwalacie obcym wykorzystywać ciężką pracę Tesarytczyków. – Antoinette odwróciła

się, by spojrzeć mężczyźnie w twarz. – Nie widzisz, że twój talerz robi się pusty? Jeśli Vijandczycy nie wezmą nas armią, to wezmą nas głodem. I nie będą musieli nic więcej robić. Nie zburzą żadnej bramy, nie spalą żadnej świątyni. Wszystko sobie po prostu wezmą. Może gdy trupy zaczną padać pod drzwiami Gniazda, przejrzyście w końcu na oczy.

Valiant zdążył jedynie wymówić jej imię, gdy wuj brutalnie mu przerwał:

– Kilka miesięcy spędzonych na odludziu i myślisz, że wiesz już wszystko? A może Los zesłał na ciebie wizję i widziałaś coś, o czym nam nie mówisz?

– Widziałam przecinający ciemność ogień lejący się z nieba. Nie potrzeba wiele czasu ani umiejętności, by to zinterpretować.

Ból spętał jej klatkę piersiową. Dopóki nie wypowiedziała tych słów na głos, nie zdawała sobie sprawy, jak są prawdziwe. Fiyonn nigdy otwarcie jej nie powiedział, co sądzi o jej pierwszej wizji przyszłości. Ona sama również nie wiedziała wiele. Ale potrafiła sobie bez trudu wyobrazić ogień trawiący górskie wioski. Ogień, który od zawsze kojarzył się jej z Vijandą. Był symbolem południowego królestwa, jego świętym żywiołem, czczonym tak samo bezgranicznie jak słońce. Czymże mogła być ciemność, na tle której wyróżniał się jedynie blady zarys gór, jeśli nie północą?

– Głupia dziewczyno... – Namiestnik pokręcił głową. – To właśnie nas czeka, jeśli będziesz dalej słuchać królewskiego brata. Skończy tak samo jak jego matka. A kiedy tego doczekasz i będziesz świadkiem jego upadku, zrozumiesz, że popełniłaś błąd, który kosztował nas wszystko. I nie będzie nikogo, kto wyciągnie cię z lochów Halamanu, bo wszyscy będą do tego czasu płonąć na vijandzkich stosach.

– Nie przyłożyłaś ręki do tego, by wyciągnąć stamtąd własnego siostrzeńca – wycodziła. Jej głos się załamał, lecz spojrzenie miała pewne. – Co więc możesz wiedzieć o chronieniu tych, którzy nie mają władzy ani pieniędzy?

Nie tak miało zapewne wyglądać to spotkanie. Nie minęło dziesięć minut, a ona już rozpętała awanturę z królewskim namiestnikiem. Co powiedziałyby na to dziewczyna, którą Antoinette była zaledwie rok temu? Czy uwierzyłyby?

Zacisnęła dłoń w pięść w fałdach spódnicy. Obiecała sobie, że będzie spokojna. Że będzie słuchać. Co ją w ogóle podkusiło do poruszenia tego tematu?

A może dobrze zrobiła? Może w końcu ktoś powinien?

– Panna Corvidae już wcześniej wyrażała troskę w kwestiach dotyczących ludu. Nie dziwią mnie więc jej argumenty – rzekł Valiant. Przez chwilę czekała na ostrzegawcze syknięcie głosów, ale ono nie nastąpiło. – Skoro ten temat został poruszony, może warto uzupełnić braki w jej wiedzy.

Wstał i podszedł do drewnianej gabloty, której jedna część była oszklona. Z szuflady wyciągnął kilka zwojów. Rozwinął je, obejrzał, po czym wybrał jeden i rozłożył go na biurku.

Antoinette miała przed sobą niezwykle szczegółową mapę Tesarythu. Poza największymi miastami zaznaczono na niej również mniejsze miejsciny, wyszczególniono łańcuchy górskie oraz rzeki. Informacji naniesionych na mapę było tak dużo, że dla niewprawnego oka mogła być kompletnie nieczytelna. Tylko dzięki ostatnim lekcjom z krisgaldardzką uczoną udało się Antoinette sprawnie ją odczytać.

– Od jeziora Dyppe aż do okolic Ems znajdują się najżyźniejsze ziemie w całym królestwie – wskazał Valiant. – Są to tereny graniczące z Vijandą, więc wszystko zostało doszczętnie zniszczone w czasie wojny. Zboże i niektóre plony wciąż tam rosną, ale w zdecydowanie mniejszej ilości niż wcześniej. – Jego palec przesunął się w kierunku namalowanych na mapie gór. – O sytuacji w kopalniach kryształów już mówiliśmy. W Benetamach znajdują się złoża srebra i soli. Wszystkie stacje są kontrolowane przez vijandzkich przedstawicieli.

Teraz Valiant wskazał na okolice Askvolen, miasta Kruczych Wiedźm.

– Puszcza otaczająca Askvolen została od południa spalona, bo dowódca jednego z oddziałów walczących w czasie wojny w okolicach Karleskronum ubzdurał sobie, że widzi na jej granicy leśne demony. Z podobnego powodu została zatruta woda w jeziorze Dyppe, przez co mieszkańcy okolicznych wiosek stracili do niej dostęp.

– Dlaczego mi to mówisz? – spytała Antoinette. Jego słowa potwierdzały to, o czym już słyszała: w czasie wojny, a nawet po niej, Vijandczycy wyniszczali Tesaryth, paląc i grabiąc. Nie zważali na nic. Byli w stanie zrównać z ziemią wszystko, bez wyjątku.

– Karleskronum, największy port północy poza Kuvijatą – ciągnął dalej Valiant, nie zważając na jej słowa – jest właściwie unieruchomiony. Stocznie pracują tylko dla Vijandczyków, a to oznacza, że zarówno nasze surowce, jak i nasi ludzie są wykorzystywani do pracy na rzecz kogoś innego. Każdy port obsługuje vijandzkie statki, od czasu do czasu również gallaweckie.

Oparł obie dłonie o blat i spojrzał na nią z góry.

– Gabinet Habijevego znajduje się za ścianą. Razem z nim mieszka tu dwunastu innych urzędników. Podróżuje z całym zastępem żołnierzy, znajdujących się w tej chwili na terenie pałacu. Jego sekretarz jest obecny na każdej radzie, w jakiej biorę udział, a także w tych spotkaniach, które organizują moi doradcy, by przedyskutować niektóre sprawy między sobą, zanim przedstawią je mnie. W każdym koszarach główne stanowiska obsadzili Vijandczycy, a to oznacza, że blokują pobór wojskowy, co znacząco zmniejsza nasze siły. – Valiant uniósł głowę, a w jego oczach błysnęła powaga i smutek, którego Antoinette do tej pory nigdy nie widziała. – Czy sądzisz, że naprawdę mamy tu nad czymś władzę?

– Bratasz się z tymi ludźmi – powiedziała cicho Antoinette. – Jesz z nimi przy jednym stole. Pijesz z nimi wino...

– Dlaczego widzisz mojego brata jako jedyne więźnia tej całej sytuacji? – Wyprostował się, po czym zwinął mapę i schował ją na miejsce. – Staram się, byśmy przetrwali kolejny dzień. Opóźniam każdą ich inicjatywę. Czy naprawdę sądzisz, że Fiyonnowi zależy na tych sierotach i biedakach, o których ty myślisz? On chce jedynie wręczyć im byle jak skleconą broń i wysłać ich na pole bitwy.

Potrzebowała chwili, by uzmysłwić sobie, dlaczego jego słowa tak ją uderzyły. Dopiero potem zrozumiała, że ma rację – w jej oczach Fiyonn zawsze był tym, któremu coś odebrano. Był ofiarą. W roli kata obsadziła wiele osób: od samego Valianta, przez namiestnika i Habijevego, aż po samego króla Vijandy, reprezentującego w jej głowie wszystkich swoich poddanych.

Valiant widział to jednak inaczej. Jego bierność nie wynikała z wyboru. Miał związane ręce.

- Jeśli go zabijesz – rzekła powoli – ludzie ci tego nie wybaczą.
- Ludzie, których masz na myśli, się go boją.
- Za twoją namową.

Słyszała prychnięcie namiestnika, który zajął miejsce w drugim fotelu, jednak je zignorowała. Valiant też nie zwracał uwagi na wuja.

– Ciebie zawsze traktował inaczej, nie dostrzegasz więc rzeczy, które dla innych są oczywiste. A robi to dlatego, że jesteś naczyniem niosącym krew Moiry. Nie masz tak naprawdę pojęcia, kim jest Fiyonn.

Nie chciała dać po sobie poznać, że znów ugodził w jej czułe miejsce. *Tvilier*, szepnęły stęsknione głosy. Ich smutek jej się udzielał. Przez chwilę wydawało się jej, że za nim tęskni, ale odsunęła od siebie to odczucie.

– A czy ty masz? Czy to nie znaczące, że Los poskąpił ci magii kłamstw, kiedy wręczył ją dziewczynie z gminu?

To nie były jej słowa. Nie to chciała powiedzieć, ale nie mogła się powstrzymać.

Usta Valianta wykrzywiły się w grymasie niezadowolenia, który tak często gościł na jego twarzy. Tym razem to ona trafiła w jego wrażliwy punkt.

– Może faktycznie coś w tym jest. Może rzeczywiście łączy was coś więcej niż magia.

– Zwierzę zawsze upodabnia się do swojego właściciela – stwierdził namiestnik siedzący za plecami Antoinette. I tak była zaskoczona, że tak długo wstrzymywał się z komentarzem.

– Czy to samo mówisz o sobie i Habijevie? – zapytała, obracając się ku niemu.

Mogła kpić z Valianta i krytykować go, lecz taka uwaga nie mogła pozostać bez reakcji. Ogień, który rozpałił spojrzenie Emlyna Corvusa, spopieliłby całe Gniazdo. Wyprowadziła dwa celne ciosy pod rząd.

– Nie zasługujesz nawet, by stać w tym pokoju – wycedził. – Twoje przodkinie przeklinają właśnie Los za to, że wręczył ich magiczne dziedzictwo komuś takiemu jak ty.

– Nie wydaje mi się – odparowała, po czym złożyła dłonie przed sobą i opuściła gabinet.



W drodze powrotnej przez korytarz Antoinette zaciskała dłonie w pięści. Była z siebie dumna. Ale była też przerażona i rozedrgana. Zbuntowała się i po raz pierwszy postawiła twardo na swoim. Z jednej strony wcale tego nie planowała, ale z drugiej – czy na pewno?

Spodziewała się, że każdy napotkany po drodze urzędnik albo gwardzista zaraz zaprowadzi ją z powrotem do wieży. Najwyraźniej całą odwagę wykorzystwała w gabinecie Valianta. Nic takiego się jednak nie stało. Szła pewnie przed siebie, a kraniec szerokiej spódnicy muskał podłogę.

Serce Antoinette przyspieszyło, gdy usłyszała piosenkę cicho nuconą przez dobrze znany jej głos. Znała go lepiej niż swój własny. Słuchała go przecież przez całe życie.

Zatrzymała się pod lekko uchylonymi drzwiami prowadzącymi do pokoju muzycznego. Jej matka była w środku.

Walczyła ze sobą przez krótką chwilę. Kto wie, kiedy będzie miała możliwość spotkać ją na neutralnym gruncie? Skłamałaby, mówiąc, że nie myślała o Behuli, o tym, by w końcu się z nią rozmówić. By się jej wytłumaczyć. Gdy pchnęła drzwi do środka, nie było już odwrotu.

Matka jej nie usłyszała. Na klęczkach szorowała obicie fortepianowej ławy i podśpiewywała pod nosem.

– Mamo? – odezwała się słabo Antoinette.

Behula zamarła ze szczotką w ręku, po czym powoli odwróciła się i z trudem podniosła z podłogi. Nie wyglądała na złą – Antoinette rzadko ją taką widywała. Na jej twarzy malowało się zaskoczenie, lecz wynikające z tego, że nie spodziewała się tego spotkania w miejscu takim jak to.

– Jestem ci winna wyjaśnienia – zwróciła się do niej szybko Antoinette, przysmykając drzwi – i przeprosiny.

Musiała to powiedzieć od razu, zanim podda się głosom, które przypomniały jej o żalu i zawodzie, jakiego doznała. Ból był jednak mniejszy niż wdzięczność. Behula nie mogła wiedzieć, jak potoczy się historia Antoinette. Zawsze była cierpliwa i czuła, a wszystko, co robiła, wynikało z troski. Kto wie, co by się stało, gdyby to nie ona znalazła niemowlę zawinięte w cieką chustę. Los złożył jej życie w ręce najlepszej z kobiet.

– Ja również – odparła Behula.

Nieśmiały uśmiech, który wykwitł na jej twarzy, sprawił, że w oczach Antoinette od razu stanęły łzy.

– Czasem... nie kontroluję tego, co się ze mną dzieje – przyznała od razu, nie chcąc dłużej czekać. – Odczuwam niektóre emocje intensywniej, przez co odnoszę wrażenie, że nie należę w pełni do mnie.

Wytarła grzbietem dłoni mokre policzki. Zrozumiała już, że dar, który otrzymała, miał swoją cenę: niemożliwe do opisu poczucie zagubienia, wynikające z tego, że w jej głowie nigdy nie była sama. Teraz musiała sprawić, by jego naturę pojęła również jej matka.

– Nie mogę powiedzieć, bym to rozumiała. Na pewno nie w pełni. – Behula odłożyła szczotkę do miski z mydlinami i wytarła ręce w fartuch. – Wiele się przez ostatnie tygodnie nasłuchiwałam. Okazało się, że w Gnieździe pracują osoby, które w mgnieniu oka stały się ekspertami w magicznych naukach.

Krzywy uśmiech wykwitł na jej twarzy. Ten uśmiech, który był przepełniony smutkiem, lecz miał rozbawić Antoinette, podbudować jej wiarę w siebie.

– Domyślam się.

Behula wskazała zapraszająco szezlong stojący pod ścianą. Antoinette usiadła na jego brzegu i wbiła wzrok w dłonie. Tłumaczyła matce wszystko to, co wydawało jej się, że powinna wiedzieć. Wyjaśniła, skąd wzięło się jej rozgoryczenie i że dopiero uczy się je kontrolować. Z trudem podniosła głowę, by spojrzeć Behuli w oczy. Wstyd uderzył w nią w tamtej chwili z całą mocą. Wyrzuty sumienia całkowicie zagłuszyły niezadowolone głosy.

– Nie byłaś do końca sobą – podsumowała Behula. – Przyjmuję twoje przeprosiny.

– Ale ja jeszcze...

– I tak je przyjmuję. Znam cię. Wiem, co za chwilę byś powiedziała.

Antoinette z trudem powstrzymała kolejne łzy cisnące się jej do oczu. Ujęła matkę za rękę.

– Jest tak wiele rzeczy, o których chciałabym ci powiedzieć... – rzekła ściszone głosem, a gdy Behula kiwnęła jej głową, zrelacjonowała w skrócie wszystko to, co wydarzyło się od jej powrotu do Gniazda. Ta część okazała się jeszcze gorsza niż przyznanie się do błędu, a na dodatek starała się mówić szybko. Nie wiedziała, ile czasu jej jeszcze zostało.

– Będę musiała wyjechać. Nie wiem jeszcze jak. Nie wiem też, kiedy będę mogła wrócić – wyszeptała na końcu. Nerwowo zerknęła na drzwi. – Jeśli się jednak uda, będę chciała zabrać cię ze sobą. A jeśli nie... – ścisnęła palce Behuli mocniej. – Valiant wie, że pracowałam wcześniej jako służąca, zapewne wie też, że się tu wychowałam. Chcę więc, byś była ostrożna. Boję się, że może ci zrobić krzywdę po to, by uderzyć we mnie.

Behula nagle spoważniała.

– Nette, rozumiem, że jesteś zdenerwowana i przejmujesz się wieloma rzeczami, ale nie możesz wpadać w niepotrzebną panikę, rozumiesz? Całe życie mieszkam tu i pracuję. Byłam świadkiem wielu awantur i gier między arystokratami...

– Ale nigdy żaden służący nie był tak blisko związany z kimś wysoko urodzonym. Nie z kimś takim jak ja – przerwała jej. – Przyrzeknij mi, że będziesz ostrożna. Ostrożniejsza niż zwykle. Postaram się włączyć cię do mojej służby, tak będzie bezpieczniej.

Behula pokręciła głową.

– Wtedy zwrócisz na mnie uwagę. Nie rób tego. Jeśli się martwisz, nie przywiązuj mnie do siebie. Zajmij się tym, co najważniejsze.

Wargi Antoinette zadrgały.

– Czasem nie wiem, co powinnam zrobić – wyszeptała, a wtedy matka pogłaskała ją po policzku.

– Zatem niech Los cię prowadzi. A ty słuchaj go uważnie.

Rozdział 28

RAINA

Wiele miesięcy Raina spędziła w otoczeniu osób o podwójnych intencjach, ukrytych motywacjach, grających w sobie tylko znane gry, jednak nikt dotąd nie wzbudzał w niej takiego gniewu jak królowa matka.

W pierwszej chwili Talia Rodaagov zdawała się w ogóle niezainteresowana kontaktem z najstarszą córką, która mimo wszystko czekała, aż ta złoży jej wizytę. Matka jednak przez wiele godzin ukrywała się w swoich komnatach i podrzucała służbie wymówki o potrzebie zadomowienia się, oporządzenia i odpoczynku po podróży. Z rodzinnego Terridon przywiozła mnóstwo kufrów, przez co królewskie skrzydło pograżyło się w harmidrze. Tymczasem Raina czekała w ciszy zaledwie kilka pokoiów dalej, zastanawiając się, jakie pytania jej zadać. Naiwnie sądziła, że uzyska wsparcie.

– Twój ojciec nie był zbyt mądrym człowiekiem – skwitowała bez cienia żalu i tęsknoty w rozmowie z Rainą, gdy ta poprosiła ją o wsparcie w rządzeniu. Chciała wiedzieć, czy Talia będzie w stanie dostarczyć jej informacji, dzięki którym władanie stanie się choć odrobinę łatwiejsze i zdejmie część ciężaru z jej barków. – Jeśli szukasz u mnie rady, jak masz reprezentować koronę, to powiem ci jedno: nie bądź swoim ojcem.

Raina od zawsze starała się nie przywiązywać wagi do relacji swoich rodziców. Żałowała, że matka była oziębła, a ojciec

niedostępny. Trudno żyło się jej w domu pozbawionym miłości, mimo to w obecnej sytuacji żywiła złudną nadzieję na zmianę.

Ale Talia nawet nie chciała słuchać o wszystkim, co wydarzyło się przez ostatnie miesiące. Raina gotowa była drażnić temat do skutku, przyprzeć Talię do ściany i wydobyć z niej każdą, nawet potencjalnie najmniej ważną informację. Poddała się w momencie, gdy matka nie zareagowała na informację o śmierci, a także o późniejszym odzyskaniu Rose.

– Nie masz zamiaru nawet do niej podejść? – zapytała, niemal zalewając się łzami. Talia spojrzała przelotnie na ciągle nieprzytomną córkę, a jej twarz pozostała kamienna.

– Nie jestem lekarzem, Raino. Nie potrafię jej pomóc – mruknęła w końcu.

Rainie wydawało się, że zaczyna spadać w przepaść, co dodatkowo pogłębiała tęsknota za Jamesem.

Po czasie doszła do wniosku, że tego wszystkiego jest zbyt wiele. Desperacko pragnęła cofnąć czas do momentu, w którym miała go dla siebie, gdy tego potrzebowała. Wieczory spędzone wspólnie w jednym łóżku, poranki pełne szumu fal i jego oddechu na jej szyi były wszystkim, o czym mogła marzyć. Decyzja jednak zapadła, a wraz z nią nadchodziły kolejne problemy.

Stan Rose pozornie zaczynał się poprawiać, wiele ran zdążyło się zagoić, jednak nadal nie odzyskała przytomności. Raina spędziła wiele godzin, zaczytując się w solaryckiej księdze, by od czasu do czasu ukradkiem zerkać na marniejącą w oczach siostrę. Na poduszce znajdowała coraz więcej wypadających włosów, obserwowowała z żalem, jak skóra Rosemary zaczyna szarzeć, a spod niej wyłaniają się zarysy kości. Zatapiała się w lekturze, czytała o świadectwach wyznawców kultu słońca, którzy za pomocą wiary zmieniali swoje życie. Była to pięknie napisana opowieść o zaufaniu, o oddaniu i o cudach. Nie wiedzieć nawet kiedy, Raina zaczęła odczuwać jakiegoś rodzaju więź, która w pewnym sensie wynikała z tęsknoty za posiadaniem kogoś bliskiego. Gdy wśród świadectw pojawiały się historie całych rodzin, wyobrażała sobie twarze poszczególnych osób. Rozmyślała, gdzie się teraz znajdują i jak wygląda ich życie. Wspominała obcych sobie ludzi, jakby byli jej dawnymi przyjaciółmi, a gdy natrafiła na historie

o wstawiennictwach, ofiarach i prośbach wznoszonych ku słońcu, zaczęła żywić nadzieję.

– Wasza wysokość zdaje się być zaintrygowana solaryckimi ideałami – zauważył Hershel Lashan.

Od jakiegoś czasu odbywała z nim prywatne audiencje w pokoju Rose, który po części stał się też jej biurem. Spotykali się sam na sam przy wąskim stole, zza którego cały czas mogła obserwować siostrę, by w razie konieczności szybko zareagować na jakąś zmianę w jej stanie.

– Chciałabym poznać główne założenia, zanim je odrzucę lub zaakceptuję – mruknęła, nie zdradzając budzącej się w niej sympatii. – „W głębi ciemności panującej na północy wiele osad odnalazło spokój dzięki zbudowaniu przez solarytów dwóch przydrożnych świątyń. Ich umiejscowienie pozwoliło na oświetlenie drogi handlowej pomiędzy wioską zielarską oraz starym targiem, przez co nocna podróż nie stanowiła już żadnego niebezpieczeństwa. Medycy mogli podróżować do chorych, podążając za słońcem lub płomieniem podtrzymywanym w świątyniach. W zamian za zabezpieczenie drogi mieszkańcy udzielają solarytom oliwy, drewna oraz nadwyżki swoich zbiorów” – przeczytała na głos, a następnie odwróciła księgę, by Hershel mógł zobaczyć mapę rozrysowaną węglem. Wioski zaznaczono czarnymi kwadratami, świątynie – kółkami, od których odchodziły linie obrazujące drogi.

Hershel pokiwał z podziwem głową.

– Brzmi to pięknie – powiedział lekko, opierając dłoń na lasce.

– Jest tego więcej. – Raina przekartkowała księgę, pokazując mu, jak wiele historii zawarto na kartach tomu. – Nie dostrzegam w tych opowieściach niczego niepokojącego.

– Nie wydaje mi się, by solarytom, którzy stworzyli księgę, zależało na pokazaniu ich najgorszej strony. Pisząc kronikę swojego życia, pominąłbym wiele rzeczy.

– „Podążajcie za światłem, gdy dopadnie was zwątpienie” – przytoczyła – „Każdy dom czczący światło stanie się waszą ostoją” – czytała dalej, przewracając kolejne strony w poszukiwaniu cytatów. – „Chcąc wejrzeć w czyjaś duszę, poświęć się, by zatonać w jego oczach, bowiem to właśnie one są zwierciadłem wewnętrznego światła”. Nie wiem, jak chęć zrozumienia kogoś poprzez poznanie

jego duszy może być zła lub niebezpieczna. W tej księdze nie istnieją żadne zakazy. Podoba mi się, że nie ma też mowy o hierarchii kapłanów i konieczności czczenia ich niemal na równi z bogami. Wszyscy są wyznawcami, nikt nie jest ważniejszy.

– To przewaga struktury, którą mają kulty nad religiami. Gdy znacząco się rozrosną, będą musieli postawić na ściślejszą organizację. Łatwo jest rozdawać zasoby i komunikować się w małej grupie. Z czasem się to zmieni – stwierdził Lashan.

– Chcesz powiedzieć, lordzie Lashan, że prędzej czy później zapragną zbudować świątynię w stolicy i zamiast zbierać na nią datki albo zbudować własnymi siłami, zażądają wsparcia od korony?

– Kostelic sama powiedziała, że została wybrana na przewodniczkę. O ile ten tytuł brzmi pięknie, o tyle zbyt blisko jest mu do przywódczyni. Różnica konotacji.

Raina zamknęła księgę z głośnym westchnieniem. Ceniła lorda Lashana na tyle, by jej entuzjazm chwilowo opadł, jednak nie potrafiła pozbyć się wrażenia, że jego sceptycyzm odbiera jej radość z poznawania czegoś nowego i pięknego. Mimo że temat solarytów szybko zniknął z ich rozmowy, ustępując miejsca sprawom znacznie ważniejszym, cały czas dryfowała myślami do wisiora, pozostawionego jej przez Kostelic.

Proszę przekazać księżniczce ten amulet. Pomoże jej odzyskać siły, powiedziała przy ich ostatnim spotkaniu. Raina schowała go do szuflady biurka, chwilowo o nim zapominając, gdy jednak dotarła do rozdziału traktującego o zwyczajach solarytów i o rytuałach, w jej sercu rozgorzała ciekawość.

Według księgi solaryci wierzyli w lecznicze właściwości ognia oraz słońca. W ciemności łatwo było spotkać niebezpieczeństwo, dać pożyć się śmierci, dlatego też przy łóżkach chorych zapalali dużo świec i pilnowali, by ogień w kominku przetrwał do rana. Czując odrobinę wstydu, wynikającą z czającej się w głębi naiwności, Raina nakazała rozświetlenie pokojów Rose, gdy tylko spotkanie z Lashanem dobiegło końca. Zanim służący przynieśli świeczniki, delikatnie wsunęła pod poduszkę siostry błyszczący amulet i nie wiedząc, jak dokładnie powinna postąpić, po prostu poprosiła światło o pomoc.



Gdy następnego ranka Rose przebudziła się ze snu, Raina nie potrafiła wyjść z szoku.

Siedziała przy biurku, zgodnie ze swoim zwyczajem zajmując się najważniejszą korespondencją, kiedy niespodziewanie poczuła pilną potrzebę zerknięcia na siostrę. Najpierw dostrzegła delikatne drgnięcie jej dłoni, po którym nagle poruszyła się cała ręka. Raina zerwała się z miejsca i podbiegła do Rose dokładnie w momencie, gdy ta delikatnie rozchyliła powiekę prawego oka.

– Rose? Słyszysz mnie? – załkała, nie potrafiąc powstrzymać łez. Oparła kolano na brzegu łóżka i nachyliła się nad siostrą. Widziała, jak bardzo była ona zagubiona i zmęczona. Walczyła, by otworzyć oczy, ale opuchlizna jej to utrudniała. Rozchyliła bezwładnie wargi, próbując zaczerpnąć tchu lub coś powiedzieć.

– Nie mów nic – poprosiła Raina. – Wszystko jest w porządku, jesteś bezpieczna. Rose?

Błękitne oko było rozbiegane i puste. Rose zachowywała się, jakby nie zdawała sobie sprawy z obecności siostry. Raina instynktownie złapała ją za rękę, nie spodziewając się, że może to być coś złego. Jednak Rose w reakcji na jej dotyk spięła się, niezdarnie próbowała odsunąć dłoń i jęknęła z bólu. Pomieszczenie zadrżało od paniki obu siostr. Rainie po plecach przeszedł dreszcz, a całe ciało zalał strach. Wybiegła z pokoju, krzycząc do strażników, by wezwali lekarzy oraz jeźdźców.

– Raina? – Bash wypadł ze swojego gabinetu, zaalarmowany jej krzykiem. Zanim zdążyła się zorientować, już był przy niej i wpadł do pokoju, obawiając się najgorszego. Gdy jego wzrok spoczął na Rose, zalał się łzami. Bez wahania padł na podłogę obok jej łóżka i wziął ją w ramiona.

Udręczony jęk momentalnie zmusił go do wycofania się. Raina odepchnęła Basha na bok, nie zważając na jego protesty i przeprosiny. Wyraźnie sądził, że wyrządził Rose krzywdę, a widząc przerażenie na jej twarzy, Raina zrozumiała, że z jakiegoś powodu ten nagły dotyk był dla niej nie do zniesienia.

– Bash, nie! – warknęła, odpychając go z całej siły, gdy ponownie próbował się zbliżyć do Rose. W tym momencie do komnaty wparowała cała masa ludzi. Raina nie wiedziała, co się wokół niej dzieje. Próbowwała jednocześnie powstrzymać Sebastiana, ostrzec medyków i jeźdźców przed zbliżaniem się oraz zawołać strażników. Z pomocą niespodziewanie przyszedł jej Grattzo, który złapał namiestnika mocno za barki i odciągnął w głąb pokoju. Zaraz potem Vas i Veer stanęli pomiędzy lekarzami a Rosemary, dając obu siostronom odrobinę przestrzeni.

– Zabierzcie go stąd! – nakazała braciom. – Wyjdźcie!

Zamieszanie trwało jeszcze przez chwilę. Skonfundowani medycy wycofali się za drzwi, a bliźniacy zajęli się wrzeszczącym i łkającym Bashem. Wraz z Rainą w pomieszczeniu został tylko Grattzo, niepewny, co powinien zrobić. Stanął dyskretnie przy drzwiach i oparł dłonie o swój kostur.

Rose oddychała spazmatycznie, na jej twarz wystąpiły rumieńce, z oczu lały się łzy. Trzęsła się niekontrolowanie, wyraźnie nie potrafiąc się uspokoić.

– Rose, kochanie – jęknęła Raina. W gardle miała gigantyczną gulę, przez którą trudno było jej wydusić słowa. – Wszystko jest w porządku, daj mi, proszę, znak, że mnie słyszysz.

Odwróciła głowę w jej kierunku. Tym razem w jej spojrzeniu dostrzegła przebłysk świadomości.

– To ja, Raina, twoja siostra – wydukała łagodnie, podchodząc bliżej. Rose nie spuszczała z niej wzroku, kiedy powoli, unosząc do góry ręce, skracając dystans. Oddech siostry zaczął się delikatnie uspokajać. – Jesteś w domu, rozumiesz?

Gdy skinęła głową, Raina utonęła w uldze. Pochyliła się nad nią delikatnie. Chciała, by siostra skupiła się na niej, póki strach i niepewność nie odejdą.

– Jak się czujesz? Czy mogę ci jakoś pomóc? Możesz mówić?

Rose z trudem uniosła zdrową rękę i po omacku przyłożyła ją do piersi, tuż pod obojczykiem. Raina zauważyła, jak próbuje wydobyć z siebie głos, jednak nie słyszała nic poza świstem wydobywającym się z opuchniętej krtani. Sięgnęła po szklankę i uważając, by nie wykonywać gwałtownych ruchów, pomogła Rose się napić. Trzymając ją za szyję, zauważyła, jak ciepła była jej głowa.

– Boli – sapnęła słabo Rosemary, gdy już niezdarnie zaspokoila pragnienie.

– Dowiem się, które napary podać – powiedział cicho Grattzo i zniknął za drzwiami. Rose drgnęła na dźwięk jego głosu.

– Zaufaj mi, Rose, wszystko jest w porządku – poprosiła Raina, odsuwając jej włosy z twarzy. – Jesteś trochę poobijana, ale wyjdiesz z tego.

– Qadir... – jęknęła księżniczka, dławiąc się łzami. Oddech siostry ponownie przyspieszył, a pomieszczenie zadrżało od magii. Raina była w stanie przysiąc, że czuje jej smak na języku. Nie wiedziała, co powiedzieć ani jak zareagować na tę eksplozję emocji. Delikatnie starła kilka łez z policzków Rose.

– Wiem, wiem, przepraszam cię – również zapłakała. – Wszystko będzie dobrze, Rosie, jakoś to naprawimy, naprawdę.

Szlochały w jednym rytmie, nie znajdując więcej słów przez dłuższą chwilę. Grattzo zdążył wślizgnąć się do pokoju i przygotować porcję lekarstw. Dał Rainie znać, że woli nie podchodzić, dlatego odebrała od niego napary, a następnie pomogła Rose je zażyć. Zrobiła to niezdarnie, brudząc przy tym pościel, jednak nie przejmowała się tym. Chciała ulżyć siostrze w cierpieniu, które na nią sprowadziła.

– Rose, kochana – wyszeptała łagodnie. – Bash tutaj jest. Sebastian chce się z tobą zobaczyć. Twój Bash.

W spojrzeniu Rose ponownie wezbrało przerażenie. Pokręciła głową, krzywiąc się przy tym z bólu.

– Nie.



Wybudzenie się Rose w jednej chwili dramatycznie zmieniło rozkład sił w całym pałacu. Sebastian stał się kompletnie bezużyteczny zarówno jako namiestnik, jak i przyjaciel. Opętany tęsknotą, bólem, radością oraz poczuciem winy nie potrafił skupić się na niczym innym niż na próbach dostania się do Rosemary, które Raina skutecznie udaremniała.

– Jak możesz zabraniać mi się z nią zobaczyć?! – wyrzucał jej wielokrotnie, kiedy po raz kolejny była zmuszona odesłać go do swoich komnat.

Rose była niezwykle wrażliwa na zamieszanie. Gdy w pokoju znajdowały się więcej niż dwie osoby, spinała się, jej oddech przechodził w spazmy, a oczy zamykały w przerażeniu. Rainie trudno było zrozumieć jej zachowanie, mimo to skupiła się na zapewnieniu jej jak największego komfortu w tym trudnym czasie. Rosemary potrzebowała pomocy w każdej najmniejszej czynności, walczyła z bólem uniemożliwiającym jej jakikolwiek ruch i łkała przy każdym niespodziewanym dotyku. Była krucha i wrażliwa, przez co Raina robiła wszystko, by nie pogarszać sytuacji. Nakazała medykom znaleźć damskie zastępstwo za siebie, tymczasowo posiłkując się umiejętnościami leczniczymi Tiany. Na szczęście dziewczyna była chętna do pomocy i bez wahania przystąpiła do działania. Mimo łamiącego się serca odprawiła również Vasa oraz Veera. Bliźniacy wykazywali dużo zrozumienia i zapewniali, że będą czekać na odpowiedni moment, niezależnie od tego, jak późno nadejdzie.

Sebastian nie był w stanie się wycofać. Był zbyt głośny, za bardzo łaknął kontaktu z Rose. Przekraczał granice, nie potrafił podejść do jej łóżka w ciszy i po prostu z nią być. Chciał cały czas dotykać jej dłoni, marzył, by wziąć Rose w objęcia.

Przez takie zachowanie jego rozmowy z Rainą zmieniły się z próśb w błagania, z błagań w kłótnie, aż w końcu w rozkazy. Raina szczerze znienawidziła samą siebie w momencie, gdy z jej polecenia królewscy strażnicy zamknęli Basha w kwaterach namiestnika. Nie mógł opuszczać swoich pokoi bez asysty, a tym bardziej zbliżyć się do Rose. Dokładnie trzy dni przed przybyciem vijandzkiej delegacji jakimś cudem udało mu się przedostać przez ochronę i zakraść do pokoju Rose. Widząc ją skuloną na łóżku, zapłakaną i przerażoną obecnością Basha, Raina chciała go zabić gołymi rękoma. Powstrzymała ją Tiana, pojawiając się na miejscu w ostatniej chwili. Szybko zorientowała się, że nie dadzą rady same wyprowadzić go na zewnątrz. Nawet w chwili gdy strażnicy wywlekali go na korytarz, bredził o łączącej ich więzi i uczuciach, które do niej żywił. Nawet nie zdawał sobie sprawy z krzywdy, jaką jej wyrządził.

Rose po tym wydarzeniu odplynęła w niebyt. Początkowo nie była w stanie mówić, jej ciało było zbyt połamane, by mogła wydusić z siebie coś poza kilkoma niewyraźnymi słowami. Raina widziała, że była to przeszkoda dla jej żywego ducha, miała jednak nadzieję, że z czasem zniknie.

Poruszenie w królewskim skrzydle nie zdążyło jeszcze na dobre opaść, a sama Raina nie miała nawet okazji podziękować światłu za przywrócenie jej siostry, kiedy wieści z północnej części kraju uderzyły ją niczym czarna chmura.

– Jeśli informacje przekazane przez naszych gońców z traktu są prawdziwe, a wierzę, że są, poza księciem Matijem Prijesticem przywitać musimy również jego sekretarza Hansena Validica. Według doniesień nie odpuszcza księcia na krok – raportował lord Lashan w drodze do sali tronowej.

Posłańcy przybyli do Glandiru zaledwie kilka godzin przed przyjazdem vijandzkiej delegacji, która z jakiegoś powodu nie wysłała własnych posłańców, aby zapowiedzieć przybycie. Przemierzyli dużą część jej królestwa, pozostając niezauważeni, przez co Rainie grunt usunął się spod nóg. Dziękowała bogom za szybką reakcję lorda Lashana, który w mgnieniu oka wydał rozkazy, by przygotować pałac. To pozwalało Rainie oporządzić się na tyle, by była w stanie odegrać swoją rolę. Uznali, że człowieka o tak wysokiej randze nie wypada powitać w gabinecie ani też przyznawać mu zaszczytu i wychodzić dla niego przed Glandir.

– Wiemy coś o innych członkach delegacji? I jakim cudem przedostali się przez nasze granice niezauważeni?

– Nie posiadamy takich informacji. Rozesłałem już wieści, nakazałem też przesłuchać oddziały graniczne, jednak na odpowiedź musimy poczekać przynajmniej kilkanaście dni. Udało mi się za to wypytać kilku lordów mieszkających w Kantalarze, tych lubujących się w handlu i w podróżach. Według nich księżę Prijestic to kuzyn w pierwszej linii od strony króla. Z raczej marnymi szansami na tron. Trzydziestoletni kawaler. Z opowieści wynika, że dość flegmatyczny – mówił Hershel łagodnie, poprawiając mundur na piersi. Wybrał jedno z bardziej wykwintnych okryć, przez co Raina czuła się odrobinę nie na miejscu, nosząc jedynie prostą suknię

w odcieniu głębokiej zieleni. Nawet z diademem na głowie i zdobioną koliańską na szyi czuła, że nie robi zbyt dużego wrażenia.

– Flegmatyczny ambasador nie brzmi jak dobre połączenie.

– Nie, aczkolwiek sugeruje nam kilka rzeczy. Są to plotki, mogą być rozsiewane celowo, by uśpić czujność. A może księżę odznacza się wieloma talentami, które poznamy, dopiero gdy go spotkamy.

Rainie trudno było ukryć stres. Czuła, że nie jest dostatecznie przygotowana do swojego pierwszego spotkania o wadze międzynarodowej. Jeszcze kilka godzin temu spędzała ciche popołudnie z siostrą, później planowała spotkać się z jeźdźcami i dopiąć plany budowy elendorskiego leża. Teraz gorączkowo zastanawiała się, jak wyjaśni ich przywódcy tak nagłe spotkanie z Vijandczykami.

– Grattzo nie może się o tym dowiedzieć – ostrzegła Lashana, gdy zajęła miejsce w sali tronowej. – Nie teraz, przez przypadek. Sama muszę mu to wyjaśnić.

Hershel pokiwał głową ze zrozumieniem i krótko nakazał swojemu sekretarzowi trzymanie Grattza z dala od pałacu.

– Jego książęca mość Matij Prijestolic – z zamyślenia wyrwał ją głos herolda, obwieszczający przybycie Vijandczyków.

Raina uważnie obserwowała, jak mężczyzna o lodowatej urodzie przemierza główną aleję sali tronowej w towarzystwie sześciu żołnierzy. Był wysoki i smukły, jasne włosy zasłaniały wyraziste policzki i kontrastowały z głębokim brązem jego garnituru. Tuż za nim podążał inny człowiek. Sekretarz księcia wyróżniał się nieprzyjazną dla oka twarzą, przeciętą niezadowolaniem, a może nawet obrzydzeniem. Ubrany w szarości zachowywał się jak cień.

– Jej wysokość Raina Rodaagov, królowa Zjednoczonego Królestwa Elendoru – ogłoszono, gdy przybysze zbliżyli się do podestu, na którym siedziała w towarzystwie Hershela.

Starła się wyglądać dostojnie i pewnie, dlatego też trwała w pozornie rozluźnionej, jednak faktycznie niewygodnej pozycji. Zmrużyła groźnie, acz z zainteresowaniem oczy, chcąc pokazać gościom, że poddaje ich uważnej analizie.

– Wasza wysokość – księżę uklonił się w pas, przykładając do piersi dłoń udekorowaną błyszczącymi pierścieniami. – Rad jestem, że po długiej drodze zostaję przez waszą jasność przyjęty.

Rainę zdziwił dobór słów księcia. Odruchowo pomyślała o solarytach i ich miłości do światła.

– Również cieszę się, goszcząc cię, książę, w moich skromnych progach – odparła obdarowując go skinieniem głowy. – Jestem pod wrażeniem wytrwałości, którą musiałeś wykazać się wraz ze swoimi towarzyszami, by dotrzeć aż tutaj. Vijanda jest krajem tak odległym, że wielu elendorczyków nawet nie śmiałyby myśleć o jej istnieniu.

– Jednak istnieje, wasza wysokość, i pozwolę sobie od razu zaznaczyć, jest bardzo świadoma potęgi oraz wielkości Zjednoczonego Królestwa – przemawiał do niej tonem pewnym i wyćwiczonym, sugerującym Rainie dobre przygotowanie. Nie pozwalała sobie jednak na utratę skupienia.

– Mimo to nie pokuszono się, by obdarzyć mnie i moich rodaków tak prostym wyrazem podziwu, a także szacunku, jakim jest poproszenie o zgodę na przekroczenie naszych granic. Uważam to niedopatrzenie za dość problematyczny aspekt dyplomatyczny – powiedziała, pozwalając sobie na ton sugerujący niezadowolenie, a nawet oburzenie. Celem Rainy było szybkie rozstawienie pionków, które umożliwiłyby jej zarówno przystąpienie do ataku, jak i skuteczną obronę.

– Proszę wybaczyć, wasza wysokość... – odparł spokojnie Prijestolic, uprzednio zerkając na Validica. Rainie nie umknęło delikatne skinienie głowy sekretarza. – Jednak to uchybienie wynika głównie z faktu, że próżno szukać elendorskich patroli na tych kilku przesmykach łączących nasze kraje. Odczytaliśmy absencję szmaragdowych żołnierzy za pewnego rodzaju zaproszenie do zacieśnienia stosunków, szczególnie po tak wielu latach rozłąki trawiącej nasze kraje. Dostrzegam teraz jednak, że niedawne problemy waszej wysokości musiały bardzo wpłynąć na złą koordynację rozkazów i tym samym wprowadziły nas w błąd.

– A więc chce książę powiedzieć, że dla Vijandczyków chwilowe opuszczenie posterunku jasno sugeruje zaproszenie? – zapytała, autentycznie oburzona jego sugestią i przerażona wiedzą, jaką posiadał. Nie łudziła się, że wydarzenia w stolicy nie dotrą w najgłębsze części kontynentu. Sama jednak świadomość obserwowania ruchów jej oddziałów granicznych w celu wykorzystania odpowiedniego momentu na przedostanie się do

Elendoru napawała ją strachem i obrzydzeniem. Wszystko to sugerowało bezczelność ludzi północy, której nie zamierzała tolerować.

– Bardziej skłaniałbym się ku... – zawiesił głos, zbierając myśli. – Propozycji? Sugestii? Proszę wybaczyć, jeśli wyrażę się nieodpowiednio. Język wspólny czasami stanowi dla mnie niemałe problemy.

Raina skrzywiła się, widząc, jak usiłuje nieśmiałym, przeproszającym uśmiechem udawać potulnego człowieka zawstydzonego popełnieniem gafy. Nie zauważyła, by jego akcent jakkolwiek przeszkadzał mu w ubieraniu myśli w słowa.

– A mimo to właśnie ksiązę został wybrany do tej jakże trudnej misji, jaką jest bycie ambasadorem Vijandy w Zjednoczonym Królestwie, czyż nie?

– Wasza wysokość odznacza się dużą inteligencją, wysuwając właśnie taki wniosek. – Prijestolic pochylił pokornie głowę, co położyło większy nacisk na jego słowa. – Przybywam, by służyć naszym krajom najlepiej, jak tylko będę w stanie, by po latach związać nasze królestwa.

– Zastanawiam się więc, czy podobnego rodzaju ambadorskie oferty złożono waszym północnym sąsiadom – mruknęła Raina, niby mimochodem, jednak kosztem wielkiego stresu. Informacje, które posiadała za sprawą Grattza, były dla niej jak kamienie u szyi. Uziemiały ją, pozwalały zachować równowagę, a jednocześnie miażdżyły swoim ciężarem. – O ile się nie mylę, Vijanda znajduje się w stanie wojny z Tesarythem. Niektórzy mogliby uznać tę sytuację za bezprawną okupację.

Zamiast na Matija Prijestolica, patrzyła na sekretarza Validica. Zaczęła podejrzewać, że ten mężczyzna jest kimś więcej niż tylko prostym sługą księcia. Kiedy zmarszczył brwi i nienaturalnie drgnął, miała już niemal pewność.

– Jest to o tyle skomplikowana sprawa, że dotyczy wielu trudnych, jednoznacznie północnych zawłości – ksiązę zaczął gubić myśli, przez co jego wypowiedź zabrzmiała koślawo w uszach Rainy. Hansen Validic posłał Prijestolicowi zaniepokojone spojrzenie. – Nasza relacja z Tesarythem jest układem, pewnego rodzaju unią handlową i instytucyjną, w której to wymieniamy się wszystkim tym,

co u nas najlepsze, a także potrzebne drugiej stronie. Relacje naszego króla Anastasa Prijestolica z panującym w Tesarycie Valiantem Corvusem opierają się na wieloletniej, pełnej serdeczności przyjaźni.

– Przybywa więc księżę, by zaproponować podobny układ?

– Jestem w stanie zaoferować waszej wysokości wiele dóbr i kontraktów handlowych, ale też służę wsparciem dyplomatycznym. Wasza wysokość z pewnością wie, że nie wszystko da się omówić od razu, w ramach audyencji. Dlatego w pierwszej kolejności usłuznie proszę o zaakceptowanie mnie w roli ambasadora, byśmy mogli ustalić naturę relacji pomiędzy naszymi państwami.

Raina spojrzała wymownie na lorda Lashana, niby udając zastanowienie. W głębi duszy jednak szukała w nim wsparcia.

– Oczywiście, nie musi wasza wysokość odpowiadać już teraz. – Prijestolic odezwał się, zanim Hershel zdążył zareagować. – Rozumiem, jak ważne jest skonsultowanie mojej sprawy z Wielką Radą, i jestem w stanie poczekać, aż lord namiestnik wróci do zdrowia.

Raina nie była gotowa na słowa księcia, przez co jej fasada opadła, ukazując zdziwienie i przerażenie. *Prijestolic wiedział o zamknięciu Basha?*

– Zapewniam księcia, iż namiestnik Pisceriov czuje się coraz lepiej, dlatego też do ponownej audyencji możemy podejść za kilka dni – Hershel zgrabnie wybrnął z sytuacji. – Strażnicy odprowadzą panów do pokojów gościnnych.



– Jasne jest, że wieści o namiestniku opuściły pałac, jednak powinniśmy być w stanie zawęzić krąg podejrzanych. W końcu niewiele osób ma dostęp do królewskiego skrzydła – stwierdził Archer Miles. Zaraz po spotkaniu z vijandzką delegacją Rada spotkała się, by rozważyć przyjęcie oferty Prijestolica.

– Możemy do woli przesłuchiwać służących, a i tak nie odnajdziemy winnego. Jeśli w Glandirze znajduje się szpieg, nie

ugnie się pod groźbą wyrzucenia z pałacu – zauważył Lashan.

– A jednak Prijestic zasugerował, że nieobecność lorda Pisceriova spowodowana jest chorobą, co, jak wszyscy wiemy, nie jest prawdą – dodał Bancroft, odzywając się tym samym po raz pierwszy od rozpoczęcia spotkania. Siedział w najdalszej części stołu i uważnie słuchał relacji z audiencji. Wyglądał na bardzo zmęczonego. – Wszyscy, którzy mieli z nim styczność, widzieli, iż fizycznie ma się aż nazbyt dobrze.

– W takim razie jest to plotka tylko połowicznie szkodliwa. Ukrywa całą prawdę, na czym nam w tym momencie bardzo zależy – skonstatowała Raina.

– Wasza wysokość uważa, że powinniśmy podtrzymywać tę ułudę? – Lashan szczerze się zdziwił. Ze wszystkich członków Rady najlepiej znał sytuację, ponieważ był drugą osobą zaraz po Sebastianie, której ufała.

– Tak. Przynajmniej do czasu, aż moja siostra nie poczuje się lepiej. Jak prezentują się nastroje w związku z jej przywróceniem?

Lordowie spojrzeli po sobie. Ewan i Archer nie znosili tematu Rose. Unikali go jak ognia, nie dopytywali o stan jej zdrowia, a gdy rozpoczynały się rozmowy o politycznych konsekwencjach decyzji Rainy, wyrażali wiele obaw i stawali się bardziej wycofani.

– Mamy doniesienia o niedawnym incydencie w dzielnicy portowej – przedstawił sprawę Lashan. W przeciwieństwie do reszty Rady okazywał wsparcie, jednocześnie pozostając ostrożnym. Trudno Rainie było ocenić, jak daleko sięga jego przychylność. – Doszło do pijackiej bójki w jednym z przybytków. Świadkowie donosili o nastrojach antymonarchistycznych, które przerodziły się w przepychankę, a później w starcie ze strażą portową.

– Ktoś został ranny? – dopytała, zaniepokojona wieściami.

– Skończyło się na kilku wybitych zębach i siniakach, jednak strażnicy musieli się wycofać. Marynarze odczytali interwencję jako zamach na ich prawa. Nie obrażali bezpośrednio waszej wysokości, a jedynie podważali jej decyzje. Z moich źródeł wiem, że grupa ludzi, która rozpoczęła kłótnię, wyklinała hipokryzję w kwestii legalności magii oraz wskazywała na nierówności społeczne.

– To znaczy? – zapytał Archer, rozpięając się wygodniej na krześle. Przez chwilę Raina miała wrażenie, że na jego twarz

wypłynęło zadowolenie.

– Chodzi o czystą zazdrość i poczucie braku sprawiedliwości. Awanturnicy zdają się sądzić, że legalizacja magii bardzo płynnie zbiegła się z dokonaniem przez jej wysokość cudu. Uważają, że prawo zostało nagięte pod fanaberię królowej, czego nie można by oczekiwać, gdyby chodziło o kogoś z nich.

– Jakie są szanse, że solarycy mogli maczać w tym palce? – Ewan zerknął badawczo na Rainę.

Hershel rozłożył ręce.

– Nie posiadam takich informacji. Moi słudzy obserwują ich poczynania, jednak na każdym kroku zachowują się wzorowo. Kilka dni temu zorganizowali skromny wiec na placu targowym. Bardzo pokojowy – zaznaczył Hershel, widząc zaniepokojenie królowej. – Spotkali się w niewielkiej grupie i dyskutowali na temat swojej wiary, nie zakłócając przy tym spokoju.

– Powinniśmy zwiększyć patrole w mieście. Ich dyrdymały mogą być niebezpieczne – orzekł Archer, delikatnie klepiąc dłońią w stół.

– Zapoznawałam się z ich dogmatami – wtrąciła Raina. – Nie odnajduję w nich niczego niepokojącego. W gruncie rzeczy wierzymy w podobne idee, po prostu znamy je pod innymi nazwami.

– Powinniśmy wystrzegać się obcych wpływów, zwłaszcza w trakcie wizyty vijandzkiej delegacji. Któż wie, czy ich obecność w Zjednoczonym Królestwie nie jest subtelną próbą destabilizacji – kontynuował Archer.

– Tak długo, jak nie powodują problemów, powinniśmy zachować ostrożność – tłumaczyła swój punkt widzenia. – Nie ma chyba nic złego w kontaktach dyplomatycznych i tolerancji? Wyrzucenie ich z Elendoru tuż po otwarciu się na magię wyglądałoby na hipokryzję z mojej strony.

– Decyzja zależy od waszej wysokości – zauważył Lashan, przywołując na twarz maskę niemożliwą do rozszyfrowania. – Proszę jednak pamiętać, że nie jesteśmy w najlepszej pozycji. Korona jest praktycznie bezbronna przez braki w skarbcu.

– Wyjdźmy więc tym problemom naprzeciw – zaproponowała. – Możemy zaoferować Vijandczykom mały pakt handlowy, dzięki któremu odbudujemy nasz budżet. Sprzedajmy wszystko, czego mamy w nadmiarze.

– Im dalej na północ, tym trudniej o dobre zbiory – przyznał Ewan.
– Mamy przewagę klimatu.

– Proszę więc zająć się tym tematem. Ja zaś przedstawię pomysł księciu Prijesticowi – zwróciła się do lorda i wstała z miejsca, kończąc spotkanie. Wszyscy członkowie Rady opuścili swoje miejsca, a następnie skierowali się do wyjścia. Tylko Archer Miles zdawał się ociągać, jakby chciał jeszcze o czymś z nią porozmawiać.

– Czy mogę w czymś jeszcze pomóc, lordzie Miles? – zapytała zmęczonym tonem. Marzyła, by opuścić gabinet i udać się do Rose, a jednocześnie odczuwała potężne zainteresowanie zachowaniem lorda. Starając się je ukryć, przeszła przez pokój i usiadła za biurkiem, jakby miała zająć się korespondencją.

– Zastanawiam się, wasza wysokość – zaczął powoli Miles, odwracając się w kierunku drzwi. Kontynuował myśl, dopiero gdy zostali w gabinecie kompletnie sami. – Czy może nie warto odrobinę bardziej otworzyć się na Vijandczyków.

Zmarszczyła brwi, zdziwiona zawołaną deklaracją poparcia dla ludzi z północy.

– Uważa lord, że powinnam zaproponować im znacznie więcej niż tylko wymianę handlową? – zapytała sugestywnie, chcąc zmusić go do konkretniejszego wyrażenia opinii.

– Pozwolę sobie na impertynencję – mruknął, drastycznie zmieniając ton. Zabrzmiął dużo ostrzej, znacznie bardziej opryskliwie. – Vijandczycy pokładają duże nadzieje w planie wydania waszej wysokości za księcia Prijestolica. Uważam to za cudowny pomysł, oszczędzający wielu problemów natury politycznej. Z mężczyzną na tronie dużo łatwiej przyjdzie dynastii utrzymanie pozycji.

– Słucham? – Raina nie wierzyła własnym uszom. W szoku zapomniała już nawet o sprawianiu pozorów oraz o zmęczeniu.

– Obserwując, jak powoli w stolicy zaczyna rozlewać się plotka o szaleństwie namiestnika, spowodowanym magicznymi rytuałami, dochodzę do wniosku, że należałoby powziąć pewne kroki ku utrzymaniu pokoju. Za dużo już tego gadania o nowym świecie wolnym od uprzedzeń i o szastaniu wolnością na lewo i prawo, wasza wysokość – fuknął Archer i zbliżył się do biurka. Zatrzymał się jakieś dwa kroki przed Rainą, przez co musiała zadrzeć głowę.

Patrzył na nią z góry, jak żołnierz po wygranym pojedynku. Zamarła, nie mogąc się ruszyć.

– Szaleństwo spowodowane magią? – powtórzyła bezwiednie. – Dopiero rozmawialiśmy o tej plotce i nie zwrócił lord uwagi na ten szczegół.

– Cóż, nie do każdego dotarł jeszcze pełen obraz sytuacji, jednak wasza wysokość powinna wiedzieć, jak zaczyna być postrzegana przez swoich poddanych. Szalona królowa łamiąca tradycję, wspierana przez obłąkanego namiestnika i równie niestabilną siostrę, w dodatku przywróconą z za grobu – wymieniał lekko, bez żadnego namysłu. Oparł ręce o blat biurka, jeszcze bardziej skracając dystans. Raina, oszołomiona jego zachowaniem, przycisnęła plecy do krzesła. – Coś każe mi sądzić, że jeżeli wasza wysokość jakimś cudem zdecyduje się odrzucić propozycję zaślubin z księciem Prijestolicem, następna plotka będzie dotyczyła pustego skarbcza korony oraz natury relacji waszej wysokości ze zbrodniarskim łowcą.

Poczuła, jak przez ciało przetacza się dreszcz przerażenia. Serce zabiło jej w piersi tempem przyprawiającym o zawrót głowy, a z twarzy Rainy odpłynęła cała krew.

– Co gorsze jednak w tej sytuacji... – kontynuował Archer, upajając się szokiem, który wywołał. – Ewan Bancroft bardzo nie przepada za waszą wysokością oraz królową matką. Pewnie poprze pomysł unii małżeńskiej. Z kolei Hershel Lashan uwikłany jest w wiele romansów, tak samo jak jego żona, co nieuchronnie prowadzi do dużego skandalu obyczajowego i utraty zaufania. Biorąc też pod uwagę ciągoty gildii łowców do rozpętania rebelii i pozbycia się smoków...

Nie, nie, nie, nie, Raina krzyczała w duchu, nie będąc w stanie się odezwać. Musiała coś zrobić, w jakiś sposób odeprzeć atak Archera, wyśmiać jego domysły i poradzić sobie z ewidentną zdradą, którą wyjawiał, podając ją na złotej tacy. Była jednak tak przerażona oraz dezorientowana, że obawiała się każdego kolejnego słowa. Miał ją w garści na każdym polu.

– Na miejscu waszej wysokości zastanowiłbym się, kogo warto słuchać i popierać w trakcie spotkań Wielkiej Rady – skwitował,

cofając się. Powoli zaczął stąpać w kierunku drzwi, cały czas na nią patrząc. – Bo może się okazać, że któreś z nich będzie ostatnim.

Rozdział 29

VASILE

Vas nie miał wcześniej zbyt wielu okazji, by wejść do królewskiego skrzydła twierdzy Glandir.

Nawet w trakcie oblężenia, gdy wszyscy szaleńczo przemierzali lodowate, piaskowe korytarze, jakimś trafem omijał tę najbardziej wykwinną część zamku. Odwiedził komnaty książęce, gdy Rose już wróciła do życia, choć nie było pewności, czy kiedykolwiek się obudzi. Kiedy to nastąpiło, a zachowanie Sebastiana zaczęło przysparzać problemów, Raina nakazała przenieść ją z dala od kwater namiestnika – za wielkie brązowe drzwi na końcu długiego korytarza. Do dużego apartamentu z balkonem, oddzielną łazienką i ze strażnikami strzegącymi wejścia jak własnego życia.

Nie chciał się przejmować. Usilnie próbował zachować spokój, głównie po to, by niczego nie zepsuć. Przeczuwał, że jego nerwy mogły się jej udzielić, przez co z łatwością przyjęłaby jego strach jako własny, a przecież chodziło o to, by jej stan się polepszał, a nie pogarszał. Miał nadzieję, że brat pomoże mu się trochę uspokoić. Potrzebował jego wsparcia, choć wiedział, że prawdopodobnie denerwuje się nie bardziej niż Vas. Od chwili, w której przegadali sprawę i zgodzili się, że odwiedzanie jej w parze mogłoby okazać się zbyt wielkim wysiłkiem, wisiąco między nimi coś na kształt odrzucenia. Jednocześnie chcieli się z nią spotkać, na własne oczy zobaczyć ją żywą, oddychającą, po prostu obecną, ale też żaden

z braci nie miał tak dużo odwagi, by iść tam samemu. Zawsze byli razem, zawsze ramię w ramię, w walce, na treningu i przy posiłkach. Byli obok siebie, gdy nici *ātmā sāthi* się zerwały, przeszli razem przez to niewyobrażalne cierpienie, potem przemierzyli drogę do piekła i z powrotem, a jednak w obliczu tej decyzji zdawali się być bezbronni. *Co czekało na nas za drzwiami? Z czym przyjdzie nam się zmierzyć?* Tego typu rozważania przychodziły Vasowi łatwiej, gdy myślał o nich dwóch, a nie tylko o sobie.

Tak strasznie chciał móc zabrać Veera ze sobą, pognać przez korytarz i zastać Rose uśmiechniętą, gotową rzucić się im w ramiona.

Zanim przystąpili do rytuału, Vas modlił się w duchu, by magia od razu ją uleczyła i jakimś dziwnym zrządzeniem losu odebrała wszystkie negatywne wspomnienia. Zabrała ból, strach i pozwoliła cieszyć się zwróconym życiem. To, że tak się nie stało, łamało mu serce, przez co Veer uznał, że to właśnie on powinien się z nią zobaczyć jako pierwszy.

– Zawsze byłeś tym wrażliwym synem – powiedział, łapiąc Vasa za szyję po obu stronach głowy. Było to tuż po tym, jak Raina poinformowała ich, że jeden z nich może zobaczyć się z Rose. – Będiesz umiał powiedzieć jej wszystko to, co potrzebuje usłyszeć.

Początkowo w pełni rozumiał jego słowa. Czekał jednak pod drzwiami, nie był już taki skory do uwierzenia bratu.

Strażnicy byli niewzruszeni, od Veera biło napięcie, a sam Vas ledwo stał na nogach. Wziął kilkanaście głębokich wdechów i zaczął chodzić w tę i w tę, od ściany do ściany. Udało mu się na tyle opanować, by przestały trząść mu się ręce. Podziało to tylko do momentu, w którym drzwi się otworzyły i stanęła w nich Raina.

– Chodź – kiwnęła na niego głową, opierając dłonie na brzegu drzwi, jakby potrzebowała ich wsparcia.

Vas posłał bratu ostatnie spojrzenie, na które tamten odpowiedział zachęcającym skinieniem głowy.

Dasz radę, zdawała się mówić jego postawa.

Powtarzał sobie w głowie te słowa, gdy przekraczał próg, a także potem, kiedy szedł przez hol, za którym znajdowały się drzwi prowadzące kolejno do salonu, łazienki i sypialni. Raina zatrzymała się

przed tymi ostatnimi z ręką na klamce i spojrzała na Vasa z powagą wymalowaną na twarzy.

– Wiem, że już o tym rozmawialiśmy, ale pamiętaj, by nie robić gwałtownych ruchów i nie zbliżać się zbyt szybko. Jeśli zauważysz jakikolwiek objaw lęku, cofnij się i nie naciskaj – wymieniała mechanicznie zdecydowanym półszepceniem, patrząc mu prosto w oczy, by mieć pewność, że jej słucha. Vas cały ten czas kiwał głową, zapamiętując każde jej słowo. – Nie siadaj na łóżku, tylko na fotelu. Nie próbuj jej dotykać i, co najważniejsze, przygotuj się na to, co zobaczysz. Dzisiaj rano zdjęliśmy część opatrunków, przez co widok jest odrobinę... nieprzyjemny.

Przed otwarciem drzwi zdążył zapewnić ją, że pamięta wszystkie wskazówki. Wziął kilka głębokich wdechów, rozprostował palce i szybko zmówił modlitwę, a i tak nie był gotów zmierzyć się z tym, co czekało za progiem.

Najpierw z tropu zbił go silny zapach ziół, którym aż przesiąknięta była komnata. Vas znał tę woń, wielokrotnie wyczuwał ją wcześniej na ubraniach Rainy i lekarza, jednak nie mogło się to równać ze stężeniem goszczącym w sypialni. Potem dopiero znalazł się w środku, w pokoju pięknym, bogato zdobionym, tonącym w bieli i kaszmirach, niebywale czystym i przytulnym. Na podłodze leżał beżowy dywan, meble z ciemnego drewna idealnie kontrastowały z jasnymi okryciami mebli. Ściany pokrywały tapety o misternych wzorach we wszystkich odcieniach bieli, szarości i złota. Ten sam wzór pojawiał się także na narzucie i pościeli na łóżku.

Jako pierwsza jego wzrok przyciągnęła szafka nocna i stół postawiony nieopodal niej. Misy, bandażę, płótna, strzykawkę, flakony, zioła, moździerzę, łyżeczki i mnóstwo innych przyrządów, których nazw ani przeznaczenia nie był w stanie określić. Cały medyczny arsenał tuż pod ręką, gotowy do użycia w każdej chwili.

Aby ją zobaczyć, Vas musiał najpierw wyjść z za rogu, a kiedy już to zrobił, zrozumiał, że Raina miała rację, każąc mu się przygotować.

Najpierw zobaczył fragment czarnych włosów na tle jasnych zasłon i błękitnego nieba, widocznego za balkonowym oknem. Rose znajdowała się na samym środku ogromnego łóżka, półleżąc, z głową opartą o poduszki i z nogami wyciągniętymi pod pościelą. Ubrana była w beżową koszulę o szerokich rękawach, obszytą

eleganckimi koronkami, na gust Vasa za ciepłą jak na panującą pogodę. Okna w pokoju były uchylone, zapewne po to, by choć trochę wywietrzyć zapach ziół i leków, przez co pomieszczenie nie należało do najchłodniejszych. Ona jednak zdawała się nie zwracać na to uwagi, bo kołdra i narzuta przykrywały ją aż po pierś. Dopiero gdy podszedł bliżej, dostrzegł, że ta zdrowa, nieobandażowana drobna dłoń spoczywająca na pościeli jest blada, wręcz sina, trzęsie się jakby z zimna...

– Rose? – powiedział cichutko, mając nadzieję, że znajome zawołanie zwróci jej uwagę i skojarzy się z czymś dobrym. Ona jednak drgnęła niespokojnie i momentalnie odwróciła się w jego stronę.

Na początku nie wierzył w to, co widział. To nie była Rose, nie była do niej podobna, absolutnie nie wyglądała jak ona.

Czarne włosy wcale nie były takie czarne, jak mu się na początku wydawało. Były szare, wyblakłe i splątane w niedbały warkocz. Pasemka wystawały z niego na wszystkie strony, potargane i pofalowane, jakby zapomniały, że przecież powinny skręcać się w idealne spiralki. Tuż przy skórze było ich znacznie mniej niż zazwyczaj, przez co Vas miał wrażenie, że cała fryzura trzymała się tylko przypadkiem, jakby ktoś położył nieudaną perukę na jej ogolonej głowie. To, co kryło się za włosami, również nie napawało optymizmem, począwszy od szarej, wręcz przezroczystej skóry twarzy, naznaczonej czerwonymi naczynkami i żyłkami. Kości policzkowe wyzierały na zewnątrz, zbierając cienie na wklęsłych policzkach, ogromne sińce rozkwitały wokół oczu, na powiekach, nosie i ustach...

Mało było miejsca na jej twarzy, które by nie spłynęło krwią. Od czerwieni, przez fiolety, aż po żółcie i zielenie... Widok był makabryczny. Nie mógł na to patrzeć, a przecież przed przyjściem do niej wiedział, że Rose jest w kiepskim stanie. Wiedział o złamanym nosie, który dopiero niedawno mógł być uwolniony spod góry opatrunków, o skręconej ręce, połamanych żebrach... Widział jej zmasakrowane ciało, gdy umierała na ich rękach, widział blade, trupie oblicze w świątyni podczas rytuału i wtedy było to bolesne, ale nie tak przerażające. Gdy obmyto ją z brudu i krwi, wyglądała tak, że był w stanie wmówić sobie, że śpi. Teraz jednak, gdy wraz

z pierwszym oddechem krew zaczęła od nowa krążyć w jej żyłach, wszystko to wróciło, rozkwitło niczym kwiaty na wiosnę i zebrało się w dramatyczną mozaikę ran, sińców i otarć.

Przerażało go, jak źle wyglądała. Stał w przedsionku i liczył w głowie dni, które upłynęły od jej wskrzeszenia.

Minęły tygodnie, a ona nadal nie dochodziła do siebie, jakby jej organizm nie radził sobie z poprawnym funkcjonowaniem. Zazwyczaj złamany nos goił się już po tygodniu, u zdrowego człowieka wystarczyło kilka dni, by chrząstki zaczęły odrastać i łączyć się ze sobą. Wiedział o tym doskonale, bo w leżu nie raz patrzył, jak jego matka nastawia połamane kości przyjaciół i krewnych. Vas sam połamał kiedyś żebra, spadając z grzbietu Oomany na odśnieżony bok. Takie urazy były bolesne, ale nieszkodliwe. Wystarczył czas, dobre maści, odrobinę mniej ruchu, ewentualnie ćwiczenia dla wzmocnienia mięśni, a tu...

Nawet błękit jej tęczówek tonął we krwi. Całe białko lewego oka i połowa prawego pokryte były krwistymi wylewami, pasującymi do opuchlizny zaczerwienionych powiek, która przechodziła przez grzbiet nosa i kończyła się dopiero nad górną wargą. Widział ślad po rozcięciu po prawej stronie pełnych ust, w miejscu, gdzie prawdopodobnie jeszcze kilka dni temu znajdował się strup. Przez głowę przeszła mu myśl, że jeżeli na jej niewinnej twarzy zostanie jakakolwiek widoczna blizna...

Minęła chwila, dreszcz, który przeszył ją na dźwięk głosu Vasa, zniknął i został zastąpiony niewidzącym spojrzeniem czerwonych oczu. Nie odezwała się, nie wzięła nawet głębszego wdechu ani się nie poruszyła. Jej reakcja, poza tym jednym wzdrygnięciem, była... pusta, bierna, żadna...

– Rose? – powtórzył tym razem w mowie wspólnej, zastanawiając się, czy może brak jakiegokolwiek reakcji był wynikiem zapomnienia języka smoków. Tuż po tym, jak wróciła do życia, nie czuła swojego ciała, nie mogła się ruszać ani mówić. Może podobnie bezwładny był także jej umysł... – Mogę wejść?

Odpowiedziała mu głucha cisza.

Vas przełknął ślinę i zaczął liczyć własne oddechy. *Jeden, dwa, trzy, cztery...* Doszedł do piętnastu, gdy nagle jej usta się poruszyły.

– Vas – charknęła cichutko. Z trudem zrozumiał swoje imię wypadające spomiędzy jasnych, pełnych warg.

Zrobił krok w przód i dostrzegł, co powodowało taki, a nie inny ton. Krtań, a właściwie całą szyję, miała opuchniętą, brązowo-żółtą w miejscu, gdzie dusił ją Tomas.

– Tak, mała, to ja – powiedział z nadzieją w głosie, czując, jak kamień spada mu z piersi. Ulga, że go poznała, zaczęła napychać mu łzy do oczu. – Tak się cieszę, że cię widzę...

Odwróciła powoli głowę i spuściła wzrok, wbijając go w pościel i swoje dłonie. Prawą rękę, zawiniętą w gruby biały bandaż, usztywnioną kawałkiem wąskiej deseczki, trzymała na udzie, a drugą, wątlą, o chudych palcach, zacisnęła na kołdrze.

– Jak się... czujesz? – zapytał, już przy drugim słowie zawieszając głos. Zanim jego usta skończyły wypowiadać to pytanie, przeklął się w duchu kilka razy.

Odpowiedź była prosta. Oczywista. A to pytanie... Kompletnie głupie i nie na miejscu. Vas skarcił się za nie w duchu.

– Mam coś dla ciebie. – Na chwilę odzyskał rezon i przypomniał sobie, po co tu przyszedł.

Powoli sięgnął pod marynarkę, gdzie w wewnętrznej kieszeni schował podarunek przekazany przez Anamitę. Była to piękna, mieszcząca się w dłoni szkatułka w kształcie elipsy, z misternie zdobionym smokiem na wieczku. W kulturze jeźdźców służyła za swego rodzaju urnę, w której jeźdźcy składali pierścienie po śmierci swoich smoków, aby oddać hołd poległej duszy. Potem to od nich zależało, co z nią zrobią. Wielu zakopywało szkatułkę w ziemi, inni wrzucali ją do ognia, który roztopiał wątlą metal i na zawsze zamykał w sobie niezniszczalną obręcz. Jeszcze inni wyrzucali puzderko do morza, a wszystko po to, by lepiej poradzić sobie ze stratą.

Nikt nigdy nie mówił o tym, jakie było to uczucie. Sam Vas nie znał dotąd osobiście ani jednego jeźdźca, który by tego doświadczył. Zazwyczaj smoki żyły tak długo, jak biły serca ich towarzyszy. Zdarzało się, że najstarsze smoki znacząco przekraczały granicę swojego ostatecznego wieku, byleby tylko strzec swojego jeźdźca aż do końca. Padały tuż po nich, synchronizując ostatnie oddechy.

Szkatuły miały być metaforą. Miały zamknąć cierpienie, symbolizować spokój i pogodzenie się z bólem, który w sobie

skrywały.

Podobno to pomagało. Anamita opowiadała im, że każdy smok prosił o ten rytuał swojego jeźdźca, mając nadzieję, że gdy coś pójdzie nie tak i jeździec zostanie sam na tym okrutnym świecie, ten drobny rytuał pomoże poradzić sobie ze stratą.

Vas miał ogromną nadzieję, że tym razem będzie podobnie, więc pozwolił sobie powoli przejść w głąb pokoju i obejść łóżko od strony nóg. Rose w tym czasie uważnie śledziła jego ruchy kątem oka, co jakiś czas rozluźniając i zaciskając dłoń na fałdzie kołdry. Denerwowała się? Bała?

– Mama chciała, żebym ci to dał – powiedział łagodnie, tonem spokojnym i opanowanym, choć przyszło mu to z wielkim trudem. Widząc jej drugi profil, jego żołądek ścisnął się w ciasny supeł. Tomas był praworęczny, toteż lewa skroń Rose i jej cały policzek wyglądały o wiele gorzej niż reszta twarzy. Poza tym, kiedy znalazł się trochę bliżej, Vas dostrzegł bandaże wystające ponad dekolt koszuli, opinające całą wąską klatkę piersiową księżniczki.

Przystanął jakieś pół metra od krawędzi łóżka i wyciągnął rękę, na której spoczywała szkatułka. Wzrok Rose momentalnie poszybował w jej stronę i, ku przerażeniu Vasa, przyćmił się wilgocią.

– Nie chcę – mruknęła tym samym słabym, zachrypniętym głosem, przez ściśnięte gardło. Łzy spłynęły jej po policzku, gdy odwróciła wzrok i wbiła go w coś znajdującego się naprzeciwko łóżka.

Stał zszokowany z wyciągniętą ręką, patrząc, jak cierpienie rozlewa się po jej już nazbyt bolesnym obliczu. *Co ja narobiłem? Dlaczego w ogóle tu przyszedłem i jeszcze dokładam jej smutku?* Momentalnie potrzeba cofnięcia się, ucieczki od tego bólu, wzburzyła się gwałtownie w Vasia.

Raina ostrzegała go, by w takim przypadku nie próbował się zbliżyć, widząc jej łzy albo smutek nie sięgał do jej dłoni, nie próbował jej obejmować, co w tej konkretnej chwili wydawało się kompletnie absurdalną prośbą. Ogarniało go tak okrutne przerażenie, że jedynym ruchem, na który było go stać, było cofnięcie się. Zamknięcie w sobie, skrucha i nieskończona rozpacz. Żal do samego siebie, że to wszystko w ogóle się działo.

Prawdziwe załamanie uderzyło Vasa dopiero, gdy zrozumiał, że cieszy się z utraty smoczej więzi.

Od razu znienawidził siebie za takie myślenie. Przeklął swój żywot, bo odważył się na tak okropną myśl. Nie mógł uwierzyć, jak śmiał rozważać całą tę sytuację pod kątem własnej ulgi. Uważał, że powinien ogromnie cierpieć, żyjąc ze świadomością utraty tego połączenia, a tymczasem doszedł do wniosku, że gdyby nadal był jej *ātmā sāthi*, musiałby poradzić sobie nie tylko z własnym sumieniem i porażką, jaką ponieśli, pozwalając Tomasowi ją skrzywdzić, ale także z jej katorgą, zarówno tą psychiczną, jak i fizyczną.

Pomyślał, że jest głupcem mającym czelność do niej przychodzić.

– Przepraszam – jęknął, czując jak łyzy cisną mu się do oczu. Nienawidził tego uczucia. – Tak bardzo cię przepraszam – dodał w języku smoków.

Rose dalej płakała, nie przejmując się tym, że łyzy spływają jej po twarzy i giną w kołnierzu koszuli. Nawet ich nie otarła, jakby nie miała już na to siły. W ogóle się nie poruszała i siedziała tak, z drżącymi powiekami przysłaniającymi jej puste spojrzenie, co było dla Vasa po stokroć gorsze, niż gdyby miała szlochać, łkać głośno i wyraźnie, nie mogąc poradzić sobie z tym całym bólem.

– Nie płacz. Proszę – powiedział, jednocześnie zdając sobie sprawę, jak głupie były to słowa. Niepotrzebne i nieskuteczne, bo sam nie mógł się im podporządkować.

Stał oniemiały, zdjęty strachem i pełen skrajnych emocji, z żołądkiem coraz bardziej wykręcającym się we wnętrzu. Gorączkowo szukał sposobu na wyrwanie się z impasu, w którym się znalazł.

Przekonywał sam siebie, że musi wyjść, oderwać od niej wzrok i przynajmniej spróbować wymazać ze wspomnień tę okrutną, obrzydliwą masakrę, ponieważ wiedział, że każda kolejna sekunda spędzona w tym pokoju tylko pogarsza sytuację. Był o krok od poddania się, szaleństwa, po którym nigdy nie odzyska zmysłów. Będąc praktycznie na granicy wytrzymałości, zmusił się, by wykonać ostatni spokojny ruch, postawić szkatułkę na stole i wycofać się, zniknąć za rogiem w cieniu korytarza. Potem wystarczyło przedostać się na drugą stronę drzwi, wziąć głębszy oddech powietrza wolnego od ziołowego zapachu, spojrzeć na brata i...

– Vas? – rzucił tamten przerażony i momentalnie rozluźnił ramiona, które trzymał złożone na piersi.

– Zawiedliśmy, kurwa, Veer, zawiedliśmy – zawył Vas, pozwalając łzom płynąć, jednocześnie zasłaniając twarz dłonią.

Gdzieś obok była Raina i strażnicy, którzy zamknęli za nim drzwi. Nie słyszał ich jednak, nie zwracał uwagi, po prostu szedł przed siebie wściekły, na granicy wytrzymałości.

– Vas, prze...

– Nie! – wydarł się, eksplodując. Veer momentalnie zamilkł i otworzył szeroko oczy. – Nie.

– Nie twoja wina – zdążył jeszcze powiedzieć, a następnie złapał brata za przedramię i ścisnął mocno.

– Moja! Twoja! Nasza! – zagrział Vas, próbując mu się wyrwać, nie mogąc znieść tego, że próbował, że w ogóle śmiał go uspokajać.

– Nasza wina, że nie powstrzymaliśmy tego bydlaka, że nie daliśmy rady temu ścierwu, że zdążył tak bardzo...

Veer złapał go w objęcia, dłonią przyciągając za szyję do swojego obojczyka i przygniatając ramionami rozedrgane, szalejące ręce. Trzymał go mocno i tak długo, aż Vas przestał się szarpać, a wrzask przerodził się w cichy, żaloszny szloch.

– Nie dałem rady, Veer... Trudno mi było nawet na nią patrzeć...

– W porządku – szepnął mu do ucha i pogłaskał po plecach, tak samo jak robiła to mama, jak robił to on sam, gdy byli dziećmi ze stłuczonymi przy upadku kolanami. Było to zanim Vas nauczył się, że nie każde otarcie warte jest płaczu. Z tej perspektywy to wspomnienie należało do innej epoki.

– Nie wybaczę sobie, Veer. To straszne.

– Wiem – mruknął. – Ale przejdziemy przez to.

– Chciałabym, żebyście odwiedzali ją coraz częściej – poprosiła Raina, która musiała spokojnie iść za nimi i czekać na odpowiedni moment. Veer wypuścił brata z objęć, a Vas poczuł jej dłoń na ramieniu. – Musi zacząć oswajać się z waszą obecnością, na wypadek gdyby sprawy w stolicy się pokomplikowały.

– Co masz na myśli? – zdziwił się Veer. Vas w tym czasie odsunął się odrobinę na bok, by złapać oddech.

– Poważnie rozważam możliwość, że trzeba będzie przenieść Rose w bezpieczniejsze miejsce. Glandir nie zapewni jej spokoju na zbyt długo, dlatego myślałam o nadmorskiej rezydencji Falaus.

– Przewidujesz jakieś problemy?

– Na tym etapie rozważam wszystkie możliwości – wyznała zrezygnowana. – Nie mogę być pewna, że aktualny spokój będzie dalej trwał. Dodatkowo z Bashem, zamkniętym w kwaterach namiestnika. Obawiam się, że to na was spadnie opieka nad Rose.

– Raino, co się dzieje? – zapytał Vas, zaniepokojony jej słowami.

– Nie przejmujcie się tym teraz. Bądźcie przy niej i przygotujcie się na wyjazd.

– Jeśli odeślesz naszą trójkę, zostaniesz w stolicy absolutnie sama

– zauważył Veer. Po tonie brata poznał, że równie mocno się zmartwił.

– Na tronie od zawsze było miejsce tylko dla jednej osoby. Dam sobie radę – zapewniła chłodno.

CZĘŚĆ TRZECIA

Rozdział 30

FIYONN

Poza myślami, które męczyły go już od kilku nocy, Fiyonn zastanawiał się, co stało się z krukami, które leciały za nim na klif. Żaden ptak nie przeleciał przez bramę. Czy szukają go po okolicy, całkowicie zbite z tropu, zagubione? A może już czekają na niego przed wejściem do Domu Niji i wystarczy chwila, aż patrolujące oddziały zorientują się, że zbiegły królewski brat znajduje się zaledwie kilkadziesiąt metrów od nich. Fiyonn liczył na to, że starszyzna petramich rzeczywiście zgromadzi się o świcie, by podjąć decyzję w kwestii bram, bo w innym przypadku mógł spotkać się z Antoinette w zupełnie innych okolicznościach, niż to zaplanował.

Kiedy wczesnym rankiem wyczuł na korytarzu dwa źródła zbliżające się do jego drzwi, siedział już przy stole. Mina Datra weszła do środka, trzymając w rękach tacę z prostym posiłkiem, a za nią podążał stary Eilo.

– Nie mogliśmy pozbawić arcyksięcia śniadania – rzekł, gdy Mina stawiała przed Fiyonem tacę. Nie był on jednak zbytnio zainteresowany jedzeniem.

– Czy decyzja zapadła? – spytał zimno.

Eilo powoli odsunął krzesło naprzeciwko i usiadł, lekko wzdychając. Choć wyglądał bardzo dobrze, sposób, w jaki się poruszał, wskazywał na jego sędziwy wiek.

– Tak, arcyksiążę. Myślałem, że nasze dyskusje w czasie wojny były burzliwe, ale ta przeszła moje wszelkie oczekiwania. – Począł, aż Mina zajmie miejsce obok niego, po czym podjął wątek: – Starszyzna zdecydowała, że w świetle aktualnych wydarzeń nie możemy utrzymywać wiedzy o bramach w sekrecie. Od początku istnienia naszej społeczności zachowywaliśmy niezależność i naturalność, jednak... – pokręcił głową. – Zbyt wiele się zmieniło.

Fiyonn siedział przez chwilę wpatrzony w przestrzeń. Myślami odbiegł gdzieś daleko, widząc całe spektrum nowych możliwości, które miał do odkrycia.

– Świat poszerza się zatem na naszych oczach – powiedział cicho. – Musi się na chwilę jednak skurczyć.

– Co jego książęca mość ma na myśli? – spytała Mina.

– Obawiam się, że żołnierze Korony mogą wkrótce trafić na mój ślad. Kruki ich nakierują. Z pewnością już mnie odnalazły i krążą wokół wejścia.

– Proponuję zatem, bym udała się z arcyksiężciem do Klipetaighu. Tam rozpoczniemy nauki – zaproponowała niespodziewanie Mina. – O ile oczywiście dostanę pozwolenie.

Spojrzała sugestywnie na Fiyonna. Spodziewał się, że będzie prosić Eila o opuszczenie Domu Niji, a to ona pytała o zgodę na wejście do Klipetaighu. I choć była to rozsądna propozycja, bo nikt nie zakłócałby ich spokoju, Fiyonn miał opory przed przyprawieniem do domu nad klifem kogoś obcego.

Przez chwilę walczył sam ze sobą. Mina Datra okazała mu zaufanie, przeprowadzając go właściwie bez słowa przez bramę. Bezwzględnie zaryzykowała – starszyzna mogła zdecydowanie potępić jej decyzję. Krótka wymiana spojrzeń rozgrywająca się między nimi była zaproszeniem do wyrównania rachunków.

– W tej chwili nie ma innego rozwiązania – oświadczył Fiyonn.

Kącik ust Myny uniósł się w górę.

– Nie traćmy zatem czasu.



W drodze do bramy towarzyszyli im ci sami dwaj mężczyźni, którzy utworzyli przejście na klifie. Mina przedstawiła ich Fiyonnowi, ale nie trapił się zapamiętywaniem ich imion.

– Petramich posiadających umiejętność otwierania bram nazywamy nawigatorami – rzuciła przez ramię, prowadząc go korytarzem. – Mam nadzieję, że lekcje prowadzone w ruchu nie będą dla księcia problemem.

– Od początku wiedziałaś o Klipetaighu – zauważył Fiyonn. – To ty wymówiłaś na klifie tę nazwę po raz pierwszy.

– A księżę nie zaprzeczył. Nietrudno było się domyślić, gdzie się ukrywasz, skoro jego wysokość do tej pory cię nie odnalazł, a postawił przeciw na nogi całe królestwo.

– Pragniesz zobaczyć siedzibę Cór Moiry na własne oczy? O to chodzi?

Mina zatrzymała się i powoli odwróciła. Była od niego niższa, nic jednak w jej postawie nie wskazywało, że peszyła ją ta różnica wzrostu. Śmiało zadzierała głowę do góry, by spojrzeć mu w oczy.

– Księżę musi zrozumieć, że otwarcie bram domu nad klifem jest wydarzeniem tak samo ważnym jak powrót Kruczej Wiedźmy. Dla petramich również. Sam księżę wspomniał przysięgę złożoną przez naszych przodków Mędrcomi, Niji i Moirze. Nie angażujemy się w waszą politykę, ale doskonale wiemy, co dzieje się na dworze, oczy i uszy mamy szeroko otwarte.

Co wie?, pytały głosy same siebie. *Coś słyszała. O czymś nam nie mówi.*

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Wiedzieliśmy, że Krucza Wiedźma jest w Gnieździe, choć królewski brat wyjechał. – Degradujący Fiyonna tytuł wypowiedziała z wykrzywionymi z niesmakiem ustami. – Wiedzieliśmy, że interesuje się nią gubernator Habijev, a jej pojawienie się zainteresowało Halaman. Dobrze się składa, że akurat na dalekim południu wybuchła rewolucja, czyż nie? Los nam sprzyja.

Datra nie była kobietą, która cokolwiek robiła sobie z jego statusu. Fiyonn wyobrażał sobie, że nie miało znaczenia, czy rozmawiałaby z nim, z Valiantem, czy z pierwszym z brzegu Tesarytczykiem, mówiłaby pewnie tak samo zdecydowanie.

– Masz rację, sprzyja – rzekł. – Dlatego należy go słuchać.

Resztę trasy pokonali w ciszy. Gdy dotarli do ciemnej sali na końcu korytarza, Mina przepuściła przed siebie obu nawigatorów, po czym spojrzała na Fiyonna.

– Otwieranie bram jest odłamem magii zaklania. To dość proste, jeśli znasz metaforę świata porównanego do płótna.

Oczywiście, że ją znał. W ten sposób tłumaczono działanie magii nawet małym dzieciom od dziesiątek lat.

– To, co robią nawigatorzy, jest tworzeniem rozdarcia w tkaninie. Następnie przechodzi się do samego zaklania, czyli umieszczenia intencji w przedmiocie – w tym wypadku w samej bramie. Intencja ma dotyczyć kierunku, w jakim będziemy podróżować. Z kolei zamknięcie bramy można przyrównać do zszycia tkaniny z powrotem.

Fiyonn patrzył przez chwilę na nawigatorów przygotowujących się do rytuału, po czym zwrócił się do Myny.

– Nie brzmi to jak bardzo skomplikowany proces – stwierdził.

– To prawda. W gruncie rzeczy magia jest bardzo prosta. Nie każdy jednak o tym wie.

Mężczyźni zajęli identyczne pozycje co poprzednio – klękali naprzeciwko siebie, jedną dłoń trzymali na ziemi, drugą opierali o kamień wzmocniony magią. Z zamkniętymi oczami wypowiadali tekst, który dzięki nadanej mu intonacji brzmiał jak jedna z tesaryckich modlitw. Fiyonn potrzebował chwili, by zrozumieć, że znał te słowa i rzeczywiście była to modlitwa, zmówiona w staropółnocnym. Jedynie niektóre fragmenty zostały lekko zmienione.

– To Wołanie o Troskliwe Oko – zauważył Fiyonn, co Mina skwitowała kiwnięciem głowy.

– Zgadza się. Istnieje kilka wersji Wołania, ale nasi przodkowie wybrali tę, bo najbardziej pasowała do tworzonej inkantacji. Chodzi tu głównie o wzmocnienie siły intencji. To błaganie o to, by udało się na chwilę rozedrzeć świat i nie uszkodzić go na stałe.

– Proszę wszystkich moich przodków czuwających nade mną, o rozświetlenie drogi, która podążam. – W pustej wysokiej sali głosy mężczyzn były doskonale słyszalne. Tym razem wiatr nie przeszkodził Fiyonnowi w słuchaniu. – Proszę wszystkich moich przodków o użyczenie mi siły ich ramion. Proszę wszystkich moich

przodków o ich mądrość, bym nie mylił się w osądzie. Proszę wszystkich...

Minęła chwila, a między nawigatorami pojawiła się szczelina, która z każdą chwilą się poszerzała. Światło jasnyniebieskich latarni wymieszało się z bladym blaskiem magii. Gdy brama stanęła przed nimi otworem, Mina podeszła do niej z pewnością, która sugerowała, że przechodziła przez nią już wiele razy.

– Wie już księżę, jak to wygląda – powiedziała. – Proszę zatem podążać za mną.



Drogę z klifu do Klipetaighu byli zmuszeni pokonać pieszo. Fiyonn nie wiedział, czy dwukrotne przejście przez bramę sprawiło, że był taki znużony, czy chodziło bardziej o podróżowanie między miejscami nasyconymi magią. Szedł zatem powoli, niekiedy nieelegancko szurając butami po ścieżce wydeptanej wzdłuż wybrzeża. Reszkę sił przeznaczył na słuchanie wykładu towarzyszącej mu petrami, która zdecydowała, że nie będą tracić ani chwili. Tylko od czasu do czasu Fiyonn przerywał jej pytaniami.

– Czy wszyscy petrami są nawigatorami?

– Nie. Wielu ma do tego predyspozycje, ale tylko niektórzy posiadają dar pozwalający im otwierać bramy.

– Jak przebiega proces nauki?

– Samo otwarcie wymaga wielkiego skupienia i daru, który będzie w stanie udźwignąć świadomość tego, że człowiek jest w stanie rozedrzeć materię świata.

– Czy Krucze Wiedźmy były w stanie to zrobić?

– Dlaczego mam wrażenie, że choć księżę zadaje mi to pytanie, zna już odpowiedź?

Część drogi pokonali plażą, część ścieżką wytyczoną przez wiejskie wozy. Szli przez pola, trzymając się na dystans od głównego nadmorskiego traktu. Fiyonn nie miał wiedzy, jak wiele oddziałów patroluje tę okolicę, a nie chciał w towarzystwie Datry sprawdzać okolicy za pomocą kruków.

Gdy dotarli na miejsce, służąca uchyliła przed nimi drzwi, przez co widać było tylko jej wielkie błękitne oko, w którym gnieździł się lęk. Zgadywał, że zdenerwowała się, gdy nie wrócił na noc. Wpuściła ich do środka i odetchnęła głośno z wyraźną ulgą. Fiyonn polecił jej przygotować herbatę i jakiś porządny posiłek, głównie po to, by nie przeszkadzała i zajęła sobie czymś ręce.

Datra straciła odrobinę swego animuszu. Pokręciła się po hallu i salonie, ale nie nalegała, by Fiyonn oprowadził ją po pozostałych pokojach. Wyglądała na kogoś, kto z jednej strony nie wierzy, że znalazł się w domu nad klifem, a z drugiej nie wie, jak przyswoić wszystko, co się w nim znajdowało.

– To święte miejsce – orzekła, gdy zakończyła swój krótki obchód.
– Zgromadzona tu wiedza wypełni wszystkie ubytki w waszych archiwach.

Fiyonn, który zajął miejsce w fotelu, założył nogę na nogę.

– Zapewne znalazłyby się tu księgi mówiące o bramach, ale znalezienie ich zajęłoby mi zdecydowanie zbyt dużo czasu, niż mógłbym na to poświęcić.

Przez chwilę kobieta oglądała gobelin wiszący nad kominkiem, ten sam, o którym Fiyonn wspominał pod górą. Potem dopiero usiadła i pozwoliła służącej nalać sobie herbatę. Odezwała się dopiero, gdy zostali sami.

– Ta mapa nie jest kompletna – powiedziała, sięgając po filiżankę.
– Brakuje południowej części kontynentu.
– Masz więc pewność, że i tam znajdują się bramy.
– Mam pewność, bo dzięki nim część starszyny regularnie podróżuje na południe.

Fiyonn zacisnął dłoń na krańcu podłokietnika. Mina nie kłamała, jego magia nie reagowała.

– Książę musi zrozumieć, że leży na mnie teraz wielka odpowiedzialność. Nie wiem, czy za kilkadziesiąt albo kilkaset lat nie zostanę przez moich dziedziców osądzona za zdradę.

– Czy chcesz powiedzieć, że przez te wszystkie lata, kiedy nie kontaktowaliśmy się ze Zjednoczonym Królestwem, petrami swobodnie przenosili się na południe i z powrotem?

Kobieta zawahała się. Widać było, że intensywnie myśli nad tym, co chce powiedzieć.

– Tak. Ale te podróże były niezwykle rzadkie i wynikały z konieczności – odparła w końcu. – Kontaktowaliśmy się wyłącznie z naszymi braćmi na południu, a nie z władcami tamtejszych królestw. Musieliśmy wiedzieć, że są bezpieczni i wciąż mogą chronić bramy.

– Czy to ta część, w której mówisz, dlaczego je zamknięto? – zagadnął Fiyonn, przekrzywiając lekko głowę.

– Księżę zna historię, nie będę więc opowiadać o tym, jak napięte były relacje między Elendorem i Tesarythem, kiedy rządziła twoja przodkini Olgha Corvus.

– Uniknięcie eskalacji konfliktu w tamtym czasie uważa się za cud – wytknął Fiyonn. – Z perspektywy tesaryckich historyków to wielki polityczny sukces królowej.

– Z naszej perspektywy z kolei najważniejszym elementem tej historii jest fakt, że oba królestwa handlowały dobrami, które nie należały do nich – powiedziała Mina. – Tworzenie kamieni nasyconych magią nigdy nie było tesarycką sztuką, tak samo jak opieka nad smoczymi jajami nie należała do elendorczyków.

– Południowi petrami byli opiekunami smoczych jaj? To wasza tradycja?

– Oni zapewne nie zgodziliby się na określenie ich petramimi. – Mina skrzywiła się. – Wiele nas łączy, nasze drzewa rodowe są ze sobą silnie splecione, ale mamy o wiele więcej wspólnego z kuzynami z Gallawethu.

Fiyonn przywykł do myśli, że w całym Tesarycie nie było już osoby, która mogłaby go czegokolwiek nauczyć. Dlatego to on przejął rolę nauczyciela – dzielił się swoją wiedzą z Antoinette, mając na uwadze, że musi być ostrożny. Nie znał jej wtedy dobrze. Potrzebował czasu, by ocenić, jak wiele może jej powiedzieć. Musiał jednak przyznać, że ponowne wcielenie się w rolę kogoś, kto się uczy, a nie naucza, sprawiło mu przyjemność.

– A zatem? Co stało się z bramami? – zapytał.

– Zaczęło istnieć zagrożenie, że świat... Cóż, nie będzie go można z powrotem zszyć. Niech księżę wyobrazi sobie tkaninę świata – te miejsca, które są najczęściej rozrywane, wcale nie są mocniejsze dzięki świeżym ściegom. Wręcz przeciwnie.

– W dniu, w którym pęknie świat, Czas umrze, a Los przywoła nas wszystkich do siebie – wyrecytował Fiyonn powoli.

Był to fragment niedokończony przez Mędrca *Przypowieści o końcu*. Składała się zaledwie z kilkunastu zdań i stała się zapisem jednej z wizji ukazanej Mędrcomi przez Los. Wizji, w której kończył się świat.

Fiyonn wiedział, że część mówiącą o pęknięciu można było interpretować w odniesieniu do metafory świata jako tkaniny, lecz nie odgadłby, że ma to jakiś związek z bramami.

– Pewnego dnia pęknie, tak czy inaczej – Mina uśmiechnęła się smutno. – Nasze klany nie zamierzają się jednak do tego przyczynić. Jako strażnicy bram staliśmy się naturalnymi strażnikami tkaniny świata.

Mina upiła łyk herbaty, po czym spojrzała na niego poważnie.

– Największe bramy znajdują się w trzech świętych górach rozsianych po kontynencie – kontynuowała. – Dwie znajdują się na północy, a jedna na południu. Gdy przenosiliśmy się z Wiedźmiego Klifu do Domu Niji, wystarczył tylko jeden zespół nawigatorów otwierający przejście. Tak działają bramy między punktami wyznaczonymi na gobelinie. Niech książę sobie teraz wyobrazi, że zamieszkuje w Domu Niji. Załóżmy, że jego wysokość Valiant Corvus również zna sekret otwierania bram. Czy czułby się książę bezpiecznie z myślą, że może on w każdej chwili otworzyć przejście do pańskiego domu?

To Fiyonnowi wystarczyło. Datra jasno zobrazowała poziom zagrożenia, z którym musieli się mierzyć jej przodkowie.

– Przez większość czasu bramy, których strzeżemy, są zapieczętowane tramantem. Jego działania nie muszą chyba przedstawiać.

Zacisnął zęby, powstrzymując się przed rzuceniem uwagi, która mogłaby przedwcześnie zakończyć ich spotkanie. Kobieta wiedziała więcej, niż zakładał. Musiała słyszeć o tym, jakich zniszczeń w jego ciele i umyśle dokonał tramant. Minęło jednak wiele lat i rany zdążyły się zagoić. Przynajmniej częściowo.

– Powiedziałaś, że przy przenoszeniu się między punktami z gobelinu wystarczy tylko jeden zespół nawigatorów – zauważył

Fiyonn przytomnie. – To sugeruje, że istnieją jeszcze inne możliwości.

W tamtej chwili, gdy był tak blisko celu, nie miał ochoty na filozoficzne dywagacje o końcu świata. Czuł, że powinien pomówić o tym z Miną, upewnić się, czy powrót do magii bram jest na pewno bezpieczny, skoro niesie ze sobą takie ryzyko, dowiedział się już jednak tak wiele, że nie potrafił się wycofać. Na wyciągnięcie ręki miał kogoś, kto potrafił udzielić mu wsparcia w rozwiązaniu najbardziej skomplikowanego z trapiących go problemów.

– To trudne zagadnienie, bo łączy się z tym, jak w ogóle działa otwieranie bram – wyjaśniła Mina. – Gdyby książkę chciał przenieść się w miejsce inne niż te, o których do tej pory rozmawialiśmy, musiałby mieć dwie pary nawigatorów, po dwóch stronach, którzy otwieraliby bramę jednocześnie. Wyjątkiem są osoby o... potężnym magicznym potencjale. Ktoś taki jest w stanie otworzyć bramę z obu stron, nawet jeśli przenosi się w miejsca, które nie mają z magią wiele wspólnego.

– O jak dużym potencjale mowa?

– Ostatnią osobą, która była w stanie robić coś takiego, była Tatiana Corvidae.

– Doprecyzuję pytanie – poprawił się Fiyonn. – Czy ja mogę otworzyć bramę samodzielnie?

Edwina już raz wspomniała o swoich krewniaczkach otwierających bramy, spodziewał się więc, że Mina wspomni o Tatianie albo innej Kruczej Wiedźmie. Bardziej interesowało go jednak, czy dziedzice Mędrca również mają taką możliwość. Jeśli nie – będzie do pewnego stopnia uzależniony od petramich, a tego chciał uniknąć.

– Cóż... – zastanowiła się Mina. Odwróciła głowę i zacisnęła dłonie na kolanach, jakby się wahała. – Nie mamy zapisów o Oldze Corvus korzystającej z tej umiejętności...

– Moja przodkini Olgha była znana raczej ze swoich politycznych decyzji niż z magicznych umiejętności – zauważył Fiyonn.

– Byli jednak władcy, którzy posiadli tę umiejętność, choćby królowa Odhelie, a także jej ojciec...

– Czy otwierali je sami?

– Obawiam się, że nie. Zawsze towarzyszyli im nawigatorzy.

Fiyonn zacisnął mocniej zęby, powstrzymując westchnienie irytacji.

– A co z tobą? Jesteś nawigatorką? – spytał, nawet nie patrząc na Minę.

– Nie tak dobrą, jak ci, którzy mi towarzyszyli, ale wydaje mi się, że dar księcia uzupełniłby moje braki.

Gdy ich spojrzenia się spotkały, w oczach Datry błyszczała ciekawość.

Rozdział 31

ROSEMARY

Dawno temu, w chwili odległej jak horyzont, który często obserwowała z okien Glandiru, Rose była przekonana, że ciemność składa się jedynie z nieprzeniknionej czerni. Próżno było szukać w niej głębi lub cieni, które potrzebowały przecież światła, by powstać. Mawiano, że gdy zatoniesz w nieprzeniknionej toni pozbawionej jakiegokolwiek błysku, pozostajesz tam już na zawsze.

Teraz wiedziała, jak wielkim kłamstwem były te opowieści.

Nie wiedziała, gdzie znajdowała się przez cały ten czas, gdy wszyscy wokół cierpieli po jej odejściu. Była jednak świadoma otaczających ją obrazów: dzikiego ognia gorejącego w jej umyśle i na jej skórze oraz ogromnego, przenikliwego strachu. Początkowo paraliżującego, z czasem zaś przynoszącego pociechę. Zanim silne ręce Vasa wyrwały ją z pożogi, a głos Veera wskazał drogę, zdążyła z lęków uczynić zbroję.

Niezależnie od tego, jak bardzo wszyscy starali się jej ulżyć, Rose wciąż czuła ból. Gdy pierwotny szok minął, a oczy na nowo przyzwyczyliły się do światła wpadającego przez okna, zrozumiała, że ciężar życia ją przerasta. Wszystko wokół wydawało się zbyt wielkie i zbyt trudne do zaakceptowania. Spokojny głos Rainy brzmiał jak krzyk, a delikatne muśnięcie ramienia było jak bolesne uderzenie. Wielokrotnie chciała komuś o tym powiedzieć. Próbowwała poskładać chaos myśli w prośbę o zostawienie jej w spokoju, jednak

z ust nie wydostawały się żadne słowa. Rose nie była w stanie kontrolować łez płynących po policzkach przez tak długi czas, że była już gotowa się poddać.

– Nie dotykajcie mnie – udało jej się w końcu wyszeptać.

Służące nachylone nad jej ciałem zanurzonym w wodzie zamarły i posłały Rainie zaniepokojone spojrzenie. Siostra jak na zawołanie podeszła bliżej, machnięciem ręki nakazując dziewczynom, by zostawiły je same. Patrzyła, jak Rose próbuje niezdarnie sięgnąć po pachnące mydło i powoli bada namydloną skórę w odcieniu podobnym do marmuru.

Jak dziwnie jest mieć ciało, pomyślała Rose, patrząc na wystające spod piany posiniaczone kolana, wyczuwając nabrzmiałe żyły pod opuszkami palców. Trudno było jej śledzić zmiany na skórze prawą ręką, która nadal pozostawała tak sztywna, jakby obleczono ją woskiem. Lewa dłoń jednak metodycznie podążała śladem blednących zadrapań, stwardniałych strupów i sinych punktów.

– Nigdy go nie straciłaś – odparła Raina, przez co Rose zdała sobie sprawę, że wcześniejszą myśl powiedziała na głos.

– Podaj mi... – poprosiła, wskazując na lustro. Raina spełniła jej prośbę i kucnęła obok balii, ustawiając zwierciadło tak, by Rose mogła się w nim przejrzeć.

Początkowo sądziła, że przygląda się iluzji. Jednak gdy kobieta w lustrze wykrzywiła twarz w grymasie, Rose szybko zrozumiała, że właśnie tak teraz wygląda. Pot perlący się na czole tylko uwydatniał zszarzałą skórę, przeciętą gdzieś tam plamami różu i jasnego błękitu. Wargi, teraz zaciśnięte, spłynęły krwią w miejscu przecięcia, a w oczach...

W oczach dostrzegła coś kompletnie obcego.

– A jednak to ciało należy do kogoś innego – stwierdziła, opuszczając wzrok, by spojrzeć na swoje ręce. Zanim jednak odwróciła się od zwierciadła, miała wrażenie, że za swoimi plecami dostrzega Tomasa.

Drgnęła. Całe ciało momentalnie spięło się, a umysł nakazał ucieczkę, jednak była zbyt słaba, by podnieść się bez pomocy.

– Co się stało? – zapytała Raina. W jej głosie pojawiła się panika, a ręce momentalnie poszybowały w stronę siostry i krawędzi wanny, jakby chciała uratować ją przed zanurzeniem się.

Rose nie zwracała uwagi na jej słowa. Musiała upewnić się, że to, co zobaczyła, było jedynie wrażeniem albo przywidzeniem. Obsesyjnie śledziła teraz wzrokiem każdy fragment pokoju. Ze strachu oplotła się ciasno ramionami. Ból, który sprawiała sobie, wbijając paznokcie w ramiona, jako jedyny trzymał ją przy zmysłach. Czuła, że gdyby nie on, straciłaby nad wszystkim kontrolę.

Wizja pojawiła się znikąd, tak samo jak ciemna sylwetka Tomasa w odbiciu. Górskie szczyty pokryte śniegiem przesuwały się pod nią z niesamowitą prędkością, a we włosach i na twarzy czuła lodowaty pęd wiatru. Mimo to pod skórą szalał ogień, gorączka przysłaniała jej wzrok, ale parła do przodu, zdeterminowana, by odnaleźć...

Powrót do rzeczywistości okupiony był otępieniem i bezwładnością. Nie była w stanie nic poradzić na służące i Rainę, które sprawnie wydostały ją z kąpeli. Świadomość wróciła do Rose chwilę po tym, jak podały jej napar z tramantem.

– To na chwilę zabierze te wizje, w porządku? – zapytała jej siostra, choć wyraźnie nie oczekiwała odpowiedzi. Rose milczała.



Z biegiem czasu sen zaczął stanowić coraz słabszą pociechę. Rose przekonywała się o tym każdej kolejnej nocy, kiedy to jakieś bolesne wspomnienie albo niepokojąca wizja wstrząsały jej umysłem na tyle, by odebrać spokój. Wcześniej, gdy tylko zaczynała odpływać w niebyt, nieświadomość zabierała ze sobą ból i wstyd. W miarę jak jej ciało zaczynało się goić i powoli odzyskiwać siłę, przestało stanowić ciężar, utrzymujący ją poza granicami jawy.

Rose nagle się obudziła, bez żadnego wyraźnego powodu. Jednak tym razem coś się zmieniło. Magia stłoczona w jej żyłach pulsowała mimo starcia z tramantem. Szum fal za oknami bardziej przypominał sztorm niż leniwą nocną bryzę. Wszystkie świece zgasły, przez co pokój tonął w cieniach rzucanych przez nikłe światło księżyca, które zmieniało meble i inne otaczające ją przedmioty w przerażające kształty.

Niezdarnie podniosła się na łokciu, chcąc sprawdzić, czy ktoś jest w jej pokoju. Raina i Kamala czasami spędzały z nią noc, co sprawiało, że Rose jednocześnie czuła się jak brzemię i więzień. Nie była w stanie określić, czy robiły to z troski, czy może z obawy, dlatego też bardzo często nie dawała po sobie poznać, że nie śpi, i w ciszy obserwowała ich sylwetki.

W ciemności błysnęła nagle iskra, która szybko zmieniła się w wąły płomień świecy. Sebastian przeszedł przez pokój ze wzrokiem wbitym prosto w Rose.

– Nie – westchnęła słabo i zacisnęła mocno palce na pościeli. Zabolęło, ale i tak próbowała gwałtownie naciągnąć okrycie na spięte strachem ciało.

– Rose, nie bój się mnie – poprosił cicho Bash.

Mimo zamkniętych powiek wiedziała, że zbliżył się do łóżka. Czuła, jak z każdym jego krokiem staje się coraz bardziej widoczna.

– Nie patrz – poprosiła. – Wyjdź...

Była na skraju. Nacisk na materac tylko spotęgował wszechogarniający wstyd i strach. *Nie zbliżaj się, nie zbliżaj się, nie zbliżaj się!*

– Rosie, proszę.

Żołądek podszedł jej do gardła i tylko dlatego nie krzyknęła, choć wiedziała, że powinna.

Instynkt nakazał jej otworzyć oczy, dzięki czemu doskonale widziała moment, w którym twarz Basha znika, ukazując oblicze jej oprawcy.

To już się kiedyś wydarzyło.

– Tak, ale teraz jest inaczej – odparł chrapliwie. Znowu powiedziała coś na głos, nie zdając sobie z tego sprawy?

Był wyniszczony i odmieniony. Twarz pełną furii, którą widziały jej wspomnienia, zastąpiła maska niewzruszonego potwora. Wyglądał jak ktoś, kto w oczach i w sercu ma chaos na tyle potężny, że nie sposób jest go wyrazić ludzką postacią.

– Odejdź! – warknęła przez zaciśnięte zęby, wbijając plecy w wezglowie łóżka.

Nie miała dokąd uciec ani czym się osłonić. Przed ponownym skrzywdzeniem jej powstrzymywała go tylko jego własna wola.

Bezsilność, która ją ogarnęła, była najstraszniejszym uczuciem, jakiego kiedykolwiek doświadczyła. Zupełnie jak wtedy...

– Nie – mruknął Sebastian, sadowiąc się w nogach jej łóżka. Na jego dłoń skapywał wosk ze świecy, podrażniając skórę, ale ewidentnie mężczyzna był zbyt skupiony na niej, by to zauważyć. – Nie odejdę.

– Dlaczego? – Głos Rose zabrzmiał dużo odważniej, niż się tego spodziewała.

– Bo należysz teraz do mnie.

Spokój, z jakim mówił, obudził w niej gniew. Od tego momentu zaciskała palce na pościeli nie tylko ze strachu, ale też z furii. Całe pomieszczenie zaczęło drżeć przez zgromadzoną między nimi magię do tego stopnia, że przestrzeń dookoła zaczęła się rozmywać.

– Nie – warknęła zarówno w odpowiedzi na słowa, jak i na jego próbę zbliżenia się. W tym samym momencie, w którym wstał z łóżka, dookoła rozlała się iluzja płomieni trawiących pokój. Ale czy na pewno była to iluzja?

Zerwał się na równe nogi, sycząc z bólu, kiedy czerwone języki ognia musnęły jego skórę. Świeca wypadła mu z rąk i uderzyła w podłogę, a gdzieś z oddali dobiegł Rose smoczy krzyk. On również go usłyszał, odwracając się nagle w stronę drzwi.

Szczęk zamka momentalnie rozmył płomień, na powrót spowijając sypialnię w ciemności. Na widok zdezorientowanej Rainy, której towarzyszyli strażnicy, Rose nieco się rozluźniła, pozwalając popłynąć łzom. Siostra podeszła do niej i usiadła dokładnie w tym samym miejscu, co chwilę wcześniej jej oprawca.

– Znowu miałaś koszmary? – zapytała ostrożnie, zachowując dystans. Zdążyła się nauczyć, że dotyk nie jest czymś, czego pragnie jej siostra.

Teraz jednak było inaczej. Rose sama pochyliła się ku Rainie i opadła bez sił na jej ramię.

– Już w porządku – szepnęła Raina w jej włosy, delikatnie gładząc drżące od szlochu plecy. – Nic się nie stało.

– On... On... – sapnęła, nie będąc w stanie wyjaśnić siostrze, co właśnie się stało.

– Jesteś tu bezpieczna.

Rose bardzo chciała wierzyć w słowa Rainy. Nie mogła jednak tego zrobić, bo kiedy oparła brodę na jej ramieniu, zobaczyła leżącą na podłodze świecę.

Rozdział 32

ANTOINETTE

– Panno Corvidae?

Antoinette mrugnęła, jakby ocknęła się ze snu. Od kilku dni coraz trudniej było się jej skupić. Spotkania z uczoną z uniwersytetu były dla niej długimi egzaminami wymagającymi cierpliwości i siły. Trapiący ją wcześniej ból głowy minął, zastąpiła go ciężkość, której niczym nie dało się zniwelować. Była zmęczona i śpiąca, a słuchanie o granicach królestw północy, zmieniających się na przestrzeni setek lat, było ostatnią rzeczą, o jakiej myślała.

Najwidoczniej uczona zauważyła, że jej uczennica buja w obłokach, gdyż stuknęła długim paznokciem o stół, przy którym siedziały. Antoinette drgnęła.

– Bardzo przepraszam. Słuchałam pani, ale potem się zamyśliłam.

– Obawiam się, że nie wypada mi karać panią tak samo jak moich studentów w Krisgaldarze – uśmiechnęła się. – Czy jest coś, co chciałaby mi pani zasugerować? Jakąś zmianę w prowadzeniu naszych spotkań?

Wszystko, o czym mówiła, naprawdę ciekawiło Antoinette. Uczona przynosiła ze sobą księgi i mapy, na podstawie których tłumaczyła jej wybrane kwestie. Zmęczenie nie brało się z nudy.

Z początku Antoinette sądziła, że to zdenerwowanie ją wykańcza. Albo nieprawidłowe użycie magii. Dwa razy zaatakowała kogoś

obrazem ciemności, a w wieży oglądała przeszłość bez żadnych rekwizytów. Czy to mogło ją aż tak wyczerpać?

– Mogłybyśmy zamknąć okno? – poprosiła. – Jest tutaj dosyć chłodno.

Choć na zewnątrz świeciło słońce i pogoda generalnie dopisywała, Antoinette czuła się, jakby w pokoju panował mróz. Dłonie miała blade, a po plecach przechodziły ją dreszcze.

– Jest pani pewna, że chce dziś kontynuować? – zapytała uczona.

– Nie przerywajmy.



Obiecała sobie, że zdrzemnie się tylko na chwilę, lecz gdy otworzyła oczy, był już wieczór. Przez chwilę zdawało jej się, że to sen albo obraz zesłany przez Los, lecz wrażenie minęło, gdy odwróciła głowę. Była w swojej sypialni, drzwi zapewne zamknęła Yrsa. Mimo grubego koca, który przyjaciółka musiała na nią narzucić, Antoinette było straszliwie zimno. Kiedy uniosła się na łokciach, zorientowała się, że ma zatknięty nos i prawie nie może przez niego oddychać.

Była przeziębiona, choć w teorii nie powinno to być możliwe.

Antoinette nigdy nie przechodziła grypy. Niekiedy zmęczenie nie pozwalało jej zwlec się z łóżka, a bóle głowy, na które cierpiała, były krótkie i chwilowe. W niczym nie przypominały migreny, z jaką ostatnio walczyła. Katar ostatnim razem miała, gdy była dzieckiem, a nawet wówczas przeziębienie trwało chyba tylko dwa dni.

Fiyonn twierdził jednoznacznie, że magia chroni człowieka, który nad nią panuje. Czyżby się pomylił? Może tylko dziedzice Mędrca byli chronieni przed chorobami, a potomkinie Moiry wciąż były na nie podatne?

Zarzuciła koc na ramiona i przeszła do salonu, żeby sprawdzić, czy w kominku cały czas płonie ogień. Czuła, że powietrze jest zagrzane, ale wciąż czuła się nieswojo.

Dostrzeżone kątem oka zamieszanie na dziedzińcu przyciągnęło ją do okna. Cztery powozy zatrzymały się przed drzwiami Gniazda. Trzy były oznakowane tesaryckim krukiem, a jeden złotym jeleniem.

To oznaczało, że poza Ingvild i jej damami dworu, do stolicy wrócił także książę Delbatic. Antoinette obserwowała, jak wyłania się właśnie ze swojego powozu, ubrany w ciemny, ozdobny płaszcz, i czym prędzej podchodzi do jej wysokości, oferując jej ramię. Przyjęła je. Gdy pokonywali razem schody, wyglądali niemalże jak rodzeństwo.

W nocy Antoinette nie mogła spać, więc rozmyślała. Wpatrzona w ciemny sufit, wykorzystywała go niczym kartkę, rozrysowując na nim wszystko, czego się do tej pory dowiedziała. Valiant się bał. Rozumiał przytłaczającą siłę Vijandy. Nie zamierzał jednak zrobić nic, co mogłoby ją osłabić, a przynajmniej ani razu o tym nie wspomniał. Bez wątpienia był pod wpływem swojego wuja, namiestnika, co udowodniła wizja z przeszłości. Fiyonn z drugiej strony chciał działać, kontaktować się ze Zjednoczonym Królestwem, a następnie wypchnąć Vijandę z północnej części kontynentu. Ale wraz z kim chciał walczyć, skoro wojsko kontrolowane było przez vijandzką armię? Czyżby chciał wprowadzić na tesaryckie ziemie kolejną obcą armię i z jej pomocą dokonać zemsty?

Choć Antoinette wciąż miała wiele pytań, pewna była jednego – żadnego z braci nie interesował kompromis. Dawniej może Valiant chciał podzielić się z Fiyonem władzą, ale nieustanne odmowy odwiodyły go od tego pomysłu.

Ten konflikt musiał się zakończyć. Trwał zbyt długo. Podzielony dwór nie wzmocniał pozycji Korony, było wręcz przeciwnie. A czy Antoinette tego chciała, czy nie – ona również była teraz członkinią tego zamieszania.

Miała nadzieję, że rano poczuje się lepiej. Na tyle dobrze, by w skupieniu prześledzić kolejną radę, na którą była zaproszona. Potem planowała wybrać się z wizytą do księcia. Potrzebowała informacji. Nie zamierzała siedzieć i potulnie czekać, aż sam przyjdzie z nimi do niej.



Wracała z posiedzenia rady, która skupiała się tym razem na sprawach związanych wyłącznie ze stolicą, i nagle zauważyła, że drzwi do jej apartamentu są szeroko otwarte. Przyspieszyła kroku, zostawiając straż w tyle. Gdy stanęła w progu, zobaczyła, że w salonie rozstawione są różnego rodzaju skrzynie. Stojąca w środku tego rozgardiaszu Yrsa spojrzała na nią przepraszająco.

– To dary – oświadczyła.

– Dla mnie? Od kogo? – spytała Antoinette, otwierając pierwszą ze skrzyń.

W środku, ku jej zdumieniu, znajdowała się sterta gruszek o jasnozielonych skórkach. Gdy wzięła jedną z nich do ręki, poczuła intensywnie słodki zapach, jakby dosłownie przed chwilą ktoś zerwał ją z drzewa.

– „Dla błogosławionej Córy Moiry” – odczytała Yrsa z listu, który wyciągnęła z kieszeni roboczej sukienki. – „Podarunek ten z pewnością nie dorównuje innym, lecz mam nadzieję, że moje szczerze intencje zostaną docenione”. Dalej jest tylko krótki opis tego, co to za odmiana i czym się charakteryzuje...

Antoinette już otwierała kolejne przesyłki. W jednej znalazła zapakowane w perfumowany papier trzy czarne szale obszyte koronką i frędzelkami, całe pokryte drobnymi wzorami z błyszczących nici, w kolejnej – drobno haftowany woal, o wiele piękniejszy od tego, który nosiła do tej pory. Dostała flakony perfum, naszyjniki i róże do policzków, bele tkanin, z których można było szyć balowe suknie...

Spodziewała się przesyłek od mieszkańców Flugstadt, ale szybko wyszło na jaw, że dotarły one do Gniazda nawet z najdalszych zakątków Tesarythu.

Do każdej skrzyni dołączony został list – niektóre z nich były długie i utrzymane w oficjalnym tonie, inne zawierały zaledwie kilka zdań. Niemal wszystkie łączyło jedno, powtarzające się sformułowanie.

– „Modlimy się o wolność Kruczej Wiedźmy”? – odczytała na głos, po czym odkaslnęła, czując gulę w gardle opuchniętym od sphywającego kataru. – Przecież...

Chciała powiedzieć, że nikt jej tu nie przetrzymuje. Ale to nie była prawda.

Yrsa zaczęła studiować powoli listy dołączone do skrzyń.

– Najwidoczniej ktoś w pałacu ma zbyt długi język – wymamrotała po chwili.

– Yrso, ci ludzie nie mają co jeść – szepnęła Antoinette. – Musimy im za to zapłacić.

– Oni nie chcą twoich pieniędzy, Nette. To dary.

– Ale ja...

Łaskotanie w gardle sprawiło, że musiała odwrócić się, by wykrztusić na chusteczkę to, co tkwiło gdzieś za językiem. Wstrząsną ją kaszel, aż w oczach stanęły jej łzy.

– Powinnaś zobaczyć się z lekarzem – oświadczyła Yrsa, ściągając brwi.

– Ale Fiyonn powiedział...

– Na tym etapie mam wrażenie, że nie powinnaś już tak ślepo podążać za tym, co ci powiedział. Naprawdę sądzisz, że po tym, co się stało, ani razu cię nie oszukał?

Antoinette nie odpowiedziała. Sięgnęła zamiast tego po jedną z gruszek i już otwierała usta, by ją ugryźć, gdy Yrsa pacnęła ją w dłoń.

– Nie jedz. Nie wiadomo, czy nie jest zatruta.

Antoinette otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia, po czym przestraszona spojrzała na owoc, jakby była pewna, że za chwilę dostrzeże na jego skórcie coś niepokojącego.

– Ludzie robili już nie takie rzeczy – zauważyła Yrsa, widząc jej wahanie. – Nie wykrywasz kłamstw na papierze?

– Raczej nie.

– Więc nie jedz, póki ktoś tego nie sprawdzi.

Antoinette stanęła przy kominku, by ogrzać się w ciepłe ognia, a Yrsa zaczęła dalej rozpakowywać pakunki. Znienacka ktoś zapukał do drzwi.

Na korytarzu stała Briona, a kilka kroków za nią pani Oesterberg, która obrzuciła salon zaskoczonym spojrzeniem. Od młodszej z kobiet Antoinette otrzymała grubą kopertę w odcieniu zgaszonego różu, spryskaną intensywnie kwiatowymi perfumami, a od starszej – pełne niezadowolenia spojrzenie.

– Zaraz ktoś uprzątnie ten bałagan – rzuciła na odchodne ochmistrzyni, po czym drzwi zamknęły się za nimi.

Yrsa niemal przefrunęła przez pokój, gdy Antoinette otwierała kopertę. Wewnątrz znajdował się bilet wypisany ręką królowej.

– O czym pisze? – spytała Yrsa, zaglądając przyjaciółce przez ramię.

– To zaproszenie do teatru. Na dzisiejszy wieczór.



Po zmroku Flugstadt wyglądało zupełnie inaczej niż za dnia. Światło ulicznych latarni nie podkreślało tak bardzo powojennych zniszczeń, a pustki na ulicach nie były aż tak niepokojące. Choć mogło się wydawać, że to nocą w ludziach kotłują się lęki, mrok jednak pasował do Flugstadt. Skrywał wszystko to, czego nikt nie chciał tu widzieć.

Sercem stolicy był pasaż między Vande Sjel i Gniazdem. Elegancki królewski orszak, który zupełnie nie pasował do otaczającego go krajobrazu, sunął szeroką aleją bez żadnych przeszkód. Za wystawną karocą, w której jechali Ingvild i Valiant, toczył się powóz Antoinette, a za jej plecami, w bliźniaczym pojeździe, siedział książę Delbatic. Zorientowała się, że i on otrzymał zaproszenie, gdy schodząc na dziedziniec Gniazda, zauważyła trzy powozy. Do jednego z nich wsiadał właśnie jasnowłosy książę.

Po kilkunastu minutach jazdy orszak skręcił. Wjechali na ulicę rozświetloną latarniami ustawionymi wzdłuż drogi. Zachwycona złotem rozpraszającym mrok, Antoinette wychyliła się lekko, by ujrzeć błyszczący od świateł teatr znajdujący się na placu przed nimi.

Gdy podjechali bliżej, zobaczyła grupy wykwintnie ubranych kobiet i mężczyzn, pokonujących wysokie schody prowadzące do głównego wejścia. Najwidoczniej bogatych Tesarytczyków wciąż było stać na korzystanie z rozrywek niedostępnych dla większości.

Widok królewskich powozów zwrócił uwagę zebranych, nie było więc mowy o tym, by ktokolwiek wszedł do budynku bez odpowiedniej eskorty gwardzistów. Niektórzy goście zatrzymywali się

i wyciągali szyje, by zorientować się, kto przybył na przedstawienie prosto z królewskiego pałacu.

Drzwi powozu Antoinette otworzyły się, lecz zamiast zmęczonej twarzy woźnicy ujrzała bystre spojrzenie księcia Delbaticha. Bez słowa podał jej dłoń, a ona, nie wiedząc, co innego mogłaby zrobić, ujęła ją i ostrożnie pokonała schodki, starając się nie potknąć o kant nowej sukni.

– Wyjechałeś – rzuciła cicho, a w jego oczach zagościła czujność.

– Nie wiedziałem, że mam od teraz informować cię o wszystkim, co robię.

– Po tym, jak twój kuzyn zostawił mnie w Gnieździe w towarzystwie swojego brata, nie powinieneś się dziwić, że moje zaufanie do wysoko urodzonych mężczyzn nie jest już takie, jak przedtem – syknęła.

– To sugeruje, że kiedyś ufałaś wysoko urodzonym mężczyznom. Oni naprawdę nie są tego warci.

Na dłuższą wymianę zdań nie mogli sobie pozwolić. Valiant i Ingvild szli już w kierunku schodów. Królowa odwróciła głowę w ich stronę i uśmiechnęła się. Antoinette kątem oka zobaczyła, że książę proponuje jej ramię, lecz zignorowała ten gest.

Po raz pierwszy Antoinette nie miała ze sobą Yrsy, gdy znajdowała się poza terenem pałacu, a to oznaczało, że była zdana całkowicie na siebie. Musiała być czujna.

Bardzo szybko rozszyfrowała znaczenie zaproszenia. Jak inaczej rodzina królewska mogła naprawić swój wizerunek, jeśli nie wspólnym wyjściem do teatru? Z pewnością do Valianta dotarły już wieści o tym, że część jego poddanych sądzi, że przetrzymuje w Gnieździe Kruczą Wiedźmę. Musiał zatem się z nią pokazać. A przy okazji zabrać ze sobą żonę i swojego kuzyna, który, według pogłosek, był najbliższym przyjacielem Fiyonna.

Tłum gapiów przed wejściem zdecydowanie się powiększył. Przeważająca część spojrzeń nie spoczywała jednak na królewskiej parze, otoczonej zastępem gwardzistów, lecz na niej. Po pokonaniu schodów na czole Antoinette pojawił się pot. Po raz kolejny dziękowała za woalkę zakrywającą jej twarz. W mieście Kruczą Wiedźmę dostrzegali nieliczni. Tak jak ludzie zebrani pod bramami, niektórzy wyciągali teraz ku niej ręce, a ona bez słowa ujmowała je

i ścisnęła lekko. Valiant obrócił się, by przez chwilę obserwować całe zajście, lecz nie odezwał się ani słowem.

Gdy przekroczyli próg budynku, od razu poprowadzono ich do łoża, z której mieli oglądać przedstawienie. Antoinette miała zająć miejsce z brzegu, koło Ingvild. Kieran siedział na drugim końcu rzędu. Nie było mowy, by mieli choć chwilę na prywatną rozmowę.

– Cieszę się, że przyjęłaś zaproszenie – rzekła Ingvild łagodnie.

– Nie miałam jeszcze okazji za nie podziękować. – Antoinette uśmiechnęła się lekko. – Jak udał się pobyt w Gallawecie?

Ingvild wzruszyła lekko ramionami.

– Nie mogę narzekać. Dobrze było odwiedzić znajome strony.

Niespodziewanie zaczęła zdawać Antoinette szczegółową relację ze ślubnej uroczystości. Opowiadała o sukniach, które miały na sobie jej siostra wraz z wybranką, ile trwały tańce, kogo spotkała... I choć Ingvild mówiła jej to wszystko, zdawała się to robić trochę od niechcena, jakby pragnęła tylko zabić czas pomiędzy zajęciem miejsca a początkiem przedstawienia. Zagadnęła nawet na chwilę księcia Delbaticha pytaniem, czy dobrze spędził czas w domu. Zachowywała się tak, jakby nie było mowy o żadnym konflikcie, który podzielił rodzinę jej męża. Do samego Valianta nie odezwała się jednak słowem.

Antoinette gorączkowo zastanawiała się, czy uda jej się wymyślić jakiś pretekst, dzięki któremu zaaranżowałyby rozmowę z księciem, lecz wtedy na scenę wszedł ubrany na biało mężczyzna i uderzył w mały gong. Latarnie zgasły, a sala pogrążyła się w półmroku.

Przez niemal godzinę Antoinette nie myślała o trapiącym ją bólu gardła, o słabych kończynach i o konflikcie tronowym, a nawet o księciu siedzącym na drugim końcu rzędu. Teatr ją zahipnotyzował – chłonęła głosy aktorów, ich stroje, ruchome dekoracje, które zmieniały się po konkretnych scenach, a także orkiestrę, chór i tańce rozciągnięte na przestrzeni całej sceny. Czuła się jak kiedyś, gdy była dzieckiem i oglądała teatrzyk cieni. Wszystko ją zachwycało. Nigdy nie sądziła, że będzie miała okazję oglądać coś takiego.

– Czy to już koniec? – zapytała, gdy latarnie ponownie rozbłyły, a po widowni poniosły się krótkie brawa.

– Nie, zakończenie zobaczymy dopiero po przerwie – wyjaśniła Ingvild, po czym wstała i opuściła łożę.

Chwilę później książę wymówił się chęcią zamienienia paru słów z kimś z grona swoich znajomych, którzy siedzieli w łoży naprzeciwko. Tym sposobem Antoinette została z Valiantem sama.

– W przyszłym tygodniu na radzie pojawią się przedstawiciele Świątyni – rzekł, patrząc wprost przed siebie. – Zaczniemy debatować nad twoim statusem.

Antoinette podążyła za jego wzrokiem. Obserwował ludzi z łoży, o których wspomniał jego kuzyn. Kieran siedział niedbale i uśmiechał się szeroko do kobiety wachlującej się srebrzystym wachlarzem. Po chwili całe towarzystwo wybuchło głośnym śmiechem.

– Co to dla mnie znaczy? – spytała Antoinette, odrywając wzrok od Delbaticha.

– Musimy ustalić, jaka będzie twoja rola. Część moich doradców przez ostatnie tygodnie przekopywała archiwa w poszukiwaniu wszystkich zapisków dotyczących praw i obowiązków Kruczych Wiedźm.

Valiant obrócił się w jej stronę. Wyglądał na zmęczonego i znudzonego.

– Nie chcę odbierać ci przywilejów. Jeśli nie będziesz do tego czasu sprawiać kłopotów, przywrócimy status, który obowiązywał za czasów Xanthe i twoich pozostałych przodków.

Antoinette zacisnęła prawą dłoń na podłokietniku. Nie wierzyła, że jakiegokolwiek prawo, które planował ustanowić Valiant, ochroni ją przed jego gniewem. Był w końcu królem, mógł łamać zakazy, które sam wprowadzał. Zwłaszcza że Antoinette wciąż była nową osobą na dworze, a jej pozycja była bardzo chybota.

– Czy gdybym zadała ci teraz pytanie, odpowiedziałbyś mi na nie całkowicie szczerze? – zapytała cicho.

Valiant zaśmiał się.

– Pytasz mnie o to, choć Los podarował ci dar wykrywania kłamstw?

– Szczerść i prawdomówność to nie do końca to samo.

Pokiwał powoli głową, po czym posłał spojrzenie w kierunku łoży naprzeciwko. Książę rozmawiał teraz z grupką mężczyzn, których marynarki ozdobione były medalami.

– Pytaj więc – rzucił.

– Czy byłeś kiedykolwiek skłonny, by choćby spróbować postawić się Vijandzie?

Długo mierzył ją spojrzeniem. Antoinette spodziewała się, że przerwa zaraz się skończy i nigdy nie uzyska od niego odpowiedzi. On jednak w końcu podjął wątek.

– Kiedyś myślałem, że uda się to moim dziedzicom, bo teraz nie widzę na to szans. Potem jednak dotarło do mnie, że nie ma we mnie chęci sprowadzenia na ten świat dzieci, które od samego początku będą musiały żyć pod czyjeś dyktando.

Takiego wyjaśnienia się nie spodziewała.

– Ale to oznacza...

– Wiem, co to oznacza. Nie podjąłem jeszcze ostatecznej decyzji – przerwał jej. – Czasem wydaje mi się, że z biegiem lat będzie coraz trudniej. Ich wpływy będą się poszerzać i całkowicie nas pochłoną. A czasem przychodzi mi do głowy myśl, że będzie całkowicie odwrotnie.

Posłał jej coś w rodzaju smutnego uśmiechu.

– Chciałbym po prostu utrzymać nas przy życiu.



Antoinette szła w kierunku powozu niemal w ślimaczym tempie. Po zakończeniu przedstawienia, gdy morze braw umilkło, a widzowie zaczęli kierować się w stronę wyjść, zorientowała się, że Kieran gdzieś zniknął. Niczego nie zauważyła – zbyt intensywnie biła brawo, czekając, aż wszyscy występujący tego wieczoru ukłonią się publiczności. Wtedy mężczyzna, który zaprowadził ich wcześniej do łoży, podszedł do Valianta i Ingvild, gorąco dziękując im za przybycie. Bardzo chciał wciągnąć do rozmowy również Antoinette, ale słabym głosem powiedziała, że jest zmęczona i udaje się do powozu. Ingvild uściśnęła lekko jej ramię i kiwnęła głową. Choć Nette oglądała całą sztukę z zapartym tchem, to gdy wszystko się skończyło, zorientowała się, że marzy tylko o tym, by owinąć się kołdrą i zasnąć w nagrzanym pokoju.

Pokonywała kolejne stopnie i zmusiła się do odrzucenia kolorowych wspomnień przedstawienia. Skupiła uwagę na rozmowie przeprowadzonej z Valiantem. Zadziwił ją i to dwukrotnie. Brzmiał jak ktoś, kto przegrał bitwę z kretelem. Nie było w nim choćby okruszka nadziei. Jego bierność ją przeraziła. Był w stanie zaryzykować sukcesję swojego rodu, który przecież od wieków rządził Tesarythem, a mimo to nie chciał zrezygnować. Mógł oddać koronę bratu, skoro było w nim tak mało woli walki. *Chcę utrzymać nas przy życiu.*

Antoinette opadła ciężko na siedzisko w powozie. Chciała rozprostować nogi i nagle trafiła na opór. Gdy uniosła głowę, niemal krzyknęła.

Naprzeciwko niej siedział książę Delbatich.

– Nie mamy wiele czasu – szepnął.

– Jak się tu dostałeś? – zapytała, starając się uspokoić galopujące serce. Z wrażenia zapomniała nawet o grzecznościowej formułce.

– Odesłałem Hansa na krótki patrol.

– Hansa?

Książę przewrócił oczami.

– Twojego strażnika, rzecz jasna.

– Tego samego, z którym służyłeś w armii?

– Dokładnie tak.

Antoinette wyrzała przez okno, odsuwając na bok zasłonkę. Pod teatrem kręcili się ludzie, ale nie widziała nigdzie Valianta ani Ingvid. Gdyby któreś z nich ich teraz przyłapało...

– Jak zamierzasz stąd potem wyjść?

– Biegam szybciej, niż te powozy jeżdżą, szczególnie po tej dzielnicy. Nikt się nie zorientuje.

W zamknięciu czuła wyraźnie intensywny korzenny zapach jego perfum. W innych okolicznościach może by to doceniła.

– Wcześniej powiedziałaś, że nie powinnam ufać wysoko urodzonym mężczyznom. A jednak teraz tu jesteś i zdaje się, że chcesz mi zdradzić jakiś tajny plan?

– Tak właściwie jest on dosyć prosty i jawny – oświadczył książę. – Musimy znaleźć szczelinę w fasadzie Valianta.

– Obawiam się, że w takim razie nie masz mi do zaproponowania nic, czego sama bym nie wymyśliła.

Kieran oparł głowę o zagłówek.

– Wydajesz się niecierpliwa.

– Straciłam już wystarczająco dużo czasu.

Spojrzała po raz kolejny w stronę teatru, ale wciąż nie dostrzegła królewskiej pary. Gwardzista, z którym podeszła do powozu, stał na zewnątrz, odwrócony przodem do budynku.

Czuła, że traci cierpliwość. Kieran nie odpowiadał na jej pytania. Brzmiał tak, jakby wszystko, co związane było z opuszczeniem Gniazda, chciał organizować w ostatniej chwili. Antoinette zaczęła wątpić, że ma jakikolwiek plan.

– Czy Valiant zapytał cię, gdzie on jest? – spytała nagle.

Kieran zamrugnął zaskoczony.

– Oczywiście – odparł, jakby pytała o najprostszą rzecz na świecie.

– Co mu powiedziałaś?

– Że mógł zmienić się w kruka i skryć się w tej samej jamie, w której mieszka górski wąż, i nie byłbym tym faktem zdziwiony. Staram się cytować, jak najdokładniej się da.

– Dlaczego nie wezwał mnie, bym stwierdziła, czy mówisz prawdę?

Zastanawiało ją to właściwie od dnia balu. Co powstrzymało Valianta przed wypytaniem wszystkich gości o to, gdzie ich zdaniem znajduje się Fiyonn? Mógłby pytać Antoinette, czy przesłuchiwany kłamał, a ona nie mogłaby w nieskończoność milczeć.

– Wie, że go okłamałam. Podejrzewam również, że już domyślił się, gdzie znajduje się Fiyonn, więc tak naprawdę nie potrzebuje odpowiedzi.

– Czyli wie? – spytała, niemal szepcząc.

– To nie było tak naprawdę zbyt trudne równanie do rozwiązania. Valiant nie jest jednak typem ryzykanta. Woli obserwować w ciszy ruchy innych i na ich podstawie konstruować swoją strategię. – Po chwili zapytał: – Umiesz grać w szachy?

– Widziałam, jak Fiyonn gra, ale nigdy mnie nie nauczył.

Odparła, zanim zdążyła się na dobre zastanowić, skąd wzięło się w ich rozmowie to pytanie.

– Nie podejrzewałbym go o nic innego. Wytłumaczę to więc inaczej. Valiant będzie chciał sprawić, by Fiyonn wyszedł z kryjówki. Wie, że sam do niej nie trafi, nie bez twojej pomocy.

Mieli więc te same podejrzania.

– Sama nie wiem dokładnie, gdzie jest Klipetaigh. Naprawdę spodziewa się, że go tam zaprowadzę?

– A zrobiłabyś to?

W jednej chwili Kieran zmienił się z arystokraty knującego przeciw władcy w zaniepokojonego krewnego Fiyonna. Jego oczy wyglądały, jakby ktoś wlał w nie stal.

– Pytasz mnie, czy wydałabym Fiyonna na śmierć? – spytała powoli. Gdy nie odpowiadał, nachyliła się w jego kierunku, przez co ich twarze dzieliły zaledwie centymetry. – Po co miałabym to robić? Nie pragnę wojny domowej. Kazałam Fiyonnowi obiecać, że postara się rozwiązać konflikt z Valiantem bez użycia wojsk.

– I obiecał ci to? – zapytał Kieran, unosząc brew.

– Nie dosłownie, ale...

– Czyli nie obiecał. Nie zrobiłaś nic złego, nie zamierzam wyśmiewać twojej wiary w pokojowe rozwiązanie.

Antoinette wbiła paznokcie we wnętrze dłoni.

– Już zrozumiałam, że nie jest ono możliwe.

– Nie jest. I ja też nad tym ubolewam.

– Naprawdę? – spytała kpiącym tonem.

– Skłamałam?

Wtedy też zorientowała się, że od samego rana jej magia była przygaszona. Nie słyszała głosów. Ani razu żaden z nich nawet ostrzegawczo nie zasyczał. Zwykle gdy wzbierały w niej silne emocje, magia reagowała. Ta cisza była alarmująca, choć powinna ją uspokajać.

– Poczekaj jeszcze kilka dni – zniżył głos do szeptu. – Proszę. Do tego czasu jeszcze się zobaczymy. Obiecuję.

Rozdział 33

VASILE

Sugestia Rainy, że być może niedługo wraz z bratem będą musieli opuścić Glandir, napawała Vasa jednocześnie strachem i ulgą.

Od kiedy udało im się odzyskać Rose, nieustannie tkwił w huraganie zdarzeń i uczuć niemożliwych do kontrolowania. Niespodziewanie znalazł się w centrum politycznej gry pomiędzy królową Zjednoczonego Królestwa a swoim ojcem. W międzyczasie nadal nie był w stanie w pełni pogodzić się ze stratami poniesionymi przez wszystkich. Jego stare życie, to, które wiódł w manstarskich górach, stało się na tyle odległe, że nie potrafił sobie wyobrazić powrotu do niego.

Czas dzielił na dogłądanie budowy leża i zamartwianie się stanem Rose, choć żadne z tych zajęć nie przynosiło mu spokoju. Prace na północnych błoniach zwolniły, kiedy Grattzo dowiedział się o obecności vijandzkiej delegacji w pałacu.

– Można się było tego po niej spodziewać – wykrzykiwał. – Ledwo doszliśmy do porozumienia, a już wszystko legło w gruzach, dokładnie tak, jak przewidywałem!

– Raina ich tutaj nie zapraszała – kłócił się Veer. – Przyjechali bez żadnego ostrzeżenia, po prostu przedarli się przez granice!

– Powinna się ich pozbyć! Każdy normalny człowiek pozbywa się złodzieja, który naruszył spokój domostwa. Nie sadzasz takich ludzi przy swoim stole, nie oferujesz im schronienia!

– Co innego mogła zrobić? Wyrzucenie ambasadora mogłoby zostać uznane za zniewagę, a stąd już coraz bliżej do konfliktu, którego przecież nikt z nas nie chce.

Na te słowa Grattzo nie znajdował odpowiedzi, tak samo jak nie potrafił słuchać wyjaśnień Rainy. Jego urażona duma stanowiła zbyt wielką siłę w porównaniu z żalem królowej, przez co wieści o wstrzymaniu budowy leża dotknęły bliźniaków podwójnie.

Vas jeszcze kilka razy próbował przekonać ojca do ustąpienia. Chciał, żeby Grattzo zrozumiał całą sytuację. Starał się też zasiać optymizm wśród jeźdźców, jednak wszystko to na nic się zdało w obliczu woli przywódcy, przez co perspektywa ucieczki z murów Glandiru nabrała słodko-gorzkiego smaku.

Stan Rose poprawił się na tyle, że była w stanie samodzielnie funkcjonować. Mogła wstać o własnych siłach, a jej rany w większości pozostawały zasklepione, jednak ta najważniejsza, ciągle otwarta i gorejąca skaza na jej umyśle, stanowiła znacznie większy problem.

Vasowi często wydawało się, że nadal ją wyczuwa mimo utraty ich więzi. Czasami budził się w środku nocy i czuł delikatne drganie w okolicy własnego serca, które sugerowało zagrożenie. Podczas leniwych, spędzonych wspólnie popołudni miał wrażenie, że doskonale wie, które zachowania i słowa wzbudzają w Rose strach, a które smutek. Raina bardzo wyraźnie dała Vasowi i Veerowi do zrozumienia, jak powinni zachowywać się w obecności księżniczki. To, co czuł Vas, pochodziło jednak z głębi niego samego.

– Wycofuje się – powiedział któregoś dnia Rainie, kiedy minęli się pod drzwiami jej komnat. – Jeszcze niedawno zaczęła mówić więcej, a teraz wróciła cisza. Zauważyłaś, z jakim przerażeniem obserwuje otoczenie? Jak śledzi każdy twój ruch, kiedy u niej jesteś?

– Tak. Martwi mnie to, bo nie jestem w stanie nic z tym zrobić – odparła ze smutkiem.

– Czy to jest ten moment, Raino? Powinniśmy ją zabrać?

Wyjazd do Falaus zorganizowali w ciągu kilku dni, kładąc duży nacisk na przygotowanie Rose do podróży.

– On pojedzie za mną – burknęła tylko, kiedy siostra poinformowała ją o planowanym wyjeździe. Oczywiście było, kogo miała na myśli. Raina i bliźniacy nie wiedzieli, jak zapewnić ją o tym,

że jest już bezpieczna. Vas podejrzewał, że jej stan to wynik traumy. Być może jej sny były na tyle realne, że stawały się dla niej nową, pokreconą rzeczywistością, w której Tomas cały czas był obok niej. Do momentu odnalezienia go, nie mieli żadnego argumentu, który mógłby przekonać Rose, że jest bezpieczna.

Opuścili Kantalar pod osłoną nocy w nieoznakowanym powozie. Smoki szybowaly nad nimi w bezpiecznej odległości. Nie chcieli zwracać na siebie uwagi, nie chcieli też zmusić Rose do dosiadanania Oomany lub Cerys. Wcześniejsze sugestie, by do Falaus udać się na smoczycy grzbietach, wyraźnie wyprowadzały ją z równowagi.

– Gdybyś potrzebowała przerwy, możemy w każdej chwili się zatrzymać. – Veer przerwał ciszę panującą w powozie. – Albo zawrócić do Glandiru.

Rose opatulila się ciasno ciemnym płaszczem i zatopiła twarz w kurtynie zaciągniętej na okno powozu. Na słowa Veer rozchyliła delikatnie powieki.

– Nie chcę wracać – mruknęła niewyraźnie. – Chyba już nigdy.

Spojrzenia braci spotkały się.

– Dlaczego?

Nie odpowiedziała, tylko poprawiła płaszcz.

– Raina przez jakiś czas nie będzie w stanie odwiedzić nas w Falaus. Tak samo Sebastian, więc może gdybyś odpoczęła i...

– Nie – ucięła szorstkim tonem, wyraźnie podszytym ogromnym zmęczeniem. – Nie chcę, by mnie widzieli.

Vas dostrzegł różnicę pomiędzy widzeniem ich, a widzeniem jej. Dobór słów dotknął go.

– Nie powinnaś martwić się ich reakcją... Oboje będą za tobą bardzo tęsknić i wyczekiwać twojego powrotu – zapewnił Vas.

– Daleko jeszcze?



Dzięki opowieściom Rainy Vas był w stanie dość dobrze wyobrazić sobie nadmorską rezydencję Korony, jednak żadne słowa nie były w stanie oddać nastroju panującego na terenach Falaus.

Przez pierwsze tygodnie nad morzem pozwalał sobie na delektowanie się naturą, spokojem zapewnionym przez brak jakichkolwiek obcych osób w pobliżu. Podczas nieobecności Rodaagovów dom był utrzymywany przez starsze małżeństwo oraz kilku najemców, ci jednak szybko spakowali się i wyjechali, pozostawiając rozległą i przytulną rezydencję do dyspozycji bliźniaków i Rose. Raina zadbała, by ograniczyć służbę do minimum, dlatego wraz z nimi przyjechały tylko trzy młode pokojówki. Ich zadaniem było przygotowywanie posiłków i utrzymywanie porządku. Cięższymi zadaniami zajmował się Vas z bratem. Rąbali drewna do kominków, oporządzali konie i smoki. Te zwykłe, codzienne zadania były przyjemną odmianą po chaosie i niepokoju, których doznali w Glandirze.

Rose przez większość czasu pozostawała odległa.

Pierwsze kilka nocy po przyjeździe do Falas Vas pamiętał jak przez mgłę. Rose męczyły koszmary, których wynikiem stawały się ataki paniki. Te chwile spędzały sen z powiek całemu domowi. Podejrzewali, że śni o przyszłości, a drzemiąca w niej magia przejmuje kontrolę nad jej świadomością. Lekarze z Glandiru zdecydowali już wcześniej, że dobrym pomysłem będzie podawanie Rose tramantu. Przyjmowała go za każdym razem, gdy widzenia się nasilały, przez co magia pozostawała uśpiona na tyle, że wizje przestawały ją męczyć. Do Falas przywieźli cały zapas naparów i byli przygotowani, jednak mimo to ataki nie ustępowały. Zaczęli podejrzewać, że być może problem nie jest wyłącznie magiczny i że w snach coś innego prześladowało Rose niż tylko przyszłość.

Coś, co sprawiało, że pierwotny smutek i wycofanie zastąpiły niemożliwy do opanowania gniew.

Vasowi z trudem przychodziło obserwowanie Rose w chwilach, gdy traciła kontrolę. Reagowała agresją na każdą próbę pomocy, niezależnie od tego, kto ją oferował.

– Obawiam się, że to nie jest tak, że Rose nie może wyzdrowieć – stwierdził któregoś dnia Veer. – Wydaje mi się, że ona tego nie chce.

Vas odruchowo chciał zaprzeczyć, ponieważ wiara w taki stan rzeczy rozbiłaby jego duszę na kawałki. Potem jednak zaczął ukradkiem przyglądać się jej, gdy nie wiedziała, że jest obok. Śledził ruchy jej wątpliwych dłoni, podążał za smutnym spojrzeniem, a także

baczył na każdy krok. Była słaba i zmęczona, co do tego nie miał wątpliwości, jednak nie było to coś, czemu nie dało się zaradzić. Zaczął oferować różne sposoby spędzania czasu. Spacer, prace w domu, wizytę u smoków lubujących się w wylegiwaniu na plaży.

Początkowo zbywała go milczeniem. Potem zaczęła odmawiać, ucinając rozmowę jednym zdaniem.

– Daj mi spokój – warknęła na niego któregoś dnia. Chciał zabrać ją do pobliskiego lasu. Późne lato w ciągu dnia było niemal nie do zniesienia, a noce tonęły w lodowatej morskiej bryzie. Widząc, jak im wszystkim doskwiera upał, miał nadzieję, że skrycie się w chłodzie oferowanym przez korony drzew poprawi jej humor. Zawód uderzył go podwójnie, gdy kilka dni później doszło do kolejnej awantury ze służbą.

– Przestańcie traktować mnie jak kalekę! – krzyczała na pokojówki, które przyszły zmienić przepoconą pościel.

Nie był to jednak prawdziwy gniew. W głosie Rose, łamiącym się od paniki i płaczu, Vas usłyszał ból. Wyrażała go w taki właśnie sposób, ponieważ nie potrafiła poradzić sobie z przyjęciem pomocy. Zdawała się mieć dosyć samej siebie. Każda odrobina współczucia, czy to ze strony jego, czy Veera, przypominała jej czas spędzony w Glandirze, wśród tych wszystkich osób, które musiały się nią opiekować.

Vasowi trudno było ją zrozumieć. Jedna część jego serca pragnęła postępować tak jak dotychczas. Chciał służyć jej w każdy możliwy sposób, niezależnie od potrzeby. Druga zaczynała rozpadać się pod ciężarem niesprawiedliwych ataków na dobrą wolę innych.

Veer był w tej kwestii bardziej zdecydowany. Kiedy któregoś razu ponownie wybuchła furia na służbę, nakazał im opuścić Falaus.

– Nie wiem, co innego mogę zrobić, poza zmuszeniem jej do zrozumienia, że nikt z nas nie chce wyrządzić jej krzywdy – wyjaśnił spokojnie, choć Vas wiedział, jak bardzo i jemu łamało się serce.

Nie był to plan idealny, jednak z czasem przyniósł efekty.

Pierwszego dnia po wyjeździe służby Rose z własnej woli zeszła do salonu. Veer przewidział, że tak się stanie, zawczasu więc poinstruował Vasa, by się jej nie narzucał.

– Gdzie są wszyscy? – zapytała po dłuższej chwili. Stała na samym środku pokoju, nadal ubrana w koszulę nocną,

z potarganymi włosami i zagubieniem wymalowanym na twarzy.

– Odesłani – odparł spokojnie Veer, przewracając karty książki. Vas był pewien, że nawet jej nie czytał. Chodziło o to, by obaj wyglądali na nieprzejętych.

– Przez Rainę? – zdziwiła się.

– Przez ciebie. Powiedziałaś przecież, że dasz radę sama i nikogo nie potrzebujesz. Dlaczego więc służące miałyby tu nadal tkwić?

Vas nie mógł powstrzymać się przed zerknięciem na nią, dzięki czemu doskonale widział moment, w którym jej twarz przecięła masa emocji. Od zaskoczenia, przez chwilowe zadowolenie, aż do paniki. Ta chwila coś w niej zmieniła.

Jeszcze przez kilka dni atmosfera w domu była gęsta niczym zupa. Vas widywał Rose tylko przypadkiem, dopasowując się do planu Veera, by schodzić jej z drogi. Któregoś poranka siedzieli we dwóch w kuchni, kiedy niespodziewanie księżniczka stanęła w progu, wyraźnie przyciągnięta zapachem śniadania. Zaproponowali, że przygotują coś dla niej, jednak odmówiła i szybko zniknęła na schodach, zabierając po drodze ze stołu jabłko.

– A co, jeśli się zagłodzi? – spanikował Vas.

– Poczekajmy jeszcze chwilę – poprosił. – Dajmy jej kilka dni.

Tydzień po wyjeździe służby Rose zaskoczyła Vasa, który rąbał drewno w stodole.

– Jest strasznie gorąco – oznajmiła, przecierając czoło.

Vas przerwał pracę i wbił w nią wzrok.

– Prawda – sapnął, opierając siekiere o pień. – Ale drewno samo się nie porąbie. W nocy znowu będzie bardzo zimno.

– Mógłbyś porąbać też coś dla mnie? – zapytała słabo. Vas zauważył, jak nerwowo wykręca sobie dłonie. Bawiła się czarną obrączką, której nadal nie zdjęła z palca.

– Oczywiście. Ale będziesz musiała pomóc mi zanieść drewno na piętro – stwierdził. Był w stanie zrobić to sam, jednak cały czas miał w pamięci jej niechęć do narzucania się.

– Dobrze. – Pokiwała głową, a potem od razu odwróciła wzrok. O czym myślała? Czy jego słowa sprawiły, że poczuła się jak brzemień? *Może to było za dużo* – pomyślał.

– Możemy to zrobić po spacerze – stwierdził sucho. Wytarł ręce o spodnie i założył koszulę. – Idę odrobinę odpocząć. Ochłodzić się

w lesie.

– Czy będzie ci przeszkadzać towarzystwo? – zapytała, kiedy już wychodził ze stodoły.

Cała jego dusza zerwała się w mętliku radości i ekscytacji, jednak opanował się, by nie zepsuć tej chwili.

– Zapraszam – powiedział z uśmiechem.



Czas w Falaus płynął inaczej niż w stolicy, przez co zmiany w humorze i nastroju Rose zlewały się w jedną wielką masę nerwów oraz małych zwycięstw.

Jeszcze przez wiele dni obaj bracia rozgrywali z Rose wyimaginowaną partię szachów.

Pozwalali jej na wszystko, schodzili z drogi i skupiali się na zadaniach, które sami dla siebie stworzyli. Zajmowali się domem w granicach własnych potrzeb. Udawali, że mieszkają w rezydencji sami. Gotowali dwa posiłki, prali dwa komplety pościeli. Vas przynosił Rose opał tylko wtedy, gdy wyraźnie go o to poprosiła i uparcie odmawiał samotnego wnoszenia drewna na piętro. Walczył ze sobą za każdym razem, gdy z trudem wdrapywała się po schodach, powoli, stopień po stopniu, wciągając ciężkie wiadro wyładowane szczapami. Obserwował, jak zyskuje kolejne dawki siły, które potem wkładała w szorowanie własnych ubrań i przygotowywanie warzyw oraz mięsa na posiłki. Mówiła przy tym niewiele. Jeśli już otwierała usta, wypadały z nich przekleństwa oraz gniewne obelgi skierowane ku niej samej. Gdy któregoś razu się złamał i poprosił ją, by nie była dla siebie tak surowa, wybuchła złością.

Wrócili do punktu wyjścia i zaczęli od nowa.

Jedyną permanentną zmianą stał się brak łez i smutku.

– To chyba dobrze, czyż nie? – Początkowo ucieszył się, gdy brat zwrócił jego uwagę na ten szczegół. – Właśnie o to nam chodziło. Chcieliśmy pomóc jej przezwyciężyć ten ból.

– On nie zniknął, tylko przykrył się furią – stwierdził zmartwiony Veer.

– Chyba wolę, jak się gniewa, niż kompletnie odcina od nas. Wściekłość w końcu się wypala. Łatwiej mi znieść obelgi i trzaskanie drzwiami niż świadomość, że już nigdy nie zobaczę jej uśmiechu.

– Ona nie nienawidzi nas, bracie – zauważył Veer. – Tylko siebie. Wszystkiego, co ją otacza. Słyszałeś, jak nadal męczą ją koszmary?

Nie mieli pomysłu, jak odpędzić demony nawiedzające jej sny. Niemal każdej nocy Vas słyszał dochodzące zza ściany jęki i krzyki. Walczył ze sobą, by nie wparować do jej pokoju. Zrobił to pierwszej nocy, którą spędzili w Falaus, i długo jeszcze wyrzucał sobie stan, do którego doprowadziła ją jego obecność.

– Bierze tramant. Nie są to więc wizje.

– To kolejna rzecz, nad którą trzeba by się pochylić – mruknął brat.

– W takich dawkach może jej poważnie zaszkodzić.

– Nie istnieje inny sposób na wygłuszenie magii. Wizje wytrącają ją z równowagi. Co innego możemy zrobić?

– Wydobyć z niej, dlaczego tak na nią działają. W Glandirze podawali jej tramant, bo uznali, że magia nie pozwala jej odzyskać zmysłów – przypomniał mu. – Tyle że powinni byli przestać, gdy tylko zauważyli, jak bezsensowny jest to pomysł.

– Bo ciągle go widzę.

Momentalnie odwrócili się na dźwięk jej głosu, zaskoczeni obecnością Rose w salonie. Stała w progu pokoju i opierała się niedbale o framugę. Vas zaczął gorączkowo zastanawiać się, ile usłyszała z ich rozmowy.

– Możemy udać się do leża – zaproponował. – Porozmawiasz z naszymi rodzicami, może istnieje jakiś sposób...

– Tiana mówiła, że tramant jest jedynym znanym sposobem na uspienie magii – ucięła, zaplatając ręce na piersi. – Na mnie jednak zdaje się nie do końca działać. W snach wizje ciągle wracają.

– Chcesz powiedzieć nam, co dokładnie widzisz? – zapytał Vas, czując, że nie jest to do końca dobre pytanie. Namawianie Rose do opisywania uczuć nigdy nie kończyło się dobrze.

– Śnieg.

– Śnieg? W Manstarze? – zdziwił się Veer.

Rose pokręciła głową.

– To nie wygląda jak Manstar. Widzę góry zasypane śniegiem od podstawy aż po same szczyty. Miasta ogarnięte ciemnością. I jego, odcinającego się czernią na tle bieli.

– Raczej trudno znaleźć takie miejsce w Zjednoczonym Królestwie – zauważył Vas. – Jesteś tu bezpieczna.

Rose skrzywiła się na jego słowa, pesząc Vasa.

– Chcę znaleźć te góry – stwierdziła niespodziewanie.

– Po co?

Nie odpowiedziała. Jej wzrok przeskakiwał z jednego brata na drugiego, sprawdzając ich reakcję.

– Są gdzieś na północy. W wizji słońce wskazuje na północ.

– Berendor? – Veer zastanawiał się na głos. Vasowi ciężko było uwierzyć, że w ogóle rozważa opcję opuszczenia Falaus. Na samą myśl, że mieliby ponownie ruszyć w drogę, tak niedługo po tym, jak ich ostatnia podróż skończyła się tragedią, Vasowi zrobiło się niedobrze.

– Zapewne dużo dalej. Będę pewna, dopiero gdy dotrę na miejsce.

– Ton Rose był spokojny i metodyczny.

– Założmy, że rzeczywiście gdziekolwiek pojedziemy... – powiedział Veer powoli. – Skąd pewność, że to miejsce faktycznie istnieje, a wizja nie jest tylko metaforą? Albo snem, który bierzesz za wizję wymykającą się mocy tramantu?

– Nie jestem szalona – stwierdziła twardo.

– Tego nie powiedziałem.

– Ale tak sądzisz – odpyskowała, prostując się. Ręce opuściła wzdłuż boków i zacisnęła je w pięści. – Jeśli nie chcecie jechać, zrobię to sama.

– Rose, chcemy tylko...

– Nieważne – warknęła i wypadła z pokoju.

Przez chwilę nasłuchiwali jej gniewnych kroków na korytarzu, po których nastąpiło głucho łupnięcie drzwi do jej pokoju.

– I zaczynamy od nowa – westchnął Veer.

Zmęczony potarł twarz, a następnie wstał z fotela i zaczął sprzątać książki rozłożone na stoliku.

– Czy ty też masz wrażenie, że ona chce go odnaleźć? – zapytał Vas.

Ta myśl przyszła do niego nagle, po prostu wkradła się do umysłu niczym letni burzowy wiatr przeczesujący polne kłosa. Otaczał go szum emocji – strachu i niepewności. Zdeterminowanie Rose mogło być równie trudne do ujarznienia co gniew.

– Nie wydaje mi się, by strach i trauma jej na to pozwoliły.

– Sam mówiłeś, że opanowała ją furia. A co przychodzi ci do głowy we wściekłości, gdy myślisz o nawiedzającym cię w snach oprawcy?

Brat zatrzymał się wpół kroku przed regałem. Obrócił książkę w dłoniach, jakby miał nadzieję, że znajdzie odpowiedź na skórzanej okładce.

– Zemsta.

Rozdział 34

ANTOINETTE

Antoinette nie spodziewała się, że trzy dni po rozmowie z Kieranem Delbaticchem, odbytej w mroku powozu, zobaczy się z nim znowu, tym razem jednak w jadalni znajdującej się w królewskim skrzydle, a na dodatek w towarzystwie Rhoswen Eckhoff, ulubionej damy dworu Ingvild.

Proces szykowania utrudniał fakt, że Antoinette z dnia na dzień czuła się coraz gorzej. Kaszel nie mijał, a wręcz się wzmagał. Miała ciężką głowę, przy każdym ruchu bolały ją oczy, czuła, jak rwą ją stawy.

– Nie będę już dłużej czekać, Nette. Musi obejrzeć cię lekarz – stwierdziła Yrsa, powoli zapinając rząd drobnych guziczków czarnej sukni.

– Jutro.

Czekali na nią w jadalni, całej przystrojonej peoniami. Na stole, poza typowymi propozycjami śniadaniowymi, znalazło się miejsce dla kilku pater z kolorowymi ciastkami. Przyszykowano tylko trzy nakrycia, więc Antoinette wywnioskowała, że nikt inny już raczej do nich nie dołączy.

W pierwszej chwili Antoinette wydawało się, że panna Ekchoff jest bardzo niezadowolona z faktu, że księżę znajduje się w tym samym pomieszczeniu co ona. Siedziała na sofie z naburmuszoną miną,

przypominając znudzone dziecko. I w gruncie rzeczy Antoinette była chyba w stanie domyślić się dlaczego.

Jeden z najgłośniejszych towarzyskich skandali rozpoczął się od tego, że piękna rudowłosa dama dworu królowej odrzuciła oświadczyzny księcia Delbaticha, czego nikt kompletnie się nie spodziewał. Wszyscy sądzili, że po tesaryckiej ziemi nie stąpa osoba, która by się na coś takiego zdobyła. Od tamtego czasu minęło już kilka lat, lecz rzadko widywano tę dwójkę razem, co zapewne wynikało z faktu, że nie mieli okazji do spotkań albo... wciąż żywili do siebie niechęć.

Niezadowolenie spłynęło z twarzy Rhoswen w mgnieniu oka, kiedy tylko zobaczyła Kruczą Wiedźmę, a na jego miejscu odmalował się promienny uśmiech. Ukłoniła się, po czym podeszła, by ucałować ją w oba policzki.

– Proszę, nie – cofnęła się Antoinette. – Jestem lekko przeziębiona.

Rhoswen zamrugnęła zaskoczona. Od razu uśmiech wrócił jednak na jej oblicze.

– Bardzo się cieszę, że mogę cię w końcu poznać.

Zaprosiła Antoinette do stołu i wzięła się za nalewanie herbaty. Najwidoczniej cała służba została odesłana.

– Obiecałem, czyż nie? – zwrócił się do niej Kieran z uśmiechem świadczącym o poczuciu triumfu.

– Obiecałeś konkretnie co? – zapytała Rhoswen.

– Panna Corvidae miała wobec mnie chwilowe wątpliwości, co całkowicie zrozumiałe. Mam nadzieję, że udało mi się je rozwiązać.

Gdy Kieran sięgnął po swoją filiżankę, panna Eckhoff pacnęła go w dłoń.

– Jest jeszcze absolutnie niezdatna do picia, chyba że po pobycie w Kuvijacie zarówno mróz, jak i wrzątek przestały być ci straszne.

Antoinette siedziała tam całkowicie skołowana. Co z obrażoną dumą księcia Delbaticha? Co z niezadowoleniem Rhoswen Eckhoff zmuszonej do spędzania z nim czasu?

– W końcu mamy okazję porozmawiać we względnym spokoju – oświadczyła Rhoswen, po czym oderwała kawałek od miękkiej bułki z kruszonką. – Tęskniłam za tym.

– Nie jesteś fanką gallaweckiego śniadania w postaci potrawki z niedźwiedziego mięsa w roli głównej? – zakpił Kieran, a ona przewróciła oczami.

Nie mogąc ignorować dłużej uczucia drapania w gardle, Antoinette odwróciła się od stołu i odkaszlnęła, aż zadrżało całe jej ciało.

– To nie brzmi zbyt dobrze. – Książkę zacisnął usta. – Odwiedził cię już uzdrowiciel?

– Nie było na to czasu – odparła Antoinette i wytarła usta serwetką.

Spojrzenie, które wymienili między sobą Rhoswen i Kieran, nie umknęło jej uwadze.

– Musisz o siebie dbać – stwierdziła łagodnie panna Eckhoff. – Wizyta lekarza nie oznacza, że jesteś słaba. Nie chcemy przecież, żeby przeziębienie przeobraziło się w coś groźniejszego.

Antoinette pokiwała jedynie głową. Nie miała siły ani ochoty tłumaczyć im, że według tego, czego zdążyła się już nauczyć, w ogóle nie powinna chorować. Tym właśnie przejmowała się najbardziej.

– Przejdźmy w takim razie do rzeczy, nie chcę nadwyreżać twojego zdrowia.

Do tej pory głos Rhoswen brzmiał jak promień słońca. Teraz jednak znacząco się obniżył i nabrał jednocześnie powagi. Złożone na stole dłonie Antoinette drgnęły. Kątem oka spojrzała na Kierana, on jednak był pochłonięty krojeniem naleśnika z powidłami.

– Myślę, że znaleźliśmy bardzo dobry sposób na wyciągnięcie cię z Gniazda. Jest dość ryzykowny, ale może się udać.

– Znaleźliśmy?

Tym razem Antoinette jawnie odwróciła się w stronę księcia, wciąż zajętego śniadaniem. Poczł na sobie jej wzrok i hardo uniósł głowę.

– Masz naprawdę wielu sprzymierzeńców – powiedział, po czym ukroił kolejny kawałek.

Wychodziło na to, że osoba najbliższa Ingvild jawnie spiskuje przeciwko jej mężowi. Antoinette dobrze pamiętała, jak Fiyonn opowiadał jej o podziale dworów. Sytuację klanu Eckhoffów określił jako „skomplikowaną”.

– Czemu to robisz? – Antoinette skierowała pytanie do Rhoswen.

– Bo nie podoba mi się to, co się dzieje. Wiem, że to może mało oryginalne wytłumaczenie, ale nie zamierzam wymyślać specjalnie dla ciebie czegoś bardziej wyszukanego. Uważam, że nie ma w tym pałacu innej osoby, która jest bliżej Ingvild niż ja. I mówię to z pewnością. Wiem więc o niemal wszystkim, co dzieje się w trakcie najważniejszych rozmów. Niemal, bo Valiant nie informuje swojej żony o każdej swojej decyzji.

Mówiła z pewnością, która kompletnie nie pasowała do jej czarującego sposobu bycia. Do tej pory Antoinette kojarzyła ją z zawsze uśmiechniętą pomocnicą Ingvild, która podąża za królową jak cień. Jej włosy zawsze były ułożone w perfekcyjne loki, a w uszach nosiła lśniąca szmaragdowe kolczyki. Na twarzy gościł rozbawiony uśmiech, a zalotny wzrok kokieteryjnie wbijała w swoje pierścionki.

Spojrzenie Rhoswen Eckhoff, która siedziała teraz przed Antoinette, było zrobione ze stali.

– Co więc z Ingvild? – dopytywała dalej. – Nie ma na Valianta żadnego wpływu?

Chciała mieć stuprocentową pewność, jak bardzo królowa była zaangażowana w tesaryckie sprawy. Wszystko, czego się dotąd dowiedziała, przeczyło sobie nawzajem. Raz Ingvild przychodzi do niej, by porozmawiać z nią o konflikcie tronowym, następnego razu opowiada natrętnie o ślubie swojej siostry, a z mężem nie zamienia nawet słowa. Valiant zostawił ją na pastwę wściekłych arystokratów, gdy wtrącił Antoinette do wieży, a przecież Ingvild była gallawecką księżniczką. Miała stanowić zaporę dla sojuszu północnych królestw.

– Ma. I choć królowa ma dobre serce, dla niej to wszystko, co się teraz dzieje, nie jest sprawą życia i śmierci. Gdyby doszło do konfliktu, wróci do Gallawethu, gdzie przez jakiś czas będzie bezpieczna.

– Na jak długo? – wtrącił Kieran. – Gallawetczycy bardzo obnoszą się z tym okrucieństwem niezależności, który dostali po wojnie, nie zmienia to jednak faktu, że jeśli Vijandczycy zajęliby Tesaryth, to dzieliliby granicę ze sobą. Ile czasu minie, zanim stwierdzą, że warto wybrać się jeszcze bardziej na północ? Co ich powstrzyma?

Antoinette odsunęła od siebie talerz. Nie zjadła ani kawałka, jej ciekawość znacząco przewyższała głód.

– Czy to prawda, co mówią o tym, co dzieje się na południu? – spytała.

– Wszystko wskazuje na to, że tak. Vijandzka Korona na chwilę odwróciła się do nas plecami – odparł Kieran.

– A mimo to Valiant sądzi, że to za mało. – Rhoswen odrzuciła serwetkę, którą wycierała przed chwilą usta. – Twierdzi, że czeka na odpowiedni moment, ale nawet gdy Los podaje mu go na tacy, nie jest w stanie ruszyć palcem.

Zanim Antoinette zdążyła wtrącić, że jej zdaniem żadna okazja nie dałaby Valiantowi pretekstu do zawalczenia o losy królestwa, odezwał się Kieran:

– Dlatego robimy to za niego. – Złożył dłonie i oparł na nich podbródek. – Naszym celem jest skłonienie Valianta, by pozwolił ci się udać do Domu Niji.

– Obawiam się, że nie wiem, o jakim miejscu mówisz – powiedziała Antoinette.

– We wnętrzu Niji wydrążono setki lat temu cały system jaskiń i korytarzy. To tam powstają kamienie takie jak twój – wyjaśnił Kieran, wskazując na Krucze Oko. – Petrami, lud, który zamieszkuje to miejsce, specjalizuje się w nasycaniu szlachetnych kamieni magią. Nie uważają się do końca za Tesarytczyków, choć bez wątplenia są silnie związani z naszą religią.

– Według ustaleń historyków Moira mogła być potomkinią petramich – dodała Rhoswen. – Dlatego uznają dziedzictwo zarówno Mędrca, jak i Kruczych Wiedźm.

Antoinette poczuła, jakby między ich trójką przeszła iskra. Znów czuła ciekawość, która sprawiała, że niemal nachylała się nad stołem z napięciem. Poznawała właśnie kolejny element układanki, którą wcześniej ukazał jej Fiyonn. Tęskniła za tym.

– Są gotowi mi pomóc? – zapytała.

– Nie mamy jeszcze pewności, choć szanse są bardzo duże. – Rhoswen posłała spojrzenie Kieranowi, a on kiwnął głową. – Według informacji, które mamy, w jaskiniach znajduje się pewnego rodzaju... przejście.

Antoinette wpatrywała się w Rhoswen, głodna wyjaśnień.

– Dokąd prowadzi?

– Na Wiedźmą Skarpę.

Choć nie była specjalistką w geografii, Antoinette wiedziała, gdzie znajduje się Skarpa i jak duży dystans dzieli ją od Niji.

– Ale to... – Spoglądała zagubiona to na Rhoswen, to na Kierana. Magia milczała. – Jak to możliwe?

– Gdy udałam się z Ingvild do Kuvijaty, dowiedziałam się, że ślub jej siostry będzie odbywać się z dala od stolicy, w mieście, które położone jest na wschodnim wybrzeżu Gallawethu. Żeby się tam przedostać, trzeba byłoby co najmniej dwóch tygodni, a sama podróż odbywałaby się w bardzo trudnych warunkach. Na północy wciąż jest zimno, a w górach, które trzeba pokonać, zalega śnieg. Okazało się jednak, że istnieje sposób, by dostać się na zachodnie wybrzeże niemal w mgnieniu oka.

– Lud petramich zamieszkuje również jedną ze świętych gór w Gallawecie. Mieści się ona na końcu przesmyku, który przecina górski łańcuch – dodał Kieran. – Stamtąd podróż nad ocean jest o wiele prostsza.

– Nie jestem pewna, jak to działa – ciągnęła Rhoswen. – Nikt z mojej rodziny nie został obdarzony magią, więc sama niewiele o niej wiem. Dlatego od razu napisałam do Fiyonna, bo jest on jedną z niewielu osób na całej północy, które studiowały magię tak szczegółowo. Potwierdził, że rzeczywiście istniały kiedyś przejścia otwierane magią, prowadzące do konkretnych punktów.

– Jak się domyślasz, Fiyonn jest w posiadaniu mapy tych punktów.

– Była w Klipetaighu, prawda? – Antoinette odsunęła się od stołu i przymknęła oczy. Gdyby jej tu nie zostawił, nic z tego, co się teraz działo, nie miałyby miejsca. Nie musiałyby dopytywać o każdy najmniejszy szczegół i rozmawiać z właściwie obcymi jej ludźmi. Sama mogłaby wziąć w ręce mapę, o której mówili. Byłaby bezpieczna w domu nad klifem, oboje byłiby bezpieczni. Dalej by się uczyła, poznawała kolejne dziedziny magii, o których wielu zapewne zapomniało, mogłaby w spokoju przygotowywać się do nadchodzącego konfliktu. Mogłaby spokojnie spać. Nikt nie zamknąłby jej w wieży...

– Prawdopodobnie tak – potwierdził Kieran. Z pewnością zauważył jej zmianę nastroju. – Według tej mapy jedno z przejść znajduje się w Domu Niji, a kolejne na Wiedźmiejskiej Skarpie. Stamtąd droga biegnie prosto do domu nad klifem.

– A więc wiesz, gdzie to jest? – Antoinette spojrzała na Kierana z wyrzutem.

– Ja wiem – wtrąciła się Rhoswen. – Znalazłam Klipetaigh po tym, jak wyjechałam do Askvolen po ostatnim balu.

– Jak wygląda?

Antoinette odwróciła się w stronę Rhoswen i nagle ujrzała coś, czego nie spodziewała się zobaczyć. W kącie pokoju dostrzegła cień, którego nie powinno tam być. Zamrugła dwa razy, mając nadzieję, że to jej zmęczone ciało płata jej figla, ale czarna smuga wciąż tam była.

Wstała, lecz jej nogi były słabe. Aby utrzymać równowagę, chwyciła się oparcia krzesła. Cień nie zastygł w rogu pokoju. Znajdował się w kąciku jej oka, niczym rzęsa utrudniająca widzenie. Zamiast jednak zniknąć, cień z każdą chwilą stawał się większy. Postąpiła krok do tyłu.

– Antoinette?

To był głos Kierana, jedyny, który jeszcze do niej dochodził. Jej magia zamilkła, jakby nigdy jej z nią nie było. Głosy milczały. Gdy pierwszy raz otoczył ją cień, mówiły, szeptały jej do uszu. Cisza, która otoczyła ją teraz niczym kokon, budziła strach.

Oddech jej przyspieszył, choć serce pracowało coraz słabiej. A może to jej źródło, ukryte między żebrami, tak marnie biło w jej piersi?

Wiedziała, że nie da rady utrzymać się na nogach o własnych siłach, starała się więc złagodzić upadek. Wyciągnęła przed siebie ręce i ugięła nogi w kolanach, lecz natrafiła na jakąś przeszkodę. Nie, to czyjeś ręce chwyciły ją od tyłu i gdzieś prowadziły. Tuż zanim pochłonęła ją ciemność, poczuła miękkie poduchy pod obolałym ciałem.

To nie był mrok, który się poruszał.

To była pustka, która zaraz miała wypełnić się obrazem przyszłości.

Cienie uformowały się w dwuskrzydłowe drzwi z kołatką. Zbliżała się do nich, a na jej gardle zaciskała się obręcz paniki. Nagle w polu widzenia Antoinette znalazła się dłoń, która chwyciła kołatkę i zaczęła łomotać nią w drzwi. To nie była smukła ręka arystokraty, należała do kogoś, kto miał za sobą lata fizycznej pracy, o czym

świadczyły wybrzuszenia na kostkach i szeroki nadgarstek. W powietrzu woń lasu mieszała się ze smrodem choroby i potu. Nie widziała jednak nic poza drzwiami. Nigdy wcześniej ich nie widziała. Kiedy się otworzyły, stanęła w nich sama Antoinette. Chuda, blada, z głębokimi cieniami pod oczami, ale to była ona.

– Nie ma cię tutaj. – Słowa wypowiedziane przez Antoinette z wizji rozbrzmiały setką głosów. – Jesteś gdzie indziej.

Podłogę domu, do którego prowadziły drzwi, pokrywał śnieg. Sypał się leniwie, jakby padał z sufitu. Poza tym wewnątrz domu było niewidoczne, tonęło w znajomej ciemności, poruszającej się w rytmie jej serca. Ostatnie, co zobaczyła, to były jej własne, sine od zimna palce.

Rozdział 35

ROSEMARY

Kiedy wspólnie z Vasem i Veerem wyruszyli do Falaus, Rose nie była w stanie długo przebywać z nimi w jednym pomieszczeniu. Na skórze wyczuwała ich więź. W uszach słyszała cichy szmer smoczej magii rozciągającej się pomiędzy nimi. Przez cały ten czas znajdowała się za szybą niemożliwą do roztrzaskania. Była tak blisko swoich *ātmā sāthi*, jednak nie mogła ich dosięgnąć.

Unikała spotkań z Oomaną i Cerys. Samo patrzenie na smoczyce rozdzierało jej serce na milion kawałków. Świadomość, że Qadir zniknął ze świata, by ona mogła odzyskać swoje niewiele warte życie, spychała ją na samo dno rozpacz.

Nienawiść zdawała się nie mieć końca.

Gubiła się w przestrzeni, traciła poczucie czasu. Nie czuła głodu, bo jego miejsce zaczął zajmować ból. Postrzegala swoje ciało jako wroga. Unikała swojego odbicia tak długo, że zapomniała już rysów własnej twarzy. Wyobrażała sobie siebie na podstawie spojrzeń otaczających ją ludzi. Ocena w ich oczach wystarczała, by tylko utwierdzić się w przekonaniu, że zasługiwała na wszystko, co ją spotkało.

Bardzo często myślała o śmierci.

Rose postrzegala ją jako coś fizycznego. Twarz Tomasa przykleiła się do postaci nieposiadającej ciała. Czasami oczami wyobraźni zmieniała się w jego sylwetkę albo objawiała się pod postacią

brutalnych dłoni rozdzierających ją na kawałki. Za każdym razem, gdy umysł płatał jej figle, podsuwając najróżniejsze koszmary, próbowała wyrwać się z huraganu cierpienia. Ucieczka nigdy nie przynosiła ulgi. Zmęczona i poraniona upadała, w końcu poddając się śmierci. Gdy szukała pomocy, cierpieli wszyscy wokół niej. Vas i Veer ginęli pod ciężarem jej oprawcy, Raina obracała się w nicość. Bash zawiedziony jej porażką w końcu dołączał do sił zła. Walka zdawała się przynosić efekty, jednak tylko pozornie. Ze śmiercią nie dało się wygrać, choć mówiono jej, że to właśnie ona tego dokonała.

Odwet przynosił ukojenie.

Żadna z prób przeciwstawienia się śmierci nie opuściła w rzeczywistości jej wnętrza. Rose czuła, że nikt poza nią samą nie rozumie katuszy, które przechodziła. Z oczu swoich bliskich wyczytywała tylko pogardę i żal. Nie dotyczył on jednak tego, co ją spotkało, lecz jej samej. Widzieli w niej ofiarę pozbawioną godności i wartości. Z wielką łatwością odnajdywali wszystko, co tak skrzętnie próbowała ukryć.

Dopiero gdy zaczęła ich odpychać, skupiając się na przekuciu cierpienia w gniew, współczucie zniknęło, dzięki czemu łatwiej było jej przebywać w ich towarzystwie. Nadal jednak wzdrygała się na każdy nieprzewidziany ruch.

– Przepraszam – mruknął cicho Veer, chcąc przejść obok niej. Stała przy kuchennym blacie i przygotowywała sobie posiłek, jednak pomieszczenie było na tyle wąskie, że w drodze do spiżarni musiał ją minąć. Przechodząc, przypadkiem otarł się ramieniem o jej plecy.

Odskoczyła od niego jak oparzona, kompletnie nie kontrolując swojego ciała, które momentalnie się spięło. Spazm przeszedł przez mięśnie, a oddech uwiązł w piersi. Nie była w stanie wydać z siebie żadnego dźwięku. Przestraszona wypadła z kuchni, mijając po drodze skonfundowanego Vasa.

– Rose! Przepraszam! – krzyczał za nią Veer, ale nie słuchała. Musiała wydostać się z tej ciasnej przestrzeni, wyjść z domu, zmienić otoczenie. Gonitwa myśli w jej głowie zbyt szybko zwróciła się ku wspomnieniom z błoni. Biegła przez pole, popiół na jej twarzy, niebo nad jej głową, ból, kiedy złapał ją i...

Znalazła się przed domem, gdzie padła na kolana, nie będąc w stanie utrzymać równowagi. Nogi miała jak z waty, krew odpłynęła

jej z palców, przez co przestała je czuć.

– Nie chciałem – jęknął Veer za jej plecami. Doskonale słyszała kroki obu braci na schodach i tylko dzięki świadomości, że są w Falaus sami, nie czuła stresu. Zaczęła się zastanawiać, jak przetrwała w Glandirze, kiedy tyle osób kręciło się po korytarzach. W tamtym czasie zza drzwi mógł wychylić się każdy...

– Dajcie mi... chwilę...

Kroki stały się głośniejsze, bliższe. Veer wykonał duży łuk, żeby mogła obserwować, jak powoli do niej podchodzi, a następnie schyla się w rozsądnej odległości.

– Wybacz – poprosił. – Nie chciałem cię wystraszyć. Będę ostrożniejszy, dobrze?

Ostrożniejszy? – pomyślała. – Będziesz znowu obchodził się ze mną jak z jajkiem? Unikał mnie? Chodził na palcach, ważąc każdy krok, omijał mnie, gdy będę obok, odwracał wzrok?!

Pytania w jej głowie mnożyły się bez końca, podburzając umysł nadszarpnięty paniką. Reakcja Veera oraz to, jak Rose zareagowała na jego dotyk, wszystko to przebiło tamę. Łzy napłynęły jej do oczu, jednak nie było w nich smutku. Kiedy histerycznie zawyła z wściekłości i wbiła palce w ziemię, bracia aż się cofnęli. Zaskoczona własną siłą zerwała się na równe nogi, miotając piachem na boki. W jednej pięści wyczuła kamień, którym cisnęła w przestrzeń, a z jej płuc wydobył się niemal zwierzęcy ryk.

– Rose! – Vas próbował przywołać ją do rozsądku. Złapała się za głowę, totalnie go ignorując. Zauważyła, że otoczenie wokół niej zaczyna drżeć. Tuż za plecami Veera niebo zaczęło się rozstępować, popołudniowe chmury przecięła błyskawica, a ziemia pod stopami zaczęła pękać. Bracia spanikowali, dopiero po chwili zdając sobie sprawę, że doświadczają tworzonej przez nią iluzji.

Nie kontrolowała niczego, co obserwowały ich oczy. Próbowwała z całych sił wyciszyć się i zapomnieć to, że w oczach Veera nadal była ofiarą. Zignorować jego słowa oraz fakt, że wybiegli za nią przed dom, zupełnie jakby obawiali się krzywdy, którą może sobie wyrządzić.

– Odwołaj tę wizję! – nakazał jej Veer, niespodziewanie przyjmując ostry ton. Spojrzała na jego zaciętą twarz. Burza za jego plecami

rosła z każdą chwilą. Efekt jej magii był tylko powierzchowny. Nie tworzyła dźwięków ani pędu wiatru, jedynie przerażający obraz.

– Nie potrafię! – warknęła.

– Ty ją stworzyłeś i ty możesz ją zniszczyć!

– Nie chcesz zrobić tego za mnie? Jak wszystkiego innego? Nie chcesz się mną zająć, podać tramant i sprawić, że wszystko będzie dobrze?! – krzyknęła, nie mogąc się powstrzymać.

– Nikt z nas nie chciał robić rzeczy za ciebie! – oburzył się Veer. – Naszą jedyną chęcią było dać ci czas i przestrzeń!

Jego gniew zadziałał na Rose jak zdmuchnięcie świecy. Poczowała pieczenie pod skórą, a gdy spojrzała na swoje dłonie, dostrzegła wyraźną siatkę żył naznaczoną cieniem. Wystarczyło, by zacisnęła pięści, a cała iluzja zniknęła. Powstrzymanie magii jednak nie równało się uspokojeniu jej pobudzonego ciała. Nadal trzęsa się, jakby przejął ją chłód, a oddech utknął w piersi. Ale miała jednak kontrolę. Przynajmniej chwilowo.

– I dokąd mnie to zaprowadziło? – wycedziła, patrząc, jak ciemność opuszcza jej żyły. – Co dało mi to czekanie?

– Możesz z nami porozmawiać, Rose. – Vas za jej plecami nie był zły, w przeciwieństwie do brata. – Powiedzieć nam, czego potrzebujesz.

Chciałabym nie widzieć w waszych oczach cierpienia. Smutku i żalu. Poczucia winy.

– Pierwszy raz – zaśmiała się szyderczo. – Pierwszy raz, ktoś zapytał mnie... czego potrzebuję.

Uniosła wzrok na Veera.

– Jesteś niesprawiedliwa – rzucił sucho.

– Czy ktokolwiek dał mi wcześniej wybór?

– Próbowaliśmy nawiązać z tobą kontakt, Rose – wyjaśnił. – Przez cały ten czas, od chwili gdy się obudziłaś, wszyscy byliśmy gotowi ci pomóc. Raina całymi dniami przesiadywała przy twoim łóżku, Sebastian... – Westchnął gniewnie na wspomnienie namiestnika. – Zostawił Rainę samą z całym krajem, Radą, polityką, tylko po to, by być przy tobie każdej nocy. Nawet nie dałaś mu szansy. Mimo tego wszystkiego, co was łączyło. Nie dałaś jej też Rainie. Nie rozważyłaś...

– Pytałam, czy ktokolwiek dał mi wybór! – krzyknęła, podchodząc do niego gwałtownie. – Czy ktokolwiek z was choć przez chwilę pomyślał o mnie, zamiast chcieć ulżyć własnemu cierpieniu?!

Czekała, aż dotrze do niego sens jej słów, nie dowierzając, jak szybko niewinne dotknięcie zamieniło się w kłótnię.

– ...Nikt – podsumowała cicho. – Nikt z was nie wziął pod uwagę tego, że być może... Może wcale nie chciałam wracać. Nie chciałam i nie chcę się z tym mierzyć. – Wskazała na swoje dłonie. Spojrzała na swoje ciało, jakby widziała je po raz pierwszy. Czuła obrzydzenie. – Siedzieliście przy moim łóżku, traktując mnie jak kalekę, jak ofiarę. Widzieliście we mnie tylko własną winę, zawód, który sami sobie sprawiliście. Wzięliście sobie za punkt honoru, że mnie naprawicie, nieważne, czy tego chcę, czy nie.

– Czy gdyby role się odwróciły, postąpiłabyś inaczej? – Głos Vasa przecinał ból. – Gdyby chodziło o kóregokolwiek z nas?

Nie pozwoliłabym, by cokolwiek złego was spotkało, pomyślała od razu, jednak nie odważyła się powiedzieć tego na głos. Z całych sił powstrzymywała się przed obarczaniem ich winą za swoją krzywdę. Dusila w sobie żal, zagryzała zęby, gdy, widząc Sebastiana, czuła strach i zawód.

Od początku wiedziała, na co się pisała. Była świadoma swojego losu od chwili, gdy jej umysł nawiedziła ta jedna wizja o koszarnej przyszłości. Mimo to podążyła przeznaczoną sobie ścieżką. Nie miała czasu przygotować się na aspekty tego, co miało nadejść. Przepowiednia nie powiedziała jej wszystkiego. Było już jednak za późno. Raina wygrała, a to liczyło się najbardziej. Dała z siebie wszystko, a poświęciła jeszcze więcej, by jej siostra spotkała swoje przeznaczenie. Bash, bycie smoczym jeźdźcem, powrót do domu – to tylko fragmenty losu, które na chwilę ukradła. Tak właśnie miało to wyglądać.

Ponowne wejście do świata, który, miała nadzieję, pozostawiła choć odrobinę lepszym... Czuła, że to nie było jej pisane. Wydawało się, że bierze od Losu coś, co nie powinno do niej należeć. Jednak w przeciwieństwie do czasu sprzed śmierci, tym razem zapłaciła podwójnie.

– To nie był zwykły wypadek – przypomniała bliźniakom Rose. – Doskonale wiedziałam, co może się stać, a mimo to nie wycofałam

się. To była moja decyzja.

– Nie oznacza to jednak, że musisz mierzyć się z jej konsekwencjami samotnie – zauważył Veer.

– Jakie to ma teraz znaczenie?! Spędzę resztę życia zamknięta w komnatach Glandiru, gnijąc od środka? Czy może roztrzaskam się na kawałki w waszych rękach?

Zapadła ciężka cisza. Wszyscy troje spuścili głowy, nie odnajdując odpowiednich słów. Rose patrzyła na swoje zakurzone buty i ślady na piasku pozostawione przez jej dłonie. Czy już doszczętnie oszalała?

– Właśnie dlatego chcesz podążać za wizją? Ruszyć na północ? – zapytał w końcu Vas.

– Pytasz, czy jestem na tyle szalona, by prosić się o kolejne nieszczęścia?

– Staramy się zrozumieć – dodał Veer. Gniew wyparował z jego twarzy, a na jego miejscu pojawił się spokój. Doceniła, że starał się ukryć współczucie.

– Moje życie należy do kogoś innego – stwierdziła, bo właśnie tak się czuła. Jakby zabrano wszystko, co stanowiło o jej istnieniu. Brutalnie wydarto duszę z ciała. W dodatku stało się to dwukrotnie. Wtedy, na glandirskich błoniach, a potem w ciemnym namiocie medyków. Nie wiedziała, która z tych zbrodni bardziej ją dotykała, która zostawiła większe piętno na jej umyśle. – Chcę je odzyskać.

Bracia długo nie odpowiadali. W końcu odważyła się na nich spojrzeć.

– W porządku – zgodzili się nagle, niemal jednocześnie. Po raz pierwszy od bardzo dawna patrzyli na nią tak jak kiedyś.

Rozdział 36

FIYONN

Choćby ze względu na to, że w Domu Niji petrami zapewnili Fiyonnowi bezpieczny nocleg, musiał się teraz zrewanżować. Miał przy tym świadomość, że takie zachowanie nie tylko jest od niego wymagane, ale również prawdopodobnie polepszy jego reputację. Oddał więc Minie Datrze jeden z gościnnych pokoi i polecił służbie traktować ją z honorami.

Po tygodniach bierności w końcu udało mu się wygrać pojedynek z archaiczną polityczną hierarchią. Przekonał niepolitycznych petramich do wykonania znaczącego ruchu na szachowej planszy. To wszystko mogło zmienić bieg historii.

Wieczorem, gdy Datra udała się na spoczynek, zamknął się w bibliotece. Chciał jeszcze raz przejrzeć półki w poszukiwaniu czegoś, co pomoże mu pojąć naturę bram. Petrami przedstawiła mu ją w sposób jasny i przejrzysty, ale jeśli mógł dowiedzieć się więcej, dlaczego miałby z tej możliwości zrezygnować. Raz na jakiś czas wracały do niego słowa Edwiny, które skierowała do niego, gdy ostatni raz przeglądał biblioteczne półki. *Jesteś samotny*, wytknęła mu. *Tatia też tęskniła za Olghą*. Fiyonn tęsknił za wieloma rzeczami, ale nigdy dotąd nie miało to wpływu na jego fizyczne samopoczucie. Coraz bardziej wierzył, że za jego słabe samopoczucie ponosił winę dom – zamknięty na lata, ale jednak pulsujący magią. Karmił się teraz jego energią, jak gdyby potrzebował uzupełnić zapasy mocy,

których pozbawiono go na tak długi czas. Czuł jednak, że coś mu umyka.

Następnego ranka przy śniadaniu zagadnął Datrę, czy po posiłku mogą zacząć ćwiczyć na terenie Klipetaighu. Kobieta prawie udławiła się herbatą.

– Nie bez przyczyny tego domu nie ma na gobelinowej mapie – rzekła po tym, jak już wytarła usta serwetką. – Tutaj nie można otwierać bram.

Fiyonn zastanowił się chwilę.

– Bo dom znajduje się poza przestrzenią i czasem – dopowiedział, a Datra przytaknęła.

– Zgadza się. Nie chcę nawet myśleć, co by się stało, gdyby ktoś próbował przejść stąd do jakiegokolwiek zakątka na kontynencie. Podejrzewam, że mogłoby się to skończyć tragicznie.

Udali się wobec tego na plażę, tę najbliższą, na którą zejść trzeba było po wąskich schodach. Fiyonn z trudem otoczył ich magią. Rozwijał swe sieci, jakby każdy zwój najeżony był kolcami. Człowiek wrażliwy na magiczną energię może zorientowałby się, że w powietrzu coś się zmieniło. Sieć, którą Fiyonn utworzył, miała za zadanie ostrzec ich, gdyby ktoś nieproszony za bardzo się do nich zbliżył. Jednak utrzymywanie jej znacząco utrudniło mu skupienie się na zadaniu przedstawionym przez Datrę.

– Żeby rozerwać szwy świata, trzeba ich dotknąć i się ich nauczyć, zrozumieć, jak przebiegają – tłumaczyła. – Dlatego nawigatorzy jedną dłoń rozkładają na ziemi. To połączenie musi wyraźnie zaistnieć w twojej głowie, książę. Bez tego daleko nie zajdziemy.

Druga część rytuału była prostsza. Datra wyciągnęła z torby, którą ze sobą przyniosła, kilka kryształów. Wszystkie były jasne, niemal idealnie przezroczyste. Błyszczały w świetle nieskończoną kaskadą kolorów.

– Te kamienie stworzone są docelowo do otwierania bram. Nie są więc artefaktami wzmacniającymi przepływ magii. Mają ją raczej skoncentrować na konkretnym zadaniu.

Gdy dotknął przyniesiony przez Datrę kryształ, poczuł zaledwie uszczypnięcie. Odczekał chwilę, aż poczuł lekkie mrowienie, sugerujące, że coś kryje się w jego wnętrzu.

– Czy książę jest gotów? – zapytała petrami, a Fiyonn kiwnął tylko głową.



Był pewien, że na chwilę stracił przytomność.

Jeszcze przed momentem w pełnym skupieniu badał szwy świata, które miał zaraz zacząć rozrywać, a potem wszystko zrobiło się czarne. W uszach, zamiast głosów, słyszał nienaturalny pisk. We włosach i na wargach miał piach.

Gdy otworzył oczy, zobaczył niebo.

– Przed przybyciem tutaj Eilo powiedział mi, że będziesz dobrym uczniem, książę.

Datra podeszła do niego i usiadła na piasku. Nawet nie próbowała pomóc mu się podnieść.

– Powiedział, że szybko zrozumiesz naturę bram i zanim się obejrzę, będę z powrotem w domu – powiedziała, wpatrując się w morze. – Może i miał rację, ale nawet najbystrzejszy uczeń niczego nie robi, skoro pada nieżywy na ziemię po trzydziestu minutach ćwiczeń.

– Powiedziano mi, że coś dziwnego dzieje się z moją aurą.

Fiyonn podniósł się powoli, podpierając się na łokciach. Nie trudził się wytrzeptaniem piasku z ubrań i włosów.

– Niestety, nie widzę aur, nie mogę więc tego potwierdzić.

Przez długi czas siedzieli w ciszy. Datra czekała na jego znak, ale zamiast wstać, Fiyonn oparł się plecami o zimną skałę i wpatrywał się w fale, które rytmicznie zalewały część plaży i cofały się z powrotem.

– Muszę przeprowadzić Córę Moiry na klif – rzekł w końcu, powoli wstając. – Nie uda mi się jednak wejść do pałacu. Według gobelinu brama znajduje się w Gnieździe, ale nie wiem dokładnie, w którym miejscu.

Fiyonn podszedł do brzegu. Woda obmyła skórzane buty, które wyjął z jednej z szaf w Klipetaighu.

– Trzeba ją zatem sprowadzić do Domu Niji. – Głos Datry dochodził go z bliska. Nawet nie usłyszał, jak do niego podeszła. Sieć, którą ich otoczył, musiała się zerwać, gdy stracił przytomność. – Tam nawigatorzy otworzą dla was bramę. Nie będzie się musiał tym książę martwić.

Walczył z pragnieniem zanurzenia się w zimnym morzu. Gdy jest się pod wodą, można odnieść wrażenie, że świat się zatrzymuje. Istnieją tylko cisza i chłód. Zdawało mu się, że tego właśnie potrzebował. Pragnął jednego dnia, gdy nie musiałby martwić się planowaniem. Jednej godziny, którą mógłby beztrosko przespać. Jednej chwili wykorzystanej na wpatrywanie się w niebo i nieżałowanie jej później.

Myśl podsunięta przez Datrę miała sens. Jeśli petrami otworzyliby dla niego bramę prowadzącą z Domu Niji na klif, nie musiałby tracić czasu na naukę... Choć z chęcią poznałby naturę tego procesu. Na ten moment potrzebował jedynie sposobu na to, aby sprowadzić Antoinette do Nijestadt.

Fiyonn obrócił się na pięcie. Ruszył w kierunku schodów, rzucając tylko przez ramię:

– Muszę napisać list.



Mina Datra opuściła Klipetaigh, a Fiyonn powierzył wszystko Losowi. Petrami miała uzgodnić ze starszyzną plan zaproszenia Kruczej Wiedźmy do Domu Niji, a następnie wysłać list do Rhoswen Eckhoff. Fiyonn nie mógł czekać na powrót swojej służącej z Askvolen, więc zdecydował, że jego wiadomość najpierw powędruje do siostry Herberta, a następnie, o ile wszystko się uda, trafi do Kierana, który powinien wciąż być w Gnieździe. W razie potrzeby Datra będzie w stanie trafić tu z powrotem. Chyba że dom postanowi nie wpuszczać jej do środka.

Po kolacji Fiyonn siedział przy stole i wpatrywał się w kryształ, który mu zostawiła.

– Nikt nie wie, co może się wydarzyć. Może ten kamień będzie księciu potrzebny – powiedziała, wciskając mu go w dłonie przed wyjściem.

Uderzyła go wtedy myśl, że on powinien wiedzieć, co może się wydarzyć. Moc wieszczenia nie została wręczona Mędrcom i jego dziedzicom po to, by zmieniali ścieżki, którymi Los prowadził ludzi. Chodziło o to, by zdążyć się przygotować na to, co nadchodziło.

Fiyonn jednak od dawna nie widział nic. Nie był do tego przyzwyczajony. Pogodził się z myślą, że nie wieszczył z taką częstotliwością, z jaką robili to jego przodkowie. Kiedy poznawał swój dar, był zmuszony przez nauczycieli do zapoznania się z rodzinnymi kronikami, wiedział więc teraz, które postacie z jego rodowego drzewa miały największy talent do przewidywania przyszłych zdarzeń.

Potrafił być jednak cierpliwy, a biblioteka Klipetaighu była w stanie zapewnić mu zajęcie na wiele godzin.



Minęło pięć dni. Ranki wyłaniały się z mroku nocy, świece wypalały się jedne po drugich, lecz w kominku w salonie wciąż żywo płonął ogień. Fiyonn zasypiał z głową opartą o biblioteczny regał i budził się z sercem boleśnie bijącym w piersi, które reagowało szybciej niż on na fakt, że po raz kolejny stracił kontrolę nad swoim ciałem.

Był w transie. Księgi całkowicie go pochłonęły. Niektóre odkładał na bok, tworząc tym samym wielkie stosy, inne wracały z powrotem na półkę, choć nie zawsze na swoje miejsce.

Musiał zająć czymś myśli, zatapiał się więc w kolejnych tomach. Nie były to powieści ani tomiki poezji. Czytał zbiory rodu Corvidae. Skupiały się na magii, co nie było dla Fiyonna zaskoczeniem. Pochłaniał zatem rozdziały o zielarstwie i wieszczeniu z nieba, poznał teorię zaklinania. Po długich poszukiwaniach trafił nawet na krótkie wzmianki o bramach, powtarzały one jednak to, czego już zdążył się dowiedzieć.

Gdy do drzwi biblioteki zapukała służąca, Fiyonn musiał odkaszlnąć, by móc wydobyć z siebie głos.

– Wejść.

Pokojowa przyniosła list, który wręczyła mu bez słowa, po czym prędko wycofała się na korytarz. Wiadomość była zapieczętowana symbolem z koniem wodnym Eckhoffów. Po jej otwarciu Fiyonn ujrzał na papierze tylko jedno słowo.

Jutro.

Rozdział 37

ANTOINETTE

Przytłumione głosy dochodzące zza drzwi wyrwały Antoinette z dziwnego stanu pomiędzy snem a jawą. Powieki miała ciężkie, jakby wykuto je z kamienia. Świadomość wróciła do niej już jakiś czas temu, ale była rozmyta. Wiedziała, że gdzieś jest, że nie tonie już w odmętach snu. Czy jej ciało znajdowało się w tym samym miejscu, co jej umysł? Czy znów błądziła pomiędzy wizjami przeszłości i przyszłości? Jeszcze chwilę temu widziała coś, co jeszcze się nie wydarzyło. Czy ta rozmowa, tocząca się za drzwiami, też miała dopiero nastąpić?

Z trudem otworzyła oczy. Były załzawione, jakby przed chwilą płakała. Wargi miała spierzchnięte, a policzki rozgrzane, chociaż reszta ciała była zimna, jakby właśnie wyciągnięto ją z lodowatej wody.

– Panno Corvidae, słyszy mnie pani?

Męski głos dobiegał do niej jakby zza szyby. W polu jej widzenia pojawiła się postać ubrana w coś brązowego. Po chwili chłodne palce dotknęły jej czoła.

– Czy od dawna gorączkuje? – Postać poruszyła się. *Wezwali lekarza*, tłumaczyła sobie.

– Nie mam na ten temat wiedzy. – Kolejny męski głos, ale tym razem znajomy.

– Jej źródło jest bardzo słabe.

Jak wiele osób ją otaczało? Antoinette próbowała sięgnąć do swojej magii. Jeszcze kilka dni temu instynktownie wyczuwała źródła. Dlaczego teraz przychodzi jej to z takim trudem? W jej głowie wciąż panowała cisza.

Antoinette chciała unieść się na łokciach, ale jej ciało odmówiło. Mięśnie były giętkie, jakby brakowało im podparcia. Myśli jednak zaczęły płynąć naturalnym dla niej rytmem.

Zobaczyła przyszłość, a potem prawdopodobnie straciła przytomność. Spojrzała wokół siebie. Leżała na sofie z dala od stolika, przy którym siedziała z Rhoswen i Kieranem. Oboje wciąż znajdowali się w pokoju. Książę stał niedaleko, Rhoswen trzymała się z tyłu. Przed kanapą klęczało dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta. On okazał się postacią w brązowym stroju, ona z kolei nosiła biało-zieloną szatę.

– Spokojnie, jest pani w dobrych rękach – odezwała się medycza, a Antoinette połączyła jej głos z wypowiedzią o słabym źródle. – Reprezentuję gildię uzdrowicieli, proszę się nie martwić.

Jednakże wszystko to, co wydarzyło się później, sugerowało, że Antoinette powinna się martwić. Mężczyzna był lekarzem, nie został jednak obdarzony magią, zajmował się leczeniem chorób zwykłych ludzi. Po krótkim badaniu orzekł, że wszystkie symptomy wskazują na poważne osłabienie, które może doprowadzić nawet do zapalenia płuc. Uzdrowicielka przyglądała się bacznie całej procedurze, po czym stwierdziła, że nie wyczuwa żadnego organu ogarniętego infekcją. Jej uwagę zwracało wyłącznie źródło Antoinette.

Zaprowadzono ją do pokoju i nakazano przebrać się w coś wygodnego, a następnie położyć do łóżka. Yrsa przyjęła całą listę leków i instrukcję ich dawkowania, którą zmierzyła uważnym spojrzeniem, po czym ustawiła wszystko na szafce nocnej.

– Nie mam żadnych wątpliwości. – Za drzwiami sypialni nadal toczyła się dyskusja między medykami. – Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, diagnoza byłaby jasna.

– Nie istnieją przesłanki pozwalające sądzić, że Córy Moiry... – odezwała się uzdrowicielka, lecz mówiła zbyt cicho, by Antoinette mogła usłyszeć całą jej wypowiedź.

– Obawiam się, że dotychczasowa wiedza może nie wystarczyć...

– Jej aura się rozpada...

Nagle lekarz również ściszył głos, więc reszta dyskusji stała się kompletnie niezrozumiała.

– Jest źle, prawda? – wychrypiała Antoinette do Yrsy.

Czuła się osłabiona już od jakiegoś czasu, ale wizja zesłana przez Los była ciosem, który niespodziewanie ją powalił.

– Ci medycy leczą całą rodzinę królewską – powiedziała Yrsa, siadając na skraju łóżka. – To specjaliści. Na pewno ci pomogą.

– Nie powinnam chorować, Yrso. To nie jest normalne – upierała się Antoinette.

– Niektórzy twierdzą, że nie jest normalne, że posiadasz magię Kruczycy Wiedźm. A jednak. Będziemy cię leczyć wszystkim, co mamy.

Nagle do przymkniętych drzwi ktoś zapukał. Antoinette spodziewała się któregoś z duetu medyków, ale ku jej zaskoczeniu ujrzała Kierana. Zawahał się w progu, jakby nie był pewien, czy może bez pozwolenia wejść do pokoju, więc zatrzymał się w przejściu.

– Nie wiedziałem, że tak poważnie chorujesz – przyznał.

– To nie ma znaczenia.

Antoinette odwróciła się, by odkaszlnąć.

– Chcę, byś wiedziała, że...

Ktoś nadchodzi. Antoinette niemal westchnęła z ulgą, słysząc głos magii. Chwilę później za plecami Kierana pojawił się Valiant w asyście swojego sekretarza.

– Nie wydaje mi się, byś miał prawo nachodzić pannę Coridae w jej własnej sypialni – odezwał się do kuzyna. – Z pewnością wiele innych kobiet chętnie zaprosi cię do swoich prywatnych pokoi.

Głos Valianta ociekał jadem. Nie zwracał się w ten sposób nawet do Fiyonna. Rozmowy między braćmi zawsze utrzymane były w chłodnym tonie, ale jego podejście do Kierana zaskoczyło Antoinette.

Książę zmierzył kuzyna wzrokiem i uniósł brew do góry.

– I mówisz to wszystko wchodząc tutaj – stwierdził kwaśno. – Panna Coridae zaśląbla w moim towarzystwie, jestem więc zobowiązany sprawdzić, czy czuje się lepiej.

– Lekarz i uzdrowicielka zalecili pannie Coridae dużo odpoczynku – odezwała się niespodziewanie Yrsa, ściągając na siebie spojrzenia

wszystkich zebranych. – Zależy mi, jako jej służącej, by była w jak najlepszym zdrowiu.

– Oczywiście. To nie czas i miejsce na takie rozmowy – rzekł Kieran i położył kuzynowi dłoń na ramieniu. Valiant wyglądał, jakby pragnął ją z siebie natychmiast strząsnąć.

– Zostawić nas.

To było polecenie wydane tonem króla. Valiant poczekał, aż wszyscy opuszczą sypialnię, po czym oparł się plecami o zamknięte drzwi.

– Nie przedłużajmy tego. Wiesz, o co chcę cię zapytać – powiedział.

Gdyby Antoinette miała trochę więcej siły, zapewne by się zaśmiała.

– Przeceniasz mnie. Nie czytam w myślach.

– Gdzie jest Fiyonn?

Kieran twierdził, że Valiant od dawna wiedział, dokąd udał się jego brat. Najwidoczniej jednak wciąż pragnął usłyszeć od Antoinette odpowiedź na swoje pytanie.

– Gdzieś, gdzie go nigdy nie znajdziesz – odparła. Nie była pewna, czy bardziej męczył ją jego upór, czy choroba.

– Ale ty wiesz, gdzie to jest?

Zanim zdążyła się dobrze zastanowić, wypaliła tylko:

– Tak.

Drgnęła, powstrzymując dziecinny odruch zasłonięcia sobie ust ręką. *Dlaczego to powiedziałam?* Valiant spuścił wzrok i pokiwał powoli głową.

– Mówiłem ci, że znam tę magię – powiedział cicho. – Ty wiesz o niej zdecydowanie zbyt mało.

Przecież jej odpowiedź niczego nie znaczyła. Co z tego, że wiedziała, gdzie jest Fiyonn, skoro nie potrafiła się tam dostać? Uniosła się wyżej na poduszkach, czując się kompletnie bezbronna w towarzystwie Valianta.

Kiedy zmierzał w kierunku jej pokoi, musiał już wiedzieć, co się stało. Nie wyglądał na zaskoczony jej złym samopoczuciem. Nie zapytał, czy potrzebuje pomocy. Zmęczenie zaćmiło jej umysł. Czegoś jej jednak brakowało, nie dostrzegła jakiegoś detalu.

– Fiyonn nie nauczył cię, że dar, który otrzymałaś, wymaga ciągłego używania? – zapytał. – Kiedy ostatnim razem z niego korzystałaś?

Gorączka, piekące gardło i ciężka głowa nie pomagały jej myśleć. Ale знаła przecież odpowiedź. Korzystała z magii niemal cały czas, aż do momentu, w którym zaczęła chorować i wszystko stało się trudniejsze. Nie mogła sięgnąć do źródła, coś ją blokowało.

– Nie istnieje w świecie nic, co nie miałoby swojej przeciwwagi. Aby wstał dzień, musi zapaść noc. Zatem nawet magia nie jest wszechmocna i można ją zatrzymać. Nie dziwi mnie jednak fakt, że o tym nie wiedziałaś, bowiem Fiyonn bardzo nie lubi o tym mówić. – Valiant wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki mały kamień, który na pierwszy rzut oka wyglądał, jakby został zabrany z bruku pałacowego dziedzińca. – Tramant, wydobywany w postaci kamienia, jest niezwykle elastycznym materiałem, choć wcale na taki nie wygląda. Można go odpowiednio obrobić i przetopić, tworząc z niego broń. Można również skruszyć go i zmielić na drobny, niewyczuwalny niemal pył. Kogoś nieobdarzonego magią spożywanie tramantu przyprawi tylko o problemy żołądkowe. Gdy jednak poda się go komuś takiemu jak ty...

– Otrułeś mnie.

W pierwszej chwili Antoinette pomyślała o Rhoswen, ale potem dotarło do niej, że przecież na dzisiejszym śniadaniu niczego nie zjadła.

– Otrzymałaś tramant w herbacie, w bardzo małych dawkach – rzekł Valiant, chowając z powrotem kamień. – Ale zadziałał na ciebie o wiele intensywniej, niż się spodziewałem, skoro całe twoje ciało postanowiło się zbuntować.

Wszystko w tej chwili nabrało sensu – coraz rzadziej słyszała głosy, nie wyczuwała źródeł ani żadnej innej energii. Słabło zarówno jej serce, jak i jej źródło.

– Oszukała cię twoja własna moc, Antoinette. Stłumiona magia pragnie z powrotem płynąć. Twój dar istnieje samoistnie i jest w stanie z łatwością pokonać człowieka. Osłabić, a następnie przejść jego ciało. Domaga się, by go używać, więc w chwilach takich jak ta trudno jest omijać prawdę, skoro to wokół niej kręcą się wszystkie twoje umiejętności.

Nie miała na to żadnej odpowiedzi i Valiant o tym wiedział. Na jego twarzy malował się smutny triumf. Może naprawdę sądził, że będzie z nim współpracowała. Może naprawdę chciał być dla niej dobry, lecz uznał, że ona tego nie doceni.

– Przyjdę do ciebie jeszcze jeden, ostatni raz. Dam ci czas, byś poczuła się lepiej. Uznaj to za wyraz mojej dobrej woli. Kiedy już dojdiesz do siebie, udamy się w podróż na zachodnie wybrzeże – oświadczył, po czym obrócił się na pięcie i zostawił ją samą.



Moment, gdy za Valiantem zatrzasnęły się drzwi, pozostawił Antoinette z nadzieją, że w ciągu kilku dni poczuje się lepiej. Skutki zatrucia tramantem ustąpią i znów stanie na nogi. Nie miała siły, by ruszyć się z łóżka, więc w głowie rozpisywała scenariusze. Czy mogła odmówić Valiantowi, gdy ten nakaże jej pakować się do powozu i jechać do domu nad klifem? Czy nie zaciągnie ją wtedy do pojazdu siłą?

Wiedział, jak zmusić ją do mówienia prawdy. Im słabsza była, tym trudniej było jej oszukać swój własny dar. *Domaga się, by go używać*, powiedział Valiant. Zatem prawda potrzebowała z niej wypłynąć i robiła to wbrew jej woli.

Nic nie wskazywało na to, że miała stać się silniejsza. Mimo regularnego brania lekarstw czuła się tak samo wycieńczona, jak wcześniej.

– Nie mogę ci niczego podać na pusty żołądek – besztala ją Yrsa, gdy po raz kolejny Antoinette próbowała jej oddać prawie nieruszony posiłek. – Musisz jeść, inaczej to nie minie.

– To i tak nie działa.

Głos Antoinette brzmiał, jakby w gardle zalegał jej stos kamieni.

– Nette, minęły dopiero trzy dni.

– Valiant powiedział kilka dni, a to oznacza, że był przekonany o tym, że pod koniec tygodnia będę już zdrowa.

– Wcale tego nie powiedział, nie możesz sobie niczego dopowiadać...

– Nie dopowiadam sobie. – W jej głosie pojawiło się płaczące drżenie.

Dwie samotne łzy bezsilności popłynęły jej po policzkach.

– Może truje mnie nadal. Dosypuje ciągle tramant do herbaty – powiedziała cicho.

– W takim razie wiedziałabyś, że kłamał – przypomniała Yrsa. – Prawda?

– Nie wiem.

W nocy kierunek, w którym biegły jej myśli, zmienił się. Co chciał powiedzieć jej książę, zanim do pokoju wpadł Valiant? Czy ucieczka z Gniazda jest jeszcze w ogóle możliwa, skoro choroba na dobre przykuła ją do łóżka?

Przez cały ten czas zastanawiała się, czy dobrze wybrała. Sądziła, że może lepiej byłoby zostać w Gnieździe i obserwować bacznie Valianta. Obiecał jej, że rada nada jej specjalny status, że zmieni się prawo, a jej tytuł powróci do administracyjnych zapisów i królewskich edyktów. Może naprawdę miała szansę, by wszystko naprawić. I choć zwierzył jej się, mówiąc całkowicie szczerze o tym, że nie stać go na walkę z Vijandą, bo pragnie, by jego lud przeżył choć jeden dzień dłużej, w ostatecznym rozrachunku zdradził ją, podając jej trującą tramant.

Nie знаła nikogo, kto nie chciałby lub nie mógłby jej oszukać. Musiała powoli przyzwyczajać się do tej myśli.



Choć słońce było już wysoko na niebie, sufit pokoju zasnuwały cienie. Antoinette wpatrywała się w nie bez końca. Tym razem była pewna, że widziała ciemność, której się obawiała. Tę, która pożerała. Poruszała się wraz z jej spojrzeniem, była wszędzie tam, gdzie padał jej wzrok.

Antoinette próbowała sięgnąć po latające za oknem kruki, by dać upust mocy gromadzącej się pod jej skórą. Udało jej się pochwycić zaledwie jednego ptaka i to tylko na chwilę trwającą dwa uderzenia

serca. Wszystko, czego się dotąd nauczyła, znalazło się poza jej zasięgiem.

Po południu do jej apartamentu wraz z Yrsą przyszła Rhoswen. Słyszając kroki dwóch osób przecinających salon, Antoinette pomyślała, że nadszedł czas i Valiant wrócił, by kazać jej poprowadzić się do Klipetaighu. Widok rudowłosej damy dworu sprawił, że niemal jęknęła z ulgi.

– Nie jestem pewna, czy to bezpieczne, byś tu była – wyszeptała Antoinette. Mimo prób nie była w stanie mówić głośniej. – Nie wiem, czy nie zarażam.

– Cieszę się całkiem dobrym zdrowiem, myślę więc, że chwila spędzona w twoim towarzystwie mi nie zaszkodzi.

Yrsa przystawiła Rhoswen krzesło, by ta mogła usiąść blisko łóżka, a potem spojrzała na Antoinette, niemo pytając, czy zostawić je same. Antoinette pokręciła lekko głową.

– Czy lekarstwa ci pomagają? – zapytała Rhoswen, choć po jej minie można było sądzić, że zna odpowiedź.

– Obawiam się, że nie.

– Myślę, że powinnaś zacząć wychodzić na powietrze. Spacerzy dobrze by ci zrobiły.

– Po co tu przyszłaś?

Antoinette nie miała wystarczająco dużo energii, by marnować ją na rozmowę prowadzącą donikąd.

– Musimy udać się do petramich – oświadczyła, zniżając głos. – Jutro.

– Nette nie może podróżować w takim stanie – wtrąciła się Yrsa.

– Jeśli nie zrobimy tego jutro, to nigdy się nam nie uda. – Rhoswen nie ustępowała. – Musisz przekonać Valianta, że czujesz się na tyle dobrze, by jechać. Ja i Kieran udamy się tam z tobą, nie będziesz sama.

– Nie pozwoli mi na to. – Antoinette przymknęła powieki. – Powiedział, że kiedy do mnie przyjdzie, mam go zaprowadzić do Klipetaighu.

Rhoswen sięgnęła po dłoń Antoinette i zacisnęła na niej palce.

– Wyjdę z propozycją, byś pojechała tam w celu poznania swojego dziedzictwa. A jeśli to nie zadziała, zasugeruję, że może petrami będą w stanie cię uleczyć. Najpierw opowiem o tym Ingvild, a jak ją

znam, poprzez ten pomysł. Valiant może wysłać z tobą nawet stu strażników, ale nie będą mieli szansy cię zatrzymać. To się uda, jestem tego pewna.

Antoinette spojrzała w poważne, brązowe oczy Rhoswen. Były bardzo podobne do jej własnych. Ale tak jak oczy Antoinette straciły cały blask, tak spojrzenie damy dworu było pełne płomiennych iskier. Choć poznały się zaledwie kilka dni temu i zdołały zamienić ze sobą raptem parę zdań, Antoinette miała wrażenie, że już dawno nie spotkała kogoś, kto emanowałby taką wiarą i pewnością. Musiała się więc ich pochwycić.



Zgoda wyrażona przez Ingvild na wyjazd była niczym cud zesłany przez Los. Zgodnie z tym, co mówiła Rhoswen, jej wysokość poparła pomysł udania się do Domu Niji w celu niesienia pomocy Kruczej Wiedźmie. Sama udała się z tą propozycją do Valianta.

– Kiedy zobaczyłam jego minę, przez chwilę się zawahałam – opowiadała Rhoswen, gdy wraz z Antoinette opierającą się na jej ramieniu czekały na dziedzińcu, aż powozy zostaną przygotowane do drogi. – Zaczął nawet kręcić głową, ale Ingvild oświadczyła, że Valiant nie może ignorować twojego stanu zdrowia. A wtedy stwierdził, że w takim razie jego obowiązkiem jest udać się tam razem z tobą.

Nietrudno było przeoczyć kufry, które służący skrzętnie chowali w bagażnikach znajdujących się pod siedzeniami. Antoinette nie miała wątpliwości, że w głowie Valianta zrodził się pomysł, by z Domu Niji udać się prosto na wybrzeże. *Albo coś podejrzewa*, zastanawiała się.

Opuszczenie ciepłego łóżka i włożenie zapinanej na dziesiątki haftek ciężkiej sukni wymagało od niej wiele wysiłku. Lekarstwa przepływały przez nią jak woda, nie zostawiając po sobie żadnego śladu. Najbardziej martwiły ją jednak cienie, wciąż tkwiące na skraju jej spojrzenia. Nie zmieniały swojego kształtu ani nie stawały się większe, co dawało Antoinette nadzieję, że ma jeszcze trochę czasu,

zanim ciemność pochłonie ją na dobre. Starła się na nowo używać swojej magii. Miała nadzieję, że moc potrzebuje impulsu, by ponownie się obudzić, jednak przy każdej próbie czuła się tak, jakby po wielu miesiącach siedzenia próbowała wbiec sprintem po wysokich schodach.

Przygotowano dwa powozy – jeden z królewskim emblematem i złotymi szarfami, a drugi dla służby i straży. Antoinette bała się, że zostanie zmuszona do samotnej podróży z Valiantem, jednak na szczęście cała czwórka pasażerów miała znaleźć się w tym samym pojeździe.

Gdy wyszła na powietrze, Rhoswen już tam stała i obserwowała przygotowania. Miały dosłownie chwilę, by porozmawiać w samotności.

– Nie będę ci zdradzać zbyt wielu szczegółów – powiedziała Rhoswen, zbliżając usta do jej ucha. – Lepiej, żebyś wiedziała jak najmniej. Tak będzie bezpieczniej. Wystarczy, że będziesz trzymać się mnie i Kierana.

Niczym na wezwanie księżę pojawił się na dziedzińcu. Ubrany był od stóp do głów w jasne barwy, które przywodziły na myśl stroje, w jakich zwykła chodzić Ingvild.

– Masz w Kuvijacie własnego krawca? – zagadnęła go Rhoswen. Najwyraźniej pomyślała o tym samym.

– Lubię różnorodność.

Kieran skłonił się Antoinette, po czym podszedł do woźnicy.

– Zapowiada się najgorsza podróż w tym roku – westchnęła Rhoswen.



Antoinette miała wrażenie, że całą energię, jaką zdołała z siebie wykrzesać, zużyła na przejście do powozu. Gdy zasiadła na ławeczce obitej ałłasem, znajdowała się już na granicy zapadnięcia w sen. Obok niej miejsce zajęła Rhoswen, a naprzeciwko Kieran, co sprawiało, że Valiant znalazł się na ukos od niej.

– Lady Rhoswen powiadomiła Koronę, że wciąż nie czujesz się najlepiej.

Słowa Valianta sprawiły, że po plecach Antoinette przeszedł dreszcz. Gdy pojawił się przy drzwiczkach powozu, udało jej się wyprostować plecy i unieść wyżej głowę, aby nie wyglądać na tak osłabioną, jak się czuła w rzeczywistości. Ale jej usta otworzyły się teraz same. Magia kłamstw nie zamierzała się poddawać, Antoinette musiała ją sobie z powrotem podporządkować.

– Nadal jestem słaba – rzuciła szybko. – Ale bardzo chcę udać się do Domu Niji.

– Pogoda do podróży jest dziś wyśmienita – wtrąciła Rhoswen, barwiąc swój głos słoneczną radością. – Od kilku lat nie mieliśmy tak ładnej wiosny.

Ku zaskoczeniu Antoinette, Kieran przez dłuższy czas milczał. Wbił wzrok w jakiś punkt za oknem i obserwował zmieniający się krajobraz. Sam fakt, że pozwolono mu udać się z nimi, trochę ją zastanawiał. Czy Valiant był aż tak zdesperowany, by mieć go na oku przez cały czas? Antoinette podejrzewała, że po wizycie w Domu Niji będzie chciał, by całą grupą udali się na wybrzeże. Może po drodze pozbędzie się gdzieś Rhoswen, której prawdopodobnie o nic nie podejrzewał. A może...

– Może nawet dobrze się składa, że udajemy się tam teraz – odezwał się sucho Valiant. – Wiedza ludu Niji jest ogromna, mogą rzeczywiście pomóc. A po powrocie będzie można w końcu wezwać do pałacu przedstawicieli Świątyni, by rozmówić się z nimi w sprawie twojego statusu.

Mieli spędzić w podróży kilka godzin. Do Domu Niji na szczęście nie jechało się tak długo, jak do Zimowego Pałacu, ale sam fakt, że musieli spędzić tyle czasu na bardzo małej przestrzeni, przyprawiał Antoinette o zawroty głowy. Denerwowała się, lecz nie mogła tego okazać. Powinna chociaż udawać podekscytowanie – miała w końcu poznać kolejny element swojego dziedzictwa.

Straciła zaufanie zarówno do Fiyonna, jak i do Valianta, a Kieranowi nigdy nie zdążyła zaufać, więc teraz jakaś jej część naiwnie pragnęła, by Rhoswen okazała się sojuzniczką. To ona w końcu ryzykowała najwięcej. Była najbliższą towarzyszką Ingvild i wyglądało na to, że Valiant o nic jej nie podejrzewał. Oficjalnie nie

była w żaden sposób związana z Fiyonem, gdyż jej rodzina nie opowiedziała się za nim w konflikcie sukcesyjnym. Jeśli jednak cokolwiek pójdzie nie po ich myśli, prawdopodobieństwo, że Rhoswen zostanie skazana na śmierć za zdradę, było niezwykle wysokie.

– Mój kuzyn jest dziś wyjątkowo mało rozmowny, to zaskakujące – zauważył Valiant po cizy trwającej jakiś czas. – Czyżbyś nie spał dobrze dziś w nocy?

– Wręcz przeciwnie.

Kłamca. Antoinette zacisnęła powieki, kiedy usłyszała cichy szept jej magii.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci towarzystwo. Byłem co prawda zaskoczony, że oboje z lady Rhoswen zechcieliście się udać w tę podróż, jednak myślałem, że oznacza to zakopanie w końcu wojennego topora.

– To doprawdy stare dzieje. – Rhoswen machnęła ręką, jakby odganiała irytującego owada. – Nie ma o czym mówić.

Jej ton sugerował jednak coś innego. Delbatich właściwie na nią nie patrzył, przez co atmosfera w powozie zrobiła się nieznośnie gęsta.

– Kieran potrzebował sporo czasu, by wyleczyć złamane serce, nieprawdaż?

Valiant klepnął kuzyna w kolano, jakby byli dobrymi przyjaciółmi, co księżę przyjął z wymuszonym uśmiechem.

Ich poprzednie spotkanie na śniadaniu nie sugerowało, że któreś z nich wciąż żywi urazę z powodu tamtego zdarzenia. Wręcz przeciwnie, wydawali się być w dobrych kontaktach. *Udają*, pomyślała Antoinette. Utrzymywali ułudę niezbyt poprawnych relacji, aby odsunąć od siebie choćby cień podejrzeń.

– Ciebie na szczęście nigdy to nie spotkało, prawda? – zwrócił się do Valianta Kieran. – Aranżowane, ale szczęśliwe małżeństwo. Los cię pobłogosławił.

– Przywileje łączą się z poświęceniem. Równowaga zawsze musi być zachowana.

Choć mówił do Kierana, swoje ostatnie słowa kierował do Antoinette. Zastanawiała się, czy już się zorientował, że czuje się gorzej, niż powinna. Czy tego oczekiwał? A może spodziewał się, że

sińce zmęczenia zaraz znikną z jej twarzy, a w jej ruchach znów pojawi się energia?

Przez te kilka dni, które spędziła w łóżku, Antoinette myślała tylko o tym, że jej złe samopoczucie nie jest wyłącznie wynikiem spożywania tramantu. Co prawda nie miała pojęcia, jak wiele dawek zażyła ani jak dokładnie działa ta trucizna, jednak Valiant wierzył, że po kilku dniach poczuje się lepiej. Tymczasem nic takiego nie miało miejsca. Jej ciało wciąż było przeżarte chorobą. Działo się z nią coś innego. Coś, czego Valiant nie przewidział.



Antoinette pamiętała drogę jak przez mgłę. *Zasnęłam*, uświadomiła sobie po chwili. Głowę opartą miała o boczną ściankę powozu, ręce złożone na kolanach. Oczy zdawały się teraz palić ją żywym ogniem, krzyczały, by opuściła z powrotem powieki.

Czuła na sobie wzrok Valianta.

– Obudziłaś się w samą porę – powiedział.

Widziała go w wielu odsłonach. Gdy na niego spojrzała, był skupiony, studiował ją, upodabniając się w tym momencie nieco do swojego brata. Fiyonn tak samo zimno patrzył na nią wiele tygodni temu w Zimowym Pałacu.

– Proszę popatrzeć. – Rhoswen chwyciła ją za dłoń i pokazała coś na zewnątrz.

Wszystkie ruchy Antoinette wydawały się spowolnione, jak gdyby powietrze stawiało opór niczym woda.

Szczyt Niji widać było nawet z Flugstadt, co tylko nasuwało myśl, jak potężna musi to być góra. Widziana z bliska robiła jeszcze większe wrażenie. Choć okolica była szczerze zazieleniona, mniej więcej od połowy swojej wysokości Nija była niemal całkowicie litą skałą. Antoinette nie potrafiła sobie wyobrazić, jak ktokolwiek mógłby próbować się na nią wspiąć, a przecież znała co najmniej kilka opowieści o takich śmiałkach. Czy naprawdę żył człowiek, który pomyślał, że jest w stanie pokonać tę górę?

Panującą w okolicy ciszę przerywało jedynie krakanie wron, które podążały za powozami. Poza tym las, przez który przejeżdżali, zdawał się zastygły w czasie. Nawet najmniejszy powiew wiatru nie poruszał koronami drzew.

– Jesteśmy już na terenie petramich – oznajmił Valiant. – Zgodnie z porozumieniem, podpisanym ponad czterysta lat temu, cały teren otaczający Niję znajduje się pod ich opieką, a to oznacza, że bez ich zgody nie mamy prawa ścinać choćby jednego drzewa.

Może gdyby Antoinette miała więcej sił, podtrzymałaby rozmowę i zadała kilka pytań. Chciała wyciągnąć z Valianta tak dużo informacji, jak tylko się dało, ale zbyt pochłaniało ją pragnienie zachowania prostej postawy. Musiała się trzymać. Musiała wyjść z powozu, podążyć za Kieranem i Rhoswen, a potem wierzyć, że ich plan sprawi, że do końca dnia znajdzie się w miejscu z dala od królewskiego pałacu. Może jej nadzieje były płonne, lecz życie w pałacu koło Valianta przerażało ją bardziej niż potencjalne starcie z Fiyonem.

Powóz powoli wtoczył się pod górę i na krótką chwilę dookoła zapanowała ciemność.

Antoinette zacisnęła dłonie w pięści. Po plecach przeszedł ją dreszcz. Cienie, które na dobre zagnieździły się w kąciakach jej oczu, zamigotały. Dwa uderzenia serca później znów zrobiło się jasno. Pochodnie umieszczone na skalnych ścianach oświetlały pomarańczowym blaskiem skalny korytarz, którym podążali.

– Czy wiedzą o naszej wizycie? – spytała Antoinette.

– Oczywiście. List został nadany chwilę po tym, jak jej wysokość zaproponowała, byśmy się tu udali – odparł Valiant.

Nagle do uszu Antoinette zaczęły dochodzić dziwne dźwięki, ale trudno jej było je rozpoznać. Były jak szum, jak echo czyichś kroków, szmer deszczu. Zaczęła nasłuchiwać, poprawiła się na ławeczce i uważniej wyjrzała przez okienko powozu.

Najpierw zauważyła, że światło latarni zmieniło barwę z bursztynowej na chłodny błękit. Potem korytarz przeistoczył się w okrągłą salę wykutą w kamieniu. W Antoinette wstąpiła nowa siła. Niecierpliwie czekała, aż powóz się zatrzyma i w końcu będzie mogła się rozejrzeć. Ludzie, których mijali, spoglądali w ich stronę, nikt się jednak nie kłaniał. Ubrani byli zwyczajnie, mniej wystawnie

niż mieszkańcy stolicy. Tylko nieliczni nosili stroje pokryte drobnymi, kolorowymi wzorami, jakich Antoinette nigdy wcześniej nie widziała.

Tu i ówdzie dostrzegała blade postacie. Ich kontury zdawały się zlewać z otoczeniem. Dopiero po chwili dotarło do niej, że petrami szli ręką w rękę z duszami swoich przodków i prawdopodobnie nic o tym nie wiedzieli.

Antoinette niemal zachłysnęła się własnym oddechem. To był pierwszy raz, kiedy zobaczyła inną duszę poza Zimowym Pałacem. *Czyżby magia do mnie wracała?*

Gdy powozy się zatrzymały, nikt nie ruszył się ze swych siedzeń, dopóki sługa Valianta nie otworzył drzwi. Pierwszy wysiadł Kieran, wyraźnie dając znać, że z radością powitał koniec podróży. Antoinette ujęła rękę, którą do niej wyciągnął, i powoli wstała, mając nadzieję, że jeszcze przez chwilę uda jej się trzymać prosto.

Gdy jej stopy dotknęły ziemi, poczuła, jak uderza ją fala mocy. *Tvilier*, odezwały się niespodziewanie głosy. Szeptały zawzięcie, jakby w końcu ktoś wypuścił je z klatki. W pierwszej chwili Antoinette chciała się uśmiechnąć, ale potem cienie w kącikach jej oczu zaczęły się poruszać, zrobiły się gęstsze i czarniejsze. Choć wiedziała, że na nic się to nie zda, mrugała, by je odegnąć. Nie chciała tego, lecz jej oczy zmieniły się, a wtedy wszystko wokół niej zaczęło błyszczeć i migotać. Na szczęście Kieran nie puszczał jej dłoni, bo niechybnie upadłaby, nie ze słabości, lecz z wrażenia. Nici magii, przesywające ściany i sufit Sali, pulsowały łagodnie energią, która rozbudziła jej moc. W oddali wyczuwała coś dziwnego, coś, co przypominało jej ludzkie źródło, ale o wiele większe.

– Antoinette? – Głos Kierana wyrwał ją z transu. Patrzył na nią bez lęku, zupełnie nie przejmując się tym, jak wyglądała z oczami bez tęczówek i źrenic. – W porządku?

– Jest tutaj – szepnęła, bardziej nawet do siebie niż do Kierana.

Fiyonn tu był. Była tego pewna, choć jeszcze go nie wyczuwała, nie tak jak kiedyś. Może był za daleko, a może to ona była za słaba. Całą jej uwagę przyciągało to większe źródło, pulsujący energią punkt, jakiego nigdy dotąd nie wyczuła. Nawet powietrze smakowało tu inaczej. Antoinette miała wręcz wrażenie, że oddycha magią.

Kątem oka zauważyła, że ludzie przechodzący wcześniej przez salę zebrali się wokół powozów i obserwowali ich z dystansu.

Podobnie jak przed teatrem, większość spojrzeń spoczywała na niej. Ona była jednak kompletnie zdekoncentrowana przez nadmiar bodźców. Kieran musiał to zauważyć, bo ułożył jej dłoń tak, by chwyciła go pod ramię, i pociągnął lekko w stronę Valianta, Rhoswen i reszty zebranych.

Mężczyzna stojący na czele grupy ubrany był w jeden z barwnych strojów, które Antoinette wcześniej zauważyła. Zgadywała, że mógł być to tutejszy ubiór formalny, charakteryzujący się czymś w rodzaju lokalnego wzoru czy haftu.

Petrami skłonił się głęboko na jej widok, po czym ucałował w dłoń z Kruczym Okiem.

– Antoinette Corvidae. – Wypowiedział jej pełne imię i nazwisko z uczuciem, którego chyba jeszcze u nikogo nie słyszała. – Los w końcu błogostawi nam, mimo że wielu straciło już nadzieję.

Jego oczy były niebieskie jak niebo w bezchmurny dzień. Wyraźnie odznaczały się na tle śniadej skóry, przez co zdawały się same przyciągać spojrzenie.

– Cieszę się, że tu jestem – powiedziała Antoinette, i choć jej głos brzmiał słabo, mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

– Obyczaj nakazuje, byś poznała moje imię, ponieważ ja znam już twoje. Nazywam się Manu Noppea i mam zaszczyt powitać cię w Domu Niji. Z radością przyjęliśmy wiadomość o waszym przybyciu. Czeka was jeszcze dziś droga powrotna do Flugstadt, nie traćmy zatem czasu. Podążajcie za mną.

Za Noppeą ruszyło kilka osób, reszta rozeszła się, kierując się do korytarzy, które Antoinette dopiero teraz zauważyła. Nikt nie czuł potrzeby, by kłaniać się tesaryckiemu władcy. Poczucie odrębności było tu silniejsze, niż Antoinette się tego spodziewała.

Rhoswen posłała Kieranowi dyskretne spojrzenie. Kiwnął głową i wskazał Antoinette, by udała się za Valiantem i Noppeą. Nie miała pojęcia, co się dzieje, ale obiecała nie zadawać pytań. Za ich plecami podążała nieodłączona grupka gwardzistów, która otoczyła ich ciasnym kręgiem.

Błady błękitny blask rozlewający się po korytarzach, przez które przechodzili, zwrócił jej uwagę. Latarnie zwisające ze skalnego sklepienia płonęły niebieskim ogniem, zbliżonym barwą do oczu Noppei.

- Jak to możliwe? – zapytała Kierana, wskazując na nie.
- Chciałbym znać odpowiedź na to pytanie. Będziesz musiała zapytać gospodarzy.

Antoinette pokiwała głową. Księżę szedł tuż obok, jakby w każdej chwili gotowy był ją pochwycić, gdyby utraciła niespodziewanie siły.

- Czy Manu Noppea jest... władcą petramich?

Kieran zastanawiał się chwilę.

- Ciężko nazwać go władcą. W Domu Niji nie panuje królewska hierarchia. Można powiedzieć, że odgrywa rolę jednego z przewodników. Jest ich kilkoro, tworzą więc coś, co my pewnie nazwalibyśmy radą albo zgromadzeniem, które decyduje o najważniejszych sprawach. Nie znam jednak szczegółów.

Całą grupą weszli do kolejnej sali, o wiele większej od poprzedniej, gdzie sklepienie podtrzymywane było przez potężne pale drewna. Powietrze było tu chłodniejsze i lekko wilgotne, a wszystko za sprawą niewielkiego stawu znajdującego się na drugim końcu komnaty.

To było to miejsce, które wyczuwała wcześniej. Emanowało energią tak potężną, że przyciągało ją jak świeca wabiąca do swego ognia ćmę.

Nie zwracała uwagi, czy Noppea prowadził ich w tamtą stronę. Jak zahipnotyzowana podeszła do stawu, a Kieran bezwiednie szedł za nią. Jej źródło, uspięne do tej pory chorobą, nagle zaczęło pracować z większą mocą. *Tvilier*, szeptały kolejne głosy. Tak, Fiyonn był gdzieś tutaj, tego była pewna, choć nie wyczuwała go tak jak dawniej. Moc stawu była zbyt wielka, przez co zdawało się, że przykrywa źródła wszystkich znajdujących się w pobliżu.

- Oto świadectwo prawdomówności panny Corvidae dla tych, którzy wątpili. Córa Moiry wie, dokąd iść, choć przecież nigdy tu nie zawitała. – Głos Manu Noppei zwrócił uwagę Antoinette. Nagle znalazł się tuż obok niej. – Według legendy to tu powstało Krucze Oko, które Mędrzec wręczył Moirze Czarnowłosej. Kontynuujemy tę tradycję, mocząc tu kamienie i napełniając je mocą.

- Mówią, że Moira należała do waszej społeczności – odezwała się Antoinette, cały czas zbliżając się do źródła. Już widziała jego wodę, idealnie gładką, o powierzchni niczym lustrzana tafla.

– Wierzimy, że tak było. Według zapisów, które posiadamy, ona i jej dziedziczki były w stanie posługiwać się naszą magią, a to oznacza...

Gdy Antoinette znajdowała się o krok od źródła, poczuła szarpnięcie. To Kieran zatrzymał się w miejscu i nie pozwolił jej iść dalej.

– Księżę Delbatich wie o tym, że nie wolno bezpodstawnie dotykać źródła – odezwał się Noppea. – Niestety, nie mogę na to zezwolić nawet tobie.

Wzywa ją, zdawało się, że szept magii rozchodzi się echem po sali. *Ona jej potrzebuje. Chwyciła tę nić.* Część głosów wciąż wzywała Fiyonna. *Tvilier*, płakały cicho, stęsknione i potrzebujące, ale pragnienie, które narastało w Antoinette, było silniejsze niż tęsknota.

Patrzyła na swoje odbicie. Szara skóra, długa szyja, blizna nad okiem, wszystko widziała niezwykle wyraźnie. Już była gotowa wyrwać rękę i pochylić się nad taflą, gdy po jej prawej stronie rozpętało się zamieszanie.

Strażnicy otaczający Valianta byli postawieni w gotowości. Stanęli z dłońmi opartymi o rękojeści mieczy, a ich spojrzenia były skierowane w jedną stronę. Valiant wyglądał jednak na rozluźnionego. Stał naprzeciwko mężczyzny, który w niczym nie przypominał reszty petramich. Od stóp do głów ubrany był w skóry, co niewątpliwie zwracało na niego uwagę, bo nie było nikogo innego, kto ubierałby tu podobne stroje. Był obcy i z jakiegoś powodu to przyciągnęło uwagę Valianta.

Ciemne, lekko kręcone włosy mężczyzny poprzetykane były paciorkami i miedzianymi ozdobami. Wzrok Antoinette prześlizgnął się po jego postawnej sylwetce, po czym przeniósł się na kostur, który trzymał w prawej ręce. Na jego końcu lśnił mlecznobiały kamień wielkości głowy małego dziecka, emanujący dobrze jej znanym łagodnym światłem magii. Mrugnęła, a gdy jej oczy pokryły się czernią, zobaczyła, jak silny ładunek mocy znajduje się w kosturze mężczyzny. W niczym nie przypominało to mieniących się blado kamieni Uświęconej Matki, którą Antoinette spotkała w Vande Sjel. Ten kamień był niemal osobnym źródłem.

Zainteresowanie Valianta nie wynikało jednak z artefaktu niesionego przez mężczyznę. Stojący obok niego petrami spojrzeli po sobie. Wyglądali na przestraszonych.

– Nie było mowy o obcych w Domu Niji – rzekł Valiant, spoglądając w stronę Manu Noppei.

Choć ułożenie jego ciała sugerowało, że jest spokojny, brwi miał ściągnięte. Bardziej niż zdenerwowany był... rozczarowany.

– Nikt nas nigdy o to nie pytał, panie. – Petrami podszedł do tesaryckiego władcy, rozkładając ręce. – Mój lud nie ma w obowiązku informować Korony o gościach, których przyjmuje.

Valiant zmierzył wzrokiem Noppeę, a potem zwrócił się z powrotem do mężczyzny w skórach.

– Skąd pochodzisz? – zapytał.

Petrami stojąca koło nieznanego otworzyła szeroko oczy. Po niej najbardziej widać było trawiący ją strach. *Czego się boi?*, zastanowiła się Antoinette.

– Urodziłem się w górach i tam zapewne umrę – odezwał się niskim głosem mężczyzna. Jego ton wskazywał, że nie był ani trochę zdenerwowany. Wręcz przeciwnie, stał pewnie na szeroko rozstawionych nogach, a głowę trzymał wysoko. Wyglądał tak, jakby to on był władcą, a Valiant jego poddanym. Nie było w nim ani grama uległości.

– W którym łańcuchu? – dopytywał Valiant.

– Panie, to nasz dobry przyjaciel. – Starszy mężczyzna wyszedł zza pleców obcego. – Nie ma potrzeby do zmartwień...

– Kiedy jego wysokość pyta, oczekuje odpowiedzi – odezwał się niespodziewanie jeden z gwardzistów.

– Jego królewska mość nie jest panem tej góry – zaprotestował staruszek.

– Ale jest panem ziemi, z której góra wyrasta – rzucił Valiant. Był zirytowany, nie znosił niesubordynacji. Każde słowo, które choć odrobinę podważało jego autorytet w oczach innych, sprawiało, że tracił nad sobą panowanie. Nawet tutaj, gdzie nie miał żadnej władzy.

– A ja natomiast jestem panem własnego czasu.

Mężczyzna ruszył dynamicznie przed siebie, nie mając ochoty ciągnąć tej rozmowy, jednak gwardziści zastawili mu drogę. Nie było

mowy, by odszedł bez odpowiedzi, których żądał od niego Valiant.

W tamtym momencie spojrzenia nieznajomego i Antoinette się spotkały. Nie wiedziała, kim jest mężczyzna w skórach, ale czuła, że ją rozpoznał. I choć nie było to może nic nadzwyczajnego, bo jej czarna suknia i Krucze Oko na palcu mówiły wszystko o jej pozycji, on wyglądał tak, jakby kiedyś już ją spotkał i nie mógł uwierzyć, że stoi przed nim ponownie.

– Antoinette. – Głos Valianta przywoływał ją do siebie.

Wszyscy zgromadzeni zastygli w bezruchu, szepty i rozmowy ustały. Może spodziewali się, że mu się sprzeciwi. Ona jednak podeszła, bojąc się tego, co mogłoby się wydarzyć, gdyby się sprzeciwiła.

– Antoinette – zwrócił się do niej ponownie Valiant, tym razem o wiele łagodniej. – Przysłuchaj się, proszę, słowom tego człowieka.

– Panie... – zaczął jeszcze raz starszy petrami, starając się zbliżyć o krok, ale Valiant w ogóle nie zwracał na niego uwagi.

– Skąd jesteś i po co przybywasz do Domu Niji? – zapytał. Choć wzrok miał wbity w podłogę, wszyscy wiedzieli, do kogo kierował swoje pytanie.

– Przybył, by spotkać się ze swą rodziną... – rzekł błagalnie staruszek. Nagle ktoś go odepchnął, nie pozwalając mu dokończyć. Kilka głów odwróciło się w tamtą stronę. Na wszystkich twarzach malowało się rozczarowanie, jakby bezgłośnie pytali, dlaczego to powiedział.

Może padły jakieś słowa skierowane do niego, ale tego Antoinette nie dosłyszała. W jej uszach rozbrzmiewało tylko jedno słowo.

Kłamca.

Obcy spojrzał na Antoinette. Wiedział, co zaraz miało się stać.

– Czy mówią prawdę? – Głos Valianta był jak cios nożem. Antoinette nie miała pojęcia, czego była właśnie świadkiem. Czy powinna kryć tego człowieka? Czy powinna zbuntować się Valiantowi? *A co, jeśli jest niebezpieczny?*, pytała samą siebie. Zanim jednak zdążyła się dobrze zastanowić, na jej języku pojawiło się słowo, które bardzo pragnęło zostać wypowiedziane.

– Nie – szepnęła.

Cały świat zawirował wokół niej. Usłyszała syk wyciąganych mieczy, czyjś krzyk, szuranie butów. Valiant nagle zniknął,

a mężczyzna w skórach pojawił się tuż obok niej. Zaczął rozpychać się między zgromadzonymi.

Ktoś nagle chwycił ją za rękę.

– Proszę za mną.

To Manu Noppea pociągnął ją, wydostając z tłumu, a ona pobiegła za nim niemal bezwładnie jak lalka na sznurku. Atak na Valianta tak zaniepokoił straż, że kompletnie o niej zapomnieli. Sądziła, że Noppea chce ją po prostu odciągnąć na bok i ruszy na pomoc Valiantowi, on jednak prowadził ją dalej. Po chwili z całej siły wyrwała mu dłoń i zatrzymała się. Już była gotowa wypytywać, co to ma znaczyć, gdy usłyszała za plecami znajomy głos.

– Nie ma na to czasu. – Kieran patrzył na nią błagalnie. – Mamy szansę.

Tvilier, szeptały głosy, jakby czuły, że zarówno Kieran, jak i Noppea chcą poprowadzić ją do Fiyonna.

Zawahała się. Dała się już raz oszukać, była zbyt ufna.

Ale dotarła aż tutaj. Była tak blisko.

– Antoinette. – Kieran stanął tuż przed nią. Byli tego samego wzrostu, mogła więc bez trudu spojrzeć prosto w jego jasne, szare oczy. – Jeśli chcesz umknąć Valiantowi, musisz to zrobić teraz.

Po chwili dołączyła do nich Rhoswen, której włosy wyglądały, jakby poszarpał je silny wiatr. Policzki miała zaczerwienione, oddychała ciężko. Chwyciła Kierana za ramię.

– Nie mogę z wami iść – szepnęła. – Muszę zostać.

Antoinette nie zdążyła się nawet odezwać, gdy Kieran kiwnął głową i lekko ją odepchnął. Wtem, z tylko sobie znanych powodów, Rhoswen zaczęła rozrywać rękaw swojej sukni.

Dookoła wszyscy wciąż interesowali się Valiantem, sala wypełniała się ludźmi, jakby całe to zamieszanie przywoływało kolejnych petramich. Antoinette widziała, że Valiant siedzi na ziemi, podtrzymywany przez jednego z gwardzistów, całkowicie oszołomiony.

– Chodźmy.

Kieran wyciągnął do niej rękę. Tym razem ją ujęła.

Noppea poprowadził ich do przejścia, którego wcześniej w ogóle nie zauważyła. Za bardzo skupiła się na magii płynącej z wodnego źródła. Korytarz był wąski i ciemny, blade światło niebieskich

płomieni było tu przytłumione. Im dalej szła, tym bardziej opierała się o Kierana, czując, że opada z sił. Prowadził ją bez słowa sprzeciwu. W którymś momencie zrobiło się tak ciemno, że Antoinette nie była już pewna, czy to przez zgaszone latarnie, czy przez cienie z kącików jej oczu, które odebrały jej zdolność widzenia. Potknęła się, ale nie upadła. Stała się balastem uczeptionym ramienia księcia.

– Jeszcze chwilę... – Głos Manu Noppei dochodził do niej z daleka, odbijając się echem od ścian jaskini.

Miała wrażenie, że korytarz nie ma końca, a oni poruszają się w ślimaczym tempie. Pot spływał jej po skroniach i po plecach, na ustach czuła sól. Przechodziły ją fale zimna i gorąca, nigdy nie czuła się tak fatalnie. Nigdy nie była tak chora. Im bardziej oddalała się od stawu, tym szybciej mijała chwila ekstazy, którą przy nim czuła.

Chciała prosić o chwilę odpoczynku, aby złapać oddech. Ale zza zakrętu dotarło do niej blade światło. Pulsujące i łagodne. Z tyłu jej głowy rozbudziły się głosy, a wszystkie krzyczały tylko jedno słowo.

Tvilier.

Najpierw Antoinette zobaczyła ścianę magii. Była doskonale widoczna, nawet dla jej ludzkich oczu. Emanujące z niej światło na krótką chwilę ją oślepiło. Przetarła zmęczone oczy i usłyszała nagle, jak ktoś wypowiada jej imię. Nie Valiant, nie Kieran.

Jest tutaj, szeptały głosy.

Miały rację. Fiyonn stał zaledwie kilka kroków od niej. Połowa jego twarzy oblana była srebrzystym blaskiem, druga połowa tkwiła schowana w cieniu. Nie zmienił się ani odrobinę. To naprawdę był on.

Przeszedł dzielący ich dystans, a chór głosów tylko się wzmagał. Kiedy ujął jej twarz w dłonie, niczego już nie widziała.

Rozdział 38

ROSEMARY

Ostatnimi dniami spędzonymi w Falaus zawładnęła desperacja.

Podczas gdy bracia skupiali się na gromadzeniu zapasów i przygotowywaniu bagaży do podróży, Rose walczyła z wrogiem, którego do tej pory ignorowała. Jej ciało było słabe, jedynie delikatnie załatane, niczym pęknięte naczynie. Cienka warstwa gliny ledwo sklejała ostre krawędzie. Nadwyrężanie się nie wchodziło w grę, z czego boleśnie zdawała sobie sprawę każdego ranka, kiedy nie była w stanie podnieść się z łóżka bez zawrotów głowy i trzęsących się dłoni. Sny przepełnione płataniną koszmarów oraz wizji wystarczały, by dogłębnie uświadomiła sobie własną bezsilność. Górskie szczyty wzywały ją do siebie, śnieg odbijający światło zachodzącego słońca zdawał się pulsować niezrozumiałym przyciąganiem.

Zaczęła bardziej interesować się tramantem i skutkami jego przyjmowania. Nie ukrywała tego przed Vasem i Veerem, wiedziała, że nadal obserwują każdy krok. Bracia cierpliwie czekali na sygnał Rose, zapewne mając nadzieję, że się rozmyśli i porzuci ideę wyjazdu w bliżej nieokreślonym kierunku. Ona jednak cały czas szukała sposobu na opanowanie własnej magii i ciała. Dawno zarzuciła walkę o spokojny umysł.

Jedna fiołka tramantu przed snem powstrzymywała koszmary i sny na kilka godzin, przez co budziła się zrana potem w okolicy północy.

Dwie – pozwalały jej spać do bladego świtu, nie usuwając wizji, lecz otępiając ciało na tyle, by nie pamiętała męczących snów. Trzy – całkowicie odbierały świadomość i narażały na niekontrolowane wybuchy magii w ciągu dnia.

Nie wiedziała, dokąd może zaprowadzić ją los, dlatego chciała jakoś przygotować się do podróży. Przynęła sobie, że sama stanie się zła i wytropi Tomasa, nie zważając na konsekwencje.

Kiedy pierwszy raz od przyjazdu do Falas przejrzała rzeczy spakowane przez służbę do kufrów, pod stosem ubrań znalazła pakunek owinięty w skórę. Odsunęła na bok sukienki i koszule nocne, niepotrzebne na wyprawie, po czym sięgnęła po podłużny, ciężki przedmiot obwiązany rzemieniem. Znalazła też list nakreślony znajomym pismem.

Zjednoczone Królestwo mimo swojej potęgi i wielkości niechętnie obdarza uznaniem tych, którzy odznaczyli się nawet najmniejszym heroizmem. By dowieść swojej wartości, należy całkowicie poświęcić życie Koronie, oddać jej każdy element swojego ciała, duszy i woli. Otrzymałem to wyjątkowe odznaczenie, a także pełną wdzięczność kraju, który mnie wychował, mimo że w przeciwieństwie do Ciebie nie wypełniłem wszystkich warunków wymaganych do dostąpienia tego szczytu. Dlatego nakazałem skrócić klingę, wyważyć ją na nowo i uzbroić rękojeść tak, by pasowała do dłoni prawowitej właścicielki. Mam nadzieję, że wybaczysz nam ten i wiele innych błędów.

*Zawsze Twój,
Sebastian*

Rose odłożyła list na bok, słysząc w głowie głos Basha. *Heroizm? Zaszczyc?* Nie czuła, by cokolwiek z jego słów miało przełożenie na rzeczywistość. Odpakowała miecz i od razu odruchowo złapała za rękojeść, na której wyrzeźbiono zawite wzory i sylwetkę smoka. Dobrze leżał w jej dłoni, nawet mimo bólu przecinającego stłuczone kości palców. Kiedy odkryła klingę, bezbłędnie rozpoznała tramant. Jak wiele zachodu kosztowało Sebastiana przetopienie najtrwalszego materiału znanego ludziom i jeźdźcom?

Powinna odczuwać tęsknotę, jednak w jej sercu szalały tylko żal i strach. Odpychała Basha, pierwotnie obawiając się jego reakcji na cierpienie i ból, z których się składała. Jej umysł zepchnął go do otchłani składającej się z traumy i wspomnień niemożliwych do zniesienia. Przebywanie obok niego, zwłaszcza w czasie, kiedy pragnęła nie istnieć, stanowiło cierpienie tak głębokie, że jedyną dostępną opcją stało się odcięcie od przeszłości. Od tej Rose, dla której znaczył tak wiele. Rosie, którą już nie była.

Schowała miecz do pochwy, rozkoszując się dźwiękiem, jaki wydał dobrze naostrzony tramant. Postanowiła, że to właśnie z jego pomocą pomści dawną siebie.

Każdy błądy świt postanowiła wykorzystywać na ćwiczenia. Gdy tylko działanie tramantu ustawało na tyle, by była w stanie trzeźwo myśleć, wychodziła na wąską plażę i po prostu biegła przed siebie. Musiała być silna. Panicznie walczyła o oddech przy każdym kolejnym kroku, ale myślała tylko o tym, że musi być gotowa. Jej moc była zbyt mała, za bardzo dzika i niestabilna, by mogła na niej polegać. W pewnym sensie nawet tego nie chciała. Jak zresztą mogła skrzywdzić kogoś iluzją, skoro największą krzywdę potrafiła wyrządzić wyłącznie sobie?

– Muszę dać radę – wyjaśniła Vasowi, kiedy przyłapał ją na powrocie z plaży.

– Nie wątpię, że dasz – odparł. – Mogę ci towarzyszyć następnym razem?

Poranne przebieżki po plaży stały się ich nowym rytuałem. Vas czekał na Rose przed domem i często oświadczał, że znalazł kolejną trasę, by urozmaicić im trening. Czasami zaczynali bieg od razu, innym razem szli spacerem do lasu parującego od gorąca, by skończyć ćwiczenia na południowym brzegu. Niewiele rozmawiali, Vas też w żaden sposób nie komentował, jak słaba była w porównaniu z nim. Po prostu zwalniał, gdy tylko dostrzegał, że zostaje w tyle, i ostrożnie proponował przerwy.

Kolejnym rytuałem stało się dla nich leżenie na plaży. Wsłuchiwali się w szum fal i w swoje ciężkie, świszczące ze zmęczenia oddechy. Któregoś dnia tę chwilę przerwał smoczy ryk.

Podnieśli głowy, wyraźnie przestraszeni. Ciemna sylwetka odcinająca się na tle jasnego porannego nieba stawała się coraz

większa, a wrzask rósł z każdą kolejną chwilą.

Szary smok nie miał jeźdźca, choć już z daleka Rose widziała pełen rynsztunek na jego grzbiecie. Bestia była podobnych rozmiarów co Oomana i Cerys, które w reakcji na przybycie smoka poderwały się z ziemi i zaczęły krążyć nad plażą. Vas odruchowo stanął przed Rose, oddzielając ją od stworzenia delikatnie osiadającego na jasnym piasku.

– Nehama? – zdziwił się.

Rose wychyliła się z za jego ramienia, spodziewając się, że wzrok ją zmylił. Jakim cudem smoczyca dotarła aż tutaj bez swojego jeźdźca?

– Jak się tu znalazłaś? – Vas zwerbalizował jej wątpliwość. Podszedł do smoczycy bez strachu, sięgając jedną ręką do szarego pyska, a drugą rozpinając przyczepione do siodła torby.

Rose walczyła ze sobą. Bała się do niej podejść. Smoczyca po krótkim przywitaniu z jeźdźcem zwróciła pysk w jej stronę. Niebieskawe ślepie przewiercały na wylot, zdawały się obserwować każdy jej ruch. Gdy zrobiła kilka kroków, Nehama przysiadła niżej na łapach, niemal opierając brodę na piasku, przez co Rose nawet nie musiała wyciągać ramienia, by jej dotknąć.

– Wiadomość – mruknął Vas, podając Rose mały skrawek papieru.

– Od mamy.

– Zaopiekuj się nią – przeczytała na głos. Smoczyca wzięła głęboki wdech, niecierpliwie szurając ogonem po piasku. Vas odsunął się na bok i patrzył, jak Rose wyciąga w jej kierunku dłoń, drżącymi palcami dotykając zimnych łusek.

Przeszył ją dreszcz, nie była pewna, czy ekscytacji, czy może strachu. Nie znajdowała się tak blisko smoka od... *Nigdy*, pomyślała, czując, że czas przedtem powinna traktować jak inne życie. Ten kontakt był więc pierwszym, choć kompletnie na to nie zasługiwała.

Smoczyca przysunęła się bliżej i czubek nosa zatopiła w materiale koszuli Rose.

– Dlaczego miałyby ją tu przysłać?

– Nehama jest jedną z tych smoczyc, które nie odnalazły nigdy swojego jeźdźca – wyjaśnił Vas. – Jest starsza od Oomany i Cerys.

– Nie stworzymy więzi – mruknęła Rose, przesuwając dłonią po łuskach. Nehama przymknęła oczy, wdychając jej zapach.

– Nie – przyznał. – Ale możecie o siebie nawzajem zadbać.

Od kiedy podjęli decyzję o wyjeździe, Rose często zastanawiała się, jak może się przygotować do podróży. Perspektywa dosiadanania Oomany lub Cerys przerażała ją i budziła wewnętrzny sprzeciw. Czuła, że nie zasługuje na wchodzenie między braci a ich towarzyszek. Nie była już jedną z nich, lecz musiała jakoś pogodzić się z faktem, że nie porzucą smoczcyc, by ruszyć na północ na własną rękę. Oddzielenie jeźdźców od smoków było czymś niewybaczalnym.

– Wiesz, że zabiłam twojego brata? – wyszeptała Rose, pochylając się ku Nehamie. – Oddałabym wszystko, by to cofnąć – dodała, mając nadzieję, że bestia rozumie jej słowa.

Nehama nie otworzyła oczu, a na dźwięk głosu księżniczki położyła się lekko na piasku. Popchnęła pyskiem bok Rose, przez co zmusiła ją do przesunięcia się ku szerokiej szyi. Poczowała, jak pod twardą skórą rozbrzmiewa cichy pomruk. *To nic*, zdawała się mówić Nehama, z pyskiem przytulonym do pulsującej magią blizny na brzuchu Rose.

Rozdział 39

ANTOINETTE

Balansowała na krawędzi snu i jawy. Pamiętała, że świat wybuchł, a potem zanurzyła się w magii, która, niczym otchłań jeziora, pochłonęła jej ciało. Otaczał ją zapach ziemi i deszczu. Może naprawdę znajdowała się pod wodą, dlatego czuła tę charakterystyczną wilgoć. Może dlatego ludzkie głosy dochodziły do niej, ale słowa były rozmyte. Ale potem wynurzyła się i wzięła głęboki wdech, a cały świat wokół niej zaczął oddychać w tym samym rytmie. Melodia oddechu uspokoiła ją i ułożyła do snu. Nie mogła jednak śnić wiecznie. Ileż było takich nocy, które Antoinette żegnała ze smutkiem. Świt oznaczał powrót do nieistnienia. Znowu musiała wcielić się w rolę przedmiotu, który jest potrzebny od czasu do czasu.

Ale teraz istniała. A żeby stać się widzianą i słyszaną, musiała umrzeć.

Rozchyliła powieki. Pierwszym, co zobaczyła, był zielony las za lekko uchylonym oknem, dzięki czemu mogła również usłyszeć cichy szum wiatru. Po chwili zorientowała się jednak, że to nie tylko szelest drzew dobiegał jej uszu. Nie wiedziała, co to za dźwięk. Nie mogła go nazwać, jedynie wsłuchiwała się w jego drżenie.

Antoinette obróciła się powoli na plecy. Łoże z baldachimem, na którym leżała, cicho skrzypnęło. Choć czuła się wyspana, wciąż była obolała. Znajome uczucie. Dobry sen nie był w stanie całkowicie

odegnać trudów poprzedniego dnia. W powietrzu wyczuwała słodką nutę, trochę tak, jakby w drugim pokoju ktoś piekł ciasto albo zapalił delikatne kadzidełko.

Jej zmysły z każdą chwilą coraz bardziej się rozbudzały, aż w końcu otworzyło się jej trzecie oko.

Każdy element wystroju sypialni, w której się znajdowała, był jej obcy i znajomy zarazem. Nigdy dotąd nie spała w tym łóżu, nie widziała takiej komody ani dywanu zakrywającego niemal całą podłogę. Ale coś z tyłu głowy podpowiadało jej, że w końcu trafiła do miejsca, które mogła nazwać swoim.

Bez trudu wyczuła sześć źródeł, a każde było znajome. Jedno знаła lepiej niż własne.

Spojrząwszy na swoje ręce, ujrzała szarą skórę i plątaninę niebieskich żył. Jej dłonie jakby się postarzały, stały się żylaste. Jej palce zdawały się dłuższe, niż zapamiętała, i bardziej kościste, zakończone krótkimi paznokciami o bladoróżowym zabarwieniu. Nie wyglądały jak dłonie, które znała.

Bardzo powoli oparła się na łokciach, by choć trochę się unieść. Na krótki moment pojawił się w niej lęk, że każdy gwałtowniejszy ruch mógłby złamać jej kości. Miała wrażenie, że jej ciało jest zbyt lekkie, zbyt kruche. Coś strzyknęło jej w barku. Nie bolało, choć dźwięk wydał się złowieszczy. Pochyliła się, by móc przejrzeć się w lustrze stojącym w rogu sypialni. Gdy napotkała w nim swoje własne spojrzenie, zamarła.

Nigdy nie nazwałaby siebie ładną. Ten rodzaj próżności był jej obcy. Nigdy jednak nie wyglądała gorzej niż w tej chwili. Włosy sprawiały wrażenie raczej szarych niż brązowych, jakby przez kilka ostatnich nocy niemal całkowicie osiwiła. Zmrużone oczy otoczone były przez czerwono-fioletowe kręgi. Całe powieki, aż do brwi, pokryte miała paskudnym sińcem. Usta były tak blade, że zlewały się z resztą jej twarzy. Dotknęła własnego policzka i miała wrażenie, że wcale tego nie czuła. Widziała w lustrze, że przesuwając po skórze palcami, ale gdyby nie to, chyba by o tym nie wiedziała.

Czy wyglądała tak w Domu Niji? Czy taką widziała ją Rhoswen i wszystkie inne osoby, z którymi rozmawiała w pałacu?

Nagle serce Antoinette zabiło szybciej.

– Yrsa – szepnęła, po czym zrzuciła z siebie kołdrę i powolnym ruchem postawiła stopy na podłodze.

Ktoś zdjął z niej czarną suknię, którą włożyła na wizytę u petramich, i przebrał ją w zdecydowanie za dużą nocną koszulę. Jej kościste stopy zatopiły się w grubym, miękkim dywanie. Przypominały ptasie nóżki.

Wstała, przytrzymując się ściany, a pod dłonią poczuła ciepło i delikatny ruch, jakby dotykała... czegoś żywego. Zatrzymała się na krótką chwilę i wpatrzyła się w miejsce, którego dotknęła, ale strach o przyjaciółkę był zbyt silny. Czy szła za nią korytarzem? Czy udało jej się tu dotrzeć?

Do drzwi podeszła niepewnie. Przekręciła klamkę i stanęła twarzą w twarz z Verą. Po chwili zawahania Antoinette wzięła ją w objęcia.

– Nette – chlipnęła Vera, odsuwając się od niej i wycierając łzy. – Tak się martwiłyśmy...

Wtem spojrzenie Antoinette skupiło się na sylwetce wyłaniającej się z korytarza po jej lewej stronie.

Fiyonn ubrany był w prostą, białą koszulę i spodnie, które nie dosyć, że były na niego za krótkie, to na dodatek za szerokie. Nigdy dotąd nie widziała go w tak źle dobranym ubiorze. Miał o wiele dłuższe włosy, niż gdy go ostatnio widziała, kosmyki opadały mu na twarz, zakrywając czoło i uszy.

Jej magia momentalnie się rozbudziła. Fala głosów zaatakowała zmysły Antoinette, co niemal zmusiło ją do podejścia do niego. Wszystko w niej krzyczało, prosząc o jego dotyk, o ten ułamek sekundy, w którym ich moce mogły swobodnie przepływać.

Ale jej gniew był o wiele silniejszy niż pragnienia głosów.

Odwróciła się przodem do Fiyonna, pozostawiając dezorientowaną Verę bez słowa. Poczekała, aż sam do niej podejdzie, gdyż była niemal pewna, że jego magia przyciągała go do niej równie mocno.

Na twarzy arcyksięcia malowała się ulga, której nigdy dotąd u niego nie widziała. Wyglądał jak ktoś, kto w końcu mógł przestać walczyć z własnym strachem.

– Gdzie jest Yrsa? – wycedziła zimno Antoinette.

Fiyonn przekrzywił głowę. Zaskoczyła go. Niemal cofnął się o krok.

– Nie przeszła z tobą przez bramę. Musiała zostać w Domu Niji.

Antoinette zacisnęła dłonie w pięści. To była jej wina.

Czy Valiant mógł zrobić jej krzywdę? Albo pani Oesterberg? Podejrzała, że to mściwa ochmistrzyni mogła stanowić dla Yrsy większe zagrożenie. Valiantowi jedna z pokojowych mogła być całkowicie obojętna. Ale pani Oesterberg nie miała skrupułów.

Na krótką chwilę zamknęła oczy, po czym spokojnym, ale pewnym tonem oznajmiła:

– Zostawiłeś mnie.

Choć wiele razy wyobrażała sobie, jak to mówi, w rzeczywistości było to o wiele trudniejsze. Nie pokazała po sobie niczego, z czym musiała walczyć przez ostatnie tygodnie. Na bok odsunęła lęk, poczucie zdrady i klęski, zagubienie i gniew. Nie chciała płakać przed Fiyonem.

– Wiem – powiedział cicho.

Brzmiał niemal tak... jakby ją przeproszał. Antoinette wątpiła, by Fiyonn Corvus kiedykolwiek kogokolwiek przeprosił, nieważne, co by się stało. Nie był człowiekiem, któremu takie słowa łatwo przechodziły przez gardło.

– Dlaczego?

Vera cały czas stała obok niej, zastygła w bezruchu. Fiyonn odesłał ją kiwnięciem dłoni. Ostatnie spojrzenie, które posłała Antoinette, było wyrazem wsparcia i wdzięczności.

– Posłałem ją po ciebie wtedy, ale wróciła sama – wyjaśnił. – Powiedziała, że całe skrzydło było zablokowane przez gwardzistów. Mój rozkaz nic ich nie obchodził.

– To niczego nie wyjaśnia. Wiedziałeś, że słucham twojej rozmowy z Valiantem. Wiedziałeś o wszystkim, a i tak nawet nie kiwnąłeś palcem, by mnie stamtąd wyciągnąć.

Atmosfera nagle się zmieniła. Fiyonn zmrużył lekko oczy. Antoinette zwalczyła chęć cofnięcia się. Przez moment czuła się jak wtedy, gdy przyszła do niego po raz pierwszy. Był wówczas tak od niej odległy, jakby pochodził z innego świata. Każde jego spojrzenie było krzywdzące, każdy grymas wykrzywający jego usta mógł stać się jej końcem. Wierzyła, że wystarczyło jedno jego słowo, by straciła posadę, dom i rodzinę.

Nagle w polu jej widzenia pokazały się trzy plamy – dwie po bokach, a jedna za plecami Fiyonna. Rozrastały się coraz bardziej,

pokrywając ściany korytarza, w którym się znajdowali. W ciągu jednego uderzenia serca przenieśli się w kompletnie inne miejsce. Antoinette wstrzymała oddech. Otaczały ją zimne kamienie, chłód przeniknął jej cienką koszulę nocną. Nieprzyjemna woń wilgoci mieszała się z zapachem krwi i potu. Półmrok panujący w pomieszczeniu niepokoił ją najbardziej. Po chwili zrozumiała, że znajdowali się w celi.

– Ile dni byłabyś w stanie tu wytrzymać? Trzy? Pięć? Tydzień? – Głos Fiyonna był drwiną. Antoinette dobrze go знаła. – Potrafisz sobie wyobrazić kajdany, które oddzielają cię grubą barierą od twojej magii?

Przysunął się o krok, a wizja, którą malował przed nią, nabrała intensywności. Antoinette była w stanie dostrzec pęknięcia na skalnych ścianach, słyszała wodę kapiącą w rogu, czuła woń przypalanej skóry. Nie mogła się jednak bać. Nie chciała przed tym zamykać oczu.

– Jak bardzo dłużyły ci się dni, gdy tkwiłaś w Gnieździe? – Fiyonn przekrzywił głowę. – Czy mogłaś wyjść na powietrze? Albo porozmawiać z twoją drogą Yrsą?

– Valiant może i cię nienawidzi, ale nie zrobiłby czegoś takiego.

– Tak uważasz? – Fiyonn uniósł brew. – Co zrobił po balu, gdy nie złożyłaś mu przysięgi? Gdzie cię zamknął?

Choć jej ciało wciąż było słabe, źródło znajdowało się o wiele bliżej powierzchni niż wcześniej. Mogła sięgnąć do niego bez większego problemu. Dreszcz ekscytacji przeszedł ją po plecach.

Nie chciała więcej patrzeć na obraz wytworzony przez Fiyonna. Zaczęła go więc załamywać. Nie odrywała od niego spojrzenia, ale wiedziała, że on czuje, co się dzieje. Zdawał sobie sprawę, że magia Antoinette stawia mu opór.

Nieoczekiwanie wszystkie ściany rozbiły się na kawałki. Znajdowali się w nieskończonej pustce.

– Odkąd Valiant wypuścił cię z wieży, byłaś bezpieczna. Cały czas ktoś miał na ciebie oko – rzekł sucho Fiyonn. – Szukałem sposobu na wyciągnięcie cię z Gniazda od pierwszego dnia.

Antoinette machnęła przed sobą ręką, jakby odganiała owada. Pustka zmieniła się z powrotem w korytarz. Wiedziała, że pozwolił jej zniszczyć ten obraz, nawet nie starał się go utrzymać.

– Nie powiedziałaś nawet słowa – szepnęła. – Mogłeś wysłać do mnie list, choćby zdanie...

– Zabiłby mnie bez wahania – przerwał jej Fiyonn. Choć chwilę temu oboje byli w stanie rzucać w siebie drwinami i oszczerstwami, buzujące w nich emocje opadły. – Wyprowadziłby mnie z sali z tramantem na dłoniach, a na egzekucję zaprosił swojego namiestnika i Habijeva. Stałoby w pierwszym rządzie.

Antoinette miała w głowie tylko jedną myśl – jak wielki musiał być lęk Fiyonna przed zamknięciem, skoro był tak pewny, że własny brat byłby w stanie skazać go bez wahania na gnicie w celi albo na śmierć?

Co musiało się wydarzyć, by wierzył w to tak ślepo?

Choć spędziła z Fiyonem tyle czasu, nigdy nie opowiedział jej o sobie – ani o tym, co lubi, ani o tym, co wspomina. Nigdy nie zaufała jej na tyle, by zdradzić, co tak naprawdę wydarzyło się w trakcie wojny w Halamanie.

A przecież gdy byli jeszcze w Zimowym Pałacu, ten sam człowiek powiedział jej, by niczego się nie bała. Zabronił jej poddawać się swoim lękom, choć sam wciąż był niewolnikiem własnych.

Antoinette rozluźniła palce, czując, że paznokcie pozostawiły ślady we wnętrzu jej dłoni.

– Przywołam teraz Verę do siebie – oświadczyła. – A potem chcę, byś pokazał mi dom.



Zwiedzała Klipetaigh i ciągle nie mogła pozbyć się myśli, że zna jego każdy kąt. Nic jej nie zaskoczyło, choć z zainteresowaniem rozglądała się po wszystkich pokojach. Fiyonn skrętnie opowiedział jej o wszystkim, co tu znalazł, zaznaczając, że z czasem mogą trafić na kolejne magiczne artefakty, które uważało się za zaginione.

Kieran nie brał udziału w obchodzie. Wybrał się na spacer, obiecując, że nie będzie się zbytnio oddalał. Antoinette obserwowała go przez chwilę, widziała więc, jak staje na środku ścieżki biegnącej

od bramy do drzwi wejściowych, opuszcza głowę i oddycha głęboko, jakby właśnie wynurzył się spod wody.

W międzyczasie Antoinette zadawała Fiyonnowi pytania. Co dokładnie stało się w Domu Niji? Jak tutaj dotarli? Każda z jego odpowiedzi rodziła kolejne wątpliwości.

– Powiedziałeś mi kiedyś, że nie możemy chorować – powiedziała, przeglądając jedną z ksiąg ze stosu ułożonego na biurku w bibliotece. – Stało się jednak inaczej.

Stanął w rogu pokoju i skrzyżował ramiona na piersi.

– Nie tylko ty cierpiełaś. Im więcej czasu mijało, tym gorzej się czułem. Prawie tak, jak wtedy, gdy miałem styczność z tramantem.

– Valiant truł mnie nim w Gnieździe. – Antoinette obserwowała, jak napina się linia jego szczęki. – Sądziłam, że to powoduje moje złe samopoczucie. Ale skoro ty nie miałeś z nim teraz styczności, ta teoria nie ma wiele sensu.

Nie wie, szepnęły głosy. Rzeczywiście, Fiyonn wbił spojrzenie w losowy punkt, jakby zastanawiał się nad jej słowami. Antoinette nauczyła się już, że jeśli nie odpowiada z miejsca, nie zna odpowiedzi na zadane mu pytanie.

– W domu mieszka ktoś jeszcze – odezwał się po chwili. – To dusza jednej z twoich przodków.

– Najwidoczniej Krucze Wiedźmy chętnie ujawniają się dziedzicom Mędrca – zauważyła ironicznie Antoinette, zamykając przeglądaną przed momentem księgę.

– To córka Eilidith, Edwina.

– Czy to nie o niej mówi się, że zmarła młodo, bo nie potrafiła zapanować nad własnym darem?

Fiyonn powoli pokiwał głową.

– Nigdy nie otrzymała Kruczego Oka. Czas przyszedł po nią wcześniej. Ale nadal jest tutaj i od czasu do czasu mi się ukazuje. Z pewnością wkrótce ją spotkasz.

– Dlaczego o niej wspominasz?

Choć miał w zwyczaju zmieniać nagle wątki w środku rozmowy, Antoinette chciała wiedzieć, czy i tym razem jest to uwaga powiedziana bez żadnego kontekstu. Gdy tylko milkła, Fiyonn starał się wypełnić ciszę, jak gdyby się jej obawiał, a to było do niego zupełnie niepodobne.

– Pewnego dnia powiedziała, że moja aura się...

– ...rozpada – dokończyła za niego Antoinette. – To samo powiedziała uzdrowicielka, która przybyła do Gniazda.

Fiyonn podszedł do okna i oparł się o parapet, dając jej chwilę na to, by mogła mu się przyjrzeć. Już wcześniej był chorobliwie chudy i blady, przez co czasami wyglądał o wiele dojrzalej, niż wskazywał na to jego wiek. Rozpadająca się aura i na nim pozostawiła swoje piętno. Ramiona ukryte pod szerokimi rękawami za dużej koszuli zdawały się kruche jak młode gałązki.

– Jeśli istnieje odpowiedź na to, co się z nami działo, znajduje się pewnie tutaj – powiedział, przebiegając wzrokiem po półkach biblioteki. – To nie przypadek, że choroba zaatakowała nas oboje. Tramant musiał dodatkowo wpłynąć na twoje samopoczucie, dlatego chorowałaś ciężiej ode mnie.

Opuścili bibliotekę i udali się schodami do hallu. Wtem Antoinette przypomniało się coś jeszcze. Żwawo ruszyła do wyjścia i szarpnęła za klamkę. Gdy stanęła na dziedzińcu i odwróciła się przodem do domu, ujrzała drzwi, które już dobrze знаła.

Fiyonn wyszedł powoli za nią i przyglądał się jej zaintrygowany.

– Miałam wizję, w której otwieram komuś te drzwi – powiedziała Antoinette. – Wewnątrz padał śnieg, a ja stałam tam boso.

– Padał śnieg... – powtórzył za nią cicho, lecz nie powiedział nic więcej.

Zamiast tego skierował się z powrotem do domu.

– Czy to nie tak, że nikt poza nami nie może odnaleźć Klipetaighu?
– zawołała za nim Antoinette.

– Nikt, kto ma złe zamiary w stosunku do osób znajdujących się w środku. Wyjątkiem są członkowie rodziny Corvidae. Oni zawsze trafią do domu nad klifem – rzucił Fiyonn przez ramię i zniknął w środku.



Gdy Kieran wrócił ze swojego spaceru, usiedli do obiadu. Antoinette spodziewała się, że po miesiącach rozłąki kuzyni będą ze sobą

chętnie rozmawiać, jednak przy stole panowała cisza. Podano ryby z dodatkiem kilku ziemniaków oprószonych koperkiem. Fiyonn bez słowa zabrał się do jedzenia, co w jego przypadku oznaczało powolne rozgrzebywanie dania na talerzu.

Antoinette odchrząknęła.

– Wszystkie nasze rzeczy zostały w Gnieździe.

– W niektórych szafach i kufrach znajdziesz ubrania. Możesz je zmierzyć i zlecić poprawki – zauważył Fiyonn, po czym spojrzał na Kierana. – Lepiej by było, gdybyś tu na razie został.

– Na razie nigdzie się nie wybieram. Nie mogę tu jednak siedzieć w nieskończoność.

Na jego czole pojawiła się głęboka zmarszczka. Odsunął talerz i niemal odrzucił sztućce. Do tej pory Antoinette nie widziała go tak wzburzonego.

Wtedy też dotarło do niej, że tak naprawdę wciąż niewiele o nim wiedziała. Spotykał się z nią tylko po to, by zapewnić, że pracuje nad planem uwolnienia jej z Gniazda. Zorientowała się, że potrafi knuć i udawać niczym urodzony aktor. Był błyskotliwy, szybko myślał. Ale to mogły być jedynie pozory. Czy bał się konsekwencji? Czy choć przez chwilę się zawahał?

– Twoja matka jest bezpieczna – odezwał się Fiyonn, obierając powoli rybę z ości. – Ojciec także. Valiant nie posunąłby się tak daleko.

– Przypominam ci, że mam jeszcze młodsze rodzeństwo – rzucił, przeczesując palcami włosy.

Nie był zatem zły. Martwił się o swoich bliskich, dokładnie tak samo jak Antoinette martwiła się o Yrsę.

Fiyonn nie skomentował uwagi Kierana.

– Nie zamierzam tu siedzieć dłużej, niż potrzeba. Antoinette musi wrócić do sił. Potem opuścimy wybrzeże – rzekł. – Niedługo jednak musimy się dokądś udać.



Podróż powozem, którym Fiyonn przybył do Klipetaighu, nie wchodziła w grę. Musieli więc skorzystać ze zwykłego gospodarczego wozu. Vera i Kayda miały sporo czasu na przetrząśnięcie wszystkich szaf, toteż udało im się sprawnie posortować znalezione w nich ubrania, naprawić te, które tego wymagały, a resztę porządnie wyprać. Antoinette nie była pewna, czy ubiór był w stanie kogokolwiek zmylić, biorąc pod uwagę, że jak cień podążało za nimi stado kruków, ale nie mieli innego wyjścia. Fiyonn w ptasiej formie obleciał okolicę, by sprawdzić, czy jest bezpieczna, a po jego powrocie od razu ruszyli w drogę nadmorskim traktem.

Antoinette wpatrywała się w ciemnoniebieski pas rytmicznie poruszającego się morza. Słyszała masę opowieści, w których pojawiała się nieskończona połać wody, ale ujrzenie jej na własne oczy nie mogło równać się nawet z najbarwniejszym świadectwem. Wsłuchiwała się w huk fal uderzających o skały. Marzyła o tym, by wyskoczyć z wozu, zbliżyć się do krawędzi klifu i zobaczyć pieniającą się w dole wodę. Choć przez całe życie pragnęła udać się na wybrzeże, nie sądziła, że stanie się to w takich okolicznościach, gdy każde wyjście poza próg domu może być niebezpieczne.

Nie jechali długo. Przez ten czas próbowała sobie przypomnieć podróż do Klipetaighu, ale pamięć ją zawodziła. Po tym, jak Fiyonn streścił jej przebieg wydarzeń, wnioskuje, że musiała być wtedy na granicy przytomności. Przez jakiś czas prowadzili ją z Kieranem, podtrzymując z obu stron. Potem ujrzeli zbliżającą się bryczkę prowadzoną przez dwa konie.

– Wciąż miałaś na sobie czarną suknię. Ten wieśniak mógł o tobie słyszeć – tłumaczył. – Gdy znalazł się wystarczająco blisko, posłałem w jego stronę obraz, który różnił się od rzeczywistości tylko tym, że oboje z Kieranem mieliście na sobie proste ubrania.

Antoinette nie wiedziała, jakim cudem udało się Fiyonnowi utrzymać obraz na tyle długo, by mężczyzna dowiódł ich w okolice domu nad klifem.

– Tłumaczyłem mu, że gorzej się poczułaś w czasie spaceru – dorzucił Kieran. – Fiyonn tymczasem wyglądał, jakby sam miał zaraz zemdleć, więc miałem nadzieję, że wytrzyma. I że nie przebudzisz się nagle, żeby powiedzieć, że kłamie.

Gdy Kieran zatrzymał powóz, Antoinette zeszła powoli z kozła i rozejrzała się dookoła. W okolicy nie było niczego poza czterema wysokimi kamieniami. Podchodząc do nich czuła się... rozczarowana. Według legend to w tym miejscu Moira rzuciła się w morze. Tu też otrzymała od Mędrca swój dar, który przekazała swym dziedziczkom – w tym jej samej. Nic jednak nie wskazywało na to, że kryje się tu coś szczególnego. Sama Antoinette do końca nie wiedziała, czego się spodziewać. Dopiero jednak gdy podeszli do kamieni bliżej, poczuła na przedramionach delikatne mrowienie. Powietrze nagle stało się cięższe. Podobnie czuła się w Domu Niji, gdy nachylała się nad taflą wody. Krąg może i wyglądał niepozornie, ale oplatające go magiczne nici stały się dla niej wyraźnie odczuwalne.

– Tu otworzyliśmy bramę – powiedział Fiyonn, stając w środku kręgu. – To jedno z miejsc, w którym jest to możliwe bez większego wysiłku.

Opowiedział jej o bramach i o niezwykłych przejściach pozwalających przemieszczać się pomiędzy punktami oddalonymi od siebie o setki mil. Antoinette szybko skojarzyła fakty – oto posiadał w końcu ostatni element układanki potrzebnej do zrealizowania wszystkich swoich planów. Miał wiedzę na temat bram i sposobu ich otwierania. Był w stanie zrobić o wiele więcej niż Valiant.

– Nauczysz się je otwierać – rzucił po chwili. – Zapewnili mnie, że masz ku temu predyspozycje.

– Mówisz tak, jakbym wyraziła na to zgodę – odparła Antoinette. Podeszła do niego, czując, jak napiera na nią moc. – A ja jeszcze nie zdecydowałam.

Fiyonn spojrzał jej w oczy. Z pewnością wyczuł zmianę w jej postawie.

– W takim razie potrzebuję, byś powiedziała mi, czy jesteś skora mi pomóc. Jeśli tak, będę cię prosił o to, byś zgłębiła wiedzę na temat bram – powiedział cicho.

Tego samego dnia niemal ją przeprosił. Teraz był tak bliski złożenia na jej ręce prośby, jak jeszcze nigdy wcześniej.

Antoinette nie odpowiedziała od razu. Zamiast tego podeszła do jednego z kamieni. Nie wiedziała jeszcze, jak to się dzieje, że niektóre miejsca są wręcz wypełnione magiczną energią, co

dokładnie je nasycalo. Nie znajdowali się przecież w zamkniętym pomieszczeniu – tu, na świeżym powietrzu, magia mogła przepływać swobodnie. Ale gdy mocno się skupiła, ujrzała nici energii, które w kręgu splatały się ze sobą ciaśniej niż w okolicy. To samo napięcie czuła w Domu Niji. Tylko Klipetaigh stanowił dla niej zagadkę. Czuła magię w każdym kącie, niemal jakby przepływała przez ściany i podłogi domu. Ale tam była ona spokojniejsza, brakowało jej napięcia, które Antoinette wyczuwała w kręgu.

Położyła dłoń na kamieniu i poczuła, jak wzdłuż jej ramienia przebiega zgromadzona moc. Było to wrażenie na tyle silne, że pozwoliła sobie przymknąć oczy i całkowicie się na nim skupić.

Wtedy w jej głowie pojawiły się strzępy wspomnień, które nie należały do niej. Okruchy obrazów, znajomych i obcych jednocześnie. Czuła się, jakby przypominała sobie życie, o którym zapomniała. To było jej miejsce, jej wybrzeże, jej klif i jej dom. Tu żyła Moira i jej córki. Stopy każdej z jej przodkiń dotykały trawy, po której stąpała Antoinette. Ich dłonie dotykały tego samego kamienia, niemal tak, jakby dotykały bezpośrednio jej samej. Tak jak Fiyonnowi brakowało wiedzy o bramach, tak jej – właśnie tego.

Nie wiedziała, czy magia przechowuje wspomnienia, wątpiła, by tak było. Ale przez krótką chwilę tak to sobie tłumaczyła.

Cały świat śpiewał, bo Krucza Wiedźma trafiła do domu.

Rozdział 40

VEER

Nigdy wcześniej Veer nie był bardziej wdzięczny za studiowanie podręczników medycznych, jak w chwili, gdy niemal cudem uratował Rose przed śmiercią w powietrzu.

Przemierzali północną część kontynentu tak długo, że już dawno stracili orientację. Veer wiedział, że znacząco oddalili się od Elendoru, na podstawie panującej pogody i zmiany terenu, jednak mijane przez nich miasta oraz osady były niemożliwe do zidentyfikowania. Niewiele wiedział o świecie poza manstarskim leżem, jednak znał się na ludzkim ciele, dzięki czemu bez problemu dostrzegł moment, w którym Rose straciła przytomność w trakcie lotu nad morzem rozświetlonym światłem księżyca. Znajdowali się gdzieś na skraju zachodniego wybrzeża i szukali właśnie bezpiecznego miejsca na rozbicie obozu. Vas chwilę wcześniej zniżył lot, pikując na Oomanie w kierunku ostrych klifów, podczas gdy Veer skupił się na wypatrywaniu świateł ludzkich osad. Kiedy na jego masce zebrały się kryształki lodu, a powieki ranił chłód, instynktownie zerknął na lecącą obok niego Rose.

– Nehama! – wydarł się na smoczyce, jednocześnie instruując Cerys, by pomogła mu sprowadzić ją bezpiecznie na ziemię.

Kiedy wylądowali, oddech Rose zanikał. Był urywany mimo zdjęcia maski i ułożeniu księżniczki w bezpiecznej pozycji. Choć Veer

bardzo starał się trzymać nerwy na wodzy, w momencie gdy przy jego boku pojawił się Vas, już trzęsły mu się ręce.

– Jest rozpalona – mruknął. Brat momentalnie rzucił się do toreb, w których trzymali przygotowany zawczasu arsenał lekarstw.

– Żadnej osady w zasięgu wzroku. Same skały – mruknął nerwowo Vas, rozkładając wokół koce. Wielokrotnie spędzali noce na powietrzu, starając się unikać zbyt częstego obcowania z ludźmi. Smoki przyciągały uwagę, a zależało im na bezpiecznej i anonimowej podróży. Łamali samodzielnie ustanowione reguły, wyłącznie gdy stan Rose się pogarszał.

– Tym razem jest gorzej – stwierdził Veer, badając dłońmi temperaturę ciała Rose. Choć głowę oraz pierś trawił żar, jej dłonie i nogi promieniowały chłodem. Sięgnął po jeden z kocy, który podał mu brat, by choć trochę osłonić Rose przed wiatrem i zimnem.

– Tramant? – zaproponował Vas.

– Brała go przed lotem.

– Może potrzebuje więcej?

– To gównu wcale jej nie pomaga, tylko usypia problem – warknął, zaglądając do torby z lekarstwami. – Gorączka, gorączka, gorączka – mruzczał pod nosem, przeglądając etykiety na licznych flakonach. Wlał lekarstwo przez spuchnięte wargi Rose, uważając, by się nie zakrztusiła. – Gdyby było inaczej, już dawno by wyzdrowiała.

– Chrzańmy więc to wszystko i wracajmy do Elendoru. – Vasowi udzieliła się panika.

– Chcesz stanąć w progu Glandiru z trupem na rękach? Bo właśnie to się stanie, jeśli teraz ruszymy w drogę. Nie przeżyje.

– Coś musimy zrobić!

Kaszlnięcie Rose przerwało na chwilę ich kłótnię.

– Rose? Słyszysz mnie? – Veer pochylił się nad nią, chcąc w ciemności dojrzeć jej twarz. Lekko rozchyliła powieki i na moment odzyskała przytomność.

Ogień, Cerys. – Veer zwrócił się do smoczycy za pomocą więzi. Chciał ogrzać Rose i odrobinę rozproszyć mrok, jednak z jakiegoś powodu nie posłuchała go. Wydała z siebie tylko zaniepokojone mruknięcie, zwracając łeb ku klifom. Kiedy obrócił głowę, dostrzegł, że sylwetki wszystkich smoków układają się w ten sam sposób.

Wielkie kształty odcinające się na tle nocnego nieba wskazywały północ.

– Veer. – Ton brata zmusił go do chwilowego pozostawienia Rose.

Powoli wstał z kolan, spodziewając się niebezpieczeństwa, jednak zamiast tego na horyzoncie dostrzegł światła. Zdawało mu się, że dryfują w powietrzu, tworząc niezrozumiały dla niego wzór. Spiał się, zdjęty strachem spowodowanym niewiedzą.

– Mówiłeś, że nie ma tu żadnej osady.

– Bo nie ma. Nie widziałem żadnych świateł.

– Pomóż mi – zażądał, nie dając wątpliwościom szansy na zawładnięcie nim. Zaczął niedbale wrzucać rzeczy do toreb, po czym podniósł Rose z ziemi i ruszył w kierunku świateł.

– Veer! Uważaj! Nic nie widać!

Na słowa brata nakazał Cerys wznieść się w powietrze, by upewniła się, że na ich drodze nie stoją żadne niebezpieczeństwa. Jej oczami widział światło księżyca odbijające się w tafli wody, tak zimne i blade w porównaniu z ciepłym promieniującym z nieznanego punktu tuż przed nim. Im bardziej zbliżali się do celu, tym wyraźniejsze stawały się pomarańczowe plamki na tle czerni. Miał wrażenie, że zaczyna zatapiać się w podłożu, ciężar Rose na jego ramionach stawał się coraz bardziej przytłaczający, jednak jakaś wewnętrzna siła nakazywała mu się nie poddawać. Wyczuwał pewność i spokój Cerys, szybującej nad jego głową. Po chwili dołączyły do niej pozostałe smoczyce. Szum skrzydeł zlewał się z szeptem fal rozbijających się o skały.

Przegapił moment, w którym z ciemności wyłoniła się fasada domu. Cerys mruknęła, a ciało Veera załało ciepło, przyciągające go do światła bijącego z okien rezydencji. Szara fasada opierała się morskiej bryzie, oferując schronienie. Dębowe drzwi frontowe kusily, by zapukać i poprosić o pomoc.

Kiedy minęli otwartą na oścież metalową bramę pokrytą roślinnością, Vas przyspieszył kroku, a następnie wbiegł po kamiennych schodach. Kiedy zapukał do drzwi, Veera nagle załała fala strachu i wątpliwości. Co, jeśli za progiem czaiło się niebezpieczeństwo?

Jedno zerknięcie na zaczerwienioną twarz Rose wystarczyło, by przestał się wahać. Czuł, jak wiotczeje w jego ramionach. Dopadła

go desperacja.

Drzwi otworzyły się z cichym stęknięciem.

– Tak?

– Potrzebujemy pomocy – powiedział błagalnie.

Stojąca w progu młoda dziewczyna obrzuciła ich bystrym spojrzeniem, a następnie odsunęła się, otwierając szeroko drzwi.

– Panna Corvidae was oczekuje.

Rozdział 41

FIYONN

Obserwował uważnie, jak do przedsionka Klipetaighu wpadają w panice trzy osoby. Dwóch mężczyzn i kobieta, wszyscy ubrani w skórzane kurtki i wysokie, wiązane buty z grubymi podeszwami. Wszyscy otoczeni magią.

Zasiadał w kruczej postaci na szczycie oszklonej gabloty z zegarami, dzięki czemu miał doskonały widok na niemal cały hall. Na twarzy służącej, która otworzyła drzwi, malowała się niepewność. Gdy po domu rozległo się echo pukania, skierował spojrzenie na Antoinette, która zaciskała wargi. Jej pierwsza wizja stała się rzeczywistością.

Mężczyźni byli bliźniakami, Fiyonn nie miał w tej kwestii żadnych wątpliwości. Ich twarze niemal się od siebie nie różniły, wzrost i posturę również mieli identyczną. Tylko inaczej upięte włosy sprawiały, że nie prezentowali się jak swoje lustrzane odbicia.

Jeden z nich na rękach niósł młodą kobietę o ciemnych włosach i porcelanowej skórze. Była nieprzytomna. Nie wyglądała na ranną, nie krwawiła. Włosy miała zmierzwione, a policzki chorobliwie zaróżowione. Na czoło wystąpił jej pot.

Panna Corvidae was oczekuje, oświadczyła w drzwiach służąca. Antoinette stała u szczytu schodów z dłońmi złożonymi przed sobą. Ubrana na czarno i z włosami upiętymi w kok, wyglądała bardzo poważnie. Usta miała zaciśnięte, a wzrok skupiony na obcych.

Chłodnym spojrzeniem badała wszystkie trzy postacie, które stanęły w progu jej domu.

Po krótkiej chwili niepokojącego milczenia przemówiła:

– Wejdźcie na górę.

Obaj bracia niemal wbiegli na schody. Ten, który niósł kobietę, asekurował jej głowę gestem sugerującym, że jest między nimi wiele czułości.

– Vero, przygotuj gorącą wodę i ręczniki – poleciła Antoinette, po czym zniknęła w korytarzu na piętrze.

Wszystkie bagaże, które przybysze mieli ze sobą, zostawili przy wejściu. Obie służące udały się do kuchni, a następnie wbiegły na górę. Nikt nie zwrócił uwagi na Fiyonna ukrywającego się w mroku.

Fotel zaskrzypiał i w świetle świec płonących w hallu pojawił się Kieran. Nie było sensu, by zdradził się ze swoją obecnością.

Fiyonn przeleciał przez pokój i usadowił się na poręczy na piętrze, by móc obserwować zarówno korytarz, jak i kuzyna pospiesznie przeglądającego rzeczy obcych. Z gościnnej sypialni, do której Antoinette zaprowadziła przybyszy, dobiegały stłumione głosy.

– Mają pieniądze. Dużo pieniędzy. – Głos kuzyna zwrócił na powrót uwagę Fiyonna. – Obca waluta. Trochę vijandzkich drobniaków.

Kieran przyjrzał się z bliska jednej z monet.

– Podobizna jakiegoś króla z podpisem w języku, który nie brzmi jak cokolwiek, co znamy.

Stroje obcych nie wskazywały na to, by pochodzili z północy. Czegoś takiego się tu nie nosiło. Kieran, podobnie jak wielu wykształconych szlachciców, dobrze znał staropółnocny, lecz posługiwał się również płynnie gallaweckim dialektem mowy wspólnej. Odmianę vijandzką znał głównie ze słyszenia, ale Fiyonn wierzył, że byłby w stanie rozpoznać ją na monecie.

– Z drugiej strony korona z pięcioma literami – K, A, E, B i M. – Kieran uniósł głowę. – Mówi ci to coś?

Fiyonn nie chciał ryzykować transformacji. Obcy wciąż znajdowali się z Antoinette w pokoju, lecz mogli wyjść z niego w każdej chwili.

Zamachał skrzydłami, lecz nie ruszył się z miejsca.

– Komunikowanie się z tobą w tej formie jest doprawdy uciążliwe – mruknął Kieran i wrócił do przeszukiwania bagaży.

Nie ustalali tego między sobą. Wystarczyło jednak, że spojrzenia Kierana i Fiyonna spotkały się na chwilę przed tym, jak Antoinette ruszyła do hallu. Obaj wiedzieli, co trzeba będzie zrobić.

Ubrania i przedmioty, takie jak kompas czy manierki na wodę, w ogóle Kierana nie interesowały, od razu przesuwał je na bok. Szukał czegoś innego, czegoś, co pozwoliłoby im poznać lepiej przybyszów. Potrzebowali taktycznej przewagi.

– Spójrz na to.

Kieran przywołał go dłonią i otworzył jedną ze skórzanych toreb. Fiyonn z początku nie chciał opuszczać swojego stanowiska, lecz po chwili znalazł się już przy nim. Jeszcze zanim Kieran wyciągnął zestaw fiolek z szarym płynem, poczuł charakterystyczny zapach, od którego momentalnie się odsunął. Głosy jego magii rozbudziły się z pełną mocą.

– Tramant – orzekł Kieran, jak gdyby reakcja Fiyonna była potwierdzeniem jego przypuszczeń. – Ktoś z nich posługuje się magią?

Wszyscy, pomyślał Fiyonn.

Na samym dnie sterty tobołów leżała pochwa na miecz. Zawieszana rzemieniem i uszyta z tej samej skóry, z której zrobione były bagaże obcych, prezentowała się dość niepozornie. Nie to co broń, którą Kieran z niej wyciągnął.

Miecz był dość krótki i lekki – dla któregokolwiek z braci zbyt krótki, zatem posługiwał się nim ktoś znacznie niższy. To jednak głównia miecza przyciągnęła ich uwagę. Była zdobiona złotem i rzędem małych, soczyście zielonych szmaragdów. Nad nimi widniała pieczęć, którą przed chwilą Kieran ujrzał na monecie, oraz smok wyrzeźbiony w rękojeści.

– To królewska broń – oznajmił, wypowiadając na głos słowa, które pojawiły się w głowie Fiyonna.

Magia buzowała mu we krwi.

Miecz zapewne miał zatopiony w sobie tramant, a tego Kieran nie mógł wiedzieć. Pospiesznie schował go z powrotem do pochwy i odłożył na miejsce.

– Mogą być przemytnikami – mruknął po chwili, choć z wyraźnym powątpiewaniem.

Fiyonn wleciał z powrotem na górę w momencie, w którym jeden z braci wyszedł na korytarz. Przeczesał palcami włosy. Był zdenerwowany i zmartwiony.

Krótkie kraknięcie zwróciło jego uwagę. Fiyonn dał tym samym również znać Kieranowi, by skrył się z powrotem w tonącym w ciemności salonie.



Gdy Antoinette przekroczyła próg swojej sypialni, ujrzała go już w ludzkiej formie. Ich spojrzenia się spotkały, lecz żadne się nie odezwało. Antoinette oparła się plecami o drzwi.

– Gorączkuje – powiedziała cicho. – Na brzuchu ma bliznę wielkości pięści. Nie krwawi, ale wylewa się z niej magia.

Chwiejnym krokiem zbliżyła się do Fiyonna.

– Cuchnie śmiercią – szepnęła drżącym głosem.



Braci ulokowano na końcu korytarza, w jednej z gościnnych sypialni. Chcieli rozmawiać z Antoinette, lecz ona odrzuciła ich prośby.

– Musicie wypocząć – stwierdziła. – Porozmawiamy rano. Waszej towarzyszce nic się nie stanie. Macie na to moje słowo.

Choć takie zapewnienia uspokoiłyby ludzi północy, którzy bezwzględnie wierzyli w obietnice składane przez gospodarzy, obaj mężczyźni udali się do przydzielonego pokoju w ciężkich nastrojach. Długo rozmawiali między sobą, a do Fiyonna dochodziły ich pełne niepokoju głosy.

– To nie był dobry pomysł – mówił ten, który wniósł dziewczynę.

– Co innego mieliśmy zrobić? – argumentował drugi.

– Nie mamy pojęcia, kim jest ta kobieta. Nie wygląda na uzdrowicielkę.

– Może i nie, ale nie wyrzuciła nas na zimno i zajęła się...

Fiyonn nie potrzebował wiele więcej. Gdyby chciał, mógłby zakraść się pod ich drzwi, lecz obawiał się, że któryś z nich wyczuje jego obecność. Choć w pierwszej chwili go nie zauważyli, nie mógł wykluczyć, że są w stanie wykrywać magię równie dobrze jak on.

Ich źródła były w jakiś sposób ze sobą połączone. Nie tak jasne i wyraźne, jak w przypadku jego czy Antoinette, jednakże ich towarzysza...

Fiyonn przywołał z pamięci słowa Herberta oświadczającego mu, że w Zjednoczonym Królestwie doszło do zmiany władzy. *Zasiadła tam nowa władczyni. Niektórzy mówią, że posługuje się magią, ale to równie dobrze mogą być plotki*, powiedział mu, gdy się spotkali. Fiyonn wątpił, by nowa królowa udała się jakimś cudem niezauważona w tajną podróż na północ. Wtedy też dotarło do niego, że przybysze nie mieli koni. Dotarli tu na piechotę? Jak duży dystans pokonali?

Fiyonn potrzebował chwili, by magią zbadać okolicę wokół domu. Wciąż wymagało to od niego więcej woli niż wcześniej, lecz z dnia na dzień czuł, że wraca do siebie, jakby przybycie Antoinette odblokowało w nim to, co dotąd nie pozwalało mu swobodnie sięgać po moc.

Potrzebował chwili, by wyczuć kolejne źródła poruszające się wzdłuż brzegu. Niekiedy wypuszczały się gdzieś dalej, w morze, lecz potem wracały na klif. Nie zbliżały się do Klipetaighu, lecz wciąż krążyły po okolicy.

Fiyonna przeszedł dreszcz. Zbyt wiele elementów składało się w całość. Pragnął wzbudzić w sobie zwątpienie, by przygotować się na ewentualne rozczarowanie, ale... nie potrafił.

– Drogie matki, drodzy ojcowie – wyszeptał w ciemności. – Proszę was o przewodnictwo.

Impuls pokierował go korytarzem w stronę pokoju, w którym spała obca kobieta. Zdawało mu się, że magia niczym dym przesącza się przez szparę w drzwiach. Coś takiego nie powinno mieć miejsca.

Powoli nacisnął klamkę. Zasłony w oknach nie przepuszczały nawet bladej poświaty księżyca wiszącego nad wybrzeżem. Fiyonn nie potrzebował jednak światła, by dostrzec szamoczącą się w pościeli ludzką postać. Śpiąca oddychała szybko, jakby we śnie

biegła albo z kimś walczyła. Taki sen był męczarnią, nie przynosił ukojenia. Cała skóra aż swędziała go od nadmiaru energii kotłującej się w pokoju. Zbliżył się do łóżka i zobaczył, że kobieta marszczy czoło i zaciska palce na kołdrze.

Fiyonnowi nie dane było obserwować kiedykolwiek człowieka śniącego koszmar. Sam doskonale wiedział, jak to jest utknać w takiej pułapce. Kiedy jednak śnił ostatnim razem? Kiedy pozwolił sobie odpłynąć na tyle daleko, by ujrzeć we śnie cokolwiek poza martwą czernią?

Sięgnął do źródła kobiety. W pierwszej chwili obawiał się, że go odrzuci, tak jak zapewne zrobiłaby magia Fiyonna, strzegąca jego ciała i myśli. Nic się jednak nie wydarzyło. Głosy szeptały w oddali w staropółnocnym, ale słyszał je. *Inne, jest inne, lecz znajome.*

Źródło kobiety pękało w szwach, napinało się do granic możliwości, wyginało niczym dzikie zwierzę na uwięzi. *Jest jej zbyt wiele*, syczały zaniepokojone głosy. Źródła nie miały jednak granic, nie były fizycznie mierzalne, i ta myśl zaniepokoiła Fiyonna. Ciekawość jednak przeważyła. Wyglądało na to, że przybyszka nie korzysta z magii, wręcz przeciwnie, usypia ją, ogranicza do tego stopnia, że narodziła się anomalia, o której nie wiedzieli nawet tesaryccy mędracy.

To do niej należały fiołki z tramantem. Ale dlaczego się tak krzywdziła?

Zasiadł na krześle ustawionym przy toalecie i posłał w jej stronę obraz, a efekt był właściwie natychmiastowy. Kobieta wzięła głęboki wdech i bardzo powoli wypuściła powietrze. Powinna widzieć falujące na wietrze wrzosy w pomarańczowym świetle kończącego się dnia. Dla kogoś urodzonego w Tesarycie był to widok wręcz pospolity, niczym się niewyróżniający. Dla niej stanowił ucieczkę od sennej mary. Rozluźniła palce. Jej ręce drżały z wysiłku. Moc oplótła się gęstą pajęczyną wokół obrazu. Ile zajmie jej zorientowanie się, że to wytwór wyobraźni?

Odpowiedź na to pytanie nadeszła szybciej, niż Fiyonn się spodziewał.

Otworzyła oczy. Mrugała nieprzytomnie, wyraźnie starając się strzepnąć z siebie sen. Szybko zorientowała się, że coś jest nie tak. Może dostrzegła zarys sylwetki obcego mężczyzny, może złękła się

przestrzeni, której nie znała. Usiadła i wcisnęła plecy w poduszki, jakby chciała się za nimi schować. Wbiła ostre spojrzenie w Fiyonna.

– Kim jesteś? – zapytała zachrypniętym głosem.

Zadała mu tak proste pytanie, a on nie wiedział, jak odpowiedzieć. Mógł się przecież tego spodziewać, co innego jej zostało? Czy on zachowałby się na jej miejscu inaczej?

Czekał, aż otoczy go magią, aż ta rozlewająca się dookoła moc pochwyti go w sidła. Dałby się jej pojąć. Pozwoliłby na to, choćby z czystej ciekawości. Nikt nigdy wcześniej, poza Antoinette, nie był w stanie czegoś takiego zrobić. Ale moc Antoinette była jego mocą.

– Chciałem...

Czego tak naprawdę chciał? W jaki sposób powinien odpowiedzieć, by domniemana elendorska księżniczka z samego rana nie uciekła daleko stąd? Fiyonn jej potrzebował, musiał ją zatrzymać w Klipetaighu choćby do rana.

Oczy miała wielkie i błękitne jak niebo o poranku. Nigdy nie widział takich oczu, przez co pochłaniały całą jego uwagę. Było w nich coś znajomego, choć był pewien, że przybyszka nigdy nie objawiła mu się w wizjach zesłanych mu przez Los.

Teraz ostrożnie rozglądała się dookoła. Może starała się sobie przypomnieć, co się stało. Dotknęła swego mokrego czoła. Wracała do niej świadomość ciała. Bił od niej strach.

– Twoi towarzysze znajdują się w pokojach obok. Nie jesteś tu sama – rzekł w końcu Fiyonn, pragnąc ją uspokoić.

Zamrugła, a potem znów spojrzała na niego wzrokiem rozgorączkowanym i obcym. Zagryzła wargę.

– Nie wierzysz mi – zauważył Fiyonn, lekko zaskoczony. Nie był przyzwyczajony, by ludzie nie ufali jego słowom. Ale ona nie wiedziała, że nie może jej okłamać. – Powinnaś odpoczywać.

Powoli podniósł się, nie chcąc wystraszyć jej gwałtownym ruchem, po czym spokojnie podszedł do drzwi, czując na plecach jej wzrok. Z jakiegoś powodu blizna na jego karku zaczęła piec.

– Twoje sny także są tutaj bezpieczne – rzucił przed wyjściem.

Rozdział 42

ROSEMARY

Jeszcze zanim otworzyła oczy, Rose wiedziała, że za oknem deszcz leje się z nieba, a gęste chmury uniemożliwiają słońcu rozjaśnienie mroków nocy. Mimo że zasłony zostały odsunięte, w pokoju było ciemno. Nie paliły się żadne świece, a szare ściany i meble w odcieniu głębokiego brązu dodatkowo pogłębiały klaustrofobiczne poczucie, że znajduje się w ciasnym pudełku.

Czuła się zadziwiająco dobrze. Mglisto pamiętała ból i dreszcze targające nią przez ostatnie dni. Otępienie zniknęło i zaczęła się zastanawiać, czy jej wspomnienia nie były snami. Wstała powoli z łóżka pachnącego potem i koszmarami. Przyciągał ją szum morza, przypominający o porankach w Glandirze. To wrażenie powrotu do przeszłości przyprawiło Rose o szybsze bicie serca. Podeszła do okna i gdzieś pomiędzy ciemnymi kłębamii chmur dostrzegła pojedyncze błyskawice. Oddalały się od domu w kierunku bezkresnego błękitu. *Jak daleko na zachód odlecieliśmy? Jak to się stało, że chwilę wcześniej znajdowaliśmy się w samym centrum kontynentu, a teraz moglibyśmy przespacerować się po linii brzegowej?*

Odeszła od okna. Czuła, jak z zimna drżą jej kolana, a po plecach rozciąga się gęsia skórka. Rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu swoich ubrań, nie chcąc wychodzić w samej koszuli nocnej. Uświadomiła sobie, że znajduje się w obcym domu i nie pamięta, jak

dokładnie do niego trafiła, a do tego ktoś przebrał ją, gdy była nieprzytomna...

Zaczęła zaglądać do szuflad w komodach i otwierać szafy. Doszła do wniosku, że całe to pomieszczenie nie było przez nikogo zamieszkane. Na oparciu jednego z krzesel dostrzegła ciemny szlafrok, więc zarzuciła go na siebie i wyszła z pokoju.

Na korytarzu zastała ciszę i delikatne mruczenie magii. Czy dom był magiczny? A może po prostu to ona nie doszła jeszcze do siebie i wyczuwała tak naprawdę echo własnej choroby? Niespodziewanie usłyszała za plecami jakiś szelest. Odwróciła się, mając nadzieję nie ujrzeć niczego podejrzanego, ot, może poruszaną wiatrem zasłonę... Na drodze swojego spojrzenia napotkała jednak coś zgoła innego.

Kilka metrów od Rose, na środku długiego dywanu rozłożonego w całym korytarzu, stał ogromny, czarny kruk.

W pierwszej chwili miała wrażenie, że jej się przywidziało albo że pada ofiarą jakiejś wymyślnej iluzji, która tworzy projekcję tego zwierzęcia. Po chwili jednak jej oczy przyzwyczyły się do mroku i dostrzegła, że ptak jest jak najbardziej rzeczywisty. Poruszał się, jego oczy łapały na Rose z boków kruczej czaszki, a pióra błyszczące w świetle samotnej lampy, wiszącej na końcu korytarza, trzepotały z każdym oddechem.

Nie mógł być zwykłym krukiem. W jego oczach było zbyt wiele świadomości.

– Uciekaj – rzuciła pod nosem i machnęła niedbale ręką.

Nie zareagował. Nawet się nie ruszył. Poczowała, jak mimowolnie napinają się mięśnie w jej ciele.

– Sio! – rzuciła szeptem, który również na nic się zdał. Ptak pozostawał na swoim miejscu i uporczywie się w nią wpatrywał.

Nie mogąc tego dłużej znieść i czując coraz większy niepokój, zaczęła wycofywać się do głównego holu. Korytarz przemierzyła truchtem, chociaż nadal starała się być najciszej, jak tylko potrafiła. W końcu znalazła się dokładnie u podnóża schodów.

Odwróciła się tylko raz i tylko na chwilę, ale to wystarczyło, by zobaczyć, jak kruk szybuje za nią i siada na balustradzie.

Zaraz potem usłyszała szept.

– Odejdź.

Aż pisnęła, jednak w porę się opanowała i zakryła usta dłonią. Obróciła się przy tym wokół własnej osi, co okazało się ogromnym błędem. Prawie upadła, zdjeta przerażeniem, gdy w ciemnościach dostrzegła twarz. Potrzebowała kilkunastu sekund i wielu głębokich oddechów, zanim zorientowała się, że wisiało przed nią lustro, a oblicze, którego się wystraszyła, należało do niej samej.

– Rose?

Drzwi, których wcześniej nie zauważyła, otworzyły się z głośnym skrzypnięciem. Veer wyszedł jej na spotkanie, wyraźnie zaniepokojony hałasem.

– Bogowie – westchnęła i położyła sobie dłoń na piersi. Obecność towarzysza pozwoliła jej odzyskać równowagę.

– Jak się czujesz?

– Gdzie my, do cholery, jesteśmy? – mruknęła.

– Tesaryth – wyjaśnił. – Zachodnie wybrzeże. Kilkanaście dni lotu od Elendoru.

– Odpłynęłam?

– Tak. Skłamałbym, mówiąc, że nie spanikowaliśmy – przyznał. – Ten dom był jedyną opcją.

– Kto tu mieszka? – zapytała, gdy drzwi ponownie stanęły otworem. Do hallu wlało się trochę światła, kiedy Vas przeszedł przez próg. Rose dostrzegła sylwetki dwóch osób siedzących przy stole. Kobieta w czerni dostrzegła ją i podążyła za jeźdźcem.

– Witaj w moim domu – odezwała się. Jej głos brzmiał nisko i jednocześnie aksamitnie. – Dobrze widzieć, że czujesz się lepiej.

Rose nie odpowiedziała, spojrzała tylko badawczo na braci w poszukiwaniu wsparcia.

– Zasiadaliśmy właśnie do kolacji. Z pewnością jesteś głodna. Każę służbie przynieść ci czyste ubrania.

Kobieta wróciła do pokoju, który wyglądał na jadalnię albo salon, i zadzwoniła po pokojowe. Zanim Veer delikatnie pociągnął ją za łokieć w kierunku schodów, Rose pochwyciła spojrzenie blondyna o jasnych oczach, który obserwował ich z pogodnym uśmiechem na ustach.

– Małżeństwo i brat kobiety – wyjaśnił cicho Vas w drodze do sypialni. W progu minęła ich drobna dziewczyna, która szybko przekazała Rose stosik schludnie złożonych ubrań, a potem zaraz

zniknęła w ciemnym korytarzu. – Wyglądają mi na zwykłych szlachciców, raczej nie są jakimiś lordami.

– Przedstawili się? – zapytała Rose i przeszła w głąb pomieszczenia. Vas i Veer zostali przy drzwiach, by dać jej trochę prywatności.

– Ten blondyn to Kieran. Drugi to Fiyonn. Kobieta nazywa się Antoinette. To ona się tobą zajęła, kiedy cię przynieśliśmy. Zdaje się mieć pojęcie o ziołach i lekarstwach. Zanim się obejrzeliśmy, gorączka spadła.

– Pozwoliliście jej nafaszerować mnie...

– Nie było innej opcji, Rose – odparł stanowczo Veer. – Uwierz mi, było z tobą źle.

Gniewnie opadła na łóżko i zawiązała wyszorowane do czysta buty. Czowała, jak pod świeżo wypranymi ubraniami swędzi, wręcz pali ją cała skóra. Nie był to objaw choroby, a wyłącznie wynik świadomości, że pozwolili, by ktoś obcy się nią zajął.

– Nieważne – mruknęła. – Gdzie są nasze rzeczy?

– Część w drugim pokoju, większość została przy smokach...

– Więc zbierajcie się po nie – oświadczyła, rozglądając się po pokoju. – Gdzie jest mój miecz?

– Był tutaj – zmartwił się Vas.

Rose przymknęła oczy i wzięła głęboki wdech, próbując powstrzymać gniew. Ver gwałtownie wyszedł z pokoju, a chwilę potem wszyscy troje znajdowali się już na schodach. Starali się nie zaalarmować mieszkańców.

– Powiedzieliście im coś, co pozwoli nas zidentyfikować?

– Nie – zapewnił Vas. – Pytali, ale zbywaliśmy ich udawaniem zwykłych podróżników. Zgubiliśmy się, jesteśmy wdzięczni za gościnę i znikniemy, jak tylko poczujesz się lepiej.

– Widzieliście tego wielkiego kruka? – zapytała, przypominając sobie o zwierzęciu.

– Kruka?

– Był tutaj, kiedy schodziłam na dół – szepnęła.

Przemknęli pod drzwiami salonu. Gdy byli zaledwie kilkanaście kroków od frontowych drzwi, a Rose doskonale słyszała już deszcz szalejący na zewnątrz, niespodziewanie przestrzeń wokół niej zgęstniała. Aż przystanęła, czując, jak dech utyka jej w piersi.

– Rose? – Vasa zaniepokoiło jej zachowanie.

Nigdy wcześniej nie doznała czegoś takiego. Wrażenie zaginającej się przestrzeni, widok rozmywającego się obrazu – ten rodzaj magii rozpoznawała, bo sama potrafiła czegoś takiego dokonać. W tym przypadku jednak moc owinęła się wokół niej jak pięść. Napierała z każdej strony i coraz bardziej oplatała ciało Rose. Veer szybko podszedł do drzwi, jednak okazało się, że są zamknięte.

W tej samej chwili snop światła zalał hall z prawej strony.

– Możemy zasiąść do kolacji? – zapytał Kieran, obdarzając ich tym samym uśmiechem, co wcześniej. Wszyscy troje zamarli, nie wiedząc, jak postąpić. – Z paniczną ucieczką poczekałbym, aż przestanie padać. Podróż w taką pogodę może być niebezpieczna. W nocy nie widać zdradzieckiej krawędzi klifu.

– Kto mówi cokolwiek o ucieczce? – wydusiła Rose.

– Proszę, dołączcie do nas. – Otworzył drzwi szerzej i odsunął się na bok, wskazując wewnątrz jadalni. – Zjecie porządny posiłek, a potem, gdy pogoda się uspokoi, ruszycie w dalszą drogę.

Bracia wyraźnie czekali na decyzję Rose, która spróbowała zwalczyć otaczający ją ścisk. Zaciśnęła ręce w pięści i starała się przywołać iluzję. Magia wokół niej drgnęła, jednak nie ustąpiła, jakby jej moc była jedynie podmuchem próbującym skruszyć kamień. Spojrzała na Kierana, czując pot wstępujący na czoło.

– W porządku – odparła, starając się zachować neutralny ton. Kiedy magia wokół niej zniknęła, miała już pewność, że to właśnie on ją kontrolował.

Vas i Veer porzucili ich bagaże przy drzwiach. Rose jeszcze raz obrzuciła blondyna nieufnym spojrzeniem. Jaką magią władał? Jakim cudem była na tyle silna, by sama jej obecność tak mocno na nią wpływała?

Ciemnowłosa kobieta, Antoinette, zajęła miejsce po prawej, a tuż obok niej, u szczytu stołu, siedział jej brat. Ich niewzruszone miny nie zrobiły na Rose dobrego wrażenia. Poza podobnymi grymasami na twarzach nie wyglądali, jakby byli spokrewnieni. Czarne włosy opadały mężczyźnie na czoło, a spojrzenie, którym obdarzył Rose, zdradzało ciekawość.

– Zapraszam – powiedział Kieran i odsunął dla niej krzesło dokładnie naprzeciwko Fiyonna. Vas i Veer zmuszeni byli zająć

miejsca po jej bokach.

Gospodarze zabrali się do posiłku jakby była to najnormalniejsza rzecz na świecie. Bracia przez chwilę wahali się, jednak w końcu także sięgnęli po sztucce. Rose jako jedyna nawet nie spojrzała na swój talerz.

– A więc... – Kieran rozpoczął rozmowę. – Antoinette wspomniała, że jesteście przewoźnikami.

– Zgadza się – odparł gładko Veer.

– Nie gonią was żadne terminy? – dopytał Fiyonn z zaciśniętymi szczękami, co nie umknęło jej uwadze. Z jakiegoś powodu wydawał się spięty.

– Mamy czas do końca miesiąca, a droga nie jest wcale taka długa. Nadrobiliśmy sporo czasu, omijając postoje – wyjaśnił Veer, sięgając po kielich napełniony czymś, co wyglądało jak wino.

– Wytrwali z was przewoźnicy – zauważył Kieran i zerknął oceniająco na Rose.

– To nie pierwsza taka podróż. Mamy wprawę – mruknęła, idąc w ślady Veera. Starła się wyglądać na niewzruszoną, jednak wewnątrz cała się trzęsła. Ręka, którą trzymała kielich, drżała.

Na moment zapadła przerażająca, duszna cisza. Fiyonn delikatnie przesuwając palcami po rękojeści obiadowego noża, który trzymał w dłoni. Przez cały ten czas wpatrywał się w Rose.

– Dokąd dokładnie zmierzacie? – zapytał. Vas wymienił z bratem subtelne spojrzenia. Rose odstawiła gwałtownie kielich na stół.

– Naszym klientom zależy na dyskrecji.

– Przestańcie kłamać. – Głos Fiyonna był niebywale spokojny w przeciwieństwie do obrzydliwego dźwięku, który wydał gwałtownie odłożony na krawędź porcelanowego talerza nóż.

Rose aż podskoczyła i odruchowo odsunęła się odrobinę w tył. Znowu poczuła tę dziwną moc, która otoczyła ją w korytarzu. Zerknęła szybko na Kierana, siedzącego po jej lewej, i zwątpiła w swoją wcześniejszą diagnozę. Był zbyt rozluźniony, zbyt spokojny i obojętny w swojej postawie. Skupiła się z powrotem na Fiyonnie, kątem oka dostrzegając, jak ręka Veera zsuwa się pod stół.

– Słucham? – Rose odzyskała rezon i przełknęła szybko ślinę, aby udąć szczerze zaskoczoną.

– Kazał ci wreszcie przestać kłamać – sapnęła niespodziewanie Antoinette. W jej oczach płonęła furia.

– Kiedy ja wcale... – warknęła Rose.

– Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam, mogłabyś okazać choć odrobinę wdzięczności – rzuciła gniewnie i odłożyła sztućce na brzeg talerza.

– Czego chcecie? – zapytała księżniczka, odchylając się do tyłu na krześle. – Pieniędzy?

Fiyonn prychnął pod nosem i pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Nie potrzebujemy waszych pieniędzy. Podejrzewam, że wasza waluta nie zgadza się z tą, której używamy na co dzień.

Wiedzą. Wszyscy troje doskonale wiedzą, skąd pochodzimy i może nawet podejrzewają, kim jesteśmy.

– Lepiej dla ciebie, jeśli powstrzymasz się przed podniesieniem na nas ręki – powiedział zimno Kieran, na co Rose wytrzeszczyła oczy. Ze swojego miejsca nie miał szans dostrzec, co jej towarzysz robił pod stołem. Czy miał przy sobie jakąś broń? A może zgrabnie zabrał nóż z zastawy? Jedno spojrzenie w jego oczy wystarczyło.

– Vas, odłóż nóż – poleciła Rose najspokojniejszym tonem, na jaki było ją stać. Następnie odsunęła swoje krzesło i wstała z miejsca. Nogi miała jak z waty, jednak starała się trzymać plecy prosto. – Skoro nie chcecie naszych pieniędzy, to obawiam się, że pozostaje nam jedynie podziękować wam za pomoc i gościnę, a także obiecać, że jutro rano znikniemy z waszych ziem.

Skinęła delikatnie głową w kierunku gospodarzy, a następnie odwróciła się w stronę drzwi. Spodziewała się usłyszeć, jak bracia wstają, jednak nagle w całym domu zaskrzypiało, a w futrynach i okiennicach świsnęło powietrze. Wielkie drzwi jadalni zawarły się z hukiem, który stanowił także koniec tego magicznego popisu. Rose miała wrażenie, że aż czuje na języku niewidzialną energię rozsadzającą pomieszczenie od środka.

– Czego wy, do cholery, chcecie? – warknęła, odwracając się na pięcie i wbijając w Fiyonna nienawistne spojrzenie. Nie miała czasu zastanowić się nad opcją ucieczki. Jedyłą rzeczą, o której mogła pomyśleć, były smoki. Modliła się, by Vas i Veer powiadomili Oomanę i Cerys o niebezpieczeństwie.

– Może odrobinę szczerości? – zaproponował, unosząc brwi. Rozparł się wygodnie w fotelu i zmierzył Rose wzrokiem od stóp do głów.

Po raz kolejny zapadła ta przerażająca, żrąca aż do kości cisza, w trakcie której Rose boleśnie odczuwała bicie własnego serca w piersi. Starła się uspokoić oddech, jednak naciskająca na nią z każdej strony magia skutecznie jej to uniemożliwiła. Nienawidziła tej duchoty, zaciskającej się wokół szyi i wnikającej w organizm przez nozdrza.

Rose nie przegapiła momentu, w którym Antoinette machnęła ręką w stronę bocznych drzwi. Otworzyły się z cichym kliknięciem i do pomieszczenia weszła jedna ze służących, ta sama, która przyniosła jej ubrania. Aż zacisnęła dłonie w pięści, widząc, jak dziewczyna wnosi do pomieszczenia miecz. Miecz należący do Rose.

– Widzisz – ciągnął Fiyonn. – Ciężko uwierzyć, że podrzędni przewoźnicy mogą sobie pozwolić na taki oręż. – Dziewczyna podała mu broń, składając go na jego wyciągniętych dłoniach. Fiyonn złapał za skórzaną pochwę i przyjrzał się głowni.

– Piękna robota – mruknął z fascynacją. – Ukradłaś go?

– Został mi подарowany – odwarknęła Rose.

Mężczyzna zmrużył oczy i niespodziewanie jednym płynnym ruchem wyszarpnął ostrze z okrycia. Stał wydała z siebie metaliczny dźwięk i błysnęła w świetle świec.

– To ciekawe... Jest bardzo lekki, wyraźnie wykuty dla dziecka albo dla kobiety – mówił powoli, z rozwagą dobierając słowa i specjalnie przeciągając je nieco, by same w sobie sugerowały, do czego dążył. – Do tego materiał, z którego został wykonany... Hm... Nie wiedziałem, że na południu używa się tramantu do produkcji broni.

– Wystarczy – rzucił wściekły Veer i też podniósł się z miejsca. Antoinette momentalnie na niego zerknęła, jednak Fiyonn cały czas patrzył na miecz.

– Mówiłem, że jesteście tu bezpieczni i nie kłamałem – ciągnął, zupełnie tak, jakby Veer nie istniał. – Nie leży to w mojej naturze. Może już czas uświadomić naszym gościom, że wiemy, kim są...?

Zawiesił głos i spojrzał na Kierana.

– Rose – blondyn wymówił głośno jej imię. Skąd je znał? Czyżby podsłuchiwał braci, gdy o niej rozmawiali?

– Nie do końca prawda – syknął Fiyonn z niezadowoleniem. – Tak się przedstawiasz – zwrócił się do niej – jednak nie jest to twoje pełne imię.

Rose zacisnęła mocno szczęki, ale nie odpowiedziała. W jej głowie szalał huragan złożony ze zbyt wielu pytań. Czy ta kobieta w czerni posiada tę samą magię, co Raina? Jeśli nie, to jakim cudem poruszała wszystkim siłą woli? Czym jest ten przerażający mężczyzna dzierżący jej miecz? Jaką mocą włada? Wiedział, że kłamali. Jak długo musiał ich obserwować? Jak wiele osób grzebało w ich rzeczach, że zdobyli na ich temat tak wiele informacji?

– Nie odpowiadasz – zauważył zimno Fiyonn i z przyprawiającym o dreszcz trzaskiem wsunął miecz z powrotem do pochwy. Ponownie przyjrzał się broni, skupiając się na zdobnej głowni. – Dobrze, że odpowiedzi znajdują się w zasięgu wzroku. Czy to przypadkiem nie jest smok? Podobny do tych szybujących nad klifem?

– Wypuść nas stąd, a od razu odejdziemy – powiedział Vas, chcąc załagodzić sytuację. Fiyonn spiorunował go wzrokiem, a następnie odłożył delikatnie miecz na blat stołu.

– A gdzie się skierujecie? Na południe? Do waszego smoczego władcy? – Pytania padały jedno za drugim. – Bo chyba możemy już uznać, że zapominamy o tym wyimaginowanym handlu i podróży kupieckiej.

– Po co to całe przedstawienie? – warknął Veer. – Wiesz znacznie więcej, niż mówisz, udajesz, że chcesz od nas odpowiedzi i zarzucasz nam kłamstwo, a sam omijasz wiele tematów.

– Jesteście na moich ziemiach i korzystacie z mojej gościny, a macie czelność okłamywać nas na każdym kroku – rzuciła Antoinette, opierając się wygodniej na oparciu krzesła. Fiyonn tymczasem zabębnił palcami o blat stołu.

– Jak już mówiłem, jesteście tu bezpieczni, nie chcę od was pieniędzy ani wdzięczności. Interesuje mnie prawda. Wasze tożsamości, cele i powód, dla którego władczyni Elendoru was tu wysłała. Bo to jest godło Elendoru, prawda?

Rose przymknęła oczy i wypuściła ciężko oddech przez nos. Zdała sobie sprawę, że cały ich plan właśnie legł w gruzach. Nie chciała,

by ktokolwiek ich rozpoznał, z rozmysłem nie powiadomiła Rainy o ich wyjeździe i zabroniła tego Vasowi i Veerowi. Anonimowość miała zapewnić im bezpieczeństwo.

– Nie sądziłam, że w tak odległym kraju ktokolwiek je pozna – mruknęła zrezygnowana.

– Może jesteśmy odcięci od południowej części kontynentu, ale nie oznacza to, że nic o niej nie wiemy. Poza tym, wybaczcie, ale w żadnym stopniu nie wyglądacie na zwykłych handlarzy z tej strony gór – mruknął Fiyonn. – U nas smoki są dzikie i przerażające, a nie potulne i usługowe.

– Szkoda. Wiele tracicie – stwierdził Veer kąśliwie.

– A więc? – zapytał Fiyonn – Co was sprowadza do Tesarythu?

– Poszukiwania – westchnęła Rose, zakładając ręce na piersi. – Wysłano nas za pewnym człowiekiem.

Fiyonn zmarszczył brwi i przechylił głowę ruchem przypominającym... Po plecach Rose przebiegł dreszcz. Spojrzała na czarne włosy mężczyzny, które w świetle świec mimo niedbałego ułożenia lśniły jak pióra kruka napotkanego w korytarzu. Świadomość, którą dostrzegła w oczach ptaka, teraz pojawiła się w lodowatym spojrzeniu Fiyonna.

– Półprawda – mruknął i uśmiechnął się złowieszczo do Rose, na co ona przestąpiła z nogi na nogę. – Nie ma sensu dalej się gimnastykować. Zdążyliście się już chyba zorientować, że wyczuwam każde, nawet najmniejsze kłamstwo. Po prostu mówcie prawdę.

– Co to zmienia? Jakie znaczenie mają moje słowa? Jaki sens ma zadawanie pytań, skoro wiesz, że nie dostaniesz odpowiedzi?

– Cóż, widocznie w przeciwieństwie do was nie zamierzam złamać świętego prawa gościnności i jestem odrobinę lepiej wychowany. Chłodne górskie powietrze nauczyło mnie więcej pokory, niż jesteście sobie w stanie wyobrazić.

– No tak, w końcu obrażanie drugiego człowieka to dowód dobrego wychowania – parsknęła Rose.

Fiyonn uśmiechnął się szyderczo.

– Jesteśmy kwita. Możemy wrócić do tematu waszego pochodzenia i misji? Już bez kłamstw i wykrętów – rzucił aż do bólu

uprzejmie, jakby pytał ich o drogę na trakcie. – Zaczniemy od twojego pełnego imienia.

– Wiesz już wystarczająco dużo – stwierdził Veer.

Mężczyzna nie odpowiedział. Kompletnie ignorował obu braci. Antoinette i Kieran siedzieli nadal na swoich miejscach i obserwowali całe zajście bez większych emocji. Blondyn wydawał się odrobinę bardziej zaintrygowany, jakby sytuacja, w której się znalazł, dawała mu pewnego rodzaju satysfakcję. Fiyonn toczył w tym czasie niemą bitwę. Patrzył na Rose, jakby chciał jej dać znać, że jest w stanie czekać na odpowiedź całą wieczność.

– Rosemary – wyjawiała w końcu, tylko po to, by zbadać jego reakcję. Uśmiech zatańczył w kącie jego ust.

– Wiem, że jesteście z Elendoru, ale bardziej ciekawi mnie, dlaczego tu jesteście – podjął rozmowę i wstał z miejsca. Powolnym, dostojnym krokiem, z wysoko uniesioną głową, przeszedł przez pokój, po drodze zabierając ze stołu kielich wina. Podszedł do okna i spojrzał na szalejący na zewnątrz deszcz, który niedługo miał przerodzić się w okrutną, srogą burzę. – Zapewne wiecie, że nasze kraje od lat są odcięte od siebie. Tym bardziej ciekawi mnie, dlaczego zadaliście sobie tyle trudu, by przeprowić się przez mordercze góry i dotrzeć aż tutaj.

– Już mówiłam, że szukamy pewnego człowieka. Zdrajcy.

– Na polecenie Korony?

– Królowa wyznaczyła nagrodę – stwierdziła Rose, idealnie wymijając kłamstwo.

– A wy jesteście jej...? – rzucił, odwracając się i wskazując na nią delikatnie kielichem.

Rose zacisnęła usta, nie mając na to pytanie dobrej odpowiedzi.

– Cisza mówi sama za siebie – zauważył Fiyonn. Napił się wina.

Przeszedł przez pokój z powrotem w stronę stołu, odstawił puchar i sięgnął po miecz, z którym następnie podszedł do Rose.

– Każdy rycerz, nieważne, kobieta czy mężczyzna, pochwaliby się służbą Koronie. To wielki zaszczyt służyć swojemu władcy, a posiadanie takiego oręża... – Uniósł wyżej rękę, w której trzymał miecz. Jego dłoń zaciskała się na pochwie w połowie jej długości. – Jasno pokazuje ogrom zasług. Ty jednak nie masz odruchu chwaleń się swoimi dokonaniem pod rozkazami władcy.

Zastanawia mnie więc, jaką zbrodnię popełnił wspomniany przez was człowiek, że szuka go członkini rodziny królewskiej we własnej osobie.

Vas zerwał się z miejsca w tym samym momencie, w którym Fiyonn postąpił krok naprzód, niebezpiecznie zbliżając się do Rose. Jeździec był gotowy odciągnąć mężczyznę, szarpnąć za ramię i powalić do tyłu, byle powstrzymać go przed dotknięciem jej. Zanim jednak zdążył zrobić choćby krok, Rose płynnym ruchem wyszarpnęła z jego ręki swój miecz, zdziwiona, że w ogóle się na to zdobyła. Dłoń trzymająca teraz broń trzęsła się niemiłosiernie.

– Córka? – zapytał Fiyonn, kompletnie nieprzejęty jej reakcją. – A może siostra? Na pewno księżniczka.

Pomieszczenie eksplodowało ciemnością, której źródłem była ona sama. Magia buchnęła z niej niczym ogień sączący się ze smoczego pyska. Fiyonn zdziwił się, ale tylko na ułamek sekundy. Iluzja, którą stworzyła, nie była idealna, za bardzo ograniczała ją panika. Serce szaleńczo pompujące krew, oczy zachodzące łzami, napięte ze strachu mięśnie – to wszystko uniemożliwiało Rose sięgnięcie głębiej, do miejsca, gdzie przez wiele tygodni za pomocą tramantu spychana była jej magia.

Czerń spotkała się z inną czernią. Głębszą, bardziej jednolitą i świadomą, bardzo podobną do kruczych oczu. Magia Fiyonna podpełzła do krawędzi jej iluzji, nie przesuwając jej, jedynie wyznaczając granicę, której Rose miała nie przekraczać. Gdzieś w oddali, za jego plecami, usłyszała... Szepty?

– Kim jesteś? – warknęła, zaciskając zęby na tyle mocno, by jej słowa zabrzmiały jak wściekłe sapnięcie.

Wiedziała, że za plecami ma Vasa i Veera. Smoki prawdopodobnie przemierzały już wybrzeże, by pomóc im się wydostać z tego przeklętego domu, jednak nie było to coś, co mogło ją uspokoić. Magia, z którą się zmierzyła, była zbyt wielka. Czuła, że mogła ją zmiażdżyć w każdej chwili, jednak nie robiła tego wyłącznie ze względu na wolę swojego pana.

– Fiyonn Corvus – przedstawił się. – Prawowity władca Tesarythu.

Tkwili w magicznym impasie na tyle długo, by Rose zwątpiła, czy kiedykolwiek się on skończy. Niespodziewanie to Fiyonn pierwszy się wycofał.

– I wydaje mi się, że możemy wzajemnie pomóc sobie w naszych planach.

Epilog

VALIANT

Drzwi sali konferencyjnej otworzyły się szeroko po trzydziestu minutach od rozpoczęcia rady, a w progu pojawiła się kobieta o ciemnobrązowej skórze. Była ubrana w vijandzki mundur. Wszyscy doradcy zwrócili się w jej stronę. Całe Gniazdo wiedziało, że jego wysokość jest w tej chwili zajęty i nie należy mu przeszkadzać. W królestwie była tylko jedna osoba, która miała do tego prawo.

Siedzący u szczytu stołu Valiant napotkał spojrzenie kobiety. Drgnęła nieznacznie, gdy dostrzegła na jego twarzy brzydki, wciąż gojący się siniak.

– Gubernator Habijev oczekuje jego wysokości – oznajmiła.

Za każdym razem, gdy ktoś z vijandzkiej delegacji zwracał się do niego tym tytułem, Valiantowi wydawało się, że w ich głosach jest w stanie usłyszeć ledwo wyczuwalną drwinę. Nikt z nich nie uznawał go za króla. Oni wszyscy sądzili, że już dawno utracił jakąkolwiek władzę.

Valiant jako jedna z niewielu osób w Gnieździe wiedział, że mieli rację.

Rady, w których uczestniczył i na których wydawał rozkazy, kończyły się spisaniem z nich pełnego raportu, a te trafiały następnie do Habijeva, który te decyzje akceptował bądź nie. Jeśli wytyczne Valianta nie pokrywały się z interesami vijandzkiej Korony, gubernator bezwstydnie zlecał swoim sekretarzom stworzenie

nowych pism. Od dnia koronacji król nie podjął ani jednej samodzielnej decyzji. I nie miał żadnej możliwości, by to zmienić.

Gubernator bez trudu był w stanie podważyć pozycję Valianta – w końcu monarchy nie wzywa się na spotkania. To on wytycza terminy audiencji. Przerwanie rady przez vijandzkiego wysłannika było ciosem w plecy, którego Valiant się nie spodziewał. Przed kim chcieli go jeszcze pogryźć? Po co podkopywać dołek pod człowiekiem, który już dawno przestał starać się podnosić po kolejnym potknięciu?

Odchrząknął. Nie był nawet w stanie przebiec wzrokiem po twarzach doradców, którzy i tak spoglądali na niego podejrzliwie od ponad tygodnia, odkąd pojawił się w Gnieździe z podbitym okiem i z rozległą opuchlizną na twarzy. Dokumenty trzymane w dłoniach złożył w schludny stosik. Pochylali się akurat nad spisem szkód spowodowanych zimą we Flugstadt. Już nawet śnieg i lód, który był Tesarytczykom doskonale znany, wyrwały się spod kontroli i niszczyły wszystko na swojej drodze.

Valiant wstał.

– Zarządzam przerwę w obradach rady. Spotkamy się za godzinę
– oświadczył powoli.



Gabinet Habijeva znajdował się tuż obok, więc nie musiał iść daleko. Gdy Valiant wszedł do środka, zastał gubernatora zasiadającego przy biurku. Nie pierwszy raz został wezwany. Nigdy jednak dotąd polecenie nie zostało przedstawione przed tesaryckimi oficjelami.

Zasiadł w fotelu stojącym niedaleko biurka. I czekał.

Habijev, podobnie jak on sam przed chwilą, miał przed sobą całą stertę dokumentów. Valiant nie wiedział, czy dotyczyły spraw tesaryckich czy vijandzkich. Nigdy do końca nie miał pewności, nad czym gubernator pracował, choć pałacowa służba regularnie donosiła mu o tym, co dostrzegła lub usłyszała w kuluarach. Niestety Habijev doskonale wiedział, że jest podsłuchiwany. Niecały rok zajęło mu zrozumienie, jak sprawnie działa system przekazywania

informacji w Gnieździe. Nauczył się więc prowadzić rozmowy w dialekcie vijandzkim, a co ważniejsze spotkania zaczął odbywać na mieście.

Minęło dobre dziesięć minut, gdy w końcu westchnął głęboko i obdarzył Valianta spojrzeniem posyłanym zwykle tym, na których wcale nie chce się patrzeć. Habijev był dla wielu Tesarytczyków człowiekiem zupełnie nieprzewidywalnym. Lubił mówić, opowiadać żarty, zadawać pytania. Ingvild twierdziła, że po prostu uwielbia brzmienie swojego głosu, dlatego dołączał do północnych śpiewów, a jego rechot niósł się donośnie po korytarzach Gniazda. Z drugiej strony tępił każdy objaw tesaryckiej niezależności. Kontrolowane przez siebie wojska wysyłał wszędzie, nawet na niewinny miejski festyn.

Do dziś Valiant nie widział, by z oczu Milana Habijeva wyczierała taka nienawiść. Choć wielokrotnie słyszał od Vijandczyka słowa świadczące o pogardzie, jaką darzy królestwa północy, zawsze ukrywał to pod warstwą pochlebstw i zachwyty. Jego retoryka była dość prosta do rozszyfrowania – starał się przekonać Valianta i wszystkich dookoła, że jest mu szalenie przykro, iż cała tesarycka kultura i sztuka są zatrute grzeszną magią. Przedstawiał się jako ktoś, kto przyszedł im na ratunek, kto wykształci ich i pokaże nieznaną im dotąd możliwość.

Do tej pory Vijandczycy pokazali im wyłącznie ostrze mieczy i krew.

– Czy wiesz, co się robi z psami, które urywają się ze smyczy? – zapytał Valianta, odkładając pióro. W gabinecie zaległa cisza, więc sam odpowiedział na swoje pytanie. – Zabija się je. Bo robią się agresywne.

Valiant z całych sił starał się wszystkie emocje trzymać w sobie. Nie pozwolił na drgnięcie brwi ani na wykrzywienie kącika ust. Czekał.

Vijandczyk sięgnął po filiżankę z herbatą, pociągnął łyk, po czym odstawił ją na spodek tak mocno, że pękła niemal idealnie na pół. Na palcu dyndało mu porcelanowe ucho, które strzepnął na podłogę, jakby odganiał natrętnego owada.

– Jego najjaśniejsza wysokość ma do was wiele cierpliwości tylko dzięki moim opiniom. Każdego miesiąca przesyłam mu obszerne

listy, w których zachwalam naszą współpracę. – Habijev każde słowo z siebie wypluwał. Valiant był pewien, że zaraz poczuje na policzku krople jego śliny. – Nigdy nie sądził, że podpisanie porozumienia z Tesarythem to dobry pomysł. Zaczynam przychyłać się do jego opinii.

Valiant wciąż milczał, chcąc wymusić na gubernatorze, by wprost powiedział, skąd wzięło się to wezwanie. Już dawno temu nauczył się, że brakiem emocji uzyska więcej niż naciskiem. W takich momentach Habijev mówił o wiele więcej, niż było trzeba.

– Tesaryth istnieje dzięki ludziom takim jak ja – ciągnął. – Kultuwujesz pamięć swoich przodków tylko dlatego, że kilkoro moich dobrych przyjaciół i sojuszników ubłagało jego najjaśniejszą wysokość, by nie wcielał jeszcze północnych terenów w ramy vijandzkiego królestwa. Argumentowaliśmy, że to zbyt wcześnie. Ale nigdy nie twierdziliśmy, że ten dzień nie nadejdzie.

Wydaje się, że jeszcze przed chwilą Valiant zastanawiał się nad tym, co oznacza dla Tesarythu powrót mocy Kruczych Wiedźm. Nie sądził, by Antoinette, dziewczyna ze służby, która całe swoje życie przepracowała szorując na kolanach pałacowe podłogi, była dziedziczką Moiry Czarnowłosej. Nie sądził jednak także, by taka magia, jak jej, wzięła się całkowicie znikąd. Los zapewne chciał im coś powiedzieć. Nie umiał jednak odnaleźć w tym sensu, choć rad udzielali mu historycy i kapłani. Po każdej takiej rozmowie nawiedzała go ta sama myśl – że spłoną jeszcze za jego życia.

– Jeżeli chodzi o... – zaczął Valiant, mając nadzieję, że uda mu się zamknąć tę sprawę szybciej, niż zbierał się do tego Habijev, lecz jego nagłe wtrącenie kompletnie wyprowadziło gubernatora z równowagi.

Podniósł się z krzesła i pochylił nad biurkiem.

– Kilka setek ludzi szuka po niewielkim królestwie jednego człowieka i nie potrafi go znaleźć. Niewiarygodne, prawda? – Prawie krzyczał. Valiant zwalczył odruch zamknięcia oczu. – Wtem z pałacu znika wiedźma, wokół której już rodzą się kultury. A wraz z nią tesarycki dyplomata, kuzyn naszego poszukiwanego. Doprawdy, niezwykle.

– To gubernator zdecydował o powrocie wojsk do koszar...

– Równie dobrze mogliby szukać wiatru w polu.

Valiant nie widział nigdy Habijeva w zbroi. Nie widział go też dosiadającego konia. Za nic nie umiał wyobrazić go sobie z mieczem w ręku. Nie wiedział więc, czy walczył w którymś z oddziałów vijandzkiego wojska. W pałacu nie objawiał raczej tendencji do agresji. Służba nie donosiła, by kiedykolwiek kogoś uderzył. Jednak z każdą chwilą Valiant coraz bardziej wierzył, że gubernator lada moment chwyci go za poły marynarki i przycisnie całym ciężarem do ściany. Czy byłby w stanie go uderzyć? Albo zacisnąć ręce na jego szyi?

Czy byłby w stanie skończyć z nim tu i teraz?

Przez pierwsze kilka lat po koronacji wieczorami nawiedzał go strach. Zastanawiał się, czy w drzwiach nie stanie zaraz ktoś wysłany z Halamanu, kto miałby się go pozbyć. Patrzył śmierci w oczy od tak dawna, że już przestała go przerażać. Prawdopodobnie tylko to łączyło go z bratem.

– Czy ze względu na te niewiarygodnie nieudane poszukiwania, w których brali udział najlepsi tropiciele jego najjaśniejszej wysokości, mam zacząć sądzić, że wiesz, gdzie znajduje się cała trójka naszych zbiegów? – Niespodziewanie Habijev zniżył ton głosu, jakby nagły wybuch emocji wyciągnął z niego mnóstwo energii. – Dwójka z nich jest z tobą w końcu związana krwią.

Valiant prychnął gubernatorowi w twarz. Kieran Delbatich, kuzyn od strony matki, księżę Tesarythu, był Fiyonnowi o wiele bliższy niż sam Valiant. Już jako dzieci rozumieli się lepiej. Może dlatego, że nikt nigdy nie próbował ich rozdzielać. Nikt nie zakazywał im spędzać ze sobą czasu. Nikt nie namawiał ich do rywalizowania ze sobą w najprostszych nawet grach. Mieli obaj po dziesięć lat, gdy Valiant ukończył czternaście. Interesowały go zupełnie inne sprawy niż ich. Byli dziećmi, a ich dziecinność, którą Valiant, na wzór swojego ojca, wyśmiewał, zbliżyła tę dwójkę jak nic innego.

– Miałbym ratować mojego kuzyna tylko po to, by pomógł królewskiemu bratu poderżnąć mi gardło? – zapytał chłodno. – Wiem, gdzie oni są. Znajdują się jednak w miejscu, które...

– Jest niemożliwe do znalezienia, już to słyszeliśmy – przerwał mu znów Habijev.

Obszedł biurko. Jego policzki pokryły się szkarłatem, czoło zrosił pot. Oddychał głęboko.

Valiant czekał na cios, całe jego ciało napięło się w oczekiwaniu. Ten jednak nie nadszedł. Słyszał kroki gubernatora krążącego po gabinecie. Po chwili ucichły. Gdy Valiant się odwrócił, ujrzał go z rękoma założonymi za plecami. Jasne światło dnia raziło go prosto w twarz, lecz nawet nie zmrużył oczu.

– W ciągu ostatnich kilku tygodni zaginęło bardzo wiele wysoko urodzonych osób – rzekł powoli. – W Tesarycie szukaliśmy królewskiego brata, a teraz także księcia i wiedźmy. W Zjednoczonym Królestwie ogłoszono alarm, gdyż elendorska księżniczka rozplynęła się w powietrzu wraz z dwójką swoich przybocznych i trzema groźnymi bestiami. Nie sądzisz, że nie wygląda to na zbieg okoliczności?

Valiant zamarł ze wzrokiem utkwionym w mężczyźnie. Nigdy dotąd w jego obecności nie wspominał nawet o Zjednoczonym Królestwie. A przecież Vijanda swoim podłużnym cielskiem zamknęła wszystkie szlaki na południe, włącznie z tymi, które prowadziły przez morze.

Habijev mógł być poinformowany lepiej, niż wszyscy sądzili. Jak blisko dopuściła go vijandzka Korona? Jak wiele wiedział? Ile tak naprawdę miał władzy? Perspektywa tego, że wraz z wujem nie doceniali swojego przeciwnika, zmroziła mu krew w żyłach. A potem Valiantowi do głowy przyszła jeszcze jedna myśl.

Czy Fiyonn o tym wie? Czy znalazł sposób na nawiązanie kontaktu z królestwami z południa?

Valiant zacisnął dłoń na podłokietniku.

– Kiedy dokładnie się to stało? – zagadnął. Jego zainteresowanie spotkało się jednak z oporem gubernatora.

– Doprawdy cię to teraz interesuje?

W kilku krokach znalazł się przy Valiancie. Habijev pochylił się ku niemu z grymasem wściekłości wykrzywającym usta.

– Wystarczy tydzień, by zebrać wojska na vijandzko-tesaryckiej granicy. Będą tak liczne, że nie przecięnie się przez nie nawet mysz.

– Mówił cicho, niemal szeptał. Valianta przeszedł dreszcz obrzydzenia. – Tylko ode mnie zależy teraz, jak szybko o twojej niekompetencji dowie się cały Halaman.

– Oskarżasz mnie o sprzysięganie się ze Zjednoczonym Królestwem?

Valiant patrzył Habijewowi w oczy, a jego głos odbił się od ścian o wiele silniej, niż się tego spodziewał. Gubernator cofnął się zaskoczony i uniósł do góry brew.

– W przeciwieństwie do twojego zepsutego brata, potrafisz doskonale kłamać – syknął.

Gdy poszedł do biurka, chwycił między palce długi list pisany na kredowobiałym papierze. Pismo miał brzydkie i nierówne. Większość liter wygląda, jakby była złamana wpół. Pomachał kartką Valiantowi przed twarzą.

– Jeśli stwierdzę, że Valiant Corvus nie współpracuje z Halamanem, a wręcz przeciwnie, spiskuje przeciwko niemu, wymarsz wojsk będzie zarządzony ze skutkiem natychmiastowym.

Habijev zatrzasnął dokument w szufladzie, którą po chwili zamknął na klucz. Ominął Valianta jak robaka i szybko wypadł za drzwi pokoju. Po chwili w wejściu pojawiła się ta sama kobieta, która przerwała radę.

– Jego wysokość jest proszony o opuszczenie gabinetu.

SŁOWNIK

ātmā sāthi – więź pomiędzy jeźdźcami łącząca ich dusze.

Gildia Łowców – organizacja zajmująca się tępieniem magicznych stworzeń, działająca na zlecenie Korony.

Glandir – pałac królewski w Kantalarze.

Gniazdo – pałac królewski znajdujący się we Flugstadt, stolicy Tesarythu.

Klipetaigh – siedziba rodu Corvidae, położona na północ od miasta Askvolen, kilka mil od Wiedźmiego Klifu, nazywana również domem nad klifem.

Krisgaldar – jedno z najstarszych miast Tesarythu, w którym mieści się królewski uniwersytet, siedziba rodu Delbatch.

Krucza Wiedźma – tytuł noszony przez kobiety z rodu Corvidae, które odziedziczyły magiczny talent Moiry. Otrzymywały go zawsze najstarsze córki w rodzinie.

Krucze Oko – potężny magiczny artefakt, srebrny pierścień z czarnym kamieniem noszony przez Krucze Wiedźmy na serdecznym palcu lewej dłoni.

leże – siedziba jeźdźców smoków.

Los i Czas – według północnej legendy o powstaniu świata wszystko stworzone zostało przez Los i Czas, które pełnią w kulturze rolę bóstw. Nigdy nie zostały spersonifikowane. Uważa się, że z ich połączenia powstały śmierć i magia, które można uznać za

poboczne bóstwa, jednakże śmierć zawsze będzie bardziej związana z Czasem, a magia – z Losem. Ludzie Północy wierzą, że śmierć dotyka ludzi za życia. Oznacza to, że ścieżka, którą dana osoba podążała, zostaje brutalnie zmieniona. Można określić ten proces zmianą przeznaczenia. Ostateczny kres życia nazywa się często „nadejściem Czasu”. Wtedy też umierający opuszcza świat fizyczny i może dostąpić zaszczytu Wiecznego Wędrowania – niekończącego się życia w zaświatach, które oznacza połączenie się z Losem i współtworzenie go. Z tym łączy się typowy dla wszystkich północnych królestw kult przodków. Wznoszone do nich modlitwy sprawiają, że znajdujący się w zaświatach wpływają na Los i mają możliwość niesienia pomocy i pociechy żyjącym członkom swojej rodziny.

Mędrzec – legendarny założyciel i pierwszy władca Tesarythu, założyciel rodu Corvusów, obdarzony magicznym talentem, który przekazał swoim potomkom. Potrafił widzieć przyszłość, przemieniać się w kruka oraz wyczuwać kłamstwa, jednocześnie sam nie mógł głosić nieprawdy.

Moira Czarnowłosa – zaklinaczka uratowana przez Mędrca po tym, jak skoczyła z klifu, dzięki czemu została obdarzona częścią jego magicznych umiejętności. Jako pierwsza nosiła tytuł Kruczej Wiedźmy. Jej obdarzone magią potomkinie nazywa się Córami Moiry. Założycielka rodu Corvidae.

nawigatorzy – osoby potrafiące otwierać bramy.

Nija – małżonka Mędrca, królowa Tesarythu. Według legendy po śmierci zamieniła się w górę, by strzec ziem królestwa do końca świata.

petrami – lud zamieszkujący święte góry północy, Wyntree w Gallawecie i Niję w Tesarycie. Specjalizują się w tworzeniu kamieni nasyconych magią.

solaryci – reprezentanci vijandzkiej wiary, często nazywanej kultem słońca.

svalla – siostra w dialekcie jeźdźców.

tramant – substancja powstrzymująca magiczne zdolności, występuje w formie stałej, może być jednak przetworzona do płynnej postaci.

Trzecie Oko – tak zwane oko wewnętrzne, dzięki któremu można widzieć nici magii, a także przyszłość (lub przeszłość).

Turva – miasto we wschodniej części Gallawethu.

tvillieri – słowo pochodzącego ze staropółnocnego oznaczające „bliźnięta krwi”.

Vakkeret – nazwa domu miejskiego rodu Eterlanów.

Vande Sjel – największa świątynia w Tesarycie, zbudowana we Flugstadt.

Wiedźmi Klif – miejsce, z którego skoczyła Moira Czarnowłosa. Na pamiątkę tamtego wydarzenia na klifie zbudowano kamienny krąg, który służy do odprawiania modłów w trakcie świąt i uroczystości.

Wielka Rada – w jej skład wchodzi wysłannicy Wielkich Rodów (najczęściej najstarsi synowie), ich zadaniem jest dbanie o interesy księstw i doradzanie władcy.

Wyntrea – święta góra Gallawethu.

Zimowy Pałac – górską rezydencją Corvusów.

źródło – nazywane również drugim sercem, miejsce w ludzkim ciele, w którym gromadzi się magia. Na podstawie wyglądu i wielkości źródła można ocenić, jak duży zakres magicznych umiejętności posiada dana osoba.

PODZIAŁ GEOGRAFICZNY

Północ – w skład królestw Północy zalicza się: Tesaryth (ze stolicą we Flugstadt), Gallaweth (ze stolicą w Kuvijacie) oraz Astherię (ze stolicą w Naapurhofcie). Mimo bliskiego sąsiedztwa nie wlicza się Vijandy, która znacząco różni się od reszty królestw pod względem kulturowym. Z perspektywy Zjednoczonego Królestwa o Północy mówi się w kontekście tej części kontynentu, z którą od lat nie jest utrzymywany żaden kontakt (w tym handlowy).

Południe – z perspektywy królestw Północy w skład potocznie nazywanego Południa zalicza się: Vijanda (ze stolicą w Halamanie), Nyrra (ze stolicą w Fengelsie), Tarba (ze stolicą w Vannie) oraz księstwo Zjednoczonego Królestwa (ze stolicą w Kantalarze).

W skład Zjednoczonego Królestwa wchodzi pięć księstw, z których każde ma swoją stolicę: Elendor ze stolicą w Kantalarze, który jest

również stolicą całego Zjednoczonego Królestwa, Kalindor ze stolicą w Unurze, Berendor ze stolicą w Dunstown, Argardor ze stolicą w Terridonie oraz Manstar ze stolicą w Niliath.

SPIS POSTACI

Rodzina królewska Tesarythu:

Król Valiant Corvus,
Królowa Ingvild Corvus (z domu Sigiele, rodu rządzącego Gallawethem),
Arcyksiążę Fiyonn Corvus, którego tytuł oficjalnie brzmi „królewski brat”,
Królowa Wdowa Ulricha Corvus,
Naczelnik Emlyn Corvus,
Księżna Nemeina Delbatic (z domu Corvus; ciotka Valianta i Fiyonna, siostra ich matki),
Książę Kieran Delbatic – kuzyn Fiyonna i Valianta Corvusów, syn księżnej Delbatic. Poseł Tesarythu pełniący służbę w Kuvijacie, stolicy Gallawethu.

Rodzina królewska Zjednoczonego Królestwa:

Królowa Raina Rodaagov,
Księżniczka Rosemary Rodaagov,
Królowa małżonka Talia Rodaagov (z domu Bancroft),
Królewski namiestnik Gertrand Rodaagov (młodszy brat Ronana Rodaagova).

Pozostałe postacie:

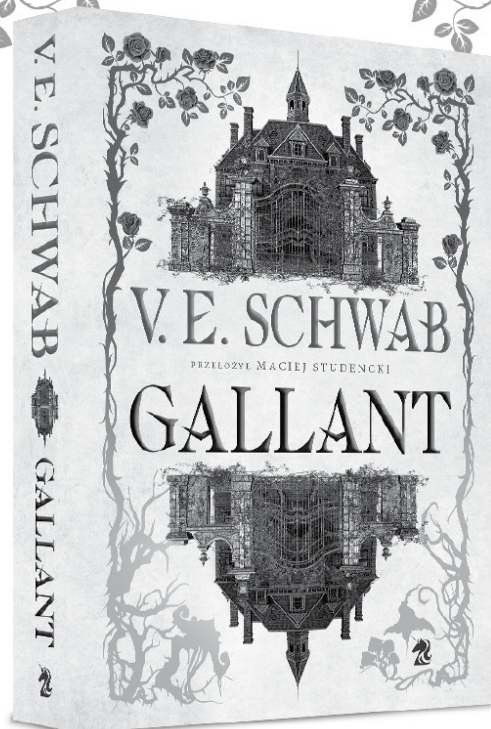
Anamita – żona Grattza,
Anastas Prijestolic – władca Vijandy,
Antoinette Corvidae, potocznie nazywana Nette, Nettie –
odnaleziona Krucza Wiedźma,
Archer Miles – członek Wielkiej Rady,
Behula – matka Antoinette,

Briona – pokojowa królowej, bliska znajoma Antoinette,
Eilo Datra – jeden z petramich,
Elida Kostelic – duchowa przywódczyni solarytów w Zjednoczonym Królestwie,
Elsje – przyjaciółka Behuli,
Erika Oesterberg – ochmistrzyni w Gnieździe,
Ewan Bancroft – członek Wielkiej Rady, brat królowej Talii Rodaagov,
Grattzo – przywódca leża smoków,
Herbert Eckhoff – brat Rhoswen Eckhoff, opiekun Askvolen,
Hershel Lashan – trzeci syn Wielkiego Lorda Kalindoru, członek Wielkiej Rady,
James – łowca z Gildii Łowców,
Kamaal Lashan – drugi syn Wielkiego Lorda Kalindoru, generał wojsk Korony,
Manu Noppea – członek starszyny petramich,
Matij Prijestolic – kuzyn vijandzkiego władcy, kandydat na ambasadora Vijandy w Zjednoczonym Królestwie,
Mina Datra – ludowa przywódczyni petramich,
Rhoswen Eckhoff – dama dworu królowej Ingvild,
Sebastian Pisceriov, potocznie nazywany Bashem – namiestnik Zjednoczonego Królestwa,
Tomas Scorpionov – nieślubny syn Gertranda Rodaagova,
Uświęcona Matka Talvi – głowa Świątyni, opiekunka Vande Sjel,
Vasile (Vas), Veer – synowie Grattza i Anamity,
Vera, Kayda, Siena – służące pracujące w Gnieździe,
Vidar – kapłan opiekujący się kaplicą w Gnieździe,
Wouter Eterlan – poseł Tesarythu pełniący służbę w Halamanie, stolicy Vijandy,
Xanthe Corvidae – zmarła przed dwustu laty Krucza Wiedźma,
Yrsa – przyjaciółka Antoinette.

PODZIĘKOWANIA

Praca nad kontynuacją *Legendy...* była wyzwaniem na wielu polach. Często się mówi, że to właśnie drugi tom jest tym najtrudniejszym do napisania, więc podeszliśmy do tego ostrzeżenia na poważnie. Zmierzenie się ze „środkową” częścią historii okazało się niełatwym zadaniem z wielu powodów, o których zapewne można byłoby napisać kolejną książkę. W ciągu tych długich miesięcy ciężkiej pracy były przy nas osoby cierpliwie wysłuchujące naszych wątpliwości i strachu związanego z tą premierą. To właśnie im dedykujemy tę powieść i dziękujemy najgoręcej za to, że po prostu przy nas byli. Gdyby nie Wy, nic by z tego nie wyszło! Zatem jest to książka pisana przede wszystkim dla naszego małego wspierającego grona ♥

Z całego serca dziękujemy również wszystkim czytelnikom i czytelniczkom zapewniających nas, że nie mogą się doczekać *Pieśni o płomieniach i mroku*. Dziękujemy, że w nas wierzycie i chcecie dalej podróżować z tymi bohaterami. A przecież czeka nas jeszcze kawał drogi do przebycia!



Olivia Prior dorasta w szkole dla dziewcząt, nie wiedząc nic o swojej rodzinie i pochodzeniu. Posiada tylko jedną rzecz związaną z jej przeszłością: to dziennik z zapiskami swojej matki.

Pewnego dnia Olivia otrzymuje list zapraszający ją do powrotu do domu — do Gallanta. Czyli jednak nie jest na tym świecie sama... Kiedy jednak dziewczyna przybywa na miejscu, okazuje się, że nikt na nią nie czeka. Jednak Olivia nie zamierza opuścić pierwszego miejsca, w którym zaczyna czuć się jak u siebie. Nie ma znaczenia, że jej kuzyn Matthew jest do niej wrogo nastawiony, czy też to, że dziewczyna zaczyna widzieć martwiaki nawiedzające korytarze posiadłości.

Gallant skrywa wiele tajemnic i Olivia jest zdeterminowana, aby odkryć je wszystkie. Gdy w murze ogradzającym posiadłość znajduje drzwi, trafia nagle do tajemniczego miejsca, którym rządzi zło...

Czy wśród cieni utkanych z przeszłości dziewczyna odnajdzie prawdę?

**Niesamowita seria „Krąg Nieskończoności”!
Queerowe fantasy spod pióra Adama Silvery!**



Szalona przygoda dwóch braci, którzy uczestniczą w magicznej wojnie. Emil i Brighton dorastali w Nowym Jorku i zawsze podziwiali Iskry: grupę strażników, która poprzysięgła uwolnić świat od niebezpiecznych widm. To one próbują ukraść moc niebiańskim istotom i wszystkim zagrożonym magicznym stworzeniom.

Brighton marzy o posiadaniu mocy, aby dołączyć do walki. Emil chce tylko, żeby nastał pokój. Wojna zbiera swoje żniwo, utrudniając spokojne życie każdemu, kto posiada niezwykle zdolności. Gdy Emil niespodziewanie manifestuje swoje moce w bójce, zostaje wrzucony w samo serce konfliktu między dwoma frontami i dołącza do grupy bohaterskich Iskier. Staje się tym, kim Brighton zawsze chciał być...

Braterstwo, miłość i lojalność zostaną wystawione na próbę i nikt nie wyjdzie z tej walki bez szwanku! Bitwa o pokój toczy się jak zawiła gra w szachy...

SPIS TREŚCI

Prolog: TOMAS

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział 1: ANTOINETTE

Rozdział 2: FIYONN

Rozdział 3: ANTOINETTE

Rozdział 4: SEBASTIAN

Rozdział 5: ANTOINETTE

Rozdział 6: JAMES

Rozdział 7: ANTOINETTE

Rozdział 8: RAINA

Rozdział 9: ANTOINETTE

Rozdział 10: FIYONN

Rozdział 11: RAINA

Rozdział 12: VEER

Rozdział 13: FIYONN

Rozdział 14: SEBASTIAN

Rozdział 15: ANTOINETTE

Rozdział 16: JAMES

[Rozdział 17: FIYONN](#)
[Rozdział 18: VASILE](#)
[Rozdział 19: ANTOINETTE](#)
[Rozdział 20: RAINA](#)
[Rozdział 21: ANTOINETTE](#)
[Rozdział 22: FIYONN](#)
[Rozdział 23: SEBASTIAN](#)

[CZEŚĆ DRUGA](#)

[Rozdział 24: RAINA](#)
[Rozdział 25: ANTOINETTE](#)
[Rozdział 26: FIYONN](#)
[Rozdział 27: ANTOINETTE](#)
[Rozdział 28: RAINA](#)
[Rozdział 29: VASILE](#)

[CZEŚĆ TRZECIA](#)

[Rozdział 30: FIYONN](#)
[Rozdział 31: ROSEMARY](#)
[Rozdział 32: ANTOINETTE](#)
[Rozdział 33: VASILE](#)
[Rozdział 34: ANTOINETTE](#)
[Rozdział 35: ROSEMARY](#)
[Rozdział 36: FIYONN](#)
[Rozdział 37: ANTOINETTE](#)
[Rozdział 38: ROSEMARY](#)
[Rozdział 39: ANTOINETTE](#)
[Rozdział 40: VEER](#)
[Rozdział 41: FIYONN](#)
[Rozdział 42: ROSEMARY](#)

[Epilog: VALIANT](#)

[SŁOWNIK](#)
[PODZIĘKOWANIA](#)

[Polecamy również](#)